

ADAM DOBOSZYŃSKI

*Studia
Polityczne*

NA UCHODZTWIE — 1947

ca. Zbigniew Dolina
Tow. Chr. do Wycl.

ZWAZEK
HARCE
HARCESTWA POLSKIEGO
KAPLAN GŁÓWNY
MEPPEN - KARLSTR.

DOBOSZYNSKI: STUDIA POLITYCZNE

Ks. Zbigniew Delimał
Tow. Chr. dla Wych.

775078

ADAM DOBOSZYNSKI

**STUDIA
POLITYCZNE**

Ks. Zbigniew Delimał
Tow. Chr. dla Wych.

Na uchodźstwie — 1947

616852



K. 186/88

Książka ta stanowi zbiór prac moich, drukowanych w latach 1941/46 na uchodźstwie, częściowo po angielsku, w różnych miejscach i okolicznościach; jedyna rzecz w tym zbiorze nigdzie jeszcze nie publikowana jest studium pt. »Regimen commixtum«.

Hermetyczne niemal odgródzenie od siebie poszczególnych członów naszego uchodźstwa (i odcięcie go od styczności z Krajem) sprawiły, że w ostatnich latach zasięg słowa drukowanego ograniczony był z reguły do terenu jego publikacji, a więc do wyspy brytyjskiej, Włoch czy Niemiec. Zbyt dużo wysiłku — i serca — włożyłem w te prace, bym mógł się zadowolic takim ulamkowym tylko ich zasięgiem; zebranie ich w jedną książkę pozwoli im dotrzeć do ogółu polskich czytelników.

Wybór prac, składających się na te książki, nie jest przypadkowy. Czytelnik spostrzeże się rychło, że składają się one w pewną całość, podobnie jak w zabawkach dla dzieci (którymi bawia się chętnie również dorośli) z kawałków przypadkowo na pozór wykrojonego drzewa składa się cały obraz. W naszym wypadku będzie to składanka wiedzy politycznej.

Celowo użyłem tu wyrażenia »wiedza polityczna«, gdyż określenie to przyjął się ostatnio coraz silniej na uniwersytetach Zachodu, gdzie spotykamy dziś wszędzie katedry »wiedzy politycznej« (political science), »filozofii politycznej« lub »społecznej«; zadaniem tych katedr jest synteza nauk, wykładanych u nas w t. zw. Szkołach Nauk Politycznych. W miarę postępującej specjalizacji nauk społecznych, różniczkowania się prawa, ekonomii oraz zageszczania się wiedzy o społecznej naturze człowieka, której nadbudowa (dość jeszcze słabo obrysowana) jest socjologia, zaznacza się coraz silniejsza potrzeba katedr poświęconych syntezie. I u nas będzie musiało dojść do powstania takich katedr; póki to jednak nie nastąpi, trzeba nam opracowań, dających czytelnikowi polskiemu pewien całokształt »wiedzy politycznej«; taka właśnie pierwsza — bardzo jeszcze niepełna — próba chce być ta książka.

Czy miałem słuszość, posługując się formą składanki raczej niż zwartego opracowania, osadzi sam czytelnik; wydaje mi się, na podstawie moich dotychczasowych doświadczeń, że treść polityczna przenika w głowy łatwiej, jeśli ją podać w formie mniej systematycznej — bardziej literackiej, niż naukowej.

Mam taki zwyczaj, że wszystko, co napiszę, daję przed opublikowaniem do czytania przyjaciół i znajomym. Ich uwagi wpływają nieraz silnie na ostateczny tekst, toteż bez przesady mogę powiedzieć, że książka ta miała wielu współautorów i stanowi w pewnej mierze owoc przemyśleń zbiorowych. Nie mogąc wymienić tu poszczególnych osób — zbyt wieleby ich było — pozwalam sobie wyrazić im w tym miejscu moje serdeczne podziękowanie.

Przykra konieczność spowodowała, że drukowac musiałem w drukarni, pozbawionej części czcionek akcentowych polskich. Mam nadzieje, że czytelnicy nie dadzą się tym zniechęcić. Przekonają się zresztą niebawem, już po przeczytaniu kilkunastu stron, jak szybko oko przyzwyczaja się do braku akcentów. Kogoby jednak ten brak miał razic aż do ostatniej stronicy, niech zechce sobie uprzytomnić, że książka o takiej treści nie mogła liczyć na żadne ułatwienia, stojące tak szeroko otworem na obczyźnie przed ludźmi, którzy poszli na taka czy inna . . . kolaboracje, i że braki graficzne tej książki stanowią właśnie okup za pełną niezależność jej myśli.

A. D.

**ARTYKUŁY
I
ODCZYTY**

G. K. CHESTERTON*)

»Nigdy nie brałem poważnie mych książek, ale poglądy moje biore zupełnie poważnie« — napisał Chesterton. Z takiej postawy plynęło dużo nieporozumień między czytelnikiem a pisarzem. Czytelnik katolicki przyzwyczajony był, że odwieczna naukę katolicka podawano mu w formie szczególnie ciężkiej, pompatycznej i nudnej, ale zato lopata w głowę. Chesterton poglądy swoje ubrał w barok łniących paradoksów i dzięki temu zwyciężył tylko u najinteligentniejszych, których nie bywa wielu. Był pisarzem elity i nie zniżył się do tłumu. Nawet z chwila, gdy się nawrócił na katolicyzm i zaczął piórem głosić Ewangelie, dopatrywano się w tym pozy lub paradoksu.

W swej autobiografii, z której wyjmuje wszystkie cytaty zawarte w tym artykule, pisze Chesterton o swym ukochanym bracie: »Mój brat Cecil Edward urodził się, gdy ja miałem około pięciu lat, i po krótkiej przerwie zaczął dyskutować.« Podobnie wcześniej zaczął i sam wielki Gilbert Keith. Nie oparł się on nigdy żądzy dyskusji, rozkoszy trafnego argumentu, namietności celnego ciosu polemicznego. Sam mówił o sobie, że »chec polemizowania silniejsza była odemnie«. Przepolemizował całe życie i w swej pasji polemicznej oszczędził tylko dogmatów i instytucji katolickich. Nie oszczędził natomiast żadnej z idei ani spraw drogich Anglikom. Po kolei, na zimno, systematycznie zadarł z wszystkimi świętościami, które uwielbiają członkowie Commonwealth'u i wyznawcy Kiplinga. Ośmielił się nawet wydrukować książkę p. t. »Zbrodnie Anglii«. Jest dowodem wielkiej kultury narodu angielskiego, że nikt nie pobił ani nie wyklął takiego bluźniercy. Trudno się jednak dziwić, że zawiązała się dokoła niego konspiracja milczenia, przemilczająca go poza grób.

*) »Rozkaz Wewnętrzny Biskupa Polowego W. P.« Nr. 4, Londyn, marzec-kwiecień 1941.

Krytyka swoja objal Chesterton calokształt tych zwyczajów i urzędów, które składają się na współczesny świat brytyjski. W krytyce tej nie był odosobniony, bo sport krytykowania, ulubiony we wszystkich czasach, w ostatnich dwustu latach wysunął się na czoło namietności myślącego człowieka. Jednakże Chesterton tym się różni od ogółu współczesnych »kierków«, że nie uznaje krytyki bezplodnej, głównego zajęcia t. zw. inteligencji. Inteligencji tej nie lubi. Nie lubi jej dlatego, że ten rodzaj ludzi stanowi nowotwór na ciele brytyjskim, produkt uboczny cywilizacji przemysłowej, której Chesterton nie znosi. Samo słowo »intelligentsia« przejął język angielski z rosyjskiego. »Inteligentni ludzie — pisze z przekasem Chesterton — mogą się wślizgnąć nawet w szeregi inteligencji«. Ale trudno znaleźć tam dla siebie miejsca człowiekowi w rodzaju Chestertona, który jest »nieuleczalnie przekonany, że umysł otwiera się, podobnie jak usta, w celu zamknięcia się z powrotem na czymś solidnym«.

Tego solidnego gruntu dla swego umysłu szukał Chesterton długo, póki go nie znalazł w katolicyzmie. Nie spłynął na niego katolicyzm jak błyskawica, jak nagle olśnienie — na promieniu Łaski Bożej. Szedł do niego długo i mozolnie, dyskutując i argumentując zawzięcie. Zapalił się od głowy wcześniej niż od serca. Wyszedł z rodziny agnostycznej, kształcili go agnostyczni profesorowie. Pokolenie starszych nie zdolne było wierzyć, bo zadyskutowało na śmierć wszystkie swe wierzenia. Nie mówiło się o tych rzeczach, »epoka pełna była ironicznych milczeń, które następują po wielkich sporach«. Wojna z Burami czy afera Dreyfusa zdolne były rozpalic do białej gorączki elite cywilizowanego świata. Problem istnienia lub nie istnienia Boga zbywano wzruszeniem ramion.

W te, jak to dosadnie określił »pustynie materializmu«, wyruszył młody człowiek z ostrym piórem i językiem i z żądzą poznania prawdy. Szedł długo, ale Pan Bóg dał mu te Łaski, że znalazł Prawdę już w połowie życia i drugą połowę mógł poświęcić na Jej głoszenie.

Cieężkie to było szukanie. Modne pod koniec epoki wiktoriańskiej teorie razily go swa negacją. Rychło spostrzegł, że »stara teoria teologiczna zdawała się mniej lub więcej pasować do doświadczenia, podczas gdy nowe i negatywne teorie nie pasowały do niczego, a najmniej jedne do drugich«. Raził go współczesny protestantyzm, który określał jako »bezsztaltny kompromis religijny Purytanizmu, obracającego się w

Pogaństwo«. Stwierdzał jakiś dziwny sojusz między idealistycznymi teistami a realistycznymi ateistami. Sojusz — przeciw komu? Modną była Teozofia, ale Chesterton rychło zdemaskował ją jako »kombinację trzech rzeczy: Azji, Teorii Ewolucji i angielskiej lady«. Szukał oparcia dla umysłu, szukał kształtu dla idei, aż je znalazł w Dogmacie i w Kościele. »Strapiłem ludzi dobrze mi życzących — pisze Chesterton — i wielu z pośród mądrych i roztropnych; moja nieustraszona konsekwencja w stawianiu się Chrześcijaninem, ortodoksyjnym Chrześcijaninem i wreszcie Katolikiem w znaczeniu Rzymskiego Katolika«.

Różnymi drogami chadza nawrócenie. Bywa błyskawiczne, bywa żmudne, poprzez nieszczęścia i ciosy dotykające człowieka, czasem przychodzi od strony serca, czasem od strony rozumu. Chesterton szedł do katolicyzmu drogą czysto intelektualną, stał się wcześniej katolikiem z wyrozumowania niż katolikiem z Wiary. Od jednego ze swych przyjaciół usłyszał kiedyś następujące zdanie: »Jedyną trudność, która przeszkadza mi w przystąpieniu do Kościoła Katolickiego, polega na tym, że nie sadzę, bym wierzył w Boga«. Na co Chesterton odpowiedział mu, że »prawdziwi katolicy są dostatecznie inteligentni, by mieć tę trudność. Ale — dodał Chesterton — sam tego doświadczyłem, że wejście w orbitę katolicyzmu, nawet tylko fizycznie, przyniosło mi stałe rosnącą pewność istnienia Boga«.

Taka recepta na budzenie wiary pochodzi bodajże od św. Augustyna, lecz spopularyzował ją w Anglii słynny »ruch oksfordzki« kardynała Newmana (w połowie XIX wieku). Ruch ten radził niewierzącemu wejść do Kościoła i zacząć żyć po chrześcijańsku, a wiara z biegiem czasu przyjdzie mu sama. Świadectwo Chestertona dowodzi skuteczności tej metody, która warto szeroko rozpowszechnić wśród ludzi myślących.

Chesterton znalazł w katolicyzmie wszystko czego szukał: organizację doczesną dla swych potrzeb duchowych i pewność metafizyczną, której wspaniałość ogłosił w książce p. t. »Ortodoksja«. Znalazł ulgę w spowiedzi, do której po długich błądzeniach wracała współczesna mu wiedza (pod postacią psychoanalizy). Znalazł wreszcie wspaniały system społeczny, który bujnie (choc na krótko) rozkwitnął w Sredniowieczu, system najradzykalniejszy w swych koncepcjach, jedynie godny inteligentnego człowieka XX wieku.

Chesterton uważa umiarkowanie za »obrzydliwy wybieg«. »Zawsze

lepiej — powiada — wychodziłem z rewolucjonistami niż z reformatorami. Moje szaleństwo coraz więcej i więcej szło w kierunku pewnego nieokreślonego i wizyjnego buntu przeciw płaskiej prozie dziewiętnastowiecznego miasta i cywilizacji; niecierpliwość wyobraźni na widok cylindrycznych kapeluszy i prostokątnych domów». Chesterton szukał rewolucji integralnej przeciw wszystkiemu, co widział dokoła siebie, i znalazł ją tylko w katolicyźmie. Był czas, że wierzył w ideal komunistyczny. Rychło jednak spostrzegł się, że zarówno Czerwony Sztandar jak i Union Jack, socjalizm i imperializm, wierza w »unifikację i centralizację na szeroka skale«. A tymczasem »od samego początku moje instynktowne rozumienie sprawiedliwości, równości i wolności było nieco inne od tego, co było przyjęte w mojej epoce; od wszystkich skłonności do koncentracji i generalizacji. Mój instynkt kazał mi bronić wolności w małych narodach i w ubogich rodzinach, to znaczy kazał mi bronić zasady, że prawa człowieka obejmują prawo do własności, w szczególności zaś do własności dla człowieka ubogiego. Nie rozumiałem rzeczywistego znaczenia Wolności, póki nie usłyszałem jej nazwanej nowym mianem Godności Ludzkiej. Miano to nowe było dla mnie, choć stanowiło składnik wiary, liczącej prawie dwa tysiące lat«.

Dla Chestertona »zarówno Kapitalizm, jak Komunizm, opierają się na tej samej idei: centralizacji bogactw, niszczącej własność prywatną«. Nie tylko założenia ekonomiczne obu są jednakowe, ale »Kapitalizm i Komunizm są tak dalece prawie tym samym pod względem etycznym, że nie byłoby dziwne, gdyby oba zaopatrywały się w przywódców wśród tych samych elementów etnicznych«.

Rozumując w ten sposób doszedł Chesterton do ideału, który nazwał »dystrybutystycznym«. Założył i prowadził do końca życia organizację zwaną »Liga dla obrony wolności przez dystrybucję własności« (popularnie zwano ją »Liga Dystrybutystów«). Byłem na kilku jej zebraniach, które odbywały się w atmosferze entuzjazmu i prostoty, w zadymionych salach w tyle obskurnych jadalni. Podobnie musiały wyglądać zebrania pierwszych Chryścijan, na których w zdemoralizowanym, plutokratycznym Imperium rzymskim, garstka wierzących startowała swa rewolucja.

Socjalizm nienawistny był Chestertonowi za to, że pozbawiając człowieka własności, pozbawiał go w rezultacie i wolności. To samo co

socjalizm robi z jednostką, robi zdaniem Chestertona imperializm z narodem. W obronie małych Burów, polykanych przez Wielką Brytanię, rozstał się Chesterton poraż pierwszy z opinią publiczną swego kraju, z którą nie miał się już nigdy więcej zejść. Głosił nie tylko prawo każdego człowieka do własnej Ojczyzny, ale wiedząc, że Ojczyzna to pojęcie dla szarego człowieka bardzo wysokie i dalekie, głosił również pojęcie własnej wioski, własnej dzielnicy, ukochania tego, co najbliższe człowiekowi, co jego przodkowie kształtowali swym codziennym życiem. Patriotyzm uliczki i parafii, region jako podstawowy składnik Ojczyzny. Najsłynniejsza książka Chestertona, to chyba ten »Napoleon z Nottinghill«, walczący o prawo do niepodległości swej dzielnicy, zagrożonej przez imperialny rozmach Wielkiego Londynu. Wolność warunkowana prawem szeregowca ludzkości do własnego zagonu czy warsztatu i do samorządu w gronie podobnych sobie sąsiadów, to ideal społeczny Chestertona. Ideal drobnomieszczański — powiedza z miejsca wyznawcy cywilizacji przemysłowej. Ideal chłopski — odpowie im Chesterton. A chłop, według niego, to szczytowy wytwór harmonijnej cywilizacji. Wyradniejący Rzym zagubił chłopą, któremu pierwotny Rzym zawdzięczał swą wielkość. Odrodziło chłopą, dalo mu wolność i patos wielkości dopiero katolickie Średniowiecze. Renesans i Reformacja zakuwają chłopą z powrotem w okowy poddaństwa. XIX wiek, wiek kapitalizmu, tepi chłopą w Anglii doszczetnie. Na tym jednym tylko punkcie zgadzał się może Chesterton z Kiplingiem, że z jednakim wzruszeniem i zadróścią patrzyli na francuskiego chłopą. Chesterton jeszcze wyżej stawiał chłopą polskiego. I nie mógł zrozumieć kolektywistów, którzy »twierdzą, że chłop nie ma prawa do własnego pola, lecz chłopstwo ma prawo do pola naftowego«.

W walce o nowy porządek Chesterton z dużą odwagą tropił główne ośrodki zła. Odważył się wyjawic, że prasa w Wielkiej Brytanii rządzi dwie lub trzy osoby, kontrolujące wielkie trusty wydawnicze. Wspominał o »kombinacjach prasowych« i ich potędze. To też przez kilkanaście ostatnich lat życia miał zamknięte łamy prasy zależnej od wielkiego kapitału i musiał się wyżywać we własnym tygodniku, zatytułowanym »G.K's Weekly«.

Zadartł z plutokracją. Ludziom, którzy uważają za swój obowiązek kwestionować zgóry każde słowo, które wyjdzie z ust Hitlera, będzie

może przykro dowiedzieć się, że Chesterton atakował plutokrację angielską już wtedy, kiedy Hitlerowi marzył się jeszcze sojusz z tą plutokracją. Chesterton uważał, że w naszej epoce demokracja stanowi tylko parawan dla plutokracji, a »Parlament stał się równoznaczny z tajnym rządem bogaczy«. »Teoria praw obywatela — powiada Chesterton — stworzyła pewien rodzaj legalnej fikcji, pod której osłoną człowiek bogaty może rządzić całą cywilizacją tam, gdzie ongiś mógł rządzić jednym tylko miastem; lub też lichwiarz zarzuca swą sieć na sześć narodów tam, gdzie ongiś zarzucał na jedną wioskę«.

Chesterton nie ograniczył się do walki z plutokracją jako systemem; podjął również na spółkę z bratem prasową kampanię przeciw dwóm plutokratom, którzy przypadkiem byli też braćmi i nosili wschodnie nazwisko Isaacs. Oba Chestertonom nie spodobało się, że Godfrey Isaacs (późniejszy gubernator Australii) otrzymał dla spółki »Marconi«, której był dyrektorem, bardzo niezwykły monopol państwowy; i to otrzymał w czasie, gdy brat jego Rufus (późniejszy lord Reading, wicekról Indii) był członkiem rządu. Rzecz prosta, tak drobne niedopatrzenie nie mogło zahamować dalszej kariery obu braci Isaacs'ów, ale zostawiło Chestertonowi na resztę życia renome antysemity, przed którą bronił się twierdząc, że Żydów bardzo lubi, lecz uważa ich za cudzoziemców. Czym pogarszał jeszcze swoją sprawę.

W katolicyzmie widział nie tylko rozwiązanie najgroźniejszych tajemnic bytu, widział w nim również jego stronę ludzką, z powodu której życie w społeczeństwie naprawdę katolickim jest zawsze prostsze, przystępniejsze, barwniejsze, weselsze. Póki Anglia była katolicka, była »merry England«, »wesola Anglia« ludzi umiejących pracować, ale i bawić się bez troski. Niedziela w społeczeństwie katolickim jest dniem wesela, w purytańskiej Anglii jest dniem nudy. Protestantyzm prowadzi do seryjnych domków robotniczych przy wielkiej fabryce, katolicyzm do kufla piwa we własnej zagrodzie, na ławce pod własną jabłonią.

Katolicyzm to dla Chestertona »common sense«, nasz »zdrowy rozsadek« czy »chłopski rozum«. Pewien teozof rzekł raz do niego: »Dobro i zło, prawda i fałsz, szaleństwo i mądrość są tylko objawami tego samego ruchu wszechświata w górę«. Na co Chesterton zapytał go: »Przypuśćmy, że nie ma różnicy między dobrem i złem, lub między fałszem a prawdą, to na czym polega różnica między ruchem w górę

a ruchem w dół?«. Chesterton był fanatykiem zdrowego rozsądku. Rosja to dla niego »narod, który wydaje się posiadać wszelkie ludzkie talenty z wyjątkiem zdrowego rozsądku«. Współcześni mu ludzie stracili tak dalece wszelką miarę, że »zaczeli nie wierzyć nawet w rzeczy normalne«. »Determinista — pisze Chesterton — powiedział mi, najgłośniej jak tylko mógł, że wogóle nie odpowiadam za nic. A wobec tego, że ja wole być traktowany jako istota odpowiedzialna, a nie jak szaleniec wypuszczony na wolność, zacząłem rozglądać się za jakimś azyłem ducha, który nie byłby po prostu azyłem dla warjatów«.

Oto wytyczna Chestertona: zdrowy rozsadek jako drogowskaz dla »niepopularnego sportu myślenia«, któremu oddawał się przez całe życie. Ale rozsadek potrzebuje dwu regulatorów: jeden, to zmysł humoru, bez którego tak łatwo zarówno maż stanu jak i myśliciel przekraczają granice między wzniosłym a śmiesznym; drugi to jasne uświadomienie sobie, że istnieją rzeczy pozanormalne, i że wszelkie próby przeczenia ich istnieniu tylko dlatego, że nie ogarniamy ich logicznym rozumowaniem, są po prostu chowaniem głowy w piasek.

Jednym z ludzi, którzy wywarli na Chestertona wpływ najgłębszy, był Irlandczyk ksiądz O'Connor. Jemu to zawdzięcza nasz pisarz wtajemniczenie go w »przepaść zła«. »Nie wyobrażałem sobie — pisze — że na świecie mogą się dziać takie okropności«. Ksiądz O'Connor był tym, który »znał solidny Satanizm i wojował z nim przez całe życie«. On to przyjął generalną spowiedź Chestertona w chwili jego nawrócenia się na katolicyzm. Za wtajemniczenie Chestertona w najgłębsze tajniki zła wywdzielił się on ks. O'Connor'owi wprowadzając go do literatury pod postacią Ojca Browna, domorosłego detektywa, który uzbrojony jedynie w katolicką dociekliwość zła i w zdrowy rozsadek zapędził w koziego róg samego Sherlocka Holmes'a. Ten cykl opowieści detektywnych jest najsłabszy w twórczości Chestertona, ale on sam bardzo był do niego przywiązany; był zapalonym czytelnikiem powieści kryminalnych i urządził w swym domu t. zw. »murder parties«, podniecające zabawy, w czasie których na podstawie chytrze zagmatwanych przez gospodarza poszlaków goście musieli wykryć, przed podwieczorkiem, jakąś wyrafinowaną zbrodnię.

Taka była »hobby« Chestertona, typowy dla każdego Anglika indywidualny sposób odpreżenia się po ciężkiej pracy intelektualnej. Jeden

lowi ryby, drugi zbiera pudelka od zapalek. Chesterton dla zabawy śledził zło. Ale w tej zabawie stawał już na pograniczu czegoś, o czym mówił niewiele i niechętnie, ale co było dla niego zjawiskiem bardzo realnym. »Tak dalece jak człowiek może być dumny z religii zakorzenionej w pokorze, jestem bardzo dumny z mej religii; jestem szczególnie dumny z tych jej cześci, które pospolicie zwa się przesadem«. Grano w Polsce niesamowita sztuka jego o magii. Zanim został katolikiem Chesterton zagłębiał się w spirytyzmie, brany bardzo serjo przez intelektualistów »wyzwołbnych od przesadów«. Nic też dziwnego, że pisać życiorys św. Tomasza z Akwinu nie omieszkal wspomnieć, że ten najmedrszy z ludzi, których wydało ostatnie dwa tysiące lat, wierzył w demony.

Wyliczanie książek Chestertona byłoby rzeczą żmudną i bezcelową, gdyż twórczość jego była tylko myśleniem z piórem w reku, a tytuły książek były naogół rozbieżne z tekstem i przypadkowe. Książek tych było bardzo dużo, toteż czytelnik łatwo się zniechęca i trudno mu zapoznać się z całą twórczością pisarza. Skoro sfery polskich przyjaciół Chestertona organizują się, czeka je, oczywiście dopiero po powrocie do kraju, wielki wysiłek udostępnienia Polakom twórczości Chestertona. Wysiłek ten powinien iść po torach nieszablonych. Wyobrażam go sobie jako inteligentne skondensowanie twórczości Chestertona w objętość jakichś dziesięciu tomów, w których znalazłyby się w całości przedruki kilku jego szczytowych osiągnięć takich jak np. Napoleon z Nottingham, Latająca Gospoda, Kula i Krzyż, biografie św. Tomasza i św. Franciszka, całe rozdziały umiejętnie wyjęte z innych jego dzieł, wreszcie streszczenie prac nieprzedrukowanych.

W tak pomyślanym zbiorowym wydaniu braknie jedynej książki, o której wspomina w swej autobiografii, że chciałby ją jeszcze napisać. Nie zdażył już. Miała to być książka o Polsce, o tej Polsce, o której najczęściej i najcieplej mówi w swej ostatniej pracy, pisanej u progu śmierci. O tej Polsce, która raz tylko objechał, przyjmowany cierpko przez oficjalne nasze czynniki, lecz która raz na zawsze zapadła mu głęboko w serce. Wybierał się do nas powtórnie i już nie zdażył.

W czasie wojny 1914—1918 oddał wielkie przysługi naszej sprawie. Wprowadził Dmowskiego do jego domu prof. Sarolea z Edynburga, największy, obok Hilarego Belloc, z żyjących przyjaciół Chestertona. Zabraknie nam pióra Chestertona, gdy w wyniku obecnej wojny ważyć

się beda nasze losy. Zabraknie jego pióra, ale myśl jego, o ileż lepiej znana dziś niż przed dwudziestu laty, dopomoże nam do zorganizowania społeczności prawdziwie katolickiej.

Chesterton uważał, że Polacy zbliżeni są psychicznie do Anglików znacznie bardziej niż Włosi czy Hiszpanie, nie mówiac o Francuzach, których cenil i rozumiał, ale uważał za najdalszych odczuciu brytyjskiemu. Emigracja nasza, przebywająca dziś w Anglii i Szkocji, bliskość tę wyczuwa. Nigdzie może nie rysuje się ona tak charakterystycznie jak w sprawach katolickich. Wszystkie wrogie katolicyzmowi ośrodki propagandowe świata próbują od długich lat narzucić nam Maritain i Mauriac, jako czołowych pisarzy katolickich naszych czasów. A my czujemy się znacznie bliżsi Chestertona i rozumiemy go, gdy powiada, że Anglicy nie lubia Pascala, będącego ojcem duchowym — w prostej linii — dzisiejszego »francuskiego katolicyzmu«. Rozumiemy Chestertona, gdy stwierdza, że Anglicy wola św. Franciszka z Assyżu niż proboszcza z Ars i że nie mogą czytać Racine'a. My też wolimy św. Franciszka i Szekspira. I prymat katolickiego pisarza naszych czasów oddajemy Chestertonowi. Wpływ jego na myśl naszą dopiero się zaczyna i będzie rósł przez lat dziesiątki.

Zawczasem jeszcze na ocenę tego wielkiego zjawiska, którym był G. K. Chesterton. Największym może paradoksem jego twórczości — pośmiertnym — będzie, gdy za lat trzydzieści lub pięćdziesiąt, a może sto, Polacy zaczną uczyć Anglików kultu dla jednego z najgenialniejszych ich pisarzy.

Chesterton stał na pograniczu geniuszu. Wielkie to słowo i bardzo nadużywane. To też wymawiamy je cicho i ze skupieniem. Geniusz to słowo pogańskie, a u katolików określamy geniusz mianem świętości. Chesterton stał na pograniczu geniuszu i świętości. Był człowiekiem epoki malej i sceptycznej, to też nie przekroczył może tej granicy. Ale stał w pokorze na samym progu, jak przystało na katolika.

W ostatnim swym dziele pisał o szlachetnych szaleńcach i o »Fanatyku czyli człowieku, który chciał dotrzymać słowa; tego wielkiego słowa, które każdy człowiek dał Bogu, zanim jego życie się zaczęło.«

Tego wielkiego słowa Chesterton dotrzymał.

WIELKI NAROD*)

Bojowcom ukraińskim — kolegom z celi i spaceru — ofiaruje

Kiedyś, kiedy miałem bardzo dużo wolnego czasu, przeczytałem historje starożytnego Rzymu napisana przez Mommsena. Książka ta zawiera dzieje lat tysiąca. Co przede wszystkim w niej uderza, to bezmiar państw, ludów, szczepów, narodów, które pojawiają się i znikają na kartach historii rzymskiej, czy to wchłonięte i zasymilowane przez naród rzymski, czy też zaginione, umarłe. Dziesiątki, setki nazw, stolic, ustrojów, dyktatur, królestw, republik. A z tego bezmiaru efemeryd wylania się, poczety z jednego miasta i jego najbliższej okolicy, rozrastający się na Latium, na półwysep apeniński, na całe obecne Włochy, wreszcie na basen Morza Śródziemnego — naród rzymski. Tak jest — naród. Wielki naród.

Historia jego powstania może służyć za przykład powstawania wielkich narodów. Narodów takich jak Francja, Anglia, Niemcy, Stany Zjedn., Rosja. Z jednego szczepu, z jednego ludu biorą się narody małe. Wielkie narody narastają przez stop pokrewnych sobie ludów. Budują swą jedność żmudnie, przewyciężają różnice w mowie i obyczaju, przemagają siły odśrodkowe i prądy separatystyczne. Wielki naród ma zawsze odłamy, które obok mowy oficjalnej używają jeszcze ciągle narzecza, będącego mową wrogiego sąsiada. Wielki naród jest zawsze w okresie przyswajania, rozszerzania się. Gdy te procesy zanikną, gdy ustabilizuje się ludność, naród zaczyna obumierać. Jego żywotność kończy się. A wraz z żywotnością kończy się wielkość.

Například Francja. Zrasta się z niezliczonych, jakże różnorodnych składników celtyckich, germańskich, romańskich, baskijskich. Jeszcze w

*) Wydane w styczniu 1941 w Kirkcaldy (Szkocja). II. wydanie w marcu 1941.

polowie obecnego tysiąclecia dzieli się na dwa wyraźne odłamy — langue d'oc i langue d'oïl. Langue d'oïl, język okolic Paryża, zwycięża, ale jego rywal langue d'oc jeszcze w naszych czasach wydał wielkiego poety Mistrala. Żyją jeszcze języki bretoński, baskijski i kataloński w Pirenejach, włoski w Sabaudii i Nicei, niemiecki w Alzacji. Nawet nazwa Francji jest przypadkowa. Asymilacja Alzacji — kooptacja Niemców do narodu francuskiego — zaczęła się za Ludwika XIV. Okres to nie długi, a jednak wystarczył, by w czasie ponownej przynależności Alzacji do Rzeszy Niemieckiej połowa przynajmniej jej ludności — mówiącej nadal po niemiecku — wyrwała się z powrotem do Francji.

Podobnie złożony jest naród angielski. W podłożu prehistorycznych tubylców wrosli Celtowie, w nich Anglosasi, w nich Normanowie. Jeszcze parę wieków temu naród szkocki był pod każdym względem odrebny od angielskiego, miał własnych królów, mowę i obyczaj i wojował bez przerwy z Anglikami. Dziś narody te się zespoliły*). Element anglosaski, nie znajdując dalszej pożywki na swej wyspie, przeniósł się na inny kontynent i dziś, przyswajając inne odłamy białej rasy, tworzy nowy naród zwany się U.S.A., będący właściwie przedłużeniem narodu angielskiego. Nie wątpię, że w czasie dalszego scalania się wielkich narodów narody angielski i amerykański dojdą do uznania swej jedności, podobnie jak wydaje się możliwe rozszerzenie granic narodu niemieckiego jeszcze o narody skandynawskie, o Flamandów i Holendrów. Różnica w mowie między Fryzem a Tyrolczykiem jest niewatpliwie większa niż między Kaszubem a Huculem. Mimo to naród niemiecki zrosł się w imponującą jedność i żywotność swą objawia, sięgając coraz dalej.

Moskwa? Scalila się, na pniu wielkoruskim, z rozlicznych plemion mongolskich, z Tatarów, Kirgizów, Jakutów. Polska? W epoce Piastów tworzył się mały naród, jednolity etnicznie. Za Jagiellonów zaczął narastać wielki naród zwany Rzeczpospolitą, podobnie jak dziś narastają nowe narody o dziwacznych nazwach — Stanów Zjedn., Jugosławii, Z.S.R.R.

Dzieje narastania Rzpltej. W chwili, gdy Mieszko Stary i Chrobry tworzyli swe państwo, od Laby po Morze Czarne i wódł po Dunaj rozciągało się morze Słowian, złożone z niezliczonych drobnych plemion.

*) Proces ten przebiegł dość podobnie do Unii polsko-litewskiej.

Podróżny, chcący jechać np. z Pragi do Kijowa, nie natknąłby się nigdzie na wyraźną granicę językową, ale co parę mil, o ile byłby bardzo bystrym obserwatorem, dostrzegłby drobne różnice w wymowie, które zsumowane na przestrzeni dwu tysięcy kilometrów dalyby ogromną już różnicę między narzeczem Pragi a Kijowa. Oczywiście można było wyodrębnić dwie wielkie rodziny narzeczy — zachodnio- i wschodniosłowiańskich, ale wyraźnej granicy nie było i Chrobry, wykrawając mieczem w równinie słowiańskiej swe państwo, nie miał innych danych, jak je zakreślić, jak siłę i rozmach swego ramienia.

Przeciwności dynastyczne i religijne przyczyniały się, do końca epoki piastowskiej, do pogłębiania różnic między Słowiańszczyzną Wschodnią a Zachodnią. Od Kazimierza Wielkiego i Jagielly różnice te słabły. Początkowo wydaje się, że powstanie wielki naród łączący Polskę i Litwę z całą Rusią południową*). Niestety Chmielnicki oddzielił od Rzeczypospolitej połowę Ukrainy i oddał ją na tworzywo wielkiego narodu — rosyjskiego.

* * *

Mówi się u nas dużo o t. zw. idei jagiellońskiej. Jagiellonowie nie wiedzieli o jej istnieniu — takie na pozór paradoksalne twierdzenie wysunął ostatnio jeden z polskich historyków, nie pamiętam czy Konopczyński czy Kolankowski. Twierdzenie kapitalne. Wielkie procesy historyczne dokonują się rekoma jednostek, które często nie zdają sobie sprawy ze swej roli. Naród francuski mozolnie kłecili jego królowie. Niewiele z nich zdawało sobie sprawę z faktu, że kalkulują nie tylko królestwo, ale i naród. Ich podboje wynikały z chęci powiększenia posiadłości i dochodów, z przyczyn politycznych i strategicznych. A tymczasem życie szło swym torem i kształtowało naród. Po włączeniu do Francji Bretończyków, Basków, Katalończyków, Alzackich zaczęła się od razu proces asymilacji duchowej, którego wytworem jest wielki naród francuski.

W ostatnich latach szermowano ideą jagiellońską, chcąc uzasadnić koncepcję t. zw. »państwowe«, koncepcję Rzeczypospolitej jako zlepki mechanicznego obywateli, uważających się za synów paru różnych narodów, a złączonych jedynie uczuciem lojalności wobec wspólnego państwa.

*) Była nawet chwila dziejowa, za Zygmunta III, gdy myślano o unii z Moskwą.

Miałoby to być państwo narodowościowe w rodzaju nieboszczki Austrii, ale Austrii pozbawionej wieży dynastycznej, która stanowiła niewątpliwie jej główną przynętę. Takiej sztucznej koncepcji miała dać rumieńce życia właśnie idea jagiellońska. Rzeczpospolita Jagiellonów — zdaniem niektórych — to był niejako zajazd, w którym miało mieszkać obok siebie parę narodów, nie poświęcając niczego z swej odrębności, w zupełnej swobodzie konserwując swe narodowe oblicza, mowy i obyczaje. Wiązać je miało jedynie uczucie wierności dla tej Rzeczypospolitej, która była właściwie tylko szczydem i tarczą, chroniącą na zewnątrz to dziwne zbiorowisko narodów.

Powiem zgóry, że zdaniem moim takie rozumienie idei jagiellońskiej jest z gruntu fałszywe. Idee te możemy określić tylko po skutkach, jakie wywarła unia polsko-litewsko-ruska i dwa wieki panowania Jagiellonów. Otóż co do tych skutków nie może być wątpliwości: to nie było współżycie narodów pod jednym dachem, to był proces powstawania wielkiego narodu. Proces bardzo daleko posunięty w chwili rozbioru Rzeczypospolitej.

Rzeczpospolita jagiellońska, to narastanie wspólnego narodu polsko-litewsko-ruskiego, z obyczajem, prawem, kulturą i urządzeniami, na których rozwój składały się w swobodnym współżyciu wszystkie trzy jednoczasy ludu. Gdyby rozbiory nie były tragicznie przerwały tego procesu, wielki naród jednoczasy w sobie wszystkie elementy, zamieszkałe od Gdańska i Polagi po Morze Czarne, byłby dziś faktem, który ciążyłby niezmiernie — i zbawiennie — na losach świata.

* * *

Powyższe twierdzenie można by bardzo łatwo i efektownie udowodnić przy pomocy statystyk, wykresów, monografii. Niestety trzeba by do tego rozległych badań, do których przeprowadzenia nie ma obecnie możliwości. Złe się stało, że nie przeprowadzono tych badań dawniej, ale przyjdzie czas, że się je wykona. Dziś muszę prosić czytelnika, by się zadowolił paroma argumentami podanymi w formie nienaukowej, które może uzupełnić własnymi spostrzeżeniami i przemyśleniami oraz wspomnieniami natury osobistej.

Oto jedno z moich wspomnień: w lecie 1928 roku, będąc w czynnej służbie wojskowej po ukończeniu podchorążówki, spędziłem dwa miesiące

na granicy bolszewickiej, o dwie mile od Stolpców, głęboko w lasach radziwillowskich. Jadąc na tak zapadłe Kresy wyobrażałem sobie, że zastane tam jednolita masę białoruską, jednolicie obca Rzpltej. Jakież było moje zdziwienie gdy stwierdziłem, że co druga wieś w tych stronach to zaścianek szlachecki, mówiący piękną gwara polsko-białoruską, goraco patriotyczny i ofiarny. Zato wieś, w której kwaterowaliśmy, Mikolajewszczyzna, była zajadłe białoruską i zażywała w okolicy jaknajgorszej reputacji. Parobcy z tej wsi uciekali z reguły przed wcieleniem do wojska polskiego na tamtą stronę. Znany komunistyczny poeta białoruski Mickiewicz, żyjący w Mińsku, pochodził z tej wsi. Kilku członków białoruskiego rządu sowieckiego również stąd się wywodziło. Na rok przed naszym przybyciem ucieto w tej wsi głowę — dosłownie — wywiadowcy policyjnemu i zaniesiono na drugą stronę, bo tam wyznaczona na nią była nagroda stu rubli w złocie.

Jednym słowem zła reputacja tej wsi była w pełni zasłużona. Toteż nie pozwolono nam kwaterować po zabudowaniach, ale rozbiliśmy namioty na rozległych bloniach nad Niemnem i otoczyliśmy nasz obóz drutem kolczastym.

Tak się złożyło, że mój dowódca kazał mi pewnego dnia zebrac sześćdziesiąt podwód z tej wsi i pojechać z nimi po deski do tartaku. Gdy przyszło do spisania tych podwód zdziwienie moje nie miało granic: było — cyfry te utkwiły mi w głowie — 37 Mickiewiczów i 11 Sienkiewiczów. Reszta, z małymi wyjątkami, nosiła nazwiska, z którymi spotykamy się na codzień w społeczeństwie polskim. Soltys, oporny i nieufny chłop białoruski, naciśnięty przezemnie przyznał niechętnie, że wieś była dawniej unicka i miała jakieś nadania królewskie.

Znawcy stosunków twierdzą, że podobne wsie spotykało się daleko poza Mińsk. Po traktacie ryskim zrobili bolszewicy wielkie wysiłki, by te ślady Rzpltej zatrzeć. Jeszcze w czasie spisu ludności, przeprowadzonego przez bolszewików w roku 1926, niespełna sto tysięcy ludzi na obszarze Białorusi sowieckiej podał się za Polaków, zeznając równocześnie, że mówią w domu po białorusku! Toteż bolszewicy wzięli się energicznie do czystki i wysiedlili ludność z pasa pogranicznego, na to wiorst głęboko. Wywieźli ją na Murmań czy Syberie.

Od czasu mego pobytu nad granicą mam żal do prof. Stan. Grabskiego, głównej spreżyny naszej delegacji w czasie rokowań pokojowych

w Rydze w r. 1920. Prof. Grabski dobrowolnie — sam mi to opowiadał — nie zażądał od bolszewików Mińszczyzny, która byłaby Sowiety oddały bez oporu.

Nie zapominajmy, że stan, który obserwowałem na Białorusi, stanowi bardzo odległy i mizerny ślad stosunków przedrozbiorowych. Półtora wieku konsekwentnych wysiłków rządów carskich zrobiło swoje*). Ale po śladach możemy wnioskować o stosunkach dawnych. Jeżeli w sto lat po rozbiorach na Litwie właściwej (kowieńskiej) wspomnienia Rzeczypospolitej panowały wszechwładnie; jeśli Wileńszczyzna, najwierniejsze z województw kresowych, była na drodze do ostatecznego zlania się z Rzeczypospolitą; jeśli na Białorusi zachowało się tyle elementu przywazanego do Rzeczypospolitej (nie mówię tu oczywiście o dworach i związanym z nimi elemencie polskim); jeśli mimo wysiłków Austrjaków (i naszej administracji) z połowa ludności Rusi Czerwonej garnęła się do Rzeczypospolitej; jeśli na Ukrainie spis bolszewicki z roku 1926 wykazał jeszcze 450,000 Polaków, w tym kilkanaście tysięcy Polaków mówiących w domu po ukraińsku — to możemy stąd wnioskować, jak daleko pod koniec XVIII wieku musiał być posunięty proces narastania wielkiego narodu na obszarach Rzeczypospolitej. Gdyby procesowi tego nie przerwały rozbiory, byłaby dziś Rzeczypospolita podobnie narodowo ukształtowana jak Francja, W. Brytania, Hiszpania, Rosja.

Słysze już stereotypowy zarzut: tak, ale był to proces polszczenia się nie-polskich obywateli Rzeczypospolitej, a nie powstawanie nowej wspólnoty narodowej.

To nieprawda. Należy stwierdzić z całym naciskiem, że jeśli można mówić o polszczeniu, to co najwyżej o językowym, gdyż poza tym wymiana dóbr psychicznych między elementami polskimi, litewskimi i ruskimi była powszechna, i nie daloby się dziś stwierdzić, jaki był wkład każdego z partnerów. Sama nawet mowa polska uległa silnym przekształceniom pod wpływem ruskim i litewskim. Szczególnie silny był wpływ Ukrainy na polską mowę literacką na przełomie wieków XVIII/XIX. Mieliśmy t. zw. »ukraińska« szkołę literacką (Goszczyński, Zaleski, Malczewski, Slowacki), która silnie wzbogaciła polską mowę o ruskie wyrażenia i zwroty. Sam Mickiewicz, jak wiadomo, napisał parę wierszy po litewsku.

*) Np. Chełmszczyzna, tak niedawno walcząca gorliwie w obronie Unii i tak bliska idei Rzpltej, ostatnio przywiązana była do cerkwi prawosławnej.

Jakże silnie przypomina to Mistrala, wielkiego poete naszych czasów piszącego po prowansalsku, który uważał się za Francuza. Z drugiej strony mowa ukraińska kształtowała się również pod silnym wpływem polszczyzny. Znaczący twierdzą, że połowa słów, używanych przez Polaków i Ukraińców, wspólna jest obu językom.

Słyszysz się głosy, uważające cerkiew grecko-katolicką za główną przeszkodę do zbliżenia polsko-ukraińskiego. Co za niezajomość dziejów! Ta cerkiew, największe może w dziejach Rzeczypospolitej osiągnięcie religijne i cywilizacyjne, była do połowy XIX wieku jednym z głównych narzędzi do kształtowania wielkiego narodu. Nasza wina, jeśli daliśmy tej cerkwi odejść w ostatnich latach tak daleko od idei Rzeczypospolitej. A i w tym najciemniejszym okresie zachował się w tej cerkwi odłam, z biskupem Chomyszynem na czele, dążący do współpracy z Polakami.

* * *

Powstawanie wielkiego narodu przebiega stadia typowe, czy chodziło o Rzym czy W. Brytanie czy Rzplta. Można ustalić pewne prawa i podpatrzeć pewne analogie. Przebieg asymilacji bywa początkowo wolny, w ostatnim stadium postępuje bardzo szybko. Mogliśmy to stwierdzić na własnej skórze na procesach germanizacyjnych na naszej granicy zachodniej. Procesy te weszły w naszych czasach, po wielu wiekach powolnych postępów, właśnie w ten końcowy okres gwałtownej finalizacji. Również powstawanie wielkiego narodu na obszarach Rzpltej było w chwili rozbiorów w stadium, w którym, po przejściu etapów powolnych, byłaby nastąpiła w XIX i XX wieku szybka finalizacja. Rozbiory proces ten w niektórych okolicach cofnęły, w innych (np. Wileńszczyzna) tylko zwolniły. Nasza jest rzeczą nawiązać do wielkiej przeszłości i snuć dalej nici, zadzierżgnięte przez naszych pra-ojców.

Wielki cel. Ogół Polaków trafnie dziś wyczuwa, że samo odzyskanie niepodległości nie wystarczy jako cel dla Narodu. Z celem takim, nie mając wizji jak nasze państwo ma wyglądać, szło poprzednie pokolenie i nie potrafiło uporać się z problemami niepodległego bytu. Tego błędu powtarzać nam nie wolno.

Nasze pokolenie ma już wystarczająco wyraźne wytyczne, jak urządzić Ojczyznę od wewnątrz. Ale nie rozgrzyzło jeszcze problemu położenia naszego w świecie. Jedno wie każdy rozsądny Polak napewno: niema na świecie miejsca dla Polski małej, ograniczonej do tych ziem, w których każdy chłop mówi polszczyzną zbliżoną do mowy literackiej. Niema na świecie miejsca dla Polski Curzona. Granice Rzpltej muszą objąć wielki naród. Inaczej zginiemy.

Utworzenie wielkiego narodu było naszym celem od XIV wieku. Byliśmy bliscy tego celu w chwili rozbiorów. Musimy podjąć na nowo dzieło naszych przodków. Praca to obliczona na wieki, toteż niedajmy się zrazić trudnościom chwili obecnej, temu, że wizja wielkiego narodu może się w obecnej chwili wydać niejednemu utopią. W obecnej chwili, po stu pięćdziesięciu latach rozbiorów, po dwudziestu latach naszych własnych błędów, w chwili gdy kraj nasz jest okupowany. Ale to, co dziś wydać się może utopią, stanowi naturalny ciąg naszych dziejów i w niedługim czasie wniknie w świadomość zbiorową Narodu.

Dojrzewanie wielkiego narodu w granicach Rzpltej trwać musi parę wieków. Postępować będzie stopniowo, w niektórych okresach szybko, w innych wolno. Bada zapewne chwile podobne do obecnej, w których wydawać się będzie, że wszystko stracone. Bada chwile zwątpienia, kiedy pojawia się defetyści, głoszący koncepcje Polski etnicznej. Ale idea Wielkiego Narodu musi wkońcu zwyciężyć poprostu dlatego, że stanowi konieczność naturalną, realizującą się od wieków.

Nawet po rozbiorach nie przestaliśmy budować Wielkiego Narodu, ale czyniliśmy to nieświadomie. Rzecz w tym, by w przyszłości czynić to świadomie. Jak każdy szanujący się naród musimy i my wyłonić organy polityczne i społeczne, które pilnowałyby stałego kursu. Każde pokolenie powinno wyłonić zespół ludzi, mających na oku nasz wielki cel i realizujących go konsekwentnie, nawiązując do wysiłków pokoleń poprzednich. Zespół ludzi, nie ulegających mirażom zmiennych koniunktur politycznych, ale dążących z uporem — nieraz wbrew wszystkim — po wytkniętej drodze.

Niema innego rozwiązania. Ci, którzy głoszą zasadę zbratania wszystkich Słowian nie rozumieją, że Rosja to Azja, a przyszłość Polski, misja Polski, posłannictwo Polski jest przeciw Azji. Tu nie może być kompromisów ani łzawych sentymentów. Los nam kazał warować między

Azja a Europa i żadnymi frazesami nie wykpiemy się od naszego przeznaczenia. Przeciagnąć Ruś do Europy i zespolić się z nią na dole i niedole — nie jakaś mechaniczna federacja, ale najgłębszym zespoleniem psychicznym jakie daje wspólnota narodowa — to warunek istnienia i dla Rusi i dla Polski. To warunek bytu i wielkości.

Mit Rzpltej. Z dziejów ostatniego tysiąclecia wynika jasno, że Rusi południowej powodziło się — czasem świetnie, czasem jako tako — tylko w oparciu o Rzplta. Krótki okres własnej państwowości, urozmaicony walkami z Polowcami, Chazarami, Jadźwingami itd., skończył się w pożodze najazdów tatarskich. Ruś rozkwita ponownie z chwila oparcia się o Rzplta. Epoka Chmielniczyny — tak przecież krótka — sprowadza potworną ruinę. Po rozbiórce Polski prowadzi Moskwa Ukrainę do katastrofy bolszewizmu, która wymiata z Ukrainy nie tylko całą jej elitę, ale i miliony chłopów, by stłumić ostatecznie wszelkie próby rozdmuchania ukraińskiej odrębności. Wreszcie ostatnie poczynania bolszewików naocznie dowodzą Ukraińcom, że tylko potężna Rzplta może na Wschodzie Europy zapewnić ład i pomyślność.

Z katastrofalnych wydarzeń lat ostatnich powinna wynikać przynajmniej ta korzyść, by Ruś rozumiała, że za wszelkie zapędy wrogie Polsce ona pierwsza płaci krwawy rachunek i że tylko we wzajemnym oparciu się o siebie leży nie tylko szczęśliwa przyszłość, ale poprostu możliwość istnienia w tej części Europy.

Sprawę ruska studjowałem w więzieniu lwowskim, w słynnych Brygidkach. Spotkałem tam Ukraińców wszelkich odcieni: od bojowców z O.U.N. i komunistów z K.P.Z.U. poprzez Rusinów przychylnie usposobionych do Polaków aż po narodowców polskich, o nazwiskach ruskich i rodzicach uczyszczających do cerkwi. Długo z wszystkimi gadałem: Zaprzyjaźniłem się ze »starostą« więziennym nacjonalistów ukraińskich i miałem wielki kłopot, gdy tenże zwrócił się do mnie z prośbą, by narodowcy polscy, przebywający wówczas w Brygidkach, poparli głodówkę Ukraińców. Przez kilka dni przeszkadzały mi w spaniu gorączkowe pukania Ukraińców, organizujących przez ściany swoją głodówkę. Przez kilka dni następnych rozbrzmiewały Brygidki nieludzkimi krzykami

karmionych sztucznie Ukraińców. Final był nieoczekiwany: umarł na zapalenie płuc, skutkiem wiania mleka do tchawicy przy sztucznym karmieniu, student, który w chwili przyścia do więzienia zachowywał się jak Polak i został dopiero na celi skaptowany do O.U.N.

W więzieniu w Siedlcach prowadziłem długie rozmowy z Ukraińcem, skazanym na dożywocie za rzekomy współdziałanie w zabójstwie min. Pierackiego. Ukraińca tego aresztowano na dwa tygodnie przed zabójstwem (był łącznikiem między O.U.N. w Krakowie i Czechosłowacji) i skazano na dożywocie za to, że mieszkał razem z fabrykantem bomby, która znaleziono na miejscu zamachu.

Dożywocie dla dwudziestoletniego młodzieńca — to dużo. Twardy to wyrok. Od takich wyroków rośnie morze nienawiści i zalega między nimi a nami. Nienawiści, u której podstaw leżą nasze i ich winy, ale której podżeganiem zajmują się od wieków nasi wrogowie.

Przystając z Ukraińcami miałem zawsze nieodparte wrażenie swojskości. Czulem, że to ludzie ulepieni z tej samej gliny co i my, krewniacy, spowinowaceni z nami pochodzeniem, dziejami i cywilizacją, bracia młodsi i z innej matki, bardziej wschodniej, ale z wspólnego pnia. Łączy nas krew wspólnie przelana nad rzeką Worskłą, pod Grunwaldem, Kluszyńcem i Chocimem, i ostatnio pod Kijowem. Dziela nas Żółte Wody i Beresteczko, Humań, rok 1918 i 1939. Dzieli nas moskiewski i pruski srebrnik. Dziela nas krzywdy prawdziwe i urojone, dziela nas ambicje obustronne, z których nasi wrogowie krzeszą iskry walki bratobójczej. Wiem, że nienawiść do nas nie wygaśnie u Ukraińców w obecnym pokoleniu. Może i nie w następnym. Jako starszym i rozważniejszym nie wolno nam się tym zniechęcać. Musimy budować cierpliwie gmach Rzpltej, aż nabierze takiego blasku, że i oni staną do tej budowy. Nie wszyscy staną od razu, ale to nie szkodzi. Gmach to ma być wiekiuisty i dźwigać się musi bez pośpiechu, w mozołę i poświęceniu. Przyjdzie dzień, że zreby jego wrosną w ludzkie dusze i mit wspólnej Rzpltej przycmi mit niepodległej Ukrainy. Chwila ta jeszcze daleka. Ale musimy wierzyć w jej przyście i nie zrażać się — budować.

Mit Rzpltej zapali wyobraźnię i porwie serca na tych bezmiernych przestrzeniach, na których niema miejsca dla małości.

CHLOPSKA DEMOKRACJA*)

W swej pięknej książce o Florjankach**) szkicuje Pietrkiewicz kilka scen zbiorowych, dających czytelnikom przedsmak floriańskiej demokracji. Demokracja ta nie ma nic wspólnego z demokracją Frontu Ludowego według wzorów francusko-hiszpańskich, z tłuszcza wyjaca po ulicach i podnosząca pięści ku niebu. Demokracja floriańska jest osiadła, uporządkowana, hierarchiczna. Trochę to jeszcze idzie nieskładnie, bardzo to prymitywne, ale jest wszystko czego trzeba zdrowej zbiorowości: silne poczucie wspólnoty i zbiorowej odpowiedzialności, urodzeni przywódcy o samorządnym autorytecie, głęboki nurt wewnętrzny, zdolny do gromadnego zapamiętania się i do eksplozji tłumnego czynu. Czego brak jeszcze Floriankom, to z pół wieku swobodnego praktykowania chlopskiej demokracji, bez wtracania się miejskich inteligentów.

Kto nie zasiadał w Radzie Gromadzkiej polskiej wsi, temu trudno wytworzyć sobie wyraźny obraz przyszłej polskiej demokracji, ten nie wyjdzie poza zaczerpnięte zagranicą i obce nam zupełnie wzory. Polska demokracja musi iść od dołu, od ziemi, potężna samorodna fala, musi brać swe formy i metody z najgłębszych właściwości Narodu. Doskonale podchwycił Pietrkiewicz »klimat« obrad floriańskich, gwałtowne wyładowanie cholerycznych polskich temperamentów, po którym — w atmosferze odprężenia — nadchodzi chwila jednomyślnego uchwały. Jakże inaczej obraduje gromada francuska czy angielska. Czy sposób floriański gorszy od zachodniego? Szkoda się nad tym głowić, bo tacy jesteśmy, jakimi nas Pan Bóg stworzył, i nikt nas nie odmieni. Podobnie do gromady floriańskiej obradował sejmik szlachecki i Sejm Walny.

*) Omówienie książki J. Pietrkiewicza pt. »Po chlopsku«, drukowane w »Myśli Polskiej« w Londynie, listopad 1941.

**) Nazwa wsi, której dzieciom poświęcona jest książka Pietrkiewicza.

W czasie rozkwitu tej naszej demokracji stworzyliśmy jedno z najpotężniejszych mocarstw Europy. Nie zmienimy gliny, z jakiej jesteśmy ulepieni. Ale im lepiej będziemy znali działanie naszego narodowego charakteru, im trafniej nauczymy się potęgować nasze zalety a zwalczać nasze wady, im dokładniej dostosujemy ustrój nasz do psychiki naszej, tym większych rzeczy dokonamy. W Polsce trzy czwarte ludzi mieszka na wsi, a z mieszczuchów, po odliczeniu Żydów, także większość bardzo niedawno z chłopa wyszła. Tylko demokracja idąca wzwyż od gromady chlopskiej może przekształcić Polskę w państwo wolnych ludzi.

Trudno dziwić się Floriankom, że tak u nich jeszcze z samorządem prymitywnie. Toż rządy carskie, a przed tym jeszcze rządy pańszczyżniane, robiły co mogły, by chłopu polskiemu utrudnić samorząd gromadzki. Lepiej było pod zaborem pruskim, ale i tu wpływ niemiecki ciężył silnie na psychice. Jedynie wieś małopolska może służyć za pole do obserwacji, jak wygląda samorząd polskiej wsi po kilkudziesięciu latach względnie swobodnego rozwoju i po wydaniu tak wielkich przywódców chlopskich, jakimi byli ks. Stojalowski i Witos.

Przez kilkanaście lat dane mi było uczestniczyć w obradach Rady Gromadzkiej małopolskiej wsi. Piękna to była demokracja. Zbieraliśmy się w izbie w wójta. Ławy dosunięte były do łóżek, wysoko spiętrzone pierzyny i poduszki służyły naszym plecom za oparcie. Ze ścian szklily się świątki, Matka Boska Kalwaryjska, Pan Jezus z Sercem, św. Bartłomiej, św. Anna. W sąsiedniej izbie wójtowa robiła masło. Za oknami padał deszcz lub śnieg, radni wchodzili i parowali. Bartek wójtów pokrecał knot od lampy. Bury kot mrucał na piecu. Rozmowa toczyła się o rzeczach potocznych, o cenach za węgiel, o niedawnym weselu, o podatkach. Ktoś wtracał wspomnienia z wojny. Gdy chwila dojrzała, zwracał się wójt do sekretarza. Ten wkładał okulary i czytał protokół. Potem szły sprawy za porządkiem. Najważniejsze co roku było posiedzenie budżetowe. Jak we Florjankach. Dym zmieszany z oparami ludzkimi wisiał w izbie i odbierał obradom kontury realizmu. Długo szła dyskusja, czy wstawić w szkole nowe futryny do okien. Radny stolarz zabierał głos jako rzeczoznawca. W pewnej chwili wolano gospodarza, wożącego księdza do szkoły, by wymusić na nim dwadzieścia złotych rocznej obniżki. Chłop nie chciał wyzbyć się wożenia, bo to i honor duży, ale ksiądz po lekcji zwykł jadać podwieczorek u nauczycielki i stąd dodatkowe pół godziny mitregi dla

koni i parobka. Wreszcie godzono się krakowskim targiem. Trudno było wyszacować, ile wpłynie w przyszłym roku za paszporty na świnie i cielęta. Podwójci zalegal z wpływami za paszporty. Nagle dyskusja się rozogniała, skakali sobie do oczu. Było paru chetnych na nocne stróżowanie, każdy miał w Radzie krewniaka, który za nim obstawał. Były kłopoty z pastwiskiem gminnym i polowaniem. Na zegarze śmigły wskazówki, godzina dziesiąta była za pasem. Wójtowa oplukala maślnicę i stała w drzwiach, wysoka i koścista, jak z gotyckiego ołtarza. Spory cichły, nabrzmiwała zgoda do uchwały. Potem ciężki powrót do domu, po rozmokłej glinie, przy latarce. Ale przyjemność krzepiła, że wieś się tak godnie rzadzi.

Potem przyszły złe czasy. Durni ludzie dali sobie podszeptać przez ludzi złych, że droga Narodu do bogactwa i potęgi prowadzi przez niedzę wsi. A niedzy nie dalo się inaczej wymusić, jak utrzymując ludzi w ciemności i pod batem. Zaczęło się konanie gromadzkiego samorządu. Na wsi małopolskiej wprowadzono gminę zbiorową, by mieć »swoich« suto płatnych ludzi dla trzymania chłopów za mordę. Gminy zbiorowe powykrawano nieraz jak najdziwaczniej, wbrew naturalnemu ciążeniu ludności, byle tylko urząd gminny ulokować w szczególnie posłusznej wsi, na którą starosta mógł wywrzeć skuteczny nacisk. Najlepiej nadawały się miejscowości z fabryką, państwową szkołą rzemiosł, spółdzielnią zależną od dostaw państwowych, z dużą liczbą zamieszkałych kolejarzy i t. p. Obrady gromadzkie i gminne zaczynały stawać się parodią. Wójt i sołtys wybierali współobywatele już tylko dla pozorów, w rzeczywistości wyznaczał go starosta. Ordynacje wyborcze do gminy i gromady obmyślono tak sztucznie, by chłop się w nich nie wyznał. Nadużycia przy wyborach stały się zjawiskiem powszednim. Starosta wyznaczał kandydatów na radnych, często ludzi pogardzanych przez wieś. Budżety układali po gminach płatni urzędnicy, zawieszani między wsią a miastem, odziemieni, baczni na skinienie z góry. Inspektor samorządowy w starostwie, komendant posterunku, nauczyciel, wzięli się pod rece i zdławili samodzielną wsi. Cóż po obradach, kiedy wiadomo z góry, że każda śmielsza inicjatywa zostanie stłamszona przez starostwo, że wyboru sołtysa czy wójta, o ile był człowiekiem samodzielnym, władze nie zatwierdza? Jak tu obradować, kiedy wśród wybrańców siedzą kreatury narzucone przez wrogię miasto, odporne wobec prawdziwego interesu wsi, strzygące uszami by

donieść, wyciągające łapę po judaszowy srebrnik za zdradę własnej gromady?

W smutnej Polsce ostatnich lat nie było chyba nic smutniejszego, niż konanie demokracji chłopskiej. Samochody ciężarowe gen. Składkowskiego z »zieloną« policją puszczały zawczasu w ruch karabiny maszynowe, jeśli chłop próbował bronić dawnych wolności.

* * *

Trzeba nam będzie zaczynać od początku.

Trzeba będzie odgrzebać spod popiołów poczucie gromadzkie tam, gdzie zapanowało zniechęcenie, niewiara w możliwość pozytywnej pracy zbiorowej, pewien nihilizm tak obcy duszy polskiej.

Na zawsze stać mi będzie przed oczyma rynek małego miasteczka w pamiętne dni września 1939. Wszystkie sklepy rozbite i zrabowane — przez cywilnych uchodźców — wśród nich snujący się bezradnie ich właściciele.

— Gdzie policja? — spytałem.

— Wyjechała pięć dni temu. Pan starosta też wyjechał.

— To dlaczego nie stworzycie milicji obywatelskiej, która by strzegła waszego dobytku?

Zapytany spojrział na mnie jak na warjata.

— Pan starosta nic nie kazał — odpowiedział po chwili. — Mógłby nas po tym pozamykać. —

Tak nisko upadło nasze społeczeństwo.

* * *

Trzeba będzie, by wieś nasza wyloniła ponownie swych przywódców, poczynając od najniższej komórki społecznej, gromady. Co najlepsi byli ostatnio przez nacisk policyjno-starościński odsunieni, o ile nie zamknięci. Wielu złamano. Wielu było zniechęconych i zwątpiałych. Słabsi zdemoralizowali się. Na czoło w wielu wypadkach wysunęły się szumowiny, podskakiwacze i lizusy.

Wylonienie przywódców w najniższych komórkach demokracji, zahartowanie im karków i wyszkolenie ich w obradach i w zbiorowym działaniu, wymaga lat. Dla wylonienia działaczy gromadzkich starczy kilku lat; im wyżej, tym praktyka musi być dłuższa. Demagogdy muszą

sie sami skompromitowac, a na to trzeba czasu. Wyborcy musza na wlasnej skórze i kieszeni wypraktykowac różnice miedzy krzykaczem a działaczem.

* * *

Trzeba bedzie w tragicznie zakłóconej polskiej wsi przywrócić naturalna hierarchie. Nie nastapi to wcześniej, nim dobiegna końca wielkie migracje i przesiedlenia powojenne oraz reformy rolne, nim nie wejdzie gruntownie w życie ustawa o zagrodach dziedzicznych. Posiadacze zagród dziedzicznych stanowic beda niewatpliwie trzon hierarchii chlopskiej. Obok nich do wielkiego glosu dopuścić należy malorolnych i bezrolnych, pracujacych na robotach publicznych lub w fabryce, którzy nie zdezerterowali do miasta, lecz zostali wierni rodzinnej wsi. Swoje miejsce w gromadzie znaleźc musza również pracownicy najemni w wiekszych gospodarstwach, awansowani do godności wykwalifikowanych sil fachowych. Dopiero, gdy uladzi sie ponownie hierarchia wsiowa, gdy rozkwitna autorytety, gdy gromada nabierze pewności sadu i działania, gdy utra sie metody i okrzepna formy — Polska wejdzie na droge demokracji.

Praktykowac ja musi chlopski syn już od wyrostka. Szkoła demokracji bedzie dla niego stowarzyszenie mlodzieży, spółdzielnia, gromada. Musi sie nauczyc ustepowac ze swego zdania na rzecz innych, sluchac bez przymusu, działac gromadnie, współzawodniczyc bez rozsadzania zbiorowości.

Pieknie napisal Pietrkiewicz: »A ci, którzy wtedy w Floriankach uchwała drobne gminne sprawy w najglebszym poszanowaniu czlowieczej sprawiedliwości i hierarchii, napewno wychowaja swych synów na polskich prezydentów, marszałków i ministrów. Tacy Ojczyzny nie zdradza i nie zepsuja.«

* * *

Ale od gromady do Ojczyzny droga daleka. Sercem przeskoczyc ja latwo, organizacja trudno. Po drodze najblizszy etap — to gmina. Trzeba bedzie gminy zbiorowe tak wykroic i poumieszczac, by utrafic w lokalne warunki, by ulatwic życie sie i zapoznanie z soba poszczególnych gromad. Musi wytworzyc sie opinia publiczna gminy, wpływajaca na sprawy gminne i na dobór gminnych dygnitarzy.

Trzeba bedzie odwieść starostów od wykrawania gmin przy zielonym biurku, pod taki szablon, by każda gmina miała te sama ilość mieszkańców czy te sama ilość gromad. Trzeba rozgladnac sie wśród wsi i znaleźc ich przyrodzona hierarchie. Ważne sa powody, dla których przewodza okolicy Florianki, a nie naprzyklad Borucin. Powody te siegaja nieraz gleboko w przeszłość. Należy je uszanowac. Zreszta wieś polska ma pewien naturalny podzial ponadgromadzki, którym jest podzial na parafie. Wieś parafialna skupia zazwyczaj dokola siebie wsie pomniejsze. Zaborcy i administracja p. Skladkowskiego krzywo patrzyli na parafie, w której glos ksiedza bywa wpływowy; wiedzieli, że każda parafia jest z soba zżyta i mogłaby stanowic fortece samorządu w obronie przed samowladza.

W Anglii county — odpowiednik naszego powiatu — dzieli sie na parish (parafie) — odpowiednik naszej gminy. Tam gdzie parafie sa zbyt male, należy szukac naturalnych ośrodków cieżenia zbiorowego. Takie sa prawidła zdrowej demokracji.

* * *

Nad gmina idzie powiat. Najwyższy to zapewne szczebel samorządu, który elita wsi ogarnac może umyslem bezpośrednio. Interesów województwa czy prowincji siega dopiero czlowiek bardziej ruchliwy niż osiadly chlop. Gospodarz wiejski nie siega wyżej powiatu. Do miasta powiatowego jeździ na jarmarki, tam ma sad, hipoteke i rejenta. To też powiaty dobrze wykrojone (i tu trzeba u nas duzo naprawic) bedzie stac z biegiem czasu na samorząd dostepny dla demokracji chlopskiej. Nie zaraz, dopiero gdy okrzepnie gromada i gmina. Ale niezadlugo. Samorząd powiatowy powinien byc dla przyszlych Witosów odskocznia w Rzeczpospolita. Głowa samorządu powiatowego powinna miec w przyszlej Polsce wielka pozycje, conajmniej równorzędna samemu panu starości z ostatnich lat. Ten gospodarz powiatu powinien byc czlowiekiem uzieniemym i wyroslym z demokracji ziemskiej, która go wyniesie; powinien byc wodzem powiatu, a zarazem jego przedstawicielem i oredownikiem. Ostatnio mieliśmy powiatów dwieście kilkadziesiat i posłów do Sejmu również z góra dwieście. Lecz zamiast, by każdy powiat wysylal swego wlasnego posła, kilka powiatów polaczonych w jeden okreg wyborczy wybieralo hurtem kilku posłów. Chytrze to bylo obmyślane, by chlop

nie mógł znac człowieka, na którego glosuje, by paru inteligentów zakonspirowanych w stolicy mogło narzucić chłopu swych kandydatów. U Anglików kraj cały podzielony jest na obwody wyborcze jednomandatuowe, o granicach od wieków niezmiennych. Taki obwód wybiera posła, którego wyborca zna jak własna kieszeń. Nie łatwo do parlamentu angielskiego przedostać się byle komu.

Gdy chłopska demokracja ogarnie gromadę, gminę i powiat, zawładnie państwem. Trzeba na to czasu i wysiłku. Bedzie wiele zawodów; bedzie kosztowało dużo cierpliwości. Starostów i policjantów trzeba bedzie siłą wstrzymywac od wtracania się w narastanie tej odziemnej demokracji. Ludzie, rozumiejacy potrzeby Polski, beda musieli wychowywac zarazem i te demokracje i przedstawicielei władzy, wytresowanych od lat kilkunastu do dławienia samorządu. Za wplywanie na wybór soltysa czy wójta bedzie się nakladalo kara dyscyplinarna na staroste. Za kruczki wyborcze policjant czy nauczyciel wyleca z posady.

Długo i ciężko wychowywac się bedzie ta demokracja. Potrzebna bedzie instytucja, czuwajaca nad prawidłowym rozwojem najniższych jej komórek. Szkoci maja taka instytucje — Konwencje Królewskich Gmin w Szkocji — która twierdzi o sobie, że jest najstarsza instytucja demokratyczna świata, kolebka demokracji. Takiej instytucji nam potrzeba. Niech czuwa nad chłopska demokracja w najtrudniejszym jej okresie, gdy na początek dorwa się wszędzie do władzy krzykacze. Bedzie dużo kwasów. Ale skoro wreszcie wieś przekisi się i wyklaruje, gdy rozkwitnie chłopski samorząd, żadna siła nie zmoże już w Polsce wolności.

KLUCZ DO PILSUDSKIEGO*)

Na okładce książki Mackiewicza śmierć grottgerowska wionie przez litewskie ostepy. Przez wszystkie strony książki przewija się Pilsudski zapatrzony w rok 1863. Wiecej to niż zapatrzony — to obsesja. Pilsudski studiuję powstanie, mówi o nim i pisze; przez całe życie zostanie powstańcem. Od Rogowa po Bezdany, to pierwsze jego powstanie. Od marszu na Kielce po Krzywoploty — to powstanie drugie. Wilno, Dźwińsk, Borysów, Kijów — toż to również nic innego niż powstanie, choć na skale setek tysięcy ludzi. Można jedna dywizja prowadzić wojnę regularną, ale można i armia prowadzić powstanie. Wreszcie ostatnie jego powstanie — to maj 1926. Pilsudski romantyk, Pilsudski powstaniec idzie oczyścić oblicze ukochanej Polski, idzie ja uzdrowić moralnie, dać jej silny rząd i wychować mężów stanu, godnych ją prowadzić na mocarstwowe szlaki. I tu, w zetknięciu się powstańca-romantyka z twardym realizmem życia, nastąpiło jakże tragiczne załamanie. Gdybyśmy stanęli na stanowisku, na którym Mackiewicz staje tylokrotnie w swej pracy, że Pilsudski był wielkim realista, znaleźlibyśmy klucz do potępienia go. Na szczęście Mackiewicz mylił się: Pilsudski, wielki charakter i patriota, do końca swego życia nie zglebił reguły codziennego życia, psychologii zjadacza chleba, arkanów administracji i gospodarki. Rzucił swą osobę na szalę, skupić dokola siebie »partie« powstańcza (a czymże innym była Pierwsza Brygada?), mierzyć siły na zamiary, pasować się z ryzykiem i przeznaczeniem — to była szkoła 1863 roku i w niej znajdował Pilsudski swe przyrodzone miejsce na tle dziejów Polski.

Czytając prace Mackiewicza zadajemy sobie zasadnicze pytanie: dlaczego Pilsudski-powstaniec znalazł się w P. P.S., a nie w ruchu naro-

*) Omówienie książki St. Mackiewicza pt. »Klucz do Pilsudskiego«, drukowane w »Walce« z sierpnia 1943 r.

dowym? Wyobraźnia nasza zaczyna grać: Pilsudski tworczy w Lidze Narodowej Frakcję Powstańcza . . . Walka Pilsudskiego z Dmowskim w ramach ruchu narodowego, walka romantyka z realista, człowieka, u którego działanie góruje nad myślą z człowiekiem, który poza myślenie właściwie nie wyszedł . . .

Czy Mackiewicz znalazł klucz do Pilsudskiego? Nie umniejszając w niczym wartości jego interesującej, a miejscami wręcz rewelacyjnej pracy, trzeba stwierdzić, że nie znalazł i zapewne nie znajdzie, a to z tej prostej przyczyny, że jest zakochany w swym bohaterze. Mackiewicz zakochany ma wszystkie sympatyczne przywary ludzi zakochanych: zalety swego bohatera wypukla, wady jego przypisuje innym lub — jak mówi trafne angielskie powiedzonko — »zagaduje precz« (talks away). O ile jednak klucz Mackiewicz do Pilsudskiego jest źle dobrany, o tyle kluczem Mackiewicz otwieramy na oścież polski socjalizm. Książka powinna raczej nosić nazwę »Klucza do P. P. S.« Polski socjalizm ukazuje nam się tu odbronzowiony zupełnie. Legenda o niepodległościowym — rzekomo stale — charakterze P. P. S. rozwiewa się. Pozostaje na placu P. P. S. jako jeden, nie zawsze najsilniejszy, z odłamów socjalizmu na ziemiach polskich; w tejże P. P. S. idea niepodległości jest raz na wozie, drugi raz pod wozem. Raczej należałoby powiedzieć, że Pilsudski, nie okazujący nigdy zainteresowania społeczną stroną socjalizmu, narzuca i forsuje w P. P. S. tendencję niepodległościową. Historia polskiego socjalizmu po rok 1914, to walka dwu nacjonalizmów, żydowskiego i polskiego, choć protagoniści obu tych nacjonalizmów sami sobie z tego może sprawy nie zdawali. Nie jest trafem, że szara eminencja pierwszych lat polskiego socjalizmu, Mendelsohn, redaktor »Przedświtu« oraz »promotor i twórca« programu, uchwalonego na zjeździe założycielskim P. P. S. w Paryżu w r. 1892 — umarł jako syjonista. Nie jest trafem, że każda porażka Pilsudskiego wyraża się odrazu we wzroście wpływów żydowskich, że po ustapieniu Pilsudskiego z C. K. R. w r. 1905 wchodzi do tegoż C. K. R. trzech Żydów i dwu Polaków, a po wykluczeniu Pilsudskiego z partii w r. 1906 C. K. R. składa się z pięciu Żydów i jednego tylko Polaka. Marksizmu Pilsudski nie lubi ani nie rozumie. »Oj wy rabiny, rabiny« mówi do swych towarzyszy, gdy rozpoczynają doktrynerskie spory. Nawzajem przygniatająca większość socjalistów-Żydów nie rozumie zapędów niepodległościowych Pilsudskiego, aczkolwiek Żydzi nie po-

pełnia nigdy tego błędu, by odżydzić zupełnie najbliższe otoczenie Pilsudskiego.

W świetle faktów i dokumentów zestawionych przez Mackiewicz rozumujemy, że socjalizm był dla Pilsudskiego prosto terenem rekrutacyjnym, na którym werbował potrzebnych sobie do akcji ludzi. Słusznie podkreśla jednak Mackiewicz, że socjalistyczny stempel, którym znaczona była robota Pilsudskiego, utrudnił mu ją ogromnie i stał się między innymi powodem jednego z największych zawodów życiowych Pilsudskiego, a mianowicie zupełnej bierności Królestwa w r. 1914, w chwili kiedy Pilsudski liczył na powstanie w Kraju, opróżnionym wówczas w dużej mierze przez wojska rosyjskie. Wyobraźmy sobie Pilsudskiego w tym czasie na czele brygady rekrutowanej wśród narodowców, popartej przez Kościół i warstwy t. zw. historyczne (do których zaliczyć należy i chłopów). Analogia z powstaniem Kościuszki jest tu zupełna; i w jednym i w drugim wypadku radykalizm społeczny nie poruszył do boju mas, a zniechęcił elementy tradycyjnie patryjotyczne.

Siegamy tu głęboko tragedii życiowej Pilsudskiego, a mianowicie jego niemożności zaprzegnienia do akcji powstańczej dwu instytucyj tradycyjnie niepodległościowych: Kościoła i Narodu. Niewatpliwie cała akcja Pilsudskiego po rok 1914 rozgrywała się na marginesie Narodu, nie potrafiła całości tego Narodu nie tylko porwać, ale nawet zainteresować. Pilsudski, jak się to wielkim ludziom zdarza, urodził się o jedno pokolenie za późno czy za wcześnie. W poprzedzającym go pokoleniu Kościół i Naród poszły do powstania i wyczerpały się straszliwie; w pokoleniu Pilsudskiego na powstańcza drogę iść już nie chcieli, stali się wyznawcami realizmu. Toteż Pilsudski musiał w swej akcji werbunkowej sięgnąć do sfer świeżych, nietradycyjnych i niehistorycznych, nie obciążonych wspomnieniami Sybiru i mogilami powstańców; czyniąc to stanął jednak w konflikcie z wielkimi źródłami narodowych i religijnych imponderabiliów. Kościoła i Narodu nie można było wówczas pociągnąć do zbrojnego działania, ale nie można było zbrojnie działać i wbrew nim. Romantyzm Pilsudskiego rozmiął się z realizmem jego pokolenia.

Od końca kampanii wrześniowej 1939 rozpoczęło się dla Narodu polskiego nowe powstanie. Trzeźwi cudzoziemcy kiwają głowami i mówią, że to szaleństwo. Ze to zbiorowe samobójstwo. Niedwuznacznie dają nam do poznania, że wyżej cenia od nas narody, które wydały i

Hache i Mussert'a i Degrelle'a i Quisling'a. To samo mówiono nam i w r. 1794 i 1830 i 1863. Powstanie na ziemiach polskich, o ileż krwawsze od wszystkich poprzednich, trwa już rok czwarty. Znowu śmierć grotgerowska wionie z kosa nad polami i lasami Rzeczypospolitej. Trzeba »contra spem sperare«, trzeba mierzyć siły na zamiary. Romantyzm panuje znów niepodzielnie, a na jego tle urasta postać Pilsudskiego. Idzie w zapomnienie Pilsudski, nieudolnie borykający się po maju 1926 z realiami polskiej rzeczywistości. Na pierwszy plan wysuwa się Pilsudski z przed r. 1914. Świeci przykładem ofiarności i pobudza do naśladownictwa. Historia się powtarza, w szeregach socjalistów wrze znów, choć skrzetnie maskowana, walka między wrogami i obrońcami niepodległości. Mamy znów agentury i »orientację«. W chwilach, gdy milknie grzechot salw egzekucyjnych, Naród wsluchany w przeszłość i wpatrzony w przyszłość mozoli się nad odwieczną zagadkę swej tragedii. W chwilach takich pożyteczny jest każdy klucz, który ułatwi nam odczytowanie naszego przeznaczenia.

JAKIE ZAŁOŻENIA PLANOWANIA GOSPODARCZEGO SA JUŻ DZIS WSPOLNE OGOŁOWI POLAKÓW?*)

Dyskusje na temat planowania, prowadzone w świecie technicznym, mają przebieg charakterystyczny: zaczyna się od omawiania spraw technicznych danej gałęzi przemysłu, i wtedy wszystko idzie jak z płatka. Z kolei nasuwają się zagadnienia organizacyjne — kto ma być właścicielem, kto ma finansować, kto ma zarządzać, kto ma planować — i z tą chwilą dyskusja utyka. Kończy się na tym, że inżynierowie, ciężko wdychając, zwracają się po radę do ekonomistów. Jest coś wzruszającego w zaufaniu, z jakim inżynier odnosi się do ekonomisty. Od ekonomisty oczekuje odpowiedzi, ile węgla rocznie spala Polacy w swych piecach; na ile samolotów stac będzie nasza armja; do kogo po wojnie beda należały nasze huty; a nawet — ile kapeluszy i pończoch zużyją nasze panie. Zapytywani o tak drażliwe sprawy ekonomiści wdychają jeszcze ciężiej i odmawiają odpowiedzi na to, czy Huta Bankowa w Dąbrowie należeć będzie po tej wojnie po staremu do kapitalistów francuskich czy też do wspólnoty pracowników; odmawiają również zabrania głosu w sporze między chłopem a kolchozem. Ekonomista jest tylko fachowcem, podobnie jak inżynier, od pewnych dziedzin gospodarki; tam gdzie zaczynają wchodzić w grę względy społeczne, polityczne, ba nawet religijne, specjaliści ci milkną, względnie przenoszą się do kawiarni i biora dalszy udział w dyskusji w charakterze zwykłych śmiertelników. Musimy zdać sobie sprawę, że najgłębsze założenia planowania, zarys całości przyszłej gospodarki, ustala ogół Narodu w sposób skomplikowany i mało dotychczas zbadany, lecz w każdym razie poza-fachowy. W ewolucji poglądów i założeń bierze udział cały Naród: i robotnicy w związkach zawodowych i socjologowie

*) Odczyt, wygłoszony w dn. 2. czerwca 1943 r. w Ognisku Polskim w Londynie, staraniem Komisji Odczytowej Stowarzyszenia Techników.

i ekonomiści i prasa i parlament i praczki w maglu. Powoli następuje krystalizacja założeń i całkowanie poglądów; w pewnej chwili sprawa przestaje być sporna dla ogółu obywateli. Równa się to decyzji.

Dopiero, gdy zapadnie taka decyzja, gdy Naród rozstrzygnie na rzecz chłopa czy kolchozu, kapitalisty czy wspólnoty, dopiero wtedy otwiera się pole do popisu dla fachowców, ekonomistów, prawników i inżynierów. (Coś tak jak sztab na wojnie: Naczelny Wódz, wiedziony intuicją, powziął decyzje — fachowcy z wszystkich oddziałów Sztabu rozpracowują ją.) Naród decyduje założenia, specjaliści planują szczegóły.

W narodzie zdawna uporządkowanym i urządzonym, jakim jest np. naród brytyjski, panuje zgodność poglądów na przeważająca większość założeń życia narodowego. I lord i górnik zgadzają się tu na ustrój parlamentarny i wolność słowa i obwarowanie fortecy, jaka jest home brytyjski; obaj jednak przywiązani są do króla i nie lubią krzyków na ulicy; obaj wiedzą, że życie i gospodarka idą naprzód i muszą się przekształcać w myśl wymagań epoki. Mówiąc językiem matematyków, nie więcej niż różniczka poglądów dzieli w W. Brytanii markiza od robotnika, czy też w Stanach Zjednoczonych Rockefellera od farmera z Middle-Westu. O te nieznaczne, krańcowe różnice poglądów toczą się boje polityczne i społeczne. Z chwila, gdy Naród uzgodni jedną z różnic i sto procent zgody wydaje się bliskie, życie niesie różnice następne.

Naród polski, odradzając się w r. 1918 po długiej niewoli, był w położeniu zasadniczo odmiennym. Wchodziliśmy w życie państwowe i społeczne niedojrzali i niedoświadczeni. Uzgodnionych założeń mieliśmy mało; żmudnym wysiłkiem kształtowaliśmy praktykę codziennego życia państwowego i poraliśmy się z zasadniczymi problemami. Początkowo w każdej ważniejszej sprawie byliśmy rozdwojeni. Czytano w kwestji Pragi czy Kijowa, reformy rolnej czy związków zawodowych, Polacy dzielili się automatycznie na wrogie oboje. Gorący spór wywołała nawet korona na głowie naszego herbowego orla.

Od tego czasu minęło ćwierć wieku. Na pozór wydaje się, że skłócenie jesteśmy niemniej niż dawniej. Z całym optymizmem śmiemy jednak twierdzić, że to tylko pozór. Mimo niesłychanych wysiłków i wyrafinowanej organizacji czynników, które nas klóca, pod powierzchnią życia narodowego toczy się proces uzgadniania poglądów. Różnice, dzielące nas we wszystkich podstawowych sprawach, zmniejszyły się znacznie; w

wielu kwestjach stoimy już bardzo blisko ogólnej zgody. Czy to będzie sprawa ukraińska czy czeska, nasz stosunek do Niemiec i Rosji, problemy ustroju politycznego czy gospodarczego, problem silnej władzy, sprawa żydowska, problem ziemi i fabryki — zgoda jest już niedaleko. Kto ma oczy nie przesloniete bielmem zaciekłości partyjnej, może dostrzec jej dojrzewanie. Tyle jednak przesłoniętych dymnych puszcanych jest stale w życie polskie, tyle działa między nami czynników zainteresowanych w zaciemnianiu i maceniu, że trzeba mocno wyteżać wzrok, by nie prze-gapić tych cennych objawów ideowego jednoczenia się Polaków.

W dzisiejszym odczycie zamierzam zająć się objawami zacierania się dzielących nas dotąd różnic w poglądach na ustrój społeczno-gospodarczy; objawy te znalazły dobitny wyraz w ogłoszonym ubiegłej jesieni w »Robotniku« t. zw. Programie Polski Ludowej, wypracowanym w Kraju przez socjalistów i ludowców. Dokola tego Programu unoszą się opary zaciętrzewienia, w których — jak dotąd — udało się obu stronom, i zwolennikom i przeciwnikom tego Programu, ukryć doniosły fakt, że stanowi on przełomowy krok w kierunku zgody poglądów na nasz przyszły ustrój gospodarczy. Te z pośród założeń tego Programu, które są wspólne wszystkim ważniejszym kierunkom politycznym w Polsce, mogą się już dziś stać wystarczającą podstawą dla planowania naszej powojennej gospodarki.

Dłaczego Program ten uważam za przełomowy? Gdyż poraz pierwszy od swego powstania, polski socjalizm porzucił fundamentalną zasadę marksizmu, wyrażoną w hasle »wspólnego wyczerpania wszystkich środków wytwórczości«, i przeszedł na zasadę uwłaszczenia mas, zasadę katolicką, przyjętą od szeregu lat przez polski ruch narodowy, a w stosunku do ziemi i przez ruch ludowy.

Fakt, że P. P. S. wypowiada się dziś za uwłaszczeniem mas, jest rewelacyjny, toteż, by nie być głośliwym, cytuję teksty. Tezę marksizmu ujęła w doskonałym skrócie rezolucja programowa brytyjskiej Labour Party z r. 1932, mówiąca o »wspólnym wyczerpaniu środków produkcji i rozdzielaniu«. Jest to teza wspólna wszelkim marksistom, bez względu na ich odchylenia ideologiczne. Porównajmy ją teraz z tezami rezolucji ogłoszonej na łamach »Robotnika.« Przepraszam, że muszę ponudzić Państwa nieco cytatami, ale uważam je za niezbędne dla dobrego zrozumienia rzeczy.

Pierwszy cytat odnosi się do ziemi. Program »Robotnika« głosi: »Podstawa ustroju rolnego będzie samodzielny warsztat rolny, stanowiący własność osiadłego na nim rolnika i obrabiany rekami rodziny.«

Drugi cytat: »Drobna wytwórczość przemysłowa pozostanie w zasadzie w prywatnym władaniu.«

Trzeci cytat: »Budowa nowego ustroju oprze się przede wszystkim na wolnym, samodzielnym i uspołecznionym człowieku.« Jak widzimy, wolność ta i samodzielność oparte być mają na własnych warsztatach rolnych i przemysłowych. Jest to myśl zasadnicza, stanowiąca podstawę demokracji w polityce i gospodarce. Prawo do własnego warsztatu stanowi jedno z zasadniczych praw człowieka i obywatela, warunkiem jego wolności politycznej i godności osobistej, warunkiem prawidłowego życia codziennego, rozwoju osobowości ludzkiej i zdrowia psychicznego. Jeśli mamy na wschodzie Europy wygrać walkę ideową z bolszewizmem, który jest zaprzeczeniem wszystkich tych wartości, to musimy przeciwstawić komunizmowi inną ideę społeczną, atrakcyjniejszą, bo lepiej dopasowaną do psychiki i tradycji społeczeństw chłopskich Miedzymorza bałtycko-czarno-śroziemnomorskiego. Ta idea może być jedynie upowszechnienie własności. Wywłaszczeniu każdego na rzecz komuny — musimy przeciwstawić uwłaszczenie mas.

Z Programu Polski Ludowej wynika, że socjaliści w Kraju zrozumieli tę zasadniczą prawdę i zdecydowali się porzucić założenia marksizmu. Fakt to niezmiernie pomyślny, ale tak niespodziewany, że wole zacytować jeszcze parę ustępów, byśmy sobie naprawdę zdali sprawę z zaszłego przewrotu poglądów. A więc, jak czytamy dalej w Programie Polski Ludowej, »upaństwowienie będzie zastosowane przede wszystkim do tych działów życia gospodarczego, które mają związek z obronnością państwa lub mają charakter kluczowy dla całości gospodarki społecznej«. Upaństwowiona ma być również produkcja siły elektrycznej. Jak widzimy więc, upaństwowienie ma mieć zasięg ściśle ograniczony. Niech mi będzie wolno zacytować w tym miejscu zdanie, wyjęte z Encykliki »Quadragesimo Anno« z roku 1931. Zdanie to brzmi: »Sluszne jest żądanie zastrzeżenia pewnych rodzajów dóbr dla państwa, ponieważ posiadanie tych dóbr daje taką potęgę, że jej ze względu na bezpieczeństwo państwa nie można prywatnym osobom zostawiać.«

Tłumacz i komentator tej Encykliki, ks. Piwowarczyk, dodał od siebie

w r. 1931: »Zastrzeżenie pewnych rodzajów dóbr dla państwa« oznacza »socjalizację« względnie »nacionalizację« pewnych gałęzi wytwórczości gospodarczej. Jest znamienne, że Papież uważa ją w pewnych wypadkach za wskazaną, a usprawiedliwia ją względem na »bezpieczeństwo państwa«. Wypowiedziane tu zdanie Papieża pokrywa się z poglądem, ogólnie przyjętym w katolickich szkołach społecznych«.

Zbieżność Programu Polski Ludowej z tym zdaniem Papieża jest uderzająca.

Jeszcze jeden cytat z tego Programu: »Aparat bankowo-kredytowy przejdzie w całości w ręce organizacji społecznej, samorządu terytorjalnego i państwa«. Jak wiadomo, jest to czołowy postulat katolicki, powtarzany do znudzenia przez wszystkich ekonomistów katolickich od czasów św. Tomasza z Akwinu.

Wreszcie cytat ostatni: »Organizacja życia gospodarczego oprze się na samorządzie gospodarczym, reprezentującym poszczególne gałęzie życia gospodarczego, a skupiającym w swych szeregach wszystkie zainteresowane elementy społeczne, a więc robotników, pracowników umysłowych oraz właścicieli zakładów przemysłowych, handlowych i rolnych (państwowych, uspołecznionych i prywatnych)«. Wymieniono tu trzy rodzaje posiadania — państwowe, uspołecznione i prywatne. Ci z Państwa, którzy czytali ma »Gospodarkę Narodową«, pamiętają zapewne, że używaliśmy tam tego samego podziału form posiadania na państwowe, uspołecznione i prywatne, i dosłownie tej samej nomenklatury. W tym miejscu przyda się może wyjaśnienie, że mówiąc o uspołecznieniu własności, mamy na myśli nie tylko upaństwowienie, lecz również posiadanie przez samorzady terytorjalne, korporacje zawodowe, spółdzielnie pracy, wspólnoty przemysłowe, itp. Upaństwowienie jest tylko jedną z form uspołecznienia.

Ostatni cytat, mówiący o »organizacji życia gospodarczego«, wprowadza inny jeszcze element zbieżności między Programem Polski Ludowej a programem katolickim. Elementem tym — to korporacjonizm. Pozwolle sobie przypomnieć, że korporacjonizm głosi konieczność organizacji zawodowej społeczeństwa i uważa ją za podstawę prawidłowego funkcjonowania gospodarki. Poza sferami katolickimi koncepcje analogiczna głoszą od lat w państwach łacińskich syndykaliści, a i w Anglii istniał przez parę dziesiątków lat ruch zwany Guild Socialism, będący fak-

tycznie korporacjonizmem. Jeden z liderów tego ruchu, Cole, jest obecnie obecnie przewodniczącym słynnej Fabian Society. Zwolennicy tej koncepcji uważają, że gospodarki nie można wprawdzie puścić samopas, ale że bezpośrednia interwencja państwa w poszczególne warsztaty gospodarcze przekracza jego możliwości, toteż gospodarce należy ująć w organizacje samorządowe, obejmujące zarówno właścicieli jak pracowników. Píše o nich Papież Pius XI w Encyklice »Quadragesimo Anno«. Organizacje takie, obojętne czy nazwiemy je syndykatami czy korporacjami czy samorządem gospodarczym, stanowią pośrednie ogniwo między państwem a indywidualnym wytwórcą. Za ich pośrednictwem następuje włączenie prywatnych warsztatów w całość gospodarki.

Nie chce zwiększać ilości cytata, ale wystarczy przeglądnać uważnie program ogłoszony w »Robotniku« by się przekonać, że jest on ortodoksyjnie korporacyjny. Unika on jedynie samego wyrazu korporacjonizm, w którego dyskredytowanie pewni ludzie zainwestowali w Polsce dużo wysiłku. Nie boją się już jednak tego wyrazu socjaliści francuscy, jak wynika z cytowanej przez p. Ciolkosza na łamach »Nowej Polski« deklaracji z 13. XI. 1940 roku, w której dosłownie powiedziano: »Nie trzeba wybierać pomiędzy syndykalizmem a korporacjonizmem. Oba są równie nieodzowne.«

Niech mi będzie teraz wolno podsumować założenia, wspólne już dziś socjalistom, ludowcom, narodowcom i działaczom katolickim. Oto one:

- 1) Uwłaszczenie mas.
- 2) Uspolecznienie kredytu.
- 3) Uspolecznienie wielkiej wytwórczości.
- 4) Korporacjonizm, pod nazwą samorządu gospodarczego.
- 5) Kontrola i opieka państwa nad całością życia gospodarczego, sprawowana za pośrednictwem samorządu gospodarczego.
- 6) Planowanie gospodarki.

Nie jest to jeszcze wszystko, ale jest to już bardzo dużo, jak na kłótliwych rzekomo Polaków.

Wspomniałem przed chwilą o ks. Piwowarczyku, tłumaczu i komentatorze Encykliki »Quadragesimo Anno«. Ks. Piwowarczyk, syn chłopski z pod Krakowa, był redaktorem »Głosu Narodu« i działaczem Chrześcijańskiej Demokracji. Należał do Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Tłumacz Encykliki »Quadragesimo Anno« ukuł on termin uwłaszcze-

nie mas. Próbowałem bezskutecznie przetłumaczyć ten termin na francuski i angielski. Widocznie jest on szczególnie rodzimy polski i przetłumaczyć się nie da.

* * *

Nie zamykajmy jednak oczu na fakt, że nie na wszystkich punktach panuje zgoda. Panuje ona odnośnie milionów małych warsztatów rolnych i przemysłowych; panuje odnośnie banków i wielkich przedsiębiorstw oraz organizacji gospodarki. Brak jeszcze zgody co do średnich warsztatów rolnych i przemysłowych. Autorzy Programu Polski Ludowej, choć zmuszeni do porzucenia marksizmu w stosunku do mas, nie odważyli się pójść o krok dalej i porzucić go — a przynajmniej przyznać się do porzucenia go — w stosunku do warsztatów średnich rozmiarów, stanowiących własność czy to ludzi o wyższym wykształceniu zawodowym czy też zdolniejszych jednostek, startujących od drobnej wytwórczości. O tej dziedzinie, tak ważnej dla równowagi gospodarczej i społecznej Narodu (nie będę tu powtarzał oczywistych argumentów o znaczeniu stanu średniego), Program Polski Ludowej milczy, choć z niektórych jego ustępów widac, że luka między drobną a największą wytwórczością zostawiono może celowo niedomkniętą. Pamięamy przemówienie programowe min. Kwapińskiego, wygłoszone w grudniu ub. roku na Walnym Zebraniu Stow. Techn. W przemówieniu tym p. Minister nie oświadczył inżynierom, że w przyszłej Polsce wykluczeni będą od posiadania własnych warsztatów. W »Biuletynie« Stow. Techn. ogłoszono tekst tego przemówienia. Szczególnie zainteresować nas może następujący ustęp:

»W planowej gospodarce różnica będzie dla kierownictwa technicznego tylko w drobnych warsztatach, gdzie właściciel-kapitalista jest jednocześnie kierownikiem przedsiębiorstwa. Dla średnich i większych przedsiębiorstw i ich dyrekcji technicznej sytuacja się zmienia tylko o tyle, że państwo będzie w ważniejszych wypadkach wskazywało rozmiary i kierunek produkcji.

»Przy takich zasadach gospodarki kierowanej, organizacja odbudowy przemysłu zostawia szerokie pole dla inicjatywy prywatnej. W rekach polskich inżynierów i techników będzie los tej odbudowy, będzie skuteczność realizacji celu, do którego wszyscy dążymy.«

Tak powiedział pan Minister. Nie chce przypuszczać, że mówiacz chciał być celowo niejasny. Wolno nam słowa jego interpretować, jako

rozciągnięcie prawa do uwłaszczenia się również i na inżynierów. Zostawiając bowiem drobna wytwórczość przemysłowa w rękach prywatnych, powinniśmy iść konsekwentnie o krok dalej i pozwolić zdolnej jednostce rozwinąć swój warsztat do pewnych racjonalnych rozmiarów. Pośrednie ogniwo między drobnym wytwórcą a kolosem fabrycznym jest konieczne i powinno zostać w rękach prywatnych. W kapitalistycznym społeczeństwie dzwonkiem alarmowym, że warsztat przechodzi z kategorii średnich do wielkich, było zazwyczaj przekształcenie go na spółkę akcyjną. Na konieczność uspołecznienia tego rodzaju przedsiębiorstw zgadzają się wszystkie wielkie ruchy polityczne w Polsce.

Analogicznie ma się rzecz z rolnictwem. Program Polski Ludowej mówi o uwłaszczeniu wielkich obszarów ziemskich na równi z wywłaszczeniem »dojrzałych do uspołecznienia« przedsiębiorstw przemysłowych. I ta teza zgodna jest z tezami, głoszonymi od wielu lat przez ruch narodowy. Byliśmy i jesteśmy przeciwnikami latyfundiów, ale zarazem byliśmy i jesteśmy zwolennikami zachowania gospodarstw średnich rozmiarów, stanowiących warsztaty osobistej pracy dla rolników ze średnim i wyższym wykształceniem, których Sekcja rozwija się ostatnio tak pomyślnie w Stow. Techników. Program Polski Ludowej uznaje też potrzebę istnienia takich gospodarstw, ale chciałby je widzieć wyłącznie w rękach samorządów i państwa. Na tym punkcie niema zgody i rzecz te rozstrzygnie Kraj. Jednakże ważne jest byśmy sobie zdali sprawę, jak dalece i w tej sprawie ciężar gatunkowy dzielącej Polaków różnicy zmalał w ostatnim dziesięcioleciu. Ilość ziemi, pozostającej w r. 1939 w rękach wiekszej własności, nie przekraczała kilkunastu procent użytków rolnych, znawcy natomiast problemu, bez względu na nastawienie polityczne, zgodni są co do tego, że co najmniej 10% ziemi utrzymać należy w formie folwarków hodowlanych, nasiennych, doświadczalnych itd. Jak widzimy, do rozparcelowania zostaje już tylko kilka procent naszej ziemi, co ani w przybliżeniu nie zaspokoi głodu ziemi polskiego chłopca, toteż rozwiązania przeludnienia wsi należy szukać w przesiedleniu milionów polskich chłopów do Prus Wschodnich, na Pomorze i Śląsk. Jak już wspomniałem, panuje ogólna zgoda co do konieczności utrzymania około 10% ziemi w formie folwarków. Zachodzi jednak spór, czy te folwarki mają ulec uspołecznieniu czy też pozostać we władaniu prywatnym. Sprawa jest istotna, ale daleka od takiej wagi, którą mogła przesłonić zgoda na

zasadniczy zarobek naszej przyszłej gospodarki. Toteż wystrzegajmy się ludzi i czynników, które usiłują robić ze sprawy rolnej taran, rozbijający nasze społeczeństwo.

Niedomówiony w Programie Polski Ludowej jest również problem kupiectwa. Powiedziano tam tylko, że »organizacja wymiany oprze się w przyszłym ustroju przede wszystkim na spółdzielczości.« Przede wszystkim, t. zn. nie wyłącznie. Znac i tu pewien odwrót od ortodoksyjnego marksizmu, dla którego nie mogło być w tej sprawie ustępstw. Powierzenie wymiany częściowo spółdzielczości, a częściowo wolnej inicjatywie, tak jak to widzimy obecnie w społeczeństwie brytyjskim, ma swe dobre strony, gdyż konkurencja spółdzielczości powstrzymuje kupców od nadmiernych zysków, a konkurencja kupiectwa nie dopuszcza, by spółdzielczość się biurokratyzowała. Jeśli chodzi o Polskę, trwałym wytworem obecnej katastrofy będzie polski stan kupiecki, który na skutek wytworzonej w Kraju rzeczywistości w szybkim tempie narasta. To nowe kupiectwo dołączy do pięknie rozwiniętego kupiectwa naszych Ziemi Zachodnich i razem stworzą siłę społeczną, której rola w gospodarce narodowej powinna być poważna i dodatnia. Program, ogłoszony w »Robotniku«, nie wyłącza takiej możliwości, ale należy się liczyć z tym, że te same siły, które nie chcą dopuścić do uwłaszczenia się stanu średniego, będą zaciekle zwalczały kupiectwo. I w tej sprawie rozstrzygnie Kraj.

Zrekapitułujmy me dotychczasowe wywody. Wynika z nich, że panuje jeszcze wprawdzie różnica zdań co do uwłaszczenia jednostek o większym wykształceniu i inicjatywie, ale że w odniesieniu do mas chłopskich i robotniczych decyzja Narodu już zapadła, i to w sensie uwłaszczenia mas w warsztaty rolne i przemysłowe, przy równoczesnym uspołecznieniu kredytu i kluczowych gałęzi produkcji oraz przy korporacyjnej, samorządowej organizacji gospodarki. O ile wolno w takich sprawach używać oceny kwantytatywnej, uzgodniliśmy już 90% założeń naszego planowania. Jest to tak dużo, że byłoby ślepotą niewybaczalną, gdybyśmy mieli stać nadal na stanowisku, że klóćmy się wszyscy ze wszystkimi o wszystko.

A jest wiele czynników, i z prawej i z lewej strony, które starają się zapobiec temu, byśmy nie przejrzieli i każą nam uważać nadal, że Naród polski przedzielony jest na pół barykada własni społecznej. Czynniki te, od chwili opublikowania Programu Polski Ludowej, prowadzi zaciekle

walke o to, by prawda o zasadniczym uzgodnieniu założeń polskiej gospodarki nie ujawniła się. Wysuwane są różne argumenty, których krótki przegląd wydaje mi się tu niezbędny.

A więc pierwszy walny argument, że wycofanie się z marksizmu stanowi dla socjalistów tylko podstęp, coś w rodzaju bolszewickiego NEP' u lub zniesienia Kominternu. Przypominam, że NEP — Nowaja Ekonomiczeskaja Politika — była podrywka bolszewików, obliczona na to, by wciągnąć do Sowietów kapitał zagraniczny i stworzyć sobie pewien etap pośredni, »pieredyszke«, w trudach budowy komunizmu. NEP odnosił się głównie do handlu i przemysłu, ale i w stosunku do ziemi bolszewicy zastosowali dwa etapy: pierwszy, to uwłaszczenie chłopów przez parcelację; drugi, to wywłaszczenie ich na rzecz kolchozów i sowchozów. Otóż insynuuje się dziś szeroko, że program obecny naszych socjalistów ma dokładnie to samo na celu: uśpienie uwagi społeczeństwa i doprowadzenie go, poprzez pośrednie stadium uwłaszczenia mas, do całkowitego wywłaszczenia wszelkich środków produkcji, zgodnie z założeniami Marksa. Najpierw uwłaszczyć, później wywłaszczyć.

Czy ten argument — nazwijmy go pokrótce argumentem polskiego NEP'u — jest słuszny? Odpowiedź musi wypaść uspokajająco dla każdego, kto obserwuje zachodząca już od szeregu lat ewolucję w obozie socjalistycznym, i to ewolucję na skalę całej drugiej międzynarodówki, a nie tylko samej P.P.S. U podstaw tej ewolucji leży niewątpliwie głębokie rozczarowanie wynikami pierwszej wielkiej realizacji marksizmu, dokonanej na obszarze Rosji. Duży wpływ wywarły również doktryny społeczne katolickie, przesaczające się skutecznie w masy robotnicze. Nie będę tu czytelnika nużył długą retrospektywą, sięgnę tylko wstecz do roku bodajże 1933, kiedy to ukazała się książka przywódcy belgijskich socjalistów de Man'a pt. (o ile dobrze pamiętam): »Psychologia Socjalizmu.« De Man rozprawił się tam druzgocąco z marksizmem i wysunął akcenty, bardzo zbliżone do katolickich założeń społecznych. Szczególnie uderzające było w książce de Man'a jego przychylnie nastawienie do osiągnięć społecznych Średniowiecza, rzecz tak niespodziewana pod piórem socjalisty. Książka de Man'a została przetłumaczona na język polski przez jednego z naszych socjalistów, zdaje się że przez Grossa, w r. 1936 czy 1937. Tłumaczenie tej pracy na polskie miało sens głębszy, niż tylko rewizjonizm w stosunku do marksizmu, gdyż w tym samym czasie, bo w

lutym 1937, na kongresie P.P.S. w Radomiu zaznaczyły się prądy, w których socjaliści widzą rodowód ideowy obecnego swego programu. Wniosek z tego oczywisty i krzepiący, że nie mamy tu do czynienia z posunięciem taktycznym, ale z głęboką i trwałą ewolucją poglądów. Ze ewolucja ta nie jest ograniczona tylko do socjalizmu polskiego, niech o tym świadczy program obecny socjalizmu francuskiego, skomentowany przez p. Ciolkosza w marcowym numerze »Nowej Polski.« Okazuje się, że socjaliści francuscy w szeregu swych enuncjacji, na przestrzeni ostatnich trzech lat, poszli dokładnie po tej samej drodze, po jakiej od czasu zjazdu radomskiego idzie P.P.S. W praktyce Francuzi zaszli nawet dalej, gdyż istnieje już u nich ścisła współpraca między związkami zawodowymi socjalistycznymi i chrześcijańskimi. W wydanej wspólnie odezwie czytamy zdanie (cytowałem je już raz), które powinno stanowić motto wszelkich ruchów robotniczych świata. Zdanie to brzmi: »Nie trzeba wybierać pomiędzy syndykalizmem a korporacjonizmem. Oba są równie nieodzowne.« W innej znów deklaracji, z początku roku 1942, znajdujemy założenia niezmiernie podobne, jak to stwierdza p. Ciolkosz, do programu radomskiego P.P.S. oraz do Programu Polski Ludowej. Deklaracja francuska zaczyna od stwierdzenia zbieżności ruchów zawodowych socjalistycznego i chrześcijańskiego, a podstawy ustroju widzi również w upowszechnieniu własności przy uspołecznieniu kredytu i wielkiego kapitału. I Francuzi, podobnie jak Program Polski Ludowej, zostawiają sprawę uwłaszczenia stanu średniego niedomówioną. Niech mi będzie wolno zacytować szczególnie znamienity ustęp z tej deklaracji; będzie to już naprawdę cytatem ostatni. Brzmi on tak: »Republika francuska będzie socjalistyczna. Upaństwowione zostaną trusty, banki, towarzystwa ubezpieczeń, transport, zakłady użyteczności publicznej, górnictwo, wszystkie przemysły surowcowe, własność ziemską do liczby hektarów, która zostanie określona w przyszłości, zakłady zatrudniające robotników powyżej liczby, która zostanie określona w przyszłości, albo przekraczające pewną granicę produkcji, która zostanie określona w przyszłości, wielkie domy handlowe itd.«

Jak widzimy, zasada uwłaszczenia mas obowiązuje tu w pełni. Zależy od oznaczenia liczby hektarów i ilości robotników w prywatnym warsztacie, granice własności indywidualnej obejmą również stan średni lub go wyklucza. Sprawa ta pozostaje otwarta.

Także i w pierwszomajowej odezwie francuskich związków zawodowych z r. 1942 zabierają wspólnie głos związkowcy z ruchu klasowego i chrześcijańskiego. P. Ciolkosz wyraża przekonanie, że dokonano się faktyczne zjednoczenie dwóch kierunków francuskiego ruchu zawodowego, które przetrwa czasy okupacji.

Czyż nie warto zrobić dużego wysiłku, by to samo nastąpiło i w Polsce?

Tyle Francuzi. Należy podkreślić, że również i brytyjski minister spraw wewnętrznych Herbert Morrison, w jednym ze swych ostatnich przemówień, zdecydowanie odciął się od generalnego upaństwowienia wszystkich środków produkcji. Obecny program Labour Party obejmuje upaństwowienie czterech kluczowych działów gospodarki, przy zachowaniu wszędzie indziej własności prywatnej.

Tak więc argument NEP'u wydaje się odpadać. Nawrócenie marksistów jest chyba szczere. Licząc się z tym przeciwnicy reform społecznych przygotowali argumenty inne. A więc powiada się, że wysunięcie hasła upaństwowienia kredytu i wielkiej wytwórczości szkodzi nam niezmiernie w oczach kapitalistów anglosaskich. Mówi się, że Ameryka idzie na prawo, że wielki kapitał przeciwny reformom Roosevelta robi postępy polityczne i będzie urządził świat po wojnie. Daje się do poznania, że podobnie jak po roku 1918 należy puścić w pacht poszczególne galezie naszej gospodarki poszczególnym koncernom kapitalistycznym; leży w tym jedyna jakoby możliwość pozyskania wpływów politycznych świata kapitalistycznego dla sprawy polskich granic, oraz pozyskania kapitałów zagranicznych dla odbudowy naszej gospodarki.

Polemika z tym argumentem jest łatwa i efektowna, ale zabralaby nam nadmiernie dużo czasu. Wystarczy może wskazać na fakt, jak skwapliwie międzynarodowy kapitał pchał się po poprzedniej wojnie do Sowietów, ile udzielił im kredytów oraz pomocy w ludziach, planach i maszynach. Jak widzimy świat ten, o ile po tej wojnie zachowa nadal swą ekspansję międzynarodową, patrzy tylko na to czy business jest zyskowny, a nie na założenia ustroju, z którym wchodzi w interesy. Zdrowa i społecznie scharmonizowana polska gospodarka będzie zapewne bardziej atrakcyjna dla obcego kapitału niż karykaturalny nasz kapitalizm ostatniego dwudziestolecia z jego Skarbofermem i Zyrardowem, Harrimanem i Prudentialem.

W pewnych sferach odbywa się gremialne rozdzieranie szat na sam dźwięk słowa wywłaszczenie, użytego w Programie Polski Ludowej dwukrotnie: raz w stosunku do »wielkich obszarów ziemskich«, drugi raz w stosunku do »dojrzałych do upaństwowienia przedsiębiorstw przemysłowych.« Lamentuje się po kawiarniach i salonach na temat tego wywłaszczenia, bo to przecież — panie dobrodziej — bolszewizm.

Myśle, że w sferach inżynierskich słowo wywłaszczenie budzi mniejszą grozę. Większość z nas już wywłaszczała dla celów dobra ogólnego: wywłaszczaliśmy przy budowie dróg i przy regulacji rzek, wywłaszczaliśmy dla celów kolejowych i urbanistycznych, wywłaszczaliśmy pod lotniska i pod linje wysokiego napięcia, pod zapory wodne, pod fabryki przemysłu wojennego, pod szkoły i pod szpitale. Zaniedbaliśmy wywłaszczyć optantów niemieckich i niemieckich przemysłowców i dotychczas nie możemy tego odżalować. Wywłaszczanie (byłoby tylko słusznie wynagrodzone, a o tym Program Polski Ludowej niestety milczy), jest dziś jednym z elementów polityki państwowej, przed którym nie cofa się żadne społeczeństwo. Katolickie pojęcie własności — a do niego świat nawraca w coraz szybszym tempie, nie jest przywilejem lecz obowiązkiem społecznym; dobro ogółu jest i w tym względzie wyższe od praw jednostki. Ratunek naszej cywilizacji przed bolszewizmem nie leży w kurczowym trzymaniu się wszelkich, najbardziej nawet schorzałych form własności, ale w przywróceniu własności jej założeń społecznych, w zapewnieniu jej godziwego rozdziału i jej prawidłowego przesuwania się, z pokolenia na pokolenie, w najodpowiedniejsze rece. Tam, gdzie skutkiem wieków spalonego rozwoju nastąpiła wadliwa koncentracja własności, wywłaszczenie stanowi konieczną korektywę ustroju. Parafrazując znane słowa Churchilla można powiedzieć, że nigdy uwłaszczenie tyłu ludzi nie wymagało wywłaszczenia tak niewielu.

Przed takim wywłaszczeniem, ale ograniczonym do latyfundiów i skoncentrowanego kapitału bankowego i przemysłowego, nie cofa się żaden z wielkich polskich ruchów ideowych, mimo skutecznych środków intrygi i macenia, którymi dysponuje jeszcze tych niewielu wybranych a zagrożonych.

Rozłóżmy zresztą sprawiedliwie światła i cienie. Nietylko z prawej, ale i z lewej strony robi się co może, by przesłonić i storpedować fakt, że Naród polski finalizuje uzgadnianie swego ustroju. Jak wspomniałem, w

Programie Polski Ludowej obok wielu rzeczy, które idą po linii poglądów narodowych i katolickich, znajduje się szereg niedomówień, znajdują się również rzeczy sporne, o których normalna droga ustawodawcza zadecyduje całe społeczeństwo po odzyskaniu niepodległości. Jest jednak w tym Programie jeden punkt niedopuszczalny, gdyż usiłującej drogą emigracyjnych dekretów, a następnie siłą faktu dokonanego w chwili odzyskania niepodległości, przekazać wszystkie większe gospodarstwa rolne w ręce jakichś samozwańców — a może też mianowanych z Londynu — »gminnych i powiatowych komitetów reformy rolnej.« W procedurze takiej utonęłoby nie tylko poczucie prawa i uległoby zagładzie cenne wartości gospodarcze — przelalaby się również krew w walce bratobójczej. Byłoby rzeczywiście niewybaczalne, byśmy mieli iść na tym punkcie za wzorami, pamiętnymi z naszych ziem wschodnich w roku 1918 i 1939. Byłoby to tym bardziej niewybaczalne, że przelew krwi, nieunikniony może czasem w społeczeństwie beznadziejnie rozdartym, byłby oczywistym szaleństwem w chwili, gdy jesteśmy już tak bliscy uzgodnienia naszych poglądów. Toteż z największą troską wspominam w tym miejscu o zdaniu, którym wydawca angielskiego wydania Programu Polski Ludowej uważał za stosowne opatrzyć ten Program. Zdanie to, dziś już słusznie osławione, brzmi: »Demokratyczna koncentracja przygotowuje zbrojne powstanie przeciw okupantowi oraz dla decydującej walki przeciw jakimkolwiek reakcyjnym elementom w Narodzie.«

Wojna domowa, jakże zbedna w chwili, gdy jesteśmy tak bliscy zgody, skrwawilaby do reszty nasz umęczony Kraj i wydalaby go na łup wschodniego zaborcy. Zapobiegniemy jej organizując świadomie zgodę, wylawiając z oparów zakłamania i frazeologii to, co już naprawdę wspólne wszystkim Polakom i opierając na tych wspólnych założeniach plan przyszłej naszej gospodarki.

Kraj słusznie oczekuje od nas, że mając wszelkie możliwości spokojnej pracy wykonamy roboty wstępne i przygotowujemy elementy do szybkiej decyzji Kraju w chwili, gdy nie będzie już czasu na dyskusje i planowanie, gdyż życie wolać będzie o czyny. Rzecz prosta, plan gospodarczy wówczas tylko będzie miał wartość, jeśli będzie do przyjęcia dla ogółu, jeśli żaden z ruchów masowych i wielkich odłamów myśli publicznej nie wystąpi przeciw jego wykonaniu. Ten wielki wysiłek uzgodnienia założeń i zbudowania na nich planu tym bardziej możemy wykonać na wychodź-

ctwie, że znamy elementy woli Kraju. Nie lekajmy się tego, że są to sprawy t. zw. popularnie »polityczne,« a raczej stańmy na stanowisku, że to, co przestało być sporne, przestało tym samym być polityczne. Ograniczmy się do spraw bezspornych, ale nie uchylajmy się od wysiłku i od narażenia się tym, którzy pragną, by między Polakami wszystko pozostało sporne i by fundamenty naszego Narodu pozostały nadal zachwiane i podmyte.

Wielu ludzi, znających dokładnie stosunki na naszej emigracji, uważa, że w dziedzinie planowania Stowarzyszenie Techników ma do odegrania rolę pionierską, w której nikt go nie zastąpi. Praca to nie polityczna, ale fachowa i dlatego uważam, że Stow. Techn. stanowi forum, na którym wolno o tej pracy mówić i należy ją prowadzić.

Niech Stowarzyszenie nasze odważy się uczynić to, co jest obecnie w życiu polskim najważniejsze: zebrać elementy zgody i ufundować na nich plan lepszej przyszłości.

ADEPT HIRAMA*)

Ksawery Pruszyński bardzo na czasie przypomniał, że pieczęć, która na początku swej Insurekcji pieczętował się Kościuszko, wyobrażała — miast tradycyjnego Orła i Pogoni — »Świątynie Hiram.« Coraz liczniejsi w naszej gnijącej emigracji adepci Hiram uciechali się zapewne niemało, widząc w poprzek całej strony urzędowego organu Rządu i Wojska (»Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza« z dn. 24. marca 1944) tłusty napis: »Pod znakiem Świątyni Hiram.« Niejeden z tych adeptów zrozumiał może ten napis jako zielony sygnał, że tor wolny i można przestać się konspirować. Podobnie myślał i Kościuszko w początkach Insurekcji, póki zacofanie zabobonnych (wciąż jeszcze na rzymsko) Polaków nie zmusiło go do wycofania ze swej pieczęci nowomodnej »Świątyni« i zastąpienia jej staroświeckimi godłami Polski i Litwy.

Skąd się wzięła ta »świątynia« na pieczęci Naczelnika? Chcąc na to odpowiedzieć nie musimy się cofać aż do założenia »Masonii w Polsce« za Augusta II, wystarczy sięgnąć do dokumentów »Zakonu« Illuminatów**), domniemanego reżysera Wielkiej Rewolucji francusko-polskiej, która, poczęta w r. 1788 równocześnie i nad Sekwana i nad Wisłą, dobiegała swego szóstego roku trwania w chwili przysięgi Naczelnika

*) Drukowane w zbiorowym wydawnictwie pt. »Drogi Pokolenia«, Londyn, kwiecień 1944.

W myśl legendy Hiram był budowniczym świątyni Salomona. Dokola tej budowy oraz śmierci Hiram osnutych jest wiele obrzędów masonskich. Rytuał przyjęcia do jednego ze stopni masonskich rozgrywa się dokola katafalku, na którym symbolicznie spoczywają zwłoki Hiram.

**) »Zakon« ten założony został w r. 1776 przez Adama Weissshaupta, Niemca, prof. uniwersytetu w Ingolstadtzie w Bawarii, jedna z najwybitniejszych postaci XVIII wieku. »Zakon« zorganizowany był jako superkonspiracja, mająca przeniknąć masonerie i kierować nią. Istnieją poważne poszlaki historyczne, że »Zakon« ten reżyserował Rewolucję francuską oraz jej odpowiednik — Sejm Czteroletni w Polsce.

nika na Rynku krakowskim. Otóż jedenaście lat wcześniej, w dn. 11. stycznia 1783, Weissshaupt pisał do bar. Zwack'a, jednego z najgłębiej wtajemniczonych Illuminatów: »Mam pomysł zawiązania Konfederacji Łóż Polskich, nie specjalnie poto, by ja wprowadzić do naszego Illuminizmu, lecz poprostu w ramach Wolnomularstwa, by ustanowić system Łóż Skonfederowanych, wybrać z nich następnie najlepszych ludzi, uprzedzić Scisła Obserwe i zniszczyć ją. Napisz jaknajprędzej do Warszawy, że znasz w Monachium i w kilku innych miastach szereg Łóż, gotowych do skonfederowania się z nimi na warunkach następujących: (1) zadowolą się trzema pierwszymi stopniami; (2) każda Loża będzie miała swobodę w nadaniu sobie takich Stopni Wyższych, jakie zechce; (3) każda Loża będzie niezależna od wszelkiej innej przynajmniej na tyle, na ile Loże niemieckie niezależne są od Łóż polskich; (4) związek między nimi utrzymywany będzie tylko drogą korespondencji i odwiedzin Braci. Jeśli uzyskamy ten punkt, to wszystko czego nam trzeba; reszta zostawcie mnie.

»Filon został już uprzedzony, by przygotował do tego nasze Loże reńskie i dolno-saskie. Nie zwlekajcie ani dnia . . . Poślij do Warszawy manifest, który powinien natychmiast obieć po Lożach. Konfederacja będzie napewno liczna . . . Skoro tylko otrzymasz odpowiedź, przyslij mi ją; nie trac ani chwili. Najważniejsza rzecz dla nas, to ustanowienie Masonerii Eklektycznej; tylko tego nam trzeba. Nie mówcie nic w Warszawie o naszym Zakonie . . .«*)

Dla wyjaśnienia dodajmy, że Filon to bar. Knigge, druga wówczas po Weissshauptcie persona wśród Illuminatów; koncepcja, która Weissshaupt zamierza narzucić lożom polskim, podobnie jak narzucił ją już uprzednio masonerii niemieckiej, polega na tym, by najniższe trzy stopnie zachowały zwykły charakter masonski, natomiast by wyższe stopnie wiazały się z Zakonem Illuminatów. W osiem dni później pisze Knigge do Zwack'a: »Ten projekt tyczący Polski jest majstersztykiem. Posłałem już Spartacusowi (t. zn. Weissshauptowi, uwaga moja) mój projekt pisma, mającego obiegać Loże.«

*) Wszystkie cytowane w niniejszym artykule wypowiedzi Illuminatów zaczerpnięte są z archiwów »Zakonu«, skonfiskowanych po jego rozwiązaniu i opublikowanych przez rząd bawarski. Autentyczność tych dokumentów nie była nigdy przez Illuminatów kwestjonowana.

Szczegółów dalszych nie znamy, wiemy tylko z późniejszego zapisku Zwack'a, że »Areopag« Illuminatów zawarł traktat ścisłego przymierza z Lożą Narodowa Polski. »Illuminacja« masonerii francuskiej przypada na lata 1786/7. Nic więc dziwnego, że w r. 1788 następuje równoczesny start rewolucji we Francji i w Polsce, a to przez zwołanie Stanów Generalnych we Francji i przekształcenie (wbrew konstytucji) Sejmu polskiego w Sejm nieustający.

W ostatnim dziesięcioleciu przed obecną wojną ustalilo się w kołach, badających wpływ związków tajnych na dzieje Polski, przekonanie, że gdyby Polska nie dała się użyć w latach 1788/94 jako narzędzie masonerii dla stworzenia ogniska wrzenia na Wschodzie Europy i gdyby Konstytucja Trzeciego Maja — a następnie Insurekcja Kościuszki — nie były stworzyły dywersyj, odciągających siły zbrojne trzech mocarstw od interwencji przeciw Francji, to nie byłoby doszło do dwu ostatnich rozbiorów; Rzeczpospolita doczekałaby się wojen napoleońskich, uporządkowałaby swe wewnętrzne stosunki i zachowała niepodległość.

Polska z r. 1788 była silnie zaawansowana na drodze reform, zapoczątkowanych ćwierć wieku wcześniej, bezpośrednio po śmierci Augusta III Sasa, przez Czartoryskich. Liberum veto, zniesione już w r. 1764 przez Czartoryskich drogą stałego skonfederowania Sejmów, zostało wprawdzie dopuszczone ponownie w następnym roku na skutek nacisku Rosji, nie powtórzyło się jednak nigdy więcej w praktyce; krzewiła się oświata, rozwijał się przemysł, krzepło mieszczaństwo, reorganizowało wojsko; last but not least Rosja przeciwna była dalszym rozbiorom Polski pro prostu dlatego, by nie dzielić się nią z nikim. Z dwu genialnych rozbiorców, Fryderyka i Katarzyny, jeden leżał już w grobie; jeszcze parę lat cierpliwości i byłaby się Rzeczpospolita doczekała mniej groźnych dla siebie carów, słabego Pawła i »oświeconego« romantyka Aleksandra. Jedyna linia polityczna, która rokowała wówczas Rzeczypospolitej niepodległość i potęgę, to była linia organicznego rozwoju bez awantur, linia wolnej ewolucji konstytucyjnej, tradycyjnego Sejmu sześciomiesięcznego co dwa lata, pracy i nauki.

Tego wymagał interes Narodu, lecz odwrotne były instrukcje, które z zagranicy otrzymywali polscy adepci Hiram. Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają na szczegółową analizę niepoważnej imprezy Czteroletniej, która odciążyła militarnie Jakobinów francuskich, a Rzeczpospolita

doprowadziła automatycznie do drugiego rozbioru. O rzeczach tych pisano już nieraz; ja sam wygłosiłem na ten temat w r. 1939 odczyt w Warszawie, wydrukowany następnie w »Prosto z Mostu.« Ograniczę się tu do przypomnienia, że pracami Sejmu Czteroletniego kierował masoński zespół, którego jedna z głównych spreżyn był międzynarodowy agent (zapewne Illuminat) Piattoli, sekretarz króla Stanisława Augusta. Słynne reformy tego Sejmu (a zbyt ambitne reformy stanowią, jak wiadomo, klasyczny sposób sabotażu) choć na oko efektowne, były tak niedostosowane do rzeczywistości, że zostały na papierze, jak np. całkowicie przerastająca nasze ówczesne możliwości uchwała o stutysiecznej armii, w malej tylko części zrealizowana, uchwalona z takim rozgłosem chyba tylko dla sprowokowania sąsiadów do zbrojnej interwencji i rozbioru.

Sama Konstytucja Trzeciego Maja uchwalono przez zaskoczenie, przez sekretnie zwołaną mniejszość Izby Poselskiej, po odczytaniu sfalszowanych depeesz zagranicznych. Sprowadza się ona w gruncie rzeczy do trzech reform: zniesienia liberum veto, dziedzicznego tronu dla dynastii saskiej i rzekomego ulżenia doli chłopów. Jeśli przypatrzyc się im zbliska, słynne te reformy redukują się do czczych słów. Zaczniemy od reformy, znoszącej zrywanie Sejmów. Jak już wspomniałem, nie stosowano weta faktycznie od ćwierci wieku, a formalne jego zniesienie było tylko osobistym wyzwaniem rzuconym Katarzynie, jako »gwarantce« polskiej konstytucji. Reforma druga: przeciwko dziedzicznemu powołaniu dynastii saskiej na tron polski wypowiedziała się tuż przed Trzecim Majem większość sejmików, a ponadto król saski oświadczył, że tronu dziedzicznego nie przyjmie, uchwała była więc niepoważna, szczególnie wobec faktu, że sejmiki, odrzucając dziedziczość, zgodziły się jednak na wybór króla saskiego na następcę Stanisława Augusta jeszcze za jego życia, *vivente rege*, co byłoby rozwiązało sprawę madrze, bo w ramach polskiej tradycji ustrojowej, nie prowokując ani polskiego ogółu ani sąsiadów. Jeśli wreszcie chodzi o chłopów polskich, to papierowy frazes o »wzięciu ich pod opiekę prawa« w niczym nie zmienił ich doli, natomiast przyznanie wolności chłopom, zbiegającym do Polski z państw ościennych, miało posmak szczególnie prowokujący i samo musiało już doprowadzić do zbrojnej interwencji sąsiadów.

Ani jedna z uchwał trzecio-majowych nie była życiowa, to też nai

jedna nie weszła w życie. Realna i brzemienne w skutki była w tej imprezie tylko jej synchronizacja z wypadkami w Francji, w czym widzimy mistrzowska reke »areopagów« Hiram. Na wiosnę 1791 Ludwik XVI jest już faktycznie więźniem i monarchiczna Europa szykuje się do krucjaty przeciw Francji. Trzeci Maj i spowodowane nim następstwa grzebia Polaków, lecz ułatwiają położenie Jakobinów. Armie zaborców wycofuja się z pół Francji, bo musza gasić pożar nad Wisłą. Następuje rozbiór Rzeczypospolitej.

Skoro dywersja udala się tak dobrze raz, to czemuż nie spróbować jej po raz drugi, tym bardziej, że został jeszcze niezależny skrawek Polski, z którego ten nienawistny (dla adeptów Hiram) papistowski naród mógłby ponownie wystartować do niepodległego bytu? Dwie pieczenie — dywersja na korzyść rewolucji francuskiej oraz zniszczenie katolickiego narodu — były do upieczenia na jednym ogniu, toteż w r. 1793 podpalacze zabrali się znów żwawo do roboty. Jak pisze Aleksander Kraushaar, historyk niepodważany boć i Żyd i mason i pozytywista warszawski, już na rok przed wybuchem Insurekcji kościuszkowskiej opowiadano sobie w Paryżu w łóżach jakobińskich datę przyszłego polskiego powstania oraz nazwiska jego wojskowych i cywilnych przywódców, Kościuszki i Kollataja, rezydujących tymczasem w Lipsku i Dreźnie pod opieką Illuminatów... dolnosaskich. Ks. Barruel, autor słynnego dzieła o kulisach rewolucji francuskiej, cytując mowę Cambona, skarbnika rządów rewolucyjnych, w której tenże stwierdził, że jakobińska Francja wydała przeszło sześćdziesiąt milionów na wsparcie dla »braci« nadwiślańskich. Pieniądz to na ówczesne stosunki niemący, toteż jacyś adepci przygotowujących Insurekcję działali sprawnie. W pogodny marcowy poranek 1794 roku Naród zaskoczono powstaniem, zorganizowanym za obce pieniądze i pod obcą inspiracją, podobnie jak zaskoczono go, o trzy lata wcześniej, Konstytucja majowa. Reżyseria była ta sama i aktorzy w dużej mierze ci sami, tyle że już śmielej sobie poczynający, exemplum Świątynia Hiram na pieczęci ubranego w kuse francuskie ubranko Naczelnika. Polacy tradycyjnie nie lubią, gdy ich traktować jako »naród idiotów«, zaskakiwać i wodzić za nos. Podobnie zresztą wówczas jak i dziś ogromna większość Polaków uważa, że pod auspicjami Hiram zbuduje się mniej i gorzej, niż pod auspicjami Chrystusa. Deistyczna, odbiegająca od utartych chrześcijańskich formuł przysięga Kościuszki na Rynku krakowskim

(nie mówiąc już o jakobińskiej mowie na ratuszu) nie mogły też wzbudzić zaufania. Cała wogóle koncepcja powstania, narzucona Kościuszcze z zagranicy, nie pasowała do polskiej rzeczywistości. Rozumiemy kłopoty Naczelnika: powiedziano mu zagranicą, że trzeba koniecznie ruszyć chłopów. Ale jak się do tego brnąć, skoro — jak wykazały późniejsze dzieje — jeszcze w trzy czwarte wieku później, w czasie powstania styczniowego, chłop polski nie będzie, niestety, objęty świadomością przynależności do Narodu? Oczywiście nie winimy o to chłopów, w całej pełni współczujemy jego niedoli, cała wina za taki tragiczny stan rzeczy spada na szlachtę, lecz tym niemniej fakt zostaje faktem, że w czasach Kościuszki polski chłop nie miał świadomości przynależności do Narodu. Toteż dziwiłem się zawsze, skąd Naczelnik wziął te garść chętnych Paradebauerów, póki w samych Raclawicach, na wiosnę r. 1939, z ust miejscowych nie usłyszałem prawdziwego przebiegu zdarzeń, tak jak go sobie przekazują z ojca na syna pokolenia tubylców. A więc na sasiadującym z Raclawicami folwarku siedział sobie pan Śląski, adept Hiram i komisarz Insurekcji na powiat miechowski. Imc Pan Śląski zebrał grupę okolicznych chłopów, zachęcił do bicia Moskali i poczęstował wódką. Zgodnie z planem nadciągnął Kościuszko i rozpoczęła się bitwa. Od stanowisk polskich w dół w stronę Raclawic (a raczej Janowiczek) ciągnął się las (dziś nieistniejący); niedaleko skraju tego lasu zajęła pozycję bateria moskiewska; kosynierów (kowale w tych czasach byli również dworscy, więc przekucie kos odbyło się bezpłatnie) przeprowadzono lasem i z odległości paruset kroków puszczono z boku na niespodziewających się tego Moskali. Taki przebieg wypadków wydaje się o tyle prawdopodobny, że jak wiadomo ani kosynierzy ani Bartosz Głowacki wybitniejszej roli w dalszej Insurekcji nie odegrali i dalsi chłopcy do nich nie dołączyli. Wszystko razem przypomina jakieś dożynki spalskie z czasów sanacyjnych czy banderie Krakusów na przyjęcie cesarza Franciszka Józefa. Ten sam typ Paradebauera, tyle że podbechtanego do mordowania swoich, znalazł nieco później swego klasycznego wyraziciela w Jakóbie Szeli, którego dwie skrajne wersje były ostatnio w obiegu: jedna z »Wesela« Wyspiańskiego jako krwawego upiora, druga Uniwersytetu z Gaci jako chłopskiego herosa na użytek młodzieży z »Wici«. Ci sami poczciwcy, którzy oburzają się na »bronzowanie« Szeli, weźmą mi napewno za złe »odbronzowanie« kosynierów raclawickich i powiedzą, że nie należy

roziewac tak »pedagogicznej« legendy*). W rzeczywistości Raclawice przyniosły więcej szkody niż pożytku, gdyż zagnanie kosynierów z powrotem do pańszczyzny, odebranie ziemi rodzinie Bartosza itp. więcej zepsuło krwi i rozjatrzyło, niż przyniosła pożytku legenda o białej sukmanie. Jeszcze dziesięć lat temu wszystkie jady psychiczne, pozostałe po melodramacie raclawickim, znalazły upust w powieści Kruczkowskiego pt. »Pawie Pióra,« która cieszy się wielkimi względami propagandy bolszewickiej.

Bilans Insurekcji kościuszkowskiej przedstawia się więc bardzo niewesoło. Raclawice w niczym nie poprawiły losu chłopów, ani poprawy tego losu nie przyspieszyły, a tylko zatruly atmosferę na sto lat. Wogóle całe to powstanie, zrodzone w cieniu Świątyni Hiram, idzie od początku z lewej nogi, by skończyć tragicznym wydzwiekiem słów »Finis Poloniae«, nie wypowiedzianych przez Naczelnika pod Maciejowicami. Jako znaczny epizod powstania figuruje samosad na ulicach Warszawy, znów ścisła kopia jakobińskiego Paryża, zorganizowana zapewne z wyżej wspomnianych sześćdziesięciu milionów nadsekwańskich pieniędzy. Bez względu na wartość moralną powieszonych wówczas osób (biskupa Massalskiego, kasztelana Czetwertyńskiego i innych, winnych i niewinnych) epizod ten jest dziwnie niestrawny dla Polaków, toteż bywa przemilczany przez masonską szkołę historyczną.

Insurekcja ponownie pomogła Francji uniknąć interwencji wojskowej zagranicą i stała się bezpośrednim powodem trzeciego rozbioru, który znów — jak przed tym rozbiór drugi — nie byłby nastąpił bez takiego z naszej strony bodźca. Kościuszko, przy najszczerzych i niekwestjonowanych przez nikogo dobrych chęciach i wielkim idealizmie, wbił ostatni gwóźdź do trumny Ojczyzny. Sam bardzo szybko, bo jeszcze w czasie niewoli w Rosji, blad swój spostrzegł i do końca życia

*) Na temat pożyteczności czy szkodliwości »bronzowania« zapisano sterty papieru. Sam kilkakrotnie się już w tej sprawie wypowiadałem. Na tym miejscu ograniczę się do stwierdzenia, że uważam za szkodliwe »odbronzawianie« bohaterów narodowych przez plotkarskie grzebanie się w ich życiu prywatnym, a w szczególności w ich przeżyciach erotycznych (jak to np. robił z upodobaniem śp. Boy-Zeleński), natomiast uważam za konieczne rozwiewanie zakłamań i złudzeń historycznych, wyzyskiwanych w bieżących rozgrywkach politycznych jako środka propagandy, w celu skłonienia Narodu do popełnienia ponownie tych samych błędów, za które już nieraz tak drogo placiliśmy.

nad nim bolał. Siedząc we Francji a potem w Szwajcarii, mądry po szkoldzie Polak, Donkiszot bolejący nad grobem Dulcyni, odrzucał konsekwentnie wszelkie propozycje adeptów Hiram, by firmować ich dalszym poczynaniem na gruncie polskim. Odrzucił również — już u schyłku swego życia — propozycje władcy Rosji powrotu do »niepodległej« Polski z granicą na Bugu.

NIEGLOSZONA PRZEDMOWA*)

Jeden z moich przyjaciół zaprowadził znajomego Szkota na katolickie nabożeństwo. »How funny« — powiedział Szkot — »rytual waszego kościoła przypomina ogromnie rytuał mojej łoży.«

Słyszac to przypomniałem sobie pewien ustęp z powieści-tasiemca Jules Romains'a pt. »Les hommes de bonne volonté«, której dwadzieścia kilka tomów ukazało się na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia. Romains to nie tylko wielki pisarz, lecz ponadto długoletni prezes wszechświatowego związku P. E. N.-klubów. Otóż w VII. tomie powieści Romains'a toczy się rozmowa między młodym studentem »Ecole Normale« a starszym panem o nazwisku Lengnau; autor przedstawia nam go jako »jeden z najwyższych autorytetów duchowych masonerii; może najwyższy!« Nietrudno w osobistości tej dopatrzeć się wizerunku p. Lantoina, który między dwiema wojnami uchodził w kolach Wielkiego Wschodu za naczelnego autorytet. Otóż tenże p. Lantoin-Legnau wyraża się w czasie cytowanej rozmowy, że »tłum, bez ceremonij i symbolów, nie byłby zdolny pojąć prawd.« Zdanie to stano mi ponownie w pamięci, kiedy czytając książkę Witcutt'a trafiłem na ustępy podkreślające fakt, że Chrystus nauczał symbolami nie tylko — jak to nam nieraz próbowano tłumaczyć — ze względu na prymitywizm ówczesnego społeczeństwa żydowskiego, lecz ze względu na zasadniczą budowę psychiki ludzkiej. W nieświadomym rejonie tej psychiki wyrytych jest szereg symbolicznych pra-obrazów, jakby klisz na mózgu, do których musi się dostosować każde popularne nauczanie. »Religia nie może istnieć bez swych obrazów« — stwierdza Witcutt — »gdyż człowiek jest istotą zarówno materialną jak intelektualną. Judaizm i Islam nie mają wpraw-

*) Przedmowa (nieogłoszona) do polskiego tłumaczenia książki W. E. Witcutt'a pt. »Nowoczesna psychologia w świetle myśli katolickiej«, Londyn, 1945.

dzie posagów ni obrazów, ale mają przynajmniej sztywny i niezmienny rytuał, który utrzymuje je przy życiu. Purytanizm był zbyt czysto intelektualny, by się móc utrzymać, abstrahując od wszelkich innych względów. Gdyby Kalwinizm miał swe święte obrazy lub przynajmniej rytuał, istniełby jeszcze kalwini — prawdziwi.« Teraz rozumiemy, dlaczego to właśnie w kalwińskiej Szkocji powstała masoneria o tak bogatym rytuale i symbolice. Podobne jak Kalwinizmowi niebezpieczeństwo mogłoby grozić Kościołowi katolickiemu, gdyby dopuścił do nadmiernego przeracjonalizowania religii, kosztem zaniedbania nieświadomych zakamarków człowieka. »Intensywna musztra intelektualna filozofii scholastycznej« — pisze Witcutt — przyzwyczaiła ludzi Zachodu do myślenia nagimi pojęciami, suchym szkieletem logiki, odartym z wszelkich materialnych obrazów i symbolów. Starożytni, podobnie jak poeci i marzyciele, woleli myśleć symbolami. Platon, św. Jan, sam Chrystus, woleli używać obrazu czy symbolu niż oderwanego słowa czy pojęcia. Pod pewnym względem jest to bardziej naturalne. Jesteśmy bowiem istotami równie dobrze cielesnymi jak duchowymi.«

Stara to i nieodmienna prawda, że psychika nasza ma dwa korzenie: jeden racjonalny, drugi irracjonalny, toteż wszelkie próby jednostronnego nacisku wyłącznie tylko na rozumową stronę człowieka, dają reakcje w formie tym bujniejszych wydzielin nieświadomości. Wiek XVIII, wiek racjonalizmu, »oświecenia«, »czystego rozumu«, Bogini Wiedzy, był zarazem wiekiem rozkwitu irracjonalnych konspiracyj, alchemii i Kabaly, wiekiem nie tylko rytuału i symboliki masonskiej, ale illuministycznych i hermetycznych rytów, Różokrzyżowców i Templariuszy, Martineza, Starcka i Swedenborga. Największe sukcesy Kabaly wśród społeczeństw chrześcijańskich przypadają właśnie na wiek »oświecenia«; jej spisanie i pierwsze masowe podboje przypadają na wiek XIII, któremu to intelektualny nadal trzech wielkich racjonalistów w osobach Averroesa, Majmonidesa i św. Tomasza z Akwinu; wszyscy trzej byli oni uczniami Arystotelesa i heroldami świadomego rozumu. Ze nadmiar racjonalizmu wywołuje natychmiastowa reakcja pod postacią eksplozji nieświadomości — wydaje się faktem niezbitym i historycznie i psychologicznie. Stąd pewna niechęć, czy może raczej rezerwa Witcutt'a w stosunku do tomizmu, który — szczególnie w praktyce jego skrajnych zelatorów — wydaje się chwilami niedoceniać wagi elementów nieświadomych.

Czytelnikowi Wittcutt'a grozi niebezpieczeństwo przeciwne. Gotów zaniedbac argumentów na rzecz symbolów. Byłoby to równie niebezpieczne, jak jednostronne upodobanie do »suchego szkieletu logiki« i nie byłoby również w tradycji rzymskiego Kościoła, w którego pełni mieszczą się równie dobrze tomistyczni Dominikanie, jak i pielęgnujący rytuał Benedyktyni i zakony oddane mistycznej kontemplacji. Kościół katolicki porównywano nieraz do Arki Noego, w której pływają ku zbawieniu wszelkie rodzaje istot ludzkich: i te, w których góruje świadomy intelekt i te, którym się śnią symbole i »słyszace głosy« Joanny, Teresy i Bernadetty.

Lista symbolów, zestawiona (za Jungiem) przez Wittcutt'a, nie wydaje się ani kompletna ani ostateczna, a chwilami nawet mało przekonująca. Można by ująć i dodać. Zwracam jednak uwagę czytelnika na jeden z symbolów Junga, potraktowany przez Wittcutt'a po macoszemu, na pół strony, choć tak fundamentalnie ważny: Mandala (symbol graficzny). »Imprimatur« kościelne udzielone książce, szeregującej znak Krzyża pod tę samą rubrykę naukowa co swastyka i czerwona gwiazda, jest znamienne dla sposobu, w jaki nowoczesny Kościół traktuje zagadnienia nauki. Po trzydziestu latach rozwoju wiedza świecka »dolarza« z powrotem do wiedzy chrześcijańskiej, uznając już dziś wszystkie tezy tej ostatniej, żądając od niej tylko jednego — by stare prawdy podawała w nowoczesnej szacie. Mądrze robi Kościół, godząc się na ten wymóg. Marnotrawna córka wraca w progi domu rodzinnego, trzeba jej ułatwić ich przekroczenie.

Jestem przekonany, że każdy z czytelników, który zada sobie trud przebrnięcia przez tę książkę, poczuje jakby przeciąg świeżego powietrza na przestrzał swych pojęć religijnych. Ja sam czytając książkę Wittcutt'a zrozumiałem, po raz pierwszy w życiu, wagę dogmatu o »ciała zmartwychwstaniu«, jednego z najbardziej zdawaloby się jałowych i zbędnych. Wiecej takich książek i uda nam się może wyrwać polski katolicyzm z jego odwiecznej gnuśności intelektualnej. Jednym z warunków wielkości naszego Narodu jest, byśmy w dziedzinie myśli katolickiej przeszli wreszcie z kategorii spożywców do kategorii wytwórców. Przestańmy się grzać biernie w promieniach Wiary i Kościoła; czas nam zacząć myśleć i działać tak, jak przystoi jednemu z największych katolickich narodów świata.

NIE SPIERAJMY SIĘ O SPRAWY BEZSPORNE*)

Oliver Cromwell, jeden z budowniczych współczesnej Anglii, wyraził się, że ustrój polityczny tylko wówczas działa prawidłowo, gdy wszyscy zgadzają się na sprawy zasadnicze — Fundamentals — a różnią tylko co do spraw okolicznościowych — Circumstantials. Doświadczenie wielu krajów i wielu epok potwierdza to zdanie Cromwell'a. Ostatnio mieliśmy jaskrawy tego przykład choćby na parlamencie niemieckim z okresu poprzedzającego bezpośrednio dojście do władzy Hitlera, kiedy to w parlamencie tym zasiadała już spora liczba hitlerowców. Między nimi a resztą partii, wyznających zasady demoliberalnego parlamentaryzmu, zachodziła zasadnicza różnica postawy w sprawach fundamentalnych, dotyczących samych założeń życia. Tak rozdwojony parlament nie był zdolny pełnić swych funkcji. Działa natomiast sprawnie parlament brytyjski, mimo pozornie wielkich różnic dzielących konserwatystów i labourzystów, gdyż zgoda na fundamentals jest tu pełna: obie partie mają ten sam stosunek do religii i monarchii i parlamentaryzmu i swobód obywatelskich i samorządu, obie stykają się w tych samych łóżach masońskich i na boiskach piłki nożnej i cricket'u. Obie uważają, że dom Brytyjczyka, jego home, powinien stanowić jego własność prywatną i twierdzą jego swobód. Bój polityczny między nimi toczy się tylko o różnice taktyczne, o te circumstantials, które dodają zainteresowania życiu politycznemu, lecz nie rozdzierają narodu na dwa śmiertelnie skłócone obozy.

A jak jest wśród Polaków? Gdyby przeprowadzić między nami plebiscyt, napewno większość odpowiedziałaby bez wahania, że skłócenie jesteśmy na wszystkich punktach. Dlaczego? Bo jesteśmy przecież rzekomo tacy »klótlivi«. Ta legenda o naszej klótlowości idzie za nami

*) Odczyt publiczny, wygłoszony w Edynburgu w dn. 30. VI. 1944 r.

w tropy; pewni ludzie i pewne wpływy dbają o to, by w legendzie wierzyli świecie Polacy i nie-Polacy. I nic nie pomaga, że życie zadaje stale klam tej legendzie. Bezpośrednio po r. 1918 cały świat uważał za rzecz przesadzona, że przy znanej klótlivosti Polaków zrośnięcie się ich z trzech różnych dzielnic natrafi na przeszkody nie do przewyciężenia. W praktyce okazało się jednak, że zrośnięcie to odbyło się nad wyraz gładko i ograniczyło się właściwie tylko do nieszkodliwego wyrzekania na Galicjaków, zalewających inne dzielnice Polski. Mimo rzekomej naszej klótlivosti poszliśmy w r. 1939 na wojnę zjednoczeni bezprzykładnie i przez następnych pięć lat dajemy światu przykład zgody narodowej, absolutnie niedościgłej dla innych narodów podbitych przez Hitlera. Nietylko że nie mamy Hachy ani Quislinga, ale brak nam nawet odpowiedników Mosley'a czy lorda How-How. Każdorazowe nasze rządy liczą się jednakowo mało ze społeczeństwem, wiedząc, że potulnie będzie jadło z reki.

Tak — powie niejedyn — nie mamy może Hachy ani Quislinga, ale czyż nie klóćmy się zajadle na wszystkie możliwe tematy? Czyż mamy choć jedną wspólną receptę na uzdrowienie Polski? Ilu Polaków, tylu znachorów, a dostojna pacjentka — w osobie Rzeczypospolitej — coraz to z sił opada. Zgodni jesteśmy może jak odpowiedzieć Stalinowi, kiedy sięga po nasze ziemie, lecz nie zgadzamy się poza tym na nic, i o nasze różnice w sprawach najbardziej zasadniczych gotowi jesteśmy walczyć do upadłego.

Pogląd taki jest równie szeroko rozpowszechniony jak fałszywy. Czas najwyższy, byśmy zrobili wielki wysiłek, by zdać sobie sprawę, jak głęboko sięga w Narodzie naszym zgoda, a jak płytko waśń. Na targowicy partyjnej huczy wrzawa dokola wyolbrzymionych sztucznie różnic; mogłoby się zdawać, że rozdarci jesteśmy nieuleczalnie i beznadziejnie. Skoro jednak zejdziemy w masę Narodu, obraz zmieni się zasadniczo. W szeregach żołnierskich, w obozach jeńców, w obozach koncentracyjnych i łagrach, od kraju Komi po Mirandę del Ebro, w podziemiach okupowanego Kraju, wszędzie gdzie Polacy trwają i myślą nad przyszłością swej Ojczyzny, narasta — stale i nieustępliwie — zgoda narodowa. Masy polskie dojrzewają w mecie i cierpieniu. Naród nasz dziś — to wielki niemowa, pozbawiony możliwości swobodnego wypowiedzenia się, podczas gdy ci, którzy nas klóca, mają do dyspozycji prasę, głośniki i

megafony. Chcąc dosłuchać się narastającej w Narodzie zgody na sprawy zasadnicze trzeba nateżyc ucha, trzeba wycofać się ze zgiełku różnic bieżących i starać się wyczuć procesy, zachodzące w nieświadomej głębi Narodu. I wówczas to stwierdzimy ze zdumieniem, jak daleka drogę odbyliśmy od r. 1918, kiedy to rzeczywiście Polacy — poza mową — niewiele mieli z sobą wspólnego.

Wielkie spory, które emocjonowały naszych ojców i dziadów, wygasają. Odległe i przebrzmiałe wydają nam się już dylematy — religia contra materializm, własność prywatna contra marksizm, Dmowski contra Pilsudski, naród contra międzynarodówka, zagadnienie reformy rolnej, sprawa żydowska czy ukraińska. Dojrzewa w Narodzie zgoda na rzeczy fundamentalne. Obok ludzi, zajętych mlóceniem spraw spornych, jest już miejsce dla coraz większej liczby takich, którzy chcą realizować sprawy niewatpliwe. Nadszedł czas, by sporządzić bilans spraw bezspornych.

A więc, przede wszystkim, bezsporne są nasze granice. Tym, którzy sięgają po nasze Ziemie Wschodnie, mówimy krótko nie. To nie jest równie bezsporne jak było nim wtedy, gdy odmawiając Hitlerowi Gdańsk i Pomorze stanęliśmy na drodze jego zamiarom podboju świata. Mówimy nie równie bezspornie tym, którzy wyciągają zaborcze dlonie po Wilno i Lwów, jak i tym, którzy chcieliby nam dyktować skład naszego rządu i bieg naszych myśli. Wszystkie głosy, rezolucje i deklaracje przychodzące z Kraju świadczą, że mimo grożącej obecnie z kolei okupacji bolszewickiej rodacy nasi w Kraju kategorycznie i nienaruszalnie stoją na straży integralności Rzeczypospolitej. I jeśli w niedawnej ministerjalnej deklaracji słyszeliśmy, że świadomie, wbrew woli Kraju, proponuje się bolszewikom jakąś linię demarkacyjną, stanowiącą zatarcie naszej legalnej granicy i zamazanie naszej kategorycznej postawy odpornej, i jeśli ta sama ministerjalna deklaracja twierdzi, że za taką koncepcję wypowiedzieć się może kiedykolwiek większość Polaków, to świadczy to tylko o tym, jak łatwo na wysokim stolcu ministerjalnym stracić można wyczuć sprawy najważniejszych i zupełnie dla Narodu bezspornych.

A co z naszymi granicami zachodnimi? I tu panuje między Polakami zgoda zasadnicza. Zgadzą się wszyscy bezspornie na konieczność włączenia do Rzpltej Prus Wschodnich, Śląska Opolskiego i przesunięcia granicy na Pomorzu pruskim. Na to zgodni jesteśmy wszyscy, i w Kraju

i na emigracji. Różnica zdań zaznacza się jeszcze co do tego, czy winniśmy się posunąć dalej na Zachód, aż po Szczecin, dolną Odre i Niszę Łużycką, czy też granice nasze powinny się zatrzymać na Wschód od Szczecina i Wrocławia.

Następny problem: jak rozwiązać sprawy narodowościowe wewnątrz Rzeczypospolitej? Z zagadnieniem tym nie potrafiliśmy uporać się w latach 1918/39. I tu wchodzimy coraz szybciej w dziedzinę spraw bezspornych. Mniejszość niemiecka postawiła się dobrowolnie poza prawem Rzeczypospolitej i zgodnym zdaniem wszystkich Polaków w przyszłości na ziemiach naszych tolerować jej nie będziemy. Najtrudniejsza, zdawałoby się, i dzieląca tak silnie Polaków sprawa żydowska, znalazła tragiczne, ale jak się zdaje ostateczne rozwiązanie. Współczujemy wszyscy narodowi żydowskiemu w jego niezmiernym żalobie i dumni jesteśmy, że żaden Polak nie przyłożył ręki do potwornej zbrodni, dokonanej na ziemiach polskich na czterech milionach Żydów. Ale fakty, choćby najbardziej potworne, zostają faktami. Przybyły ostatnio do Londynu oficjalny wysłannik Kraju liczy, że zostało tam przy życiu najwyżej 100—120,000 Żydów. Tak więc sprawa żydowska straciła całkowicie swój aspekt problemu masowego, z którym nie umiały sobie poradzić kolejne nasze rządy.

Problem mniejszościowy Rzeczypospolitej sprowadza się więc już tylko do naszych białoruskich i ruskich pobratymców, tak nam bliskich rodem, mową, wiarą i obyczajem. Skoro tylko zaschnie krew bratnia, która z poduszczenia wrogich sąsiadów pada — i padła jeszcze tak niedawno na Wołyniu — między nich i nas, współżycie pod wspólnym dachem Rzeczypospolitej powinno rychło doprowadzić wszystkich jej słowiańskich obywateli do zbliżenia się we wspólnym przywiązaniu do wspólnego państwa. Jeszcze dwadzieścia lat temu byli Polacy na ten temat głęboko rozdwojeni — między koncepcją autonomii czy federacji na Wschód od Bugu i Sanu, a koncepcją mechanicznej polonizacji Ziemi Wschodnich, wydawała się leżać przepaść nie do pokonania. Dziś położenie uległo zmianie: nasz nacjonalizm dojrzał, stał się mniej etniczny i zaściankowy, bardziej uniwersalistyczny i całkujący. Mająca natomiast dawniej mało zrozumienia dla problemów życia narodowego t. zw. lewica coraz częściej i powszechniej zaczyna rozumować kategoriami potrzeb Narodu. Pobyt pewnej ilości przywódców naszej lewicy na

wyspie brytyjskiej pozwolił im zaobserwować, z jak głębokim zrozumieniem odnosi się kółka lewicowe brytyjskie nie tylko do tradycji narodowych, lecz nawet do zagadnień imperialnych, ujętych w duchu nowoczesnego, szerokiego i tolerancyjnego nacjonalizmu. Podobnie jak w W. Brytanii, wyjęcie głównych naszych problemów narodowościowych poza nawias sporów partyjnych, przesunięcie ich ze sfery sporów okolicznościowych do sfery zgody zasadniczej, bodajże już nastąpiło.

Tyczy to zresztą nie tylko współżycia z naszymi słowiańskimi pobratymcami we wspólnym związku państwowym, lecz i stosunku do naszych sąsiadów, Litwinów i Czechów, Słowaków i Węgrów. Konieczność ścisłego związku z nimi przesunęła się już też na płaszczyznę bezsporna i stanowi dla ogółu Polaków kamień węgielny przyszłego ładów międzynarodowego w Europie Wschodniej.

Tak więc rysuje nam się coraz wyraźniej przyszły gmach Rzeczypospolitej, jego kontury, jego lokatory i stosunek do sąsiadów. Także i jego wewnętrzne urządzenie, stanowiące jeszcze do tak niedawna przedmiot zacieklejnych sporów, zaczyna w swych głównych zarysach stawiać się dla wszystkich Polaków oczywiste. A więc chcemy zgodnie silnej władzy, kontrolowanej przez uczciwie wybrany i nierozproszkowany jakiś doktrynerska ordynacja wyborcza parlament. Chcemy wszyscy rządów, nieobalanych co chwila przez sejmowładcze zapędy, ale i niepodtrzymywanych autokratycznie przez wojskowiaków. Armia, z którą w dwudziestolecie ubiegłym nie umieliśmy tak dalece postępować, że najpierw, po r. 1920, dopuściliśmy do jej zaniedbania, a następnie pozwoliliśmy jej kompromitować się w nieudolnych rządach państwem, znajduje powoli swoje właściwe miejsce; z serc Polaków, w których do niedawna wyłącznie mieszkala, zaczyna wkraczać i do ich umysłów. Tu, na emigracji, w atmosferze sztucznej, podległej bardziej nalogom przeszłości i naciskom obcym, ten proces znajdowania Armii jej właściwego miejsca w życiu Narodu mniej jest może widoczny niż w Kraju, który wytworzył u siebie zdrową równowagę między wojskiem a rządem i na przestrzeni ostatnich dwóch miesięcy wypowiedział się w tej sprawie dwukrotnie, raz stawiając żądanie rozdziału stanowiska Naczelnego Wodza i następcy Prezydenta Rzeczypospolitej, drugi raz odrzucając nadesłany mu przez rząd londyński projekt podporządkowania Armii czteropartyjnej Radzie Ministrów. Tymi dwoma posunięciami wyraził

Kraj swa wole usuniecia wojska spod nacisków politycznych, a równocześnie odpolitycznil Naczelnego Wodza i odebral wojsku możność wtracania sie w bieżąca polityke. Na takie postawienie sprawy zgadza sie niewatpliwie ogromna wiekszość Polaków, zdaniem których Armia należy do spraw fundamentalnych i bezspornych i na bieżąca targowice polityczna wciągac jej nie należy.

Jaki ma byc społeczno-gospodarczy ustrój Rzeczypospolitej? I tu uzgodnienie poglądów doszlo już bardzo daleko. Jeszcze dwadzieścia lat temu moglo sie wydawac, że między ludźmi, defilującymi na 1-go i na 3-go maja, nie może byc kompromisu. Na 1-go maja kroczył świat drażniących swa czerwienią sztandarów, nienawistnych pieśni i zaciśniętych pięści, tak obcy duszy polskiej niemiecko-żydowski świat marksizmu, szykujący sie, by bezlitosnym walcem przejechać po wszystkim, w czym Polacy od tysiąca lat wyrosli, po ich religii, po ich rodzinie, po ich zagrodzie i warsztacie, po ich Bogu i po ich Ojczyźnie. Z drugiej strony — na 3-go maja — z pośród niekończących sie szeregów sokolów i strażaków, szkół i harcerzy, powstańców i wojaków, wionely jakże dławiające wzywy drugiej trucizny — tego nudzacego w gardle bogo-ojczyźnianego koltuństwa, tych legend o dobrym królu Stasiu i Naczelniku w białej sukmanie, tej obrony wszelkiego rodzaju »świątych« praw — od »świątego« prawa kamienicznika do eksploatawania niedzarza w suterenie do »świątego« prawa kapitalistów zagranicznych posiadania całego prawie wielkiego przemyslu w Polsce i rozstrzygania o naszej sile obronnej i o doli naszego robotnika. Obie te daty — 1-go i 3-go maja — byly symbolami schorzenia psychicznego Polski, a ich rozdział byl jakby objawem jakiegoś rozdwojenia narodowej jaźni.

Tak bylo dwadzieścia i tak bylo jeszcze dziesięć lat temu, ale tak już na przyszłość nie bedzie. Robotnik polski ujrzał czerwone sztandary i uroczystości pierwszo-majowe w ich dwu krańcowych wydaniach — hitlerowskim i bolszewickim, i należy wpatpic, czy zechce w przyszłych latach kontynuowac te obchody. Na obchodzie pierwszomajowym P. P. S. w bieżącym roku w Londynie bylo kilkudziesięciu inteligentów, przeważnie urzędników ministerialnych, oraz — sześciu zaledwie robotników, mimo że robotników polskich mamy w Londynie kilkuset. I na urządzonym ostatnio w Londynie przez agentów komunistycznych kongresie wszechsłowiańskim robotnicy polscy świecili nieobecnością.

Marksizm umarł i niewielu Polaków po nim zaplacze. Komu trzeba na to dowodów, niech przeczyta sobie czy to t. zw. »Program Polski Ludowej«, czy deklaracje czterech stronnictw z Kraju z dn. 15. sierpnia 1943, czy też deklaracje krajowej Rady Jedności Narodowej z dn. 15. marca br. Wszystkie one zgodne sa w odrzuceniu marksizmu. W tej ostatniej deklaracji z 15. marca, uchwalonej przy udziale głosów socjalistycznych, wyrażenie upowszechnienie własności użyte zostalo cztery razy. Mówiac nawiasem, gleboka to dla mnie satysfakcja, gdyż hasło to lansowalem osobiście dziesięć lat temu. Nie potrzebuje chyba dodawac, że hasło to jest absolutnym zaprzeczeniem marksizmu, który głosi socjalizację własności.

T. zw. »Program Polski Ludowej«, ogłoszony przed dwoma laty, stanowil wyznanie wiary naszego Centrolewu; i on stoi na stanowisku prywatnych warsztatów rolnych i przemysłowych. Zreszta socjaliści nasi nie przecza, że odeszli od marksizmu, tylko staraja sie mówic o tym jaknajmniej i jaknajciszej, aczkolwiek p. Ciolkosz przyznal, że to odejście datuje sie od kongresu radomskiego P. P. S. z r. 1937.

Tak wiec wszyscy Polacy spotkali sie wreszcie na solidnym gruncie upowszechnienia własności, odpowiadajacym naszej atawistycznej psychice i odcinajacym nas kategorycznie od naszego wschodniego sasiada. Rzecz prosta, nie wystarczy hasło takie głoscić, trzeba je czynnie realizowac, to znaczy trzeba własność czynnie upowszechniac — by użyć pokrewnego sloganu, trzeba uwlaszczac masy. Przede wszystkim musimy dokończyc uwlaszczenia mas chłopskich, stanowiących dwie trzecie Narodu. Słynny to problem reformy rolnej, który lat temu dwadzieścia pięć wydawal sie również jednym z najtrudniejszych i najdrażliwszych. Otóż mimo opowieści prasy zagranicznej o naszych landlordach, tak niekorzystnie odbijających na tle ultra-postępowych stosunków, panujących w krajach anglosaskich — mimo stałych rzekomo rządów landlordów w Polsce, problem rolny doszedł u nas w ostatnim dwudziestoleciu bardzo blisko swego rozwiązania przez ciągła parcelacje ziemi, przymusowa i dobrowolna. Najlepiej zobrazują te sprawę cyfry. W r. 1918, w chwili odzyskania niepodległości, z góra trzydzieści procent naszej ziemi ornej należało do wiekszej własności. Na każde dwie morgi należące do chłopca, jedna należała do dworu. W ciągu dwudziestu lat polskich rządów dokonaliśmy w tej dziedzinie wiele, choc polskim

zwyczajem odbywało się to w atmosferze wrzawy i pomstowań, kawałów o Witosie i lekkiego bezholowia. Zagraniczny obserwator mógł być uważać, że nic w tej sprawie nie zrobiliśmy — i tak też uważa po dziś wielu przychylnych nam nawet cudzoziemców, nie mówiąc o nieprzychylnych. A tym czasem cyfry dowodzą, że w ciągu dwudziestu lat rozparcelowaliśmy połowę ziem uprawnych, należących do większej własności. W chwili wybuchu wojny ziem tych zostało już tylko 15%, a więc mniej niż we Francji i Niemczech, a zaledwie 2½% więcej niż w Czechosłowacji, która zakończyła swą reformę rolną dawno i w oczach naszych chłopów uchodzi za wzór do naśladowania. Najwięksi zreszta radykalowie przyznają, że pewna ilość ziemi powinna pozostać nadal w formie większej własności, a to ze względów nasiennych, hodowlanych itd., przy czym szacunki wahają się od paru procent do dziesięciu procent większej własności jako tego minimum, poniżej którego ze względów techniczno-gospodarczych schodzić nie należy. Jak widać z powyższych cyfr, cały problem reformy rolnej sprowadza się więc już tylko do sporu o to, czy rozparcelować jeszcze 5% czy 10% naszej ziemi. Nie jest to napewno różnica fundamentalna, która mogłaby zagrozić spójności naszego społeczeństwa, tym bardziej, że dochodzi do tego jeszcze inna okoliczność łagodząca ostrość tego zagadnienia, a mianowicie pytanie, czy głód ziemi u chłopów polskiego wystąpi jeszcze po tej wojnie, wobec wielkich strat w ludziach oraz wielkiego zapotrzebowania na osadników w nowoprzylaczonych ziemiach na Zachodzie, oraz wobec konieczności zastąpienia po miastach wymordowanej ludności żydowskiej. Zwykliśmy, przed r. 1939, patrzeć na Polskę jako na kraj wybitnie przeludniony; nadmiar ludności wiejskiej liczonej na 5-7 milionów. Otóż straty ludnościowe Rzeczypospolitej wynoszą do dziś z góra 3 miliony Żydów oraz, jak szacują w Kraju, 2—3 milionów Polaków; wyrównałoby to nasz przedwojenny nadmiar, a tym czasem nawet przy mniejszym programie granicznym na Zachodzie, ograniczonym do Prus Wschodnich, Śląska Opolskiego i części pruskiego Pomorza, trzeba nam będzie przynajmniej trzech milionów Polaków do zasiedlenia Ziemi Zachodnich od Królewca po Opole i Kolobrzeg. Tak więc sprowadzając ilość większej własności z 15% na 10%, co stanowić będzie operację stosunkowo mało bolesną, uda nam się zapewne zlikwidować i ten zadawniony spór rolny, najboleśniejszy może, bo godzący w warstwę chłopską, stanowiącą od lat

tysiąca zbiornik sił biologicznych i duchowych Narodu. Jest bezspornym przekonaniem wszystkich Polaków, że uwłaszczone prawidłowo masy chłopskie winny pozostać nadal rdzeniem Narodu.

Następny wielki problem, emocjonujący poprzednie pokolenie Polaków, to problem wielkiego przemysłu. I on dojrzał już w naszych umysłach do bezspornego rozwiązania. Zgodnie uważają dziś wszyscy Polacy (z wyjątkiem bardzo nielicznych sług zagranicznego kapitału), że wielkiego przemysłu nie możemy pozostawić w rękach obcych, gdyż przemysł ten stanowi klucz do obronności państwa i do jego pokojowej gospodarki. W społeczeństwach Zachodu przemysł znajduje się w rękach rodzimej warstwy kapitalistycznej, stanowiącej produkt wiekowego, organicznego rozwoju, toteż nic dziwnego, że społeczeństwa te starają się zachować usługi tej warstwy i — miast niszczenia jej — usiłują wprzeżnąć ją w nowe formy gospodarki. U nas było inaczej. U nas cały wielki przemysł, o ile nie był już upaństwowiony, należał — ze znikomymi wyjątkami — do obcego kapitału; w wielu wypadkach należał nawet do kapitału niemieckiego, maskującego się pokrywką kapitału państw Sprzymierzonych. W Szwajcarii i w księstwie Lichtenstein znajdowały się fikcyjne centrale szeregu przedsiębiorstw śląskich, od których zależał nasz potencjał zbrojeniowy i los dziesiątek tysięcy polskich robotników. Za tymi fikcyjnymi centralami krył się kapitał anonimowy, reżyserowany niewiedomo przez kogo dla celów w najlepszym razie doskonale obojętnych naszym interesom narodowym i państwowym, o ile celem ich nie było wręcz szpiegostwo i sabotaż. Wszystkie wypowiedzi krajowe zgodne są co do konieczności uspołecznienia kluczowych działów przemysłu, usług i kredytu. Oto jeden więcej wielki problem, przesuwający się na płaszczyznę spraw bezspornych. Oczywiście, mówiąc o uspołecznieniu niekoniecznie mamy na myśli upaństwowienie; państwowy zarząd przedsiębiorstwem przemysłowym stanowi tylko jedną z wielu form uspołecznienia, i to przeważnie nienajlepszą. Samorzady terytorialne i zawodowe, wspólnoty pracy, akcjonariat pracy, spółki publiczne — oto różnorodne formy uspołecznienia, które mogą znaleźć zastosowanie w naszym przemyśle. Trafny wybór tych form stanowi trudne zadanie, wymagające rozwiązania wzniesionego ponad rozgrywki partyjne i mającego wyłącznie na oku dobro społeczeństwa i zadowolenie pracowników. Nie dajmy sobie

zamacic pogladu na te sprawy przez szeptana propagande o rzekomym »bolszewizmie« tych zamierzeń, propagande prowadzona w Kraju i na emigracji przeważnie — o ile udalo mi sie to stwierdzic — przez ludzi, którzy sluzyli przed wojna obcemu kapitalowi w Polsce na kierowniczych stanowiskach.

Mówiac o uspoleczeniu kluczowych dzialów przemyslu warto podkrešlic, że panuje szeroka zgoda na koniecznošć ograniczenia własności państwa na rzecz bardziej elastycznych form uspoleczenia, dajacych szerokie pole samorzadowi pracowników. Miliony Polaków miały w czasie obecnej wojny moźnošć przygladnicia sie upaństwowionemu przemyslowi w Rosji, toteź chec ograniczenia do właściwych rozmiarów roli państwa w gospodarce wydaje sie byc dziś wspólna ogromnej wiekšości Polaków. Oto dalsza plaszczyna bezsporna — odrzucenie zarówno liberalizmu, jak i etatyzmu, na rzecz samorządu. Wszystkie powaźne wypowiedzi krajowe i emigracyjne przywiazuja coraz to wiekšza wage do samorządu, jako formy organizacji i uspoleczenia życia gospodarczego, bez oddania go pod totalistyczna przewage państwa. Czy beda to korporacjonišci katoliccy czy lewicowi syndykališci czy teź zwolennicy t. zw. »Programu Polski Ludowej« — wszystkie te czynniki widza zgodnie nasz przyszly organizm gospodarczy pod samorzadem, obejmujacym kaźda galaź gospodarki, a w ramach tego samorządu laczacym wszystkie rodzaje pracodawców i pracowników. Upowszechnienie własności z nadbudowa wszechstronnego samorządu — oto polska odpowiedź na totalistyczne upaństwowienie calej gospodarki, ofiarowane nam przez wschodniego sasiada. Wielka to koncepcja, samorzutnie wyplywajaca z potrzeb i tradycji naszego Narodu. Nie moźna došć silnie podkrešlic radosnego faktu, że na tej plaszczynie spotkaly sie zgodnie wszystkie wielkie ruchy polityczne i ideowe Polski. Czas najwyźszy, by do szczególowego urzeczywistnienia tej koncepcji staneli ci wszyscy, którzy wola jednoczyc i budowac, niź podrywac i jatrzyc.

Tak wiec przynajmniej w dziedzinie ustroju spoleczno-gospodarczego doszliśmy wreszcie do koncepcji własnej, odpowiadajacej potrzebom naszego Narodu. W innych dziedzinach, w szczególności w sprawach ustroju politycznego i wychowania, ciągle jeszcze czerpiemy mechanicznie z wzorów obcych, choc i na tym punkcie ogół spoleczeństwa

dojrzewa do zrozumienia, że wielki naród — a tylko takim moźe byc Naród polski — moźe pomyslnie żyć i rozwijac sie jedynie w formach ustrojowych, ukszaltowanych przez geniusz własny. W r. 1919 wydawalo sie wiekšości Polaków naturalne, że konstytucje nasza skopiujemy na Francji, a ordynacje wyborcza na Belgii; dziś rozumiemy juź bezspornie, że Naród polski musi samodzielnie kuc ksztalty swego ustroju, swej gospodarki, swej armii, swej kultury i wychowania. Bezsporna to juź dziś dla nas wszystkich sprawa, podawana w watpliwošć tylko w kolach, które ulegaja sugestiom nowinek zagranicznych lub podszeptom agentur obcych. Czyź moźe byc bowiem wiekšy sukces dla tych agentur, niź narzucenie Narodowi polskiemu nieodpowiedniej (dla niego) ordynacji wyborczej lub nieodpowiedniego systemu szkolnictwa? Zastanawialem sie nieraz nad tym, cobym czynil, gdyby mnie z ramienia mojego kraju wydelegowano do dezorganizowania sasiedniego narodu. Otóź wydaje mi sie, że w takim wypadku kaźda szanujaca sie agentura stosuje z reguly cztery sposoby: po pierwsze, popiera nieodpowiednich ludzi na stanowiska, przerastajace ich zdolności; po drugie, narzuca instytucje i ustawy doskonale zagranica, lecz niedostosowane do potrzeb danego kraju; po trzecie, popiera we wszelkich dziedzinach życia zamiary nadmiernie ambitne, a utraca zamiary mniej moźe szczytne, lecz za to praktyczne i wykonalne; wreszcie kaźda agentura zuźyje duźo wysilku i pieniedzy na klócenie obywateli danego kraju. Obca agentura jest z reguly entuzjastka spraw spornych, a tepi pojecia bezsporne.

Mówiac o rzekomej »klótlivosti« Polaków naleźy miec na uwadze, ile ludzi i środków obraca sie stale na to, by spory nasze organizowac, nieledwie wedlug zasad naukowej organizacji pracy. W samym Londynie pracuje, wedlug mego szacunku, nie mniej niź kilkadziesiat osób zawodowo nad klóceniem Polaków. I w Edynburgu bedzie zapewne kilka takich osób, i Państwo zrobiliby dobrze, rozgladajac sie bacznie dokola siebie. Mialem na ten temat ciekawe došwiadczenie, kiedy rok temu zrobilem pierwsza próbe publicznego przemawiania na temat spraw bezspornych. Wyglosilem wówczas w Stowarzyszeniu Techników w Londynie odczyt pod przydlugim tytulem: »Jakie zalozenia planowania gospodarczego sa juź dziś wspólne ogólowi Polaków?« W odczycie tym dowodzillem, podobnie jak to uczynilem przed chwila, że wiekšošć

społeczeństwa polskiego pogodziła się już co do zasadniczych założeń przyszłej polskiej gospodarki, tylko że ludzie nie zdają sobie jeszcze z tego sprawy. Otóż w dyskusji nad moim referatem odezwano się wówczas kilka głosów, usiłujących z zaciekleścią godną lepszej sprawy udowodnić, że nie mam racji i że społeczeństwo polskie jest nadal rozdwojone na tematy społeczno-gospodarcze. Rzecz charakterystyczna, że głosy te wyszły od osób, z których dwie notorycznie czerpie sugestię od kapitału zagranicznego, a jedna należy do partii, która ideologia swa i konspiracyjnymi związkami wiąże się również z zagranicą. W myśl przysłowia »uderz w stół, nożyce się odezwą« miałem dowodny przykład, kto i dlaczego będzie zawsze przeciwdziałal zgodzie Polaków.

Przykro mi, że zmoczyłem Państwo wyliczaniem aż tylu spraw bezspornych, ale mam wrażenie, że ta praca myśli, która wykonaliśmy tu razem, powinna nam wszystkim zostawić pewną korzyść. Mówiliśmy o naszych granicach, o naszym problemie mniejszościowym i o stosunku do sąsiadów, mówiliśmy o ustroju politycznym i społeczno-gospodarczym, o upowszechnieniu własności i o uspołecznieniu kluczowych działów produkcji i o samorządzie, mówiliśmy wreszcie o rosnącym zrozumieniu niebezpieczeństwa agentur i łóż i o wzmagającym się poczuciu, że wszystkie nasze problemy musimy rozwiązać własną myślą, nie kopiując niewolniczo zagranicznych wzorów. Nasz bilans spraw bezspornych zamyka się więc saldem dodatnim; oczywiście nie ludzimy się, jakoby wszystko już było między Polakami uzgodnione, bo takiego stanu nie będzie nigdy, ani u nas ani w żadnym innym narodzie. Pewna ilość spraw jest nadal jeszcze wątpliwa, ale spraw bezspornych zebrano już tyle, że można oprzec na nich bezpiecznie jedność Narodu. Okres uzgadniania planów przyszłego gmachu Rzeczypospolitej mamy szczęśliwie za sobą; czas zebrać budowniczych i przystąpić do budowy.

Sporządziwszy wykaz spraw bezspornych, warto również sporządzić wykaz ich przeciwników. Podzieliłbym ich na trzy grupy. Do pierwszej należą koltuni, historycy, śledziennicy i wotrobiarze, którym wszystko idzie zawsze z lewej nogi i jak najgorzej, a śmiertelnym wrogiem jest ten, kto twierdzi, że rzeczy się mają ku lepszemu. Druga grupa — to działacze partii politycznych, zawodowo zainteresowani w rozdymaniu różnic i bagatelizowaniu rzeczy bezspornych. Trzecia wreszcie grupa, to łoże i agentury. Powinniśmy mieć stale w pamięci tragicz-

ne słowa marszałka Piłsudskiego o agenturach obcych, idących za nim trop w trop, przeszkadzających we wszelkich jego poczynaniach, agenturach wszedobylskich i wszechwścibskich, obrzucających błotem i potwarza każdego, kto chce dobra Polski, drapujących się na zmianę w togi postepowe i bogo-ojczyźniane, raz rewolucyjnych to znów zachowawczych, a zawsze perfidnie sabotujących wszelkie pozytywne poczynania Polaków.

Marszałek Piłsudski znalazł mechanizm życia polskiego; diagnozie jego możemy ufać. I w tej sprawie rośnie dziś szybko zrozumienie prawdy bezspornej, że nie zbudujemy Polski bez uwolnienia jej życia publicznego od agentur, łóż i konspiracji; społeczeństwo polskie rozumie coraz powszechniej potrzebę oczyszczenia swych idei i instytucji od kukulczych jaj, podrzucanych nam przez naszych wrogów. I na tym punkcie jedność — jak dotąd niestety tylko teoretyczna — wydaje się już wcale bliska.

Drugim, obok agentur, protektorem spraw spornych są u nas partie. Jaknajwięcej partii jaknajbardziej z sobą skłóconych — oto marzenie każdej łoży czy agentury w Polsce. Widzieli to jasno dwaj najwięksi Polacy naszych czasów, Dmowski i Piłsudski, kiedy zgodnie ostrzegali swój naród przed partyjniactwem, rozumiejąc, że w Narodzie, któremu brak jeszcze silnych instytucji kalkujących, partie prowadzą do rozdarcia i chaosu. Uważam za mój obowiązek przypominać to stale uczniom Dmowskiego, z których niektórzy wydają się zapominać wskazania swego mistrza, że Dmowski, zakładając w r. 1926 Obóz Wielkiej Polski, oparł go na założeniach antypartyjnych, że w duchu antypartyjnym wychował całe młode pokolenie i że do chwili śmierci Dmowskiego wszyscy narodowcy w Polsce uznawali szkodliwość systemu wielopartyjnego. Również niektórzy z Piłsudczyków zapominają, że idea ich wodza, podobnie jak idea Dmowskiego, była uniwersalna i dążyła do przeniknięcia całego Narodu, a próba zacieśnienia jej do ram ścisłego ugrupowania politycznego prowadzi do powstania jeszcze jednej partii, takiej sobie jak zwykle regulaminowej partii politycznej, do której zastosować można bez zmiany przecinka wszystkie te złośliwe powiedzonka, których Marszałek nie szczędził partyjnikom.

Jeśli jednak cześć uczniów Dmowskiego i Piłsudskiego zapomniała o ich przestrożach antypartyjnych, to nie zapominał o nich ogół Narodu.

Gdyby istniała jakaś instytucja polska w rodzaju amerykańskiego Instytutu Gallup'a i mogła przeprowadzić bezstronna ankietę między Polakami w Kraju i na uchodźctwie, okazałoby się niewątpliwie, jak przemożna ilość Polaków podziela antypartyjne nastawienie Pilsudskiego i Dmowskiego. Przed wojną ilość ludzi zorganizowanych w Polsce w partiach politycznych nie przekraczała 2% — 3% ogółu; dziś w najbardziej nawet rozpolitykowanej części naszej emigracji, t. j. w W. Brytanii, ilość ludzi politycznie zorganizowanych nie przekracza tychże samych 2% — 3%, natomiast z wszystkich obiektywnych wieści nadchodzących z Kraju wynika, że ilość zorganizowanych partyjnie ludzi jest tam znikomą, a nastroje antypartyjne panują bardzo szeroko. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że społeczeństwo polskie jest bezsporne w odrzuceniu podziałów partyjnych, gdybym się nie bał, że na tej sali może ktoś być innego zdania i pomścić się na mnie w dyskusji. Naród polski w swej większości nie chce podziałów partyjnych, nie chce własnych partyjnych i nie chce rządów partyjnych. I nic tu nie pomogą argumenty, że żadne społeczeństwo rzekomo bez partii istnieć nie może, że partie zawsze były i będą, a wreszcie przykład partyjnego systemu anglosaskiego. Społeczeństwa anglosaskie rzeczywiście posługują się dwiema partiami, ale przebywając na tej wyspie od czterech lat zdajemy sobie już chyba wszyscy sprawę, jak małe jest znaczenie tych partii w stosunku do tak wielkich instytucji życia narodowego jakimi są monarchia, flota i armia, masoneria, arystokracja, kółka gospodarcze zgrupowane w City, samorzady i związki zawodowe robotników. Największy człowiek współczesnej Anglii, Winston Churchill, zademonstrował naocznie swe lekceważenie dla systemu partyjnego, zaczynając swą karierę w partii konserwatywnej, przechodząc z kolei do liberalów i wracając z powrotem do konserwatystów. Słabo maskowana nonszalancja Churchilla względem systemu partyjnego niech służy za tłumik dla tych, którzy powołują się na partyjne wzory brytyjskie. Trawestując znane powiedzenie o wojnie i generalach można powiedzieć, że polityka jest rzeczą zbyt poważną, by jej prowadzenie pozostawić partiom.

Pewien australijski pilot tłumaczył niedawno jednemu z moich znajomych lotników, że Anglosasi lubią, gdy dwie drużyny sportowe, dwa zespoły piłki nożnej, cricket'u czy baseball'u, walczy z sobą na oczach

publiczności, toteż każde państwo anglosaskie wystawia dwie drużyny polityków, których zadaniem jest rozgrywać z sobą mecze ku uciesze gawiedzi. Taki to już ich obyczaj narodowy; jest on nieszkodliwy, póki społeczeństwo nie bierze go zbyt poważnie, pamiętając, że państwem i narodem rządzią solidne i trwałe instytucje, pilnujące spraw fundamentalnych i bezspornych. Niebezpieczeństwo dla Polski leży dziś właśnie w tym, że brak nam tych instytucji jednoczących, które mają Anglosasi, mamy natomiast pięć czy sześć, a może siedem partii, które, wzorem wszystkich partii świata, starają się wyolbrzymić dzielące nas różnice, nie ograniczając się do różnic okolicznościowych, lecz starając się kwestionować nawet wszystkie fundamentalne założenia naszego życia narodowego. Jest to zjawisko groźne i powinniśmy się zdecydowanie do niego ustosunkować. Możliwe, a nawet prawdopodobne, że partie w życiu polskim zawsze się utrzymają, choć nie będzie ich tyle co dziś i nie będzie to może partie te same, gdyż obecne stanowią naogół przeżytki z czasów niewoli, wywodząc się z przed r. 1918. Możliwe, że i u nas wykształci się jakiś system dwupartyjny — może dwie z istniejących dziś partii utrzyma się na placu i w przyszłości weźmie na siebie zadanie rozgrywania meczów politycznych. W odrodzonej Rzeczypospolitej, opartej na potężnych i trwałych instytucjach, rozgrywki partyjne mogą się okazać nawet potrzebne dla podtrzymania w Narodzie dyskusji politycznej. Ale dziś położenie nasze jest zbyt tragiczne, by losy Narodu pozostawić w rekach partii. Czuję to instynktownie Naród, odwracając się w swej większości od partii; wiedza to równie dobrze konspiracje międzynarodowe i agentury, toteż właśnie dlatego podtrzymują ze wszystkich sił wielopartyjny system rządzenia Polska. Niech ujadanie prasy wydawanej za funty szterlingi, ruble i dolary nie przesłania nam jednak rzeczywistych potrzeb Narodu. Czego nam brak, to ludzi i instytucji, będących strażnikami spraw bezspornych. Niech się skupiają jednostki, które mają odwagę sięgać do tego, co łączy, a odrzucać to, co dzieli, które poprzez zgłębienie drobnych różnic okolicznościowych potrafią wysłuchać rytm potrzeb Narodu i zew jego powołań. Narodowi polskiemu potrzebne są dziś ośrodki myśli i woli, sztaby i mózgi, realizujące sprawy bezsporne; do ich dyspozycji potrzebni są ludzie ofiarni i myślący, fachowi, najlepsi, na których stać nasze pokolenie. Chwila

jest tragiczna i czasu mało; nie ogladajmy się więc na tych, którzy lubują się w podsycaniu sporów, lecz skupiajmy się dokoła spraw bezspornych. Wracając, da Bóg jaknajprędzej, do odrodzonej Ojczyzny, nieśmy jej w darze nie tylko nasze dobre chęci, lecz i rzetelny wkład naszych przemyśleń i naszej pracy. Nieśmy jej jedność narodowa, nie te londyńska, sklócona i chaotyczna, ale jedność prawdziwa, osnuta dokoła głęboko zrozumianych i bezspornych potrzeb Narodu. Daj nam Boże nie tylko wrócić do Kraju, ale dać Polsce takie podwaliny, których żadne moce ościenne już nie przemoga.

DWA NARODY*)

Jeden z moich przyjaciół, walczących w armii gen. Andersa, napisał mi niedawno: »W dalszym ciągu między nami a Wasza Wyspa leży niezmiernie przepaść i żadne wieści od Was — prócz smutnych oficjalności — nie dochodzą. Nie dochodzą też pisma, ni książki. Spotkamy się może kiedyś zupełnie różni, nie poznający siebie, bez wspólnego języka«.

Wydaje mi się, Kolego, że się mylicie. Rzeczywiście między nami a Wami, między Krajem a emigracją leżą przepaści, przekraczalne tylko dla wieści oficjalnych i dla oficjalistów. Nie jest to przypadek, ani nawet konieczność wojny totalnej. Jest w tym myśl świadoma. Mimo to wydaje mi się, że patrzycie zbyt czarno. Na wyspie brytyjskiej zjeżdża ostatnio trzecia już z kolei fala emigracji. Pierwsza napłynęła z Francji w r. 1940, druga z Rosji via tak dla nas tu odległy »Bliski« Wschód, trzecia — najliczniejsza — płynie od roku ciągłym strumieniem z Europy zachodniej, z niemieckiej niewoli.

Przez cały zaś czas — ciureczkiem — kapia ponadto przybysze z Kraju. Mamy więc tutaj dostateczny materiał do obserwacji. Wierzcie mi, że nie tylko nie ma przepaści między nami na Wyspie a tymi, co do nas zjeżdżają, ale wszyscy razem dziwnie szybko znajdujemy wspólny język. Najodporniejszy przybysz do sześciu miesięcy wsiąka bez reszty — niestety — w tutejszą atmosferę. Jestem przekonany i miałem potwierdzenie tego z różnych ust, że i »lordowie« z Wyspy asymilują się szybko i w Kraju i u Was. Naród polski jest mimo wszystko tak silna wspólnota, że sztuczne przegrody ani lata rozdziału jej nie rozsadza. Spostrzegły to nie od dziś czynniki, dla których rozłożenie naszego narodu stanowi zadanie ważne i pilne. Widzając, że mechaniczny podział społeczeństwa polskiego nie daje lepszych i trwalszych wyników, czynniki te skiero-

*) »Orzeł Biały«, Rzym, 11. II. 1945.

waly główny swój wysilek na rozłożenie samych podstaw psychiki polskiej, na chemiczny rozkład pierwiastków, które wieki stopily w tak trudna do rozerwania całość. Chcac zniszczyć Naród Polski, postanowiono go najpierw rozłożyć na dwa narody: jeden historyczny, drugi »lubelski«, zaczynający się dopiero budować — od zera. Miejsce Narodu wywodzącego się od Piasta zająć ma polski członek międzynarodówki; bohaterem jego będzie Szela, z prekursorem w osobie Kostki Napierkiego, który natchnienie czerpał od wschodniego najeźdźcy.

Ten nowy naród nie będzie miał historii. Nie wolno mu mieć historii. Z pośród historycznych postaci amnestie od zapomnienia otrzymał jak dotąd tylko Kościuszko — ze względów zrozumiałych. Zdaniem szkoły lubelskiej, poza Kościuszką naród polski nie miał historii, tylko jakiś wiekowy koszmar obszarniczo-pańszczyźniany. Fakt, że najwspanialszy okres naszych dziejów, od Lokietka po Długosza, był okresem wolności chłopów; fakt, że pańszczyzna zaczęła się u nas wkradać dopiero w połowie epoki Jagiellońskiej, równoległe do słabnięcia w Polsce katolicyzmu; fakt, że nawiązując do okresu naszej świetności historycznej nawiązujemy właśnie do największej wówczas w Europie sprawiedliwości społecznej i najbardziej na owe czasy demokratycznego ustroju, w którym większość warstwy szlacheckiej składała się z chłopów, co stanowiło unikat w dziejach świata — wszystkie te fakty albo się przemilcza, albo się fałszuje. Pewne siły nie chcą dopuścić, by fakty te zagnieździły się w umysłach Polaków. Naród »lubelski« ma się rodzić od zera, w goryczy urazów i fałszywych legend, w kompleksach pieczolowicie hodowanych nienawiści. Na dźwięk nazwisk i faktów, znacznych w historii Rzplitej, odbierają w duszy każdego Polaka struna niechęci i odrazy.

Według wszelkich zasad naukowej propagandy syczy się w nas przeświadczenie, że przyszła Polska winna być mała, zwykła, szara, codzienna, obliczona na przeciętną miarę przeciętnej człowieka. Koniec z bastionami, szaniami, przedmurzami, Chrześcijaństwem u progu Azji, Zachodem na Wschodzie, Rzymem u wrót Uralu. Kazimierz Wierzyński, autor »Barbakanu Warszawskiego«, bardzo się naraził swym konfratrom ze »Skamandra«. W zasięgu Słonimskiego i Tuwima (a zasięg to szeroki) hasło małej Polski bardzo naturalnie kojarzy się z hasłem Małopolski kończącej się na Sanie. Pod piórem Pruszyńskiego

hasło to znalazło nawet pseudo-historyczną formułę »Polski Krzywoustego«. Oto koncepcja, która urzeczywistnić będzie naród lubelski, dumny z przekreślenia jednego więcej »przesadu historycznego«, wściepianego tyłu pokoleniom Polaków, które miały żal do Krzywoustego, że Polskę podzielił, jej kresy zaprzepaścił i niepodległość naraził.

Historycy zgodnie stwierdzają, że zarówno w okresie po Krzywoustym, jak i w czasie niedawnych rozbiorów, jedność narodu, a nawet samo jego istnienie, uratowane zostało przez religię i Kościół. To też heroldzi nowego narodu z piana na ustach walczą z katolicyzmem. On jest winien wszystkiemu. On, narzędzie Unii z Litwą, winien jest małości Polski, jej nieszczęściom i katastrofom. On, inspirator Jana z Czarnolasu, Księgi Pielgrzymstwa i Księgi Ubogich, winien jest naszego zacofania w stosunku do wielkiej kultury Forda i Babbitta. Wolterowskie »Ecrasez l'infâme« rozbrzmiewa wśród współczesnych Polaków.

Na Wyspie brytyjskiej drukują się już wydawnictwa anty-katolickie na wywóz do odrobużonej, krzywoustej Polski. Wprowadzą dwie trzecie Polski, zgodnym wysiłkiem obu zaborców, pozbawiono już duchowieństwa, wprowadzą Papieża i katolicy jedyni na świecie występują dziś w obronie Polski, ale walka z kierem jest dla pewnych ludzi nadal ważniejsza niż walka z agenturami zaborców. Przykład Sowietów wykazał, iż wychowanie jednego tylko pokolenia w bezbożnictwie wystarczy, by Chrześcijaństwo wyrwać z korzeniami. W »suwerennej« Polsce lubelskiej uda się to niechybnie. Ten cement psychiczny, jakim jest dla Narodu jego religia, należy czym prędzej z niego wytrzeć. Na lotnym piasku, w podmuchach przeciagów ze Wschodu i Zachodu, budowniczo »nowego« narodu beda mogli improwizować »nową« kulturę.

Biada tym, którzy zechcą upierać się przy dawnych przesadach. O dziwo, najgroźniejszymi dla nowego narodu okazują się ci zwykli polscy chłopcy, których problem tak niezmiernie się wyjaśnia, jeśli nazwiemy ich kulakami. Proletariusz rolny na pięciu hektarach stanowi idealnie tylko lubelskiego rządu typu 1944. Wszak opowiedzenie się za zagrodą dziedziczną, jedyną zaporą przeciw proletaryzacji polskiego chłopca, stanowi w pewnych kolach nieledwie patent na »faszystę«.

Obok historycznych warstw i grup, obok ludzi na »ski« i ludzi na »ic«, zlikwidować należy również historyczne instytucje. Jedyną właściwie taką instytucją, która przetrwała bez przerwy w psychice naro-

dowej, to instytucja Naczelnego Wodza, od Chrobrego po Sobieskiego, od Kościuszki po Piłsudskiego. Zniesienie tej instytucji, po jej uprzednim odarci z powagi, stanowi jeden z wymogów narodu bez historii. Dewaluacja Głowy Państwa, koniecznie wzorem zbankrutowanej III. republiki francuskiej, stanowi wymóg równie pilny. Wszak budowa nowego narodu toczy się ma w atmosferze wolnej od przygniatającego wpływu autorytetów — rodzimych. Zbędny i krepujący balast kultury, tradycji, kamieni martwych a tak wciąż jeszcze żywych, odrzuci się również. Zniszczenie Warszawy stanowi poważny sukces na drodze do lubelskiego narodu. Historyczne budynki, wspomnienia i powiazania, ludzie żywi, ich mieszkania i pamiatki, wszystko to ciążyło kloda u nogi. W Warszawie zbyt mało było z Szeli, zbyt dużo z Traugutta. Nowy naród zdobędzie się na nowa stolicę. Po III. republice francuskiej i III. Rzeszy Hitlera nadchodzi pora na III. Polskę z Lublina.

Nie myślcie, Kolego, że poniosło mnie pióro i wyobraźnia. Ten podział na dwa narody realizowany jest uporczywie, i u Was i u nas, i w Kraju i na emigracji, z dużym nakładem wysiłku. Sa ludzie i grupy namietnie temu oddane. Fanatyzm burzenia wzbudzić łatwo, szczególnie jeśli się dysponuje trybami oficjalności i usługami oficjalistów. Jest to akcja groźna, realna, rak toczący organizm psychiczny Polski. Równolegle do niszczenia żywych sił narodu prowadzi się podkopy pod jego psychiczną wspólnotę. Całość — żywe sily i psychikę — chce się odurzyć, śmiertelnie osłabić, sparaliżować . . .

Oto największe niebezpieczeństwo grożące dziś narodowi polskiemu. Jeśli nie uda się tej groźby zażegnać, nadejdzie »Finis Poloniae«. Jeśli się uda, ze starcia między Zachodem a Wschodem wyłoni się Rzeczpospolita wspaniała i zwycieska, czerpiąca wielkość z mogil i zgłiszczów, śmiało sięgająca w przyszłość a zarazem wsluchana w zew swej przeszłości, dumna z jej osiągnięć i ucząca się z jej błędów.

LONDYN I RZYM*)

Lord Astor wspomniał niedawno o »typowo brytyjskim zwyczaju nie wyteżania swej logiki zgadzając się na rzeczy, które cudzoziemcowi wydają się sprzeczne«. Cudzoziemiec musi liczyć się z tym brytyjskim zwyczajem i pamiętać, że umysł brytyjski usiłuje z reguły, póki sprzeczność nie jest zbyt jaskrawa, żeglować kursem pośrednim. Nie zawsze jest to możliwe i czasem zajdzie konieczność stanowczego wyboru; w takiej chwili cudzoziemiec, schlebający sobie, że rozumie umysłowość Brytyjczyków, wnioskuje z precedensów i ryzykuje jakiś domysł na temat kierunku, w jakim pójdzie ich decyzja.

Lord Astor miał na myśli sprzeczne hasła »Pelnego Zatrudnienia« i »Wolności Jednostki«, oba jednak gorąco okłaskiwane na niedawnym zjeździe partii konserwatywnej. Cudzoziemca natomiast ciekawi przede wszystkim brytyjska polityka zagraniczna, nie omieszka więc zestawienia powiedzenia lorda Astora z dwiema świeżymi mowami p. Edena, w których kładł on nacisk na znana regule brytyjska »zapobiegania, by Europa nie wpadła pod przewagę jednego mocarstwa«. Słusznie powiedział p. Eden, że Brytyjczycy »stoczyli w tym celu trzy wielkie wojny światowe«. Tych wojen było może nawet więcej, niż trzy i cudzoziemiec zgodzi się chętnie, że o ile istnieje wogóle w brytyjskiej polityce zagranicznej jakaś stała reguła, to będzie nią właśnie ta. Jest rzeczą oczywistą, że W. Brytania nie może dopuścić do tego, by jedno mocarstwo zapanowało nad kontynentem, toteż musi się ona rozprawiać z niekończącą się nigdy koleją takich prób, w obliczu coraz to innych wrogów i u boku coraz to nowych sprzymierzeńców. W dniu, w którymby ta gra ustala, los wysp brytyjskich byłby przesadzony.

*) Artykuł ten ukazał się w języku angielskim w londyńskiej »Weekly Review« z dn. 12. kwietnia 1945 r.

Gra ta powtarza się tak często, że aż nuży swą jednostajnością. Reguły jej są proste: celem pobicia jakiejś rosnącej potęgi W. Brytanii potrzebuje sprzymierzeńców; uczestniczą oni w zwycięstwie i z kolei należy ich zepchnąć na nieszkodliwy poziom. Zdarzyło się to już szereg razy i wydaje się być logicznym następstwem dogmatu o zapobiegawczym kruszeniu rosnącej potęgi. Osłabianie Francji zaczęło się dokładnie w dniu 11. listopada 1918 i choć okazało się błędem politycznym (Francuzi byli już wówczas zbyt słabi, by być groźni), to jednak był to tylko drugorzędny błąd w nawigacji po dobrze wypróbowanym kursie polityki brytyjskiej.

Obecnie powtarza się znów klasyczna sytuacja pobitego wroga i wyrosłego ponad głowę sprzymierzeńca. I tym razem nie było zapewne innego wyboru jak udawać — do czasu — że nie widzi się nowego niebezpieczeństwa; trzeba było zamknąć oczy i uszy i pobić wroga numer jeden, przygotowując się po cichu do rozpoczęcia, skoro tylko padnie ostatni strzał, kroków zmierzających do osłabienia nadmiernie wybujałego sojusznika. Póki W. Brytania trzyma się takiej linii postępowania, cudzoziemiec rozumie o co chodzi i chętnie bierze udział w tej grze, nawet kosztem ciężkich własnych poświęceń. Przestaje on jednak rozumieć kiedy W. Brytania, wykańczając już aktualnego przeciwnika, wydaje się jeszcze ciągle dążyć do wzmocnienia następnego kandydata na władzę kontynentu. Min. Eden, przypominający W. Brytanii jej tradycyjną politykę, a zarazem czyniacy znacznie więcej dla wzmocnienia jej groźnego sojusznika, niż tego wymagają bieżące potrzeby, i wydający jego władzy pół kontynentu, »nie wyteża swę logiki« w sposób, intrygujący najbardziej nawet wyrozumiałego cudzoziemca.

Patrząc na to z boku odnosi się wrażenie, że Brytyjczycy musieli wprawdzie poczynić Rosji wielkie ustępstwa, celem utrzymania jej w wojnie z Niemcami, że zapomnieli jednak całkowicie o potencjalnym niebezpieczeństwie rosyjskim, co wyraziło się w tym, że Rząd Jego Królewskiej Mości oraz partia rządząca prowadzi nadal (choć dotychczasowy wróg jest już pobity) wewnętrzną propagandę na korzyść nowego władcy kontynentu. Jeśli W. Brytania ma zamiar po pobiciu Niemiec obrócić się (politycznie, a nie koniecznie zbrojnie) przeciw przewadze Rosji, robi obecnie błąd; jeśli nie zamierza obrócić się przeciw Rosji, dokonuje zasadniczej zmiany swej polityki. W pierwszym wypadku rząd brytyjski będzie miał do czynienia z ogromną Piątą Kolumną, wyhodowaną w

dużej mierze własnym swoim staraniem, co nie ma precedensu w dziejach W. Brytanii. W wypadku drugim — zasadniczej zmiany polityki — W. Brytania wydaje się oczekiwać zmiłowania od mocarstwa, które dyktuje swą wolę trzem czwartym Europy i którego władca jeszcze zupełnie świeżo napisał (w przeciwieństwie do Hitlera, który twierdził, że zamierza uniknąć starcia z W. Brytanii), że zamierza »obalic imperializm we wszystkich krajach« przy pomocy »szeregu straszliwych starc między Republiką Sowiecką a państwami burżuazyjnymi« (J. Stalin, Problemy Leninizmu, 1937).

Cudzoziemiec nie widzi żadnych nowych okoliczności, przemawiających za zmianą zasadniczej reguły polityki brytyjskiej, domyśla się więc błędu, jednego więcej z szeregu popełnionych przez brytyjską politykę zagraniczną po r. 1918, przy czym obecny błąd wydaje się wynikać z próby sterowania kursem pośrednim między potrzebami narodowymi W. Brytanii, a wymogami międzynarodowych kół rewolucyjnych.

Wydaje się prawdopodobne, że W. Brytania będzie w końcu musiała wrócić do swej tradycyjnej linii politycznej. Obecny wpływ kół międzynarodowych na politykę brytyjską nie może trwać wiecznie; względy czysto narodowe muszą wziąć górę, chodzi tylko o to, jak długa będzie zwłoka i jak wielkie będą szkody.

Doświadczenia okresu 1918/39 dowodzą, że umysły Brytyjczyków odznaczają się dwiema osobliwymi właściwościami, mogącymi utrudnić jasne zrozumienie nowego niebezpieczeństwa i odwiec konieczne środki zaradcze. Pierwszą taką właściwością jest zamilowanie do utopii. W. Brytania jest nie tylko ojczyzną More'a, Bacon'a i Swift'a, którzy wydawali się już dziś mogą przestarzały, jest ona ponadto krajem, który w ciągu ubiegłego dwudziestolecia oddawał się urojeniom na temat rozbrojenia i pasjonował się Ligą Narodów, ku zdumieniu sceptycznie nastawionego kontynentu. Dodajmy, że na obu tych punktach wszystkie odcienie brytyjskiej opinii publicznej były całkowicie zgodne. Wydaje się prawdopodobne, że te same błędy nie powtórzą się; W. Brytania zamierza pozostać uzbrojona i pomaga tworzyć nową Ligę Narodów o takiej szpetocie, że tym razem nikt się już chyba w niej nie zakocha. Tym niemniej skłonność Brytyjczyków do utopii może się okazać pomocną wszystkim tym, którzy będą usilowali przekonać W. Brytanie, że przewaga Sowieców na kontynencie nie grozi jej niczym ze względu na wniosły

charakter bolszewickich idealów. Krótko mówiac może się zdarzyć, że namietność, z którą wielbiono Lige Narodów, może znaleźć nowy przedmiot kultu w komunistycznym nad-państwie.

Druga właściwością, charakteryzująca Brytyjczyków, jest ich niechęć do katolicyzmu. Patrzą oni niechętnie na fakt, że ich wróg numer jeden na kontynencie znowu nie jest narodem katolickim. Jest rzeczą oczywistą, że mocarstwo, które zaczyna rzucać swój cień na Europę, będzie — o ile jest wrogiem Rzymu — korzystało z brytyjskich wahań, będzie mogło czerpać z nieprzebranego zapasu przyjaznych uczuć i liczyć na pomocną dłoń w chwili klęski. Obecny stan rzeczy na kontynencie tak się ukształtował, że W. Brytania nie ma tam żadnych innych naturalnych sprzymierzeńców poza państwami katolickimi; nawet wewnątrz samych Niemiec tylko katolicy są przeciwnikami Prusaków i komunistów. Jak daleko sięgnąć okiem w przyszłość, nie widać dla W. Brytanii na kontynencie żadnych innych sprzymierzeńców poza katolikami. Dwie wojny światowe trzeba było stoczyć przeciw protestanckim (a obecnie nawpół pogańskim) Prusom; dziś, jeśli chcemy uniknąć trzeciej wojny światowej, należy sprowadzić do właściwej roli najbardziej antykatolickie mocarstwo naszych czasów. Czy się to W. Brytanii podoba czy nie, musi ona zawrzeć małżeństwo z rozsądku z Rzymem, choćby nie czuła żadnego pociągu do takiego związku. Gdyby jednak zastarzałe uczucia antykatolickie W. Brytanii miały się okazać zbyt silne albo gdyby ten związek miał się odwrócić aż do chwili, kiedy komunistyczny huragan zmiecie katolicyzm z kontynentu, czarne myśli musiałby ogarnąć wszystkich tych, którzy poza W. Brytania nie widzą żadnej innej siły, zdolnej ocalić Europę przed skokiem w przepaść.

CZY KATOLICYZM PROWADZI NARODY DO UPADKU?*)

Nieszczęścia Polski, Francji, Włoch, Hiszpanii, Irlandii — krajów katolickich — na tle powodzeń Anglosasów, Skandynawów, do niedawna Prusaków, zbuntowanych od lat czterystu przeciw Rzymowi, dają do myślenia. Kontrast ten wykorzystuje szeroko propaganda antykatolicka. Stań się katolikiem, mówi ona do Anglika, a spotka cię los Irlandii czy Polski. Zerwij więzy z Rzymem, mówi do Polaka — będziesz zamożny jak Szwed lub Anglik, będziesz poważany na szerokim świecie jak Czech, będziesz — nawet kiedy nabroisz — korzystał z legendy »dobrego« Europejczyka, zastrzeżonej dla narodów zbuntowanych przeciw Rzymowi. Póki nie zerwiesz swych związków z Papieżem, twierdzi propaganda, będziesz siedział z nieszczęścia w nieszczęście, będziesz zostawał coraz dalej w tyle za postępem, będziesz coraz bardziej pariasem, a coraz mniej partnerem przyzwoitych narodów.

Utarło się wśród katolików schodzić tym zarzutom z drogi, zamiast stawać z nimi do walki. Bogiem a prawda przeciętny, a często i ponadprzeciętny katolik nie zawsze wie, jak się tym zarzutem przeciwstawić. Powodzenie narodów protestanckich bije w oczy; wszystkie argumenty, przeczące temu oczywistemu faktowi, brzmią niepoważnie. Teza katolicka nadaje się doskonale do obrony, o ile sięgnąć do argumentów historycznych, ale argumenty te są mało znane i z góry w wielu wypadkach zdevaluowane »na zapas«. Świat katolicki powinien więc zrobić wielki wysiłek, by zaopatrzyć przeciętnego katolika w pewien zasób podreecznych argumentów, pozwalających zwalczać twierdzenia przeciwników.

A więc jest rzeczywiście niezaprzeczonym faktem, że w R. P. 1944 narodom protestanckim (z bardzo jednak istotnym wyjątkiem Niemców)

*) »W Imię Boże«, Rzym, 1. IX. 1945.

powodzi się dobrze, a narodom katolickim źle. Protestanci przodują światu. Czy dzieje się tak już od Reformacji? Nie. Wreć przeciwnie, protestanci wysunęli się na czoło dopiero w drugiej połowie XVIII wieku. A więc w wieku samej Reformacji przodowały światu Hiszpania Filipa II-go, Austria, Polska, Francja. Wiek XVII był wiekiem Francji Richelieu'go i Ludwika Czternastego; potężnie występuje wówczas jeszcze Austria, Zólkiewski jest na Kremlu a Sobieski pod Wiedniem, Cervantes i Calderon, Velasquez, El Greco i Murillo podtrzymują sławę imperium, w którym słońce nie zachodzi. Jakże prowincjonalnie, zaściankowo, parafialnie wygladają na tym tle purytanie Cromwella i drobne kretactwa księżatek, siedzących na piaskach wschodnio-pruskich i brandeburskich? W r. 1620 z portu Southampton wypływa na statku »May Flower« garstka sekciarzy, którym protestancka Inkwizycja nie dawała życia w rodzinnej Anglii. Jakże daleko od tej garstki »Ojców Pielgrzymów« do wspaniałości Ameryki Fordów i Morgenthauów. Siedemnasty wiek jest jeszcze wiekiem katolików i trzeba się dopiero posunąć głęboko w wiek XVIII, w dwieście lat z góra po Reformacji, by zauważyć na scenie świata wzrastający udział protestantów. Jeszcze raz, na przelomie wieków XVIII i XIX, katolicki naród francuski (aczkolwiek już śmiertelnie zarażony bakcylem antyrzymskim) zadziwi świat i uchwyci na chwile władzę nad kontynentem. Dopiero po jego upadku leadership przechodzi na narody wrogie Rzymowi.

Najwięksi nieprzyjaciele katolicyzmu nie mogą więc zaprzeczyć, że triumf protestantyzmu nastąpił dopiero w dwa przeszłe wieki po Lutrze i Kalwinie, i że triumf ten trwa dopiero sto pięćdziesiąt czy dwieście lat. Czy potrwa na zawsze? Czy potrwa jeszcze długo? Proroctwa są niebezpieczne, ale niektóre rzeczy przyszłe można logicznie wysnuć z faktów obecnych. Faktem jest więc, że w drugiej ćwierci XX wieku protestantyzm umiera na anemii pernicioznej. Krew wyciekła z niego dawno, obecnie ulatuje duch. Myśl, że protestantyzm dzisiejszy mógłby wydać mecenasów (jak wydaje nadal katolicyzm na codzień), wydaje się zabawna. Kościół anglikański jest powłoką bez treści, kościół luterański skapitulował przed hitleryzmem. Frekwencja w kościołach katolickich wzrosła w ostatnim ćwierćwieczu i wzrasta nadal, frekwencja w kościołach protestanckich spadła w dwój- i w trójnasób. Gdyby nie kapitalistyczne bogactwo protestantyzmu brytyjskiego (duża część Londynu,

Edynburga i t. p. stoi na gruntach, należących do kościołów protestanckich), zawałiłby się on rychło; tak jak dziś sprawy stoją, zmurszała budowla, podpierana konserwatyzmem właściwym Anglosasom, stać może jeszcze długo, lub też pod wpływem silniejszego poddmuchu dziejów rozsypać się może od jednego razu. Tak czy owak, w r. 2000 narody protestanckie napewno przewiodą światu nie będzie, gdyż do tego czasu z protestantyzmu zostanie mało co, a wyznawcy jego albo staną się ateistami albo nawrócą do Rzymu. O los natomiast katolicyzmu w r. 2000 obawiać się nie ma powodu; żywiołowy rozrost Kościoła poza Europą może co najwyżej doprowadzić do tego, że większość katolików będzie należała do ras innych niż biała. Tak więc zwycięstwo katolicyzmu w obrębie świata chrześcijańskiego wydaje się rzeczą pewną i niedaleką, a tylko termin tego zwycięstwa wydawać się może sporny. Przyszłe walki religijne toczyć się będą między katolikami a bezbożnikami; protestanci, wymierająca garstka konserwatywnych dziwaków, stanowiąc będą przedmiot lekceważenia i dla jednych i dla drugich.

Taki rozwój wypadków wydaje się prawdopodobny. Dwa wieki górowania protestantów, rzucone na tło dwu tysięcy lat istnienia Chrześcijaństwa, nie wydają się ani czymś nowym, ani szczególnie długotrwałym; schizma bizantyjska trwała blisko tysiąc lat, a i gnoza trwała dłużej od protestantyzmu. Tam gdzie były najsilniejsze jej centra, a t. zw. obecnie Bliskim Wschodzie, gnoza wyjąłowała Chrześcijaństwo i zostawiła pustynie nie tylko religijna, ale i cywilizacyjna. Schizma bizantyjska przygotowała grunt pod bolszewizm. A protestantyzm . . . ?

Dlaczego jednak katolicy zmuszeni byli ustąpić pierwszeństwa protestantom na całe dwa wieki? I dlaczego proces ten miałby obecnie ulec odwróceniu? Powodów można wymienić kilka; są wśród nich trzy szczególnie oczywiste, a mianowicie: rozwód między nauką a Kościołem rzymskim; rozkwit tajnych związków; prawo cyklicznych falowań.

Postępowanie rozwodowe między nauką a Kościołem zaczyna się w wieku szesnastym, od Kopernika i Galileusza, i nabiera intensywności w wieku XVII, przez Kartezjusza i Spinozę. W wieku XVIII rozwód jest już faktem dokonany i »filozofowie«, z pewnymi pozorami słuszności, wbijają w głowy poglądy o »zacołaniu« Kościoła, jako bariery przeciw postępowi nauk. Następuje zjawisko charakterystyczne: Kościół zastęga w postawie negatywnej w stosunku do zdobyczy wiedzy, co u niektórych

prowinjonalnych gorliwców przybiera nawet objawy humorystyczne; w niektórych uczelniach katolickich przeczo no np. odkryciom Kopernika i Galileusza aż po wiek XVIII mimo, że nikomu nie przyszłoby chyba dziś do głowy dopatrywać się w tych odkryciach jakichś elementów, niezgodnych z nauczaniem Kościoła. Podczas gdy Kościół zastyga w postawie obronnej, wiedza unosi się pycha, hipotezy swe zaczyna uważać za dogmaty i na każdym punkcie, na którym odkrycia nauki wydają się sprzeczne z nauczaniem chrześcijańskim, skłonna jest przesadzać, że to właśnie Kościół nie ma racji. Mówiąc krótko, w rozwodzie wiedzy z religią wiedza zgrzeszyła pycha, katolicyzm — bezwładem.

Wiek XIX doprowadza proces ten do szczytu; jest chwila, kiedy wszystkie — dosłownie — tezy nauki wydają się stać w sprzeczności z religią. A potem przychodzi nagły zwrot. Jeśli chodzi o tak zasadnicze dziedziny wiedzy jak chemie i fizyka, zwrot ten odczulem sam na sobie, gdyż w gimnazjum uczono mnie jeszcze fizyki i chemii w postaci pasującej ściśle do doktryn materialistycznych dziewiętnastego wieku, natomiast tuż po ukończeniu przeze mnie studiów przyszedł zasadniczy zwrot, który czolowym astrofizykom naszych czasów w osobach Jeansa i Eddingtona kazal zatrzeć granice między duchem a materią, uznać indeterminizm (odpowiednik naukowy chrześcijańskiej wolnej woli) za podstawę świata fizycznego, a istnienie Boga za logiczny wniosek ze współczesnych badań naukowych. Podobna ewolucja, mniej lub więcej wyraźna, zaszła we wszystkich galeziach wiedzy; Pasteur, gorliwy katolik, uchodził jeszcze za oryginała, a może nawet dziwaka; dziś uczony ateusz traci dziewiętnastowiecznym zacofaniem.

W przeciwieństwie do niedawnych czasów, wiedza posuwa się dziś w wielu wypadkach zbieżnie z nauczaniem katolickim, że wymienię tu tylko socjologię (Muir), psychologię (Jung), ekonomię (Keynes), medycynę i biologię (Carrel), filozofię (Bergson) i t. p. Czego jeszcze brak, to unowocześnienia nauki Kościoła w sensie podawania starych prawd w nowoczesnej szacie naukowej; z chwila, gdy to nastąpi, doktryna katolicka ukaże się oczom współczesnych jako najpostępowszy sposób myślenia o sprawach nie tylko wiecznych, ale i doczesnych. Atrakcyjność katolicyzmu i jego przewaga — w szczególności nad protestantyzmem i ateizmem — spotęgują się wówczas niepomierne.

* * *

Drugim powodem katastrofalnego osłabienia katolicyzmu na przestrzeni ostatnich dwu wieków były tajne związki.

Aczkolwiek korzenie ich sięgają konspiracji humanistycznych XV wieku oraz konspiracji protestanckich wieku XVII (Różokrzyżowcy), to jednak masowy rozrost tajnych związków przypada dopiero na wiek XVIII. Lektura bull i encyklik papieskich, poświęconych temu tematowi, poczynając od bulli Papieża Klemensa z r. 1738, dowodzi, że Stolica Apostolska uważała i uważa nadal te związki za jedno z głównych niebezpieczeństw zagrażających Kościołowi, z którym współzawodnicza one, próbując na swój sposób zaspokoić potrzeby człowieka z dziedziny rytuału, symboliki i mistyki, wychowania i poglądu na świat. Największy z Papieży czasów nowszych, Leon XIII, poświęcił im szczególnie dużo uwagi. Czytelnik jego wypowiedzi musi się dopatrzeć w działalności tych związków jednej z głównych przyczyn osłabienia katolicyzmu, przez rozłożenie od wewnątrz i sparaliżowanie narodów katolickich. Badając historię tych narodów za ostatnie dwieście lat widzimy na każdym kroku nieublagane, zaciekle, fanatyczne działanie tej piątej kolumny, sabotujące każdy wysiłek tych narodów, przy czym wychodzi to niezmiennie na korzyść narodów protestanckich. I tu należy jednak stwierdzić, że widoki narodów katolickich zaczynają się ostatnio polepszać na skutek postępującego zdekonspirowania tajnych związków, ich istoty, metod i organizacji. Jeszcze ćwierć wieku pracy uświadamiającej wśród społeczeństw katolickich, a korzenie tajnych związków zostaną podcięte. Spotka je to, co spotyka każda piąta kolumna, której działalność ma powodzenie tylko do czasu.

* * *

Wreszcie trzeci z motywów osłabienia katolicyzmu — to prawo cyklu. Znajda się może czytelnicy, którzy zechcą kwestjonować działanie tego prawa w stosunku do instytucji pochodzenia Boskiego, jaka jest Kościół. Skoro jednak nieomylność Papieży ograniczona jest dogmatycznie tylko do pewnych — i to wyjątkowych — fragmentów ich działalności, a poza tym Kościół, jako instytucja doczesna, podlega naturalnym niedoskonałościom indywidualnej i społecznej natury człowieka, to wolno przyjąć, jak tego zreszta dowodzą dzieje, że i Kościół podlega

cyklicznym falowaniom, cechującym wszelkie poczynania ludzkie z ich następującymi po sobie fazami pomyślności i niepowodzenia, przyplwy i odpływu, energii i zniechęcenia. Fazy te obserwujemy zarówno w życiu poszczególnych jednostek, jak i grup społecznych, firm, stowarzyszeń, społeczeństw, narodów. Najjaskrawiej wyraża się to może w życiu gospodarczym, z jego regularną kolejnością koniunktury i kryzysu; podobne objawy, choć w formie mniej może jaskrawej, obserwujemy również w życiu politycznym, gdzie po okresach wielkiej aktywności następują okresy zastoju.

Prawo cyklu tłumaczy się łatwo: w epoce gorączkowej działalności człowiek czy społeczność popełnia błędy, niedociągnięcia i niedopatrzania, które sumują się i po pewnym czasie nie tylko hamują dalszy rozwój, ale wywołują nawet procesy wsteczne, trwające tak długo, póki braki nie zostaną usunięte i całość nie scharmonizuje się w sposób pozwalający na ponowny marsz naprzód. T. zw. cykl koniunktury gospodarczej dokładnie zbadano i wyświetlono; uzyskane tam wnioski zachowują ważność i dla innych dziedzin działalności ludzkiej.

Kościół na przestrzeni dwu tysięcy lat swego istnienia przechodził szereg faz szybkiego wzrostu, a następnie zahamowania; zgodnie z prawem cyklu rozwój jego nie był równomierny, lecz okresowy. Głównymi okresami zahamowania Kościoła były »ciemne wieki« po upadku Cesarstwa Rzymskiego, epoka humanizmu kulminująca w Reformacji i wreszcie wieki osiemnasty i dziewiętnasty, po wypaleniu się płomienia Kontr-reformacji. Niezależnie od tych wielkich falowań zachodziły falowania mniejsze, jak np. depresja na przełomie dwunastego i trzynastego wieku, z której Kościół wyrwany został wysiłkiem św. św. Franciszka, Dominika i Tomasza z Akwinu. Rozumując historycznie wydaje się niewatpliwe, że Kościół jest obecnie w trakcie wychodzenia z okresu wielkiej depresji w fazę zwiększonej aktywności; objawy tego obserwujemy lepiej może jeszcze na kontynentach poza-europejskich, niż w starej i być może nieuleczalnie chorej Europie. Jednym z objawów uzdrowienia Kościoła jest jego ofensywa na polu sprawiedliwości społecznej, dzieje ucza bowiem, że każde wejście Kościoła w okres wzmożonej preżności wyrażało się zawsze zwiększonym naciskiem na sprawiedliwość społeczną. W wieku XIX Kościół wycofał się do zakrystii; encyklika »Rerum Novarum« uważa się słusznie za wypowiedź prze-

lomowa, gdyż stanowi ona pierwszy po dwóch wiekach sygnał, że Kościół wchodzi w nową fazę rozwoju.

Należy do tradycji Kościoła, że fazy takie zaczynają się od pojawienia wielkich świętych o zacieciu społecznym. Chwila jest dla nich sposobna — Kościół na nich czeka.

Protestanckie społeczeństwa stać już tylko na wydawanie wielkich pogan — laickich medrców i komunistycznych bojowników. W rozgrywce między tymi ludźmi a świętością wielkich katolików rozstrzygnie się przyszłość świata.

DWIE PLASZCZYZNY NACJONALIZMU*)

Słowa »nacjonalizm« można nie lubić — osobiście nie lubię go — ale określa ono objaw socjologiczny, którego niedostrzeżenie nie zda się na nic. Jakże niepoważnie brzmią podejmowane, tak często w życiu polskim próby tłumaczenia nam, że nacjonalizm jest objawem nieznanym »Wielkim Demokracjom Zachodu«, a w szczególności nieznanym »dobrym Europejczykom«. Kiedy w r. 1940 tysiące Polaków znalazło się na terenie Anglii, jednego z najbardziej nacjonalistycznych krajów świata, jeszcze ciągle próbowano im tłumaczyć, że powinni się wreszcie wyzbyć nacjonalizmu — propozycja, mniej więcej równie realna, jak pozbycia się watroby czy śledziony. Można się spierać, czy nacjonalizm stanowi blask czy cień życia zbiorowego; należy się starać świadomie nim kierować, a nie ślepo mu ulegać, wszelkie jednak próby wykorzenia go nie zdadza się na nic.

Jeśli chodzi o współczesną W. Brytanię, to niema żadnych podstaw do twierdzenia jakoby labourzyści byli mniej nacjonalistycznie nastawieni od konserwatystów, Attlee mniej od Churchill'a, Bevin mniej od Eden'a; co więcej, dwaj czolowi przywódcy intelektualistycznej lewicy brytyjskiej, prof. Laski (w r. 1945 przewodniczący Labour Party) oraz V. Gollancz, główny wydawca publicystyki lewicowej, przyznali się ostatnio obaj do nacjonalizmu żydowskiego (Syjonizmu).

Tych Polaków, którzy ulegają jeszcze ciągle sugestii, że na Zachodzie człowiek »na poziomie« nie jest nacjonalista, odsyłam do niezliczonych wypowiedzi uczonych anglosaskich**), dla których nacjonalizm jest zjawiskiem psychicznym równie naturalnym jak uczucia rodzinne (która to ostatnia forma uczuć próbowano w naszych czasach również z

*) »Universum«, Monachium, marzec-kwiecień 1946.

**) Patrz »Teoria narodu«.

wielu stron podać w wątpliwość). Stosunek katolików do nacjonalizmu wyjaśnił Papież Pius XI w Encyklice »Caritate Christi Compulsi« (1932), w której wyraził przekonanie, że »słuszny porządek chrześcijańskiego miłosierdzia nie stoi w sprzeczności z prawą miłością do swego kraju i z uczuciem usprawiedliwionego nacjonalizmu.«

* *

*

A więc normalnemu człowiekowi współczesnemu nie tylko wolno być nacjonalistą, bez »obniżenia swego poziomu« — co więcej nie wolno mu nie być nacjonalistą pod groźbą narażenia się na zarzut, że ma zasadniczy brak psychiczny. Wśród szesnastu polskich polityków, sadzonych w r. 1945 w Moskwie, nie było ani jednego nie-nacjonalisty, choćby ich cześć wzdragała się nawet na sam dźwięk tego słowa. Nacjonalista — typowym — jest stary niepodległościowy socjalista premier Arciszewski; nacjonalista był śp. Witos; nacjonalistami byli nie tylko Reymont i Dmowski, ale Zeromski i Piłsudski. Nacjonalistami byli zarówno Hitler jak i Churchill.

I właśnie dlatego nie lubię słowa »nacjonalizm«. Nie lubię go dlatego, że jest tak wyświechtane i wieloznaczne, tak zdarte i zużyte i nadużyte, podobnie jak słowo »demokracja« czy pojęcie »woli ludu«. Skoro nacjonalistami byli zarówno Clemenceau jak i Wilhelm II, skoro demokratami byli i Roosevelt i Stalin — a wszak pojęcie, że w Rosji panuje »demokracja gospodarcza«, zakorzenia się coraz silniej na Zachodzie — terminy te stają się dziwnie jałowe. Genialny socjolog włoski Vilfredo Pareto radził w takich wypadkach, by najpierw określić dokładnie, o jakie zjawisko chodzi, a następnie oznaczyć je, jak się to zwykle robi w matematyce czy fizyce, jakąś literą »x« czy »lambda«. Według metody Pareta należałoby więc powiedzieć: istnieją w naszych czasach pewne społeczności naturalne, o liczebności nie mniejszej od paru milionów, które w rozumieniu ogromnej większości swych członków stanowią właściwy podmiot dziejów ludzkości, pojętej jako »rodzina kilkudziesięciu narodów« (w przeciwieństwie do »internacjonalistów«, którzy widzą ludzkość jako zbiorowisko dwu miliardów pojedynczych ludzi). Otóż człowiek, który pojmuję ludzkość jako »rodzinę narodów«, a ponadto rozumie również, że powodzenie tej rodziny zależy od zgody między jej członkami i od możliwie wielkiego powodzenia materialnego i duchowego

wego wszystkich jej członków, a nie od zżerania się ich między sobą, będziemy w dalszych naszych rozważaniach określali litera »delta«, a jego sposób myślenia i odczuwania — jego t. zw. światopogląd — »deltyzmem«. Niniejszy artykuł powinienby więc mieć tytuł »Dwie płaszczyzny deltyzmu«.

Dla wygody — powiedziałby dalej Pareto — będziemy zamiast słowa »deltyzm« używali w naszych rozważaniach po staremu słowa »nacjonalizm«; ilekroć jednak razy któremuś z naszych czytelników miałyby się nasunąć wątpliwości, co mamy na myśli, niech w miejsce słowa »nacjonalizm« podstawią słowo »deltyzm« i zaglądnie do podanej powyżej definicji »deltyzmu«. W tym rozumieniu nacjonalista-deltysta był Wilson, a nie był nim Hitler (bo tępił inne narody).

Napisaliśmy powyżej, że nacjonalista uważa naród za »naturalną« grupę społeczną. Istnieją oczywiście i inne naturalne grupy, jak np. rodzina, gmina wiejska czy miejska, korporacja zawodowa, społeczność religijna, społeczność regionalna (np. górale, Wielkopoleanie itp.). Naturalna grupa, o zasięgu szerszym niż naród, jest dziś Kościół katolicki, a była jeszcze do niedawna społeczność narodów chrześcijańskich białej rasy. Otóż uczeni zajmujący się psychologią społeczną twierdzą, że człowiek normalny powinien mieć prawidłowo rozwinięte wszystkie uczucia grupowe swego środowiska. Człowiekiem o psychice w pełni rozwiniętej będzie więc np. Polak, który jest nacjonalista (deltysta), ma prawidłowo rozwinięte uczucia regionalne (np. wielkopolskie), uczucia zawodowe (np. nauczycielskie), uczucia patriotyzmu miejscowego (np. w stosunku do Leszna) oraz uczucia rodzinne. Z drugiej strony Polak ten powinien być również przywiązany do jakiejś uniwersalistycznej wspólnoty (u większości Polaków będzie to wspólnota katolicka); Polaka takiego powinno ponadto stać na prawidłowe rozstrzygnięcia psychiczne i emocjonalne we wszystkich wypadkach, w których uczucia przywiązania do poszczególnych grup społecznych, do których przynależy, wejda z sobą w konflikt. Nacjonalista powinien więc umieć się zdobyć na przyznanie (jakże trudna to rzecz!), że jego naród w jakimś wypadku nie ma słuszności w stosunku do innego narodu czy Kościoła.

* *
*

Jak już wspomnieliśmy, do pełni psychicznej człowieka należy w naszych czasach uczucie do narodu. Kto go w sobie nie czuje, jest dzisiaj (za kilkaset lat może być inaczej) człowiekiem psychicznie nienormalnym. Spotykając szczególny typ rzymskiego arystokraty, traktującego lekko swą włoskość, a wyznającego patriotyzm »watykański«, czy też urzędnika wielkiej organizacji międzynarodowej, czującego się wyższym nad wiezi narodowe, nastawiamy się instynktownie z pewną ostrożnością, jakby do ludzi niezupełnie normalnych.

Nie zawsze jednak uczucia narodowe należały do zasadniczych atrybutów prawidłowo rozwiniętego człowieka. Nowoczesny naród powstał dopiero na początku czasów nowożytnych; uprzednio wystarczał człowiekowi widnokrąg życiowy ograniczony do Burgundii, Kastylii czy Mazowsza, z dodatkiem feudalnego przywiązania do suzerena Francji czy Hiszpanii. W klasycznej Grecji ówczesny »deltysta« miałby prawidłowo rozwinięte uczucie do swych Aten czy Sparty, normalny zespół uczuć grupowych węższego zakresu (a więc lokalnych, zawodowych, rodzinnych, rodowych itp.), a powyżej rodzinnego miasta czułby może jeszcze więź psychiczną, łączącą go z religijną wspólnotą eleuzyjską czy orficką. Chociaż więc wiązania psychiki zbiorowej pozostają niezmiennie i niezmiennie żądają od nas pełnej hierarchii uczuć grupowych, to rodzaj tych grup zmienia się zależnie od okresu dziejowego. Za Kazimierza Wielkiego wśród uczuć społecznych Polaka górowało przywiązanie do Korony Polskiej; w trzysta lat później szczytowym jego afektem społecznym było uczucie dla Rzeczypospolitej; rdzenna Polska, Litwa czy Ruś zaczynały wówczas stawać się pewnego rodzaju ściślejszymi ojczyznami (»Litwo, Ojczyzno moja«).

Na wyspie brytyjskiej plonęły w wieku szesnastym gorącym płomieniem nacjonalizmy angielski i szkocki; dziś można już tylko mówić o regionalizmie szkockim, a hałaśliwi dziś bardzo t. zw. nacjonaści szkoccy używają tego słowa niewłaściwie, gdyż w istocie rzeczy prowadzi tylko słuszną walkę o przywrócenie Szkocji właściwej miary autonomii regionalnej, kosztem nadmiernego centralizmu Londynu. Nie wątpię natomiast, że gdyby się było udało Hitlerowi zająć wyspę brytyjską (albo gdyby się to miało udać w przyszłości komuś innemu), podjęto by próbe ponownego rozłożenia »wielkiego narodu« brytyjskiego na jego części składowe i ponownego dźwignięcia uczuć szkockich i walijskich z płaszczyzny

regionalnej na płaszczyźnie narodowej. Coś w tym rodzaju przydarzyło się niestety Polsce, w której za Kazimierza Wielkiego nacjonalista (w sensie »delta«) był Polakiem, za Władysława IV był obywatelem Rzeczypospolitej, a w r. 1930 był znów Polakiem, droga wstecznego procesu psychologicznego spowodowanego systematyczną akcją zaborców, rozkładających jagiellońską wspólnotę narodową. Klasycznie rysuje się ten proces w naszych oczach w formie brutalnego nacisku Moskwy na odtworzenie Polski »etnicznej«, zamieszkałej tylko przez Polaków; niezmiernie wysiłki idą z Moskwy w kierunku rozbudzenia w Europie Wschodniej nacjonalizmów typu zżerającego się nawzajem. Chodzi o to, by na obszarach Miedzymorza nie zawiązały się jakiegokolwiek wiezi psychiczne rzędu wyższego od etnicznej wiezi polskiej, czeskiej, litewskiej czy ukraińskiej.

Patrząc dziś na całą powierzchnię naszej planety widzimy, że mocarstwa, które na to stac, starają się wiazać swe poszczególne grupy narodowościowe wiezami uczuć psychicznych rzędu ponad-etnicznego; na obszarach natomiast, które pragną dezorganizować i poddać swej władzy, mocarstwa te rozpalają do białego żaru nacjonalizmy etniczne. Od Litwy po Indonezję, od Czech po Burmę i Koreę, nacjonalizmy etniczne palą się coraz żywym, podsycanym systematycznie od zewnątrz, płomieniem. I u nas spotykamy niestety dużo ludzi, którzy halaśliwe objawy polskiego nacjonalizmu etnicznego wydają się braci za objaw zdrowia psychicznego narodu.

Wracam do myśli rzuconej przed chwilą, że wielkie mocarstwa hodują u siebie świadomie uczucia nacjonalistyczne rzędu wyższego (które w jednej z moich prac nazwałem »wielkonarodowymi«), dezorganizują natomiast celowo swoje »sfery wpływów«, niecał tam nacjonalizmy etniczne. O przykłady nietrudno. Rosja i Niemcy świadomie przeszkadzały rozwojowi nacjonalizmu wyższego rzędu na obszarach Miedzymorza; akcje swoją prowadziły one — i prowadzi nadal — z żelazną konsekwencją, judząc na Polaków wszystkie ościennie narody i judząc równie skutecznie Polaków przeciw wszystkim ich pobratymcom. Należy przyznać, że ze swego punktu widzenia postępują Sowiety prawidłowo zwalczając wszelkie koncepcje Miedzymorza, jagiellońskie, federalne, zachodnio-słowiańskie itp. i starając się stworzyć etniczną »Polskę Krzywoustego«; my natomiast powinniśmy się im rewanżować propa-

gując na całym świecie koncepcje unieszkodliwienia sowieckiego kolosa przez rozłożenie go na jego składniki etniczne, posługując się w tym celu tłaczami tak silnie na terenie Z.S.R.R. nacjonalizmami etnicznymi. Czas już najwyższy, byśmy się i my nauczyli posługiwać tym niesłychanie potężnym środkiem działania politycznego, jakim jest świadome operowanie niższą i wyższą płaszczyzną nacjonalizmu; czas i nam wreszcie zrozumieć, że należy wzmacniać siebie, dążąc do przesunięcia swego nacjonalizmu na poziom wyższy, a osłabiać wroga, spychając go na poziom etniczny.

* * *

Przypatrzmy się teraz działaniu tej zasady w praktyce. Do stłumienia powstania warszawskiego użyli Niemcy dywizji SS, złożonej w dużej części z Ukraińców; dywizja ta, dowodzona przez oficerów niemieckich, dopuszczała się szczególnych okrucieństw w czasie walk na Ochocie, a po jej zajęciu powierzyli Niemcy tej właśnie dywizji eskortowanie ludności ewakuowanej z Warszawy do Pruszkowa, przyczem ukraińscy SS-manni dopuszczali się znów straszliwych gwałtów i rabunków. W pojęciu Niemców, którzy już od lat stu systematycznie dążą dośmiertelnego skłócenia Polaków z Ukraińcami, taktyka zastosowana w Warszawie była celowa; każdy natomiast Polak, który podkreśla dziś z lubością (a czynią to miliony Polaków), że to właśnie Ukraińcy gnali Warszawian do Pruszkowa, właśnie Ukraińcy dopuszczali się gwałtów itp., kontynuuje zamierzenia Niemców. Tak jest, kontynuuje, i słaba to pociecha, że czyni to w najlepszej wierze. Nie pisze tego bynajmniej dla usprawiedliwienia tych Ukraińców, którzy Niemcom służyli i gwałtów na Polakach się dopuszczali i zioną do nas żywiołową nienawiścią, do której rozbudzenia przyczynili się i Niemcy i Rosjanie i my sami. Pisze to dla uzmysłowienia czytelnikowi polskiemu faktu, że jeżeli będziemy sami pomagali naszym wrogom do spychania siebie w klebowisko antagonizmów etnicznych, to widoki zorganizowania Miedzymorza spadną do zera i mały etniczny narodek polski zostanie wcześniej czy później wchłonięty przez wschodniego czy zachodniego sąsiada.

W ciągu dwudziestolecia 1919/39 miotaliśmy się między koncepcją nacjonalizmu etnicznego, a koncepcją stworzenia narodu »państwowego« w ramach Rzpltej »ryskiej«. Obie te koncepcje były nierealne:

pierwsza, bo etniczny naród polski, nieuchronnie skłócony z etnicznymi nacjonalizmami Ukraińców, Litwinów, Czechów itp., nie ma widoków utrzymania się w części Europy tak narażonej na przeciagi dziejowe jak nasza; koncepcja druga, narodu »państwowego«, rozbiła się o niemożność wciągnięcia do ponadetnicznej wspólnoty narodowo-państwowej wszystkich elementów ówczesnej ludności Polski. Obie więc koncepcje, i »narodowa« i »państwowa«, były równie nierealne i w tej ślepej ulicy zastała nas wojna.

Sześć lat wojny otworzyło oczy większości Polaków na konieczność wejścia w bliższe związki z narodami sąsiednimi. Od opracowań na temat unii, federacji, Miedzymorza, roi się w polskiej publicystyce lat ostatnich. Popelnia się przy tym jednak pewien zasadniczy błąd, który jeszcze świeżo znalazł wyraz w deklaracji Środkowo-Europejskiego Klubu Federalnego w Londynie. Sformulowano tam postulat, by »w ramach Środkowo-Europejskiej Federacji każdy naród miał pełne prawa do zachowania swej indywidualności narodowej, do uprawiania i rozwoju swej własnej kultury i wychowania w tym duchu swej młodzieży«. Otóż śmiem twierdzić, że postulat ten (mający ulagodzić etnicznych nacjonalistów i pozyskać ich dla idei federalnej) jest możliwy do spełnienia tylko częściowo. Jeśli chcemy rzeczywiście związać szereg narodów w związek trwały, który nie rozleci się pod wpływem byle intrygi byle sasiada, wszystkie nasze narody będą musiały ponad swymi indywidualnościami narodowymi stworzyć jedną kulturę i jedną świadomość narodową wyższego rzędu. Inaczej nie zbudujemy nic trwałego.

Czy taka wspólnota jest wogóle możliwa? Czy pozwoli na to rozpalające się — czy też rozpalane — coraz gorzej nacjonalizmy etniczne polskie i czeskie, ukraińskie i litewskie? Rozpalane, po zejściu z areny Niemców, systematycznym wysiłkiem Sowietów? Odpowiedź na to jest trudna, jedna rzecz jest jednak oczywista: Miedzymorze zorganizuje się tylko w wypadku, jeśli na pewien czas zejda z placu rozbijające siły ościennych mocarstw, i jeśli chwile te potrafią narody Miedzymorza odpowiednio wyzyskać. Chwila taka nastąpić może niezadługo, stwarzając sposobność dziejową, która może się już więcej nie powtórzyć. Sposobność ta rozbić się jednak może niezmiernie łatwo o rafy rozpasanych nacjonalizmów etnicznych.

Ze nacjonalizmy te będą rozpasane, to wydaje się rzeczą nieuchronną;

chcąc temu przeciwdziałać powinniśmy zacząć od »uszlachetnienia« tego nacjonalizmu, na którego przebieg mamy wpływ bezpośredni, a więc nacjonalizmu polskiego. Jeśli chcemy, by doszło do zacieśnienia więzów między narodami Miedzymorza, powinniśmy zacząć od dźwignienia naszego własnego nacjonalizmu na płaszczyznę wyższą, z angielskiej na brytyjską, z piastowskiej na jagiellońską, z państwa »narodowego« na państwo, łączące szereg narodów w państwowo-narodową wspólnotę, nie zaniedbując przy tym uczuć miłości i przywiązania do własnej, najbliższej nam ojczyzny etnicznej. Takie zaniedbanie — chce to podkreślić w tym miejscu bardzo silnie — byłoby równie ciężkim błędem, jak ograniczenie się do wyłącznego kultu własnego etnicznego narodu.

Skoro zrozumiemy konieczność dźwignienia naszych uczuć narodowych, wnioski narzucają się same: zrozumiemy wówczas, że do Pruszkowa pedzili Polaków — Niemcy; że obecne spory polsko-czeskie są wytworem poduszczeń ze strony Sowietów oraz pewnych sił międzynarodowych, a po części skutkiem rozpalenia się etnicznych nacjonalizmów polskiego i czeskiego; że hajdamaczyzna ukraińska na Wołyniu, bez względu na źródła jej inspiracji, miała na celu dalsze pogłębienie przepaści między dwoma pobratymczymi narodami, i że naszym obowiązkiem jest zdobyć się na mniej namietne i bardziej rozważne podejście do spraw narodowościowych, niż stac może na to obecnie Ukraińców, Litwinów i Czechów.

Nie znaczy to, byśmy mieli po marzycielsku rezygnować z obszarów, które mamy sporne z innymi narodami, jeśli słuszność leży po naszej stronie. Puszczaniem, klajstrowaniem, lagodzeniem, internacjonalizmem, naiwnością, monachijskim »appeasement« niczego się nie załatwia i przygotowuje się tylko przyszłe konflikty. Ale powinniśmy się zdobyć na postawę człowieka dojrzałego, który panuje nad swymi odruchami uczuciowymi i nie daje się im sprowadzać na drogę, która jego rozum uzna za słuszną. Oprzyjmy się checi grania na prymitywnym nacjonalizmie tłumów polskich, któremu zawsze oddzwieczy echem nacjonalizm tłumów ościennych. Zdobądźmy się — jakże niezmiernie trudna to rzecz — na postawę beznamietną wobec Litwinów, Czechów i Ukraińców; wspólnie z nimi szukajmy wyższych narodowych rozwiązań i dyscypliny własnych nacjonalizmów.

BRONIE ANGLIKOW*)

Niebezpieczne to przedsięwzięcie. Kilka razy siadałem już do pisania i zawsze w końcu tchórzylem. Anglicy — co tu obwijać w bawelne — nie cieszą się dziś wśród Polaków dobrą sławą; wymyślać na nich należy do dobrego tonu — bronić ich naraża na zarzut, że się »coś w tym ma«, że się już jest na ich służbie lub że się chce coś u nich na przyszłość sobie zaskarbic. Co gorzej, broniacy Anglików naraża się nie tylko ich »żercom« czy »fobom«, ale i tej odwrotnej kategorii rodaków, których służalstwo względem możliwych tego świata stanowi jedną z najciemniejszych plam naszego uchodźstwa i którzy zawsze powiedzą, że obrona nie była dość gorliwa. Mimo wszystko, świadom ryzyka, które bierę na siebie, bronię Anglików, nie dla osobistych korzyści ani też dlatego, by działa im się z naszej strony krzywda, gdyż są oni doskonale na to obojętni, co my o nich myślimy, ale ponieważ oburzenie się na Anglików wyrządza krzywdę nam samym, utrudniając nam prawidłową rozgrywkę polityczną ze światem anglosaskim. Oburzenie jest źródłem czynów nieprzemysłanych, a w najlepszym razie boczenia się i dasów; skoro nie jest w naszej mocy zmienić Anglików, powinniśmy dążyć do ich zrozumienia i do ułożenia sobie stosunków z takimi, jakimi są naprawdę, a nie jak ich sobie uroiliśmy.

Do niedawna wielu Polaków wyobrażało sobie Anglików jako międzynarodowych filantropów, którzy dopłacają biedą do Polski i czuwają bezinteresownie nad jej rozwojem i dobrobytem. W styczniu 1941 jeden z najwybitniejszych młodszych oficerów naszej Marynarki Wojennej tłumaczył mi, że po wojnie Polska powinna oddać się całkowicie w ręce Anglików; niech nas urządzają i nami rządzą. Powiedziałem wówczas temu panu, że Anglicy są organicznie niezdolni do rządzenia kimś innym

*) »Universum«, Monachium, czerwiec-sierpień 1946 r.

na korzyść jego a nie swoją, my zaś nic ich nie obchodzimy, gdyż w naszym katku Europy żadnej korzyści dla siebie dopatrzeć się nie mogą. Ten sam marynarz przeszedł przed rokiem na stronę pp. Bieruta i Gomułki, powodowany zapewne żalem do Anglików, że tak srodcie zawiedli jego nadzieje. Jakie nadzieje, takie i ich spełnienie; od złudzeń do śmieszności droga niedaleka, a że śmieszność graniczy blisko z tragedią (jak to wykazał w swych sztukach pewien wielki Anglik nazwiskiem Szekspir), więc złudzenia nasze co do Anglików więcej mogą nas kosztować tragedii niż groteski.

Brytyjczycy — twierdzą to z uporem — są największym narodem naszej epoki; wycisnęli na niej znamie głębokie i niezatarte, znacznie chętniej niż Włosi na wieki XVI czy Francuzi na wieki XVIII. Od Brytyjczyków zaczęła się ludzkość: główne instytucje 'dzisiejszego świata jakoto ustrój parlamentarny, kapitalizm i masonerie; oni stworzyli największe imperium; ich dzieckiem (chociaż źle, zdaniem Brytyjczyków, wychowanym) są Stany Zjednoczone, szykujące się do objęcia spadku po starzejącej się W. Brytanii; Brytyjczykami byli Darwin i Shaw, Chesterton, Aldous Huxley i T. S. Eliot, Keynes, Rutherford (odkrywca budowy atomu) i Fleming (wynalazca Penicyliny). Brytyjczykom zawdzięcza świat football i tenis, brydża i pingponga, pieniądz papierowy i krawat w paski, maszyny parowe i pierwszy czołg. Są oni wspaniałymi organizatorami, i to zarówno na mete dłuższą jak i w gorączce improwizacji; żadna siła zbrojna — poza chyba starorzymskimi legionami — nie dorówna doskonałości British Navy, żaden uniwersytet świata dostojności Cambridge czy Oksfordu, żadna biblioteka British Museum, żaden Bayreuth szekspirowskiemu Stratford'owi. Na boiskach sportowych Eton'u zaprawiali się przyszli zwycięscy spod Waterloo i El Alamein. Wielu śmiarków, od Napoleona po Hitlera, próbowało pociągnąć lwa brytyjskiego za ogon, i koniec ich był żalony. Niestety lew ten w ostatnich latach traci płodność i zaczyna mu brakować lwiatek do zaludnienia imperium, rozrzuconego dokoła siedmiu mórz. Brytyjczycy cierpią dziś na kompleks niższości narodu czterdziestosiedmiu milionowego w świecie zatłoczonym, w którym mocarstwo zaczyna się dopiero powyżej stu milionów. Churchill powiedział kiedyś, że Szkotom zarzucić można tylko to jedno, że jest ich zbyt mało; powiedzenie Churchill'a stosuje się dziś już i do Brytyjczyków.

Brytyjczycy przywykli posługiwać się w polityce międzynarodowej pewnymi metodami, które przeszły im w kość i krew; naród, chcąc wchodzić z nimi w jakiegokolwiek stosunki, powinien te metody przestudiować i dostosować do nich własne postępowanie, nie zużywając zbyt wiele energii na ich »demaskowanie« czy »pietnowanie«. Jeden z intelektualistów brytyjskich, bedący zarazem dygnitarzem kościoła anglikańskiego, powiedział mi w r. 1945, tuż po zwycięstwie nad Niemcami: »Ze nasze postępowanie w stosunku do Rosji i Polski było dyktowane przez expediency (dogodność) a nie względy moralne, to jasne, ale nasza polityka była zawsze taka i szkoda nad tym dyskutować. Wydaje mi się jednak, że postępowanie nasze było w tym wypadku błędne i że dało nam więcej strat, niż korzyści.« W tym »pragmatycznym« (mierzącym zamiary na skutki) ujęciu leży istota metody brytyjskiej. Krok tu już tylko do zasady »cel uświęca środki«, demoralizującej tego, kto ją stosuje; świadomi tego niebezpieczeństwa Brytyjczycy chronią swego zdrowia moralnego przy pomocy tylokrotnie przez cudzoziemców odkrywanej (na swą szkodę) właściwości dorabiania usprawiedliwień moralnych do każdej akcji, dyktowanej przez czysty egoizm narodowy. Ktokolwiek miał sposobność obserwować zbliska Anglików, wie, że skoro tylko interes brytyjski (uznany za taki przez ogół) wymaga jakiegoś działania międzynarodowego niezbyt licującego z moralnością, idzie odrazu w ruch rozbudowana szeroko aparatura, służąca do synchronizacji interesu narodowego z odczuciem moralnym. Ida w ruch ambony i artykuły wstępne, zebrania dyskusyjne i mównice w Hyde Park'u. W innych narodach dzieje się to samo, ale tam płatni »usprawiedliwiacze« fabrykują cynicznie wybiegi i wykrety; oryginalność Brytyjczyków polega na tym, że oni — dorabiając moralne argumenty do przyziemnych interesów — wierzą na prawdę w siłę tych argumentów; w tym dorabianiu biorą udział w najlepszej wierze najcięższe mózgi narodu, ludzie stojący na wysokim poziomie intelektualnym i etycznym. Oto charakterystyczny przykład tej metody: przecietny Anglik wierzy świącie, że jego cecha narodowa jest sympatia dla »underdog«, dla tego słabszego pieska, którego dusi silniejszy. I rzeczywiście, w sporze Hitler-Polska czy też Stalin-Grecja sympatie Brytyjczyków były po stronie słabszego; natomiast — tak się jakoś dziwnie złożyło — w sporze Rosja-Polska »underdog'iem« stali się Ukraińcy i Białorusini, uciskani przez

brzydkich polskich »landlordów«, co pozwoliło Brytyjczykom stanąć z czystym sumieniem po stronie Rosji przeciw Polsce.

Sprawiedliwość nakazuje stwierdzić, że W. Brytania ma wielu ludzi, przykładających do polityki zagranicznej rzetelne miary moralne; ludzi takich jest w W. Brytanii napewno niemniej niż w innych krajach; zdzierają oni bezlitośnie wszelkie obsłonki, tkane przez hipokryzję, i rzucają swym rodakom w oczy naga prawdę o ich postępowaniu. Z artykułów i listów pisanych w prasie brytyjskiej w obronie Polski, pietnujących niesłychanie ostro metody stosowane wobec nas przez rząd brytyjski, możnaby zestawić szereg grubych tomów; szkoda jednak trudu, gdyż chodzi tu o znikomy i mało wpływowy ułamek narodu brytyjskiego; ogromna większość Brytyjczyków ma wspaniale wycwiczona właściwość podwójnego widzenia w sprawach moralności międzynarodowej i przy znanej niechęci umysłu anglosaskiego do przemyślenia zagadnień praktycznych aż do ich ostatnich logicznych konsekwencji nie udało się jeszcze nikomu zepchnąć Brytyjczyków argumentami etycznymi z drogi ich interesu narodowego.

Ta właściwość »podwójnego widzenia moralnego« prowadzi jednak w pewnych razach do sytuacji, w których Brytyjczycy łapia się we własne sidła. Obok zasady »expediency« (dogodności) obowiązuje bowiem w życiu brytyjskim druga, dopełniająca zasadę »decency« (przyzwoitości). W myśl popularnego w sferach duchownych anglikańskich określenia, kościolowi ich — wobec zwietrzenia religii protestanckiej — pozostało dziś już tylko zadanie pilnowania »decencies of life« (przyzwoitości życia). Otóż może się zdarzyć, że w polityce »expediency« wejdzie w konflikt z »decency«. By użyć bliskiego nam przykładu, zmuszanie polskiego żołnierza do powrotu do Polski siłą byłoby wprowadzić »expedient«, ale nie byłoby »decent«; raziloby poczucie przyzwoitości Anglika gdyby ten żołnierz, który walczył przecież w *battledress'ie* w obronie W. Brytanii, skoczył ze statku w wodę lub poderżnął sobie gardło. W takich kłopotliwych wypadkach Anglik idzie na kompromis w sposób, ratujący jego samopoczucie moralne.

Byłoby mi przykro, gdyby czytelnik wyczuł w moich poprzednich słowach jakąś nutę ironii czy szyderstwa, których w żadnym razie nie chciałem w te słowa włożyć. Naród, który stosuje w polityce zagranicznej metody moralniejsze od Brytyjczyków, niech rzuci w nich kamieniem;

my napewno nie mamy do tego prawa, choćby ze względu na sposób, w jaki obeszliśmy się po r. 1920 z Petlurowcami. Anglik jest na swój sposób szczerzy i uczciwy; jego szczęście, że ma on taki mechanizm myślenia i odczuwania, który pozwala mu pozostać uczciwym wobec samego siebie nie spuszczając ani na chwilę z oczu swego interesu narodowego. Jest bardzo ważne, byśmy zdali sobie sprawę z tej jego właściwości, gdyż jego słabość do »przywzwoitego zalatwienia« stanowi jedyny pozostały nam dziś jeszcze atut w stosunkach z W. Brytania. Atut ten wygraliśmy częściowo na rzecz naszego wojska, nie wykorzystaliśmy zaś go — skandalicznie — w stosunku do naszego uchodźstwa cywilnego w Niemczech, wobec którego Brytyjczycy mają też pewne zobowiązania natury moralnej.

Jak widzi dziś przeciętny Anglik sprawę polską? Będzie tu bardzo brutalny, bo tylko w ten sposób uda mi się może przebić przez zaskorupiałe tak silnie pokłady naszych złudzeń. A więc Brytyjczyk nie widzi dla siebie w części Europy, położonej między Odrą a Dnieprem, żadnych możliwych korzyści. Absolutnie żadnych. Jest to dla niego białe miejsce na mapie świata, tak jak za czasów naszych ojców białe były jeszcze na mapach pewne zakatki Afryki. Więcej interesów niż w Polsce ma Brytyjczyk na Saharze; nawet w stosunku do naszych najbliższych sąsiadów ma Brytyjczyk pewne zainteresowania: w Austrii turystyczne, w Czechach ceni kraj Husa i Komeńskiego, pierwszy zbuntowany przeciw Rzymowi, w Rumunii miał poważne interesy naftowe, do Węgier jeździli brytyjscy arystokraci z księciem Walii na czele, Balkany sąsiadują z Egiptem, a Norwegia i Finlandia ze Szkocją. Ale Polska — jedyna bodaj z krajów świata — nie budzi w Brytyjczyku żadnego zainteresowania; niczego tam nie zainwestował i niczego się stamtąd nie spodziewa. Naciągane argumenty naszej propagandy, chcące udowodnić coś przeciwnego, rozbijały się stale o uporczywy brak oddźwięku u brytyjskich słuchaczy. Nie ludźmy się, pozytywnych zainteresowań nami nie znajdziemy dziś na wyspach brytyjskich. Ze byliśmy krajem bez Quislinga? Wszak kraj Quislinga dostarczył Narodowi Zjednoczonym ich pierwszego generalnego sekretarza. Ze biliśmy się dobrze? Indyjcy Gurkhowie kosztowali taniej, a bili się niegorzej.

Brak więc w W. Brytanii zainteresowań pozytywnych Polska, sporo natomiast tkwi nadal nastawienia negatywnego, przesadów i uprzedzeń.

A więc gra przeciw nam nadal — i grać będzie jeszcze długo — kompleks antykatolicki. Przestańmy się wreszcie pytać jedni drugich, dlaczego Czesi mieli w W. Brytanii, i mają nadal, tak mocną pozycję mimo Hachy, a my mamy tak mało poważania mimo powstania warszawskiego, Narwiku i Tobruku. Pytanie, dlaczego Czesi a my nie, jest doprawdy »nie na poziomie«. Chcac być katolikami musimy za to płacić.

Dalej: przeciw Polsce gra w umysłach Brytyjczyków względ historyczny, długo przez nas niedostrzegany, że najszczęśliwsze dla Brytyjczyków stulecie nastąpiło po Traktacie Wiedeńskim z r. 1815, kiedy to Polski — nie było. Jest rzeczą zastanawiającą, że w publicystyce brytyjskiej nie zapadła jeszcze w niepamięć granica wschodnia Niemiec z lat 1815/1914; spotykało się ją (wykropkowana) na mapkach Polski w tym nieścisłym okresie lat 1943/45, kiedy każdy dziennik brytyjski kształtował nasze granice według fantazji swego rysownika. Zdaniem (niewypowiedzianym głośno) wielu Brytyjczyków, Niemcy i Rosja graniczące z sobą, to czający się stale na siebie wrogowie (a ty, Brytyjczyku, śpij wówczas spokojnie); historia wszak uczy, że rozebrawszy Polskę jeżyli się Niemcy i Rosjanie na siebie stale, a nawet pobili się dwukrotnie, raz w r. 1914, drugi raz w r. 1941, co w obu wypadkach ocaliło W. Brytanie od zagłady. Skoro zaś powstało niepodległe państwo polskie, doszło od razu do porozumień niemiecko-rosyjskich, raz w Rapallo (1922), drugi raz w sierpniu 1939. Jakże takich faktów nie pamiętać? Wspólna granica niemiecko-rosyjska wydaje się Brytyjczykowi rzeczą ponętą; gdyby jednak »decency« (Polacy walczyli przecież w obronie Londynu i Suez) na takie rozwiązanie nie pozwalała, to słabiutka Polska, w granicach Curzona na Wschodzie, a granicach z r. 1939 (a może i z r. 1914?) na Zachodzie, wydaje się stanowić zło najmniejsze, gdyż byłaby tak bezsilna, że nie stanowiłaby przegrody między Niemcami a Rosją i nie przeszkadzałaby im być wrogami. Argument, tak często spotykany w ustach Polaków, o naszej roli jako naturalnej bariery (przedmurza, szanica itp.) między Azją a Zachodem, brzmi w uszach Brytyjczyka jaknajfalszywiej, gdyż pod słowem Zachód rozumie on w tym wypadku Niemcy.

Dalszym naszym obciążeniem w oczach Brytyjczyków jest nasze kierownictwo polityczne. Słynnemu powiedzeniu Churchill'a, że niema błędu, którego by Polacy nie popełnili, przyklasnal ogół Brytyjczyków. Powiedzmy to sobie znów otwarcie, że przypatrzysz się zbliska fatal-

nemu kierownictwu politycznemu, które Polacy wylonili sobie (czy też pozwolili sobie narzucić) w latach 1939/46 i na emigracji i w Kraju, Brytyjczycy nabrali jaknajgorszego mniemania o naszych zdolnościach politycznych i o właściwościach osobistych naszych polityków. Po doświadczeniach z »polskim Londynem« i z »podziemnym rządem« w Warszawie, Brytyjczycy dażyc beda do kierowania Polska przy pomocy rządów złożonych z Polaków słabych, próżnych lub oportunistycznych; uczciwe transakcje polityczne, korzystne dla stron obu, między Brytyjczykami a Polakami stana sie wiec dopiero możliwe, gdy Brytyjczycy dojdą do wniosku, że w polskim życiu politycznym doszło do przemian zasadniczych i że naród polski zdobył sie na kierownictwo niezależne, którego nie uda sie podporządkowac Londynowi.

Nie gańmy Brytyjczyków ani za mniemanie, które sobie o nas wyrobili patrząc na nasza »góre« polityczna i wojskowa, ani za ich antykatolickie uprzedzenia odziedziczone po długim szeregu pokoleń, ani za ich brak zainteresowania gospodarczego nami, ani za ich poczucie, że zawadzamy im w tym miejscu Europy. Nie dziwmy im sie również, że trzeźwo kierują sie swym interesem narodowym; tylko dokładna znajomość metod, stosowanych przez nich w polityce międzynarodowej, pozwoli nam widziec jasno ich gre i unikac w przyszłości roli strony wyzyskiwanej.

Co powinniśmy czynic, by oprzec stosunki polsko-brytyjskie na zasadach zdrowej wzajemności? W pierwszym rzędzie powinniśmy wyteżyc wszystkie sily, by dac Narodowi polskiemu kierownictwo niezależne od jakichkolwiek czynników zagranicznych. Zadanie to jest wykonalne i to w czasie stosunkowo niedługim. Rząd polski (na uchodźctwie), wolny od wpływów obcych i kierujący sie wylacznie interesem narodowym polskim, zacząłby rychlo budzić w Anglikach pewien szacunek, który róslby w miare prowadzenia przez Polaków polityki rzeczywiście niezależnej. W silnej i mdrze kierowanej Polsce, włączonej w organizacje »Miedzymorza«, mogą Anglicy znaleść przeciwwagę w układzie sil Europy, zapewniająca im bezpieczeństwo od strony kontynentu.

Od nas tylko zależy, by nadeszła chwila, kiedy staniemy sie dla Brytyjczyków pełnowartościowym partnerem do interesów i polityki. Chcąc te chwile przyspieszyc powinniśmy starac sie dobrze ich rozumiec

i trafnie oceniac, kiedy interesy ich zbieżne sa z naszymi, a kiedy sprzeczne. Podziwiamy sposób, w jaki prowadzi nawe swego państwa poprzez burzliwe odmety dziejów, oszczędność, z jaka szafują swa krewia oraz umiejętność, z jaka jednąja sobie sprzymierzeńców. Zamiast pomstowac na nich, studiujemy ich metody i stosujemy do nich nasze postępowanie.

**TEORIA
NARODU**

TEORIA NARODU*)

Nacjonalizm i internarjonalizm. Wśród uczonych przeważa zdanie, że wysoko rozwinięta grupa socjologiczna zwana »narodem« wykształciła się dopiero w XVI wieku. Dopiero w tym wieku szereg społeczności europejskich zaczyna wykazywać zarówno zewnętrzne cechy, charakteryzujące wspólnotę narodową, jak i nieodzowna do istnienia takiej wspólnoty zbiorowa świadomość i zdolność do zbiorowego działania.

Naród jest jeszcze w tym czasie w stanie surowym. Dopiero w następnych wiekach dojrzewają formy bytowania narodowego, świadomość rozwija się i staje się bardziej wielostronna. Rewolucja francuska roznosi idee narodową po najbardziej zapadłych kątach Europy. Europa w wieku XIX, a w jeszcze większej mierze w dwudziestolecie 1918/39, to prawdziwe laboratorium, w którym procesy kształtowania się narodów oraz powstawania państw narodowych dają się obserwować z naukową ścisłością. Toteż badania nad narodem, jako zjawiskiem socjologicznym, posunęły się w ostatnich latach ogromnie naprzód. Wyszliśmy już szczęśliwie ze stadium frazesów o patriotyzmie i błędzenia po omacku wśród zagadnień narodowych. Wiedza o narodzie dochodzi do takiego stopnia ścisłości, do jakiego nie doszła jeszcze np. ekonomia.

Od wieków myśl ludzka tradycyjnie dażyła dwoma szlakami, narodowym i międzynarodowym. Wiek XVIII, który w wielu dziedzinach zamocował rozwój ludzkości, nie omieszkał dorzucić swego przyczynka i do tego rozdzielenia myśli ludzkiej. Podczas gdy Weisshaupt, twórca »zakonu« Illuminatów, dażył do wykorzenienia »patriotyzmu, jako ciasnej zasady w porównaniu z kosmopolityzmem«**), a Lessing określał patriotyzm jako »słabość, bez której chętnie chciałby się obyc«***), o tyle J. J. Rousseau uważał państwo, obejmujące całą ludzkość, za »prawdziwą chimere« i potępiał »tych rzekomych kosmopolitów, którzy, wymawiając się od

*) Wydane na jesieni 1943 w Kirkcaldy (Szkocja) pt. »Wielki Naród, Cześć II«.

**) Arnold Lunn, Revolutionary Socialism.

***) Nationalism, Royal Institute for International Affairs, 1939, str. 39.

kochania własnego kraju ze względu na swe ukochanie ludzkości, chelpia się, że kochają cały świat, by korzystać z przywileju nie kochania nikogo«*).

Był okres, szczególnie pod koniec XVIII wieku oraz na przełomie wieków XIX/XX, kiedy wśród ludzi wiedzy kosmopolityzm wydawał się przeważać. Objaw ten należy jednak do przeszłości. W ostatnich dziesięcioleciach nauka wypowiedziała się zdecydowanie po stronie nacjonalizmu, i to nie tylko nauka niemiecka czy włoska z czasów Hitlera i Mussoliniego, niemające swobody myślenia, ale również nauka francuska i anglosaska i włoska z przed faszyzmu i niemiecka z przed Hitlera. Podwaliny pod naukowe ujęcie narodu, jako najwyższej rozwiniętej naturalnej grupy społecznej, rzucił Pareto, genialny pionier nowoczesnej socjologii, w czasach gdy Włochy były jeszcze liberalne.

Wiedza anglosaska w swych najpoważniejszych przedstawicielach reprezentuje pełne zrozumienie nacjonalizmu. Można śmiało mówić o »szkole brytyjskiej« teoretyków nacjonalizmu, do której należą McDougall, R. Muir, E. Barker, G. Wallas, A. E. Zimmern, N. F. Hall, R. Tawney, A. Fisher, T. Haldane, R. Hoernle, N. Tierney, F. Underhill, J. Viner i inni. Prace takie jak McDougall'a »Group Mind«, E. Barker'a »National Character and the Factors in its Formation«, G. Wallas'a »Our Social Heritage«, R. Muir'a »Nationalism and Internationalism« czy A. Zimmern'a »Nationality and Government«, stanowią zasadniczy wkład do wiedzy o narodzie.

Ukoronowaniem wysiłków uczonych brytyjskich stało się zbiorowe dzieło pt. »Nationalism«, wydane w roku 1939 w Oxfordzie przez Royal Institute of International Affairs. Na prace te złożyło się kilkunastu uczonych; dała ona encyklopedyczny zarys obecnego stanu wiedzy o narodzie. W dalszych naszych rozważaniach będziemy powoływali się na nią często. Formuluje ona tezę, że »narod jest polityczną jednostką, a nacjonalizm symbolem grupowym obecnego stadium cywilizacji«**). »Słowem nacjonalizm określa się w tej pracy świadomość odrębnego charakteru różnych narodów, włącznie z tym narodem, którego członkiem jest dana jednostka, oraz określa się pragnienie wzmocnienia siły, wolności i pomyślności narodów. Pragnienie to człowiek niekoniecznie ogranicza do własnego narodu, choć niezaprzeczalnie wypadek ten zachodzi bardzo

*) Nationalism, str. 28.

***) Nationalism, str. 340.

często; nie uważa się w tej pracy również, by nacjonalista przywiązywał najwyższą wagę koniecznie do interesu własnego narodu. Krótko mówiąc słowa nacjonalizm używa się tu w takim znaczeniu, że można określić jako przedstawicieli nacjonalizmu zarówno Mazziniego, Gladstone'a i Woodrow Wilson'a jak Hitlera«*).

Dla uzupełnienia powyższej galerii nacjonalistów dorzucmy nazwisko prez. Roosevelta, który, jak słusznie zauważono, »kultywuje nacjonalizm amerykański«**).

Christopher Dawson, angielski pisarz katolicki, pisze: »Nasz nacjonalizm, choć znacznie silniejszy niż sobie to uprzytomniamy, jest bardziej tradycyjny niż nacjonalizm niemiecki, mniej związany z dogmatami rasy i bardziej tolerancyjny dla cudzych praw«***). Znany uczone oxfordzki prof. Zimmern dodaje: »Anglicy są wielkimi przedstawicielami praktycznego nacjonalizmu; ale właśnie dlatego, że mieli go zawsze, jako własność tradycyjną, zastanawiali się mało nad jego naturą i znaczeniem. Najlepszymi eksponentami nacjonalistycznej teorii w naszych czasach stali się Żydzi, którzy zdaniem moim dali w tej dziedzinie wkład jeśli nie równy, to przynajmniej godny zestawienia z ich wkładem do postępu świata na polu religii«****).

Nauka stoi więc dziś na stanowisku nacjonalizmu, jako uchwytnej rzeczywistości socjologicznej. Internacjoniści nie mają na swe poparcie argumentów naukowych; ich brak pokrywają pusta wielosłowność publicystów w rodzaju H. G. Wells'a. Tymczasem w nauce ustala się pogląd, wyrażony zgodnie przez wielu uczonych, o »trudności wywołania uczucia zbiorowego obejmującego cały świat, wobec nieuniknionego braku jakiegokolwiek zewnętrznej opozycji«*****). W myśl zasad psychologii uczucie zbiorowe powstaje dopiero z chwilą uprzytomnienia sobie odrębności od innej zbiorowości. Często powtarzające się najazdy z Marsa doprowadziłyby niewatpliwie z biegiem czasu do rozpalenia się uczucia ogólnoludzkiego do temperatury uczucia narodowego. Póki jed-

*) Nationalism, str. XX.

***) Wywiad w Dzienniku Polskim z dn. 5. VII. 1941 z p. Mikołajczykiem po jego powrocie ze St. Zjed.

****) Beyond Politics, London, 1939.

*****) A. E. Zimmern, Nationality and Government, London, 1918, str. 98.

*****) Nationalism, str. 297.

nak planecie naszej brak zetknięcia się z zewnętrzną jakąś zbiorowością, należy się obawiać, że uczucie »patriotyzmu ogólnoludzkiego« nie wyjdzie nadal poza obecny stan niskiego napięcia, w którym nie może być transformowane na energię motoryczną, zdolną wpływać na losy świata.

»Uczucie narodowe« — pisze prof. Zimmern*) — »doprawdy nie jest w stanie przemijania; jest w stanie budzenia się. Jest silniejsze obecnie niż było kiedykolwiek. Jest jedna z najmocniejszych sił w życiu nowoczesnym. Mało innych form zbiorowego czucia ma mocniejszy lub głębszy wpływ na ludzkiego ducha. Socjalizm niema; niema również internacjonalizm; wątpię, czy ma nawet religia.«

Nauka współczesna prowadzi do niedpartego wniosku, że dobra ludzkości należy szukać na drodze zdrowego współdziałania zdrowych narodów. Uczni angielscy są zdania, że »by istnieć bez katastrof, nowoczesne społeczeństwo wydaje się potrzebować zarówno uczucia narodowego, które prowadzi do zazdrośnego partykularyzmu, jak i współdziałania na skale światowa. Szczytowym problemem obecnego pokolenia jest, jak pogodzić oba te zjawiska«**).

Zdaniem autorów »Nationalism« (str. 340) — »niema gwarancji, że ludzie, którzy wydostaliby się na czoło państwa światowego, należałoby do typu zdecydowanego na wykorzystanie swych możliwości dla dobra ogółu. Dopuszczenie do wolności indywidualnej w szerszym zakresie pociągnęłoby za sobą niebezpieczeństwo anarchii; efektywnie zorganizowany jedno-państwowy świat mógłby wykazać przygnębiające podobieństwo do jedno-partyjnego państwa«.

»Ci co wierzą, że w miejsce narodu wynaleźli grupę lepszego typu, będą pracowali w dalszym ciągu dla tego typu i w porównaniu z nim będą potępiali naród. Natomiast ludzie zajęci prowadzeniem spraw międzynarodowych muszą w obecnej epoce liczyć się z faktem istnienia narodu (bez zakładania, że będzie on wieczysty) i pracować dla godzenia rozbieżnych punktów widzenia różnych narodów i dla zmniejszania rozmiarów i częstości uciekania się do gwałtu w stosunkach między nimi«***).

Oto jedyna droga dla meżów stanu: przez naród do ludzkości. Mogą się oni powołać i na prof. Zimmern'a, który uważa, że »droga do

*) loc. cit. str. 88.

**) Nationalism, str. 143.

***) Nationalism, str. 340.

Internacjonalizmu prowadzi przez Nacjonalizm, nie przez równanie ludzi w dół do poziomu jakiegoś szarego Kosmopolityzmu, lecz przez odwoływanie się do najlepszych czynników w zbiorowej spuściźnie każdego narodu. Dobry świat, to znaczy świat dobrych mężczyzn i kobiet. Dobry świat międzynarodowy, to znaczy świat narodów żyjących jak mogą najlepiej... Myślę, że dobrzy nacjonaści będą lepszymi ludźmi i lepszymi obywatelami«*).

»Nacjonalizm zahamowany, zwyrodniały i niezaspokojony, stanowi jeden z ropiejących wrzodów naszych czasów. Ale nacjonalizm prawidłowo pojęty i otoczony opieką jest wielką siłą wznoszącą i życiodajną, jest osłoną zarówno przeciw szowinizmowi jak przeciw materializmowi — przeciw wszystkim siłom niszczącym cywilizację i osobowość, które nekają i obniżają umysły i dusze współczesnych ludzi«**).

Pięknie wyraził tę samą myśl Papież Pius XII w Enc. »Summi Pontificatus«: »W miarę jak narody się cywilizują, różniczkują się coraz bardziej w swych sposobach życia i zarządzania swymi sprawami. Nie stanowi to jednak powodu, dla którego musiałyby się wyrzec jedności ogólnoludzkiej rodziny. Raczej powinny bogacić te rodziny, dodając swój wkład do jej różnorodnych zasobów, stosownie do swych szczególnych uzdolnień«.

Również Papież Pius XI w Encyklice »Caritate Christi Compulsi« wyraził przekonanie, że »słuszny porządek chrześcijańskiego miłosierdzia nie stoi w sprzeczności z prawem miłości do swego kraju i z uczuciem usprawiedliwionego nacjonalizmu; wręcz przeciwnie kontroluje je, uświeca i ożywia«.

W literaturze angielskiej spotyka się wyrażenie »enlightened nationalism« — oświecony nacjonalizm, na określenie ideału naszych czasów. Tego typu nacjonalizm nie tylko nie szczyje jednego narodu przeciwdziałaniem, lecz staje się źródłem uczuć ogólnoludzkich.

Uniwersalizm. Dziewiętnastowieczna doktryna włoska o »sacro egoismo nazionale« znalazła i u nas swój oddźwięk w »Egoizmie narodowym« Balickiego. Ale hasło to dziś przebrzmiało. Pokolenie nasze dojrzało do zrozumienia, że uczucie narodowe, o ile ma być siłą budująca a nie rozsa-

*) loc. cit. str. 85.

**) loc. cit. str. 100.

dzająca świat, należy uzupełnić uczuciem uniwersalistycznym. Nie można być pełnym człowiekiem nie kochając swego narodu — ale miłość ta nie może być ślepa na prawo innych ludzi do miłości do innych narodów. Jest pod słońcem miejsce dla każdego uczucia narodowego bez rwania wiezi ogólnoludzkiej. Nacjonalista współczesny ma do wyboru dwie takie wiezi: katolicka i masonska, i musi na jedną z nich się decydować. Szczęśliwe narody, których nie rozdziera walka między tymi dwoma uniwersalizmami.

Spotyka się jeszcze w Polsce narodowców, nie mogących zrozumieć niebezpieczeństwa wyłącznego nacjonalizmu. W praktyce rzeczy nacjonalizm taki obraca się z reguły przeciw Rzymowi i wpada pod kuratele masonerii. Wszelkie próby egoizmu narodowego kończą się u nas w ten sposób od wieków. To też pokolenie wychowane w niepodległej Polsce zdecydowanie splotło swój światopogląd narodowy z uniwersalizmem katolickim.

Od ludu do narodu. Nie odrazu Kraków zbudowano i nie odrazu powstają narody. Proces to długi, burzliwy i zawily. Dopiero w ostatnich kilkudziesięciu latach wzięła się nauka do analizy tego zagadnienia i uczeni nie zdążyli jeszcze uzgodnić między sobą ani klasyfikacji ani nomenklatury. Uczeni amerykańscy i niemieccy, a z polskich prof. Znaniecki, rozróżniają trzy etapy dojrzewania narodu. Brytyjczycy — jak dotąd — wydają się rozróżniać tylko dwa. Prof. Znaniecki w swym »Wstępie do socjologii« rozróżnia pojęcia: lud, narodowość i naród. Lud (zwany inaczej przez prof. Znanieckiego rasą socjologiczną w przeciwstawieniu do rasy antropologicznej) — składa się z jednostek związanych wspólną mową, obyczajem, pieśnią, baśniami, architektura i sztuka. Lud niema samowiedzy zbiorowej. Ta samowiedza, poczucie pewnej spójności, a tym samym odrębności w stosunku do obcych, budzi się dopiero w narodowości. Pełnie natomiast samowiedzy, połączona ze zdolnością do zbiorowego działania, wykazuje naród. Dopiero naród może być partnerem do umowy i towarzyszem w akcji.

E. Barker przypomina, że »Arystoteles rozróżniał trzy stadia moralnego dorastania jednostki. Pierwsze było stadium przymiotów naturalnych, czyli φύσις; drugie stadium społecznego nawyku i ćwiczenia, czyli

ἔθος; trzecie stadium odpowiedzialnego działania, oświeconego świadomości moralnej, które Arystoteles określił słowem ἐπιφύνησις. W dziedzinie dorastania charakteru narodowego możemy odróżnić podobne stadia«*). Te trzy stadia odpowiadają klasyfikacji prof. Znanieckiego.

Naogół uczeni brytyjscy ograniczają się do dwu stadiów, odpowiadających w klasyfikacji prof. Znanieckiego narodowości i narodowi. Grono uczonych, które w roku 1939 wydało pod auspicjami Royal Institute for International Affairs wspomnianą już pracę zbiorową »Nationalism«, rozróżnia między narodem (Nation) a narodowością (National Group lub National Minority), którego to drugiego określenia »użyto dla oddania znaczenia niemieckiego słowa Nationalität«**), przyczym wyjaśniono, że »słowa Nationalität używają Niemcy prawie że wyłącznie... na oznaczenie grupy, która jest zbyt mała lub zbyt niedoskonale rozwinięta, by być narodem«. W innym miejscu niemieckie Nationalität określono jako »lud, będący potencjalnie, lecz jeszcze nie aktualnie, narodem«.

W innym jeszcze miejscu (Nat., str. 244) mówi się o »społeczeństwie dostatecznie scalonym, by zasługiwać na miano narodu«.

Uczeni brytyjscy nie uzgodnili nomenklatury, a oba użyte przez nich wyrażenia (National Group i National Minority) nie wydają się zbyt szczęśliwie dobrane. Jakże na tym punkcie panuje zamieszanie świadczy fakt, że w wartościowej pracy A. C. F. Beales'a pt. The Catholic Church and International Order, autor na określenie pojęcia narodowości używa na zmianę wyrażenia national minority, ethnic minority i racial minority, mówiąc nawet w pewnym miejscu o »fully adult national minority« (w pełni dojrzała mniejszość narodowa). Z wyrażeniem »adult« (dojrzały) lub »non-adult« w stosunku do grup narodowościowych spotykamy się w literaturze naukowej brytyjskiej nieraz. A non-adult national group najtrafniej chyba oddaje sens słowa narodowość. Powinni sobie przyswoić ten termin Polacy, rozmawiający z Anglosasami o niektórych trudnych i drażliwych problemach narodowościowych Europy Wschodniej. Odpowiednikiem naszego słowa lud jest w angielskiej mowie wyrażenie ethnic group, którego należy używać mówiąc np. o Poloszkach.

*) National Character and the Factors in its Formation, London, 1927, str. 281.

**) Nationalism, str. XVII, XIX i XX.

Droga od ludu do narodu jest długa i ciernista. Lud staje się narodem dopiero po wielu nieudanych próbach zbiorowego działania, biorąc wielokrotnie cieżki i cieżki rozdajac. Nie wszystkie ludy, ba! mniejszość ludów znanych nam z historii, dochodzi do utworzenia narodu. Zdarza się, że genialnej jednostce, albo zwartej kaście czy klice, udaje się utworzyć z ludu na pewien czas państwo, nie doprowadzając do powstania narodu. Przykładem takiego zdarzenia był między innymi Chmielnicki. Takich ludów nie-narodów mamy w obecnej chwili jeszcze wiele nawet w samej Europie, że wymienię Basków, Katalończyków, Flamandów, Serbów łużyckich, Słoweńców, Macedończyków itd.

Kiedy lud staje się narodem? Gdzie leży granica? Jakie są sprawdziany? Jakim warunkom powinno odpowiadać zbiorowisko ludzi, by zasłużyć na miano narodu?

Mc Dougall w swej znanej pracy pt. »Psychologia grupy« zastanawia się nad definicją narodu. Przede wszystkim zapytuje on, czy »narod jest narodem, ponieważ jego członkowie namyślnie i jednomyślnie wierzą, że tak jest?« Mac Dougall stwierdza, że taka wiara nie dowodzi istnienia narodu i dochodzi do następującej definicji: »Narodem jest lud albo ludność, ciesząca się pewnym stopniem politycznej niezależności i posiadająca narodowy charakter i narodowego ducha, i z tego powodu zdolna do narad i aktów woli w skali narodowej«.

Definicja ta budzi wiele zastrzeżeń.

Z innych zupełnie przesłanek wychodzi ojciec Bocheński O.P., prof. papieskiego Uniwersytetu »Angelicum« w Rzymie. Zdaniem jego naród »jest to zespół ludzi, przyznających się do określonego odcienia kultury, przyczem przez słowo kultura rozumiemy to, co duch wnosi do psychiki ludzkiej (sprawności intelektualne, techniczne, artystyczne, etyczne, religijne). A więc narodem jest taki tylko zespół ludzi, którego ideał kultury zawiera swoiste, właściwe tylko danemu narodowi, odcienie wszystkich tych sprawności«.

Nie wystarczy, by dany lud miał własnych uczonych, techników, pisarzy, malarzy, przywódców politycznych i wojskowych. Ci uczeni, malarze, generalowie itp. mogli podpatrzeć te rzeczy u narodów innych i praktykować swe specjalności w sposób, pozbawiony piętna geniuszu narodowego. Chcac być narodem musi się mieć wiedzę, technikę, sztukę itp. o odcieniu i posmaku szczególnym, właściwym tylko danemu narodowi.

Wyrażenie »nauka angielska« znaczy dużo więcej, niż »nauka uprawiana przez Anglików«. Przywództwo polityczne w Anglii ma swój własny styl narodowy, dzięki któremu leader Labour Party znacznie więcej przypomina lidera brytyjskich konserwatystów, niż przywódce polskich socjalistów. Angielski styl wojowania czy modlenia się jest równie charakterystyczny, jak angielski sposób malowania portretów, uwieczniony w National Portrait Gallery.

Definicja o. Bocheńskiego jest piękna i bardzo precyzyjna, ale i tu nasuwają się wątpliwości. A co będzie, jeśli pewna zbiorowość ma swoisty odcień etyki i sztuki, a brak jej swoistego odcienia techniki i wiedzy? Lub też ma własny sposób wojowania, a brak jej własnych form i obyczajów w życiu politycznym?

A poza tym jak ocenić, czy odcień danej sprawności jest swoisty na stopniu narodu, czy na stopniu prymitywu-ludu?

Jak poznać w praktyce, czy dane zbiorowisko jest narodem? Życie wymaga sprawdzianów prostych.

Taki prosty sprawdzian daje nam prof. Ramsay Muir*). Pisze on: »Wydaje się niemożliwe uniknąć wniosku, że naród w głównej mierze określa się sam walką. Okazuje się, że taki moral wypływa z dziejów idei narodowej w Europie.«

A więc walka, skuteczna walka rozstrzyga o istnieniu lub nieistnieniu narodu. Rzecz prosta musi się spełnić wiele innych warunków, by naród był narodem. Ale nieodzownym sprawdzianem jest zdolność skutecznej walki o niepodległość. Nie jest narodem zbiorowisko ludzi, które — przy wszelkich pozorach dojrzałości i odrebności zbiorowej — nie umie zdobyć w walce i utrzymać z bronią w ręku swej niezawisłości.

W każdej z książek, cytowanych w niniejszej pracy, można znaleźć na honorowym miejscu coraz to inną definicję narodu; czytałem takich definicji ostatnio z kilkanaście. Każdy socjolog i co drugi historyk uważa za punkt honoru wysilić się na taką definicję. Publicyści i powieściopisarze nie pozostają w tyle. Wiele ujęć jest bardzo ciekawych, lecz, jak to bywa z pojęciami humanistycznymi, niema definicji bez »ale«, poprostu dlatego, że niema dwu ludzi, którzy pod to samo słowo podkładają ściśle to samo pojęcie. Demokracja, naród, Chrześcijaństwo — któż je określi

*) Cytowany przez Mac Dougall'a autor pracy pt. Nationalism and Internationalism.

ostatecznie i definitywnie? Ja sam postanowiłem nie kuc określenia własnego, gdyż stosuje inną metodę pisarską, a mianowicie staram się z tylu różnych stron podejść do pojęcia narodu i objaśnić to pojęcie na tylu przykładach, by czytelnik skuteczniej, niż przez definicję, uporządkował swoje pojęcia.

Każda definicja narodu grzeszy przede wszystkim tym, że nie obejmuje wypadków nietypowych. Weźmy n. p. naród bez terytorium lub bez języka. Większość definicji stoi na stanowisku, że niema narodu bez terytorium. Wychodząc z tego założenia uczeni, zgrupowani dokola Royal Institute for International Affairs*), nie uważają Żydów za naród. Szereg natomiast innych uczonych z prof. Zimmermem na czele uważa Żydów za naród w pełnym tego słowa znaczeniu. Podobnie ma się sprawa z językiem. Mieszkańcy Szwajcarii mówią trzema językami, Stany Zjednoczone przypominają Wieże Babel. Czy Szwajcarzy i Yankesi są narodami? Royal Institute uważa że tak, prof. Zimmermann uważa że nie, ale jest ze swym zdaniem odosobniony**).

Mówiąc nawiasem, ani Szwajcarzy ani Yankesi nie obrazili się na prof. Zimmermanna za odmówienie im nazwy narodu . . .

Wielkie narody. Wśród narodów możemy rozróżnić narody etnicznie jednorodne, wywodzące się z jednego ludu, i narody złożone, wielorodne, dla których wybrałem termin wielkiego narodu. Wielkie narody narastają przez stopy etniczne. Wielki naród ma zawsze odłamy, które obok mowy oficjalnej używają jeszcze własnych narzeczy; nieraz będzie to narzecze wrogiego sąsiada. Wielki naród jest zawsze w trakcie przyswajania i rozszerzania się. Skoro te procesy zanikną, skoro ustabilizuje się jego ludność, wielki naród traci swą aktywność i obumiera.

Znamienne jest dla Brytyjczyków, że choć ich naród stanowi klasyczny przykład wielkiego narodu, nie wprowadzili do tej pory odpowiedniego terminu do swej nauki. Różni uczeni uciekają się do różnych określeń. Np. Barker wyraża się raz, że »W. Brytania jest państwem, które jest conajmniej niby-narodem (quasi-nation)«***), a w innym miejscu

*) Autorzy pracy pt. Nationalism.

**) Prof. Zimmermann uważa Szwajcarię i U.S.A. za państwa wielonarodowe. O koncepcji jego pomówimy obszerniej za chwilę.

***) loc. cit. str. 131.

twierdzi, że »ludy szkockie i walijskie są narodami pierwszego stopnia . . . a naród brytyjski jest narodem drugiego stopnia«*). Natomiast prof. Muir mówi o »nad-narodowości brytyjskiej (super-nationality), która obejmuje narodowości angielską, walijską, szkocką i irlandzką«**). Przypuszczam, że w rozmowie z Brytyjczykami najtrafniej będzie dla określenia wielkiego narodu używać terminu »composite nation«.

Państwa narodowe (t. zn. państwa obejmujące naród jednorodny) są bardziej zwarte, niż dawne imperia dynastyczne, ale są naogół znacznie mniejsze. Idea narodowa triumfuje często kosztem rozbijania większych państw (choć w Niemczech i Włoszech wywarła wpływ kalkulacyjny). Triumf idei narodowej w roku 1918 doprowadził do powstania szeregu nowych państw, z których niektóre, jak np. Lotwa i Estonia, nigdy przedtem nie istniały. Szereg narodowości w Europie domaga się jeszcze samodzielnego bytu. Ameryka Południowa rozpadła się w ostatnim stuleciu na wiele państw; na Dalekim Wschodzie, od Indji po Oceanie, słychać pomruki rodzącego się nacjonalizmu. Czy będa to Burowie czy Gruzini, Francuzi w Kanadzie, Ukraińcy czy Flamandowie, na całej kuli ziemskiej idea narodowa grozi dalszym rozkawałkowaniem ludzkości.

Użyłem słowa »grozi«, bo stan ten pociąga ze sobą, obok pewnych skutków dodatnich, niewątpliwie i wiele skutków ujemnych. Narasta coraz to więcej granic, antagonizmów, rozpiętości i nierówności. Nic dziwnego, że ludzkość reaguje na to instynktownie i że sama idea narodowa, sprawczyni zła, niesie w sobie lekarstwo pod postacią wielkiego narodu. To co nacjonalizm rozłączył, to sam znowu łączy, tworząc stopy narodowe wyższego rzędu. Doktrynerom à la Wells marzy się jedno państwo dla całej ludzkości, inni chcą dzielić ludzkość na federacje, kłeczone w gabinetach ministrów i przy stolikach kawiarnianych. A tymczasem życie idzie swoim torem i żywiołowo, instynktownie przystąpiło na całym obszarze planety do całkowania wielkich narodów.

Oto ich lista: Brytyjski Commonwealth, U.S.A., szereg krajów Ameryki Łacińskiej, Chiny, Indje, Z. S. R. R., Niemcy, Jugosławia, Francja, Hiszpania.

Rozpatrzmy je po kolei.

*) loc. cit. str. 17.

**) Nationalism and Internationalism, 1917, str. 50.

Brytyjski Commonwealth narósł z tylu kolejnych nawarstwień, jest tworem tak skomplikowanym, że sami Brytyjczycy nie bardzo sobie zdają sprawę, w jakim stadium procesu narodo-twórczego obecnie tkwią. Dla przykładu zacytuje charakterystyczny ustęp z książki Barker'a pt. »Charakter narodowy i czynniki, które go kształtują«*).

Barker pisze: »W stosunkach między narodem a państwem obserwujemy całą skalę możliwości. Jeśli na jednym końcu tej skali znajdują się narody, które zadowolają się tym, by być grupami społecznymi, a na drugim końcu są narody, które są zarazem grupami społecznymi i społeczeństwami w sensie politycznym, mogą być również stopnie pośrednie. Można sobie wyobrazić naród, który, jeśli nie jest zarazem państwem, zasługuje w każdym razie na miano niby-państwa . . . Nie będziemy dalecy od prawdy mówiąc, że Szkocja jest narodem, który jest niby-państwem; W. Brytania jest państwem, które jest conajmniej niby-narodem; a Commonwealth jest wspólnym systemem kultury, który jest również niby-państwem i ma w sobie coś z niby-narodu«*).

Barker trochę się płacze, bo brak Anglikom nomenklatury na określenie tych procesów narodo-twórczych. Używając przyjętych przez nas terminów powiemy poprostu, że Wielka Brytania (obejmująca Anglię, Szkocję, Walie i Północną Irlandię t. zw. Ulster) stała się już wielkim narodem, a brytyjski Commonwealth (obejmujący poza W. Brytanią również Dominia t. zn. Kanadę, Połudn. Afrykę, Australię i Nową Zelandię) jest właśnie w trakcie stapiania się w wielki naród. Błędem natomiast byłoby twierdzić, że Imperium brytyjskie (obejmujące poza Commonwealth'em masę przeróżnych kolonij, zamieszkałych przez różnokolorowe ludy, oraz Indie) jest na drodze do stawania się wielkim narodem. Wreć przeciwnie, jak za chwilę zobaczymy, Indie próbują stać się wielkim narodem same dla siebie, niezależnie od brytyjskiej Wspólnoty.

Dla przyszłego powstawania naszego wielkiego narodu jest rzeczą zbawienną, że spora ilość Polaków przebywała przez parę lat w Szkocji, mając możliwość przyjrzeć się najklasycznieszemu na świecie procesowi złączania się w jeden naród (o nowej nazwie narodu brytyjskiego) dwu całkowicie sformowanych narodów, angielskiego i szkockiego. Mówi się

*) National Character and the Factors in its Formation, E. Barker, London, 1927, str. 130 i 131.

u nas często: jakto, my i Ukraińcy, my i Litwini, my i Czesi, po tym co tak niedawno zaszło? Za odpowiedź niech posłuży przykład stosunków anglo-szkockich. Wojen prowadziły te dwa narody z sobą ilość wręcz niesamowita (bodaj że ponad setkę). Unii dokonał król Jakób I, syn królowej szkockiej Marji Stuart, więzionej i ściętej na rozkaz królowej angielskiej Elżbiety. Jeszcze w sto kilkadziesiąt lat po zawarciu unii, w latach 1745/46, urządzili Szkoci powstanie, które skończyło się taką ich rzezią, że syn króla angielskiego, który jej dokonał, do dziś słynie wśród Szkotów jako »bloody butcher« — krwawy rzeźnik. I po tym wszystkim — wspólny naród, o uderzającym podobieństwie do unii polsko — litewskiej*).

Naród polski jest pochodzenia jednolitego w porównaniu z przedwinnym stopem brytyjskim. Tu, na podłożu jakiegoś przedhistorycznego nalożyli się Celtowie, na nich Anglo-Sasi, na nich Normanowie — z tej mieszanki wyrósł naród angielski. Nastąpił dalszy stop ze Szkotami, Walijszczykami, częściowo Irlandczykami — naród brytyjski. Obecnie Commonwealth próbuje rozszerzyć ten naród o Francuzów kanadyjskich i holenderskich Burów.

Historja świata uczy nas, że tylko stopy ludów sięgają prawdziwej wielkości. Czy to była Grecja czy Rzym, czy średniowieczne Włochy, czy Hiszpania czy Francja czy W. Brytania czy Rzplta Jagiellońska — wszystkie te narody rodziły się ze skomplikowanych procesów chemii etnicznej. Najwięksi ludzie, jakich Polska wydała, od Chrobrego po Mickiewicza, byli również produktami stopów etnicznych.

U. S. A. Proces narastania wielkiego narodu U. S. A. doskonale obrazuje następujący cytat z edynburskiego »Scotsman'a« z dn. 30. VII. 1941: »Prof. Arthur Newell, przewodniczący American Outpost w W. Brytanii, wygłosił wczoraj wieczorem w Moray House Training College drugi odczyt z cyklu »Ameryka tworzy się« (America in the Making), zorganizowanego dla edynburskich nauczycieli.«

»Tematem odczytu prof. Newell'a było »Naród należy stworzyć«. Zdaniem profesora głównym wewnętrznym problemem Stanów Zjednoczonych było zawsze dążenie do rzeczywistej jedności, wiążącej interesem lub uczuciem różnorodną ludność, zamieszkującą coraz rozleglejsze ob-

*) Gdyby tak np. Niemcy opanowali W. Brytanię na półtora wieku, Szkoci zajęliby potęmnie chętnie wobec Anglików postawę podobną do tej, jaką Litwini zajęli wobec Polski po roku 1918!

szary. Również i granice Stanów Zjedn. rozszerzały się w ciągu wieku dziewiętnastego i każdy nabytek stwarzał nowe problemy narodowościowe. Jedność narodowa jeszcze bardziej utrudniały kolejne fale świeżej imigracji, dosypując nowy materiał ludzki do amerykańskiego tygla».

Nad tym tygłem mądzy ludzie czuwają, by proces stapiania się wielkiego narodu przebiegał prawidłowo. Jak już wspomniałem, do posunięć prez. Roosevelta, obliczonych na dalszą metę, należało kultywowanie nacjonalizmu amerykańskiego. Wojna 1914/18 oraz wojna 1939/45 przyczyniły się w ogromnym stopniu do posunięcia procesów narodo-twórczych w U.S.A. Wszyscy Polacy, którzy naiwnie wyobrażali sobie, że dla ich pięknych oczu prez. Roosevelt poprze tworzenie w Ameryce polskiego wojska — co byłoby przecież krokiem wstecznym na drodze do unifikacji narodu U.S.A. — doznali rozczarowania. Wielki naród Yankeeów jest już prawie gotów i niema na świecie siły, zdolnej zahamować jego dojrzewanie.

Z.S.R.R. W Sowietach »mamy nowy przykład państwa, będącego w trakcie tworzenia narodu« — stwierdza Royal Institute for International Affairs*). Wszyscy znawcy Rosji zgodni są co do tego, że ustrój sowiecki przyspieszył prowadzony tak konsekwentnie przez rząd carski proces stapiania się w wielki naród rozlicznych ludów, zamieszkujących obszary Rosji. Przyznanie językom lokalnym godności języków urzędowych nie zahamowało tego procesu. Młody Tatar czy Gruzin uczy się wprawdzie w szkole we własnej mowie, ale jest pod tak silną presją propagandy rosyjskiej (podawanej w oplatku bolszewickim), że psychiczna jego asymilacja do sowieckiej ojczyzny postępuje szybko. Możliwe, że kilka ludów oderwie się jeszcze w ostatniej chwili od Rosji i nie wejdzie w skład tworzącego się tam wielkiego narodu. Ale zawiązywanie się tego narodu zaszło już daleko. Moskwa przeszła długą drogę od grodu Wielkorusów po stolicę Z.S.R.R.

Chiny. Czy Chiny, aż do tak niedawnego upadku cesarstwa, były państwem czy narodem? Znawcy nie wahają się twierdzić, że tylko państwem, pod biurokratyczno-wojskową dyktaturą dynastii mandżurskiej. Chińczyk północny podobnie nie rozumiał mowy Chińczyka południowego, jak Rumun nie rozumie Portugalczyka. Mieszkaniec Korei, Man-

*) loc. cit. str. 289.

dżurii czy Mongolii, należących wówczas jeszcze do Chin, czuł się z nimi związany tylko wspólnota państwowa.

Rewolucja, która obaliła cesarstwo, przystąpiła do hodowania świadomości narodowej chińskiej. Pierwszym tego rezultatem musiało być odpadnięcie trzech wymienionych wyżej prowincyj. Ale mimo że procesy narodo-twórcze postąpiły w Chinach w ostatnich kilkunastu latach silnie naprzód, daleko jeszcze do stanu, w którym istnienie narodu objawi się w zdolności do jednolitego i zwartego działania. Ciągłe jeszcze rządzi nieokupowana część Chin Kuomintang, to znaczy konspiracja oparta o kola międzynarodowe. Konspiracja ta i jej szef, gen. Czang-Kai-Szek, robią co mogą, by stopić mieszkańców imperium chińskiego w wielki naród, wiedząc dobrze, że dopiero zespoleni we wspólnotę narodową potrafia Chińczycy zdobyć się na wysiłek, konieczny dla wyzwolenia się od najeźdźcy ze Wschodu i wyzysku Zachodu.

Indie. Czy kontynent ten, rojący się od setek ras, języków i religij, ma szansę zespolenia się w wielki naród? Jak się zdaje tkwią Indie jeszcze w stadium podziałów religijnych i nie doszły do problemów narodowościowych. Jeszcze ich głównym problemem jest groźba wyodrębnienia muzułmańskiego Pakistanu, jeszcze »untouchables« (»nietykalni«) i Parjasi tkwią poza społeczeństwem, podobnie jak tkwił ongiś w Europie pańszczyźniany chłop. Ale Ghandi i partja Kongresu, której przewodzi, powoli i cierpliwie, przy pomocy wielkich ruchów masowych, starają się budzić świadomość zbiorową, stanowiącą pierwszy krok do narodowej wspólnoty. Jeszcze droga do niej bardzo długa, może trwać będzie wieki. Nie wydaje się jednak prawdopodobne, by procesy narodo-twórcze miały ominąć Indie. Może wykrystalizuje się z nich jeden wielki naród, może kilka? Bada na to patrzyli nasi prawnukowie. Zdaje się jednak, że stopień niezależności Indji od obcych będzie w prostym stosunku do stopnia ich świadomości narodowej.

Niemcy. Nic fałszywszego, jak uważać naród niemiecki za twór etnicznie jednorodny, w całości germański. Trzydzieści, a może i czterdzieści procent Niemców wywodzi się z krwi słowiańskiej. Lud Staro-Prusów wsiaknął w naród niemiecki. Nawet między samymi Niemcami pochodzenia germańskiego różnice językowe bywają większe, niż między Polakiem a Moskalem, Bulgarem a Czechem. Robotnik z Hamburga bliższy jest językowo (Plattdeutsch) Holendrowi niż Austriakowi. Naród nie-

miecki jest niewątpliwie dokładnie tym, co przyjęliśmy określać nazwą wielkiego narodu. I jak każdy żywotny wielki naród nie zaprzestał procesu asymilacji (inna sprawa, jakich metod do tego procesu używa). Od roku 1914 ma na warsztacie Flamandów, w czasie wojny 1939/45 rozpoczął przyswajanie do wspólnoty niemieckiej Holendrów i Norwegów. Dla Duńczyków, Szwedów, niemieckiej części Szwajcarii, Słoweńców i Czechów wyznaczona jest kolejka.

W jakiej mierze uda się to Niemcom? Przesadził o tym po części wynik ubiegłej wojny, choć proces wciągania Flamandów i Holendrów, a może — co nie daj Boże — i Czechów w obwód narodu niemieckiego może iść dalej nawet mimo klęski Trzeciej Rzeszy. Jeden rzut oka na mapę wystarczy by stwierdzić, że odrębność narodowa Flamandów i Holendrów jest geopolitycznie dość sztuczna. Co gorzej, ich zachowanie się w czasie ubiegłych dwu wojen daje dużo do myślenia. Jest również niezaprzeczonym faktem, że część Norwegów — pod wodzą osławionego Quislinga — pragnęła wejść we wspólnotę narodową z Niemcami.

Niemcy wykazali, niestety, dużą zdolność do wtapienia Słowian w swój wielki naród. Wtopili Drzewian, Polabian, Obodrytów, Hawelan, Lutyków i liczne plemiona Związku Weleckiego, część Slezan i Pomorzan; kończą asymilować Łużyczan. Z kolei na drodze niemieckiego molocho znaleźli się Czesi. Tylko bardzo wielki wysiłek wszystkich Słowian Zachodnich potrafi uchronić Czechów od losu naszych pobratymców z nad Łaby i Odry.

Francja. Klasyczny przykład wielkiego narodu. Nawet sama nazwa wzięła ona przypadkowo od jednego, bynajmniej nie najważniejszego ze swych składników etnicznych. Na podłożu celtyckim narosły nawarstwienia rzymskie i germańskie. W obwód narodu francuskiego weszły pozątem w czasach nowszych również pierwiastki baskijskie i katalońskie (Pireneje), włoskie (Korsyka, Sabaudia, Nicea), niemieckie (Alzacja). Jeszcze w XVI wieku używano we Francji dwu zasadniczych języków, *langue d'oïl* i *langue d'oc*, obu wprawdzie romańskich, ale dalszych od siebie niż np. mowa polska od ruskiej. Choć *langue d'oïl* przeważał, *langue d'oc* bynajmniej nie jest jeszcze martwy i z końcem wieku XIX wydał wielkiego poety Mistrała.

Wtapienie w wielki naród francuski obcojęzycznych elementów bretońskich, baskijskich, katalońskich, włoskich i niemieckich, odbywało się

do ostatnich czasów. Mówiacy po niemiecku Alzatzycy, tak niedawno, bo dopiero za Ludwika XIV wcieleni do Francji, wykazali w latach 1870/1918, w czasie swej przynależności do Niemiec, uderzającą wierność dla Francji. Na ich przykładzie można stwierdzić, jak dalece procesy psychiczne, towarzyszące zespalaniu się wielkich narodów, górują nad momentem wspólnoty językowej.

Hiszpania. Wielki naród o równie skomplikowanym rodowodzie, jak naród francuski. Problemy baskijski i kataloński w stanie podobnego zaognienia jak np. u nas problem ukraiński.

Ameryka Łacińska. Większość krajów Ameryki łacińskiej ma swoje problemy wielko-narodowe, polegające na stopieniu w jedną wspólnotę narodową elementów napływowych, hiszpańskich czy portugalskich, z elementami tubylczymi. Gdzieś tam, jak np. w Brazylii, komplikują sprawę duże ilości świeżej imigracji z Europy. Na wielką skalę do załatwiania problemów narodowościowych wzięły się przede wszystkim Meksyk i Brazylia; Meksyk, jak się zdaje, metodami bardziej psychologicznymi, Brazylia policyjnie-totalistycznie.

Jugosławia. Typowa nowożytna próba stworzenia wielkiego narodu z trzech szczepów południowo-słowiańskich, z których każdy z osobna czuł się za słaby do utrzymania niepodległości. Jak było do przewidzenia, główne trudności płyną tam z przeciwieństw religijnych i cywilizacyjnych między katolikami a prawosławnymi. Długa okupacja turecka spotęgowała jeszcze wpływy bizantyjskie, a okupacja węgierska wpływy zachodnie. Państwa ościenne, ze zrozumiałych względów wrocie zjednoczeniu się Słowian południowych, robią co mogą, by utrudnić ich współżycie i doprowadzić ponownie do rozdzielenia. Chwilowo wydają się triumfować, ale sukces to zapewne nietrwale, bo zjednoczenie się południowych Słowian stanowi konieczność historyczną.

Druga świadoma próba scalenia paru szczepów słowiańskich we wspólny naród była próba zespolenia Czechów i Słowaków*). Próba ta tym się różni od próby jugosłowiańskiej, że Czesi i Słowacy nie są izolowani od reszty Słowian jak ich południowi pobratymcy, ale geograficznie i historycznie wchodzi w skład Słowiańszczyzny Zachodniej. Różnica

*) Ruś Zakarpacka uważali twórcy Czechosłowacji za depozyt do zwrotu Rosji, z chwilą zajęcia przez nią Małopolski Wschodniej, toteż Ruś nie miała wejść w obwód narodu czechosłowackiego.

jest jeszcze inna: o ile Słowianie południowi zjednoczywszy się utworzą stosunkowo duży naród, mogący skutecznie stawiać czoło swym głównym wrogom jakimi są Włosi, Węgrzy i Niemcy, o tyle zjednoczenie Czechów ze Słowakami — przy równoczesnym odgródnieniu się od reszty Słowian Zachodnich — daje zbyt małą liczebnie jednostkę narodową, by mogła zapewnić swym członkom bezpieczeństwo i pełny rozwój. Proces tworzenia wspólnego narodu jest długi i żmudny i wymaga wielu wyrzeczeń. Czy warto narażać się na nie, jeśli — powiedzmy to szczerze — gra nie warta świeczki? Jeśli z dwu jednostek, z których jedna liczy 2.5 miliona (Słowacy), a druga 7 milionów (Czesi) ma — po wielu pokoleniach, po wielu trudach i tarciach — powstać naród tak mało liczebny, że prawie bezbronny? Trudności, przez które przechodzą dziś i Jugosławia i Czechosłowacja, mają na oko charakter dość podobny, ale wynik będzie zapewne różny, gdyż wielki naród Południowej Słowiańszczyzny — to cel racjonalny, podczas gdy zespolenie się samych tylko Czechów i Słowaków prowadzi bardzo niedaleko.

Jak widzimy z powyższego zestawienia, proces tworzenia się wielkich narodów powtarza się w naszej epoce tak często, że zakrawa na regule. Nic w tym dziwnego, bo skoro idea narodowa rozbija wielkie jednostki państwowe poprzednich wieków i sprowadza społeczności ludzkie do rozmiarów niepraktycznych i utrudniających utrzymanie ładu na świecie, taż sama idea narodowa musiała się podjąć ponownego scalenia ludzkości w większe jednostki. Taki jest najgłębszy sens przemian narodowościowych naszych czasów.

W świetle tych rozważań wielkie narody okazują się koniecznymi elementami dziejów. Należy wyjaśnić prawa ich rozwoju; należy pomagać w ich narastaniu, a nie przeciwstawiać się im w imię doktryny czy to jednego państwa, obejmującego całą ludzkość, czy też w imię prawa każdej grupy etnicznej do pełnej niezawisłości.

Jest rzeczą nienaturalną, że odrodzona Polska stała do tej pory na uboczu od procesów wielko-narodowych, w których w dawnych wiekach przodowała ludzkości.

Naród a państwo. Czy naród tworzy państwo, czy też państwo kształtuje naród? Zdania są podzielone, spotyka się zwolenników i jednej i drugiej tezy.

Prawda, jak to bywa często, leży pośrodku. Można znaleźć w historii wiele narodów ukształtowanych przez państwo, że wymienimy choćby Francję, Anglię, Hiszpanię i t.p. Naodwrot znany szereg wypadków, w których narodom pozbawionym na pewien przeciąg czasu samodzielnego bytu państwowego udało się utworzyć własne państwa narodowe (np. w ostatnich czasach Polakom, Czechom, Serbom, Bułgarom, Grekom i t.p.). Bywa również, że państwu nie udaje się wykształcić narodu (np. monarchii Habsburskiej). Wreszcie zachodzą wypadki zgoła paradoksalne, że wymienie choćby współczesne Włochy i Niemcy, których świadomość narodowa wykrystalizowała się po części skutkiem rozbitcia państwowego. Ostrożny badacz dziejów, nie upraszczając płynności i różnorodnego przebiegu stosunku między państwem a narodem, ograniczy się więc do stwierdzenia: 1) silnej współzależności państwa i narodu, oraz 2) reguły, że o ile państwo tworzy naród, będzie to wielki naród, o ile natomiast naród tworzy państwo, będzie to zazwyczaj państwo narodowe jednorodne.

Krótkowzrocznemu człowiekowi dwa te pojęcia — państwa i narodu — tak się nieraz placza, że traci świadomość ich odrębności. Polse wersalsko-ryskiej próbowano przez pewien czas narzucić t. zw. »ideologię państwową«. Głosili ją A. Skwarczyński, S. Bukowiecki, O. Górka w swym »Naród a państwo jako zagadnienie Polski«; usiłowali ją realizować ministrowie Jędrzejewicze, B.B.W.R. i t.p. Zwolennicy tej teorii przeczyli istnieniu narodu niezależnie od państwa, mimo że sam Naród polski utrzymał się przecież z góra wiek bez własnego państwa!

Miałem niedawno dyskusję późno w noc z człowiekiem wykształconym i pełnym dobrej woli, wyższym wojskowym, kresowcem, szczerze przejętym koniecznością rozwiązania naszych problemów narodowościowych. Dyskusja nasza zniechęciła nas jednak obu ze względu na niemożność ustalenia wspólnej metody rozumowania: mój rozmówca, jedna z ofiar Górki i Jędrzejewiczów, nie potrafił odróżnić pojęć państwa i narodu i operować nimi oddzielnie. Cóż dopiero, gdy przyszło wprowadzić do dyskusji stopniowanie od ludu do narodu, pojęcie narodowości niedojrzałej do posiadania własnego państwa czy też państwa formującego wielki naród. »Ideologia państwowa« przejdzie do historii jako jeden z objawów pomieszania pojęć, panującego w Odrodzonej Polsce; na korzyść

zwolenników tej ideologii należy jednak zapisać zrozumienie, że koncepcja jednorodnego państwa narodowego prowadzi nas na ślepy tor. Toteż do szkoły »państwowej« dołączyło wielu nieświadomych czy też półświadomych wyznawców wielkiego narodu.

W ostatnich latach przed obecną wojną zaczęły się mnożyć oznaki, że zarówno młodzi narodowcy (J. Giertych, St. Piasecki, »Prosto z Mostu«) jak i młodzi Pilsudczycy (Kadra, »Zespół«, koncepcja »Narodu politycznego«) rozwijają swe poglądy narodowościowe w kierunkach zbieżnych.

Każda epoka ma swój ideał państwowy. Średniowiecze fundowało państwo na dynastii, czasy nowożytne wykształciły ideał państwa narodowego t.j. państwa, którego wszyscy obywatele są członkami tego samego narodu. — »Któż zaprzeczy« — pisze prof. Muir — »że dążność do przyjęcia narodu za jedyną podstawę dla państwa wszędzie tam, gdzie istnieją możliwości narodowe, była jedna z dominujących cech dziejów nowożytnych«*)?

»Naród jest naturalną formą społeczności; natomiast państwo może być czymś bardzo sztucznym« — powiada pisarz katolicki A. C. F. Beales**) i cytuje powiedzenie lorda Lloyd'a, że »państwo narodowe jest najlepszą formą, wynalezioną dotychczas przez geniusz Europy«**). Autorom »Nationalism« »wydaje się nierozważne jakiegokolwiek przypuszczenie, że państwa narodowe mogłyby zniknąć w bliskiej przyszłości«***). Zdaniem większości uczonych, uczucie narodowe jest dziś jedyną więzią psychiczną dostatecznie silną, by wykrzesać z milionów ludzi ofiary konieczne dla istnienia państwa. Trudno jednak zamykać oczy na fakt, że po triumfie państwa narodowego w latach 1918/20, nastąpiło pewne rozczarowanie. Państwo narodowe wini się dziś za poszatkowanie Europy i za plynące stąd trudności polityczne i gospodarcze, które w dużej mierze przyczyniły się do wojny 1939/45. Dodajmy od razu, że rozczarowanie to kieruje się przeciw państwom narodowym jednorodnym, których tylu powstało po poprzedniej wojnie, a nie przeciw państwu wielkonarodowemu, będącemu wytworem wiekowego rozwoju i spełniającemu nadal z powodzeniem swą funkcję całkowitą.

*) Nationalism and Internationalism, London 1917, str. 123.

**) The Catholic Church and International Order, 1941, str. 159 i 176.

***) Nationalism, str. 340.

Zacytujemy tu zdanie publicysty amerykańskiego Streita, autora głośniejszych w latach 1939/41 prac pt. »Federal Union« i »Union Now.« Streit pisze: »Nacjonalizm osiągnął swój szczytowy punkt z początkiem naszego stulecia, gdy większe narody zjednoczyły się do tego stopnia, że dalsze stosowanie tej zasady musiało, ze względu na mnogość małych narodów w takich państwach jak Austria, Rosja i Turcja, raczej zacząć dzielić świat na małe działki, niż całkowicie go na te większe skale, która stawała się coraz konieczniejsza ze względu na silnik benzynowy i elektryczny i inne wynalazki.«*)

I my w Polsce przeżyliśmy dużo rozczarowań, płynących z próby utworzenia państwa narodowego Polaków, i na własnej skórze dochodzimy do prawdy znanej historykom i socjologom, że państwo narodowe jednorodne jest z reguły anty-historyczne i anty-socjologiczne i że rytm rozwoju ludzkości wymaga procesów wielkonarodowych, zamkniętych w ramy odpowiednio ukształtowanych państw.

Mало jest dziś wśród Polaków ludzi, broniących koncepcji jednorodnego państwa narodowego Polaków. W roku 1917, wążąc trzeźwo możliwości Rzeczypospolitej z jej koniecznościami, Dmowski wytyczył linię graniczną obejmującą Białoruś po Berezynę i Podole z Kamieńcem. Koncepcja ta, choć skromna ze względu na wyczerpanie narodu długą niewolą, była jednak w swej istocie wielkonarodowa, obejmując prawie połowę ludności etnicznie nie-polskiej. Sowiety w zimie 1919/20 zaproponowały nam granicę nieledwie identyczną i uważały za rzecz całkiem naturalną, że zażądamy takiejże granicy w Rydze. Jeśli sami z niej zrezygnowaliśmy, to stało się to skutkiem wadliwie pojętej koncepcji państwa narodowego, »by nie obciążać się nadmierną liczbą mniejszości«. Popelniliśmy błąd zasadniczy. Plynie stąd przestroga, by problemy te obecnie gruntowniej przemyśleć i spopularyzować.

Skoro my sami rozczarowaliśmy się do państwa narodowego »etnicznego«, nie dziwnym jest, że ma ono na szerokim świecie taką »złą prasę« i tylu krytyków. Krytyków tych podzielić można zgrubsza na dwie grupy. Do pierwszej należą przeciwnicy idei narodowej jako takiej; do drugiej ludzie, będący wprawdzie zwolennikami tej idei, lecz pragnący ją wtłoczyć w ramy państwa wielkonarodowego.

*) Clarence Streit, Union Now, London, 1941, str. 307.

Przeciwnicy idei narodowej, to z jednej strony doktrynerzy internacjonalni, z drugiej skrajni realisci, wyznawcy Państwa (przez duże P) jako maszyny urzędniczo-wojskowej, dla których uproszczonej umysłowości wszelkie względy narodowościowe stanowią tylko niepotrzebna komplikacja. Nie brak takich ludzi i wśród Brytyjczyków. Paradoks polega na tym, że ci sami ludzie, dla których odrebność Szkotów czy Walijczyków wydaje się rzeczą oczywista i godna szacunku, wykazują brak zrozumienia dla analogicznych problemów na kontynencie.

Krótkowzroczność ta nie ogranicza się zresztą do ludzi, pozbawionych zrozumienia problemów narodowościowych. Wielu Brytyjczyków uznaje wprawdzie wagę odrebności narodowych, niecierpliwi się jednak i zniechęca komplikacjami narodowościowymi Europy i w rezultacie dochodzi do koncepcji państwa wielo-narodowego, mającego mechanicznie skupić członków różnych narodów, dając im pełną swobodę — w ramach państwowych konieczności politycznych i gospodarczych — do »praktykowania« swej narodowości. W literaturze naukowej brytyjskiej koncepcje te reprezentują: Lord Acton, C. A. Macartney, prof. Zimmern, E. H. Carr i inni*). Nestorem i czołowym autorytetem tej grupy jest Lord Acton, to też zacytujemy obszerniejszy ustęp z jego dzieła p.t. History of Freedom, wydanego w roku 1862. Píše on**):

»Polaczenie kilku narodów w jednym państwie jest równie koniecznym warunkiem cywilizowanego życia, jak polaczenie ludzi w społeczeństwo. Rasy niższe podnoszą się, żyjąc w unii politycznej z rasami wyższymi intelektualnie. Narody wyczerpane i upadające odżywają w zetknięciu z żywotnością młodszych. Narody, które zatraciły elementy organizacji i zdolność do rządzenia się, czy to skutkiem demoralizującego wpływu despotyzmu, czy też skutkiem rozkładającego działania demokracji, odnawiają się i kształcą na nowo pod dyscypliną silniejszej i mniej skażonej rasy.

»Ten użyźniający i odradzający proces może się toczyć tylko wtedy, gdy kilka narodów żyje pod jednym rządem. W tyglu państwa dokonuje się wówczas stop, dzięki któremu moc, wiedza i zdolność jednej części

*) W niektórych wypadkach ludzie złej wiary, nie czując się na siłach do jawnej walki z idea narodową, udają zwolenników państwa wielo-narodowego, wiedząc dobrze, że jest ono nierealne.

***) Lord Acton, History of Freedom, Macmillan, London, str. 288.

rodzaju ludzkiego staje się udziałem drugiej. Tam gdzie polityczne i narodowe granice pokrywają się, społeczeństwo przestaje postępować naprzód i narody zapadają się z powrotem w stan analogiczny do stanu ludzi, którzy wyrzekną się stosunków z innymi ludźmi.«

Z pośród wyznawców państwa wielo-narodowego do najwybitniejszych należą prof. Carr i prof. Zimmern. Prof. Carr pisze: »Istnienie grupy mniej lub więcej rasowo czy językowo jednolitej, związanej wspólną tradycją i wspólną kulturą, powinniśmy przestać uważać za oczywisty powód do utworzenia czy utrzymania niezawisłej jednostki politycznej«*).

Prof. Carr dopełnia swą myśl cytatem, zaczerpniętym z Macartney'a:

»Kłopoty dzisiejsze wynikają z nowoczesnej koncepcji państwa narodowego: z utożsamienia politycznych ideałów państwa z narodowo-kulturalnymi ideałami większości jego mieszkańców. Skoro raz przestaniemy mieszać dwie rzeczy zasadniczo różne, niema powodu, dla którego członkowie tuzina różnych narodowości nie mogliby żyć razem w tym samym państwie w doskonałej harmonii«**).

Ostatnie zdanie Macartneya prowadzi nas prosto do koncepcji narodów w rozproszeniu, żyjących w ramach państw wielo-narodowych. Heroldem tej koncepcji jest w Wielkiej Brytanii syjonista prof. Zimmern. Największym wrogiem takiej koncepcji jest oczywiście państwo narodowe, toteż prof. Zimmern ciska nań gromy. »Wiemy« — powiada***) — »że teoria państwa narodowego jest jedna z najgroźniejszych i złośliwych sił po stronie naszych nieprzyjaciół i jedna z głównych przeszkód ludzkiego postępu w obecnym czasie«. »Wierze« — pisze w innym miejscu****) — »że wszyscy przewidujący ludzie, którzy pragną polepszenia stosunków między narodami i lepszej politycznej organizacji świata, muszą pokładać swe nadzieje nie w państwie narodowym, które jest tylko stopniem, a na Zachodzie wytartym stopniem w politycznej ewolucji ludzkości, lecz w państwach, które, podobnie jak wielkie rządzące systemy religijne przeszłości, jak średniowieczne Chrześcijaństwo i Islam, obejmują przeróżne społeczności i narody«.

*) The Future of Nations, London, 1941, str. 49.

***) National States and National Minorities, str. 450.

*****) loc. cit. str. 46.

*****) loc. cit. str. 64.

Według prof. Zimmerna przedsmak takiego państwa wielonarodowego daje nam obecnie Szwajcaria, a w przyszłości państwem takim stana się Stany Zjednoczone Am. Póln., skoro tylko »... pączkujące kultury wchodzących w ich skład narodów rozkwitną, nabierając własnego wyrazu.«*) Marzy mu się »nowa era — era, która ujrzy podział świata, dla celów politycznych, w ponadnarodowe państwa lub wspólnoty (Commonwealths), a w końcu świat zjednoczony, lecz pielęgnujący liczne narodowe indywidualności, ośrodki narodowej tradycji i inspiracji, co uratuje dusze ludzkości od zabójczych wpływów materializmu i standaryzacji«**).

Póki ta era nie nadejdzie większość Żydów, wzdychając do siedziby narodowej mogącej pomieścić tylko ich ulamek, będzie mogła pielęgnować swe uczucia narodowe mieszkając nadal w diasporze. Na ten okres przejściowy ideałem ich są wielonarodowe imperia. »Te państwa są w istocie najdoskonalsze« — pisze prof. Zimmermann — »które, jak imperia Brytyjskie i Austriackie (rzecz napisana była w r. 1917, uwaga moja), mieszczą różne odrębne narodowości bez uciskania ich.«***)

Wśród Polaków podobnie rozumuje między innymi Ksaw. Pruszyński, który, pisząc o swym dzieciństwie, powiada: »Po latach nie umiałbym powiedzieć, co przetrwało we mnie z owego dzieciństwa, bardziej zbliżonego do przeciętnego dzieciństwa Polaków z w. XVIII niż z w. XX. Otóż najpierw, prawdopodobnie, pewien duch dziejów Polski. Pojmowanie Rzeczypospolitej jako wielonarodowego imperium.«****)

Idąc po tej linii rozumowania Pruszyński rozciąga dobrodziejstwo wielonarodowej Rzpltej i na naród żydowski. Uważa on, że*****) »jeśli dojdzie do współpracy między Polakami i Żydami, to oba narody będą w chwili zwycięstwa zdolne do kształtowania spraw i granic w środkowo-wschodniej Europie. . . Historia niedawna uczy, że narody żyjące pomiędzy Niemcami a Rosją upadły między innymi dlatego, że nie umiały żyć ze sobą w zgodzie. Dawniejsza historia uczy, że ziemie te przeżywały okresy świetności, gdy trwały w łączności ze sobą. Taka łączność może dać

*) loc. cit. str. 85.

**) loc. cit. str. 98.

***) loc. cit. str. 21.

*****) »Kraj Lat Dziecinnych«.

*****) Przyszłość, Londyn, luty 1941.

jedynie federacja. Federacji nie zorganizują narody małe jak Litwini, młode kulturalnie jak Ukraińcy. Federacje mogą tam zorganizować jedynie dwa narody: Polacy i Żydzi.«

W świetle tych rozumowań różnica między koncepcjami państwa, obejmującego wiele narodów, i państwa, tworzącego wielki naród, rysuje się jasno.

Naród w rozproszeniu. Szeroko rozpowszechnione jest mniemanie, że nie może być narodu bez stałej siedziby, nie zrosnietego odwiecznie z pewnym obszarem ziemi. Większość badających w obiegu definicji narodu żąda, by naród był osiadły. Ogół narodów odpowiada też temu warunkowi. Jeden jest tylko wyjątek od tej reguły, a jest nim naród żydowski.

A może to nie wyjątek? Może Żydzi nie są narodem? Wielu uczonych i nieuczonych twierdzi, że Żydzi są narodem, wielu innych uważa, że nim nie są. Wśród samych Żydów istnieje na ten temat rozdzielenie (choć może tylko pozorne). Syjoniści uważają Żydów za naród; asymilatorzy przeczą temu bardzo gorliwie.

Wskazywaliśmy na to, jak dalece zawodne są wszelkie definicje narodu. Lepiej się zdać na wyczucie. Czy wspólnota żydowska wykazuje zdolność do zbiorowego wytwarzania własnego typu kultury i zbiorowego działania na stopniu dojrzałości narodowej? Czy wykazuje zdolność do walki? Piszący te słowa niema wątpliwości, że tak, i uważa Żydów nie tylko za naród, lecz ponadto za mocarstwo, o centralnym ośrodku kierowniczym w skali światowej, o sprawnie rozwiniętej organizacji narodowej, opartej na konspiracji, o potężnym organizmie gospodarczym, o wspólnocie religijnej i kulturalnej, oddziałującej na ludzkość równie silnie, jak np. w wiekach XV/XVI oddziaływały Włochy, a w wiekach XVII/XVIII Francja.

Każda reguła ma swe wyjątki. Wśród narodów z reguły osiadłych — wyjątkiem są Żydzi. Niejeden naród próbował żyć w rozproszeniu; w Starożytności do wysokiego stopnia rozproszenia doszli Fenicjanie i Grecy (im zawdzięczamy tak często przez Żydów używany wyraz diaspora), we wczesnym Średniowieczu skandynawscy Wikingowie. Każda próba rozproszenia kończyła się jednak po paru pokoleniach rozplynięciem się wśród tubylców. O ile dostateczna ilość ludności została w kraju macierzystym, naród utrzymywał swe istnienie (Grecy, Skandynawowie); jeśli

ogół poszedł w rozproszenie, naród ginał (np. Fenicjanie). Jedni tylko Żydzi poszli w rozproszenie w całości i mimo to potrafili utrzymać swą odrębność.

Czemu to zawdzięczają? Niewatpliwie swej religii, bo zatracili i wspólnotę języka i rasy. Wprawdzie miały i inne ludy idące w diasporę swe religie, i religie te nie potrafiły zapobiec ich rozplynięciu się, jednakże jako Chrześcijanie przyznajemy religii żydowskiej tak dalece górujące stanowisko nad wszystkimi innymi religiami (poza nauka Chrystusa), że ich wyjątkowy los tłumaczy nam się bez trudu ich wyjątkowa religia.

Odwieczna legenda przypisuje utrzymanie się Żydów w diasporze ciężacemu na nich przekleństwu. Żyd Wieczny Tulacz nie zazna nigdy spokoju, który daje osiadły byt narodowy. . .

Do wieku XIX uczucia religijne miały dostateczne nateżenie, by utrzymać wspólnotę Żydów. W drugiej połowie XIX wieku zaczęło im jednak grozić poważne niebezpieczeństwo rozłożenia się pod wpływem teorii antyreligijnych, które z takim zapalem propagowali wśród Chrześcijan. Należało stworzyć inną więź psychiczną, scalającą społeczeństwo żydowskie. Wówczas to zrodził się Syjonizm. Apostołami jego stali się Herzl, a po nim Ginzberg (Achad Ha'am). Jednym z najwybitniejszych Syjonistów jest obecnie prof. Zimmermann. Jego zdanie o nacjonalizmie cytowaliśmy poprzednio. Jest ono zgodne z naszym. Ale już przy definicji narodu czujemy, że drogi nasze rozchodzą się. »Zdefiniowałbym naród« — pisze prof. Zimmermann*) — »jako zespół ludzi zjednoczonych zbiorowym uczuciem o szczególnej mocy, zażyłości i godności, uczuciem odnoszącym się do określonego kraju — siedziby. Każdy naród ma pewną siedzibę, chociaż pewne narody, jak np. Żydzi, Irlandczycy, Norwegowie i Polacy, w większości swej żyją na wygnaniu.«

Abstrahując nawet od nieścisłości dotyczącej nas (nigdy większość Polaków nie żyła poza swym krajem) niema chyba Polaka, który czytając powyższą definicję nie poczułby tak czy inaczej odruchu sprzeciwu. W naszym pojęciu tylko straszna katastrofa dziejowa może spowodować opuszczenie przez większość narodu swej ziemi ojczystej. Taka katastrofa spotkała Żydów i Irlandczyków (co do Norwegów twierdzenie

*) loc. cit. str. 52.

prof. Zimmermann jest równie nieścisłe, jak co do Polaków), ale czy z katastrofalnej wyjątkowości położenia dwu narodów można wyciągać wnioski, dotyczące ogółu narodów świata? Bo przecież idąc po linii rozumowania prof. Zimmermanna dochodzimy prostą drogą do klasycznej tezy Syjonistów, że wystarczy, by mniejszość narodu żyła w siedzibie narodowej, a wówczas większość może mieszkać na wieki wieków w diasporze, opłatając swe uczucia narodowe dokoła dalekiego skrawka symbolicznej ziemi ojczystej. . .

Taka koncepcja wydaje się nam sztuczna i utopijna; nie wierzymy, otwarcie mówiąc, w jej urzeczywistnienie. Prof. Zimmermann wyobraża sobie kulę ziemską zamieszkałą przez mieszanych ludzi różnych narodowości, zarabiających na życie w przypadkowych krajach, gdzie mieszkają, ale uczepionych sercem jakichś dalekich ojczyzn! Z tej koncepcji wypływa logicznie postulat państwa wielo-narodowego, o którym mówiliśmy w poprzednim rozdziale.

*

Prof. Zimmermann przesadza twierdząc, że wkład Żydów do nacjonalizmu jest aż tak doniosły*). Jednakże wpływ myśli syjonistycznej był niewatpliwie duży. Był on przede wszystkim duży prawem kontrastu: dopomógł wszystkim innym narodom do zrozumienia, że ich ideal narodowego bytowania jest wręcz odwrotny od ideału żydowskiego. W tym sensie wpływ Syjonizmu na myśl nie-żydowska należy ocenić pozytywnie. Był jednak inny jeszcze, mniej widoczny wpływ Syjonizmu, który wyraził się w powstaniu koncepcji narodu osiadłego, mającego mniejszość swych członków w stałej diasporze. Polscy wyznawcy tej teorii ukuli nawet wyrażenie »naród światowy«, rozumiejąc pod tym słowem naród taki jak np. polski, mający 25 milionów na ziemi ojczystej a 8 milionów na wychodźctwie. Koncepcje wychodźctwa jako aktywnej części narodu, w pewnej mierze jego awangardy, rozbudowali ostatnio Niemcy i teoretycznie i organizacyjnie. Poszli po tej samej drodze Włosi, Japończycy i Polacy. Oczywiście trudno ustalić, jaki był tu wpływ syjonizmu; różnica teoretyczna jest duża, bo wprawdzie i w jednej i w drugiej koncepcji jest diaspora, ale żydowska diaspora obejmuje cały prawie naród (z siedzibą narodową utrzymaną w roz-

*) Patrz cyt. str. 117.

miarach symbolicznych i zamieszkała przez mały ułamek narodu), podczas gdy w koncepcji nieżydowskiej diaspora nie ma być pniem, lecz tylko konarem.

Może i bez teorii syjonistycznej narody, mające duże wychodźstwo, byłyby podjęły próbe utrzymania go pod wpływem metropolii; jednakże myśl syjonistyczna dała innym narodom bodziec do pójścia po tej drodze. W rezultacie okres między pierwszą a drugą wojną światową wypełniły próby przeszkodzenia naturalnym procesom asymilacji emigrantów do narodów, wśród których osiedli.

Największe wyniki osiągnęli na tym polu Niemcy. Jeszcze na długo przed Hitlerem organizacje Niemców zagranicznych (Auslanddeutsche) potrafiły w wielu krajach, między innymi w Polsce, zahamować wsiakanie emigrantów niemieckich w narody-gospodarzy. Partia hitlerowska po dojściu do władzy zajęła się tą sprawą z takim rozmachem, że w Polsce nie tylko wstrzymano w ostatnich latach przed wojną polszczenie się Niemców, ale odwrotnie zaczął się proces wsteczny ponownego niemieczenia się ludzi dawno już spolszczonych. Na obszarze Stanów Zjednoczonych zarówno Niemcy jak i Włosi zahamowali amerykańskizowanie się swych rodaków. Wyrosły z tego na całym świecie potężne pięte kolumny; ich machinacje otworzyły nam oczy na fakt, że zapobieganie asymilacji emigrantów jest procesem nienaturalnym i szkodliwym w perspektywie dobra całej ludzkości. Próba użycia emigrantów jako imperialistycznej agentury własnych narodów w cudzych krajach stała się przyczyną katastrofalnych zaburzeń i zlamala życie wielu wartościowym jednostkom.

* * *

I my podjęliśmy próbe zorganizowania »narodu światowego« i stworzyliśmy w tym celu Związek Polaków Zagranicą. Trudno mieć o to żal do ludzi, którzy go zawiazali, bo taki już był duch czasu. Próba ta zawiodła całkowicie. Miara jej nieudania się było fiasko akcji werbunkowej do wojska polskiego w Stanach Zjedn. w latach 1940/42. Okazało się, że w ciągu dwudziestolecia między obu wojnami nasza emigracja w Stanach Zjedn. odeszła od Polski tak daleko, że zdecydowanie odmawia jej daniny krwi, stanowiącej naczelną sprawdzian przynależności do wspólnoty narodowej.

W świetle tego fiaska stanelo przed społeczeństwem polskim w całej jaskrawości pytanie, czy dotychczasowa nasza polityka wobec emigracji nie była błędna? Czy w miejsce nieudanej próby tworzenia »narodu światowego« nie należałoby, jak to radza niektórzy, wstrzymać się od nieudolnych i bezskutecznych usiłowań przeciwdziałania wynaradawianiu się Polaków amerykańskich i raczej spróbować wygrywać na korzyść Polski naturalne względem niej sympatie ludzi, którzy stali się już wprawdzie synami swych przybranych ojczyzn, ale zachowali pewien sentyment do narodu, z którego wywodzili się ich przodkowie?

Narodowi polskiemu szczególnie trudno jest zdecydować się na tę drugą drogę choćby dlatego, że przecież nasza emigracja, której znaczna większość wyszła z kraju między powstaniem styczniowym a rokiem 1914, była — w przeciwieństwie do emigracji włoskiej czy niemieckiej — wytworem niewoli. Zaborcy celowo nie rozwijali przemysłu na ziemiach polskich, toteż nadmiar naszej ludności musiał emigrować. Z chwila odzyskania niepodległości czuliśmy wszyscy instynktownie, że należy naprawić i ten smutny skutek rozbiorów. Nasza polityka wobec emigracji, choć szczególnie nieudolna, kierowana była jednak myślą, by z tych milionów najteższych ludzi, którzy przez szereg dziesiątków lat opuszczali ziemię ojczystą, starać się odzyskać dla kraju choćby pewien ułamek. I byłoby się to zapewne udało, gdyby Rzplta była w tym czasie wytworzyła pewną siłę atrakcyjną. Niestety nie wytworzyła jej.

Nasza koncepcja była więc tylko pozornie koncepcją diasporę, a w gruncie rzeczy koncepcją powrotu. I w jednym i w drugim kierunku zawiodła. Jeśli chodzi o największe skupisko naszego wychodźstwa tj. o Polonie w Stanach Zjedn., obecne położenie przedstawia się jak następuje:

i) czynnie trzyma się polskości już niewiecej niż kilka procent (pareset tysięcy na pięć milionów) naszych emigrantów, jak wynika z cyfr przynależności do polskich stowarzyszeń i z ofiarności na cele polskie;

ii) formy organizacyjne nawet tych kilku procentów Polonii przejęte są duchem amerykańskim (np. Związek Narodowy Polski w postaci towarzystwa ubezpieczeń!). Świadczy to, iż większość członków Polonii zachowała z polskości w pełni już tylko język i przywiązanie do tradycji, lecz duchem po części się zamerykanizowała;

iii) młodego pokolenia, urodzonego na ziemi amerykańskiej, ze znikomymi wyjątkami nie można już uważać za Polaków;

iv) mało dotychczas uczyniono w celu zużytkowania dla naszej sprawy Amerykan pochodzenia polskiego.

Jakaż więc powinna być nasza polityka wobec Polonii w Stanach Zj.?

Szukając odpowiedzi należy mieć na uwadze, że Stany Zjedn. są w trakcie zespalania się w wielki naród (mówiliśmy o tym przed chwilą) i że rozwiązanie nasze nie może być, jak dotychczas, próbą przeciwdziałania temu naturalnemu procesowi, bo próba taka byłaby zgóry skazana na niepowodzenie, wywoływałaby tylko dalsze tarcia, szarpaninę i rozgorczenie. Wydaje się, że powinniśmy obrac następującą linię postępowania:

1) W najbliższych, powiedzmy, dziesięciu latach, część Polaków amerykańskich (obawiam się, że niezbyt liczna), da się może jeszcze sklonić do re-emigracji, szczególnie o ile związane to będzie z zajmowaniem placówek handlowych i przemysłowych po Niemczech na obszarach, które odbierzemy po obecnej wojnie. Ilość tych re-emigrantów będzie w prostym stosunku do siły przyciągania, jaka potrafi Rzplta wytworzyć.

2) Pewien odsetek Polonii amerykańskiej trzymać się będzie Polskością zapewne jeszcze przez kilka pokoleń. Część ta, nieprzekraczająca już dziś kilku od sta, będzie nadal mała. Jest rzeczą oczywistą, że musimy odnosić się do tych ludzi z całym sercem, jak na to zasługują ze względu na swe wierne przywiązanie do Polskości. Byłoby jednak błędem traktować ich nadal jako pełnomocnych przedstawicieli pozostałych dziewięćdziesięciu kilku od sta naszej emigracji, którzy już dziś uważają się za Amerykan polskiego pochodzenia. Polityka, jaka zastosujemy wobec tych ostatnich, musi być zupełnie nowa. Nie tu miejsce na jej szczegółowe rozważenie.

Jedno jest wszakże niewatpliwe: nie celowe byłoby kusić się o wywołanie w narodzie amerykańskim procesów wstecznych, repolonizacyjnych, i dążenie do utrwalenia Narodu polskiego w postawie narodu w rozproszeniu. Postawa to chorobliwa, zakłócająca przyrodzony porządek świata. Zreszta w stosunkach między narodami obowiązywać musi również zasada: nie czyni drugiemu, co tobie niemiło. Na obszarze Rzpltej nie powinniśmy tolerować żadnych

diaspor, zdecydowanych na stałe utrzymywanie kontaktu z narodem macierzystym. Czego nie chcemy u siebie, nie możemy narzucać innym.

* * *

Mówi się dużo o udostępnieniu wszystkim narodom terenów osiedleńczych i surowców kolonialnych. Hasła takie wysuneli i Papież i Roosevelt-Churchill w Karcie Atlantyckiej.*) Świat dojrzeje do rozwiązania tych zagadnień. Chodzi tu przede wszystkim o Afrykę, w minimalnym jeszcze stopniu zaludnioną i eksploatowaną. Czy ma ona nadal zostać wyłącznym terenem osiedlania się pewnych wybranych narodów?

Napewno nie.

Możliwe tu są dwa wyjścia. Albo wydzielenie każdemu z państw europejskich w Afryce pewnego obszaru, który mogłoby suwerennie zaludnić i zagospodarowywać. Takie rozwiązanie nie wydaje się dziś na czasie. Drugie rozwiązanie, to otwarcie dla wszystkich ludzi białej rasy, pod auspicjami jakiejś nowej Ligi Narodów czy Federacji Światowej, obszarów Afryki niezamieszkałych przez zwarte narody**) z tym, że mógłby się tam osiedlać kto chce i gospodarować swobodnie, przy czym wwóz i wywóz towarów musiałby być absolutnie wolny (open door policy). Tylko taki system dałby wszystkim narodom europejskim rzeczywistą swobodę zaopatrzenia się w bogactwa kolonialne.

Nie będziemy tu omawiali strony gospodarczej takiego rozwiązania, chcemy tylko wskazać na jego stronę narodowościową. Niema obecnie w Afryce narodu na tyle liczny, by mógł pokusić się w takim układzie o narzucenie swej mowy i obyczaju wszystkim innym. Należałoby więc raczej spodziewać się powstania społeczeństwa naprawdę międzynarodowego, którego każdy uczestnik czułby się nadal członkiem swego narodu. Byłoby to w pewnej mierze urzeczywistnieniem koncepcji syjonistycznej.

Mniejszości narodowe. Tworzywem wielkich narodów są albo mniejsze narody jednorodne (jak np. w wypadku unii Szkocji z Anglią) albo grupy etniczne, które nie osiągnęły dojrzałości narodowej (jak np. w wypadku wejścia Walijszczyków w wspólnotę narodową brytyjską czy też Bretoń-

*) Patrz str. 320.

**) Wchodzi tu w rachubę cała Afryka z wyjątkiem Abisynii, Egiptu, północnego wybrzeża Afryki od Egiptu po Marok, Liberii oraz dominium Afryki Południowej.

czykó w francuska). Dobrowolne polaczenie sie narodu z narodem przestudiujemy w dalszych rozdziałach tej pracy. Obecnie rozważymy problem t. zw. mniejszości narodowych i ich role w narastaniu wielkich narodów.

Rok 1918 przejdzie zapewne do historii jako moment szczytowy tego, co określiłbym jako doktrynerstwo nacjonalistyczne*). Szeroko panował wówczas pogląd, że każdy, najmniejszy nawet naród, ma prawo do samodzielnego bytu. Uzupełnieniem tego poglądu, jego logicznym rozwinięciem stała się zasada, że każdej grupie etnicznej przysługuje prawo do rozwoju samowiedzy narodowej; z zasady tej wynikły t. zw. Traktaty Mniejszościowe. Między ich wierszami zainteresowani czytali nadzieje, w bliższej lub dalszej przyszłości, zmiany przydziału państwowego czy nawet pełnej niepodległości.

Skutki traktatów mniejszościowych były oplakane. Skorzystali z nich tylko Niemcy dla wytworzenia V. kolumny. Już na szereg lat przed obecną wojną szkodliwość i nieżyctwość tych traktatów była rzeczą ogólnie uznana. Ciekawie piszą o tym Anglicy, jedni z głównych inicjatorów tych traktatów. Zdaniem Royal Institute for International Affairs**), »twórcy traktatów mniejszościowych, którzy swą znajomość problemów mniejszościowych zaczerpnęli przeważnie z Europy Zachodniej, nie spodziewali się, że traktaty te, chroniąc odrębne właściwości mniejszości, zapobiegna takiej ich asymilacji do nowych wspólnot narodowych, jakiej ulegli Szkoci i Walijszczyki w W. Brytanii. Toteż autorzy traktatów troszczyli się głównie o zagwarantowanie równych praw obywatelskich i politycznych oraz wolności i pilnie unikali wszystkiego, co mogłoby zapobiec przeważeniu w każdym państwie jednej kultury narodowej.«

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi. Jak wynika z powyższego, koncepcja autorów traktatu była ściśle wielko-narodowa, w praktyce jednak traktaty te przeciwdziałały narastaniu wielkich narodów. Widząc to uczeni brytyjscy sformułowali pytanie: »Czy traktaty powinny próbować utrzymać mniejszości na stałe jako odrębne społeczności wewnątrz

*) Każda, nawet najsluszniejsza doktryna, można doprowadzić do absurdu przez przejawienie pewnych jej rysów. Ludzi, którzy to czynią, zwiemy doktrynerami. Np. doktrynerem monarchizmu był Bossuet, doktrynerem Chrześcijaństwa Tolstoj, doktrynerem demokracji J. J. Rousseau.

**) Nationalism, str. 293.

odnośnych państw, czy też powinny przygotowywać mniejszości do stopniowego asymilowania się we wspólnoty narodowe, do których politycznie należą?«*) Uczeni zgrupowani wokół Royal Institute for International Affairs wydają się sprzyjać tej drugiej alternatywie. P. Benes z wyraził pogląd podobny. Zdaniem jego »w przyszłości ochrona mniejszości powinna polegać w pierwszym rzędzie na obronie ludzkich praw demokratycznych, a nie praw narodowych. Mniejszościom w poszczególnych państwach nie będzie można ponownie nadać charakteru uznanych międzynarodowo politycznych i prawnych jednostek, co pozwoliłoby im stać się ponownie źródłami niepokoju. Z drugiej strony należy koniecznie ułatwić emigrację z jednego państwa do drugiego, tak by mniejszości narodowe, nie chcąc żyć w obcym państwie, mogły stopniowo jednoczyć się z własnymi pobratymcami w sąsiednich państwach.«**)

Skoro nawet p. Benes odstąpił Traktatów Mniejszościowych, los ich wydaje się przesadzony.

* * *

Obecnie rodzi się inne niebezpieczeństwo. Podnoszą głowę nacjonałiści szczególnego rodzaju, w typie Bismarcka, zwolennicy tępienia odrębności językowych i kulturalnych przy pomocy metod policyjnych. Poszła już po tej drodze Brazylia, nie licząc państw totalnych. Skoro mniejszości mają się stopić w wielki naród, rozumują ci ludzie, to im przedziej, tym lepiej dla nich samych. Póco rozkładać na raty to, co można zrobić szybko? Ze boli? Ze nieludzkie? Któżby się na to oglądał w epoce czołgu i samolotu.

Takiemu rozumowaniu przeciwstawia się coraz silniej pogląd, że prawo do zachowania odrębności etnicznej, w zakresie nie groźnym dla spójności państwa i narastania wspólnoty wielko-narodowej, stanowi jedno z zasadniczych praw jednostki ludzkiej. Prawo to można niewatpliwie wywieść z prawa natury, bo fakt, że jednostka rodzi się w pewnej społeczności i bezwiednie przyjmuje jej język, właściwości i obyczaje, wynika z przyrodzonego porządku tego świata, a nie z jakichś wadliwych ustaw

*) Nationalism, str. 293.

**) The Organisation of Post-War Europe, reprinted from Foreign Affairs, January, 1942.

czy instytucji, ustanowionych przez człowieka. Nie chodzi tu jednak o rozwijanie każdej grupy etnicznej w pełny naród. Cel jest znacznie skromniejszy; chodzi o to, by »życie ludzkie uczynić znośniej-sze«*), który to cel, zdaniem Royal Inst. for Int. Aff., przyswiewcał twórcom traktatów mniejszościowych.

Problem ten rozpatrywać należy na tej samej płaszczyźnie filozoficznej, na której zrodziła się chrześcijańska teoria osobowości, kulminująca w Magna Charta Libertatum, Neminem Captivabimus i t. p. i w ich pochodnych — acz odbitych w krzywym zwierciadle ośmnastowiecznego racjonalizmu — »Prawach człowieka i obywatela«. Chrześcijaństwo wyprowadza uprawnienia jednostki ludzkiej z dwu źródeł: z faktu stworzenia człowieka na podobieństwo Boże oraz z prawa natury, z którego wypływa — że wymienimy przykładowo — prawo każdego człowieka do założenia rodziny, prawo do wychowania potomstwa, prawo do obrony swego życia kosztem życia napastnika i t. p. Niektóre z praw naturalnych są bezsporne, inne podlegają dyskusji. Sporne jest np. prawo człowieka do wolności politycznej; Chryścijanie skłonni są wolność tę uważać za naturalny wynik cnót obywatelskich, będących owocem etycznego doskonalenia się społeczeństwa.

Temat »Praw człowieka« jest zbyt obszerny, by go tu rozpatrywać, wspominam o nim tylko w paru słowach, gdyż wiąże się ściśle z prawami mniejszości narodowych. Szeroko rozpowszechniony jest dziś pogląd, że prawo natury, nie przeszkadzając bynajmniej w procesie stapiania się grup etnicznych w wielkie narody, chroni jednakże odrębności językowe i obyczajowe tych grup przed gwałtownym zatarciem. Odruch oburzenia na wiadomość o zakazie polskim dzieciom we Wrześni pa-cierza we własnej mowie był wspólny ludziom całego świata. Podobnie wydają się przeciwne naturze wszelkie zakazy rozmowy w języku ojczy-stym,**) noszenia stroju regionalnego i t. p.***) Nie wdając się tu w

*) Nationalism, str. 294.

**) »Gdybym na Rusi galicyjskiej spotkał nauczyciela Polaka, prześladowającego dziecko zato, że jest ono dzieckiem ruskiem, że po rusku mówi, czułbym do niego nie mniejszy wstret od tego, jaki budzi we mnie moskiewska i pruska kanalia pedagogiczna...« (Roman Dmowski, »Myśli Nowoczesnego Polaka«).

***) Po zgnieceniu powstania szkockiego 1745/6 Anglicy zakazali, pod karą śmierci, noszenia szkockich strojów narodowych. Każdy człowiek czuje, że zakaz taki gwałci pewien ład naturalny.

szczegóły należy zaznaczyć, że rozszerzenie »Praw Człowieka« o prawo do ochrony właściwości etnicznych przed próbami ich gwałtownego wykorzenienia, wydaje się dziś bezsporne.

Ostatnio wypowiedział się w tej sprawie Papież. Drugi z pośród wspomnianych już pięciu punktów pokojowych Papieża, ogłoszonych na Boże Narodzenie 1941, brzmi:

»Zadnego ucisku mniejszości narodowych i ich odrębności kulturalnych.

»W nowym porządku, opartym o zasady moralne, niema miejsca na ucisk, otwarty czy skryty, odrębności kulturalnych i językowych mniejszości narodowych, na krepowanie i tłumienie ich zdolności gospodarczych, na ograniczanie ich naturalnej płodności. Im sumienniej władza Państwa szanuje prawa mniejszości, tym pewniej i skuteczniej może wymagać od ich członków lojalnego spełniania obowiązków, wspólnych wszystkim obywatelom.«

* * *

A więc poszanowanie odrębności etnicznej, przy równoczesnym wtapieniu we wspólnotę wielkiego narodu. Czy taki postulat nie jest sprzeczny sam w sobie, nie stanowi contradictio in adiecto? Jestem głęboko przekonany, że nie. Wszystkie narody naprawdę wielkie narastały w ten właśnie sposób. Tak narastał Rzym, Francja, W. Brytania, Rzplta Jagiellonów. Tylko Niemcy narastały metodami margrabiego Gerona, Krzyżaków, Fryderyka, Bismarcka i Hitlera, to też ciąży nad nimi przekleństwo i wisi stale groźba utraty wszystkich nabytków.

Różnolitość etniczna nie rozsądza, lecz bogaci. Pozwala przejść w wielki naród organicznie, bez wyjalowienia ludowego podłoża, które jest podstawą zdrowego społeczeństwa.

Rozsadzająco działa natomiast odrębność polityczna mniejszości narodowej, jej autonomia wykraczająca poza ramy potrzeb ściśle lokalnych i poza prawo stowarzyszania się dla zaspokojenia potrzeb kulturalnych. Autonomia polityczna stanowi narzędzie do hodowania odrębności narodowej.

Plebiscyt. Wśród cech, określających przynależność narodowa człowieka, można odróżnić cechy obiektywne i subiektywne. Do pierwszych należą język, obyczaj, wiara, wykształcenie, charakter, pochodzenie i t. p. Cechy subiektywne to świadomość przynależności do danego narodu, gotowość ponoszenia dla niego ofiar i t. p.

Naogół cechy subiektywne i obiektywne pokrywają się. Bywa jednak, i to wcale nie rzadko, że człowiek cechami obiektywnymi (językiem i t. p.) należy do jednego narodu, a w swej świadomości uważa się za przynależnego do narodu drugiego (wypadki częste wśród Alzatzyków, Mazurów w Prusiech Wschodnich, Ślązaków i t. p.). W czasie procesów wielko-narodowych ewolucja cech subiektywnych wyprzedza naogół zmiany w cechach obiektywnych; np. Alzatzyk czy Bask mówi jeszcze swą mową i zachowuje swój obyczaj, a uważa się już za Francuza. Bywa i naodwrot: Irlandczyk przejął wiele cech obiektywnych Anglika (łącznie z językiem), a czuje się Irlandczykiem.

Cechy obiektywne są uchwytne i wymierne i dadzą się zaobserwować, opisać, ująć w statystyki i t. p. Utarło się natomiast przekonanie, że cechy subiektywne — w wypadkach spornych — najlepiej określić przy pomocy specjalnie zorganizowanej, masowej wypowiedzi zwanej plebiscytem. Przekonanie to jest błędne, gdyż w rzeczywistości nastawienie wewnętrzne człowieka rzutuje się również bardzo wyraźnie w świat pięciu zmysłów, dostępny dla obserwacji socjologicznej; zależnie od swego poczucia przynależności narodowej jednostka tak czy inaczej mówi i działa, należy do organizacji, składa ofiary i t. p. Przygotowania do plebiscytu związane są z takim naciskiem psychicznym na jednostkę, że głosowanie z reguły nie wyraża jej stanu duchowego z przed rozpisania plebiscytu, lecz w dużej mierze jest tylko miernikiem sprawności aparatu plebiscytowego i skuteczności obustronnych propagand. To też masowa, naukowo zorganizowana obserwacja socjologiczna cech narodowościowych może dać wyniki znacznie bliższe prawdy niż plebiscyt*).

Nawet tam, gdzie przeważająca większość jednostek uświadamia sobie swą przynależność narodową, na wynik plebiscytu wpływają

*) Spis ludności miewa często charakter plebiscytu, to też uzyskane tą drogą dane (np. język, którego dany człowiek używa w rodzinie) są mało wiarogodne, o ile nawet abstrahować od nacisku komisarzy spisowych, fałszerstw itp.

w dużej mierze czynniki przejściowe takie jak przypadkowe epizody*) historyczne, propaganda i t. p. A cóż dopiero, gdy mamy do czynienia z narodowością czy nawet ludem, narodowo mało uświadomionym! Z naszych poprzednich rozważań wynika, że grupa etniczna na poziomie ludu czy narodowości (a takie grupy objęte bywają plebiscytami) nie jest zdolna do wyrażenia woli zbiorowej, która spotykamy dopiero »na szczęblu« narodu. Ogólne rozczarowanie do plebiscytów dobrze wyraził Royal Inst. for Internat. Affairs w następujących słowach: »Próba stosowania zasady samo-określenia narodowego w każdym państwie do obszarów, w których nie wytworzyła się jednolita świadomość narodowa, wydaje się prowadzić raczej do zguby niż do zbawienia, chyba że udałoby się znaleźć jakąś metodę zapobiegania trudnościom, które z tej zasady wynikają**«).

Metody takiej nie udało się do tej pory znaleźć, toteż wynik plebiscytomanii, która zapanowała po roku 1918, oceniany jest przez naukę anglosaską naogół ujemnie. W szczególności z dzieła wybitnej Amerykanki S. Wambaugh pt. »Plebiscites since the World War« wypływają wnioski dla plebiscytów niepomysłne***).

* * *

Plebiscyt, o ile nie nadmiernie sfałszowany, jest w pewnej mierze wskaźnikiem, jak dalece proces wielko-narodowy posunął się w danym społeczeństwie. Dodajmy jednak odrazu, że niema lepszego sposobu na zakłócenie tego procesu jak zmuszenie każdego człowieka, by starał się określić swą narodowość w chwili, kiedy zachodzą w nim bardzo delikatne przemiany duchowe.

*) Np. plebiscyt na Mazurach w r. 1920 odbył się w chwili, gdy wojska bolszewickie podchodziły pod Warszawę. W dwa miesiące później wynik głosowania byłby inny. Plebiscyt w Zagłębiu Saary odbył się w czasie, gdy w Niemczech rządził Hitler, a we Francji panowało rozprzeżenie.

**) Nationalism, str. 280.

***) Z bardzo ludzkich względów inaczej oceniają wartość plebiscytów czynni politycy, których rozgłos wiąże się z tym okresem. A więc wyniki plebiscytów oceniają pozytywnie zarówno lord Cecil, znany entuzjasta Ligi Narodów, w swoim »A Great Experiment, an Autobiography«, 1941, jak i Kaeckenbeck, autor »The International Experiment of Upper Silesia«, 1942, który był przez długie lata przewodniczącym Międzynarodowej Komisji Rozjemczej w Bytomiu.

Plebiscyt jest więc w wielu wypadkach gwałtem psychicznym, który burzy proces wielko-narodowy.

Plebiscytami objęte bywają dwie kategorie ludności: 1) ludność zamieszkująca pewne terytorium, która należy cechami obiektywnymi (językiem itp.) do jednego sąsiada, a objęta jest procesem wielkonarodowym na rzecz drugiego sąsiada (np. Mazury, Śląsk, Saara, Schleswig Holstein, Karyntia i t. d.), albo 2) pełna grupa etniczna, której daje się do wyboru dołączenie się do tej lub innej wspólnoty narodowej (wypadek rzadki). O ile w tym drugim wypadku plebiscyt może dać niekiedy wynik praktyczny, o tyle w pierwszym plebiscyt w najlepszym razie potwierdzi fakty znane z obserwacji (w którym to wypadku plebiscyt był zbędny), albo da wynik odbiegający od faktów zaobserwowanych, którego jedna ze stron nie uzna i który stanie się punktem wyjścia dla niekończących się zadrażnień. Każdy plebiscyt jest dla zainteresowanej ludności katastrofą. Następuje rozdzielenie społeczeństwa na długie lata; procesy wielkonarodowe ulegają przerwie, a nieraz cofnięciu; przywódcy i działacze strony pokonanej dostają się pod pretekst, gina lub uchodzą na emigrację; następuje w wielu wypadkach wyjąłowanie społeczeństwa z najwartościowszych jednostek. Ze strony plebiscytu najłatwiej uprzytomnić Brytyjczykowi czy Amerykaninowi porównując plebiscyt z wyborami do parlamentu, po których zwolenników strony pokonanej zrujnowano, wygnano z kraju lub zabito.

Plebiscyt należy ocenić jako doktrynerską próbę przeniesienia techniki wyborczej na sprawy narodowościowe.

Art. 2. Karty Atlantyckiej głosi: »Zadnych zmian terytorialnych, niezgodnych ze swobodnie wyrażonymi życzeniami ludów zainteresowanych.« — Z artykułu tego nie wynika bynajmniej, by jedynym sposobem »wyrażenia życzeń« miał być plebiscyt. Zaden z plebiscytów, których tyle odbyło się w ostatnim ćwierćwieczu, nie wywołał wrażeń, by środek ten był skutecznym narzędziem rozwikłania trudności między narodami. Na szczęście wśród społeczeństw anglosaskich zrozumienie szkodliwości plebiscytów zatoczyło już wcale szerokie kregi, a wśród uczonych wydatnie przeważa.

Małe narody. »Mówiąc 'naród' mam na myśli jedną z tych zorganizowa-

nych społeczności, liczących dwadzieścia do trzystu milionów, w ramach których żyje przeważająca większość ludzi.«*)

Oto paradoksalny pogląd znanego uczonego angielskiego, wręcz przeczący samemu istnieniu t. zw. małych narodów. Wielu obywateli współczesnych narodów kolosów, liczących od kilkudziesięciu milionów wzwyż, myśli podobnie, choć niezawsze wypowiada to z równą szczerością. Z drugiej strony głośno rozbrzmiewa hasło »wolni z wolnymi, równi z równymi«, ujmujące w popularną formułę prawo każdego narodu do własnego państwa narodowego. Po tej drugiej linii poszły ostatnio dwie wypowiedzi Papieża: jedna ogłoszona na Boże Narodzenie 1939 (która podjęli w zbiorowym liście, wystosowanym do redakcji »Times« w dn. 21. XII. 1940, śp. kard. Hinsley, ówczesny Prymas katolicki Anglii, oraz najwyżsi dostojnicy angielskiego protestantyzmu) oraz druga na Boże Narodzenie 1941.

Przemawiając w wiliu Bożego Narodzenia 1939 Papież sformułował postulat następujący:

»Zasadniczym warunkiem pokoju słusznego i trwałego jest zapewnienie wszystkim narodom prawa do życia i niepodległości. Wola do życia jednego narodu nie może być równoznaczna z wyrokiem śmierci na naród inny.«

W Oredziu radiowym, wygłoszonym w wiliu Bożego Narodzenia 1941, Papież Pius XII sformułował ponownie warunki sprawiedliwego pokoju. Pierwszy z tych warunków brzmi:

»Zadnej napaści na wolność i życie narodów mniejszych.

»W dziedzinie nowego porządku opartego o zasady moralne niema miejsca na naruszenie wolności, całości i bezpieczeństwa innych narodów, jakakolwiek byłaby ich rozciągłość terytorialna lub zdolność do obrony.«

* * *

Prawa małych narodów są więc uznane przez największe autorytety świata. Mimo to położenie wielu małych narodów jest katastrofalne. Za nimi jest siła moralna, przeciw nim siła fizyczna potężnych sąsiadów. Przeciw nim wydaje się być również, w pewnej mierze, duch czasu. Wieki XIX i początek wieku XX były wyjątkowo korzystne dla małych

*) Graham Wallas, Our Social Heritage, London, 1921, str. 77.

narodów. Zbiegło się wówczas szereg okoliczności takich jak kulminacja idei narodowej; długi okres pokoju w Europie; pewne, przed r. 1914, złagodzenie obyczajów międzynarodowych; rozpad imperiów hiszpańskiego, austriackiego, tureckiego, niemieckiego i rosyjskiego; liberalizm polityczny i gospodarczy. Wszystkie te okoliczności złożyły się na stan rzeczy, w którym życie małych narodów płynęło naogół pomyślniej niż życie mocarstw. Ale tak szczęśliwy zbieg okoliczności może się już nie powtórzyć. Wiek XX niesie konieczności techniczne, wojskowe, gospodarcze, komunikacyjne, zmuszające do scalania większych obszarów. Niektórzy pisarze uważają, że warunki obecne przekreślają wogóle możliwość istnienia małych państw. G. D. H. Cole pisze: »Niezależność małych państw, a właściwie wszystkich państw z wyjątkiem największych i najzasobniejszych w dobrze rozwinięty przemysł, nie da się utrzymać obecnie, kiedy zmechanizowana armia i lotnictwo, należące do wielkiego państwa, mogą prosto zgnieść wszelki opór z ich strony.«

Z wyjątkiem narodów szczególnie szczęśliwie położonych, takich jak np. Portugalia czy Szwajcaria, małe narody stoją wobec alternatywy: albo wegetować na lasce możliwych sąsiadów, w stanie stałego zagrożenia, albo łączyć się między sobą w większe jednostki państwowe. Toteż w uzupełnieniu prawa do niepodległości każdego, najmniejszego nawet narodu, zasady szczytnej lecz w praktyce często katastrofalnej, zaczyna się ustalać w naszych czasach zasada dodatkowa, że małe narody (o ile nie położone zupełnie na uboczu) powinny we własnym interesie brać udział w życiu międzynarodowym zespołowo, t. zn. łączyć się w większe wspólnoty (konfederacje, federacje, unie), i dopiero w ramach tych wspólnot mogą korzystać (umiarkowanie) z praw narodowych. Jest to swego rodzaju korporacjonizm w skali międzynarodowej. Podobnie jak teoretyczne »Prawa człowieka i obywatela« do pełnej wolności miarkowane są w praktyce koniecznością zrzeszania się w społeczeństwo i zrzekania się na jego korzyść części swobody, podobnie i prawo narodów do niepodległości idzie w parze z koniecznością zrzeszania się narodów w zespoły narodów. Jak zaś wiemy, zespół taki nie utrzyma się długo w charakterze państwa wielonarodowego, lecz z reguły wyzwala procesy psychiczne, zmierzające do utworzenia wielkiego narodu.

Optimum stanowi łączenie się między sobą narodów o takich rozmiarach, by żaden z partnerów nie przygniatał innych swą wielkością i

nie mógł ich majoryzować. Projektowana unia »Atlantycka« (patrz str. 161) wydaje się dlatego mało realna, że Stany Zjedn. majoryzowałyby w niej wszystkich innych partnerów. Podobnie związek kolosa moskiewskiego z jakimkolwiek mniejszym narodem będzie miał zawsze charakter polkniecia, a nie unii.

Łącząc się między sobą mniejsze narody powinny tak normować proces zrastania się w wielki naród, by na przestrzeni wieków ich odrębności narodowe sprowadzały się powoli i nieznacznie, a tym samym bezboleśnie, do odrębności o charakterze regionalnym.

Związek angielsko-szkocki stanowi piękny przykład takiego osiągnięcia.

Federacja celem czy środkiem? W społeczeństwach zachodnich idee federacyjne są ostatnio na pierwszym planie zainteresowań. Mówi się na ten temat dużo i pisze, czasem mądrze, a czasem balamutnie (i to nieraz celowo balamutnie). Polak, chcący z pożytkiem dyskutować z Anglosasami, a tym bardziej Polak mający bronić w dżungli międzynarodowej interesów swego Narodu, powinien dokładnie zapoznać się zarówno z nomenklaturą anglosaską, jak i z czyhajacymi na niego w tej materii podrywkami.

Anglosasi stopniują formy państwowe złożone w sposób następujący:

- a) liga (league)
- b) konfederacja (confederation)
- c) federacja (federation)
- d) unia (union, federal union)
- e) imperium (empire).

W r. 1940 poważne grono uczonych i publicystów brytyjskich wydało prace zbiorową pt. *Federal Union**, dająca podobnie wszechstronne naświetlenie problemu federacyjnego, jakie dała cytowana przez nas często praca »Nationalism« odnośnie problemów narodowościowych. Autorzy »Federal Union« operują następującymi definicjami (str. 12 i 21):

»Federacja jest takim zjednoczeniem państw, w którym centralny czyli federalny rząd w pewnych dziedzinach rządzi bezpośrednio

*) *Federal Union*, a Symposium, London, 1940.

poddanymi sfederowanych państw, a nie pośrednio poprzez rządy tych państw, przy czym władza tych rządów nad ich własnymi obywatelami jest ograniczona do wszystkich pozostałych dziedzin . . .

»Nazwa 'Unia Federalna' określa się ścisła federacje . . .

»Federacje należy odróżnić od konfederacji, polegającej na tym, że pewna liczba państw, zachowując swą polityczną odrębność istotnie nienaruszona, łączy się w związek konfederacyjny bez zrzeknięcia się na korzyść tego związku jakichkolwiek bezpośrednich praw nad swymi poddanymi . . .

»Jeszcze luźniejszym związkiem jest zwykła liga państw, taka jak Liga Narodów, będąca zgromadzeniem państw w pełni suwerennych . . .

»Na odwrotnym końcu tej skali leży imperium; jest to związek polityczny, w którym dąży się do pełnej jedności; rząd jednego państwa jest zarazem rządem imperium.«

Na tle powyższej nomenklatury zrozumiała jest propozycja jednego z brytyjskich autorów, by »Liga Narodów sfederowała się«.

Operując tą nomenklaturą należałoby związek polsko-litewski od Jagielly po Zygmunta Augusta określić jako konfederację, a poczynając od Unii Lubelskiej jako unie.

Niezrecznie Polakom używać słowa konfederacja w tym znaczeniu, ponieważ zwykliśmy określać tym słowem polską instytucję prawnopubliczną zupełnie innego rodzaju. Nie mając jednak możliwości naklonić Anglosasów do zmiany ich terminologii, musimy się do niej przyzwyczaić. Zupełnie natomiast zbędnie zaczyna się u nas wkraść zwyczaj używania terminu federacja w znaczeniu terminu unia, choć słowo unia ma u nas znaczenie tradycyjne całkowicie zgodne ze znaczeniem, nadawanym słowu »union« w krajach anglosaskich, gdzie bardzo obecnie popularny jest ruch »Federal Union«, którego podwaliny ideowe rzucił publicysta amerykański Clarence Streit w książkach pt. »Federal Union« (1939) oraz »Union Now« (1941). Tytuły tych książek mówią same za siebie. Nie zapominajmy, że Stany Zjedn. nie zwa się Federated States lecz United States, a na określenie sojuszników w obecnej wojnie ukł. prez. Roosevelt termin United Nations.

Dla uzasadnienia wyrugowania unii na rzecz federacji przytacza się u nas argument, że tak jest zreczniej, gdyż słowo unia brzmi źle w uszach Litwinów. Argument ten nie wydaje się trafny. Celem naszym

jest unia nie tylko z Litwinami (liczebnie najmniej licznymi, choć uczuciowo wysuniętymi przez nas na pierwsze miejsce), ale i z Czechami i Słowakami, z Ukraińcami i Białorusinami. Otóż wszystkim tym partnerom — z wyjątkiem jednej Litwy — słowo unia brzmi przyjemnie i budzi cenne skojarzenia historyczne i uczuciowe.

* * *

Znamy z historii liczne przykłady związków państwowych, które ewolucyjnie zacieśniały się aż do zlania się w jedno państwo (a nieraz i w jeden naród), oraz związków, które nie wytrzymały próby czasu. Procesów udanych — od konfederacji do federacji wzgl. unii — było w czasach nowożytnych cały szereg, jakoto Stany Zjedn. Am. Półn.,*) Szwajcaria, Rzesza niemiecka, Kanada, Australia, Afryka Południowa. Cecha charakterystyczna wszystkich tych przykładów (za wyjątkiem Szwajcarii) jest, że mniejsze jednostki państwowe, wchodzące z sobą w związek federalny, miały ludność tej samej narodowości i języka.***) Yankesi lubią niesfornym narodom Europy świecić w oczy przykładem zjednoczenia się ich Stanów. »Mogliśmy my, możecie i wy.« Twierdzeniem takim należy się przeciwstawiać jaknajbardziej kategorycznie. To, co Yankesi zrobili z końcem XVIII wieku, to Polacy zrobili już za Lokietka, mianowicie zjednoczyli obszary zaludnione przez ludzi tej samej mowy, religii, obyczaju i pochodzenia. Jednoczące się Stany — podobnie jak Polska Piastów — rozdzielone były sztucznie; słusznie cytowane jest w »Federal Union« powiedzenie p. Mousley'a, że »unia amerykańska nie była krokiem poza nacjonalizm, ale krokiem w nacjonalizm.«****)

Federacja, jeśli ma się ostać, powinna jednoczyć to, co już było sobie bardzo bliskie, jeszcze zanim połączyło się w związek federalny. Posłuchajmy co o tym myśli prof. Dicey.****)

*) Stany Zjedn. przeszły szereg etapów: w r. 1643 zawiazano »lige przyjaźni«, w r. 1774 konfederację, w r. 1786 federację. Od wojny domowej (r. 1861) należy Stany Zjedn. uważać za unie.

**) Wyjątek stanowi tu jedynie Szwajcaria, ale jej położenie geopolityczne jest tak szczególne, że trudno wypadek szwajcarski w jakikolwiek sposób uogólnić.

***) str. 309.

****) »Introduction to the Study of the Law of the Constitution«, London, 1927, str. 136—143.

»Państwo federalne może powstać, jeśli spełnione są dwa warunki.

»Po pierwsze, musi istnieć zespół krajów takich jak kantony szwajcarskie, kolonie amerykańskie lub prowincje Kanady, tak blisko spokrewnionych lokalnie, historycznie, rasowo itp., by mogły w oczach swych mieszkańców wywoływać wrażenie wspólnej narodowości . . .

»Drugim warunkiem absolutnie niezbędnym dla powstania ustroju federalnego jest bardzo szczególny stan uczuć wśród mieszkańców krajów, których zjednoczenie się proponuje. Muszą oni pragnąć unii, nie pragnąć jedności. Jasne jest, że gdyby nie było pragnienia unii, nie byłoby podstawy do federacji.«

Posłuchajmy również definicji federalizmu, sformułowanej przez znanego publicystę angielskiego Wickhama Steeda.

»Mówiąc o 'federalizmie' mam na myśli taką formę zrzeszania się narodów lub ludów, która zachęca do wzrostu wśród nich poczucia wspólnoty. Federalizm, zdaniem moim, stoi lub pada zależnie od stopnia, w którym daje odpowiedź (lub nie potrafi odpowiedzieć) na pytanie, czy pojedyncze narody mogą tworzyć międzynarodowe wspólnoty z tym samym rodzajem, choć może nie dokładnie z tym samym stopniem, posłuszeństwa wobec prawa, do jakiego indywidualni członkowie narodu poczuwają się wobec prawa, obowiązującego w ich narodowej wspólnocie.«*)

A więc federacja stoi lub pada zależnie od tego, czy potrafi wytworzyć wież analogiczną do wieży narodowej. Wyrażmy to krótko: federacja utrzyma się tylko wtedy, jeśli w jej ramach narasta wielki naród.

* * *

O federacjach mówią dziś wszyscy. Popularnie wyobrażają sobie ludzie federację w sposób następujący: pare narodów łączy się w federację, robiąc pewne ustępstwa ze swej suwerenności na rzecz wspólnej polityki zagranicznej i wojskowej, a może i gospodarczej. Wzajemian za te ustępstwa sfederowane narody uzyskują siłę odpowiadającą ich wspólnej liczebności, zachowując równocześnie pełną odrębność narodową. Na przykład: Niemcy liczą siedemdziesiąt milionów ludności;

*) Federal Union, str. 263.

jeśli powstanie federacja wrogich Niemcom sąsiadów, licząca tyleż samo ludzi, wówczas powstanie siła zbliżona do siły niemieckiej i zdolna jej się skutecznie przeciwstawić. Jednakże Polacy, Czesi, Węgrzy, Jugosłowianie, Litwini, Albańczycy itd., wchodzący w skład tej federacji, zostaną nadal odrębnymi narodami.

Rozumowanie takie jest równie rozpowszechnione, jak fałszywe, i świadczy o braku zrozumienia prawideł psychologii społecznej. Federacja, której poszczególni partnerzy zachowują na dłuższą metę własną nieuszczuploną wież narodową, nie wytrzyma żadnej poważniejszej próby życia. Federacji, podobnie jak małżeństwa, nie zawiązuje się na miodowe miesiące, ale na czarne godziny i burze życia. Otóż psychologia uczy, że miliony ludzi dadzą się poruszyć do wspólnego wysiłku tylko pod warunkiem, że powstanie między nimi silna wież psychiczna, duch zbiorowy (określany przez naukę anglosaską jako *group mind*). Jeśli jakaś grupa społeczna ma stawiać czoło niebezpieczeństwu, musi mieć zbiorowego ducha; zbiorowisko ludzkie, które takiego ducha nie wytworzy, zachowa się jak armia Dariusza pod Maratonem lub Napoleona pod Lipskiem: rozleci się.

Mówiąc o federacji mamy zwykle na myśli wspólną siłę zbrojną i wspólną gospodarkę. Jedna wystawi na próbie wojna, druga kryzys gospodarczy; obie będą się starały wrogowie rozbić intrygą i przekupstwem. Chcąc, by federacja przetrwała wszelkie przeciwności, trzeba by wytworzyła wspólnego ducha, opartego na wspólnych sympatiach i antypatiach, na wspólnych odruchach uczuciowych, wspólnych wierzeniach i zwyczajach, wspólnych instytucjach, przyzwyczajeniach prawnych i metodach wychowania, wspólnych wspomnieniach, wspólnych nadziejach i obawach. Krótko mówiąc, chcąc trwać musi federacja wytworzyć to, co określamy popularnie mianem ducha narodowego. Można się zabawić w grę słów i powiedzieć, że będzie to specjalny duch federalny o charakterze ponadnarodowym czy też quasi-narodowym, ale będzie to tylko grą słów.

Cytowaliśmy już próbę uczonego angielskiego Ernesta Barker'a określenia wieży psychicznych, kalkujących naród brytyjski (United Kingdom) i wspólnotę brytyjską (Commonwealth). Pisze on: »Szkocja jest narodem, który jest niby-państwem (quasi-State); W. Brytania jest państwem, które jest conajmniej niby-narodem (quasi-nation);

a Commonwealth jest wspólnym systemem kultury, będącym również niby-państwem i mającym w sobie trochę z niby-narodu.«^{*)} Jest to znów tylko gra słów. W innym miejscu ten sam autor wyraża się: »Ludy szkocki i walijski są narodami pierwszego stopnia (nations of the first degree), zadowalniającymi się społecznym wyrazem swej odrębności. Z drugiej strony członkowie tych ludów są również członkami pewnego narodu — narodu brytyjskiego — który jest narodem drugiego stopnia (nation of the second degree).«^{**)} Jak już wspomnieliśmy, jest to sprawa terminologii; my przyjęliśmy w niniejszej pracy termin wielki naród na określenie stopu narodowego tego typu, co brytyjskie Zjednoczone Królestwo. Re-cytuje powyższe ustępy Barkera dlatego, bo szczególnie trafnie wskazują one na to, że taki Commonwealth, o typie federacji, będąc wspólnym systemem kultury jest tym samym czymś w rodzaju narodu i tym właśnie cechom zawdzięcza swą spójność, która pomaga mu przetrwać druga z kolei wojna światowa.

Czytałem świeżo prace, napisana przez pewnego Polaka w Turcji w r. 1941, w której wyraża się on, że Federacja Narodów Zachodnio-Słowiańskich powinna się stać »nad-narodem«. Na różne sposoby, przez różnych ludzi wyrażana jest tu podstawowa myśl, że związek federalny paru narodów musi, chcąc trwać, wytworzyć nową więź psychiczną, mającą również charakter więzi narodowej. Takie jest żelazne prawo psychologii społecznej. Mieliśmy tego przykład choćby na monarchii austro-węgierskiej, która uratowała się w czasie burzy w młodości Marii Teresy i nawet jeszcze w czasach napoleońskich (wówczas związki narodów opierały się na więzi monarchicznej), a rozpadła się w XX wieku skutkiem tego, że wśród swych ludów nie zdołała wytworzyć więzi wielkiego narodu.

Dziś więź narodowa wyparła w dużej mierze więź monarchiczna i stanowi jedyne lepiście, zdolne cementować w spójną całość wszelkie twory federalne.

Federacja ma dziś o tyle sens, o ile świadomie stawia sobie za cel utworzenie wielkiego narodu, i o ile cała swa budowę przystosowuje od samego początku do tego zadania. Natomiast federacja, chcąc na stałe utrzymać odrębności narodowe

^{*)} loc. cit. str. 131.

^{**)} loc. cit. str. 17.

swych członków, jest przedsięwzięciem utopijnym, skazanym na to, by się rozpaść przy pierwszej sposobności.

* * *

Definicja prof. Dicey'a^{*)} trafia w sedno zagadnienia, precyzując warunki powstania federacji: pokrewieństwo i chęć zjednoczenia się. Drugi warunek można wywołać w czasie stosunkowo szybkim, przy pomocy odpowiedniej propagandy. Pierwszy natomiast warunek, pokrewieństwo, jest wynikiem długich procesów historycznych i doraźnie wytworzyć go nie można. Toteż wywieszka z definicja prof. Dicey'a powinna wisieć nad każdym stolikiem kawiarnianym, przy którym amatorzy kleca sztuczne twory federalne.

Madrzejsi zwolennicy idei federalnej zdają sobie sprawę z potrzeby pokrewieństwa i dopatrują się go we wspólnocie cywilizacyjnej, łączącej narody białej rasy o kulturze chrześcijańskiej i ustroju demokratyczno-parlamentarnym. Clarence Streit, autor »Union Now«, widzi obecnie 15 narodów odpowiadających powyższym warunkom i tym samym dojrzałych do sfederowania się. Narody te to Stany Zj., W. Brytania, Francja, Kanada, Afryka Połudn., Australia, Nowa Zelandia, Irlandia, Belgia, Holandia, Szwajcaria, Dania, Norwegia, Szwecja i Finlandia.

Mimo dużego powinowactwa ustrojowego i cywilizacyjnego wszystkich tych narodów, panują między nimi silne antagonizmy. Streit zdaje sobie z nich sprawę, toteż proces tworzenia federacji rozkłada na dwa etapy. Pierwszy etap — to wspólnota narodów anglosaskich, których pokrewieństwo jest tak bliskie, że obecny ich rozdział wydaje się rzeczą sztuczną. Drugim etapem byłoby wciągnięcie do unii anglosaskiej wymienionych wyżej mniejszych państw europejskich.

Jako »Sofortprogramm« projekt Streita wydaje się nierealny; jednakże rozłożony na dwa powyższe etapy i propagowany systematycznie przez dziesiątki lat, może doczekać się urzeczywistnienia.

Po przewyciężeniu antagonizmów narodowych program ten natrafi na dwie szczególne trudności: sprawę kolonij, stanowiących obecnie własność poszczególnych partnerów przyszłej federacji, oraz okoliczność, że Stany Zj. górowałyby liczbą ludności nad sumą ludności

^{*)} Patrz. str. 158.

wszystkich innych członków unii, co daloby Stanom hegemonie w parlamencie federalnym.

* *

*

Rozpatrzmy teraz, w świetle dwu warunków prof. Dicey'a, organizacje miedzymorza bałtycko-czarno-śródziemnego. Pierwszemu warunkowi — bliskiego pokrewieństwa historycznego, rasowego, językowego, religijnego, cywilizacyjnego itp., wydają się odpowiadać dziś bez zastrzeżeń jedynie unie: Słowian Zachodnich (a więc Czechów, Słowaków, Polaków, Ukraińców i Białorusinów) oraz słowiańskich ludów bałkańskich. Do unii Słowian Zachodnich naturalnym biegiem rzeczy wejść mogłaby i Litwa, odrebna wprawdzie językowo, a po części i etnicznie*), od innych członków takiej unii, zato szczególnie blisko z nimi spokrewniona historycznie, religijnie i cywilizacyjnie. Słabsze powinowactwo łączy ten zespół narodów z Węgrami, znacznie jeszcze słabsze z Rumunami. Jednakże względy geopolityczne (a w stosunku do Węgier i cywilizacyjno-religijne) przemawiają za bliskim związkiem ustrojowym Słowian Zachodnich z Węgrami i Rumuniami.

Drugim warunkiem prof. Dicey'a jest szczególnie stan uczuć, powodujący pragnienie unii wśród mieszkańców krajów, mających wejść w jej skład. Pragnienie to można wywołać. Praca to żmudna, która musi systematycznie prowadzić grupy zwolenników unii u każdego z jej przyszłych uczestników.

* *

*

W mowie wygłoszonej w dn. 22. III. 1943 ówczesny premier W. Brytanii W. Churchill naszkicował następujący plan organizacji międzynarodowej: »Obok wielkich mocarstw powinna istnieć pewna ilość grup państw lub konfederacji, które wypowiedziałyby się przez własnych wybranych przedstawicieli; całość wylonilaby Rade wielkich państw i grup państw.«

Przy takiej koncepcji ściślejszy związek wszystkich narodów, położonych między Niemcami a Rosją, wydaje się rzeczą pożądaną i naturalną pod warunkiem, by związkowi temu nie nadawać charakteru ściślej federacji (co musiałoby doprowadzić do

*) Odrebnosc etniczna Litwinów jest rzeczą względną, wobec silnej domieszki krwi polskiej i białoruskiej. Dzisiejszy Litwin jest na pół Słowianinem.

zupelnie zbednych tarc i zawodów), ale utrzymać go w ramach konfederacji na tyle elastycznej, by mogła dostosować się do wielu istniejących na tym obszarze rozbieżności i konfliktów. Unia Słow. Zach. i Litwy, skonfederowana z Węgrami i Rumuniami, a może i z federacją bałkańską, wydaje się odpowiadać powyższemu założeniu.

Organizacja świata. Dążenie do zjednoczenia całej ludzkości w jednolitej organizacji zaprzętało — na przestrzeni tysięcy lat — umysły najwybitniejszych myślicieli. Pierwszą poważną próbą urzeczywistnienia tej idei było państwo rzymskie; pax romana objęła na kilka wieków cały ówczesny świat cywilizowany. Drugą taką próbą było Średniowiecze, ze swą podwójną hierarchią — duchowną i świecką — w osobach Papieża i Cesarza Rzymskiego, w oparciu o arbitraż międzynarodowy oraz o sobory, jako Parlament świata chrześcijańskiego. Organizacje te rozbiła Reformacja, głosząca pełną, nawet w dziedzinie religii (!), suwerenność poszczególnych państw. Ale już poczynając od XVII wieku budza się ponownie tęsknoty do organizacji międzynarodowej. Cześciowo zaspokaja te potrzeby t. zw. Święte Przymierze (1815—48), które daje Europie kilkadziesiąt lat pokoju. Wreszcie w czasach najnowszych heroldem tej idei staje się masoneria, która w roku 1919 powołuje do życia Ligę Narodów.

Stwierdźmy to otwarcie, że idea organizacji ponadpaństwowej była w polskim Obozie Narodowym do niedawna bardzo niepopularna. Płynęło to z dwu powodów: wyidealizowania państwa narodowego jednorodnego jako najwyższej, bezwzględnie suwerennej społeczności oraz faktu, że organizatorami wszelkich organów międzynarodowych są w naszych czasach konspiracje masonskie i żydowskie, blisko z sobą powiązane. Obawy polskich narodowców okazały się zresztą w pełni uzasadnione: Liga Narodów, w której głównym stałym przedstawicielem Polski był p. Reichman, funkcjonowała z reguły przeciw nam, a w chwili rozbioru Polski nie zdobyła się nawet na gest.

Mimo to — a może właśnie spowodu tego — powinniśmy zmienić nasze ustosunkowanie się do samej zasady organizacji świata.

W dwudziestolecu 1919—39 polski ruch narodowy przeszedł głęboką ewolucję poglądów, porzucając imperatyw »egoizmu narodowego« na rzecz szarmonizowania uczucia narodowego z uniwersalizmem

katolickim*). Ta ewolucja pociagnęła i pociąga za sobą nadal szereg skutków, z których jednym jest konieczność sprecyzowania naszej postawy wobec zagadnienia organizacji świata. W roku 1941 ukazała się w Anglii książka A. C.F. Beales'a pt. »The Catholic Church and the International Order«**). Beales przypomina prawdę wciąż na nowo zapomnianą, że to właśnie Kościół Katolicki reprezentował zawsze i reprezentuje nadal idee uniwersalistycznej organizacji ludzkości, i że wszelkie próby przedstawiania tej idei jako zdobyczy nowoczesnej myśli t. zw. »wolnej« są zwykłym nieuctwem. Katolik powinien uznawać potrzebę organizacji uniwersalistycznej nie tylko duchowej, która jest Kościół, ale i świeckiej; w tym kierunku poszło szereg wypowiedzi Papieża Piusa XII w czasie obecnej wojny. Jednakże Beales podkreśla bardzo mocno, przy pomocy długiego szeregu cytatów, że Kościół katolicki nie zamierzał nigdy budować jednolitego państwa światowego na gruzach poszczególnych państw i narodów. Kościół uznaje, że narody są wytworem naturalnej ewolucji ludzkości i mają pełne prawo do zachowania swej odrębności. Pisaliśmy o tym obszernie w pierwszych rozdziałach tej pracy. Formuła »ludzkości, jako zorganizowanej wielości narodów«, odpowiada zarówno katolickiemu jak i narodowemu punktowi widzenia i ma solidne fundamenty naukowe, powinna więc stać się wytyczną przyszłej organizacji świata.

* *

*

Na wszelką organizację składają się trzy elementy: jej założenia, jej formy organizacyjne oraz ludzie, którzy te formy wypełniają.

Zacznijmy od tych ostatnich. Do organizacji świata brali się na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat z reguły internacjoniści, podczas gdy nacjoniści przeciwdziałali im jak mogli. Rezultat tych zapasów musiał być ujemny. Pierwszym warunkiem powodzenia jest przede wszystkim wytworzenie kadr ludzi, rozumiejących potrzebę organizacji świata w sensie »wielości narodów«, ludzi kochających własne

*) W wydanej w r. 1942 w Londynie pracy M. Sieniawskiego pt. »Z rozważań nad narodowym radykalizmem« czytamy: »Nacjonalizm i uniwersalizm uzupełniają się i przenikają wzajemnie. Pierwszy jako wyraz przede wszystkim założeń dziejczych ludzkości, drugi jako wyraz przede wszystkim jej życia duchowego«.

***) Książka ta ukazała się w tłumaczeniu polskim.

narody, a zarazem oddanych całym sercem wielkiemu zadaniu ludzkości. Od przyszłej organizacji świata należy wykluczyć wszelkich »zacieraczy granic«, kosmopolitów i bezpaństwowców. W międzynarodowych władzach powinni zasiadać zwykli Anglicy, Francuzi, Polacy, Żydzi, zwyczajnie kochający swe ojczyzny. Ludzie ci nie powinni opierać się o kierowane międzynarodowo konspiracje, lecz powinni szukać w swych narodach oparcia o grupy społeczne i prądy myśli, świadomie łączące nacjonalizm z uniwersalizmem.

Drugim warunkiem powodzenia organizacji międzynarodowej są jej formy. Ewolucja one muszą powoli, nie wyprzedzając narastania kadr i dojrzewania w masach zrozumienia dla korzyści, płynących ze współdziałania narodów. Nawet najwięksi entuzjaści federacjonizmu jak np. Clarence Streit nie uważają w obecnej chwili za możliwe sfederowanie więcej niż piętnastu państw, najbardziej cywilizacyjnie zaawansowanych. Federacja światowa może dojść do skutku dopiero w wyniku długofalowego procesu zbliżania i upodabniania się do siebie narodów; muzyka to dalekiej przyszłości. Na obecną chwilę wysuwa się z różnych stron projekty, idące raczej w kierunku koordynacji poszczególnych dziedzin życia przez szereg międzynarodowych organizacji. Zwolennicy takiej koncepcji powołują się na to, że w ostatnich dziesięcioleciach organizacje takie jak np. Światowy Związek Pocztowy, Międzynar. Biuro Pracy, Trybunały w Hadze, Międzynar. Porozumienia Przemysłowe (Kartele itp.), Międzynar. Instytut Rolniczy w Rzymie, Bank Wypląt Międzynar. itd. funkcjonowały o wiele sprawniej i skuteczniej, niż »centralna władza« w postaci Ligi Narodów.

Niewątpliwie organizowanie się ludzkości na płaszczyznach realnych potrzeb jest metodą skuteczniejszą, niż tworzenie zawieszonych w powietrzu ciał ponadpaństwowych. Z drugiej jednak strony organizacje takie — nazwijmy je funkcjonalne — wymagają koordynacji i egzekutywy, które czerpie obecnie z konspiracji międzynarodowych, ale które powinny czerpać z jawnych ośrodków autorytetu. Toteż jawna, centralna władza ponadpaństwowa jest niewątpliwie pożądana. Rzecz oczywista, że w dzisiejszym stadium władza taka mogłaby mieć charakter conajwyżej konfederacyjny, t. zn. mogłaby wywierać bezpośredni wpływ tylko na rządy, a jedynie pośrednio — poprzez rządy — na obywateli poszczególnych państw.

Dla uniknięcia fikcji równości między wielkimi mocarstwami, a mniejszymi narodami, te drugie nie powinny być reprezentowane w centralnym ośrodku władzy bezpośrednio, lecz raczej — jak radził Churchill — poprzez związki, obejmujące po kilka czy kilkanaście państw.

Wśród zadań przyszłej organizacji międzynarodowej na pierwszy plan wysuwa się międzynarodowa obrona przed napadem (przy pomocy kontroli zbrojeń ofensywnych,*) międzynarodowej siły zbrojnej, umiędzynarodowienia lotnictwa transportowego itp.). Obrona taka wymaga silnej egzekutywy światowej oraz nałożenia poważnych obowiązków na poszczególne państwa. Jednakże ta obrona będzie skuteczna tylko wtedy, gdy usunie się główne przyczyny pchające państwa do zbrojeń i wojen, a więc przede wszystkim niesprawiedliwy rozdział surowców oraz terenów do osiedlania się**).

Szczególnie delikatnym zadaniem naczelnych władz międzynarodowych będzie ochrona małych narodów i mniejszości narodowych w sposób, nie hamujący narastania wielkich narodów.

Mówiliśmy już o tym obszernie.

Taktyka wielkich idei. Każda epoka ma swe wielkie idee. Wisza one w powietrzu albo leca huraganem przez świat. Niektóre niosą ludzkości poprawę jej doli, inne rozmiatają społeczność, wyrwijają z korzeniami instytucje, krusza i burza.

Świadomie kierowany naród powinien mieć własną taktykę wielkich idei. Jednym nadstawia żagle, by go niosły, pod inne płynie żmudnymi halsami, czasem, gdy sztorm staje się zbyt silny, związa żagle i dryfuje, by przeczekać burzę.

Jak ma się ustosunkować Naród polski do wielkich idei narodowościowych naszej epoki?

*) Nie należy identyfikować tego postulatu ani z pacyfizmem ani z rozbrojeniem. W każdej epoce istnieje bardzo wyraźna różnica między uzbrojeniem defensywnym a ofensywnym. Kontrola międzynarodowa może w zaródku niszczyć to drugie, natomiast żaden naród zdrowy psychicznie (a więc nieopanowany przez utopistów) nie zrezygnuje z uzbrojenia defensywnego, choćby dla względów zdrowia duchowego. Krajami, które ten problem rozwiązały w sposób prawidłowy, wydają się być w naszych czasach Szwajcaria, Finlandia i kraje anglosaskie. Również i Polska w okresie jagiellońskim rozwiązała była pięknie — na swe czasy — problem systemu wojskowego czysto obronnego.

**) Patrz str. 145.

W niniejszej pracy wymieniliśmy tych idei cały szereg. Oto one:

- 1) idea praw mniejszości narodowych
- 2) idea praw małych narodów
- 3) idea państwa narodowego jednorodnego
- 4) idea wielkiego narodu
- 5) idea federalna
- 6) idea organizacji całej ludzkości.

Niektóre z tych idei są z sobą zbieżne, inne kłóca się. Zbieżne są idee (2) i (3), (4) i (6) oraz (5) i (6). Kłóca się wyraźnie idea (1) i (3), (3) i (4) oraz (3) i (5). Idee (1) i (4), (2) i (4) oraz (4) i (5) z natury rzeczy powinny iść w parze, jednakże w wielu wypadkach są sobie przeciwstawiane. Próba pogodzenia idei (2) z idea (5), bez uwzględnienia idei (4), daje koncepcję państwa wielonarodowego, o której utopijności mówiliśmy przed chwilą.

Spróbujmy teraz uprzytomnić sobie, które z powyższych idei służy Narodowi polskiemu w jego obecnym położeniu, a które mu szkodzi.

Założenie: celem Narodu polskiego jest zrośnięcie się z wielkim narodem z pozostałymi Słowianami Zachodnimi i Litwinami. Idee, sprzyjające temu celowi, winniśmy wykorzystywać i popierać; idee przeciwne powinniśmy zwalczać. W walce tej czy poparciu nie będziemy odosobnieni, gdyż każda z tych idei ma na szerokim świecie swych przeciwników i popleczników, wśród których znajdziemy sprzymierzeńców.

Idea praw mniejszości narodowych. Powinniśmy współdziałać z tymi czynnikami na Zachodzie (np. Royal Institute for International Affairs), które zdają sobie sprawę, że ochronie mniejszości narodowych należy ograniczyć do ram ściśle humanitarnych, nie pozwalając jej stawac się narzędziem do rozbijania państw narodowych, a w szczególności narzędziem do wywoływania procesów wstecznych przy narastaniu wielkich narodów.

Idea praw małych narodów. Podtrzymując w pełni prawo małych narodów do samodzielnego bytu, powinniśmy głosić (i sami praktykować) konieczność wejścia mniejszych narodów w związki wielonarodowe, nie obawiając się tego, że podobnym hasłem operuje również, acz z wybitną złą wiarą, Rosja.

Idea państwa narodowego jednorodnego oraz idea wielkiego narodu. Idea pierwsza znajduje się dziś w wyraźnym od-

plywie. Wzieta zbyt dosłownie idea ta zaszkodziła nam w latach 1918/21. Powinniśmy przestawić cały nasz sposób myślenia i działania na realizację idei wielkiego narodu. Idea ta nie jest jeszcze wyraźnie sprecyzowana na rynku intelektualnym świata; głosząc ją pierwsi moglibyśmy wyciągnąć wielkie korzyści propagandowe i polityczne.

Idea federalna. Korzystna dla nas w swym wariantcie głębszym unii, kształtującej wielki naród. Szkodliwa, bo utopijna, w swym wariantcie federacji wielo-narodowej, w ramach której ma żyć obok siebie szereg narodów, nie poświęcając niczego ze swych odrębności narodowych.

Idea organizacji całej ludzkości. Przybiera dwie postaci: jednolitego państwa światowego oraz zorganizowanej wielości narodów. Pierwsza długo jeszcze będzie utopia. Druga, w połączeniu z idea scalania się ludzkości w wielkie narody, dokładnie odpowiada potrzebom Narodu polskiego.

BUDOWA WIELKIEGO NARODU

Bardzo pięknie napisał Barker: »Gdyby mi kazano ułożyć formułę na sporządzenie narodu, powiedziałbym: »Weź najpierw pewien obszar; dodaj pewną formę organizacji (lub państwo) dla zespolenia jego mieszkańców; pozwól, by pewien język, o ile nie było go tam na początku, stopniowo przeważył; spraw, by wspólnota wierzeń i kultu zjednoczyła duchowo ludzi — a następnie z tygła czasu i fermentacji wieków wyłoni się naród.«*).

Kolejność wymienionych przez Barkera faz nie jest przypadkowa: chcąc stworzyć naród trzeba najpierw narządzić ramy terytorialne, polityczne i gospodarcze, w których mogłyby się zespolić wartości duchowe; następnie, w miarę kształtowania się języka — narzędzia przekazywania myśli — może dopiero narastać wspólnota wierzeń, stanowiąca najgłębszą więź (religio po łacinie znaczy więź) narodu. Zsynchronizowanie tych zjawisk w czasie oraz fermentacja psychiczna, to procesy przekraczające możliwości oddziaływania najgenialniejszych nawet meżów stanu; zjawiska te rozkładają się na wieki i pokolenia i obejmują miliony ludzi, nie uświadamiających sobie historycznych zdarzeń, w których biorą udział. Nie znaczy to jednak, by władcy i jednostki przywódcze nie mogły tym procesom pomagać lub przeszkadzać. W narastającym wielkim narodzie można zawsze kłaść nacisk na to, co rozkłada, albo na to, co zespolą.

* * *

Zacznijmy od rozpatrzenia roli, jaką w kształtowaniu wielkiego narodu grają trzy zasadnicze elementy organizacji politycznej: Głowa Państwa, Rząd i Parlament.

*) National Character and the Factors in its Formation, London, 1927, str. 15.

Głowa Państwa. Najłatwiejszym sposobem zespolenia ludzi jest podporządkowanie ich jednemu człowiekowi. W prymitywnych społeczeństwach jest to zarazem sposób jedyny. Dopiero w miarę dojrzwania organizacji społecznej kształtują się instytucje ustrojowe całkujące takie jak Rząd (bedacy czymś więcej, niż gronem sług Głowy Państwa) oraz Parlament. Toteż w społeczeństwach dojrzałych rola zespalająca Głowy Państwa waży mniej, choć doświadczenie wykazało, że obniżenie jej autorytetu i zakresu władzy poniżej pewnej miary (jak to zrobili np. Francuzi po r. 1870) mści się dotkliwie.

A więc unia społeczeństw prymitywnych możliwa jest tylko przez Głowe Państwa. Klasyczne dwie takie unie — polsko-litewsko-ruska oraz angielsko-szkocka — nastąpiły w formie poddania się berlu wspólnego monarchy. W unii dwu społeczeństw bardzo jeszcze surowych, jakimi były Litwa-Ruś i Polska z końcem XIV wieku, wspólny monarcha stanął przez długi czas jedyną więź, łączącą oba zrastające się społeczeństwa. Wspólny Sejm i wspólny rząd przyszły dopiero znacznie później: wspólny sejm w blisko dwa wieki, ostateczna unifikacja rządu w cztery wieki później. Podobnie przebiegały procesy unijne, z których wyrosły narody francuski i hiszpański. Unia angielsko-szkocka z roku 1603 objęła społeczeństwa dojrzałe, toteż już po stu latach uzyskała wspólny rząd i parlament.

Czasem unia przybiera początkowo formę monarchii dwustopniowej, jak np. w cesarstwie niemieckim po r. 1871, kiedy to cesarz był zwierzchnikiem królów i książąt, a rząd i parlament były dwustopniowe (parlament Rzeszy i sejmy krajów).

Dynastie mają naogół przynależność narodowa trochę zamazana, na skutek zwyczaju żenienia się poza krajem. Unii Anglii z Szkocją dokonał król bedacy, dzięki związkom rodzinnym, prawnym dziedzicem obu koron.

Dynastia Jagiellonów dzięki małżeństwu Jadwigi z Jagiella (choć nieuwieńczonemu potomstwem) zachowała na stałe posmak dynastii pół polskiej — pół litewskiej, podczas gdy Rusini pamiętali, że synowie Jagielly urodzili się z księżniczki ruskiej Zońki Holszańskiej. W ten sposób dynastia pierwszej wyrobiła w sobie cechy wspólnoty wielko-narodowej polsko-litewsko-ruskiej, niż to nastąpiło wśród mas obywateli Rzpltej.

Dzięki tego rodzaju powiązaniom, monarchia nadaje się niewątpliwie lepiej do przewodzenia narastaniu wielkiego narodu, niż republika z wybieralną Głową Państwa. Nie było jeszcze bodaj w dziejach przykłady, by początkowe stadium procesu wielko-narodowego odbywało się pod wybieralną Głową Państwa, podobnie jak nie było przykłady unii przy zachowaniu odrębnych Główn Państwa. Byłoby może jednak zbyt pochopne wyciągać stąd wnioski, że te dwa ostatnie warianty nie mogą znaleźć zastosowania w procesach wielko-narodowych. Można sobie np. wyobrazić wybór na wspólną Głowę Państwa człowieka tak dalece oddanego idei unii, że jego rządy stałyby się momentem zespalającym wszystkie człony unii. Grozi jednak również ewentualność odwrotna: próba narzucenia przez każdego z członów unii własnego kandydata; próba taka mogłaby zadrażnić ambicje i cofnąć procesy wielko-narodowe.

Gdy łączy się z sobą społeczeństwa bardzo dojrzałe, a brak kandydata na Głowę Państwa, bedącego symbolem jednoczącym wszystkich, można by również zaryzykować okres przejściowy z odrębnymi Głowami Państwa w każdym z członów unii; oczywiście musiałyby one współdziałać z całego serca w procesach zespalania się wielkiego narodu, gdyż przeciwdziałanie ze strony którejkolwiek z nich dałoby skutki oplakane. Głowy te mogłyby przewodniczyć unii kolejno (wzorem szwajcarskim). Ewentualność tę uważać należy za najmniej korzystną, a jeśli by się jej nie udało uniknąć, to w miarę krzepnięcia unii należałoby dążyć do wspólnej Głowy Państwa.

Wspomnieliśmy, że procesowi zrastania się wielkiego narodu przewodzi najszcześliwiej wspólny monarcha pod warunkiem, że w swej osobie symbolizuje imponderabilia, wspólne wszystkim członom narastającej wspólnoty. Natomiast sprowadzanie ad hoc jakiegoś zagranicznego księcia i osadzanie go na sztucznie kreowanym tronie tam, gdzie wygasła oddawna instytucja monarchii, jest rzeczą tak dalece przeciwną duchowi procesów narodowych, w swej istocie organicznych, że nie wydaje się prowadzić do celu. Tam, gdzie instytucja monarchii zanikła, odrodzenie się jej nie może nastąpić w sposób sztuczny, a raczej droga naturalna w trakcie wielkich zdarzeń historycznych.

Rzad. Przedwczesna unifikacja Rządu może doprowadzić do tarc i napięć, które zahamują proces zespalania się. Nie należy się tu zbyt spieszyć, a raczej ograniczyć się do zespolenia tych funkcji rządzenia, które mają związek z zagranicą (a więc polityki zagranicznej, wojska i stosunków gospodarczych z zagranicą). Pozostawienie tych funkcji w rękach paru rządów powodowałoby rozbieżności w polityce zagranicznej, co uniemożliwiałoby narastanie jedności.

Psychologia i socjologia twierdzą zgodnie, że grupa społeczna krzepnie w miarę zajmowania przez ogół jej członków wspólnej postawy wobec innych grup społecznych. Zasadniczym warunkiem narastania wspólnoty wielko-narodowej jest więc by nigdy, w żadnym wypadku, poszczególne jej człony nie zajmowały postawy odrębnej wobec zagranicy. Nie wzięcie udziału przez Litwę w 13-letniej wojnie z Krzyżakami 1454-1466 cofnęło silnie proces zespalania się Rzpltej; natomiast udział Korony w walkach z Moskwą proces ten ponownie przyspieszył. Unii zachodnio-słowiańskiej groziłaby przede wszystkim różnolita postawa w stosunku do Rosji (moga wylamać Czesi), w stosunku do Niemców (moga wylamać Słowacy i Ukraińcy), w stosunku do Węgrów (moga zająć rozbieżności między Polakami a Słowakami). Każdy z partnerów musiałby robić pewne ustępstwa na korzyść punktu widzenia innych. Rzecz w tym, by ten rozrachunek interesów, to uzgadnianie, odbywało się na wewnątrz, a nie dopiero po ujawnieniu się rozbieżności w posunięciach zagranicznych poszczególnych rządów. Toteż postulat wspólnego ministra spraw zagranicznych, ministra wojny oraz ministra stosunków gospodarczych z zagranicą, narzuca się z bezwzględna koniecznością. Reszta ministerstw może przez szereg pokoleń, a bodaj i na zawsze, zostać odrębną dla każdego z uczestników unii*); z biegiem lat odrębność rządów i parlamentów zacieralaby się, schodząc do rzędu autonomii regionalnej, przy stopniowym przekazywaniu dalszych prerogatyw w ręce centralnych władz unii, których zakres działania, w miarę zespalania się wielkiego narodu, odpowiednio by wzrastał.

*) Od pierwszej chwili należałoby również koordynować metody wychowania w całej unii. Do tego zadania powinny się powołać od razu jakaś wspólna instytucja.

Obszary sporne. Między narodami, wchodzącymi z sobą w związek unijny czy federalny, leżą zazwyczaj tereny narodowo-mieszane, stanowiące zarzewie niezgody. Unia stwarza możliwość takiego rozwiązania, by obszary te stały się ogniwami łączącymi, w których procesy przemieszania się i zrastania w jeden naród następowałyby szybciej, niż na pozostałym terytorium unii. W administracji takimi obszarami wypada skrupulatnie unikać wszystkiego, co drażni i dzieli. Należy tam stosować zasadę dwujęzyczności (w administracji, szkolnictwie itp. aż po wyższe uczelnie włącznie); należy unikać wyborów innych, niż samorządowe niższych stopni; należy unikać stwarzania wszelkich takich sytuacji, w których człowiek musi deklарować swą narodowość.

Najbardziej celowe wydaje się powierzenie administracji takich terenów bezpośrednio władzom naczelnym unii.

Przykłady takiego rozwiązania: Alzacja i Lotaryngia przy Rzeszy Niemieckiej w latach 1871/1918; Alaska przy Stanach Zjedn.; Bośnia i Hercegowina przy Monarchii Austro-Węgierskiej.

Parlament. Unia powinna od samego początku mieć wspólne ciało przedstawicielskie. Z natury rzeczy wspólne obrady tyczące mogą tylko dziedzin przekazanych centralnym władzom unii (a więc wojska, spraw zagran. itp.) oraz spraw spornych między członkami unii. W miarę przekazywania coraz większego zakresu spraw centralnym władzom unii, rozszerzałby się porządek wspólnych obrad.

Doświadczenie historyczne uczy, że przy zrastaniu się odrębnych społeczeństw występują z reguły dwa stadia: pierwsze, w którym obraduje się przy pomocy delegacji, kiedy jednej stronie nie wolno przegłosować drugiej i w każdej sprawie musi dojść do zgody (lub ugody), i drugie stadium, kiedy w miejsce delegacji pojawiają się posłowie, reprezentujący poszczególne okręgi, a uchwały zapadają większością głosów.

W świeżo zawiazanej unii wydaje się celowe ograniczyć się początkowo do Sejmu, do którego wchodzi równa liczba delegacji wszystkich członków unii, wybierane przez ich parlamenty. Sejm taki ogranicza się do obrad nad sprawami zagranicznymi i wojskowymi oraz nad kwestiami spornymi. Zbyt szybkie przejście na reprezentacje nie krajów przez

delegacje, lecz okręgów wyborczych przez poszczególnych posłów, wydaje się rzeczą ryzykowną, gdyż daje jednym krajom możliwość narzucania swej woli innym nie w drodze przekonania się wzajemnego, lecz przez mechaniczne przegłosowanie, co przy małym jeszcze stopniu »zrośnięcia się« grozi zaostrzeniem antagonizmów narodowościowych. Przejście z delegacji na Sejm jednolity powinno raczej nastąpić drogą spontaniczną, w chwili ciężkiej próby dziejowej, kiedy system żmudnego uzgadniania przez delegacje zawodzi.

W Republice czeskosłowackiej przyjęto od początku zasadę jednolitego Sejmu, co umożliwiałoby Czechom majoryzowanie Słowaków w ich sprawach wewnętrznych. Stosunki między obu narodami niewątpliwie na tym ucierpiały. Nie jest paradoksem twierdzenie, że przy udzieleniu Słowakom pełnej autonomii (włącznie z własnym Sejmem ograniczonym do wewnętrznych spraw słowackich) i systemem delegacyjnym w stosunkach z Czechami, Słowacy czuliby mniejsze opory przeciw zrastaniu się z Czechami w jeden naród. To samo odnosi się i do stosunku między Chorwatami a Serbami.

W Rzpltej wspólny Sejm ustanowiono w Unii Lubelskiej, lecz system delegacyjny pokutował w nim długo i zwyrodniał z biegiem czasu w liberum veto.

Ważnym, choć naogół niedocenianym uzupełnieniem wspólnego Sejmu, jest łączność między organizacjami zawodowymi krajów złączonych unia. Na tle wspólnoty zawodowej łatwiej naogół dogadać się, niż na tle wspólnoty politycznej. Przed r. 1939 o wiele większe wyniki dawało zbliżenie się do siebie organizacji lekarskich, prawniczych, literackich, młodzieży wiejskiej itp. krajów Zachodnio- i Południowo-Słowiańskich, niż kontakt rządów. Szczególnie w początkach unii należy forsować te mniej sztywne formy zbliżenia.

* * *

Wspólne interesy gospodarcze bardzo skutecznie zbliżają do siebie ludzi i narody, oczywiście pod warunkiem, by interesy te były korzystne dla obu stron, a nie narzucone sztucznie z uszczerbkiem dla któregoś z kontrahentów. Unia świeżo zawarta ma tyle trudności różnego rodzaju, że nie wytrzymuje zbyt wielkich obciążeń natury gospodarczej; źle jest, gdy jeden z partnerów musi do niej dopłacać.

Unia celna, oraz związana z nią swoboda przesiedlania się, ułatwiają mieszanie się ludności, nawiązywanie przyjaźni, małżeństw i interesów; należy je uważać za cenne narzędzia kształtowania wielkiego narodu, choćby nawet materialne interesy tych czy innych grup ludności czasowo na tym cierpiały.

Wspomnieliśmy przed chwilą o metodzie socjologicznej cementowania grupy społecznej przez przeciwstawianie jej innym grupom. I w tym sensie unia celna przyspiesza narastanie wspólnoty, wytwarzając też solidarność gospodarczą w stosunku do reszty świata.

* * *

Barker uważa, że w tworzącym się narodzie przeważać musi jeden z języków. Tak rzeczywiście w dziejach naogół bywało, czy to na wyspach brytyjskich, gdzie przeważał język angielski, czy we Francji (langue d'oil) czy w Hiszpanii (język kastylski). Ale nie należy tego bynajmniej uważać za regule. W Niemczech wykształcił się specjalny język literacki, Hochdeutsch, stanowiący pośredni wyciąg z ogółu dialektów niemieckich. Na wyspie brytyjskiej trudno było przetopić pierwiastki celtyckie i germańskie we wspólny język, przeważała więc mowa Anglosasów, ale np. w unii Słowian Zachodnich rozpiętości językowe byłyby tak mało znaczne, że po paru wiekach współzycia mogłaby się wykształcić mowa wspólna wszystkim. Powstanie kilkuset wspólnych neologizmów (a każdej żywej mowie przybywa po kilka neologizmów rocznie), wysunięcie się na czoło źródłosłów wspólnych wszystkim mowom, upodobnienie składni — wszystkie te procesy zachodzą nieznacznie w każdym współzyczącym z sobą zbiorowisku; procesy te z upływem wieków sumują się i dają jedność mowy.

Zasadniczym warunkiem zbliżenia się języków jest ujednostajnienie alfabetu. Unia Słowian Zachodnich powinna zacząć od takiego właśnie kroku. Nie od dziś nurtują w społeczeństwie ukraińskim dążności do wprowadzenia alfabetu łacińskiego; należałoby może Ukraińcom krok ten ułatwić tworząc wspólny alfabet zachodnio-słowiański*)

*) Zarówno wśród Czechów jak i wśród Polaków wielokrotnie poruszano myśl wspólnego alfabetu czesko-polskiego, poczyniono nawet pewne próby. Próby te należałoby rozszerzyć i na język ukraiński i opracować alfabet łaciński, uwzględniający potrzeby wszystkich języków zachodnio-słowiańskich.

Udostępniłoby to wzajemnie wszystkim członkom unii ich literaturę i czasopisma. Krok taki byłby konieczny nie tylko dla ujednostajnienia mowy, ale również dla scharmonizowania poglądów.

Tam, gdzie do wykształcenia się wspólnego języka dojść nie może, za wzór służyć może Szwajcaria, której większość mieszkańców jest dwujęzyczna. Litwin czy Węgier, władający obok swej mowy ojczystej również mową zachodnio-słowiańską, czułby się równie dobrze na obszarach Europy Środkowej, jak się czuje Walijszyk czy Szkot w całej W. Brytanii.

* * *

Każdy naród wytwarza własną atmosferę, własny »klimat« psychiczny, którego nieuchwytny smak płynie z wierzeń, zewnętrzny natomiast kolor bierze się z obyczajów. Obyczaj tkwi głęboko w narodzie; przekształca się powoli, amortyzuje nowinki zagraniczne, przewroty gospodarcze i polityczne. Społeczeństwa, chcąc się zespolic, muszą przede wszystkim zestroic swe obyczaje. Stąd konieczność usuwania wszelkich barier i jaknajwyższego krażenia ludzi, dóbr i idei.

Głównym jednak warunkiem zlania się w jedną społeczność jest wspólnota wierzeń. Ludzkość stoi dziś na rozdrożu między idea Chrystusa a idea, która z pewną jak dotąd miarą powodzenia wykuwa od paru wieków masoneria. Walka między tymi dwiema ideami toczy się w obrebie wszystkich społeczeństw białej rasy; w jednych wiedzie nadal prym Chrześcijaństwo, w innych bierze górę masoneria. Wynik tej walki jest otwarty we wszystkich społeczeństwach, toteż nie należy się zrażać, jeśli wierzenia dominujące wśród jednego narodu, wchodzącego w skład tworzącej się unii, byłyby w danej chwili sprzeczne z wierzeniami, dominującymi u narodu innego. Walka między poszukiwaczem nowej prawdy a katolikiem nie powinna się wyrażać w antagonizmie między jednym narodem a drugim, ale powinna być prosto walką dwu obozów ideowych wewnątrz społeczeństw zespolonych unia.

* * *

Nie sztuka kleć unie czy federacje; zajmują się tym miliony polityków — fachowców i amatorów. Federacja? Dlaczego nie połączyć wszystkich państw między Niemcami a Rosją, od Norwegii po Balkany?

Szwecja uzupełni się gospodarczo z Grecją, Dania z Bułgarią, Litwa z Albanią. Będzie wspólne M. S. Z. i wspólna waluta. Skromniejsi politycy zadowolają się federacją łączącą Polskę, Czechosłowację, Węgry i Rumunię, z dodatkiem może jeszcze Jugosławii, wychodząc z założenia, że jak zamknąć do jednej klatki psy z kotami, to z biegiem czasu muszą się pokochać. Może to i prawda, o ile by historia od czasu do czasu nie rozbijała klatki. W chwilach takich najnaturalniejsze związki podlegają ciężkim próbom, a cóż dopiero mówić o związkach sztucznych! Wielonarodowa próba jugosłowiańska przechodzi katastrofalne załamanie zaledwie w dwadzieścia lat po jej podjęciu. Wierze, że załamanie to jest przejściowe, ze względu na szczególnie bliskie powinowactwo; łączące Serbów z Chorwatami i Słoweniami; ale niech ten przykład da do myślenia naszym mechanicznym federacjonistom.

Nie sztuka łączyć narody; sztuka, by ich związek przetrwał burze dziejowe, wojny, intrygi i pokusy, w które tak obfituje historia. Nawet Stany Zjedn., choć jednolite pochodzeniem i językiem, dopiero krwawa wojna domowa uratowała swą jedność, zagrożona przez motywy gospodarcze (sprawa murzyńska). Lepiej nie robić unii, jeśli widoki jej przetrwania w konwulsjach historii mają być nikłe. W naturalnie dobranym związku fermentacja historii chwilami pozornie rozluźnia, w rezultacie jednak wzmacnia, cementuje i jednoczy. Złe natomiast dobrany związek, zbyt obszernie skrojony, o zbyt dużych rozbieżnościach i zbyt wiatle wspólnoty, truje stosunki i prowadzi do nieobliczalnych zawodów.

Ludzie niecierpliwi, rozumujący w trzech wymiarach geografii bez uwzględnienia czwartego wymiaru — historii, nie powinni się brnąć do spraw związanych z bytem narodów. Naród, tak jak Kościół, jest wieczny, to znaczy życie jego liczy się na wieki, a rozwiązanie ważniejszych zagadnień trwa pokolenia. Kto tego nie rozumie, kto szuka rozwiązań natychmiastowych, burzy miast budować. Spór polsko-ukraiński można rozwiązać wytrwałym wysiłkiem kilku pokoleń, ale nie da się go rozwiązać od jednego zamachu, przez jednorazowe »dogadanie się« Polaków z Ukraińcami. Podobnie ze stosunkiem polsko-czeskim czy polsko-litewskim. Wielki naród Słowian Zachodnich i Litwy, to wspaniałe rozwiązanie trudności naszej części globu, ale rozwiązanie uwarunkowane ciągłym dążeniem szeregu pokoleń. Szlachetny stop narodowy, podobnie jak szlachetne wino, fermentuje przez czas sobie właściwy.

Każde wielkie przedsięwzięcie musi mieć za sobą zespół ludzi z sercem i wola, cierpliwie i konsekwentnie pilnujących jego wykonania. Idea unii, prowadzącej po szeregu pokoleń do zlania się w jeden naród, jest zbyt wielka, a zarazem zbyt trudna, by zgodził się na nią od razu ogół zainteresowanych społeczeństw. Dobrze będzie jeśli na początek w kilku — może nawet nie we wszystkich — jednoczących się narodach znajda się zespoły ludzi, dążących do tego celu. W pewnych chwilach zespoły te przedstawiać mogą większość, w innych mniejszość swych społeczeństw. Wpływy ich będą rosły i malały. Po chwilach, w których idea unii świecić będzie triumfy, przychodzić mogą okresy zwątpienia, kiedy wydawać się będzie, że dorobek całych lat dziesiątków i pokoleń jest zmarnowany. Będą okresy pogody i zachmurzenia. Mieszać się będzie krew na polach wspólnej walki, zawiązywać się będą interesy, kojarzyć małżeństwa i przyjaźnie. A tymczasem nieznanie, nieuchwytnie, podskórnie narastać będzie Wielki Naród.

Obok jego budowniczych na każdym kroku wyrastają buraście. Można zgóry przewidzieć, że agentura do jego zwalczania wystawi każdy z silniejszych sąsiadów, jak również mafie międzynarodowe, przeciwne ładu ludzkości.

Druga kategoria wrogów wielkiego narodu stanowią szowiniści narodów jednorodnych, ludzie zwalczający te idee w imię tradycji, patriotyzmu, umiłowania weźszej ojczyzny. Trudna z nimi sprawa, gdyż wiele wśród nich jest ludzi wysoce ideowych. Trzeba będzie dużo cierpliwej namowy, by liczbę ich utrzymać w rozmiarach nieszkodliwych; nie rozbroi się ich nigdy zupełnie. Pod argumenty ich podszywać się będą również demagodzy, dla których ładu jednego narodu przeciw drugiemu daje pożądaną możliwość wygrania wyborów czy uzyskania rozgłosu. Ludzie tego typu nie odmówią sobie nigdy przyjemności pójścia do wyborów w Wilnie przeciw Litwinom, we Lwowie przeciw Polakom, w Cieszynie przeciw Czechom, w Pradze czy Warszawie przeciw unii. Demagogia jest choroba, której raz na zawsze wykorzenie nie sposób. Trzeba mieć oczy otwarte, by ją w czas rozpoznawać i leczyć.

Odpowiednikiem szowinistów, tyle że na wspak, są międzynarodowcy, którym się wydaje, że powstawanie wielkich narodów jest procesem wstecznym na drodze do jednoczenia ludzkości. Ludziom tym należy cierpliwie tłumaczyć, że ład całości osiągnąć można tylko

przez ładu części, i że droga do ludzkości prowadzi przez doskonalenie organizacji narodowej. Niestety wśród między-narodowców bywa równie wielu doktrynerów, jak i ludzi złej wiary. Na oba rodzaje trudno o radę.

Wreszcie znajdują się zawsze ludzie szczególnie szkodliwi — upraszczający idee wielkiego narodu, nie wyczuwając, że piękno tej idei nie leży w ujednoczeniu przyszłej Wspólnoty, ale w jej harmonijnej różnorodności. Ludzie tacy nie rozumieją, że właśnie bogactwo form stanowi ideał. Ich umysł i wyobraźnia idą torami szablonowymi. Powinni oni pobyc przez pewien czas w W. Brytanii i wczuć się w rytm współżycia Szkotów i Walijczyków z Anglikami, a wszystkich razem z innymi częściami Commonwealth'u. Brytyjska Rzeczpospolita stanowi laboratorium procesów narodo-twórczych, z którego doświadczeń powinna korzystać cała ludzkość. Z każdego nieszczęścia można wyciągnąć korzyść i naukę; z obecnej katastrofy, która tyłu Polaków rzuciła na ziemię brytyjską, skorzystajmy, by podpatrzeć tajemnice narastania Wielkiego Narodu, tajemnice zagubioną przez naszych ojców, choć znana ongiś naszym pradziadom, budowniczym jagiellońskiej Rzeczypospolitej.

**EKONOMIA
MIŁOSIERDZIA**

Pamięci G. K. Chestertona

SŁOWO WSTĘPNE*)

Liberalny kapitalizm, rządzący światem od półtora wieku, zamiera. Wiedza ekonomiczna, instytucje i zwyczaje gospodarcze stoja pod znakiem niepewności. W chaosie zmian i zdarzeń łatwo o pomieszanie pojęć. Wielu ludzi waha się, czy czerwone światło, błyszczące na Wschodzie, rozumieć jako sygnał ostrzegawczy czy jako znak wolnej jazdy. W wirze błędnych ogników potrzebne są światła kierunkowe.

Niniejsza książka przeznaczona jest dla ludzi, którzy do ulepszenia tego świata zmierzają drogą Chrześcijaństwa. Założeń swych nie będzie więc szukała ani w dialektyce historycznej ani w kategoriach czystego rozumu, lecz w objawionych prawdach o człowieku oraz w planie moralnym, nakreślonym przez Kościół Katolicki. Autorytetem, na którym się oprze, będzie św. Tomasz z Akwinu, nie tylko dla tego, że był wielkim myślicielem, ale przede wszystkim dlatego, że był Święty.

*) »Ekonomia Miłosierdzia« stanowi przeróbkę mej »Gospodarki Narodowej«, której pierwsze wydanie wyszło w r. 1934. Rzecz oczywista, że katolickie zasady gospodarcze, wyłożone w »Gospodarce Narodowej«, są niezmiennie, w obecnym tekście uwzględniłem jednak najnowszy dorobek ekonomicznej myśli brytyjskiej (w szczególności »nawrócenie« Keynes'a) oraz starałem się dostosować moje prace do umysłowości czytelników brytyjskich, tak dalece różnej od czytelników polskich. W rezultacie jakieś 90% tekstu napisałem na nowo po angielsku, a obecnie dopiero przełożyłem na język polski.

Czytając »Ekonomie Miłosierdzia« proszę więc czytelnika, by miał stale na uwadze, że czyta tłumaczenie, a nie oryginał, i to książki pisanej dla nie-Polaków.

I.

PRZEDMOWA

Większość ludzi krytykuje ekonomie katolicka w przekonaniu, że ekonomia ta zapatruje się na wzory Sredniowiecza minione bezpowrotnie i że zasady tej ekonomii, sformułowane w tymże Sredniowieczu, nie pasują do warunków nowoczesnego przemysłu, choćbyśmy nie wiem jak tego pragneli. Niektórzy z krytyków wysuwają oba te twierdzenia równocześnie. Niektórzy wola atakować od drugiej flanki i mówią, że Chrześcijanin w żadnym razie nie powinien się troszczyć o ekonomie, a Kościół w żadnym razie nie powinien się wdawać w formułowanie zasad gospodarczych.

Istotna trudność leży dziś jednak zupełnie w czymś innym. Szkoła, wysuwająca hasło »nie mieszajmy się do polityki i ekonomii«, będzie musiała się nauczyć, z biegiem czasu i cierpienie świata, że jej doktryna prowadzi w ślepe ulice; że teoria ekonomiczna potrafi nam może powiedzieć, co się wydarzy, jeśli mając do wyboru kilka dróg postępowania wybierzemy taką a nie inną, niema jednak nic do powiedzenia na temat powodów, dla których powinniśmy wybrać daną właśnie drogę. A o to przecież głównie chodzi. Jakby powiedział Chesterton (któremu p. Doboszyński zadedykował swoją książkę), charakterystyczna cecha problemów ekonomicznych jest to, że im więcej im się przyglądamy, tym mniej widzimy w nich ekonomii, a tym więcej zagadnień moralnych. Liberalni ekonomiści nie odkryli jeszcze tej prawdy.

Ci z pośród krytyków, którzy mówią nam, że ekonomia katolicka jest przestarzała, ponieważ (na przykład) »upowszechnienie własności« jest niemożliwe »w epoce fabryki«, są przeciwnikami groźniejszymi, albowiem katolicy ekonomiści nie są jeszcze w stanie odeprzec ich zarzutów bezpośrednio. Mamy wprawdzie nowoczesne Encykliki Papieży,

od »Karty Robotnika« (Rerum Novarum) z r. 1891 poprzez Quadagesimo Anno z r. 1931 aż do rewolucyjnej wypowiedzi Piusa XII na temat granic »własności prywatnej« z r. 1944. Mamy również zdumiewająco »nowoczesne« analizy, zawarte w dziełach św. Tomasza z Akwinu napisanych przed siedmiuset laty, w pełni czasów »feudalnych«. Jednakże katolickim socjologom i ekonomistom nie udało się jeszcze zreformułować tych klasycznych zasad katolickich w sposób, wyraźnie dostosowany do warunków naszego wieku. O ile zaś nawet to uczynili, to wyniki ich prac zamknięte są na cztery spusty w sprawozdaniach ze zjazdów naukowych i nie są dostępne dla szerokiego ogółu.

Te luki wypełnia niniejsza książka. Nie w tym sensie, by p. Doboszyński dokonał w pełni tego zreformułowania i dostosowania do współczesnych warunków gospodarczych. Ani pojedynczy człowiek ani jedno pokolenie tego nie dokonają. Uczynił jednak rzecz z kolei najlepszą, a mianowicie sięgnął po zasady »ekonomii miłosierdzia«, jak je wyłożył św. Tomasz w Summa Theologica, wyjaśnił wpływ tych zasad na życie społeczne i dał szereg przykładów warunków nowoczesnych, pozwalając nam osadzić te warunki na tle tych zasad. Czytając jego książkę można by przyjąć, że jego nowoczesne przykłady nie są niczym więcej, jak tylko przykładami. W rzeczywistości mają one jednak znaczenie głębsze: wybrał on je nie tylko ze względu na ich związek z tematem, ale i dla wykazania, że choć dużo zdażyliśmy utracić, wiele nam jeszcze pozostało. W dziedzinie ekonomii, jak i w niektórych innych dziedzinach, Anglija jest ciągle jeszcze bardziej chrześcijańska, niż sobie sama zdaje z tego sprawy. Mówiąc nawiasem, pod tym względem wytrzymuje ona korzystnie porównanie z niektórymi z t. zw. krajów katolickich. Jeśli zaś jest rzeczą szczególnie przyjemną, że taki wniosek wypływa ze studium dokonanego przez gościa polskiego, to ten wniosek powinien zarazem zaostrzyć nasz zmysł odpowiedzialności, jesteśmy bowiem piastunami spuścizny chrześcijańskiej.

Sam p. Doboszyński ma nieprzebrane zapasy miłosierdzia. Ilekroć raz przyjdzie mu potępic którąś z obrzydliwych praktyk nowoczesnych, nie omieszka jej umiejscowić na »Bliskim Wschodzie«, mając tu zapewne na myśli ten rejon Wschodu, w którym rozgrywa się wielka satyra Belloc'a »Zmilowanie Allaha«, z jej niezapomnianym czwartym rozdziałem zatytułowanym »Al Kantara czyli Most« — najdoskonalszym

chyba obrazem monopolu, jaki sobie można wyobrazić. Ilekroć raz chodzi jednak o jakąś nowoczesną praktykę czy instytucję, noszącą na sobie jeszcze pietno (choćby już nieświadome) swego chrześcijańskiego pochodzenia, p. Doboszyński nie omieszka wskazać na to wyraźnie i oddać, co się komu należy. Niejeden z czytelników dopatry się w tym może ironii, że widzi on mało różnicy między brytyjską próbą zwalczania bezrobocia przy pomocy zasiłków, amerykańską próbą, polegającą na pożyczaniu od bogatych dla wspierania ubogich (co czyniła instytucja zwana N. I. R. A.) oraz narodowo-socjalistyczna próba dokonania tego samego przy pomocy zbrojeń. Wszystkie te trzy metody cytuje on jednak jako przykłady zasady ściśle ekonomicznej i wyciąga z niej ważne wnioski natury ogólnej.

Niech się też nikt nie czuje zaniepokojony jego kwaśnymi wzmiankami o kapitalizmie, takim jaki widzimy dokoła siebie. Dla p. Doboszyńskiego zgon kapitalizmu jest rzeczą nieuchronną. »W pewnych okolicznościach«, mówi on lekko, »kiedy kapitalizm należeć już będzie do przeszłości...«, a w innym znów miejscu — »wielu konserwatywnym katolikom, którzy jak dotąd nie potrafili wyzwolic się z nalogów myślowych dziewiętnastego wieku, nie pozostanie nic innego, jak zmienić swe nastawienie i pogodzić się z tą myślą«. Nie czyni to jednak z niego »lewicowca« w żadnym ze zwykłych znaczeń tego słowa. Tezy jego są katolickie, a dochodzi do nich przykładając do bieżących zjawisk gospodarczych sprawdzian najwyższych zasad chrześcijańskich. Sadzone z tego punktu widzenia, wszystkie totalizmy osiągnęły za jednym zamachem od-człowieczenie stosunków między ludźmi, doprowadziły »koncentrację« dyspozycji przemysłowej do jej logicznego kresu, którym jest absolutyzm państwowy, oraz zdusiły wszystko to, co na chrześcijańskim Zachodzie nosiło kiedykolwiek miano wolności. P. Doboszyński ostrzega, że monopolistyczny kapitalizm kroczy, chcąc nie chcąc, po tej samej drodze. W tym twierdzeniu nie ma już może dziś nic nowego, jest jednak rzeczą pożyteczną, że autor tak szczegółowo dowodzi jego prawdy.

Co więcej, skoro jakiś ekonomista przeprowadził nas przez systematyczną analizę jakiegoś problemu, co do którego był tylko skłonny »założyć«, że jest tu coś wolającego do nieba o naprawę, to wolno mu pofolgować sobie trochę przy wydawaniu wyroku.

»W ustroju arystokratycznym« — pisze p. Doboszyński — »rządzonym przez wysoko wykwalifikowanych pracowników przemysłu, szczęście szarego człowieka skazane jest na zagładę, a sam ten człowiek staje się prosto zbędny. Nasz ustrój zbliża się szybko do punktu, w którym tylko mała grupa ludzi o najwyższych kwalifikacjach będzie miała ciekawą pracę, podczas gdy reszta przykuta będzie do »taśmy«. Wielkie cywilizacje poznaje się po możliwościach wyżycia się nie tylko artystów, ale i rzemieślników«. Nie są to tylko puste słowa. Autor doprowadza tu rozumowanie swoje do punktu, w którym czujemy, że wrzód dojrzał do ciecia.

Indywidualizm i kolektywizm stanowią skrajności jednej i tej samej herezji. Oba przechodzą do porządku nad osobowością. Oba przechodzą do porządku nad rodziną. Katolicka socjologia przyznaje rodzinie i osobowości miejsce szczytne, w cieniu Boga. Katolicka ekonomia studiuje metody urzeczywistnienia tego w praktyce, w dostosowaniu do zmiennych okoliczności zewnętrznych. Tym się tłumaczy nacisk, położony w tej książce na możliwie daleko posuniętą dekoncentrację przemysłu i na związany z tym nawrót do upowszechnienia własności. »Słynny spór, czy kapitał należy upowszechnić czy koncentrować, toczy się nadal z niezmienną gwałtownością... Istnieją bowiem tylko dwa zasadnicze typy ustroju gospodarczego. Jednym jest ustrój wolnego człowieka, pracującego na własnej roli i własnym warsztacie: był to ustrój cywilizacji łacińsko-śródziemnomorskiej, a następnie świata chrześcijańskiego. Drugi — to ustrój Wschodu, Assyrii i Babilonii, Starożytnego Egiptu, Indyj i Mongolów. To olbrzymie budowle wystawione kolektywnym wysiłkiem, a u ich podnóża olbrzymie cmentarze niewolników, którzy je budowali. To system zbiorowej pracy na rzecz państwa. Obojętne, kto to państwo reprezentuje, czy faraon, czy szach, czy Centralny Komitet Wykonawczy. Czy będa to piramidy, czy budowle Tyru czy Niniwy, czy stolice Dżyngischana, czy Dnieprostroj, czy Magnitogorsk. System zostanie ten sam — system pracy przymusowej, której owoce gina w rekach jedynowładców lub przetwarzają się w chimeryczne kolosy, bezplodne dla tych, których trudem zostały wzniesione. System hiperorganizacji obracającej się w próżni, system głodu i bata, depczący człowieka.«

Prawem kontrastu, »skoro każda rodzina zwiąże się z ziemią bezpośrednio«, powiada p. Doboszyński, »czy to przez własne gospodar-

stwo rolne czy przez posiadanie domu na własnym gruncie, monopolowy zysk z ziemi rozłoży się w praktyce na wszystkich członków społeczeństwa. Tak więc, choć w odwrotny sposób, spełni się cel, do którego dąży zwolennicy upaństwowienia ziemi. «Wiele książek, dystrybucyjnych i innych, dowodziło tego teoretycznie, ale p. Doboszyński próbuje przedstawić sposób przeprowadzenia tego w praktyce, na Zachodzie dziś, a w Polsce przed wojną. Ze swych przykładów wyciąga on wnioski ważne dla katolików, którzy w przyszłości studiować będą te zagadnienia. »Zamiast zwalczać koncentrację ze wszystkich sił tam, gdzie jest ona zbędna, a domagać się otwartego i stanowczego społeczeństwa tam, gdzie własność przerasta jednostkę, myśliciele katolicki usiłowali obmyśleć pół-środki, przemycające własność indywidualną w sferę gospodarki skoncentrowanej.»

Tutaj właśnie — szczególnie w rozdziałach siódmym i ósmym — autor stosuje zdrową zasadę przymierzania celów do środków, osiągając wyniki nieodparte. Kredyt należy opanować, uspołeczniając go. Maszyny należy opanować upowszechniając własność, władza zaś Państwa powinna znaleźć przeciwwagę w Wolności, strzeżonej przez silne Korporacje Zawodowe. Takie założenia rokuja duchowym aspiracjom osobowości ludzkiej przynajmniej sprawiedliwy start.

Na samym końcu książki p. Doboszyński wita prad, znoszący dziś wiedzę ekonomiczną z powrotem ku nauce katolickiej. Używa on tych słów rozmyślnie. Jest to jak dotąd tylko prad, który znosi. Nie stanie się on świadomie obranym kursem, póki świat niekatolicki nie odzyska choć częściowego zrozumienia dla Prawa Natury, które przez długie wieki stanowiło podstawę wszystkiego, co Kościół nauczał — a nieraz i wprowadzał z triumfem w życie — odnośnie współżycia ludzi. Ale nawet i wówczas pozostanie wieczna prawda, że zwykła ekonomia zawiedzie tam, gdzie może się powieść Ekonomii Miłosierdzia. Plan architekta nie jest jeszcze domem. Dom zależy od budowniczych, pracujących na podstawie planu. Człowiek ma swój własny plan ekonomiczny, zapisany niezatartymi głoskami we własnej naturze. Bez Laski pójdzie on jednak napawno naprzekór swej naturze.

* * *

Książka ta stanowi angielski przekład, w znacznej części napisany na nowo, pracy wydanej w Polsce na krótko przed wybuchem wojny z r. 1939. Oryginał polski miał kilka nakładów. Autor opracował te książki na nowo dla brytyjskich czytelników katolickich, znających trochę z nauki, która ta książka kreśli dla naszego pokolenia, oraz dla czytelników innych, którzy tej nauki nie znają. Kimkolwiek jesteś, czytelniku, łącz się przynajmniej z wszystkimi innymi naszą wspólną ludzką dolą. Niejeden wielki człowiek poświęcił swe życie budowie nowego ładu, wychodząc z takiego tylko ogólnoludzkiego założenia.

O W. Brytanii mówi p. Doboszyński różne rzeczy pochwalne. Formuluje również wnikliwą krytykę. I jedno i drugie możemy przyjąć w duchu, w którym je do nas skierowano — jako osad bezstronny, miarkowany (choć nie zaślepiony) ciepła przyjaźnia. Polacy i Brytyjczycy mieli w czasie tej wojny dużo przeżyć wspólnych i nauczyli się niemal jedni od drugich. Daj Boże, by w latach przyszłych to koleżeństwo z czasu wojny utrzymało się pomyślnie, znajdując wyraz w braterskich związkach takich jak Anglo-Polskie Stowarzyszenie Katolickie, którego członkami jesteśmy obaj z p. Doboszyńskim.

Czerwiec, 1945.

A. C. F. Beales*).

*) Docent Uniwersytetu londyńskiego, autor znanej książki pt. »Kościół katolicki a ład międzynarodowy« (tłumaczonej na język polski), sekretarz generalny stowarzyszenia »The Sword of the Spirit«.

ZALOZENIA ZASADNICZE

PRACA

»Praca ustanowiona jest dla czterech celów. Po pierwsze i przede wszystkim dla zapewnienia człowiekowi utrzymania . . . Po drugie dla zapobieżenia nieróbstwu, z którego wynika wiele złego . . . Po trzecie dla pohamowania żądzy, jako że praca umartwia ciało . . . Po czwarte zaś dla dawania jałmużny . . .«

(św. Tomasz z Akwinu, Summa Theologica 2,2 qu. CLXXXVII a. 3)

SPRAWIEDLIWOSC WYMIENNA I ROZDZIELCZA

»Dwa sa rodzaje sprawiedliwości: jedna wymienna, która normuje wzajemne stosunki między dwiema osobami; druga rozdzielcza, według której dzieli się dobra wspólne stosownie do pewnej proporcji.«

». . . przy wymianie . . . powinienem wyrównać wartości dwóch rzeczy w taki sposób, bym tyle samo zwrócił drugiej osobie, o ile się powiększyła moja własność kosztem jej własności.« (S. Th. 2, 2 qu. LXI a. 1, a. 2.).

»... prawo ludzkie obowiązuje nie tylko cnotliwych, lecz ogół ludzi, wśród których jest wielu pozbawionych cnoty. Z tego powodu prawo ludzkie nie może zabronić wszystkiego, co jest przeciwne cnotcie, lecz zadowala się zakazem zbrodni uniemożliwiających współżycie ludzi, tolerując inne występki, nie jakoby się na nie zgadzało, ale w tym rozumieniu, że ich nie karze. Przeto prawo niejako dozwala, w tym rozumieniu, że nie przewiduje za to kary, jeśli sprzedający sprzedaje swój towar wyżej jego istotnej wartości, względnie kupujący kupi taniej, o ile nie stosują przy tym metod oszukańczych. Chyba że różnica między ceną a istotną wartością jest nadmiernie duża; wtedy bowiem nawet prawo ludzkie zmusza do zwrotu, np. jeśli ktoś jest pokrzywdzony ponad połowę słusznej wartości. Lecz prawo boskie nie puszcza bezkarnie niczego, co się sprzeciwia cnotcie. Prawo boskie uważa więc za rzecz niegodziwą, jeśli przy kupnie i sprzedaży nie przestrzega się sprawiedliwych zasad równowartości; ten przeto, kto pobral więcej, powinien wynagrodzić poszkodowanego, o ile szkoda jest znaczna. Muszę bowiem zauważyć, że godziwa cena różnych rzeczy nie da się ściśle określić, lecz polega raczej na przybliżonym szacunku; z tego względu umiarkowane podniesienie lub obniżenie ceny nie wydaje się stać w sprzeczności z zasadą sprawiedliwej równowartości.« (S. Th. 2, 2 qu. LXXVII a. 1 ad 1.).

»... stosownie do zasad sprawiedliwości rozdzielczej, należy dać pewnej osobie o tyle więcej przy podziale wspólnych dóbr, o ile ta osoba ma wyższy stan w społeczeństwie. Który to stan osiąga się w społeczeństwie rządzonym przez najlepszych proporcjonalnie do czyjejś cnoty, w społeczeństwie oligarchicznym proporcjonalnie do czyjegoś bogactwa, w demokratycznym proporcjonalnie do wolności, której ktoś zażywa, a w innych stosownie do innych mierników...«

»... Należy jednak zauważyć, że tak samo, jak przy wydatkach osób prywatnych zaleca się umiarkowanie, zaś rozrzutność uważa się za wadę, tak samo należy zachować właściwą miarę przy rozdziale wspólnych dóbr, w czym należy się kierować sprawiedliwością rozdzielczą.« (S. Th. 2, 2 qu. LXI a. 1, a. 2.).

HANDEL

»Godzi się wszystkim ludziom handlować rzeczami, niezbędnymi do życia; ale handel, obliczony w rzeczywistości tylko na zysk, jest w samym swym założeniu haniebnym, o ile nie stawia sobie jakichś uczciwych celów.

Wymiana rzeczy może być dwójakiego rodzaju: jedna zupełnie naturalna i konieczna, przez co rozumie się wymianę rzeczy za rzecz, wzgl. rzeczy za pieniądze, celem zaspokojenia potrzeb życiowych. Taki handel nie należy właściwie do kupców, ale raczej do gospodyń lub urzędników państwowych, mających zaopatrywać gospodarstwo domowe lub państwo w rzeczy konieczne do życia.

Drugi rodzaj wymiany polega na wymianie pieniędzy wzajemian za pieniądze, lub też jakichkolwiek rzeczy wzajemian za pieniądze, nie dla zaspokojenia potrzeb życiowych, ale w pogoni za zyskiem; ten zaś rodzaj wymiany tyczy kupców. Pierwszy rodzaj wymiany godzien jest pochwały, ponieważ służy koniecznościom przyrodzonym. Drugi natomiast rodzaj słusznie się gani, jako że w samym swym założeniu służy żądzy zysku, która nie zna granicy, lecz rośnie w nieskończoność. Stad handel, rozpatrywany sam w sobie, wiąże się z pewnym poniżeniem o tyle, że z samej swej natury nie wiąże się z żadnym celem cnotliwym czy koniecznym. Tym niemniej zysk, który stanowi cel handlu, chociaż z samej swej natury nie wiąże się z jakąś cnotą czy koniecznością, nie jest sam przez się grzeszny czy przeciwny cnotcie. Albowiem nic nie stoi na przeszkodzie przeznaczeniu zysku dla jakiegoś celu koniecznego czy nawet cnotliwego. W ten sposób handel wraca do swej godziwej postaci, np. jeśli ktoś przeznaczą umiarkowany zysk, osiągnięty w handlu, na utrzymanie swej rodziny lub na pomoc dla ubogich, lub jeśli ktoś oddaje się handlowi dla celów użyteczności publicznej, to znaczący by nie zabrakło rzeczy niezbędnych dla życia ojczyzny, i oczekuje zysku nie jako celu, dla którego działa, ale jako wynagrodzenia za swą pracę.« (S. Th. 2, 2 qu. LXXVII a. 4.).

ODSETKI

»Gdy ktoś chce sprzedać osobno wino, a osobno użytek tegoż wina, sprzedaje dwukrotnie to samo, czyli sprzedaje to, czego niema, co stanowi oczywisty grzech przeciw sprawiedliwości. Analogicznie popełnia niesprawiedliwość ten, kto pożycza wino, żądając podwójnego odszkodowania: jednego w postaci zwrotu takiego samego wina, drugiego zaś w postaci zapłaty za użycie (usus), która to zapłata nosi nazwę lichwy (usura)«.

». . . pożyczający pieniądze przenosi posiadanie ich na tego, kto od niego pożycza; ten przeto, któremu pieniądze pożyczono, posiada je na własne ryzyko i obowiązany jest oddać je w całości: stąd wniosek, że nie wolno wierzycielowi żądać więcej, niż pożyczyl. Człowiek natomiast, który powierza swe pieniądze czyto kupcowi czy wytwórcy w formie jakiegokolwiek rodzaju spółki, nie przenosi na tego kupca czy wytwórcę posiadania swych pieniędzy, przeciwnie pieniądze te pozostają nadal jego własnością. Skutkiem tego kupiec handluje tymi pieniędzmi na ryzyko ich właściciela, podobnie wytwórca na jego ryzyko używa tych pieniędzy do produkcji; wobec takiego stanu rzeczy wolno pożyczającemu godziwie domagać się części zysku, płynącego z danego przedsiębiorstwa, jako że zysk ten płynie z jego własności.« (S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 2 ad 5).

»Człowiek nie zawsze obowiązany jest udzielić pożyczki i z tego powodu udzielenie pożyczki zalicza się do rad . . . jako i milowanie nieprzyjaciół jest jeno rada.« (S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1. ad 4.).

WLASNOSC

»Wspólność dóbr wywodzi się z prawa natury, nie jakoby prawo natury nakazywało wspólne posiadanie wszystkich dóbr i jakoby człowiekowi nie wolno było posiadać dóbr na swoją wyłącznie własność, lecz dlatego, że prawo natury nie zawiera żadnych przepisów co do przydziału dóbr na własność poszczególnym ludziom, a przydział ten następuje raczej stosownie do porozumienia się ludzi między sobą, co należy do zakresu prawa pozytywnego . . . Stąd wniosek, że posiadanie dóbr na własność przez poszczególnych ludzi nie jest sprzeczne z prawem natury, lecz stanowi uzupełnienie prawa natury, wprowadzone dodatkowo przez rozum człowieka.«

». . . W stosunku do dóbr materialnych przysługują człowiekowi dwa prawa. Jedno upoważnia do zarządzania i rozporządzania dobrami; na podstawie tego prawa godzi się, by poszczególni ludzie posiadali dobra na własność. Jest to bowiem z trzech powodów konieczne dla życia ludzkiego: po pierwsze, ponieważ każdy zabiega z większą starannością koło rzeczy, która stanowi jego wyłączną własność, niż koło rzeczy, która jest wspólna wszystkim lub wielu; po drugie, ponieważ przy większej ilości zarządzających zdarza się, iż każdy poszczególny człowiek spycha na innych troskę o to, co stanowi własność wspólna; mówiąc innymi słowami sprawy ludzkie załatwiają się w lepszym porządku, jeżeli poszczególnym jednostkom przypada zadanie zarządzania jakąś ściśle określoną rzeczą, panuje natomiast zamieszanie, jeżeli bez odpowiedniego podziału odpowiedzialności ktokolwiek bądź czymkolwiek bądź zarządza; po trzecie, ponieważ ludzie żyją w lepszej zgodzie, gdy każdy zadowala się swoją

własnością, jako że widzimy częste spory między tymi, którzy coś posiadają wspólnie i bez odpowiedniego podziału. Drugie natomiast prawo, przysługujące człowiekowi w stosunku do dóbr materialnych, tyczy używania tych dóbr. Prawo to nie pozwala ludziom uważać dóbr materialnych za swoje, lecz za wspólne, to znaczy, że dobrami tymi powinni ich właściciele zarządzać w taki sposób, by z łatwością można było użyć ich na rzecz innych ludzi, będących w potrzebie.«

»... Człowiek, który udaje się wcześniej od innych na miejsce widowiska i przygotowuje dla nich drogie, działa godziwie; działalby natomiast niegodziwie, gdyby innym wzbraniał dostępu; podobnie właściciel działu godziwie, gdy wszedłszy w posiadanie rzeczy, która w swym pierwotnym założeniu była wspólna, używa innym korzyści z niej płynących; grzeszy natomiast, gdy bez względu na okoliczności wzbrania innym korzystania z danej rzeczy.« (S. Th. 2, 2 qu. LXVI a. 2.).

I.

ODSETKI

»Nie pożyczysz bratu twemu na lichwe pieniędzy, ani zboża, ani żadnej innej rzeczy — ale obcemu.« (Deuter. XXIII, 19)

Kamień węgielny ekonomii. Studiując stosunek Kościoła do spraw gospodarczych natykamy się stale, na przestrzeni dwu bez mała tysięcy lat, na to samo zagadnienie, stanowiące punkt centralny wszelkich rozważań: zagadnienie odsetek od pożyczonych pieniędzy. Współczesny umysł, wyszkolony na liberalnej doktrynie gospodarczej, odnosi w pierwszej chwili wrażenie jakgdyby jakiejś zbiorowej sugestji, ciągnącej się poprzez długie wieki. Ze kapital niesie odsetki — to się nam dziś wydaje rzeczą równie naturalną i zrozumiałą jak np. fakt, że w autobusie placimy za przejazd. A jednak dziwna zgodność, z jaką najgłębsi myśliciele katoliccy odnosili się w ciągu tysiącleci do tego problemu, zmusza nas do postawienia pytania: dlaczego Kościół przywiązywał taką wagę do tej sprawy i o ile stanowisko jego było uzasadnione?

Najpierw trochę historii. A więc przez pierwsze tysiąc lat istnienia Kościoła uczeni teologowie odrzucali zgodnie jakikolwiek procent od kapitału. Wszelkie odsetki uważano w owych czasach za lichwę i poczytywano za grzech. W pierwszych wiekach Średniowiecza przeprowadził Kościół we wszystkich państwach chrześcijańskich, a więc praktycznie biorąc w całym ówczesnym świecie cywilizowanym, ustawy zakaz pobierania odsetek. Chcac wyzwolic ubogich ze szponów lichwiarzy, zachęcał Kościół do tworzenia »Banków Pobożnych« (Montes Pietatis). Posiadaczom płynnej gotówki radzono, by lokowali ją w postaci udziałów, a nie pożyczek.

Zydzi, którym przepisy religijne nie pozwalają pobierać odsetek od braci w Izraelu, ale wyraźnie zalecają pobieranie procentu od gojów, korzystali szeroko z tego prawa, toteż większość zamieszek anty-żydowskich w Sredniowieczu, wypędzenie ich z Anglii i Francji oraz specjalne ustawodawstwo dla Żydów, obracają się stale dokola pytania, czy zakaz pobierania odsetek ma obejmować również i Żydów, czy też mają być spod niego wyjęci. Z winy Żydów sprawa lichwy (bo Kościół nawet w swej nomenklaturze nie odróżniał lichwy od umiarkowanego procentu) stanowiła wiecznie żywy temat dyskusji, tym więcej, że ożywiające się coraz bardziej międzynarodowe stosunki handlowe miały stała dążność do wymykania się spod surowej nauki Kościoła. W tych warunkach teologia scholastyczna zaczęła stopniowo przewidywać pewne wypadki, w których wzamian za pożyczanie kapitału należy się pewne odszkodowanie, nie mogące atoli mieć znamion zysku. Jeden z najobszerniejszych rozdziałów »Summa Theologica« św. Tomasza z Akwinu zajmuje się lichwą, a tezy przez niego postawione, rozwijane dalej przez poszczególnych teologów, doprowadziły Kościół do uznania odszkodowania za pożyczony kapitał w następujących wypadkach:

- (1) *damnum emergens* (odszkodowanie za straty, istotnie wynikające z niezwrócenia pieniędzy w terminie);
- (2) *periculum sortis* (odszkodowanie za ryzyko związane z obawą, że dłużnik może zbankrutować, umrzeć itp.);
- (3) *lucrum cessans, secundum personarum et negotiorum conditionem* (odszkodowanie nie za przypuszczalne zyski, jakie dany pieniądz mógłby ewentualnie przynieść właścicielowi, bo to byłby już właściwy procent, ale odszkodowanie za straty istotnie powstające w bieżących interesach danego wierzyciela przez to, że pozbawił się pożyczonej gotówki — co wymaga rozpatrzenia od wypadku do wypadku).

W powyższych trzech wypadkach zasada arystotelesowska, że »pieniądz nie rodzi«, podtrzymana jest w całej rozciągłości.

W ten sposób ujęte, ostateczne stanowisko Kościoła znalazło wyraz w uchwałach szeregu synodów z XVI i XVII wieku. Nawet przywódcy duchowi Reformacji, z wyjątkiem Kalwina, zachowali w tej sprawie całkowitą solidarność z Kościołem katolickim.

Ale fale obojętności religijnej były coraz to silniej o mury doktryny kościelnej. Nowoczesny rozwój gospodarczy domagał się kapitałów za

wszelką cenę. Jedno państwo po drugim zezwalało na pobieranie procentów; tylko odsetki powyżej pewnej granicy, zwanej »stopa ustawowa«, traktowano nadal jako lichwę karalną. W tych warunkach bardzo nawet bogobojni katolicy stosowali się coraz rzadziej do tradycyjnej nauki o odsetkach. Wprowadził Papież Benedykt XIV podtrzymał jeszcze w Encyklice »*Vix pervenit*« (rok 1745) naukę Ojców Kościoła w całej jej surowości, ale już w roku 1830 Papież Pius VIII odpowiada na pytanie biskupa z Rennes, że nie należy niepokoić przy spowiedzi — »*non esse inquietandos*« — ludzi pobierających odsetki, pod warunkiem, że wyraża gotowość poddania się orzeczeniu Stolicy Apostolskiej, które w tej sprawie będzie wydane.

Prawie sto lat czekał świat katolicki na to orzeczenie. Tym czasem szereg państw poznało nawet »stopę ustawową«, krepująca lichwiarzy*), wprowadzając zgodnie z teorią liberalną swobodę pobierania odsetek w dowolnej wysokości. Wobec niepomysłnych wyników tej reformy niektóre państwa przywróciły po paru latach ustawodawstwo, skierowane przeciw lichwie. Kościół katolicki zachowywał się biernie. Wreszcie wydano w roku 1917 nowy »*Codex Juris Canonici*«, w którym znalazł się artykuł 1543 treści następującej:

»Jeżeli daje się komuś rzecz wymierna (*res fungibilis*) w tym celu, by stała się jego własnością, a następnie nastąpił zwrot tej samej ilości w tym samym rodzaju, nie wolno pobierać żadnego zysku z racji umowy; jednakże przy użyczeniu rzeczy wymiernej nie jest samo przez się niedozwolone pobierać zysk dopuszczony prawem, chyba że wiadomo, iż ten zysk jest nadmierny, lub nawet zysk większy od dozwolonego prawem, jeżeli tylko przemawia za tym jakiś sprawiedliwy, i będący w odpowiednim stosunku do oddanej przysługi, tytuł.«

Można śmiało wyrazić przypuszczenie, że nazwiska uczonych teologów, którzy układali powyższy artykuł, nie przejdą do historii na równi z nazwiskami Ojców i Doktorów Kościoła. Zdaje się, że właściwa interpretacja tego artykułu wygląda tak: w pierwszej części Kościół teoretycznie podtrzymuje w całości odwieczny swój zakaz pobierania odsetek; w drugiej zaś części kapituluje w praktyce, nie czując się na siłach walczyć z prądem czasu i nie chcąc narażać zarówno spowiedników, jak i ich

*) Anglja uczyniła to w r. 1837; do tego roku, od czasów królowej Anny (1665—1714), »stopa ustawowa« wynosiła 5%.

owieczek, na rozterke duchowa przekraczająca ich duchowe możliwości.

Moge podac jaskrawy przykład: Kongregacja Propagandy oficjalnie zezwolila katolikom chińskim na pobieranie 20% do 30% rocznie!

Francuskie przysłowie nie radzi byc »bardziej katolickim od Papeża«. Nic wiec dziwnego, że pewna atawistyczna odraza do kredytu i procentów, pokutująca jeszcze do niedawna w społeczeństwach chrześcijańskich, zanika w szybkim tempie i wielu katolików uważa dziś, że jaskrawa nawet lichwa niema nic wspólnego z moralnością, byle pozory byly zachowane.

* *
*

Chcac zrozumiec pobudki, kierujące Kościołem w jego walce przeciw odsetkom, najwygodniej siegnac do »Summa Theologica« św. Tomasza z Akwinu, stanowiącej niewatpliwie szczytowy punkt w rozwoju i wyrazie myśli katolickiej*).

*) Rozmyślnie używam w tej książce słowa »katolicki« zamiast »chrześcijański«, ponieważ coraz silniej utrwała sie dziś poglad, że to właśnie Protestantyzm stworzył podłoże moralne dla rozwoju nowoczesnego kapitalizmu. Dzieje dowodza, że kapitalizm rozwinal sie w pierwszym rzędzie w krajach protestanckich, a przede wszystkim w krajach purytańskich; dopiero później przyjely go narody katolickie i to tylko częściowo. Jest wysoce znamienne, że choc pierwsze jaskółki kapitalizmu pojawily sie pod koniec Wieków Średnich właśnie w krajach takich jak Włochy, Flandrja, Nadrenja itp., które pozostaly później wierne katolicyzmowi, to jednak w żadnym z tych krajów nie rozwinelo sie nic równie zwartego i potężnego, jak kapitalizm anglosaski.

Własność prywatna stanowi fundament chrześcijańskiego ustroju społecznego. Wprawdzie na przestrzeni dziejów spotykalo sie zawsze grupy Chrześcijan, ogarniętych szczególnie wielkim zapalem religijnym, którzy posiadali wszystko wspólnie, jak np. gminy pierwszych Chrześcijan oraz zakony, to jednak wśród ludzi o przecietnym napięciu ducha religijnego, stanowiących przygniatająca większość we wczesnym nawet Kościele, szerokie upowszechnienie własności dawalo z reguly najwyższe wyniki natury moralnej. Tym niemniej ustrojowi, opartemu na upowszechnieniu własności, grozi i grozić zawsze bedzie potencjalne niebezpieczeństwo kapitalistycznego nadużycia własności. Kościół katolicki zdaje sobie sprawe z tego niebezpieczeństwa i ustanowil pomyslowe hamulce, majace zapobiegac wzrostowi kapitalizmu, toteż może sie on rozwijac tylko wbrew Kościolowi, korzystając z okresów jego slabości.

W przeciwieństwie do katolików Purytanie, opierając sie na pewnych ustępach Starego Testamentu, wytworzyli teorie, w myśl której dojście do bogactwa stanowi zewnetrzny, widzialny znak przychylności Bożej. Purytanin rozkoszuje sie obrazem

Współczesna »rehabilitacja« św. Tomasza przypomina zainteresowanie »prymitywami« w malarstwie, tak charakterystyczne dla naszej epoki. Podobnie jak obraz Fra Angelico lub Botticelli'ego, »Summa« św. Tomasza wykazuje pod pozorami średniowiecznej naiwności tak głębokie pokłady myśli — chciałoby sie prawie powiedziec artyzmu — że czytelnik wglebiający sie w poszczególne zdania, nierzadko majace na pierwszy rzut oka wszelkie pozory komunalów, odkrywa w nich coraz to dalej siegające perspektywy. Myśl Arystotelesa, sumująca w sobie doświadczenia świata starożytnego, przeszczepiona na światopoglad chrześcijański i przefiltrowana przez tysiac lat doświadczenia Kościoła katolickiego, znalazla w filozofji Akwinaty synteze, nie zrównana w żadnej innej epoce.

Współczesny świat wydaje sie byc różny od świata, w którym żył i myślał św. Tomasz, ale zasady, obowiązujące w społeczności ludzi, nie zmienily sie ani o jote. O ile ludzkość stoi dziś wyżej pod wzgledem realizacji zasad moralnych w życiu zbiorowym, to zawdziecza to dziesiętnastu wiekom oddziaływania moralności chrześcijańskiej. Pewne przepisy tej moralności, jak np. odnoszące sie do odsetek, zarzucono w praktyce, ale dowód pozostaje jeszcze do przeprowadzenia, czy istotnie przeszkadzaja one w osiagnieciu lepszych form gospodarki. A może właśnie stanowi nieodzowny warunek godziwego ustroju?

* *
*

Joba, nagrodzonego przez Pana cztermiastu tysiacami owiec, sześciu tysiacami wielbłądów, tysiacem jarzm wolów i tysiacem oślic. Katolik natomiast martwi sie, czy jego bogactwo nie przeszkodzi mu w przejściu przez ucho igielne.

Porównaj: R. H. Tawney, Religion and the Rise of Capitalism (Religia a wzrost kapitalizmu).

E. Barker, National Character and the Factors in its Formation (Charakter narody i kształtujące go czynniki).

Werner Sombart, Die Juden und das Wirtschaftsleben (Żydzi a życie gospodarcze).

Weber, Die protestantische Ethik und der Geist des Kapitalismus (Etyka protestancka a duch kapitalizmu).

A. Fanfari, Catholicism, Protestantism and Capitalism (Katolicyzm, protestantyzm i kapitalizm).

Jakiż jest właściwy sens zakazu odsetek? Odsetki, według nauki Kościola, stanowią grzech przeciw sprawiedliwości wymiennej, »iustitia commutativa«. Człowiek pożyczający ma prawo do zwrotu tylko tej sumy, która pożyczyl; wszystko, co otrzyma ponadto, stanowi zysk niesprawiedliwy. Otrzymując coś muszę dać wzajem jakąś równowartość, która może być albo moja własność albo moja praca. Tertium non datur. Odsetki nie stanowią ani zwrotu własności, ani zapłaty za pracę, są więc wzbogaceniem niesłusznym, tym bardziej niemoralnym, że człowiek dający pożyczkę jest silniejszy od pożyczającego, ma nad nim przewagę płynącą z posiadania kapitału i wyzyskuje ją do wymuszenia nienależnego sobie zysku. Jednym słowem odsetki stanowią w życiu społecznym stały haracz, nałożony przez silniejszych na słabszych, co oczywiście sprzeciwia się moralności.

Powyższemu rozumowaniu przeciwstawia się często pogląd, że odsetki umiarkowane, w wysokości kilku czy kilkunastu od seta rocznie, należy dozwolnić, choćby nie miały nawet głębszego moralnego uzasadnienia, gdyż odgrywają tak twórczą jakoby i błogosławioną rolę w życiu gospodarczym. Lichwa, owszem, na to zgadzają się niektórzy ekonomiści, kilkadziesiąt procent rocznie, jest gospodarczo szkodliwa, ale umiarkowane odsetki nie mogą być sprzeczne z moralnością, skoro dają praktycznie dobre skutki.

Rozważmy ten argument w świetle cyfr. Oczywiście im większy procent, tym większe zło, ale szkoda społeczna, wynikająca z nieznacznego nawet procentu, da się zobrazować cyframi następującymi: o ile wypożyczymy £ 100 na 4% rocznie i będziemy dodawali co pół roku odsetki do kapitału (procent składany), to po stu latach nasze £100 urosnie do kwoty £ 5250. Pożyczony na 8% rocznie, rozmnoży się te same £ 100 po stu latach do pięknej sumki £ 255 000! Ten prosty rachunek tłumaczy karierę rodu Rotszylldów oraz wiele innych ciemnych spraw...

Idąc dalej po tej samej linii rozumowania wyobraźmy sobie, że w pewnym kraju każdy obywatel jest zadłużony do wysokości 10% swego majątku. Zadłużony jest hipotecznie oraz płaci raty za samochód, radio, lodówkę, dom. Od wszystkich tych długów płaci rocznie powiedzmy 5%. Z tych pięciu procentów, po opłaceniu rzeczywistych wydatków, jakieś 2% utkwie w kieszeniach finansistów, dysponujących instytucjami kredytowymi danego kraju.

Proste obliczenie pozwoli nam stwierdzić, że po stu latach potomkowie tych finansistów będą w posiadaniu 60% całego majątku tego nieszczęsnego kraju. Wobec tego, że taki stan rzeczy stanowi wszędzie regułę od wielu lat, niech więc Anglicy, Francuzi, Amerykanie czy Polacy nie wymawiają się nieznajomością powodów, dla których ich własność tak szybko przesuwa się do pewnych rąk, dlatego ich przemysł się koncentruje, dlatego z właścicieli stają się lokatorami i dzierżawcami. Odsetki toczą gospodarke, jak czerw drzewo. Truciciel, skryty wśród domowników, który dzień po dniu, potajemnie, nieznacznie dodaje do jadła po szczypcie arszeniku, groźniejszy jest od rozbójnika, wywijającego maczuga na gościńcu. W życiu gospodarczym odsetki stanowią taką codzienną truciznę, pasożyta żerującego na ludzkiej pracy, zżerającego ją jak rak, trawiącego wysiłek twórczy jak suchoty. Niszczą one radość uczciwej pracy, znana czasom szczęśliwszym od naszych.

Trzy reguły. Zdaniem św. Tomasza istnieją rzeczy, których użycie nie jest równoznaczne z ich zniszczeniem (zużyciem). Taka rzecz jest np. dom mieszkalny, przeznaczony do stałego używania, a nie do jednorazowego zużycia. Otóż wynajęcie domu, przy równoczesnym zachowaniu dla siebie jego własności, uważa św. Tomasz za rzecz godziwą. Dobitnie tłumaczy on swoją myśl na następującym przykładzie:

»Główny sposób użycia srebrnych naczyń nie polega na ich zużyciu, przeto wolno godziwie sprzedać użytek tych naczyń, zachowując ich własność dla siebie. Głównym natomiast sposobem użycia srebrnych pieniędzy jest ich wydawanie, to znaczy ich wymiana na inne przedmioty; z tego względu nie godzi się sprzedawca ich użytku, żądając zarazem zwrotu całej sumy, która się pożyczyla. Należy jednak mieć na uwadze, że drugim sposobem użycia srebrnych naczyń może być ich użycie do celów wymiennych, a takiego ich użytku nie godzi się sprzedawca. Analogicznie może istnieć jakiś inny sposób użycia srebrnych monet, np. gdyby ktoś wynajmował monety do celów ozdoby, lub w celu złożenia ich jako zastawu; tego zaś rodzaju użytek pieniądza wolno godziwie sprzedawca.«*)

Uważny czytelnik, nie zrażony dialektyką scholastyczną św. Tomasza, wynioskuje, że św. Tomasz potępia odsetki od pożyczek,

*) S. Th. 2,2 qu. LXXVIII a. 1.

dopuszcza natomiast odszkodowanie za pożyczanie przedmiotów o przeznaczeniu trwałym.

Jak postąpić jednak w wypadku, kiedy pożyczka ma właśnie na celu kupno przedmiotów o przeznaczeniu trwałym, inwestycyjnym, jak np. maszyn, budynków fabrycznych itp.?

— Zgoda, że pożyczki konsumpcyjne, przeznaczone na »przejeżdżenie«, nie powinny nieść odsetek — powie czytelnik. — Nie uogólniamy tego jednak na wszelkie pożyczki. Przecież przeważająca ich większość idzie wspólnie na cele produkcyjne. Ustawodawca nie może się bawić w rozróżnianie, czy pożyczam komuś tysiąc złotych na zakup paru zbędnych ubrań czy też na zakup maszyny, która mój dłużnik będzie wyrabiał zysk dla siebie i odsetki dla mnie. W Sredniowieczu większość pożyczek miała cele konsumpcyjne, lecz dziś pieniądź jest kapitałem, a kapitał jest równoznaczny z narzędziem produkcji. Tego św. Tomasz nie przewidział, toteż jego teorie nie są już obecnie aktualne.

Oddajmy znowu głos św. Tomaszowi. Niech się broni sam. »Pożyczający pieniądze« — mówi św. Tomasz — »przenosi posiadanie ich na tego, kto od niego pożycza; ten przeto, któremu pieniądze pożyczono, posiada je na własne ryzyko i obowiązany jest oddać je w całości: stąd wniosek, że nie wolno wierzycielowi żądać więcej, niż pożyczył. Natomiast człowiek, który powierza swe pieniądze czy to kupcowi czy wytwórcy w formie jakiegokolwiek rodzaju spółki, nie przenosi na tego kupca czy wytwórcę posiadania swych pieniędzy, przeciwnie te pieniądze pozostają nadal jego własnością; skutkiem tego kupiec handluje tymi pieniędzmi na ryzyko ich właściciela, podobnież wytwórca na jego ryzyko używa tych pieniędzy do produkcji. Wobec takiego stanu rzeczy wolno pożyczającemu godziwie domagać się części zysku, płynącego z danego przedsiębiorstwa, jako że zysk ten płynie z jego własności.«^{*)}

Przecieramy oczy ze zdumienia: czy te słowa wyszły spod pióra teologa czy ekonomisty?

Św. Tomasz opiera się tu na chrześcijańskim rozumieniu własności, w całej jego nieubłaganej logice. Myśl katolicka przyznaje własności duże uprawnienia, ale tylko pod warunkiem niezrywania więzów osobistej odpowiedzialności, łączących właściciela z posiadanym przedmiotem. Jeśli te więzy zrywam, ogłaszając zupełną obojętność na to, co się będzie

^{*)} S. Th. 2, 2 qu. LXXXVIII a. 2. ad 5.

działo z moja własnością i przerzucając tchórzliwie całe ryzyko na cudze barki, nie wolno mi odebrać więcej, niż pożyczyłem. Jeśli natomiast wchodzi jako spółnik do cudzego przedsiębiorstwa, to zachowuje z moja własnością styczność osobista (a styczność ta stanowi, w myśl nauki chrześcijańskiej, rodzaj posłannictwa o charakterze moralno-społecznym^{*)}); dzieje się ryzykiem, a więc mam prawo dzielić się i zyskami; wreszcie mam pewność, że chodzi o wytwórcze użycie kapitału, a nie o spożycie.

W ten sposób dochodzimy do sformułowania drugiej tezy: kapitały nie powinny kraść w życiu gospodarczym w formie pożyczek, lecz w formie udziałów^{**}).

* * *

^{*)} Z tego punktu widzenia staromodna Spółka Akcyjna, jaka się dochowała jeszcze tylko w W. Brytanji, z jej wpisanymi do imiennego rejestru udziałowcami związanymi ściśle z zarządem przedsiębiorstwa, budzi mniej zastrzeżeń niż jej anonimowa odmiana o akcjach na okaziciela, przyjęta dziś powszechnie na kontynencie Europy; te formy Spółki Akcyjnej musimy uznać za całkowicie sprzeczne z zasadami, głoszonymi w tej książce. Co gorzej, w nowoczesnej Spółce Akcyjnej korzyści, związane z samą istotą stosunku spółkowego, osłabione zostały jeszcze bardziej przez zastąpienie części akcji obligacjami, nie będącymi niczym innym jak oprocentowanymi skryptami dłużnymi.

^{**}) A oto nowoczesna wersja tej tezy:

»Dwadzieścia mniej więcej lat temu pisarz amerykański E. L. Smith zaskoczył świat inwestorów książką, w której wyłożył rewolucyjną teorię, jakoby z każdego punktu widzenia — czyto dochodu, czy bezpieczeństwa kapitału czy wzrostu jego wartości — inwestowanie w zwykłych akcjach było bardziej wskazane od papierów o oprocentowaniu stałym, choćby typu najwyższego.

»Swe wnioski poparł on materiałem dowodowym w postaci zestawień cen, dywidend itp. na przestrzeni długich lat. W W. Brytanji tezy jego zostały później silnie podmurowane badaniami, przeprowadzonymi i ogłoszonymi przez p. H. E. Raynes'a, dyrektora »Legal and General Life Assurance Company«. W ostatnich latach ta nowa filozofia inwestycji przyjęła się szeroko wśród inwestorów, włącznie z takimi »instytucjonalnymi« inwestorami jak trusty inwestycyjne oraz towarzystwa ubezpieczeń. Obecnie filozofia ta znalazła nowego eksponenta — najbardziej systematycznego i gruntownego — w osobie p. Hargreaves Parkinson'a, wydawcy »Financial News« i jednego z naszych czołowych autorytetów we wszelkich sprawach dotyczących inwestycji, który napisał książkę pt. »Akcje. Zwyczajne«. (News Chronicle«, Londyn, 1. I. 1945, O. R. Hobson, sprawozdawca finansowy).

Czy św. Tomasz żąda ustawowego zakazu pobierania odsetek?

Nie. Sw. Tomasz zna lepiej od współczesnych doktrynerów naturę ludzką i mechanizm życia zbiorowego i nie ludzi się co do skuteczności ustawowych zakazów. W najlepiej nawet zorganizowanym społeczeństwie zachodzą beda wypadki, że poszczególni ludzie przyciśnięci niedzą, choroba czy wyjątkowa koniecznością zmuszeni beda do pożyczania. Nie zawsze znajdą oni człowieka o miłosiernym sercu, który im pożyczki nie żądając procentu. »Człowiek nie zawsze obowiązany jest udzielić pożyczki« (bezprocentowej) — powiada św. Tomasz — »i z tego powodu udzielenie pożyczki zalicza się do rad . . . jako i miłowanie nieprzyjaciół jest jeno rada . . .«^{*)}. Najgłębszych ofiar moralnych, wymagających od człowieka prawdziwego bohaterstwa, nie można wymusić, można je tylko doradzić i stworzyć atmosferę przychylną ich realizacji. Natura ludzka jest ułomna i grzesznicy zawsze się znajdują. Na tym polega różnica między Państwem a Kościołem, że Państwo wymusza siłą posłuch dla swoich ustaw, a Kościół ogranicza się do wskazań moralnych, rezygnując w niektórych sprawach nawet ze swej egzekutywy, której trybunałem jest konfesjonal. Dlatego też ustawy państwowe, jako bezwzględniejsze w działaniu od wskazań moralnych, nie powinny obejmować pewnych problemów, będących tylko wewnętrzną sprawą między człowiekiem a jego sumieniem. » . . . Ustawy ludzkie nie przewidują kary za pewne grzechy« — mówi św. Tomasz — »ze względu na niedoskonałość wrodzona człowiekowi, z powodu której traciłoby się dużo korzyści, gdyby ściśle zapobiegano wszystkim grzechom przy pomocy odpowiednich kar. Z tego też powodu prawo ludzkie pozwala na odsetki, nie jakoby uważało, że się sprawiedliwie należą, lecz by nie udaremnić korzyści możliwych dla wielu . . .«

Nawet w ustroju gospodarczym, w którym zwyczajem i instytucje dostosowane beda do wskazań św. Tomasza, zachodzą mogą nagle potrzeby wymagające zaciągania pożyczek oprocentowanych. Wszystkich drzwi nie wolno zatrzaskać, należy zostawić jakieś wyjście dla ludzkiej niedzy. Ale myśl św. Tomasza da się ująć w następującą formułę: ustrój gospodarczy należy tak zorganizować, by spowodować do minimum ilość wypadków, w których pożyczanie wzajemian za odsetki stanie się koniecznością.

^{*)} S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 1 ad 4.

A postęp techniczny? A dynamika życia gospodarczego? W jaki sposób wrzucić kapitały do produkcji i wymiany?

Na to dał nam św. Tomasz odpowiedź bardzo wyraźną: nie kredyt, lecz osobisty udział w przedsiębiorstwie.

Nie jest to żądanie pod żadnym względem rewolucyjne. Sposób finansowania wytwórczości był zawsze jednym z mierników doskonałości ustroju gospodarczego. W społeczeństwie wysoce cywilizowanym właściciel kapitału wnosi go w spółkę; w społeczności prymitywnej pożyczka lichwiarska stanowi najczęstsza formę »współpracy gospodarczej«.

Wypadki zasługujące na kompensate. Przechodzimy z kolei do najdrażliwszej sprawy. A więc wszelki, najbardziej nawet umiarkowany procent, jest według św. Tomasza niemoralny?

Chcąc odpowiedzieć na to pytanie musimy oddzielić św. Tomasza — ekonomistę od św. Tomasza — moralistę. Moralista wie, że pieniądź działa jak narkotyki: w małych dawkach wprowadzić nie szkodzi, ale należy aż do znudzenia ostrzegać ludzi przed narkotykami, by im czasem nie przyszła myśl zdrożna zasmakować w którymś z nich. Dlatego to św. Tomasz powtarza tylokrotnie zakaz pobierania odsetek od pieniędzy. Ale św. Tomasz-ekonomista wie doskonale, że »iustitia commutativa« nie może bronić tylko praw dłużnika. I wierzyciel jest istotą ludzką i jego prawom należy się też ochrona. Wszak zdarza się często, że dłużnik zwraca nominalnie tę samą ilość pieniędzy, którą pożyczył, ale pieniądź stracił tymczasem na wartości. W takim wypadku »iustitia commutativa« byłaby oczywiście pogwałcona i to na niekorzyść wierzyciela. Mogą zajść i inne wypadki, w których wierzyciel poniesie stratę. Sw. Tomasz-ekonomista wie o tym doskonale i daje temu wyraz w następujących słowach: »Wierzyciel może bez grzechu przewidzieć w umowie, która zawiera ze swym dłużnikiem, wynagrodzenie szkody wynikającej z faktu, że pozbawia się on czegoś, co by mu się należało; nie jest to bowiem równoznaczne ze sprzedawaniem użytku pieniędzy, lecz z uniknięciem szkody, skoro może się przecież zdarzyć, że biorący pożyczkę unika szkody większej od tej, którą ponosi dający; dłużnik wynagradza więc ze swych korzyści szkodę wierzyciela«. Ale św. Tomasz-moralista dodaje niezwłocznie: »Nie wolno jednak wierzycielowi zastrzec sobie

w umowie wynagrodzenia za szkodę, której ktoś się dopatruje w tym, że nie będzie ciagnął zysku ze swych pieniędzy, gdyż nie powinien sprzedawac tego, czego jeszcze w danej chwili niema i czego na skutek różnych przeszkód może w przyszłości nie otrzymać*).

»*lustritia commutativa*« chroni wiec także wierzyciela. Jeśli poniósł on uszczerbek faktyczny, a nie tylko domniemany, a dłużnik nie przejadł pożyczonych pieniędzy ale na nich zarabia, powinien wierzycielowi dac odszkodowanie.

Jakież wiec wypadki wymagac beda kompensaty? Cytowaliśmy już ich nazwy, ustalone przez uczniów św. Tomasza. Sa to: *damnum emergens* (szkoda), *periculum sortis* (ryzyko) oraz *lucrum cessans* (ustanie zysku).

Szkoda wynika zazwyczaj ze zwłoki w zwrocie pożyczki; w nowoczesnej gospodarce zwłoke w terminowej spłacie pożyczki maskuje sie w sposob bardzo pomyslowy; mówi sie wtedy o »niemożności upłynnienia aktywów«, o »zamrożeniu kredytów« itp.

Periculum sortis obejmuje bankructwo dłużnika, wypadki siły wyższej takie jak trzesienie ziemi, wojne itp., oraz dewaluacje.

Lucrum cessans secundum personarum et negotiorum conditionem oznacza odszkodowanie nie za przypuszczalne zyski, jakie dany pieniądz mógłby ewentualnie przynieść właścicielowi, bo to byłby już właściwy procent, ale odszkodowanie za straty rzeczywiście powstające w konkretnych interesach danego wierzyciela przez to, że pozbawił sie pożyczonej gotówki — co należy rozpatrzyc od wypadku do wypadku.

Sredniowieczni myśliciele uważali za konieczne, by sędziowie rozpatrywali wszelkie takie wypadki z osobna, gdyż życie niesie jaknajbardziej nieoczekiwane powikłania, których nie potrafią ujac w szablon prawny najzdolniejsi nawet ustawodawcy. Ten średniowieczny postulat przetrwał do dzisiaj jedynie w ustawodawstwie angielskim i szkockim, które zostawiają sędziemu wolna reke w rozstrzyganiu, czy dana strona rzeczywiście poniosła jakąś strate, i pozwalają mu regulowac stope procentowa stosownie do swego poczucia slusności (*equity*).

Madra to procedura, toteż narody, które przywróca u siebie ten »przeżytek Sredniowiecza«, rychlo odczuja jego dobre skutki. W szczególności po okresach dewaluacji lub rewaluacji pieniądza potrzebne jest niezmiernie sumienne wyrównanie strat, jeśli chce sie uniknac

*) S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 2 ad. 1.

katastrofalnych zaburzeń gospodarczych i szczególnie krzywdzących przesuniec bogactw. Inflacja, regularne następstwo wojen i rewolucyj, prowadzi z reguly do zubożenia całych grup społecznych, a zarazem do wzbogacenia sie elementów najmniej na to zasługujących. W latach tysiac dziewiecset dwudziestych wydano w wielu krajach Europy specjalne ustawy, zmierzające do naprawy najjaskrawszych przynajmniej krzywd, wyrządzonych przez inflacje; w krajach kapitalistycznych udalo sie pokrzywdzonym przez inflacje wierzycielom odbic swoje straty. Gorzej poszlo dłużnikom kiedy, na skutek wzrostu w sile nabywczej złota (patrz str. 219) w latach 1929/31, oni z kolei zostali pokrzywdzeni. Wszelka własność utracila wówczas polowe swej wartości (wyrażonej w złocie), toteż dłużnicy domągali sie slusnie odpowiedniego zmniejszenia nominalnej sumy swych długów. Wierzyciele bronili sie używając calego swego wpływu na rzady. W końcu W. Brytania zdecydowala sie na radykalne ciecie i porzucila w r. 1931 miernik złota, ułatwiając tym znacznie pozycje swych obywateli — dłużników. Inne kraje zmuszone byly pójsc w jej ślady, a te, które sie na to nie odważyły, próbowały ratowac równowage swej gospodarki uciekając sie do ustawowej redukcji długów. Stany Zjedn. przeszly szczególnie ciężko te choroby i musialy zastosowac równocześnie oba środki, i dewaluacje pieniądza w stosunku do złota i redukcje długów.

Moral z tej historii jest taki, że wszelkie pogwałcenie sprawiedliwości wymiennej mści sie dotkliwie. Madry sędzia i wiecznie czujny ustawodawca maja tu bogate pole do popisu.

Depozyty bankowe. Miedzy Sredniowieczem a nasza epoka zachodzi zasadnicza różnica w przyczynach pożyczania. W dawnych czasach dwa bodźce: chec zysku i miłość bliźniego — sklanialy ludzi do pożyczania. Człowiek, udzielający pożyczki z milosierdzia czy przyjaźni, nie żadal odsetek, toteż wszystkie wysilki św. Tomasza i jego następców zmierzaly do poskromienia lichwiarzy i chciwców.

Tak to bywalo dawnymi bardzo czasy. Dziś pobieranie odsetek wiąże sie z nowym motywem, którym jest chec zabezpieczenia pieniądza od złodzieja i pożaru przez złożenie ich w banku. Jeśli wkład bankowy niesie jakieś odsetki, tym lepiej. Ale bezpieczeństwo wkładu jest wielu ludziom ważniejsze od samego procentu.

Wkłady bankowe można zgrubsza podzielić na rachunki bieżące i rachunki oszczędnościowe. Rachunki bieżące nie niosą z reguły żadnego procentu; zdarza się nawet, że banki przestają płacić odsetki od rachunków oszczędnościowych. Zdarzyło się to np. w latach tysiąc dziewięćset trzydziestych w Szwajcarii, gdzie w chwili nadmiernego napływu kapitałów, dla których brakło możliwości inwestycyjnych, banki zaczęły pobierać pewną opłatę za przechowanie pieniędzy (a więc odsetki stały się ujemne).

Nie ulega wątpliwości, że większa część pieniędzy, składanych dziś do banków, szuka bezpieczeństwa raczej niż zysku.

Większa część — ale jaka?

Bezpieczeństwo stanowi oczywiście wyłączny cel wszystkich rachunków bieżących, przeznaczonych na codzienne wydatki, oraz główny cel pewnej części rachunków oszczędnościowych, składanych przez ludzi mniej zaradnych, którzy stawiają bezpieczeństwo ponad dochód. W W. Brytanii i Stanach Zjedn. rachunki bieżące wynoszą od $\frac{1}{2}$ — $\frac{2}{3}$ całości wkładów bankowych, można więc przyjąć, że w W. Brytanii i Stanach Zjedn., w razie całkowitego zniesienia odsetek od wkładów, większa ich część, niemniej zapewne niż $\frac{2}{3}$ — $\frac{3}{4}$ wkładów, nie uległaby wycofaniu*). W innych krajach stosunek między wkładami pozostawionymi w bankach a wycofanymi zależałby, rzecz prosta, od panujących zwyczajów gospodarczych i bieżącej stopy procentowej, wszędzie jednak byłby niewątpliwie wysoki**).

*) Co stałoby się z pieniędzmi wycofanymi z banków? Ich właściciele zainwestowaliby je zapewne w akcjach bez pośrednictwa banków; z punktu widzenia naszej tezy Nr. 2 stan taki byłby bardziej pożądanym od obecnego.

***) To samo odnosi się do Pożyczek Wojennych, zaciąganych albo przy pomocy nacisku moralnego (przy odwołaniu się do patriotyzmu obywateli) albo drogą półprzymusowej rekwizycji wkładów bankowych na rzecz Skarbu Państwa. Gdyby Państwo przestało płacić jakiegokolwiek odsetki od tych pożyczek (z wyjątkiem małego komisowego dla pośredniczących banków), subskrybowane sumy nie wykazałyby zapewne większego spadku. W czasie wojny 1914—18 szereg państw popełniło błąd, polegający na płaceniu niepotrzebnie wysokich odsetek od pożyczek wojennych, które subskrybowano przy znacznie nawet niższej stopie procentowej. Np. brytyjskie pożyczki wojenne niosły w tych latach początkowo aż 5%, później 4%. W czasie wojny 1939/45 Skarb brytyjski płacił już tylko $2\frac{1}{2}$ % — 3%. Było to bardziej racjonalne, choć te same kwoty pożyczek można było zapewne osiągnąć płacąc $1\frac{1}{2}$ — 2%.

Wydaje się prawdopodobne, że w krajach, w których odsetki od rachunków oszczędnościowych nie wynoszą więcej niż 1% — 2%, ilość wkładów wycofanych w razie zniesienia odsetek byłaby nieznaczna. Możliwe, że z przyczyn natury psychologicznej należałoby utrzymać jakiś minimalny procent od wkładów bankowych jedynie po to, by opłacało się ludziom lepiej trzymać pieniądze na rachunkach bankowych niż w schowkach czy po domach, co wywołuje objawy deflacyjne i utrudnia »kierowanie pieniędzmi«. Czy powinnoby się więc nakłaniać ludzi do trzymania pieniędzy w bankach płacić im, powiedzmy, $\frac{1}{2}$ % — 1% rocznie? Co powiedziałby na to św. Tomasz?

Jeden procent rocznie zwiększa kapitał w ciągu wieku trzykrotnie, jest więc krzywdzący. Można tu zastosować rozumowanie, którym posłużymy się za chwilę rozpatrując rentę gruntową (patrz Rozdział »Monopol ziemi«). Dojdziemy tam do wniosku, że monopol własności ziemskiej przestaje być groźny, gdy miliony ludzi uwalniają się z ziemi. To samo odnosi się do odsetek. Póki stopa jest bardzo niska, a odsetki wpływają do kieszeni milionów małych ciulaczy kosztem wytwórców (gdyż pieniądze z banków pożyczają się wytwórcom i oni to ponoszą ciężar odsetek) — system kredytowy nie wydaje się krzywdzący i nie powinien budzić sprzeciwu katolika.

Tak więc instytucje kredytowe mogą rozporządzać milionami wkładów, nie płacić wkładcom żadnych odsetek lub co najwyżej 1% rocznie. Miliony te wypożyczone zostaną wytwórcom, a niektórzy z wkładców zechcą również skorzystać z kredytu w postaci »rachunku otwartego«. Czy i jakie odsetki pobierać powinny banki od swych dłużników, jeśli i tu »sprawiedliwości wymiennej« ma się stać zadość?

W pierwszym rzędzie wymagają pokrycia koszty handlowe instytucji kredytowych. Te koszty, przy oszczędnym prowadzeniu, wynoszą około $\frac{1}{2}$ % rocznie, przy małych obrotach mogą wzrosnąć do 1%.

Instytucje kredytowe muszą również pokrywać straty, powodowane przez niewypłacalność dłużników. Pożyczki hipoteczne cieszą się pełnym bezpieczeństwem, toteż powinny one nieść procent pokrywający jedynie bieżące koszty handlowe. To samo odnosi się do pożyczek udzielanych państwu. Z drugiej strony przy kredytach, udzielanych osobom i instytucjom prywatnym, nie zabezpieczonych hipoteką ani gwarancją państwa,

pewien ułamek kredytów trzeba zawsze odpisać na straty; takie kredyty należy więc obciążyć dodatkową stawką na ryzyko.

Dochodzimy więc do wniosku, że w prawidłowym systemie kredytowym pożyczki, udzielane przez instytucje kredytowe, powinny być obciążone odsetkami jedynie do wysokości, wystarczającej na pokrycie kosztów handlowych i ryzyka, z dodatkiem nieznacznego procentu planowanego wkładcom w charakterze przynety, dla zapobieżenia tezauryzacji.

Taki system kredytowy nie stałby w sprzeczności z nauczaniem chrześcijańskim*).

Tak obliczona stopa procentowa leżałaby o 2%—3% poniżej obecnej stopy brytyjskiej. Te 2%—3% stanowi właśnie daninę, ściągana przez finansjere w społeczeństwie kapitalistycznym. W porównaniu z lichwiarskimi odsetkami pobieranymi w dawnych czasach, które wynosiły kilkadziesiąt, a niekiedy i kilkaset od sta rocznie, tych parę procent wydaje się fraszka. Niejeden czytelnik myśli sobie w tej chwili: »Zostawmy im ten zarobek. Nie jest to dużo, skoro ich usługi niosą rzeczywiście pewien pożytek.« —

Tak wyrozumiały punkt widzenia trudny jest jednak do obrony, gdy wnikiemy w mechanizm finansów nowoczesnych. Szajłokowie z czasów przed-kapitalistycznych wypożyczali swe własne, istniejące efektywnie, bręczące złoto; Szajłokowie naszych czasów tworzą natomiast pieniądze z niczego, mogą się więc zadowolic odsetkami znacznie niższymi.

Przeciętny człowiek wyobraża sobie, że głównym środkiem wymiany jest dziś banknot. W rzeczywistości banknoty i monety metalowe (bilon) stanowią nieznaczną część nowoczesnych środków obiegowych. Książeczka czekowa stanowi — przynajmniej w społeczeństwach anglosaskich — główne źródło emisji pieniądza. W r. 1923 w W. Brytanii 99.3% wkładów bankowych dokonano czekami, a tylko 0.7% banknotami i bilonem.

Proces tworzenia nowoczesnego pieniądza wygląda następująco:

*) Można go będzie urzeczywistnić w chwili nie bardzo już zapewne odległej, kiedy wszelkie instytucje kredytowe ulegną »uspołecznieniu«, t. zn. znajdą się pod bezpośrednią dyspozycją państwa, samorządów terytorjalnych lub zawodowych, spółdzielni itp. Trudno sobie wyobrazić godziwy ustrój gospodarczy bez takiego uspołecznienia kredytu bankowego.

paru ludzi posiada, powiedzmy, milion funtów. Zakładają oni bank. Publiczność powierza im wkłady na sumę, powiedzmy, dwu milionów funtów. Mając do dyspozycji trzy miliony funtów gotówki, udzielają bankierzy kredytów do wysokości kilkakrotnie przewyższającej tę sumę (w brytyjskim systemie bankowym obowiązuje reguła dziesięcioprocentowego pokrycia kredytów gotówką). Mając trzy miliony gotówki można więc udzielić około trzydziestu milionów kredytów. Z tej sumy bankierzy ciągną błądę 2%—3% zysku netto rocznie, co równa się 60%—90% rocznie od ich pierwotnego miliona — jako że włożyli do interesu tylko milion własnych pieniędzy.

Jakże nie nazwać tego lichwa?

Zadanie dla ekonomistów. Brytyjczykowi trudno jest ocenić należyte cała doniosłość katolickiej nauki o odsetkach, gdyż W. Brytania stanowi jedyny kraj świata, który w dziedzinie kredytu trzyma się do dzisiaj — w znacznej mierze — zasad średniowiecznych. W dalszych naszych rozważaniach będziemy mieli raz po raz sposobność stwierdzać, jak dużo — o ileż więcej, niż jakkolwiek inny kraj — zachowała W. Brytania z dorobku średniowiecznej ekonomji. Stosunkowo niska stopa procentowa panująca na wyspach brytyjskich, korporacyjny sposób jej ustalania, pozostawiona siedziemu dyskrecjonalna władza zmniejszania lub zwiększania procentu, wszystko to brzmi fantastycznie w uszach człowieka z kontynentu.

Na nieszczęście umiarkowana stopa procentowa W. Brytanii znajduje poza jej granicami niewielu naśladowców. Odsetki pobierane w wielu krajach Europy wolają o pomstę do nieba. We Wschodniej Europie przed ostatnią wojną kazano płacić od pożyczek hipotecznych 8%—12% rocznie, często z klauzulą »anty-dewaluacyjną«, zastrzegającą spłatę według parytetu złota czy dolara.

Liberalny ekonomista tłumaczy te anomalje w sposób bardzo prosty. Zdaniem jego tam, gdzie kapitału brak, cena jego jest wysoka. Swa niską stopę procentową zawdziecza W. Brytanii nagromadzeniu bogactw. Przy nadmiarze kapitału odsetki mogą spaść nawet do zera. Niech więc kraje mające niską stopę procentową pracują uporczywie, to z biegiem czasu ich stopa procentowa spadnie samoczynnie do poziomu brytyjskiego . . .

Stara to piosenka, słyzy się ją z katedr uniwersyteckich od stu lat.

Podawanie w wątpliwość takiego omszałego dogmatu może się wydać świetokradztwem. Tym niemniej nie brak dziś ludzi, którzy twierdzą, że rzecz się ma wręcz odwrotnie. Zdaniem tych ludzi błędne jest twierdzenie, jakoby stopa lichwiarska nie przeszkadzała we wzroście majątku narodowego; w rzeczywistości bogacenie się społeczeństwa możliwe jest tylko w wypadku panowania niskiej stopy procentowej, której wysokość ograniczona jest względami natury moralnej.

Wyrażmy to jeszcze dobitniej. Teza katolicka brzmi jak następuje: jeśli z pośród dwu krajów ubogich jeden stara się ze względów moralnych trzymać stopę procentową możliwie nisko, podczas gdy drugi puszcza liberalnie cugle lichwie — wówczas kraj moralny będzie się bogacił (mając malejącą stałą stopę procentową), podczas gdy w kraju lichwiarskim utrzymywać się będzie niedza, przy niezmiennie wysokiej stopie procentowej.

W. Brytania nie zawdziecza swej niskiej stopy swemu bogactwu; przeciwnie jest bogata, ponieważ od wieków usilowała utrzymać niską stopę procentową.

Nowoczesna wiedza ekonomiczna poczęła się w W. Brytanii. W czasie, gdy Adam Smith kładł podwaliny pod tę wiedzę, pożyczano sobie w W. Brytanii na 2% do (maksimum) 5%, a brytyjska praktyka i teoria gospodarcza oparto na lekkich zwyczajach i zniżkach stopy procentowej, nie przekraczających jednorazowo $\frac{1}{2}\%$, czasem nawet $\frac{1}{4}\%$. Zwyżka lub zniżka stopy o cały procent uchodziła i uchodzi nadal w City londyńskiej za zdarzenie bardzo poważne.

Kraje kontynentu europejskiego, ze swą prymitywną gospodarką i zgrubsza ciosanym systemem kredytowym, napróżno od stu lat starały się stosować subtelności brytyjskiej polityki bankowej i nigdy nie przestały się dziwić, dlaczego im to jakoś nie wychodziło. W końcu zaczęło im świtać zrozumienie, że brytyjska, głoszona ex cathedra teoria procentu, ważna jest tylko w granicach od 1% do 5%, może jeszcze do 6% czy nawet 7%. W matematyce znamy równania, które obowiązują w pewnych tylko granicach. Funkcje kredytowe, wypracowane przez ekonomistów anglosaskich, wydają się należeć do tego typu. Powyżej granicy 6% czy 7% funkcje te przestają obowiązywać i należy się uciec do innych wyrażań matematycznych.

Teorii wysokiego procentu jeszcze nie opracowano. Należałoby ją może nazwać, w sposób bardzo starożytny, teorią lichwy*). Miałaby ona mało wspólnego z »teorią pieniądza i procentu«, jakiej uczą w W. Brytanii. Prawa gospodarczego myślenia i działania inne są w społeczeństwach lichwiarskich; zarówno wierzyciel jak i dłużnik ulepieni tam są z innej gliny.

Poddając się potulnie lichwiarskiemu systemowi kredytowemu odcinamy sobie drogę do uzdrowienia naszej gospodarki. Tylko pod wpływem bodźców moralnych może się społeczeństwo przesunąć ze strefy lichwy w strefę odsetek umiarkowanych.

Byłoby to sprzeczne z wszelkimi zasadami, rządzącymi życiem człowieka, gdyby dziedziną kredytu miała być jedyna, w której nie sprzeciwianie się złu, bezkarność lichwy i jej gangsterów, prowadziłyby samoczynnie do poprawy stosunków.

Taki paradoks nie może być prawdziwy.

Cale szczęście, że i w tej dziedzinie, podobnie jak w szeregu innych, oficjalna nauka upodabnia wreszcie swe twierdzenia do nauki katolickiej. Lord Keynes, jedna z gwiazd współczesnej ekonomii, dyrektor Banku Anglii i doradca ekonomiczny Rządu brytyjskiego, doszedł ostatecznie w swej »Ogólnej Teorii Zatrudnienia, Pieniądza i Procentu« (1936) do wniosku, że panująca obecnie w W. Brytanii stopa procentowa (choć niska w porównaniu z kontynentem) uniemożliwia inwestycje, powodując tym samym bezrobocie. Zdaniem Keynesa obniżenie stopy procentowej nieledwie do zera stanowi konieczny warunek usunięcia bezrobocia**).

Taki wniosek jest zgodny z nauką katolicką.

Nie może się powstrzymać od zacytowania następującego ustępu

*) Używam tu słowa »lichwa« w jego znaczeniu nowoczesnym a nie średniowiecznym, które odnosiło się do każdego procentu bez względu na jego wysokość.

**) Sir W. Beveridge, autor głośnego planu »pełnego zatrudnienia«, zgadza się w tym przedmiocie z Keynesem i wypowiada się w swej książce pt. »Pełne Zatrudnienie w wolnym społeczeństwie« (1944) za polityką stopniowej obniżki stopy długoterminowych pożyczek z obecnego poziomu, wynoszącego 3%, co dwa lata w dół o jedną dziesiątą procentu. Przy takim tempie stopa spadłaby do zera dopiero za lat sześćdziesiąt. »To tempo można uważać za zbyt wolne« — pisze Beveridge; — »trudno je uznać za zbyt szybkie.«

z wymienionej przed chwilą książki Keynes'a. »Wychowano mnie w przekonaniu — pisze Keynes — że stosunek średniowiecznego Kościoła do procentu był zasadniczo absurdalny i że subtelne rozważania, zmierzające do odróżnienia dochodu z pożyczek od dochodu z inwestycjami czynnych, były poprostu jezuickimi próbami znalezienia praktycznego wyjścia z warjackiej teorii. Obecnie uważam jednak te dyskusje za uczciwy wysiłek intelektualny zmierzający do oddzielenia dwu rzeczy, które klasyczna teoria beznadziejnie pogmatwała, a mianowicie stopy procentowej i krańcowej wydajności (efficiency) kapitału. Dziś wydaje się bowiem jasne, że rozważania scholastyków zmierzały do wypracowania formuły, która pozwalałaby tabeli wydajności krańcowej kapitału pozostać na poziomie wysokim, przy równoczesnym wykorzystaniu prawa, obyczajów i moralności do utrzymania niskiej stopy procentowej«*).

Zmierzch złota. Wielka depresja lat 1929/33 spowodowała dewaluację pieniądza we wszystkich prawie krajach świata. Złoto zostało zdetroinizowane i nie odzyska już zapewne nigdy swej dawnej, absolutnej władzy.

Dlaczego świat odwraca się od złota? Dlaczego uważa je za tak niebezpieczne, że prez. Roosevelt uznał nawet za konieczne poddać je »sterylizacji«? Warto poświęcić temu chwile uwagi.

Nie tylko stare powieści, ale jeszcze opowiadania naszych dziadów pobrzmiwały wspomnieniami »złotego wieku«, kiedy wystarczyło wejść do banku, by zamienić banknot na złota monete. Przesadnie ostrożni ludzie zwykli w tych czasach mieć w domu jakąś tajną szufladę, w której przechowywali złote gwineje, złote dolary czy dukaty. Ich psychiczne reakcje na brzek i polysk złota nie różniły się w niczym od reakcji starożytnego Rzymianina czy średniowiecznego mieszczucha. Złoto było dla nich jednym z żywiołów, czynnikiem równie niezbędnym do życia jak chleb, ogień czy woda, lekarstwem na wszystkie dolegliwości życia, przedmiotem dumy i pożądania**).

*) Ogólna Teoria Zatrudnienia, Pieniądza i Procentu, Londyn, 1936, str. 351.

***) Psycho-analitycy stwierdzili, że złoto zajmuje wybitne miejsce w naszej nieświadomości, gdzie wydaje się ono ściśle kojarzyć z pojęciem procentu. Jest więc prawdopodobne, że u przyszłych pokoleń, żyjących bez osobistego kontaktu ze złotem, może nastąpić zanik atawistycznej skłonności do procentu.

Czasy nie tak dawne, a jakże odległe. Dla naszego pokolenia złoto jest już tylko symbolem pochowanym w pancernych skarbcach, którym manipulują potężne rece dla tajemniczych celów. Nie umiemy wyobrazić sobie pieniądza pod postacią inną, niż świstka zadrukowanego papieru. Oszczędności nasze składamy w bankach albo inwestujemy w akcjach i obligacjach. Niewielu z nas chodziło kiedykolwiek ze złotymi monetami w kieszeni; mało kto płacił złotem lub przyjmował je w zapłatę. Uśmiechamy się pobłaźliwie słysząc, że babcia czy dziadkowie chowają w glebi szafy staroświeckie złote monety.

Ekonomiści (wyjątkowo zgodnie) przyznają pieniądzwowi trzy zadania: wymiany, przechowania wartości i mierzenia wartości. Jako środek wymiany wyszło złoto z użycia od początku dwudziestego wieku; narody cywilizowane zastąpiły je banknotem i czekiem. Człowiek, pragnący przechować swój kapitał, ma dziś do swego rozporządzenia setki sposobów dogodniejszych niż gromadzenie złota, uważane za proceder szkodliwy i anty-społeczny. Tylko jako miernik wartości uchodzi złoto jeszcze ciągle za niezastąpione.

Przypatrzmy się temu w świetle cyfr. Jeśli przyjmiemy średnią cenę ogółu towarów (t. zw. indeks cen hurtowych) jako wartość niezmienną i założymy, że złoto w r. 1850 miało wartość 100, to

W latach	złoto było warte
1807	49.5
1809	41.7
1814	66.7
1818	48.8
1834	82.0
1839	69.5
1850	100.0
1873	69.5
1883	94.5
1896	127.0
1907	96.3
1913	91.0
1920	40.7
1921	62.5

1925	56.9
1929	67.6
1931	86.2
1933	107.1
1935	116.8

Powyższe zestawienie oparłem na wskaźnikach brytyjskich. Jest ono niezwykle ciekawe. Widzimy w nim dwa kataklizmy — wojny napoleońskie i wojnę 1914/18 — oraz falowania drugorzędne, z których każde odpowiada okresowi ożywienia gospodarczego lub depresji. Nie chce tej książki przeciążać cyframi, ale łatwo byłoby udowodnić, że wartość złota wahała się w tym czasie w niemniejszych granicach niż wartość innych towarów masowego spożycia takich jak żelazo, zboże, węgiel, bawelna itp. Jednym słowem wbrew legendzie, która przedstawia złoto jako opokę niewzruszalną, jest ono takim samym towarem jak wszystkie inne, podległym tak samo falom zwyczajki i depresji.

Tego samego zdania był Adam Smith, który napisał: »Złoto i srebro zmieniają swą wartość jak każdy inny towar; raz są tańsze, raz droższe, czasem łatwiej je nabyć a czasem trudniej.« (Bogactwo Narodów, I, 5.)

W ubiegłych wiekach stałość ludzkiego pożądanego dawała złotu większą stałość wartości. Ale w miarę jak zaczynamy tracić bezpośrednią styczność ze złotem, wahania jego stają się coraz częstsze i gwałtowniejsze. Z chwila gdy złoto przestało być czynnikiem wszechobecnym, gdy tepieje w nas instynkt skierowany ku złotu, stosunek nasz do tego metalu nabiera cech historycznie zmiennych. Właściciele złota przeczucują je z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent w panicznej pogoni za bezpieczeństwem. Przelewając się z miejsca w miejsce dezorganizuje złoto finanse i podcina waluty.

* * *

W czasach handlu gotówkowego, kiedy kredyt i pożyczanie uchodziły za wypadki zupełnie wyjątkowe, wahania wartości złota szkodziły mało. Ale w nowoczesnej gospodarce, opartej w dużej mierze na kredycie, wszelkie silniejsze wahanie siły kupna pieniądza wywołują tragiczne przesilenia gospodarcze. Okresy, w których wszystkie ceny spadają (co się równa wzrostowi wartości złota) bywają dla ludzkości z reguły katastrofalne. Paraliż ogarnia wszystkie działy wytwórczości; masowe bank-

ructwa, samobójstwa i zaburzenia społeczne są na porządku dziennym. Ekonomja liberalna uważa te kryzysy za rzecz nieuniknioną i każe nam je znosić z pokora jako dopust Boży. Kto przemyślał jednak katolickie zasady gospodarcze, wie co o tym sadzić.

(1) Gdy złoto tanieje, ceny towarów wyrażone w złocie idą w górę, natomiast nominalna wartość kapitałów wypożyczonych na procent pozostaje bez zmiany. Jeśli więc ktoś wypożyczył swój kapitał na 5%, a ogół dóbr podrożał w ciągu tegoż roku również o 5%, wierzyciel w rzeczywistości nie zarobił nic, bo odsetki otrzymane przez niego stanowią tylko wynagrodzenie ubytku wartości jego kapitału.

W ciągu całego roku dane społeczeństwo było więc wolne od haraczu odsetek. W wyniku — ożywienie gospodarcze, zanik bezrobocia, rozkwit starych przedsiębiorstw i powstawanie nowych, ogólna chęć do życia, uśmiechnięte twarze.

W okresie taniejącego powoli złota ludzkość żyje w moralnym ustroju gospodarczym. Złoto służy dobrze.

(2) Złoto drożeje. Ceny wszystkich dóbr spadają. Siła kupna wypożyczonych kapitałów, czyli ich istotna wartość, idzie w górę. Jeśli ogół dóbr potaniał w ciągu roku o 10%, kapitał wypożyczony na 5% przyniósł w rzeczywistości 15%, czyli lichwę. Społeczeństwo ugina się pod nieznośnym ciężarem, oddając wierzycielom wszystko, co zarobiło. Chęć do pracy i przedsiębiorczość zamierają. Bezrobocie nabiera rozmiarów katastrofalnych, masy wołają głośno o zmianę ustroju. W tym okresie złoto staje się przekleństwem.

* * *

Przeciwnicy ustroju kapitalistycznego zwykli zwalczać pieniądź złoty twierdzeniem, że gospodarka światowa nie powinna zależeć od kruszcu, całkowicie zmonopolizowanego przez anonimową mafję międzynarodową. Ten argument nie wydaje się przekonujący. Nie widac przeszkód, dla których rządy nie mogłyby z biegiem czasu wykupić czy wywłaszczyć wszystkich zapasów złota, poddając je w ten sposób swej władzy. Czy złoto służyłoby wówczas lepiej? Z naszych poprzednich rozważań wynika jasno, że nie. W dyspozycji finansjery czy rządów,

złoto w okresach wzrostu swej wartości niezmiennie dławic będzie gospodarke. Niema więc innego wyjścia poza pozbawieniem złota ostatniej pozostalej mu jeszcze funkcji — mierzenia wartości. W. Brytania była pierwszym krajem, który pojal te prawde i pokazał, po r. 1931, jak to przeprowadzić w praktyce.

II.

WLASNOSC

»Dwa prawa przyslugują ludziom w stosunku do dóbr materialnych. Jedno upoważnia do zarządzania i rozporządzania dobrami; na podstawie tego prawa godzi się, by poszczególni ludzie posiadali dobra na własność . . . Drugie natomiast prawo tyczy używania dóbr. Prawo to nie pozwala ludziom uważać dóbr materialnych za swoje, lecz za wspólne, to znaczy, że dobrami tymi powinni ich właściciele zarządzać w taki sposób, by z łatwością można było ich użyć na rzecz innych ludzi, będących w potrzebie.«

(S. Th. 2, 2 qu. LXVI, a. 2.)

Etyka posiadania. Przypomnijmy sobie poglądy św. Tomasza na prawo własności (patrz str. 194). Istnieje pewien zasób dóbr, stworzonych przez Boga do ogólnego użytku wszystkich ludzi. Prawo Natury nie daje nam wytycznych, jak te dobra dzielic. Właściwym źródłem przydziału dóbr na własność prywatna jest Prawo Pozytywne, ustanowione przez ludzi dla rozstrzygnięcia zagadnień, nie objętych ani Prawem Objawionym ani Prawem Natury. Przydział własności na rzecz poszczególnych ludzi powinien więc następować w myśl zasad, które umysł ludzki uzna za najbardziej odpowiednie.

Sw. Tomasz uważa własność indywidualna za instytucje godziwa i celowa, a to ze względu na właściwości wrodzone naturze ludzkiej. Właścicielowi przysluguje jednak tylko rola kapitana na okrecie powierzonym jego pieczy, a stanowiącym własność publiczna: ma on baczyć na

porządek na statku i na właściwy kurs, ma wydawac wszelkie niezbędne zarządzenia i ponosic pelna odpowiedzialność; za to, zgodnie z zasadami sprawiedliwości rozdzielczej, należy mu sie utrzymanie odpowiednie jego stanowisku. Wszystkie inne korzyści z używania statku przypadają ogółowi ludzi.

Własność daje właścicielowi stanowisko społeczne, a równocześnie nakłada na niego obowiazek pracy. Pod tym wzgledem właściciel nie różni sie od pracownika najemnego, urzednika czy robotnika. Im wieksza jego własność, tym wyższe jego stanowisko, tym bardziej społecznego charakteru nabierają jego obowiazki, tym silniej uwydatnia sie jego rola jako powiernika społeczeństwa. W ustroju kapitalistycznym właściciel dysponuje swa własnością samowolnie; w społeczności katolickiej powinien sie czuć sluga interesu publicznego.

»W myśl zasad sprawiedliwości rozdzielczej należy dac pewnej osobie o tyle wiecej przy podziale wspólnych dóbr, o ile ma ona wyższy stan w społeczeństwie« — uczy św. Tomasz (S. Th. 2, 2 qu. LXI a. 1 ad 2).

Z posiadaniem wiąże sie pewien stan, a co za tym idzie i pewien tytuł prawny do udziału w dochodzie społecznym. Jednakowoż chrześcijańskie pojecie stanu jest nieodlacznie związane z pojeciem pracy. Właściciel jest uprawniony do udziału w wytworach, wytwarzanych codziennie przez społeczeństwo, nie dlatego, że posiada jakaś własność, ale ponieważ wykonuje — wzgl. powinien wykonywac — prace wymagana od jego stanu.

* * *

Argumenty św. Tomasza na korzyść własności indywidualnej (patrz str. 195) oparte sa na niedoskonalości natury ludzkiej; niedoskonalość ta — trudno temu zaprzeczyc — nie uległa poprawie do naszych czasów, na skutek czego rozumowanie św. Tomasza zachowalo calkowita moc. W Kościele katolickim utrzymuje sie jednak również odwieczna tradycja wspólnego posiadania — powiedzmy szczerze komunizmu — we wszystkich tych wypadkach, w których uczucia miłości bliźniego żarzą sie szczególnie goraco, jak np. w zakonach oraz w pierwszych gminach chrześcijańskich. Jeśli wierzyc doświadczeniom Kościoła, własność wspólna, utrzymana w granicach wyjątku, wydaje sie

stanowic konieczne uzupełnienie ustroju, opartego w zasadzie na własności indywidualnej.

Jak już zaznaczyliśmy, ustrój taki nakłada na właściciela obowiazek nie zrywania związku ze swa własnością i zarządzania nią osobiście. Tam, gdzie dla jakichś przyczyn sam właściciel nie może dac sobie rady, powinien wejść w spółke (własność grupowa). Liczebność takiej grupy może byc mniejsza lub wieksza, poki jednak spółnicy czy udziałowcy biorą osobisty udział w zarządzie i ryzyku, charakter własności prywatnej jest zachowany. W miare jednak wzrostu liczebności takiej grupy, własność prywatna zbliża sie szybko do pewnej naturalnej granicy, po czym własność nabiera cech społecznych.

* * *

Przechodząc z kolei do rozpatrzenia, w jaki sposób własność powinna sie dzielic na poszczególnych ludzi, wychodzimy z dziedziny moralności i dostajemy sie w wir praktycznych zagadnień gospodarczych. Cześć swych dóbr otrzymała ludzkość w posagu: sa to ziemia oraz bogactwa organicznie z nią związane jako to fauna i flora, naturalne sily napędne (słońce, wiatr, sily wodne) oraz bogactwa podziemne. Dominującym czynnikiem jest tu ziemia, w dalszych naszych rozważaniach bedziemy wiec określali te grupe dóbr jako »ziemie«.

Druga grupe stanowią przedmioty, które powstały w głównej mierze dzieki pracy i przemyślności ludzkiej. Te dobra określamy potocznie mianem »kapitału«. Według pojec teologicznych »kapitał« jest tak samo darem Bożym jak i »ziemia«. Z gospodarczego punktu widzenia zachodzi jednak między nimi poważna różnica: »ziemie« człowiek otrzymał w darze bez współudziału swej pracy, »kapitał« wytworzył sam; choc pomagaly mu przy tym sily i bogactwa przyrodę, głównym czynnikiem przy wytworzeniu »Kapitału« była praca człowieka.

Przeważająca cześć kosztów produkcji składa sie z wynagrodzeń za prace czyto kierownicza, czy biurowa czy fizyczna. Oczywiście nie można sie obejść bez surowców i maszyn oraz trzeba oplacic kupców i przedstawicieli handlowych, ale i te koszty składają sie znów w lwiej części z wynagrodzeń za prace. W cenie nowoczesnego towaru wchodzi bardzo wiele części składowych, z których każda odpowiada ulamkowi

czyjejś pracy*). Nie odbiegniemy więc daleko od prawdy określając współczesny »kapitał« jako skondensowana ludzka praca.

Problem przydziału bogactw przybiera więc dwa oblicza: póki chodzi o »ziemię«, pierwotny jej przydział musiał z natury rzeczy być arbitralny. Gdy jednak mowa o »kapitale«, który powstaje bez ustanku w naszych oczach, mamy logiczne i niewatpliwie moralne kryterjum jego przydziału: jest to jakość i ilość włożonej w niego pracy.

Zreszta nawet przydział ziemi, który pierwotnie był arbitralny, nabiera uzasadnienia moralnego w miarę jak rolnik wkłada w jej uprawę coraz więcej własnej pracy. Św. Tomasz daje osobliwy przykład tego zjawiska, które możnaby określić jako moralną legalizację własności. — »Majatek kupiony za pieniądze nabyte drogą lichwy« — mówi św. Tomasz — »należy się nabywcy nie dlatego, że zapłacił za niego pieniądze lichwiarskie, bo to stanowi tytuł poboczny do jego własności, ale z powodu jego zapobiegliwości i wysiłku, związanych z nabyciem majątku, co stanowi jego tytuł główny do własności; nabywca takiego majątku ma więc większe prawo do majątku nabytego za pieniądze lichwiarskie, niż miał do samego tego pieniądza«**).

Praca zwiększa więc tytuł do własności. Dobra, w których brak współczynnika pracy, są z natury rzeczy wspólne. Przydział ich na własność poszczególnych ludzi jest pożyteczny ze względów praktycznych, lecz

*) Według pojęć ekonomii klasycznej na koszt produkcji składają się:

- (1) wynagrodzenie pracowników najemnych;
- (2) koszt surowca, koszty handlowe itp.;
- (3) wynagrodzenie kierownictwa;
- (4) zyski kapitału (odsetki, zysk monopolowy, renta itp.);

Punkty (1) i (3) stanowią wynagrodzenie za pracę. Koszt surowców, koszty handlowe itp. można również wyrazić w jednostkach zarobku (wage-units). Tak więc określenie, że »miara wartości powinna być w zasadzie tylko praca« stałoby się zupełnie ściśle w ustroju idealnym, w którym kapitał nie niósłby żadnych zysków, ani odsetek ani renty, a ryzyko przestałoby istnieć.

Wprowadzając jednostki zarobku do rozważań ekonomicznych, najnowsza ekonomia otworzyła drogę dla powiązania wartości z pracą, zbliżając się w ten sposób zarówno do doktryny katolickiej jak i marksistowskiej.

***) S. Th. 2, 2 qu. LXXVIII a. 3.

mniej lub więcej dowolny. Im więcej natomiast włoży człowiek własnej pracy, tym lepszy jego tytuł do własności.

Ten, kto ziemię orze, ma do niej więcej prawa niż ogół ludzi.

* * *

Jak powiedziano, łatwiej o regule dla podziału »kapitału« niż »ziemi«.

Skoro »Kapitał« wytwarza się bieżąco, należy go też dzielić bieżąco; następuje to poprzez płace i ceny.

Spoleczeństwo (jako całość) wytwarza codziennie pewną ilość dóbr. Dobra te dzieli się na dobra spożywcze — jako to mleko, chleb, pończochy, meble, samochody osobowe, dzienniki, przejazdy tramwajowe i autobusowe — oraz dobra kapitałowe takie jak bydło, narzędzia rolnicze, maszyny, samochody ciężarowe, budynki mieszkalne i przemysłowe.

Postępy techniki i organizacji pracy prowadzą, nawet przy skróconym czasie pracy, do stałego wzrostu wytwórczości dóbr, wśród tych dóbr zaś coraz większy odsetek ma charakter dóbr kapitałowych, przeznaczonych do stania się czyjąś trwałą własnością.

Płaca, zawierająca należną pracownikowi część dóbr kapitałowych, nosi miano płacy »oszczędnościowej« (po angielsku saving-wage). Pracownik powinien więc otrzymywać płace »oszczędnościowa, pozwalająca jednostce o przeciętnych zdolnościach nie tylko utrzymać rodzinę na stopie swego stanu, ale również nabyć własność trwałą. Ilość tej własności zależy od stanowiska i zdolności danej jednostki.

Wymóg, by każdy człowiek doszedł do posiadania dóbr kapitałowych bez względu na swe zdolności i właściwości przyrodzone, byłby utopijny, ponieważ w każdej społeczności istnieje pewien odsetek ludzi upośledzonych z natury, o zdolnościach znacznie niższych od przeciętnych. Przeciętna natomiast jednostka, o przeciętnie licznej rodzinie, powinna w społeczeństwie zorganizowanym prawidłowo dojść (stopniowo) do trwałej własności.

* * *

W ustroju opartym na upowszechnieniu własności większość ludzi pracuje na własnych gospodarstwach rolnych i własnych war-

sztatach przemysłowych. Nie otrzymują oni plac, lecz żyją ze sprzedaży swych wytworów; ich stopa życia zależy od poziomu pobieranych przez nich cen. Tak więc godziwa cena ma dla wytwórcy to samo znaczenie, jakie ma słuszną placą dla pracownika najemnego.

Kiedy cena będzie godziwa?

Na ten wiecznie aktualny temat istnieje obszerna literatura, dająca niezliczone definicje godziwej ceny. Jedną z ostatnich takich definicji sformułował A. R. Orage. Zdaniem jego »ceny należy uważać za godziwą, jeśli umożliwiają wytwórcom nabycie całości ich wytworów wzgl. równowartość tych wytworów — jeśli do wytwórców zaliczymy całe społeczeństwo.« Ta definicja jest jaknajbardziej nowoczesna, gdyż kładzie nacisk na potrzebę zrównania siły nabywczej ogółu ludności z ogólną wartością wyprodukowanych dóbr, w przeciwnym bowiem razie zapasy niesprzedanych towarów piętrowa się i powodują bezrobocie. Definicja ta ma jednak dwa braki: nie wskazuje, w jakim stosunku ma następować rozdział siły nabywczej między poszczególne jednostki (co zostawia znów otwartą możliwość spychania najsłabszych wytwórców poniżej godziwej stopy życia), a ponadto ma postać zbyt ogólnikową, że dostosowana do praktyki urzędów statystycznych, trybunałów i rozjemców. Szukając wygodniejszej formuły wróćmy do naszego określenia plac »oszczędnościowej«. Idąc po tej samej linii rozumowania określimy cenę jako godziwą, jeśli wytwórcy o przeciętnych zdolnościach umożliwią pokrycie materialnych kosztów wytwórczości (jako to budynków, surowców, narzędzi, siły napędnej, podatków itp.), pozwala mu utrzymać rodzinę na stopie swego stanu oraz płacić słuszną placę swym pracownikom.

Wykładnia tej definicji może budzić wątpliwości, ale tak to i bywa z wszystkimi definicjami. I bez nich jednak miliony ludzi wiedzą bardzo dokładnie, co mają na myśli mówiąc o »godziwej cenie«. Co więcej, postępy wiedzy statystycznej i ekonomicznej pozwalają obliczać tę cenę ze wzrastającą dokładnością, a w niektórych krajach stworzono już nawet urzędowy mechanizm dla oznaczania jej. Do sprawy tej wróćmy mówiąc o »słuszności«.

* * *

W praktyce życia codziennego rozróżniamy trzy poziomy plac: placę wystarczającą z trudem na utrzymanie (»minimalna«, »wegetacyjna«, po angielsku bare subsistence wage), placę »życiową« (living-wage) oraz placę »oszczędnościową« (saving-wage)*). Placę »życiową« różni się tym od placę »oszczędnościowej«, że nie zawiera składnika oszczędności, t. zn. pozwala na oszczędzanie tylko kosztem obniżenia stopy życiowej do poziomu wegetacji.

Placę »wegetacyjną« stanowi po dziś dzień jedyne źródło utrzymania większości ludności naszego globu; broniła jej t. zw. klasyczna szkoła ekonomii, której głównym rzecznikiem był Ricardo. Dopiero ekonomiści czasów najnowszych uczynili »odkrycie« (patrz Rozdział V, Odkrycie), że placę chroniącą przed ledwością od śmierci głodowej nie tylko nie powodują rozkwitu przemysłu, ale hamują wytwórczość na skutek niedostatecznego rozprowadzenia siły nabywczej między masę pracującą.

W ten sposób odwieczne wołanie Kościoła o słuszną placę otrzymało wreszcie błogosławieństwo nauki.

Obecnie ekonomiści dyskutują nad praktycznymi sposobami podniesienia plac do poziomu »życiowego« oraz nad celowością upowszechniania własności przy pomocy plac »oszczędnościowych«. Dwie szkoły myśli toczą tu z sobą wojnę: do jednej należą zwolennicy uwłaszczenia mas — do drugiej zwolennicy koncentracji. Pierwsi, opierając się na społecznej nauce katolickiej, domagają się dla każdego pracownika placę »oszczędnościowej«; do drugich należą zarówno kapitaliści, dążący do skupienia oszczędności w rękach niewielkiej liczby osób, jak i kolektywiści, zdaniem których oszczędzanie (t. j. kapitalizacja) powinno być zastrzeżone dla społeczności, a jednostka ma się zadowolic placę »życiową«.

Choc obie strony szafują obficie argumentami ekonomicznymi, to jednak rozstrzygnąć ten spór można jedynie wychodząc z założeń socjologicznych i psychologicznych. Katolicy opierają swój postulat szerokiego upowszechnienia własności na trzech głównych argumentach: na potrzebie własności rodzinnej; na psychologicznych wymogach osobowości ludzkiej; wreszcie na ścisłym związku między włas-

*) Kapitalne angielskie określenia living-wage i saving-wage nie mają jeszcze swych odpowiedników w mowie polskiej. Dla wygody ukulem tu wyrażenia »placę życiową« oraz »placę oszczędnościową«, nie uważam ich jednak za szczęśliwe.

nością a wolnością. Argumenty te omówimy w rozdziałach następnych. W tym miejscu ograniczymy się do uwagi, że upowszechnienie własności nie jest bynajmniej hasłem demagogicznym, jak to twierdza jego przeciwnicy. Uwłaszczenie mas pojęte w ten sposób, że pewnego dnia rozdaliśmybyśmy wszystkim wszystko po równych częściach, byłoby hasłem równie naiwnym jak nierealnym; nie ulega wątpliwości, że proces upowszechniania się własności powinien przebiegać stopniowo na dłuższej przestrzeni czasu. Bogactwo wzrasta w naszej epoce bardzo szybko, dobra istniejące dziś będą już tylko ulamkiem majątku, którym dysponować będą następne pokolenia. Mało która z istniejących dziś fabryk będzie przedstawiała jakąś wartość za lat dwadzieścia lub trzydzieści; większość domów ulegnie do tego czasu zburzeniu; powstanie miliony nowych domów i miliony nowych warsztatów. Uwłaszczenie mas powinno się więc dokonać z biegiem czasu — przez takie nastawienie społeczeństwa, by w ciągu najbliższych dziesiątków lat kapitał się nie koncentrował, lecz za pośrednictwem placu »oszczędnościowej« rozdzielał między ogół pracowników.

Ujęte w ten sposób hasło uwłaszczenia mas przestaje być utopją i staje się wykonalne. Ustroje oparte na szerokim upowszechnieniu własności indywidualnej nie są bynajmniej mrzonką i istniały już nieraz w ciągu dziejów. W epokach, które przeszły do historii z epitetami »złoty«, »wesoly« czy »szczęśliwy«, spotykamy je niezmiennie. Merry England (wesola Anglja) Wieków Średnich miała własność znacznie bardziej upowszechnioną niż strokana Brytania naszych czasów.

Przystępując do budowy ustroju, opartego na uwłaszczeniu mas, nawiązujemy do tradycji społeczeństw chrześcijańskich i mamy grunt przygotowany w naszej psychice i obyczajach.

Własność rodzinna. W ujęciu katolickim odbiega ekonomja tak daleko od utartego szlaku tej wiedzy, że różnica ta rozciąga się nawet na metodę liczenia ludności. Dla katolika podstawową komórką organizmu społecznego jest rodzina, ona to więc — a nie pojedynczy człowiek — stanowi jednostkę pracy, mieszkania, rozrywki i rządów. W społeczeństwie zorganizowanym na zasadach katolickich wszelkie statystyki po-

winny ulec przeliczeniu na jednostki rodzinne, wykazując co rodzina spożywa, co rodzina zarabia, ile głów rodzin jest bez pracy itp.

Własność, dochód, mieszkanie, warsztat — stanowią dla katolika zagadnienia rodzinne.

Rodzina stanowi kamień węgielny społeczeństwa, toteż nie powinna być związkiem czasowym, skazanym na rozproszenie skoro rodzice umrą, a dzieci wyrosną; przeciwnie powinna ona być czynnikiem ciągłym, liczącym swój wiek nie na lata, lecz na pokolenia. Najmocniej ugruntowana rodzina rozproszy się jednak bardzo szybko, jeśli nie znajdzie oparcia we własności, przekazywanej z ojca na syna.

Poczynając od Le Play'a i jego szkoły długi szereg myślicieli katolickich usiłował dać rodzinie takie wyposażenie gospodarcze, które pozwoliłoby jej stać się tym doskonałym elementem społecznym, tym rojem (»famille souche«), z którego w każdym pokoleniu wylatywałoby potomstwo zdrowe moralnie i fizycznie. W pierwszym rzędzie zmierzano do utrwalenia rodziny chłopskiej, wszczeto więc propagandę, która znalazła wyraz w ustawie francuskiej, wydanej w r. 1909, przyznającej chłopu prawo ogłaszania swego gospodarstwa dobrem niezbywalnym (bien familial, niejako ordynacja). Rzecz ciekawa, że podobny »Homestead Act« wydano w Ameryce w Stanie Texas już w r. 1839. Tak obwarowanego gospodarstwa nie wolno ani obciążyć hipotecznie ani sprzedać za długi jego właściciela. Po śmierci gospodarza przechodzi ono niepodzielnie z ojca na syna.

Ustawy te nie dały spodziewanych wyników, ponieważ były sprzeczne z całą filozofją ustroju liberalnego, w ramach którego chciano je stosować. Wyprzedziły one swój czas. Dziś natomiast wydaje się świat dojrzywać do tej koncepcji. Na swój sposób urzeczywistnił ją Hitler, wydając w r. 1933 swój »Reichserbhofgesetz« (ustawę o zagrodach dziedzicznych). Choc Hitler i jego ustrój zapadli się w nicość, jego »Erbhof« zasługuje na zachowanie. W Polsce na krótko przed ostatnią wojną wniesiono do Sejmu ustawę o »Zagrodach Dziedzicznych«, a w W. Brytanii podobnej reformy domagała się »Liga Dystrybutystyczna« Chestertona.

* * *

Charakterystyczna cecha każdego ustroju społecznego są jego warunki mieszkaniowe. Ustrój kapitalistyczny cechują kamienice czynszowe o suterenach mieszkalnych oraz osiedla fabryczne, stanowiące własność kopalń i fabryk; zamieszkałe tam rodziny płaca stała daninę na rzecz klasy kapitalistycznej.

Marksieści kochają się w wielkich blokach mieszkalnych, budowanych za pieniądze publiczne przez rządy lub magistraty. Próbkę takiej architektury można znaleźć w Sowietach, jak również w niektórych miastach Niemiec, w Wiedniu i Łodzi. Życie w takim kopcu termitów ma podobno wytwarzać osobliwego ducha zbiorowego, usposabiającego do pracy kolektywnej. W teorii wygląda to ponętnie; w praktyce życie w takim bloku rozkłada rodzinę i deprawuje młodzież.

Dażeniem katolików jest, by każda rodzina żyła we własnym domu*).

W Brytania bliższa jest takiego stanu rzeczy od krajów kontynentu, choć ma jeszcze na sumieniu sporo grzechów kapitalistycznego budownictwa czynszowego. Według statystyki z r. 1931, Anglja, Szkocja i Walja miały razem 44.8 milionów ludności, podzielonej na 11.9 milionów rodzin. Domów mieszkalnych było 10.3 milionów. Cyfry te dowodzą, że przynajmniej 80% ludności brytyjskiej żyło wówczas w domach jedno-rodzinnych**). Cyfry te nie mówią nam jednak, ile z tych domów stanowiło własność ich mieszkańców a ile należało do fabryk, kopalń czy wielkich przedsiębiorstw budowy mieszkań.

Niektóre spółdzielnie zajmują się masową budową domków jedno-rodzinnych. Może wynikają z tego pewne oszczędności, bliższy jednak idealu uwłaszczenia mas jest taki system budowy, przy którym sam właściciel wybiera sobie plan i nadzoruje jego wykonanie. Ścisła więź między człowiekiem a jego własnością nawiąże się jedynie wówczas, jeśli, poza wydaniem swych pieniędzy, człowiek tchnie w swą własność również trochę własnego ducha — kształtując ją niejako na podobieństwo własne. Z tego powodu drzewo zasadzone własnymi rekoma we własnym sadzie pozostanie zawsze zdrowsza forma włas-

*) Przemawia za tym szereg względów, między innymi osobny dom z własnym ogrodem wydaje się być koniecznym warunkiem wychowania licznej rodziny.

***) W statystyce tej zaliczono do domów oddzielnych również i domy zbudowane szeregowo, ale zaopatrzone w osobne wejścia i ogródki, tworząc zamknięte w sobie jednostki mieszkalne.

ności niż masowo wytwarzany samochód. Podobnie dom, masowo produkowany i kupiony na raty od akcyjnego towarzystwa budowlanego, nie stanie się nigdy tak bliskim sercu ogniskiem rodzinnym jak dom zbudowany wedle własnego planu, nieraz przy użyciu własnych rąk.

Obserwatorzy zagraniczni stwierdzają zgodnie, że swą siłę duchową zawdzięcza naród brytyjski w dużej mierze temu, iż zachował instytucje home — ogniska rodzinnego. Kominek, dokoła którego rodzina zbiera się każdego wieczora, jak za czasów najdawniejszych, stanowi najglebsze oparcie życia społecznego.

Schorzenia własności. Schorzenia własności można podzielić na dwie klasy, które trafnie zaproponowano (Robertson-Keynes) ochrzcić mianem »pogoni za zyskiem« (profiteering) oraz »bierności« (lack-ing).

Do klasy »pogoń za zyskiem« należą: odsetki, niesłuszna płaca i niegodziwa cena (z pod-klasą »monopol«).

Do klasy »bierność« należą: beczynność właściciela, tezauryzacja (której pod-klasą stanowi »jalowe oszczędzanie« — abortive saving) oraz brak miłosierdzia.

O »pogoni za zyskiem« pomówimy obszernie w Rozdziale III, o »braku miłosierdzia« w Rozdziale V. Obecnie rozważymy »beczynność właściciela« oraz »tezauryzację«.

* * *

Tezauryzacja w jej postaci klasycznej polegała na gromadzeniu złota lub też, w czasach krytycznych, towarów. Postępowanie takie uchodziło we wszystkich wiekach za samolubne i anty-społeczne, za pewnego rodzaju dezercję od obowiązków, związanych z posiadaniem. Opinia publiczna walczyła z tym objawem, potępiając i ośmieszając sknerstwo. »Dusigrosz« żył zawsze w atmosferze niechęci.

Z chwila przyjęcia się zwyczaju składania pieniędzy do banków, dusigrosze znaleźli doskonałą pokrywkę dla swego nalogu. Jakiż bowiem zarzut może spotkać posiadacza solidnego rachunku bankowego? Sposób, w jaki banki postępują z wkładami, stanowił zawsze zagadkę dla szerokiej publiczności. Jako że same banki mają interes w przycia-

ganiu jaknajwiększej ilości wkładów, pomogły do utrwalenia się legendy o szacowności wkładu bankowego. A tym czasem większość wkładów — to przecież rachunki bieżące, w których, obok płynnej gotówki rzeczywiście potrzebnej na bieżące wydatki, kryje się nieznaną bliżej ilość beczynnego pieniądza.

Na nieszczęście dla dusigroszów, w ostatnich dwudziestu latach mrowie ekonomistów wzięło się do zbadania dżungli nowoczesnych problemów pieniężnych i uczyniło zdumiewające odkrycia. Wśród innych rzeczy wykryto, że oszczędności zwiększają istniejący zasób bogactw tylko w wypadku, gdy się je natychmiast inwestuje. Beczynny wkład bankowy raduje serce swego właściciela, nie zwiększa jednak zasobów społeczeństwa, ponieważ o taką samą kwotę uszczuplony zostaje majątek innych ludzi. Jeśli ktoś zarobił tysiąc funtów i nie wydał ich na spożycie ani nie zainwestował, ale złożył w banku na rachunek bieżący, zmniejszył poprostu o taką kwotę rezerwy innych osób, nie zwiększając bynajmniej ogólnego zasobu bogactw, przeciwnie uszczuplając kapitał czynny gospodarczo i powodując deflację i bezrobocie. Brzmi to dziwnie, a jednak udowodnione zostało bezapelacyjnie*). Na przyszłość musimy więc rozróżnić dwa rodzaje oszczędności: oszczędność beczynna (jalowa) i oszczędność produkcyjna (zainwestowana). Skutki ich są odwrotne: jedna stanowi grzech, druga cnotę**).

Jest to odkrycie wielkiej wagi dla ekonomistów i meżów stanu, choć nie stanowi ono nic nowego dla moralistów katolickich, w oczach których jalowe bogactwo stanowiło zawsze obrazę. W biblijnej przypowieści o slugach, którzy otrzymali talenty, sluga gnuśny, dzierżący pieniądz beczynnie, wyrzucony został w ciemności zewnętrzne, gdzie czekał go płacz i zgrzytanie zębów. W pojęciu Chrześcijanina posiadanie kojarzy się z obowiązkiem, bardzo ciężkim i odpowiedzialnym, takiego zarządzania swą własnością, by przyjąć z pomocą możliwie dużej ilości bliźnich. Właściciel, który uchyla się od tego obowiązku

*) Nie wchodzić w szczegóły naukowego tłumaczenia tego zjawiska, wystarczy stwierdzić, że wynika ono ze szczególnych właściwości obiegu pieniężnego opartego na banknotach i kredytach otwartych (książkowych). Oszczędności beczynne powodują poprostu ulatnianie się z obiegu pieniądza »tworzonego« przez banki.

***) Beczynne oszczędności stanowią jeden z czynników wywołujących bezrobocie. Patrz Rozdział »Ekonomia stałego bezrobocia«.

zostawiając swe pole ugiem, swój warsztat w zamknięciu, swe pieniądze w schowku, zasługuje na los slugi o beczynnym talencie.

Na przyszłość sposób lokowania oszczędności wymagać więc będzie pilnego baczenia. Nieraz może się to okazać trudne, jako że dusigrosz jest mistrzem w strojeniu się w maskę ostrożnego i dalekowzrocznego człowieka interesu. Ostrożność, szczególnie w czasach przesilenia gospodarczego, istotnie nakazuje gromadzenie zasobów i wzbrania inwestycji. Gdzie pociągnąć granice między duszeniem gotówki a uzasadnionym odkładaniem rezerw? Istnieją pewne szczególnie trudne do rozpoznania postaci tezauryzacji jak np. nadmierna płynność systemu bankowego, zbyt pospieszne zmniejszanie zatrudnienia i zamykanie fabryk w czasie kryzysu, »sterylizacja« złota, nadmierne odpisy na amortyzację i rezerwy itp. Zbyt ostrożne odpisy uważa się w Stanach Zjednoczonych za jedną z głównych przyczyn wielkiego kryzysu lat 1929/33. Trzymanie w rezerwie wielkich kapitałów w oczekiwaniu na wypadki, które mogą nigdy nie nastąpić, paraliżuje wytwórczość i wywołuje bezrobocie. Ostrożność jest cnota, póki praktykuje ją szary pracownik, ale uprawiana przez generalnego dyrektora powoduje często bezpośredni wzrost bezrobocia. Zalety, za które chwali się szeregowca, niekoniecznie bywają wskazane u generała. Niejedna armia poniosła klęskę przez nadmierną ostrożność i kunktatorstwo.

Jak zwalczać tezauryzację? W krajach o gospodarce prymitywnej przeważa tezauryzacja banknotów po domach; dla zapobieżenia jej obmyślono parę chytrych sposobów. Jeden z bardziej znanych polega na nalepianiu na każdy banknot znaczka stemplowego raz na miesiąc wzgl. raz na rok (Stamped Money). Jest to niejako grzywna nałożona na dusigroszy, celem zmuszenia ich do trzymania swych pieniędzy w obiegu. Warjant tego projektu polega na tym, że banknoty w regularnych odstępach czasu traca po ułamku swej wartości.

Obie te metody mają swoje zalety, nie trudno jednak obejść je uciekając się do innych sposobów tezauryzacji, jak np. do gromadzenia drogich kamieni zamiast banknotów. Atoli problem ten wydaje się łatwy w porównaniu z zadaniem zapobiegania tezauryzacji wyższego rzędu, kryjącej się pod pokrywką beczynnych wkładów bankowych czy nadmiernych rezerw. Brak nam tu miejsca na omówienie tego tematu; jest on wielce zawily, toteż wydaje się prawdopodobne, że nie-

poprawny dusigrosz wynajdzie sobie zawsze jakiś wybieg. I ten problem da się skutecznie rozwiązać tylko przez wzrost etyki posiadania.

Zaden przymus prawny nie zastąpi wewnętrznego głosu obowiązku, nawołującego właściciela, by swym majątkiem służył czynnie bliżniemu.

III.

ZYSK

»... żądza zysku, która nie zna granicy, lecz rośnie w nieskończoność.«

(S. Th. 2, 2 qu. LXXVII a. 4.)

Dwa oblicza wartości. Kościół uczy, że w każdej transakcji handlowej i w każdej umowie o pracę tkwi pewien problem moralny, który wymaga doraźnego rozwiązania. Sumienie każdego człowieka — pracodawcy, robotnika, kupca czy urzędnika — powinno reagować na każdą obrazę moralności gospodarczej.

Jakże dalecy jesteśmy tu od liberalnego pojęcia ekonomii regulującej się samoczynnie, w której dążność do wywłaszczenia bliźniego awansowała do godności głównego bodźca działalności gospodarczej.

* * *

Przyglądnijmy się bliżej tej koncepcji liberalnej.

Według podręczników ekonomii klasycznej wartość wymienna zależy od rzadkości i użyteczności. Np. powietrze ma najwyższą użyteczność, ale każdy człowiek ma go bezpłatnie tyle, ile dusza zapagnie; dla ekonomisty powietrze jest więc bez wartości, gdyż nie jest dość rzadkie.

Naodwrot istnieją dobra bardzo rzadkie, ale o małej wartości lub zupełnie bezwartościowe, gdyż nie dadzą się racjonalnie użyć. Bardzo rzadkie są np. pieczary w skalach, tym niemniej brak chętnych do płacenia czynszów za pieczary od czasu, gdy się człowiek nauczył budować mieszkania bardziej komfortowe.

Rzeczy bezwartościowe mogą nabrać wartości z chwila, gdy stana się bardziej rzadkie. Np. woda w rzece niema wartości, póki jej starcza

na potrzeby całej ludności nadbrzeżnej. Nadchodzi jednak posucha. Rzeka wysycha. Początkowo ludzie czerpia jeszcze wodę ze studzien; nadal niema ona wartości. Posucha przeciaga się; właściciele studzien zaczynają pobierać po groszu za wiadro wody. Ludzie nie mogą się obyć bez wody, chcą nie chcą płacić więc za nią, ograniczają jednak swe potrzeby, przestają szorować podłogi i prać bieliznę. Posucha utrzymuje się nadal. Cena wody wzrasta do dwu groszy za wiadro. Ludzie przestają się myć. W końcu, przy dalszym wzroście ceny, ubożsi ludzie zaczynają nawet oszczędzać wodę do picia i gotowania. Za ostatnią szklanke wody na pustyni milioner gotów jest oddać cały swój majątek, jako że użyteczność tej wody jest prosto nieskończona.

Z reguły sprzedający ceni sobie użyteczność niższą niż kupujący. Dzięki temu prawidłowa transakcja handlowa daje zadowolenie obu stronom. Różnica między subiektywną oceną towaru przez nabywcę i sprzedawcę wytwarza pewien potencjał energii, pobudzający ludzi do popytu i podaży.

Staralem się streścić pokrótce klasyczną teorię wartości. Jej koncepcja jest oczywiście jednostronna. Liberalny ekonomista widzi tylko stosunek spożywcę i kupca do towaru i wyprowadza wartość z mechanicznej równowagi między pragnieniem sprzedaży i pragnieniem kupna.

Stosownie do nauki katolickiej miara wartości powinna być w zasadzie tylko praca*). Katolicy nie przecza, że człowiek stopniuje swe pożądanie w stosunku do użyteczności i rzadkości dóbr. Prosto każde dobro ma dwie wartości: zewnętrzną, proporcjonalną do pragnienia kupna ze strony nabywcy i niechęci do sprzedaży ze strony sprzedawcy, oraz wewnętrzną, odpowiadającą pracy zużytej na wytworzenie danego dobra. Pierwsza nosi miano wartości wymiennej, druga można nazwać wartością wytwórczą (labour-value).

W godziwym ustroju obie te wartości mają stałą dążność do pokrycia się; czasem rozchodzą się one więcej, czasem mniej, ale powinny wykazywać jaknajmniejsze wzajemne odchylenia.

Liberalni ekonomiści wyobrażali sobie to wyrównanie wartości wewnętrznej i zewnętrznej towaru w sposób następujący: skoro pożądanie nabywcy, a więc i cena towaru, spadnie poniżej wynagrodzenia za

*) Patrz uwaga na dole str. 224.

prace wytwórcy, wówczas część wytwórców przerzuci się na inny rodzaj produkcji, podaź danego towaru spadnie, skutkiem tego cena jego wzrośnie i obie wartości znów się pokryją. Analogicznie jeśli pożądanie wzrośnie powyżej kosztu produkcji, na rynku pojawia się nowi producenci i podaź danego towaru będzie rosła, póki cena jego nie spadnie i obie wartości ponownie się nie wyrównają. Zdaniem liberalistów ta słynna huśtawka popytu i podaży ma właśnie za zadanie uzgadniać potrzeby człowieka z jego pracą. Ma ona zapobiegać, by ludzie nie kierowali swych wysiłków na rzeczy zbędne z pominięciem potrzeb istotnych; ma również zapobiegać, by producenci nie czerpali nadmiernych zysków kosztem pracy cudzej.

Tyle teoria liberalna. Rozumowanie jej byłoby bez zarzutu, gdyby jej przesłanki doświadczalne nie były błędne. Teoretycy liberalni nie dostrzegli bowiem tej istotnej okoliczności, że swoboda współzawodnictwa, z którą gra popytu i podaży wiąże się nieodłącznie, zanika automatycznie, o ile nie chronią jej potężne siły moralne. W ustroju liberalnym kapitalista rozumuje następująco: skoro cena, a tym samym i zysk, zależą od użyteczności i rzadkości danego towaru, można zwiększyć zyski potęgując oba te czynniki. Rzadkość wywołac łatwo: można się zmówić, »zorganizować« rynek, ustalić kontyngenty i ograniczyć produkcję. Sztuczna rzadkość pewnego dobra spowoduje wzrost jego ceny.

Na oko biorąc użyteczność, ten drugi czynnik wpływający na kształtowanie się cen, sfalszować trudniej, jako że każdy człowiek wie chyba dokładnie, w jakim stopniu jakiś towar jest mu użyteczny. Człowiek daje się jednak nakłonić do zmiany zdania, toteż kapitalizm wpadł na wspaniałą pomysł sztucznego potęgowania użyteczności przy pomocy reklamy. Nowoczesny system reklamy (mam tu oczywiście na myśli tylko wypadki zwodniczej reklamy) polega na nakłanianiu ludzi do kupowania rzeczy, których w rzeczywistości nie potrzebują. To działanie oparte jest w pewnej mierze na oszustwie (świadomym podawaniu zalet, których reklamowany towar nie posiada) oraz na budzeniu niższych instynktów człowieka (działanie podobne do demagogii). Potęga środków, używanych do reklamy, potęguje jej skutki. Dopiero w chwili przesilenia gospodarczego spożywca wraca nagle do przytomności

i uprzytamnia sobie zbedność towarów, do nabycia których nakloniła go sprytna reklama.

Im głośniejsza reklama, tym oczywiście wieksza rozpiętość między wartością wytwórczą a ceną rynkową.

Dla człowieka, uznającego związek między moralnością a ekonomją, nie może ulegać wątpliwości, że tego rodzaju reklama zakłóca mechanizm wytwórczości i wymiany.

Spoleczeństwo kapitalistyczne wymyśliło osobliwą instytucję, zwaną giełdą, z której uczyniło przybytek spekulacji. Jej głównym zadaniem wydaje się być zapobieganie, by wartość wymienna towarów nie pokrywała się z wartością wytwórczą. Giełda utrzymuje w ruchu huśtawkę cen, co pozwala jej podniecać i wykorzystywać żądze łatwego zysku, tkwiąc w naturze większości ludzi.

Klasyczny argument o pożytecznej, a niezbędnej roli spekulacji, której zadaniem ma być wyrównywanie cen w czasie i przestrzeni, brzmi zupełnie fałszywie dla katolickiego ucha. Z jednaka słusznością można powiedzieć, że cudzołóstwo jest pożyteczne, bo pomaga ludziom do zrównoważenia zmysłów, a zemsta jest wskazana, gdyż pozwala rozładować kompleksy naszej nieświadomości.

Monopol przemysłowy. Zanim posuniemy się dalej w naszych rozważaniach, przeanalizujemy wzajemny stosunek wartości wytwórczej i wymiennej na przykładzie monopolu.

Jak wspomnieliśmy w Rozdziale I, św. Tomasz radzi nie pożyczać pieniędzy na procent, ale lokować je w wytwórczości w formie udziałów.

W porządku — powie czytelnik. — Ta rada mi się podoba, jest zresztą zgodna z doświadczeniem. Gdyby się ludzie do niej stosowali, poprawiliby znacznie ustrój społeczny. W Brytanii stosuje się w pewnej mierze do tej zasady, toteż powodzi się jej lepiej niż wielu innym krajom. Ale system spółkowy daleki jest również od doskonałości. W dywidendach przedsiębiorstw przemysłowych mieści się sporo dochodu bez pracy. Marks miał rację mówiąc o »nadwartości«. Ostatecznie może być społeczeństwu obojętne, czy wyzysk odbywa się w formie uproszczonej, pod postacią procentów, czy też w formie bardziej zamaskowanej, pod postacią zysków z wytwórczości. Tak czy owak, skutek jest podobny: kto inny pracuje, a kto inny zagarnia. —

Nie brak słuszności w takim postawieniu sprawy. Powstaje więc z kolei pytanie: jeśli właściciel pewnego kapitału nie wypożycza go na procent, lecz lokuje bezpośrednio w produkcji (t. zn. uruchamia własne przedsiębiorstwo lub przystępuje do istniejącego już przedsiębiorstwa w charakterze spółnika lub udziałowca), to jakich warunków powinien przestrzegać, by zasadam słuszności stało się zadość?

Rozpatrzmy ten problem na żywym przykładzie, wziętym z codziennego życia gospodarczego. Przypuśćmy, że dwóch kapitalistów ma żywą gotówkę. Jeden ma £ 100,000 i drugi ma £ 100,000 i obaj zastanawiają się, w jaki sposób ulokować swoje pieniądze. Po dłuższym namyśle jeden z nich kupuje fabrykę drożdży, istniejącą już oddawna i będącą w pełnym ruchu. Drugi kapitalista jest człowiekiem bardziej przedsiębiorczym i woli iść mniej utartym szlakiem, za swe pieniądze zakłada więc fabrykę aparatów telewizyjnych.

Obaj kapitaliści angażują księgowych, którzy z końcem roku sporządza im bilanse. Powiedzmy, że oba przedsiębiorstwa dały w ciągu roku po £ 20,000 czystego zysku. Jak ocenić, czy ten zysk przekracza, czy też nie przekracza godziwej miary?

Obaj kapitaliści mieli dużo pracy i kłopotu z prowadzeniem swych przedsiębiorstw i wzięli na siebie pewne ryzyko, bo przecież zdarza się nieraz, że przemysłowiec bankrutuje i traci swój kapitał. Zamiast narażać się na te tarapaty mogli być złożyć swoje pieniądze do banku i pobierać spokojnie odsetki. Powiedzmy, że bank płaciłby im dwa od sta; każdy z nich otrzymałby przeto z końcem roku £ 2,000. Dopiero to, co zarobili powyżej tych dwu tysięcy, stanowi ich właściwy zysk z wytwórczości. W naszym wypadku zysk ten wyniósł więc £ 18,000.

Obaj kapitaliści niewatpliwie pracowali, organizując i prowadząc swoje wytwórnie. Coś im się za te prace należy, jakieś wynagrodzenie. I to należy im się wynagrodzenie stosowne do ich stanu, czyli dość wysokie, bo są poważnymi przemysłowcami, a więc ludźmi na odpowiedzialnych stanowiskach społecznych. Nasz problem sprowadza się więc do pytania: czy £ 18,000 nie stanowi zbyt wysokiego wynagrodzenia za wysiłek i ryzyko naszych przedsiębiorców?

Spróbujmy podejść do tej sprawy na zdrowy ludzki rozum. Przypuszczalnie jakieś £ 3,000 rocznie stanowiłoby odpowiednie wynagro-

dzenie za prace każdego z tych przemysłowców. Jest to mniej więcej tyle, ile pobiera w W. Brytanii socjalistyczny Podsekretarz Stanu, a trzy razy więcej, niż pobierają księgowi naszych kapitalistów. Proporcja wydaje się słuszną. Ten i ów z moich czytelników będzie może zdania, że wystarczyłoby naszym znajomym po £ 2,000 wzgl. że nie mogą żyć na stopie poważnego przemysłowca poniżej £ 4,000. Możliwe, ale nie jest to istotne. Ja osobiście przyznałbym fabrykantom drożdży £ 2,000 a fabrykantowi aparatów telewizyjnych £ 4,000, jako że jeden przyszedł do gotowego, a drugi organizował, głowił się i ryzykował. Tak czy owak zostanie około £ 15,000, których »godziwość« wydaje nam się jeszcze wątpliwa.

Rozstrzygającym momentem będzie tu rodzaj wytwórczości. Ten z naszych przemysłowców, który kupił fabrykę drożdży, niewątpliwie wybrał linię najmniejszego oporu, gdyż jest to rodzaj wytwórczości od dawien dawna uprawiany, bez ryzyka i niewymagający wybitniejszych zdolności organizacyjnych. Toteż zarobił on niewątpliwie o £ 15,000 za dużo.

Drugi natomiast kapitalista puścił się na wyrób aparatów telewizyjnych, a więc na rodzaj produkcji będący jeszcze w powijakach i skutkiem tego ryzykowny. Temu przemysłowcowi nie żałowałbym jego £ 15,000, gdyż może się łatwo zdarzyć, że za rok czy dwa ktoś inny wynajdzie nową metodę telewizji i zmusi naszego przemysłowca do całkowitego przeorganizowania jego fabryki, narażając go na poważne straty. Powinien on więc zebrać pewne rezerwy, by się zabezpieczyć na wypadek nieprzewidzianych wypadków i utraty kapitału.

Dochodzimy więc do wniosku, że w rozpatrywanym wypadku fabrykant aparatów telewizyjnych zarobił w sam raz, a fabrykant drożdży zarobił o £ 15,000 za dużo. Czym się tłumaczy ta dysproporcja?

Tłumaczenie jest bardzo proste. Fabrykant drożdży zgarnął tak wysokie zyski, ponieważ wszedł w zmwę z innymi wytwórcami drożdży, zawiązali kartel, uzyskali poparcie rządu*) i od szeregu lat uniemożliwiają powstawanie nowych wytwórni drożdży. Zmonopolizowawszy rynek wyśrubowali cenę drożdży i ciągną zyski monopolowe o podobnym charakterze jak dochody państw z monopolów tytoniowych

*) Fakt autentyczny, który zaszedł w jednym z krajów Europy.

lub spirytusowych. Zarobek fabrykanta drożdży stanowi więc swoisty podatek, wyciśnięty z najszerzych mas ludności.

*
*
*

Resumując: W społeczeństwie kapitalistycznym w dochód z każdego przedsiębiorstwa wchodzi składniki następujące:

- (a) odsetki od zainwestowanego kapitału;
 - (b) wynagrodzenie za prace przedsiębiorcy i ryzyko kapitału;
 - (c) zysk o charakterze monopolowym, o ile przedsiębiorstwo potrafiło uwolnić się od współzawodnictwa.
- (a) Odsetki od zainwestowanego kapitału. W rozpatrywanym poprzednio przykładzie uznaliśmy odsetki od wyłożonego kapitału za zwyczajny składnik wszelkich zysków z wytwórczości. Nie znaczy to, by ten składnik był godziwy, ale pojedynczy kapitalista nie odpowiada przecież za wadliwą organizację społeczeństwa i z natury rzeczy inwestować będzie swój kapitał w wytwórczość jedynie w wypadku, jeśli wytwórczość ta przyniesie mu więcej, niżby mógł bez kłopotu dostać z banku w postaci odsetek. Zwalczając manje kredytu i pożyczania i starając się o jaknajniższy poziom odsetek w całym życiu gospodarczym, będziemy tym samym obniżali również dochód bez pracy z kapitałów zajętych wytwórczo, gdyż przemysłowiec, któremu bank ofiaruje niższe odsetki od wkładów, zadowolony jest stosunkowo mniejszym dochodem ze swego przedsiębiorstwa. Przy stopie procentowej zbliżającej się do zera zaniknie ta część zysków z zainwestowanego kapitału (oraz z renty z ziemi i czynszów z domów), która odpowiada obecnie oprocentowaniu kapitału.
- (b) Wynagrodzenie za prace i ryzyko. Składnik godziwy i konieczny, lecz tym trudniejszy do ustalenia, im więcej dany dział wytwórczości ma charakter pionierski, im więcej tkwi w nim geniuszu indywidualnego i ryzyka, a mniej rutyny. Dla przykładu porównajmy rodzaj wysiłku i ryzyka, związany w roku 1900 z założeniem nowej kopalni węgla (dział już kompletnie zrutynizowany, oparty na długoletnim doświadczeniu) oraz wytwórni samochodów (dział pionierski).
- (c) Zysk monopolowy. W kraju, w którym dzięki odpowiednim instytucjom i nastawieniu zarówno rządu, jak i społeczeństwa, stopa procentowa spadłaby do minimum, dochód z kapitału zatrudnionego w

przemysle powinienby pokryc tylko prace i ryzyko. Taki dochód bylby w calosci godziwy. W rzeczywistosci dochód przemyslowca bywa czesto wiekszy i to o skladnik, który nazwalismy monopolowym.

Co to jest monopol? Jest to polozenie uprzywilejowane, wynikajace z braku wspolzawodnictwa. W zyciu powstaja bez przerwy monopole samorzutne: jeśli np. w jakimś mieście w miesiacu lipcu jest jedna tylko kawiarnia z lodami, ma ona monopol i robi świetne interesy. Ale już w sierpniu powstana trzy nowe kawiarnie, które dadza swym klientom lody lepsze, a przy tym tańsze. Monopol sie skonczy.

Wyobraźmy sobie jednak, że właściciel pierwszej kawiarni jest szwagrem ministra (historja ta dzieje sie na Bliskim Wschodzie). Minister zakaże otwarcia dalszych kawiarni. Monopol stanie sie trwały.

Jest to najczestsza postac monopolu — monopol oparty na wladzy.

Istnieja jeszcze inne postacie monopolu. Wyobraźmy sobie okreg czysto wiejski. Zjawia sie przemyslowiec i buduje fabryke, zatrudniajaca pare tysiecy robotników. Placi dobrze, wiec ten i ów z pracujacych u niego malorolnych pospodarzy likwiduje z biegiem czasu swoje gospodarstwo i buduje sobie domek w poblizu fabryki. Synowie gospodarzy, którzy zazwyczaj ida pracowac na kolej lub wedruja do miasta, obecnie pozostaja w rodzinnej wsi i pracuja w fabryce. Kolo fabryki powstaja sklepy, osiedlaja sie krawcy i fryzjerzy. Dokola fabryki wyrasta miasteczko. Powoli cala bliższa okolica nastawia sie na fabryke, każdy czlowiek w taki czy inny sposób wiąże z nia swe losy.

Przemyslowiec placi poczatkowo place godziwe. Robotnik wyczuwa doskonale, czy dostaje mu sie cześć należna z zysków produkcji. Poczatkowo dostaje swój udzial, wiec garnie sie do pracy.

Pewnego pieknego dnia przemyslowiec-kapitalista stwierdza, że dostatecznie uzaleznil już od siebie caly szmat kraju i postanawia to wyzyskac. Obcina robotnikom place. Następuje strajk. Ale po paru tygodniach robotnicy widza, że okolicy grozi katastrofa, a im samym skrajna niedza. Panuje wprawdzie »demokracja« i nikt nie może ich zmusic do pracy w tej właśnie fabryce. W teorji moga isc pracowac gdzieindziej. Ale fabryka w poblizu jest tylko jedna, nie maja wiec wyboru. Przed tym cala okolica żyła jakoś bez tej fabryki, teraz już nie może.

Przemyslowiec odnosi zwyciestwo i na przyszłość ciagnie dodatkowe zyski z uzyskanej de facto monopolizacji rynku pracy.

Lecz to kapitalistycznemu przemyslowcowi jeszcze nie wystarcza. Wiemy, że żadza zysku »terminum nescit, sed ad infinitum tendit«. Zmawia sie z innymi producentami, wyrabiajacymi ten sam towar. Zgodnie śrubuja w górę ceny, tworza trusty i kartele, uniemożliwiają powstawanie nowych wytwórni. Manewry swe kryja w mrokach holdingów i super-holdingow. Przeszkadza im jeszcze konkurencja zagraniczna. Na szczęście kuzyn jednego z nich pracuje w ministerium handlu, a kilku krewnych zasiada w parlamencie (podkreślam raz jeszcze, że wszystkie moje przyklady zaczerpniete sa z Bliskiego Wschodu). Następuje podwyżka odpowiedniej stawki taryfy celnej i o tyleż podnosi sie cena towaru.

Monopolizacja rynku zbytu staje sie faktem dokonany. Stosowana na szersza skale przez różne dzialy przemyslu, prowadzi ona do dalszego uszczuplenia sily nabywczej warstw pracujacych, bo robotnik placi coraz to drożej za potrzebne mu towary, podczas gdy placa jego pozostaje bez zmiany.

* * *

Lichwa i monopol stanowią dwie odmiany tej samej choroby.

Lichwa — to nacisk kapitalu bezczynnego, sily ukrytej, potencjalnej. Odsetki rzadko przekraczaja dziesiec od sta, gdyż bezczynnemu kapitalowi trudno wymusic wiecej. Zyski monopolowe wyciskane sa natomiast przez kapital w pelnym rozmachu, sile kinetyczna, preżna i zdobywca. Sto, dwieście, nawet trzysta procent zysku nie należą tu do rzadkości.

Zyski monopolowe dodane do odsetek nietylko pozbawiaja każdego pracujacego czlowieka tej cześci jego zarobku, z której po opedzeniu niezbędnych wydatków mógłby uprzyjemnic sobie życie, lecz ponadto budza w nim poczucie nieustannego buntu, zwiazane z pogwałceniem wszczepionych mu przez Chrześcijaństwo zasad sprawiedliwosci. Jest to uczucie czysto idealistyczne, totez nie ludźmy sie, by dalo sie je zażegnac samym tylko zwiekszaniem dobrobytu warstw pracujacych.

Chlop średniowieczny, chodzacy w lapciach i świecacy luczywem, mógł sie czuc zadowolony o ile widzial, że dostaje swój godziwy udzial

w ówczesnym szczupłym zapasie wytwarzanych dóbr. Nowoczesny robotnik, jeźdźca samochodem i korzystający z własnego domu, radia i łazienki, pozostanie rozgoryczony i zbuntowany, póki ustrój społeczny nie zapewni mu należnego za jego prace udziału w dochodzie społecznym.

* * *

Monopole prywatne powstają:

- (a) przez opanowanie władzy politycznej lub przez silne wpływy w sferach rządzących;
- (b) przez zмовę wytwórców;
- (c) samorzutnie.

Rozpatrzmy te trzy wypadki.

(a) Monopol oparty o władzę. Prawda to odwieczna, że rządzonym powodzi się dobrze. Zwykła rzecz kolejna politycy (oczywiście tylko ci, którzy się dorwa do władzy) nie przymierają głodem, a ich krewni i przyjaciele, grupy czy nawet całe warstwy społeczne, które ich popierają, zajmują stanowisko uprzywilejowane i ciągną w takiej czy innej postaci korzyści materialne. Dłonie polityka, gestykującego na mównicy, zdają się przyciągać jakieś niewidoczne strumienie złota.

Zwężenie równowagi gospodarczej na korzyść jednej grupy czy warstwy społecznej wywołuje objawy jednostronnego wyzysku, ubożące całe społeczeństwo. Przez długie wieki opierały się trony na warstwie ziemiańskiej, mającej naturalną dążność do paczenia gospodarstwa narodowego na korzyść wielkiej wytwórczości rolnej, a na niekorzyść innych form wytwórczości. Podobne szkody wywołuje w naszych czasach przewaga polityczna ciężkiego przemysłu.

Rzecz prosta, rządząca warstwa ma zawsze na swe usługi ekonomistów, którzy głoszą teorie gospodarcze mające udowodnić, jakoby uprzywilejowanie tej właśnie a nie innej formy wytwórczości stanowiło klucz do pomyślności.

Organizm gospodarczy rozwija się pomyślnie jedynie wtedy, gdy wszystkie działy wytwórczości mają te same widoki rozwoju. Uprzywilejowanie któregoś z tych działów przez władze państwowa prowadzi do zwężenia równowagi i przynosi całej gospodarce straty niestosunkowo większe, niż korzyści osiągnięte przez dział uprzywilejowany.

Zwalczanie monopolu, opartych o władzę, jest sprawą natury politycznej, a nie gospodarczej. Prywatne monopole są potężne i zaciekle bronią swych przywilejów.

Trudne bywa niekiedy ich rozpoznanie, tak się potrafią umiejętnie maskować. Walczą do upadłego, wypuszczając na przemian zasłony dymne i gazy bojowe.

(b) Monopol oparty na zмовie. Wytwórcy zмовiają się albo przeciw konsumentom albo przeciw pracownikom, zazwyczaj równocześnie przeciw jednym i drugim.

Różnica między oszustwem, wymuszeniem czy kradzieżą — a zubożeniem bliźniego drogą zмовy — sprowadza się tylko do różnicy w metodzie. W pierwszym wypadku zabieram komuś jednorazowo poważniejszą czastkę lub całość jego mienia, w drugim wypadku czynię to na codzień, w drobnych dawkach, korzystając z przymusowego położenia mego bliźniego, który nie może się obyć bez gumy, niklu czy benzyny.

Różnicy w metodzie oszustwa należy przeciwstawić różnice w trybie sadzenia: inne paragrafy w kodeksie karnym powinny się odnosić do jednego wzgl. drugiego wypadku.

W społeczeństwie, które zachowuje jeszcze jakieś resztki moralności chrześcijańskiej, zмова wytwórców musi się łączyć z pozyskaniem wpływów u władzy, bo to dopiero zapewnia bezkarność. Atoli fakt, że oba rodzaje monopolów wiążą się często z sobą, nie powinien nam przesłaniać teoretycznego stwierdzenia, że są to objawy różne: mogą występować wspólnie, mogą odrebnie. Monopol, oparty na wpływach politycznych, należy zwalczać metodami politycznymi; zмова należy zwalczać zwykłym wymiarem sprawiedliwości. Do tego zmierzają anty-trustowe ustawodawstwo amerykańskie (Akt Sherman'a z r. 1890); niestety zainteresowanym udało się obejść je przy pomocy spółek holdingowych*).

*) Spółka »holdingowa« nazywamy spółkę, założoną w celu posiadania akcji innych spółek. »Super-holding« — to spółka holdingowa wyższego rzędu, dzierżąca akcje zwykłych spółek holdingowych. Posługując się holdingiem i super-holdingiem można nie tylko ukryć prawdziwych właścicieli, ale można ponadto, przy pomocy stosunkowo małego kapitału, narzucić swą dyspozycję poważnemu odcinkowi przemysłu.

Obok zмовы wytwórców występuje również czasami zмова pracowników, której celem jest wymuszenie plac wyższych od »godziwych«. Zмовы tej dopuszczają się przeważnie pracownicy instytucyj użyteczności publicznej jakoto wodociągów, gazowni, elektrowni, kolei, drukarń gazetowych itp. Rozumie się samo przez się, że to co powiedziano wyżej o zмовie wytwórców, między sobą lub z rzadem, odnosi się również i do zмовы pracowników. Podobnie jak poziom cen, powinien poziom plac i zarobków być szarmonizowany, oczywiście przy uwzględnieniu różnic w zdolnościach, przygotowaniu fachowym i wysiłku. Uprzywilejowanie pewnej grupy pracowników na niekorzyść innych wykracza przeciw zasadom słuszności i paczy prawidłowe działanie organizmu gospodarczego.

(c) Monopol samorzutny. Wspomnieliśmy przed chwila, że monopole samorzutne powstają raz po raz i że większość z nich zanika w krótkim czasie pod wpływem współzawodnictwa. Niektóre ostają się, są to jednak wypadki stosunkowo rzadkie. Genjalny malarz ma pewnego rodzaju monopol na czas swej sławy; póki jej trwania może on dyktować swoje ceny. Nie jest to jednak monopol szkodliwy dla społeczeństwa, gdyż obrazy nie stanowią artykułu pierwszej potrzeby. Gorzej bywa, gdy monopolizacji ulegnie jakiś artykuł niezbędny do życia. Tylko nieliczne kraje posiadają sole potasowe, nieodzowne dla dzisiejszego rolnictwa; niektóre rudy trafiają się tylko w jednym miejscu na kuli ziemskiej. Monopoliczne opanowanie surowców kolonialnych przez pewne kraje przyczyniło się wielce do zakłócenia stosunków między narodami. Jaskrawym przykładem monopolu kolonialnego jest monopol produkcji radu w rekach pewnej spółki belgijskiej, w której wyłącznym posiadaniu znajdują się radonośne złoża w Kongu. Wygórowana cena radu stanowi uderzający przykład nowoczesnego kapitalizmu. Kola dobrze poinformowane opowiadają sobie na ucho o fantastycznych zyskach tej spółki, a równocześnie meczą się na całym świecie ludzie, których nie stac na leczenie się radem.

Tajemnice produkcji, strzeżone pilnie z pokolenia na pokolenie, należą do tej samej kategorii monopolu.

Monopole samorzutne zanikają albo na skutek współzawodnictwa, albo na skutek wynalezienia środków zastępczych. Istnieje jednak pewne

dobro, odgrywające niezmiernie ważną rolę w życiu człowieka, które ze względu na swą niezmienną ilość stanowi monopol nieusuwalny. Dobrem tym jest ziemia.

Monopol ziemi. Chcąc się wyżywić, musi społeczeństwo wyprodukować co roku pewną ilość ziemiopłodów. W miarę wzrostu zaludnienia zwiększa się zapotrzebowanie na żywność, należy więc brać pod uprawę coraz to nowe obszary. Zdarza się również, że w kraju gęsto zaludnionym oplaci się lepiej zwiększyć wydajność roli już uprawnej (przez udoskonalenie metod uprawy) niż brać pod plug rolę, uchodząc dotychczas za nieużytki. Tak czy owak, cena produktów rolnych zależy od wysiłku, potrzebnego do wyprodukowania ziemiopłodów na glebach najlichszych i najgorzej położonych. Właściciele tych upośledzonych ziem nie czerpią z nich żadnego dochodu bez pracy, gdyż wartość zboża, zebranego na tych ziemiach, pokrywa zaledwie koszt jego produkcji. Dochód bez pracy pojawia się dopiero na glebach lepszych, na których, przy tym samym wysiłku, zbiera się znacznie większe plony. Zysk wzrasta, im ziemia żyźniejsza i położona bliżej miasta.

Ten rodzaj zysku ochrzczili ekonomiści mianem renty gruntowej.

W społeczeństwie kapitalistycznym renta gruntowa przybiera postać czynszu dzierżawnego. O ile swą ziemię wydzierżawiłem, t. zn. żadnej pracy sam w nią nie wkładam, a ponadto obciążyłem dzierżawcę obowiązkiem placenia podatków, to suma, która otrzymuje, stanowi czystą rentę z mojego gruntu.

Istnieje jeszcze inny rodzaj zysku z ziemi, nie związany z właściwościami uprawnymi gleby. Wyobraźmy sobie, że ktoś posiada niewielką parcelę, położoną przy skrzyżowaniu gościńców bardzo uczęszczanych. Jako grunt uprawny parcela ta przedstawia małą wartość, gdyż należy się liczyć z tym, że posiane na niej zboże ulegnie stratowaniu i rozkradzeniu. Jednakże właściciel tej parceli ceni ją sobie wysoko i wynajmuje za drogie pieniądze prawo ustawienia na tej parceli tablicy reklamowej, stacji benzynowej i kiosku z papierosami. Spotykamy tu nowy rodzaj zysku z ziemi, o typowym charakterze monopolu, gdyż właściciele tysięcy innych parcel nie mogą współzawodniczyć z jednym wybranym losu.

Rozpatrzmy inny przykład. Pewne miasto wchodzi w fazę szybkiego rozwoju. Przewidujący kapitalista siada w samochód i objeżdża wieś, położone w promieniu kilku kilometrów od tego miasta. Upatruje jakieś grunta i wykupuje je. Nasz kapitalista zrzeka się na kilka lat wszelkich odsetek od pieniędzy, które włożył w te grunta, dokłada nawet do nich, gdyż musi co roku płacić podatki. Ale czeka cierpliwie, bowiem czas pracuje na jego korzyść. Miasto rozrasta się i podchodzi coraz bliżej pod jego parcele. Po kilku latach kapitalista sprzedaje swój grunt szereg razy drożej, niż go zapłacił. Spekulacja udała mu się, zarabiał przez kilka lat po sto procent rocznie od swego kapitału.

Ten rodzaj zysku ma również charakter monopolowy, gdyż dochodzi do skutku dzięki ograniczonej możliwości współzawodnictwa.

Resumując: W dalszych naszych rozważaniach będziemy nazywali »renta z ziemi« wszelkie rodzaje dochodów bez pracy, płynących z posiadania gruntu.

* * *

Przed chwilą doszliśmy do wniosku, że istnieją dwa zasadnicze powody, dla których ziemia daje dochód bez pracy: pierwszym jest ograniczony i niezmienny obszar ziemi; drugim monopoliczne położenie pewnych parcel. Ta druga przyczyna wpływa na wzrost cen ziemi nie tylko w pobliżu miast, ale i parcel budowlanych w samych miastach.

(1) Niezmienna ilość ziemi stanowi monopol trwały; można założyć dowolne ilości fabryk samochodów czy salonów piekarni, ale nikt nie zwiększy obszaru ziemi, którym dany kraj rozporządza. W niektórych okresach dziejów konkurencja obszarów kolonialnych, lub prowadzone na szeroka skalę karczunki lasów czy osuszanie jezior, potrafiły na pewien czas odebrać ziemi jej charakter dobra monopolowego. W chwilach, gdy zaludnienie kraju zmniejsza się lub gdy dzięki pewnym wynalazkom wydajność gleby szybko wzrasta, ziemia traci również swój charakter monopolu. W takich wypadkach monopol posiadaczy gruntu przestaje być dla nich źródłem zysku i renta z ziemi uprawnej w dużej mierze zanika (jak to obserwujemy również i w naszych czasach — w szczególności we Francji i w W. Brytanii). Z kolei następują jednak okresy, kiedy przy szybkim wzroście ludności, a powolnym wzroście produkcji rolnej, monopol posiadania ziemi wyraża się we wzroście renty.

Zysk monopolowy z ziemi odczuwa się tym dotkliwiej, że plynie z produktów spożywczych, jedynych, bez których człowiek naprawdę obyc się nie może.

Szczególny, niepomnażalny charakter ziemi stał się powodem, dla którego myśl przejęcia ziemi w zbiorowe władanie całego społeczeństwa zrodziła się w głowach różnych doktrynerów znacznie wcześniej, niż pomysł kolektywizacji kapitału.

Ekonomiści zwykli dzielić dobra na »ziemie« i »kapitał« (patrz str. 223). Wśród argumentów, przemawiających na korzyść takiego podziału, jednym z najważniejszych jest właśnie ten, że wszelkie inne dobra może ludzkość rozmnażać własną pracą, a jedynie ziemia stanowi pod tym względem wyjątek. Stąd wniosek niektórych myślicieli, że kapitał należy pozostawić we władaniu jednostek (jako że kapitał narasta stale, możemy więc wpływać skutecznie na jego bieżący rozdział), natomiast władanie ziemi należy zastrzec dla społeczeństwa.

Gospodarcza myśl chrześcijańska tepi w zarodku wszelką możliwość dochodu bez pracy, odnosi się więc wrogo i do renty gruntowej. Ale myśl uspołecznienia ziemi odrzuca jeszcze bardziej stanowczo. Argumenty św. Tomasza za własnością indywidualną przemawiają ze zdwojona siłą za indywidualnym posiadaniem ziemi, a to ze względu na szczególnie szlachetny charakter stosunku człowieka do własnego gruntu. W wypadku ziemi własność prywatna jest wskazana już nie tylko ze względu na gospodarczych, ale indywidualne posiadanie ziemi daje również doniosłe skutki natury moralnej, społecznej i politycznej (patrz Rozdział »Uwłaszczenie mas«).

Myśl chrześcijańska odrzuca przeto możliwość zbiorowego władania ziemi, lecz nie wyrzeka się bynajmniej walki ze złymi skutkami renty gruntowej, tylko wysuwa rozwiązanie odmienne. Skoro ziemia stanowi monopol, to jedyne skuteczne lekarstwo na ten rodzaj monopolu leży w możliwie daleko posuniętym podziale ziemi, rozkładającym zyski monopolowe — skoro uniknąć ich się nie da — na jaknajwiększą ilość ludzi.

(2) Zysk monopolowy, związany z położeniem gruntu, wyraża się w wysokiej rencie z ziemi w pobliżu lub w obrębie miast, blisko gościńców, dworców kolejowych itp. Grunta te, o ile są zabudowane, nie dają wogóle żadnego plonu, jeśli zaś pozostają nawet w upra-

wie, to dają ten sam plon co grunta mniej uprzywilejowane przez położenie, których wartość jest kilkakrotnie niższa.

Zyski monopolowe, związane z położeniem ziemi, ilustruje najlepiej przykład Londynu. Posiadaczami dużej części gruntów, na których stoi Londyn, jest kilku lordów. Na ich ziemi, w największym mieście świata, skupiła się piąta część ludności Anglii i płaci kolosalne sumy tytułem czynszów dzierżawnych. Jest to osobliwy podatek, pobierany przez kilku prywatnych ludzi od milionów współobywateli. Gdyby jednak ci sami lordowie władali tym samym obszarem ziemi, ale położonym o sto mil dalej na Zachód, mieliby z tytułu swej własności tylko bardzo mizerny dochód, gdyż grunta orne przestały już dawno nieść w Anglii jakąś poważniejszą rentę.

Grunt, na którym stała Warszawa, nie należał do paru lordów, ale stanowił własność kilku tysięcy kamieniczników, którzy ciągneli czynsze z miliona nie posiadających własnych domów Warszawiaków. Taki stan rzeczy lepszy był może od londyńskiego, ale daleki jeszcze od idealu.

Jakież jest lekarstwo na ten rodzaj monopolu? W dużej mierze zaradzi mu dezurbanizacja, związana z rozrzuconiem przemysłu po całym obszarze kraju. Pomówimy o tym w jednym z następnych rozdziałów. Im mniej ośrodków miejskich, tym mniej drogich parcel i wysokich czynszów, tym więc mniej dochodów bez pracy. Dezurbanizacja leczy to zło skutecznie, nie potrafi go jednak wykorzenić bez reszty. Ośrodki miejskie istniały zawsze i beda istniały nadal; na skutek swego korzystnego położenia, swej żyzności czy też malowniczości, pewne miejscowości zachowują nadal położenie uprzywilejowane, ludzie beda się w nich tłoczyli i podnosili wartość ich gruntu. I w tym wypadku, podobnie jak w rozważanym poprzednio wypadku zysku monopolowego, związanego z ograniczonym obszarem ziemi uprawnej, rzeczywiste lekarstwo leży w szerokim upowszechnieniu własności.

Z chwila gdy każda rodzina zwiąże się bezpośrednio z ziemią, czyto przez gospodarstwo rolne czy przez posiadanie własnego domu na własnym gruncie, monopolowy zysk z ziemi rozłoży się na wszystkich członków społeczeństwa. Tak więc, choć droga określona, osiągnie się ten sam cel, do którego dążyła upaństwowienie ziemi. Istota zagadnienia sprowadza się bowiem do rozdziału renty z ziemi między

wszystkich członków społeczeństwa, miast wyłącznego korzystania z niej przez nieliczną grupę posiadaczy majątków ziemskich i kamienic. Cel ten można osiągnąć na dwa sposoby: albo przez państwowy monopol ziemi, albo przez uwłaszczenie w ziemi najszerzej mas ludności. Katolicy wypowiadają się stanowczo za uwłaszczeniem mas.

Stopniowanie cen. Zysk monopolowy powstaje wówczas, gdy przedsiębiorca, korzystając z braku współzawodnictwa, pobiera ceny wyższe od godziwych a płaci płace niższe od słuszych. W klasycznej formie zachodzi tu pogwałcenie prawa »sprawiedliwej równowartości«, opartego na zasadach »sprawiedliwości wymiennej«. Sw. Tomasz powiada, że »umiarkowana zwyczajka lub zniżka ceny nie stoi w sprzeczności z zasadami godziwej wymiany«^{*)}. Są to słowa, na które zgodzi się bez trudu każdy ekonomista. Ta »umiarkowana różnica« stanowi istotę każdej zdrowej transakcji gospodarczej i główną spreżytność życia gospodarczego. Prawa przyrody (a prawom tym podlega również i działalność gospodarcza ludzi) nie uznają nagłych przeskoków. Wszystko w naturze narasta i przekształca się stopniowo. Belka, która obciąża się powoli, wytrzymuje ciężar, na który jest obliczona. Jeśli ten sam ciężar obciąży ją zbyt raptownie, belka trzaśnie. W wielu krajach temperatura waha się w ciągu roku między mrozem a upałem. Rzecz to nieszkodliwa, póki wahania przebiegają stopniowo, ale zbyt nagła zmiana ciepłoty powoduje grad lub oberwanie chmury. Krew w organizmie nie skacze, lecz kraży. Krażenie dóbr w życiu gospodarczym nie powinno również przebiegać skokami. W czasie przemiany z surowca w fabrykat, po drodze od wytwórcy do spożywcy, przebiega towar przez szereg rak. Jeśli w każdym etapie swej wędrowki drożeje tylko o nieznaczny ułamek, innymi słowy jeśli drożeje tylko o współczynnik istotnej, pożytecznej pracy wytwórcy i usługi pośrednika, krażenie dóbr przebiega bez wstrząsów i organizm gospodarczy cieszy się dobrym zdrowiem. Dopiero gdy zarobek przy każdej transakcji przestaje być umiarkowany, a staje się nadmierny, gdy pojawiają się chmary pośredników-spekulantów, gdy przemysłowcy zmagają się, by zarobić na swym kapitale i sto i dwieście procent, życie gospodarcze nabiera cech rabunkowych i, co najciekawsze,

*) S. Th. 2, 2 qu. LXXVII a. 1 ad. 1.

rychło zamiera. Okazuje się, że umiarkowanie w stopniowaniu cen stanowi konieczny warunek ogólnego dobrobytu.

Zysk czy usługa? W paru zdaniach klasycznie prostych św. Tomasz daje na to pytanie odpowiedź, wykluczająca wszelki kompromis*). Szaremu człowiekowi o ograniczonych widnokregach stawia on w handlu cel skromny — zarobic na utrzymanie rodziny. Jednostkom wybitniejszym każde służyć dobru społecznemu. Nie uznaje wielkiego handlu obliczonego na zysk indywidualny. Uspołecznienie wielkiego handlu — czyli zrobienie z niego usługi publicznej**) — leży wyraźnie na linii jego rozumowania.

Te poglądy św. Tomasza pokrywają się z poglądami przeciętnego obywatela każdego z krajów chrześcijańskich. Chłop, rzemieślnik, drobny kupiec, robotnik czy urzędnik, lekarz czy pracownik naukowy pracują na utrzymanie siebie i swej rodziny, a nie dla »zysku«. Jeśli wydadzą mniej niż zarobią, odkładają oszczędności. Słowo »zysk« nie figuruje w ich słowniku. Naturalne pragnienie poprawy stopy życia niema również nic wspólnego z dążeniem do »zysku«.

W życiu codziennym pojęcie »zysku« pokrywa się z pojęciem dochodu bez pracy. Jest to ideal gospodarki opanowanej przez pasożytów. Całe szczęście, że z natury ideal ten przyświeca nieznacznej tylko części ludzi. Dopiero podniesiony przez liberalizm do wyżyn mistycznych, rozreklamowany i »naukowo« uznany za główną sprężynę działalności gospodarczej człowieka, stał się zysk narkotykiem, zatrującym umysły większości ludzi.

Słusznosc. Liberalne idee spaczyły nowoczesnego człowieka. Toczyłem kiedyś spór z pewnym księdzem, wysoce uczonym rektorem jednego z uniwersytetów katolickich. Utrzymywał on kategorycznie, że zwykle

*) Patrz str. 193.

**) Najnowsza ekonomia rozróżnia trzy zasadnicze działy gospodarki: wytwórczość przemysłowa, wytwórczość surowcowa (do której zalicza się rolnictwo i górnictwo) oraz usługi (wśród nich komunikacje, handel, urzędy, wojsko, zawody wyzwolone, duszpasterstwo, sztuki piękne, radjo, hotelarstwo itp.).

czynności gospodarcze w sklepie lub fabryce nie mają nic wspólnego z moralnością.

Nie udało nam się uzgodnić naszych poglądów. Trudno mi pojąć, w jaki sposób transakcja między dwoma ludźmi — stosunek jednego człowieka do drugiego — mógłby się znaleźć poza zasięgiem nauki Chrystusa. »Pozbawienie robotnika umówionej zapłaty« liczy się do grzechów o pomście do nieba wołających, najcięższych w rozumieniu Kościoła. A czyż sama wysokość tej zapłaty nie miałaby mieć żadnego związku z moralnością?

Kiedy usłyszymy w sklepie z ust sprzedawcy uderzająco niską cenę, uczciwość nakazuje nam dopytać się, czy nie popełnił on omyłki. Sprzedając towar osobie słabo obeznanej z tabliczką mnożenia, nie wykorzystamy jej bezradności dla pobrania nadmiernej kwoty. Czyżby więc było nam wolno policzyć sobie nadmierny zysk na jakimś towarze jedynie dlatego, że nasz klient nie wie, ile ten towar nas kosztował — czy też może dlatego, że przy pomocy oszukańczych ogłoszeń udało nam się wprowadzić klienta w błąd co do jakości naszego towaru?

Nic nie zastąpi wewnętrznego głosu słuszności, tykającego w każdym sumieniu naksztalt zegara, bijącego samoczynnie na alarm przy każdej niesprawiedliwości. U wielu ludzi zegar ten stanął; należy go nakreślić przy pomocy chrześcijańskiego wychowania.

Nasze czynności gospodarcze powinny ponownie znaleźć drogę do konfesjonalu. Do rachunku sumienia włączmy pytania: »Czy nie placisz zbyt mało twym pracownikom?« »Czy nie sprzedajesz zbyt drogo swego towaru?« Po uczuleniu sumień na sprawy gospodarcze miliony jednostek staną się strażnikami słuszności w sklepie i warsztacie.

Ludzi moralnie krótkowzrocznych powinni podtrzymywać ludzie o szczególnie jasnym poczuciu słuszności, w charakterze sędziów i rozjemców.

Jest rzeczą naturalną, że w miarę uwiadu liberalizmu instytucja rozjemstwa (arbitrażu), tak popularna w dawnych wiekach, zyskuje sobie ponownie wzięcie, wyrażające się między innymi w rosnącej skłonności do arbitrażu cen i płac. Nowoczesna wiedza stawia rozjemców na solidnym gruncie, zaopatrując ich we wskaźniki cen i kosztów utrzymania. Rozjemcom powinny służyć specjalne instytucje naukowe, posługujące się najnowszymi zdobyczami wiedzy statystycznej.

W sadownictwie wskazana jest zasadnicza reforma: oto wyroki sadowe w sprawach lichwy i monopolu należałoby oprzec na poczuciu slusznosci sedziego, a nie jak obecnie na skodyfikowanych przepisach prawa. Ten rodzaj wymiaru sprawiedliwosci dotrwal do naszych czasow jedynie w spoleczestwach anglosaskich (equity); nalezy go wprowadzic ponownie do kazdego kraju, w ktorzym poziom sedziow jest dostatecznie wysoki, a tradycja chrzescijanska jeszcze nie zamarla. W takich krajach kazdy przyzwoity sedzia bedzie napewno zdolny rozstrzygnac, opierajac sie na zdrowym rozsadku, czy jakaś transakcja odpowiada wymogom slusznosci. Poczucie »sprawiedliwej rownowartosci«, odziedziczone po wielu pokoleniach przodkow chrzescijanskich, tkwi jeszcze gleboko w wielu umyslach.

W Sredniowieczu czeste byly próby ustalenia stawek godziwego zysku. W niektórych kodeksach dochowal sie odwieczny przepis prawny o poszkodowaniu »powyzej polowy wartosci«. Jest to pozostalosc z czasow, w ktorzych próbowano oznaczyc praktyczna granice miedzy godziwym zarobkiem a niegodziwym zyskiem. Poslugujac sie zdobyczami najnowszej wiedzy powinniśmy rozwiaczac to zagadnienie trafniej od naszych praocjow.

Głównym wrogiem slusznosci jest wlasnosc skoncentrowana. Rozjemcy i sedziowie sa rownie bezsilni wobec naciskow plutokracji i biurokracji.

IV.

KONCENTRACJA

»Oto cel, do ktorego nalezy dazyc:
wyzwolenie proletariatu.«
(Enc. »Quadragesimo Anno«)

Szczescie szarego czlowieka. Ostatnie stopiecdziesiat lat uplynelo pod znakiem niebywalego rozwoju techniki. Materjalne warunki zycia ulegly w tym czasie zasadniczym przemianom. Czlowiek pierwotny zuzywal 2,000 kalorji dziennie; czlowiek, poslugujacy sie zwierzetami jucznymi, rozporzadzal 4,000 kalorji, podczas gdy dzis kazdy mieszkaniac Stanow Zjedn. zuzywa 154,000 kalorji na dzien*), co rowna sie mniej wiecej dwu koniom mechanicznym, pracujacym przez osiem godzin na dobe na korzyc przecietnego Amerykanina.

Ujety w cyfry statystyczne postep ten wydaje sie olśniewajacy. Rzeczywistosc wyglada mniej różowo. W dawnych czasach przecietny czlowiek mial na swe uslugi jednego conajmniej zywego konia, podczas gdy najpotężniejszy możnowladca dysponowal najwyzej paroma tysiacami koni. Dzis przecietny czlowiek ograniczony jest do posiadania wlasnych rak, podczas gdy magnat przemyslowy wlada milionami koni parowych, benzynowych i elektrycznych. Nic wiec dziwnego, że rozdzial dochodu narodowego dokonuje sie w sposob coraz to bardziej jednostronny i że coraz to wieksza czesc ludnosci pozbawiona jest stalych srodkow utrzymania. W latach 1930—40 liczba bezrobotnych nie spadla w Stanach Zjedn. ani razu ponizej 5—6 milionow; w pewnych okresach dochodzila do dwunastu milionow. Ci ludzie nie korzystali napewno z przyslugujacych im — statystycznie — 16 KM-godzin dziennie. Nawet z pośród zatrudnionych niewielu osiagalo te cyfre.

*) Cyfry cytowane przez Howard Scott'a w jego »Wstepie do technokracji«.

Trudno zaprzeczyć, że ostatnie postępy techniki przyniosły więcej korzyści właścicielom fabryk niż robotnikom. Na poparcie tego twierdzenia niech posłużą cyfry, zaczerpnięte od prof. T. S. Douglasa'a. W pierwszej ćwierci dwudziestego wieku wzrosły płace w Stanach Zjedn. o 30%, a produkcja na głowę robotnika o 54%. Prosty rachunek oparty na tych cyfrach pozwoli stwierdzić, że zyski przemysłowców wzrosły w tym czasie o sześć dolarów na każde sto dolarów sprzedanego towaru. A już i przed tą zwyczajną zyski mieli przecież niemałe.

Co zrobili przemysłowcy z tymi zyskami?

Każdy człowiek, którego dochody wzrastają, staje wobec pytania: czy wydać przyrost swego dochodu na potrzeby bieżące, czy go odłożyć? Otóż magnat przemysłowy tym się różni od szarego pracownika, że ma mniejsze nateżenie właściwości, zwanej przez ekonomistów dążnością do spożycia (*propensity to consume*). Nedzarrz wyda cały swój dodatkowy dochód na potrzeby doraźne. Bedzie miał pełną dążność do spożycia. Człowiek przeciętny, nie żyjący wprawdzie w niedzy, ale o dochodach skromnych, odłoży mała tylko część swego dodatkowego zarobku. Jego dążność do spożycia, choć nie pełna, bedzie jeszcze duża. Przemysłowiec natomiast odłoży całą prawie kwotę, o którą zwiększyły się jego zyski, i bedzie szukał inwestycji o charakterze trwałym, wystawi nową fabrykę lub zakupi nieruchomości. W rezultacie nieliczne grono przemysłowców bedzie w posiadaniu coraz większej ilości fabryk i nieruchomości. Ich udział w majątku narodowym bedzie wzrastał z roku na rok. Własność bedzie się skupiała w coraz to mniejszej ilości rąk.

Wniosek: Przy obecnym ustroju gospodarczym postęp techniczny prowadzi do koncentracji własności. Masy spożywają wprawdzie coraz więcej, ale wyczuwane są stopniowo z posiadania.

Skoncentrowany przemysł dąży do monopolu, a monopol lekce sobie waży potrzeby i upodobania szarego człowieka. Generalni dyrektorzy rozstrzygają, co ten człowiek ma kochać i czym się ma cieszyć; wychodząc z jakiejś poronionej nieraz koncepcji, planują cały bieg jego życia. Gdy się zdarzy, że ten człowiek okaże inne dążenia i pragnienia, niż przewidziano dlań w wyrokach wielkiego kapitału, ogłuszy się go przy pomocy reklamy i propagandy, wytraci z normalnego biegu myśli i wzmówi mu urojone potrzeby. Gdyby mu zostawiono swobodę rozporządzenia swym zarobkiem, zechciałby może ująć ster własnego życia,

wzbudziłby w sobie jakieś osobiste zainteresowania czy jakieś szczególne zdolności, spróbowałby może założyć jakieś własne przedsiębiorstwo lub osiąść na roli, studjować lub robić wynalazki? A może zapragnąłby wypocząć, kiedy poczuje się wyczerpany? A może zechciałby uczynić coś niecodziennego, odbyć podróż dokoła świata, dać swemu dziecku wykształcenie inne od dostarczanego mu przez urzędy? Może zamiast przesuwać się w stanie pół-odretwienia przez szablonowe życie wolałby przeżyć jakiś żywot własny, pełen wzruszeń, obaw i nadziei?

Skoncentrowana gospodarka nie daje szaremu człowiekowi innego wyboru poza znormalizowaną przyjemnością czynienia tego samego co czynią wszyscy inni, maszerowania przez życie w dobrze wyrównanym szeregu. Taka perspektywa jest sprzeczna z naturą człowieka, wyposażoną w indywidualne uzdolnienia i właściwości; stara to prawda, że człowiek może zaznać pełni szczęścia jedynie wówczas, gdy ma przed sobą bogaty wybór różnorodnych możliwości.

Shczęście szarego człowieka skazane jest na uwiad w ustroju arystokratycznym, rządzonym przez wysoko wykwalifikowane siły techniczne; w ustroju takim zwykły człowiek staje się poprostu zbędnym. Zbędny człowiek — cóż to za straszne słowo. Cywilizacja przemysłowa wyrzuca poza nawias szczęścia coraz to nowe zastępy ludzi zbędnych. Zbliżamy się szybko do punktu, w którym tylko nieliczna grupa ludzi najwyższej uzdolnionych bedzie miała prace ciekawe, podczas gdy reszta, w takt chronometru, wykonywać bedzie ruchy naukowo zmechanizowane.

Wielkie cywilizacje odznaczały się zawsze tym, że dawały możliwość twórczego wyżycia się nie tylko artystom, ale i rzemieślnikom. Nasza epoka zapomniała, jak niezmiernie dużo indywidualnego zadowolenia wyzwała się, kiedy skromne zdolności znajdują pole do popisu. W ustroju skoncentrowanym, w którym do głosu dochodzą tylko specjaliści, a szary człowiek musi ślepo słuchać rozkazów, buntuje się on, choć często nie zdaje sobie nawet sprawy z przyczyn swego niezadowolenia.

Najskromniejsza jednostka ma swoje przyrodzone pole działania, na którym jej skromne zdolności mogą dokonać pracy twórczej. Przykuwając ją do produkcji taśmowej przekreślamy jej możliwości wyżycia się w pracy, znalezienia w niej zadowolenia i nadziei.

Wzrost koncentracji. Jak wspomniano w rozdziale poprzednim, klasyczny spór, czy kapitał upowszechniac czy koncentrować, toczy się nadal z niezminiejszą gwałtownością.

Dwie szkoły myśli zmagają się tu z sobą: jedna, reprezentowana w pierwszym rzędzie przez katolików, domaga się możliwie szerokiego upowszechnienia własności. Druga, złożona ze zwolenników kapitalizmu (zarówno prywatnego jak państwowego), zmierza do koncentracji majątku narodowego pod nielicznym gronem dysponentów. Zawołaniem bojowym szkoły pierwszej jest płaca »oszczędnościowa« (saving-wage); druga wypowiada się za płacą »życiową« (living-wage), w praktyce lubi jednak nakłaniać masy do »przymusowego oszczędzania«, które osiąga spychając poziom płac poniżej znośnej stopy życia.

Obie szkoły wytaczają argumenty poważne i obie mają swoje »ale«. Zwolennicy koncentracji nie potrafili zmóc gospodarstwa chłopskiego, które wykazuje żywotność nie do pokonania; stronnicy upowszechnienia własności potykają się o przemysł najcięższy, nie nadający się, ze względów czysto technicznych, do dekoncentracji. Obie szkoły mogą się poszczycić osiągnięciami w latach ostatnich: zwolennicy uwłaszczenia mas wzrostem własności chłopskiej w wielu krajach Europy oraz pierwszymi jaskółkami dekoncentracji w przemyśle metalowo-przetwórczym; wyznawcy koncentracji powołują się na osiągnięcia Rosji Sowieckiej i na wyraźną dążność do koncentracji w handlu i przemyśle. Per saldo strona rosnąca w siłę jest stanowczo koncentracja, która korzysta z pomocy wynalazców, z konjunktury wojennej oraz z monopolicznych skłonności schyłkowego kapitalizmu.

W czasie wojny koncentracja ułatwia mobilizację przemysłu; toteż wojna przyspieszyła w W. Brytanii procesy koncentracyjne. Małe warsztaty i sklepy legły pokotem, zmiecione przez ustawodawstwo wojenne. Sprzeciwy ich właścicieli minęły bez echa, gdyż patrzyły na to chętnym okiem obie (poza tym śmiertelnie z sobą skłócone) siły koncentrujące, mianowicie wielki kapitał oraz kółka marksistowskie, których wpływy rosły ostatnio wśród robotników brytyjskich. Obie te siły posunęły koncentrację w wielu wypadkach grubo poza granice, określone potrzebami wojny i stworzyły warunki, od których niema powrotu. Mogły uczynić to bezkarnie, gdyż spowodowane tym tragedje indywi-

dualne skrupili się na szarym człowieku, bezbronnej ofierze kapitalizmu. Tak się dziwnie złożyło, że W. Brytania czyniła w tej dziedzinie w czasie wojny dokładnie to samo, co Niemcy hitlerowskie.

Sp. prez. Roosevelt w następujący sposób scharakteryzował położenie w Stanach Zjedn.: »Nasze życie gospodarcze opanowane jest przez około sześćset firm, które dysponują dwiema trzecimi przemysłu amerykańskiego. Dziesięć milionów małych businessmen'ów dzieli się pozostała trzecia część.«

Jeśli proces koncentracji postępować będzie nadal z tą samą szybkością, z końcem bieżącego stulecia cały przemysł amerykański będzie w dyspozycji jakiegoś tuzina firm, a kierownicim będzie stu może ludzi«.*)

W r. 1927 dwa procent mieszkańców Stanów Zjedn. miało dochód powyżej 50,000 dolarów i posiadało czterdzieści procent majątku narodowego**).

W W. Brytanii dwa procent ludzi posiada siedemdziesiąt procent majątku.

Mit koncentracji. Szereg przyczyn wpływa na nowoczesną koncentrację. Wiedza zrodziła cywilizację przemysłową, po czym obie na spółkę nadużyły instytucji liberalnych dla wyzwolenia się od praw natury, kształtujących społeczność ludzi. Moczarze pieniądza wola jedna Wielką Maszynę, obsługiwana przez paru najemników, od tysięcy mniejszych maszyn w posiadaniu niezależnych jednostek. Chcac złamać ich niezależność trzeba było przemycić do naszych zwyczajów własność anonimową, która pozwala ukryć dyktatorów kapitału. Krete ścieżki prowadzi od anonimowych akcji do holdingów, od holdingów do karteli międzykontynentalnych. Tu spekulanci Nauki i Techniki łączą się z gangsterami Finansów i Ciężkiego Przemysłu. Maszyna spółkuje z Interesem.

Religia naszych czasów stała się wiedza, ale jest to wyniosła pani, niedostępna dla prostaków. Chcac trafić do najbardziej przyziemnych i jałowych wyobraźni musiała wiedza ukuc jakiś symbol, zadowolniający zarówno zmysłowe jak mózgowo-żądze człowieka.

*) »Spojrzenie wprzód« (Looking Forward), F. D. Roosevelt, 1933, str. 31.

**) Cyfry te podał dr. King w »Journal of the American Statistical Association« z czerwca 1927.

Symbolem tym stała się maszyna. Maszyna rodząca złoto, lecz zarazem maszyna-abstrakt, plan i cyfra, pan i władca robotów. Maszyna, mająca wrodzona skłonność do rozdymania swych rozmiarów, do urastania w ogrom, do ujarzmiania setek i tysięcy. Maszyna, która wymaga organizacji i hyperorganizacji, która pochłania nie tylko oliwę i paliwo, lecz zarazem wolność człowieka i godność człowieka. Maszyna-bożek naszych czasów, stanowiąca o ludzkiej doli i niedoli, o wojnie i pokoju, o ustroju społecznym i politycznym narodów.

Od stu lat słyszymy jednostajną piosenkę, że maszyna ma swoje nieublagane prawa, którym podporządkować się musi życie ludzkości. Z matematyczną logiką tłumaczy nam ludzie techniki, że maszyna narzuca rozmiary wytwórczości. Wczoraj turbina miała tysiąc koni parowych, dziś ma sto tysięcy, jutro będzie miała milion. Musi mieć milion. Wykorzeni znów tysiące ludzi, stworzy tysiące podmiejskich nędzarzy, zburzy tysiące samodzielnych warsztatów, tyleż rodzin i niezależnych istnień ludzkich. Ale musi mieć milion koni. Pojutrze będzie miała sto milionów i każdy naród będzie obsługiwał po jednej maszynie, która wszystko dla wszystkich wytworzy i rozdzieli.

Karol Marks zauważył tę dążność do koncentracji, wrodzona cywilizacji przemysłowej, i narzucił warstwom pracującym wizję koncentracji automatycznej, która automatycznie, wspomagana przez rewolucyjne dążenia mas, doprowadzi do kolektywizmu.

Nasiona marksizmu wydały bogaty plon. Masy nabrały przekonania, że koncentracja jest nieuchronna; co więcej przywykły uważać ją za sprzymierzeńca, który nie tylko doprowadzi je w końcu do raju na ziemi, ale już po drodze pomoże im do stopniowej poprawy życia. Dzisiejszy robotnik żyje znacznie lepiej, niż żył jego dziad z czasów Marksa; za tę poprawę składa on dzięki maszynie — coraz to większej Maszynie, która obsługuje w coraz to większej Fabryce.

Przeciętny człowiek nie umie rozgraniczyć wpływu trzech czynników, charakteryzujących nowoczesną produkcję, a mianowicie wynalazczości, energii mechanicznej oraz koncentracji. Jaki udział w podnoszeniu stopy życia przypada każdemu z tych czynników?

Nie starałem się tego obliczyć i nie wierzę, by to było możliwe, póki usługi wynalazców nie znajdują się w dyspozycji wytwórni mniejszych. Dane, którymi rozporządzamy dziś, pozwalają nam porównywać

tylko przemysł wielki, oparty na najnowszych wynalazkach, z drobnym warszatem operującym metodami rekodziela. Załóżmy jednak, że w społeczeństwie o przemyśle zdekoncentrowanym, w którym silniki elektryczne służyłyby do napędu warsztatów małych i średnich zaopatrzonych w maszyny najnowsze, a wynalazcy byłiby na usługach drobnych wytwórców, stopa życia byłaby niższa od obecnej o jakieś powiedzmy 25%. Te 25% stanowiłoby cenę netto dekoncentracji. Czy jesteśmy gotowi zapłacić tę cenę? Czy zamiast tłoczyć się codziennie do bram fabrycznych nie wolimy popracować trochę dłużej w warsztacie własnym? Czy jesteśmy skłonni dodać jedną — powiedzmy — godzinę pracy dziennie, by ustrój nasz uczynić wolnym i ludzkim?

Dzisiejszy robotnik nie ma jeszcze na to ochoty. Mit Wielkiej Maszyny i Wielkiej Fabryki panuje nadal nad jego wyobraźnią. Mit łatwiej wyhodować niż uśmiercić. Najlepiej przeciwstawić mu wizję inną, bardziej pociągającą i prawdziwą.

Wolność. Spotykamy się stale z twierdzeniem, jakoby socjalistyczne dążenia do upaństwowienia i koncentracji były czymś zupełnie różnym od komunizmu, którego braku (w jego wydaniu sowieckim) nie dowodzą rzekomo braki socjalizmu. Czyżby tak było istotnie? Marks jest zarówno autorem »Manifestu Komunistycznego« jak i uznanym teoretykiem wszelkich socjalistycznych ruchów naszych czasów, a przecież właśnie w eksperymencie sowieckim marksizm znalazł swe pełne wcielenie, choć wbrew oczekiwaniom swych apostołów urzeczywistnił się w sposób, przypominający wzory aż nazbyt nam dobrze znane z historii powszechnej. Spotykamy tam bowiem tylko dwa zasadnicze typy ustroju gospodarczego. Jednym jest ustrój wolnego człowieka, pracującego na własnej roli i we własnym warsztacie: był to ustrój cywilizacji lacińsko-śródziemnomorskiej, a następnie świata chrześcijańskiego. Drugi — to ustrój Wschodu, Asyrii i Babilonii, starożytnego Egiptu, Indyj i Mongołów. To olbrzymie budowle wystawione kolektywnym wysiłkiem, a u ich podnóża olbrzymie cmentarze niewolników, którzy je budowali. To system zbiorowej pracy na rzecz Państwa. Obojętne kto to państwo reprezentuje, czy faraon, czy chan, czy szach, czy Centralny Komitet Wykonawczy; czy beda to piramidy, czy budowle Tyru czy Niniwy,

czy stolice Dżyngischana, czy Dnieprostroj, czy Magnitogorsk; czy zmusimy niewolnika do pracy propaganda na rzecz Boga-Słońca, Boga-Władcy, czy Boga-Kolektywu. System pozostanie ten sam — system pracy przymusowej, której owoce marnują się w rekach jedynowładców lub przetwarzają się w chimeryczne kolosy, bezplodne dla tych, których trudem zostały wzniesione. System pracy, której wytwory nie wracają do pracującego, system hyper-organizacji, obracającej się w próżni, system głodu i bata, depczący człowieka.

Zdawało się, że system ten należy do niepowrotnej przeszłości, że zginął wraz z ponurymi cywilizacjami, których pomniki odgrzebujemy z piasku. Niestety system ten odżywa w naszych oczach. Pewni ludzie i pewne wpływy usiłują narzucić nam formy ustrojowe i gospodarcze sprzeczne z naszym duchem, sprzeczne z naszym rozwojem dziejowym i sprzeczne z idealami naszego życia. Nic w tym dziwnego, że jak dotąd komunizm przyjął się tylko w narodzie rosyjskim, mającym nieprzerwaną tradycję wschodniego despotyzmu. Co jednak niepojęte — to te miliony Europejczyków i Amerykanów, spadkobierców najszlachetniejszej cywilizacji, jaka ludzkość do tej pory wydała, którzy decydują się zapożyczyć od Azji jej pozornie nowych, a w rzeczywistości tak bardzo starych idealów.

Rzecz jest niepojęta nie dlatego, jakoby Azji brakowało prawdziwych idealów. Wschód był zawsze wielką kuźnią idealów. Był kolebką wielu systemów religijnych i etycznych. Ale wśród idealów narodów azjatyckich brak jednego, szczególnie drogiego mieszkańcom Europy — idealu wolności, bez którego cywilizacja staje się dla nas słowem bez treści.

Od dwu wieków zbyt dużo mówiono o wolności; spekulanci polityki i przemysłu, marszałkowie i dyktatorzy nadużyli tego słowa tak obrzydliwie, że kosztować nas będzie wiele wysiłków, zanim uda mu się przywrócić to szlachetne brzmienie, którego nie powinno być nigdy utracić. Dzisiejsza Europa cierpi na rozstrój nerwów, spowodowany wypaczeniem wolności i jej nadużyciem. Wolność, nagroda dla najlepszych, stała się parawanem dla najgorszych i unurzała się w błocie, toteż w zaraniu nowej epoki dziejów stoimy wobec niej bezradni i zmieszani. Nieraz opadają nas wątpliwości, czy nie jest ona ideałem zbyt niebezpiecznym. Masy dają się unosić prądowi totalizmu. Nie wiemy, z

której strony podejść do wolności, jak ją okiełznać, by niosła nas w pełniejsze życie, a nie zrzuciła do rowu.

Ostatnie dziesięciolecie wykazały ponad wszelką wątpliwość, że rozwydrzona wolność prowadzi do takiej czy innej niewoli, do dyktatury mafji lub kondotjera. W dziedzinie gospodarczej — totalna swoboda, liberalizm, prowadzi do ujarznienia jednostki twórczej przez pasożytów, rycerzy lichwy i przemysłu. W dziedzinie ducha — niekontrolowana wolność prowadzi do oddania myśli ludzkiej w pacht koncernom prasowym i wydawniczym. Właściwa doza wolności w życiu prywatnym i publicznym stanowi kluczowe zagadnienie naszych czasów. Nie zapominajmy przy tym, że wszystkie aspekty wolności są ściśle z sobą powiązane. Wolność duchowa i polityczna nie utrzyma się bez wolności gospodarczej. W ekonomii skoncentrowanej, w której wolność gospodarcza ulegnie zagładzie, zmarnieje każdy inny rodzaj wolności.

Kapitałiści i socjaliści prześcigają się w zapewnieniach, że zmierzają do wolnego ustroju. Równocześnie wielbią zalety koncentracji, będącej wrogiem takiego ustroju.

Koncentracja wyklucza wolność. Kapitalistom zależy więcej na zysku niż na wolności; czy socjaliści nie zdają sobie jednak sprawy, że głoszone przez nich hasła są z sobą sprzeczne? Niektórzy z nich, zatwardziali marzyciele, głoszą je w dobrej wierze. Ale wśród przywódców socjalistycznych nie brak i takich, którzy świadomie wprowadzają w błąd szarego człowieka, obiecując mu wolność w gospodarce skolektywizowanej, ukrywając przed nim tę oczywistą prawdę, że droga koncentracji wiedzie do niewoli komunizmu.

Chrześcijaństwu, wpędzonemu ponownie do katakumb, przypaść może zadanie przypomnienia światu ... praw człowieka i obywatela.

V.

EKONOMIKA STALEGO BEZROBOCIA

»Praca ustanowiona jest dla zapobieżenia nieróbstwu, z którego wynika wiele zlego.«
(S. Th. 2,2 pu. CLXXXVII a. 3.)

Odkrycie. W wieku dziewiętnastym ekonomiści interesowali się głównie wytwórczością, jej zaś bohaterem był przedsiębiorca. Dziś odwróciły się role, na pierwszy plan zainteresowań wraca spożycie, a wraz z nim szary człowiek, tak rażąco zaniedbany przez ekonomję liberalną. Co więcej teoria ekonomiczna dochodzi ostatnio do wniosku, że im człowiek uboższy, tym cenniejszy się staje z gospodarczego punktu widzenia, a to ze względu na swą nieograniczoną »dążność do spożycia«. W związku z tym odkryciem nastąpiła zasadnicza zmiana poglądów na skutki gospodarcze zapomóg, wypłacanych bezrobotnym. Przed piętnastu jeszcze laty ekonomiści z piana na ustach zwalczali zasiłki dla bezrobotnych oraz roboty publiczne, organizowane dla rozładowania bezrobocia. Dziś ciż sami ekonomiści środki te zalecają, odkryli bowiem, że pieniądz wreczony bezrobotnemu wywiera dobroczynny wpływ na całość gospodarki narodowej. Pieniądz ten kraży z rak do rak, od piekarza do rzeźnika, od rzeźnika do szewca, od szewca do dentysty, od dentysty do urzędu podatkowego czy do banku. Taki pieniądz obiega daleko poza bezpośrednim kregiem ludzi otrzymujących zasiłki i powoduje obroty handlowe kilkakrotnie większe od pierwotnej sumy zapomóg. Obliczono, a praktyka to potwierdziła, że w krajach szczególnie głęboko pogrążonych w depresji gospodarczej miljon złotych, wydanych na roboty publiczne czy zasiłki, może zwiększyć spożycie o dziesięć nawet mil-

jonów złotych, wywołując zatrudnienie dodatkowe wielokrotnie wyższe od cyfry bezrobotnych, którzy otrzymali wsparcie.

Im uboższy kraj, im większe bezrobocie, im głębsza depresja — tym wyższy współczynnik, którym trzeba pomnożyć cyfry ludzi wspartych, by otrzymać cyfry ludzi faktycznie zatrudnionych. Przed obecna wojna współczynnik ten wynosił w W. Brytanii niecałe dwa, a w Stanach Zjedn. blisko trzy. Różnica ta miała dwie przyczyny: po pierwsze potężne brytyjskie związki zawodowe (w tym czasie związki zawodowe w Stanach Zjedn. miały jeszcze mały zasięg) potrafiły wymusić stosunkowo wyższy udział warstwy robotniczej w dochodzie społecznym; po drugie brytyjski system zasiłków dla bezrobotnych oraz rent starczych poprawia rozdział dochodu społecznego, łagodząc najjaskrawsze niedociągnięcia kapitalizmu. Gdy w W. Brytanii wprowadzono zasiłki dla bezrobotnych, wielu ludzi obawiało się, że finanse publiczne nie wytrzymają tego obciążenia; dziś natomiast dochodzi uczeni do paradoksalnego wniosku, że zasiłki te uratowały gospodarkę brytyjską od gorszej jeszcze depresji i że majątek narodowy W. Brytanii byłby wzrastał szybciej, gdyby zasiłki były wyższe.

* * *

Rozumując teoretycznie, gdyby każdy człowiek, przez którego rece przechodzi pieniądz pochodzący z zasiłku dla bezrobotnych, a więc gdyby piekarz, rzeźnik, szewc itp. puszczali ten pieniądz dalej w obieg nie odkładając żadnych oszczędności, wspomniany wyżej współczynnik wyrósłby tak wysoko, aż wszyscy bezrobotni znaleźliby zatrudnienie*). Może się to wydać paradoksem, a jednak jest faktem, że oszczędności odkładane przez ludzi zamożniejszych, mających mniejszą dążność do spożycia a większą do bezczynnego trzymania pieniędzy na kontach bankowych, hamują krażenie pieniądza i podtrzymują bezrobocie. Mimo to, jeśli w jakimś bardzo ubogim kraju, o wysokim odsetku bezrobotnych, wspomniany wyżej współczynnik dojdzie np. do siedmiu, a państwo będzie zabierało w formie podatków powiedzmy 15% wszelkich kwot

*) Roboty publiczne, organizowane dla rozładowania bezrobocia, powinny więc być najprostszego rodzaju (drogi, kanały, boiska sportowe, budynki mieszkalne itp.), dając prace robotnikom najniżej płatnym, a tym samym mającym najwyższą dążność do spożycia.

wydawanych na spożycie, Skarb odbierze po pewnym czasie z powrotem wszystkie pieniądze wydane na zasilki czy roboty publiczne, stworzywszy przy tym zatrudnienie wielokrotnie większe od cyfry osób wspartych! Brzmi to fantastycznie, a jednak sprawdza się w praktyce, jak to się sprawdziło np. w Niemczech, które pierwsze odkryły te cuda i wprzegły je w służbę swych zbrojeń.

Powyższe zjawisko zachodzi nawet w wypadku zapomóg płaconych za nic, względnie płaconych wzamian za prace przy robotach publicznych całkowicie zbędnych, organizowanych w celu dania bezrobotnym złudzenia, że są pożyteczni.

Keynes objaśnił to na złośliwym przykładzie. Píše on: »Gdyby Ministerstwo Skarbu napelnilo banknotami stare butelki, zagrzebało je na dużych głębokościach w nieczynnych kopalniach węgla, a następnie kazalo wypelnic te kopalnie aż do wierzchu śmieciai wywożonymi z miast, po czym pozwoliloby przedsiębiorczości prywatnej dobywac z powrotem te banknoty kierujac się dobrze wypróbowanymi zasadami laissez-faire (przy czym oczywiście prawo dobywania nie uzyskiwaloby się stajac do przetargu o dzierżawe banknotonośnego obszaru), zanikloby bezrobocie, a rzeczywisty dochód społeczeństwa, jak również ilość jego dóbr kapitalowych, wzroslyby przy pomocy reperkusyj prawdopodobnie znacznie ponad obecny poziom.«

Keynes dodaje sakastycznie, że »budowa piramid, trzesienia ziemi, a nawet wojny dopóty beda się przyczynialy do wzrostu majątku narodowego, dopóki wykształcenie naszych meżów stanu na zasadach ekonomii klasycznej nie dopuści do stosowania metod lepszych.« (The General Theory of Employment, Money and Interest, Londyn, 1936).

Dobywanie złota, zajecie samo w sobie jałowe, staje się w tych warunkach dźwignią dobrobytu. Kraje pozbawione kopalń złota mogą dążyć do bogactwa wytwarzając czołgi i samoloty. »Podobnie jak wojny« — zauważa Keynes — »stanowią jedyną formę wydatków, opartych na zaciąganiu pożyczek, która meżowie stanu uważają za usprawiedliwioną, tak i dobywanie złota stanowi jedyny pretekst do kopania dziur w ziemi, który bankierzy uznają za przejaw zdrowych metod finansowych.« Starożytni Egipcjanie medrsi byli od nas, gdyż zwykli budować piramidy, które należy uważać za jeden z lepszych sposobów »nakrećcia konjunktury«. Błędne jest przypuszczenie, jakoby katedry średniowieczne

wznoszono tylko dla celów kultu; ich budowa stanowiła również doskonały sposób ożywienia gospodarki.

Odkopywanie banknotów wydaje się zajeciem mniej pożytecznym niż budowa dróg, dlaczego jednak kopanie srebra miałoby być gorsze od kopania złota? Tak musiał rozumować rząd Stanów Zjedn., gdy w szczytowym punkcie wielkiej depresji gospodarczej lat 1929/33 rozpoczął skup srebra. Prawie milion ton srebra, zupełnie bezużytecznego, jako że nie służy ono nawet do celów monetarnych, zakupił Skarb Stanów Zjedn. w latach 1934—40. Wyrzucił na to z górą miliard dolarów. Ludzie nie znający się na ekonomii kpili z tego i mówili o wyrzucaniu dolarów na wiatr; widocznie nie byli zdolni pojąć paradoksów współczesnej gospodarki.

Milosierdzie. Jak już wspomniałem, nie ma różnicy gospodarczej — choć zachodzi pewna różnica psychologiczna — między płacą za prace bezużyteczne a wypłatą zasiłków, za które nie żąda się wzamian żadnej pracy. W obu wypadkach wzrost spożycia (a więc i zatrudnienia) będzie dokładnie taki sam. Posuńmy się więc jeszcze o krok dalej i zapytajmy, co się stanie, jeśli zasilki dostaną się do rąk ludzi fizycznie niezdolnych do pracy (t. zn. nie należących do kategorii bezrobotnych), jak np. ludzi starych, chorych, kalek itp.? Jest rzeczą oczywistą, że ożywienie gospodarki będzie we wszystkich tych wypadkach jednakowe, toteż W. Brytania, cierpiąca na chroniczne bezrobocie, postępuje mądrze przewidując w swym nowym planie ubezpieczeń społecznych (Beveridge'a) środki do życia dla każdego Brytyjczyka, któremu ich brak, zarówno dla zdolnego do pracy, lecz chwilowo niezatrudnionego, jak i dla ludzi znekanych wiekiem czy chorobą.

Cięśnię się tu pod pióro staromodne słowo, tak bardzo nie na miejscu w pracy o charakterze ekonomicznym: milosierdzie. Trudno jednak nie użyć tego słowa, gdy mowa o pomocy dla starców i chorych, »Pomoc ubogim sprzeczna jest z zasadami ekonomii politycznej, które wzbraniają prywatnego nawet milosierdzia« — oświadczył w r. 1832 lord Althorp, przedstawiciel rządu w Izbie Gmin. Nie jest przypadkowym zbiegiem okoliczności, że te przeraźliwa zasada głoszone właśnie w czasie, gdy katolicyzm był najbardziej osłabiony, jako że staromodna

doktryna katolicka bronila zawsze staromodnego pogladu, że glodujacemu bliżniemu należy pomóc, nie wydajac go na lup »nieublagnych praw gospodarczych.«

Na szczęście prawa te daly sie wreszcie ublagac. Zasilek i jalmużna przestaly naruszac kanony ekonomji. Znika jeszcze jeden z przesadów dziewietnastego wieku. Odwieczne przekonanie, że milosierdzie spotyka sie z nagroda nietylko na tamym świecie, ale jeszcze nawet w życiu doczesnym, i że nagroda ta wyraża sie we wzroście bogactwa, znalazlo poparcie wiedzy.

Znachorstwo i medycyna. Czlowiek pracuje nietylko po to, by sobie zarobic na utrzymanie; praca jest mu konieczna dla równowagi ciała i ducha. Praca należy przeto do konieczności życiowych, przy czym w rzedzie wartości ceni sie ja niżej od jedzenia i mieszkania, ale napewno wyżej od swobód obywatelskich i bezpieczeństwa. Ustrój społeczny, niezdolny zapewnić zajecia każdemu czlowiekowi chetnemu do pracy, skazany jest na nieuchronny upadek.

Liberalny kapitalizm umiera na bezrobocie. Jego nastepca musi zaczac od rozwiązania tego zagadnienia. Ten ustrój uzyska pierwszeństwo, który upora sie z bezrobociem kosztem możliwie malego ograniczenia wolności.

* *

*

Nowoczesne bezrobocie ma przyczyny liczne i złożone. Możemy rozróżnić przyczyny ogólne, działające równomiernie w całym świecie kapitalistycznym, oraz przyczyny miejscowe, właściwe poszczególnym krajom. Omawiając podstawowe zagadnienia ekonomji takie jak odsetki, własność, zysk, koncentracje itp., odkrywaliśmy na każdym kroku bezpośrednie związki między pogwałceniem prawideł godziwej gospodarki a wzrostem bezrobocia; wzrost ten, podobnie jak wzrost goraczki, daje miare schorzenia organizmu gospodarczego. W Rozdziale I. zacytowa-
liśmy zdanie Keynes'a, że w bogatym społeczeństwie obniżenie stopy procentowej nieledwie do zera stanowi konieczny warunek usunięcia bezrobocia. W następnych rozdziałach mieliśmy sposobność stwierdzić, jak to zbyt niskie place i zbyt wysokie ceny (osiagane przy pomocy

monopoli) zmniejszają spożycie i powodują koncentracje własności, przy czym oba te zjawiska prowadzi do bezrobocia. »Bierność« właścicieli, wyrażająca sie w »jalowym oszczędzaniu« (»duszeniu grosza«), okazała sie również jedna z przyczyn stałego braku zatrudnienia. »Duszenie grosza« nie stanowi zreszta grzechu pojedynczych tylko jednostek; dopuszczac sie go mogą także całe narody, jak tego dowiodła tezauryzacja złota przez Stany Zjedn. A. P., co z kolei doprowadziło do dławia-
cego braku pieniądza w tych krajach, które po r. 1931 próbowały utrzymac walute złota. Tezauryzacja i deflacja należą więc również do poważnych przyczyn bezrobocia.

Przejdziemy teraz do innej jeszcze przyczyny, dotychczas nie wymienionej, która jest nadmierna długość dnia roboczego.

Postępy techniki nietylko podnoszą stopę życia, ale umożliwiają skrócenie czasu pracy. »Technokraci«*) recza, że przy dzisiejszym stanie techniki moglibyśmy żyć bardzo wygodnie, pracując po cztery godziny dziennie przez cztery dni w tygodniu. Puśćmy na chwile wodze wyobraźni. Kto wie, czy za lat sto dwie godziny pracy dziennie, wykonywanej przez czwartą część dorosłych mężczyzn, nie wystarczy do zapewnienia wysokiej stopy życia ogółowi ludności? Mała grupa specjalistów dyrygowac będzie milionami koni mechanicznych, a reszta ludzi plawic sie będzie — czy też gnici — w całkowitej beczynności.

Jest rzeczą oczywista, że taki »ideal« nie pociąga Chrześcijanina. Rozsadna miara pracy codziennej jest niezbędna dla fizycznej i umysłowej równowagi człowieka. Atoli nadmiar pracy jest równie szkodliwy jak i jej brak. Praca i wczas winny trzymac sobie wagę. W społeczeństwie katolickim, t. zn. w społeczeństwie takiego typu, jaki samorzutnie rozwijał sie w ciągu wieków wszędzie tam, gdzie Wiara przez pewną ilość pokoleń była goraca i Kościół rzymski wpływowy, istniały samoczynne hamulce, powstrzymujące człowieka od nadmiernego wysiłku. Wiek XIX — »wiek postępu« — zniósł Świeta kościelne i zwiększył tym samym znacznie liczbę godzin pracy w ciągu roku. W tradycyjnym społeczeństwie katolickim

*) Zwolennicy ruchu, który był głośny w Stanach Zjedn. w latach tysiąc dziewięćset dwudziestych. Ruch ten kładł silny nacisk na czynniki techniczne, kształtujące nowoczesną gospodarkę i domagał sie decydującego głosu w społeczeństwie dla techników.

obchodzono poza niedzielami dwadzieścia z góra obowiązkowych świąt kościelnych. Świeta Bożego Narodzenia i Wielkanocy trwały po kilka dni; były to namiastki płatnych urlopów. Co więcej, w dawnych czasach większość ludzi pracowała w rolnictwie, gdzie w związku z warunkami klimatycznymi praca nieledwie ustaje w niektórych okresach roku.

Industralizm ukul hasło: »czas to pieniądz«. Oto zawołanie bojowe epoki schyłkowej, która widzi główny cel życia w gorączkowym mnożeniu dóbr materialnych. Dłuższy dzień pracy! Kobiety do fabryk! Dzieci do fabryk! Życie rodzinne, religijne i duchowe musiało ustąpić miejsca robieniu pieniędzy. Dwadzieścia cztery godzin pracy zarobkowej na dobe stało się ideałem, do którego natura ludzka nie potrafiła się jednak nagiąć. Rychło stało się widoczne, że istnieje pewne minimum wczasu, poniżej którego nie da się zejść. W miejsce zniesionych uprzednio szumnie świąt kościelnych wprowadzono w W. Brytanii chylkiem »świeta bankowe« (bank-holidays).

Było to szukaniem po omacku. Dziś dopiero rozwidnia nam się w głowach i staje się oczywiste, że w miarę postępów techniki i wzrostu wytwórczości powinniśmy skracać dzień pracy oraz zmniejszać ilość dni roboczych, znosząc zarazem zatrudnienie młodocianych, matek wychowujących dzieci oraz starców*). Gdyby oszczędności wynikające z udoskonaleń technicznych udało się przekazać szaremu człowiekowi, wówczas ten człowiek zacząłby sam regulować sobie swój czas pracy. Możliwe, że zamiast dalszego skracania dnia roboczego wolałby korzystać z dłuższego urlopu.

Stopniowa, łagodna redukcja godzin pracy, idąca w parze ze zmniejszona podażą rak starczych i młodocianych, pozwoliłaby stepić ostrze bezrobocia. Uporczywy opór przemysłowców przeciw skracaniu czasu pracy wpędził świat w ślepa ulice. Niektórzy ekonomiści nie widzą z

*) Postępy techniki pozwalają nam: (1) Zwiększać nasze potrzeby; (2) Skracać dzień roboczy; (3) Podnosić wiek zatrudnienia młodzieży oraz obniżać wiek emerytalny starców; (4) Nie zatrudniać matek; (5) Rezygnować z metod produkcji, tańszych wprawdzie, ale uciążliwych dla robotników; (6) Wybierać bardziej godziwe, choć mniej wydajne, formy organizacji gospodarczej (np. mniejsze warsztaty miast kolosów fabrycznych); (7) Wprowadzić ustrój polityczny mniej wydajny gospodarczo, ale za to lepiej dostosowany do naszych potrzeb duchowych.

W praktyce wykorzystujemy postępy techniki dla posuwania się równocześnie w każdym z tych kierunków.

niej innego wyjścia poza radykalnym, jednorazowym skróceniem dnia pracy.

Wyobraźmy sobie, że 20% obywateli jakiegoś państwa jest bezrobotny, a obywatele zatrudnieni pracują średnio przez osiem godzin dziennie. Skróćmy teraz w tym państwie prace do sześciu godzin — wówczas chcąc wykonać tę samą ilość pracy będziemy zmuszeni zwiększyć liczbę zatrudnionych o 33%. Bezrobocie zniknie, zabraknie nawet rak do pracy.

20% bezrobotnych nie jest cyfrą wyjątkową. Liczba bezrobotnych w W. Brytanii i Stanach Zjedn. wahała się w latach 1919/39 między zerem a 20%—30%, przy czym średnia dla W. Brytanii wyniosła 14%. Czyż nie można więc było zlikwidować w obu krajach bezrobocia, redukując godziny pracy do siedmiu lub sześciu, co stworzyłoby zatrudnienie dla ogółu bezrobotnych?

Doprawdy, lekarstwo to wydaje się aż nazbyt proste. Pachnie znachorstwem i kawiarniana ekonomia. Opadają nas wątpliwości. Gdyby to było rzeczywiście aż tak łatwe . . . to dlaczego tego dotąd nie zastosowano?

*

Lekarstwo to znane było ogólnie. Na nieszczęście, choć wydaje się ono proste, jest szczególnie trudne do zastosowania właśnie w krajach liberalnych, dotkniętych plagą bezrobocia. W krajach tych każdy pracownik zgodziłby się chętnie na krótszy czas pracy — pod warunkiem, że jego płaca pozostanie niezmnieszona. Skąd jednak wziąć wówczas pieniądze na opłacenie dodatkowo zaangażowanych pracowników? O ile obcięciu godzin pracy nie odpowie natychmiastowy wzrost wytwórczości, musi nastąpić niżka płac i stopa życiowa robotników spadnie z pieca na leb. W razie np. redukcji godzin pracy z ośmiu na sześć i zwiększenia zatrudnienia o 33%, czterech ludzi zacznie jeść z trzech talerzy. Każdy będzie musiał ograniczyć drastycznie swe potrzeby. Jak dotąd nie znalazł się jeszcze maż stanu na tyle odważny, by zaproponować masom pracującym taką ofiarę na rzecz bezrobotnych. Wydaje się zresztą wysoce wątpliwe, czy w ustroju kapitalistycznym robotnicy zgodziliby się na takie wyrzeczenie. A gdyby się nawet zgodzili, to przeskodziłoby temu przemysłowcy, którzy wiedzą, że z chwila obniżki płac robotniczych (w powyższym wypadku o 25%) zmuszeni byłiby i oni zrezygnować z części swych zysków. Wydaje się pewne, że w obecnych

warunkach obie strony — zarówno przemysłowcy jak i robotnicy — odrzuciliby zgodnie takie rozwiązanie. Co więcej, nie ludźmy się, by taka metoda udało się uleczyć bezrobociu raz na zawsze. Odżyje ono rychło, jeśli inne stale jego przyczyny nie ulegną równoczesnemu usunięciu.

Keynes jest przekonany, że nie nadszedł jeszcze czas na dalsze skrócenie czasu pracy, gdyż produkcja nie nabrała jeszcze rozmachu dostatecznego dla zaspokojenia najpilniejszych potrzeb szerokich mas. Pisze on: »Wiele wydaje się obecnie przemawiać za tym, że przeważająca większość ludzi wolałaby wzrost dochodu niż wzrost czasu wolnego od pracy«*).

Może to i racja, trudno jednak wykluczyć, że w pewnych okolicznościach, kiedy kapitalizm należec już będzie do przeszłości, może się wydać łatwiejsze psychologicznie dać najpierw zatrudnienie ogółowi ludności przez skrócenie czasu pracy, a dopiero później podnieść dochód narodowy przez ponowne przedłużenie pracy wszystkich. Jest to sprawa właściwej taktyki psychologicznej. Masy, pracujące tylko przez parę godzin dziennie i zarabiające na bardzo chude utrzymanie, same domagają się beda przedłużenia czasu pracy, jeśli dostrzega bezpośredni związek między przedłużeniem pracy a zwiększeniem zarobków.

Tak czy owak redukcja godzin pracy stanowi dziś jedno z regularnych narzędzi polityki gospodarczej. Wielu konserwatywnych katolików, którzy nie potrafili dotąd wyzwolic się z nalogów myślowych dziewiętnastego wieku, musi zmienić swe nastawienie i pogodzić się z tą myślą.

* * *

Krok za krokiem zapuszczamy się tu w grzaska dziedzinę patologii gospodarczej, w której lekarze (w osobach patentowanych ekonomistów) wpędzają pacjenta coraz to głębiej w chorobę, co zmusza go do korzystania z usług znachorów. Dopiero w ostatnich latach, jak tego dowodzą cytowane przez nas przykłady, udało się oficjalnej ekonomii rzucić trochę światła na zawiloci nowoczesnej bankowości oraz pieniądza »kierowanego«; nic przeto dziwnego, że od znachorów (pienięż-

*) Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza (The General Theory of Employment, Interest and Money), Londyn, 1936, str. 326.

nych) roi się w naszych czasach więcej niż kiedykolwiek*). Przed r. 1931 (w którym W. Brytania odeszła od złota) oraz przed magicznymi poczynaniami dra Schachta w Niemczech, znachorzy ci mieli pełne prawo do proponowania własnych środków zaradczych i do przemawiania w zastępstwie uczonych, którzy upierali się błaznić po bezdrożach. Oddajmy tym znachorom sprawiedliwość stwierdzając, że wiele z proponowanych przez nich ekscentrycznych systemów pieniężnych zawierało szczypte prawdy, choć może nie całą prawdę, która trudno było jednak znaleźć nawet w receptach medrców takich jak np. tych, którzy w r. 1925 kazali W. Brytanii wrócić do miernika złotego po to tylko, by porzucić go ponownie po sześciu latach zaburzeń społecznych i depresji. W świetle doświadczeń W. Brytanii wolno nam wątpić, czy nie byłaby ona zrobiła lepiej słuchając w owych czasach raczej ekonomistów-amatorów niż zawodowców . . .

W czasie gdy znachorzy obmyślali cudowne kuracje a doktorzy ekonomii zajmowali się układaniem równań różniczkowych, meżowie stanu musieli działać bez zwłoki. Za wszelką cenę trzeba było uporać się z bezrobociem. W różnych krajach próbowano różnych środków; wszystkie w gruncie rzeczy sprowadzały się do tego, że władze państwa, przy pomocy podatków lub pożyczek, odbierały kapitalistom część ich zysków i rozprowadzały je między »ludzi zbednych«. Dzisiejsi rzadcy państw ograniczają się do obniżania gorączki bez leczenia samej choroby. Nie usiłują oni poprawić mechanizmu rozdziału, który nieublaganie, godzinę za godziną, dzień za dniem, wywłaszcza i wyrzuca z pracy jednych i tuczy drugich. Zamiast wymusić sprawiedliwy poziom cen i płac, o ileż bowiem łatwiej iść po linii najmniejszego oporu i próbować półśrodków w ramach ustroju kapitalistycznego. Budowa nowoczesnych piramid w rodzaju zbrojeń**) czy zbednych robót publicznych, tak ostatnio modnych, równa się pożyczaniu pieniędzy zbywającym kapitalistom i rozprowadzaniu ich między bezrobotnych. »New Deal« prez. Roose-

*) Jednym z ich znakomitych prekursorów był Mikołaj Kopernik, autor traktatu o reformie monety.

**) Rosje komunistyczna reklamowano jako jedyne państwo, nie znające bezrobocia. Nic w tym dziwnego skoro okazało się, że jej głównym przemysłem były zbrojenia i że utrzymywała ona w obozach pracy przymusowej cyfrę ludzi większą od najwyższej cyfry bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych.

velt'a nie był przecież niczym innym. Pożyczał on poprostu od bogatych i rozdawał ubogim*); czyniąc to poprawiał nieco rozdział siły nabywczej między kapitał a pracę oraz między przemysł a rolnictwo.

Prez. Roosevelt był jednak człowiekiem odważnym, toteż nie ograniczył się do powierzchownej metody pożyczania i subsydjowania; wziął on byka za rogi i przy pomocy swej National Industrial Recovery Administration (N. I. R. A.) wymusił trochę sprawiedliwszy poziom płac. Ta ostatnia metoda sięga już samych korzeni zła. Uznała to rozsądniejsza część przemysłowców amerykańskich, toteż przez kilka lat przed ostatnią wojną panowała w Stanach Zjedn. wyraźna dążność do podnoszenia płac z nieprzymuszonej inicjatywy kierowników przemysłu. Prowadzono wówczas również propagandę, mającą na celu przeciwdziałanie tezauryzacji («jalowemu oszczędzaniu») przez zwiększenie spożycia.

Zasada, że wysokie płace, wysokie spożycie i wysoka produkcja stanowią nieodzowne warunki pomyślności gospodarczej, liczy w Stan. Zjedn. licznych zwolenników.

Powiedzmy to sobie otwarcie — skutki tych wszystkich zabiegów nie były duże. W r. 1939, w chwili wybuchu ostatniej wojny, zarówno W. Brytania jak i Stany Zjedn. miały problem bezrobocia nierozwiązany. Niemcy, Rosja i Włochy rozwiązały go przy pomocy zbrojeń i to samo uczyniły państwa anglosaskie po r. 1939. Z chwila jednak ukończenia wojny koszmar bezrobocia zaczyna znowu nekac umysły. Żołnierze w przededniu demobilizacji oraz trusty mózgów, doradzające rządowi, kłopotują się narówni, jak uniknąć tej katastrofy. Każdy plan gospodarki powojennej operuje dziś pojęciem pełnego zatrudnienia. Na nieszczęście mało który z ekspertów rozumie, że bezrobocie stanowi nieodłączną właściwość obecnego ustroju i że chcąc je przezwyciężyć trzeba się zdobyć na ciecica głębsze, niż kierowanie pieniędzmi i planowanie po urzędach.

*) Charakterystycznym przykładem tej metody była »gratyfikacja żołnierska« (soldier's bonus) wypłacona w r. 1936 przez rząd St. Zj. kombatantom wojny 1914/18.

VI.

DEKONCENTRACJA

Poskromienie maszyny. Ekonomia i technika odegrały w nowoczesnym społeczeństwie rolę podobną: obie pod koniec osiemnastego wieku z umiejętności czysto praktycznych przekształciły się w dostojne galezie wiedzy, po czym obie wyzwoliły jakieś siły żywiołowe, gnające ludzkość ku nieprzewidzianym katastrofom. Cierpienia, powodowane przez industrializm i maszynizm szczególnie w W. Brytanii, w której pierwsze dziesięciolecie po t. zw. Rewolucji Przemysłowej obfitowały w bezmiar krzywdy ludzkiej — nie były mniejsze od cierpień, powodowanych przez liberalny ustrój finansowy, opłatujący ludzkość mackami lichwy i wywołujący kryzysy i bezrobocie. Kazirodczy związek pieniądza i maszyny wprowadził ludzkość w stan chronicznego schorzenia, które objawia się atakami gorączki w postaci następujących po sobie wojen światowych.

Stosunek nowoczesnego człowieka do pieniądza i maszyny przeszedł przez dwa wyraźne stadia. Stadium pierwsze: i pieniądz i maszyna pozostawały na wyłącznych usługach chciwości prywatnej. Dopiero straszliwy kryzys lat 1929/33 spowodował w tym przelom; zachowanie się pieniądza uległo wówczas w dużej mierze wyswietleniu i — stadium drugie — pieniądz przeszedł na służbę publiczną — zbrojeń i wojny*). Podobnie stało się z maszyną, która w latach 1914/18 stawiała pierwsze kroki w służbie publicznej, na polu walki, ale całym swym ciężarem zaważyła dopiero na wojnie następnej.

*) Zarówno W. Brytania jak i Niemcy oparły finansowanie wojny 1914/18 na ortodoksyjnych zasadach kapitalistycznych, natomiast wojnę 1939/45 sfinansowały — uderzająco łatwo — przy pomocy najnowszych metod pieniężnych.

Przejście pieniądza i maszyny ze służby prywatnej do służby publicznej (choc była to jak dotąd tylko służba śmierci i zniszczenia), stanowi zdarzenie bardzo doniosłe. W czasie tragicznych lat wojny ludzkość doszła do zrozumienia, że te dwie ślepe dotąd siły dadzą się ujarzmić i wprzegnąć — dziś może jeszcze tylko w służbę wojny, ale już jutro — i to będzie zapewne stadium trzecie — w służbę ludzkiego dobrobytu.

Istnieją jednak dwie zupełnie różne metody użycia tych sił dla dobra społeczeństwa: jedna, to metoda koncentracji (połączona z przejściem z kapitalizmu prywatnego na państwowy); druga, to metoda dekoncentracji, prowadząca do upowszechnienia własności. Obie wymagają całkowicie różnych praw i instytucji.

Droga koncentracji jest już przetworzona i w dużej mierze zbadała. Druga czeka na pionierów. Bada oni mieli do pokonania wielorakie przeszkody z zakresu techniki, organizacji przemysłu i psychologii jego pracowników.

Techniczna strona dekoncentracji rysuje się nam jeszcze zupełnie mgliście. Jedno nie ulega dziś już wątpliwości, że ciężka i kosztowna maszyna parowa z natury rzeczy przechylała szalę na stronę przemysłu ciężkiego, podczas gdy silniki elektryczne nadają się doskonale do mniejszych warsztatów. Również i silniki spalinowe dają się użyć do napędu małych wytwórni. O ile więc wiek parowy musiał być wiekiem koncentracji, to wiek elektryczności i benzyny nie wyklucza dekoncentracji.

Powyższego twierdzenia nie poddaje dziś w wątpliwość wprawdzie nikt, tym niemniej nie uczyniono do tej pory żadnej zorganizowanej próby oddania najnowszych udoskonaleń technicznych w służbę produkcji zdekoncentrowanej. Prawa i instytucje sprzyjają nadal koncentracji. Wszystkie siły konserwatyzmu — tak głęboko zakorzenione w psychice ludzkiej — trzymają się kurczowo przestarzałej, parowej koncepcji wielkiego przemysłu.

Podobnie jak pieniądz wytworzył sobie cały system własnych urządzeń — banków emisyjnych, izb rozrachunkowych, mennic i drukarni banknotów — tak i maszyna kształtuje sobie własne instytucje i metody. Badacze i wynalazcy ujęto w karby. Romantyczny wynalazca — ochotnik typu Edisona należy już do przeszłości; dziś figuruje on na

liście płacy. Wielkie koncerny kapitalistyczne zatrudniają w swych laboratorjach i instytucjach badawczych setki, a często i tysiące pracowników. Takie koncerny jak brytyjski Imperial Chemical Industries, niemiecki I. G. Farbenindustrie czy Siemens, zatrudniały każdy po kilka tysięcy badaczy. Już przed r. 1939 laboratoria tych koncernów prześcignęły tradycyjne zakłady naukowe w rodzaju uniwersytetów i politechnik. Wiedzę i wynalazczość nagięto do potrzeb skoncentrowanej wytwórczości i oddano w służbę jej zysków. Naukowe zdobycze i praktyczne wynalazki, mogące mieć skutki dekoncentrujące, wędrowały do szaf. W praktyce wszyscy wynalazcy i uczeni, oddający się wiedzy »stosowanej«, znaleźli się na usługach wielkich koncernów i musieli się trzymać dróg ściśle wytyczonych. Małego wytwórcę odgrodzono od postępów techniki.

Okres zbrojeń przedwojennych, a przede wszystkim sama wojna, powołały do życia nowe (wzgl. niezmiernie rozszerzyły istniejące już dawniej) państwowe ośrodki badawcze. Zupełnie świeże to zjawisko — dziesiątków tysięcy ludzi, oddających się badaniom i wynalazkom nie oglądając się na niczyje zyski. Wyniki ich prac są ogromne; technika posuwa się naprzód skokami. Po skończonej wojnie ta armia badaczy odmawia powrotu do służby prywatnej, toteż mężowie stanu wielu krajów zapowiedzieli, że będą się starali utrzymać tych ludzi w służbie publicznej. W ten sposób konstytuują się potężny sztab, powołany do kierowania postępiami techniki. Kierunek, jaki weźmie jego prace, wpłynie rozstrzygająco na przyszły ustrój społeczny. Jeśli siła bezwładu pozwoli się technice posuwać dalej po drodze koncentracji, totalizm przemysłowy ujmie rychło w kleszcze każda gospodarke narodowa. Potrzebny jest więc świadomy i uporczywy wysiłek, zmierzający do podporządkowania postępów techniki wymogom wytwórczości zdekoncentrowanej.

*
*
*

Wśród techników spotyka się coraz częściej ze zdaniem (podzielnym dziś i przez niektórych ekonomistów), że każdy rodzaj wytwórczości ma pewne rozmiary »przyrodzone«. Fabryka parowozów nie może zatrudniać poniżej kilkuset robotników, podczas gdy wytwórnia naczyń emaljowanych, zakrojona na tysiąc pracowników, nie ma za sobą argu-

mentów technicznych. Fabrykacja rowerów nie musi się wiązać z walcowaniem stali. W przemyśle włókienniczym łączenie przedzenia z tkaniami i wykańczaniem nie stanowi nieuniknionej konieczności. Towarzystwo okretowe, obsługujące linie Southampton-Nowy York przy pomocy statków o wyporności 60,000 ton, musi mieć charakter wielkiego przedsiębiorstwa, podczas gdy upaństwowienie kutrów rybackich wydaje się sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Fabryka obuwia, zatrudniająca dwadzieścia tysięcy robotników, stanowi wysoce skoncentrowaną formę przemysłu, nie możemy jej jednak uważać za zjawisko nieuniknione; tysiące szewców, indywidualnych właścicieli racjonalnie zmechanizowanych warsztatów, mogłoby równie sprawnie zaopatrywać w obuwie swych współobywateli. Koleje żelazne stanowią z natury przedsiębiorstwo społeczne, podczas gdy transport drogowy można z powodzeniem pozostawić przedsiębiorstwom mniejszym, opartym na pomysłowości i inicjatywie właścicieli prywatnych.

Często spotykamy się z argumentem zaczerpniętym u Marksa, że dekoncentrować można tylko działy wytwórczości już skoncentrowane, innymi słowami, że koncentracja stanowi etap techniczny i gospodarczy, niemożliwy do przeskoczenia. Być może, że w niektórych krajach nawyki, przesady i namietności pchać będą koncentrację do jej ostatecznych granic — szczególnie tam, gdzie Chrześcijaństwu nie udało się odrodzić. Dopiero gdy ogółowi ludzi przejdzie się tyrania technokracji i kult maszyny-kolosa, rozpocznie się rewolucja zmierzająca — według określenia Chestertona — do »przywrócenia wolności przez rozdział własności«. Niektóre kraje przejdą zapewne taką rewolucję, ale względy techniczne bynajmniej do tego nie zmuszają.

Jakie działy wytwórczości dojrzały już do dekoncentracji? Przede wszystkim cały przemysł włókienniczy, wykazujący szczególną właściwość gromadzenia pod dachem jednej fabryki tysięcy jednakowych wrzecion i warsztatów tkackich, obsługiwanych przez tysiące ludzi. W tym przemyśle maszyna nie powiększyła swych rozmiarów; prosto rozmnożyła się, zostały więc pełne techniczne możliwości przystosowania jej do mniejszych wytwórni. Przy obecnym stanie techniki procesy przedzenia, tkania i farbowania można przenieść do małych i średnich warsztatów, wyposażonych w odpowiednie maszyny. Bodaj że tylko działy wykończalnictwa nienadają się do dekoncentracji; działy ten mo-

głyby przejąć korporacje zawodowe, prowadząc wykończalnie na rachunek ogółu swych członków.

Szereg innych galezi przemysłu podobnych jest do przemysłu włókienniczego w tym, że posługują się dużymi ilościami jednakowych małych maszyn, łatwych do przystosowania do potrzeb małego wytwórcy. Do tej kategorii należy większość przemysłów wytwarzających artykuły domowego użytku takie jak odzież, obuwie, trykotaże, wstażki, kapelusze, artykuły toaletowe, urządzenia domowe, naczynia, meble, piéczywo i wyroby cukiernicze, konserwy, sprzęt elektryczny i radiowy, zegarki, kosmetyki, wytwory chemiczne takie jak mydło, pasty do zębów, butów, podłóg itp., drukarstwo, drobny przemysł mechaniczny itd.

Typowym wytworem małego przemysłu metalowo-przetwórczego jest rower; jego produkcja w wielkich zakładach przemysłowych jest w wysokim stopniu nienaturalna*). Co więcej, nie widac żadnych zasadniczych powodów, dla których zespoły małych i średnich warsztatów nie miałyby być zdolne do produkcji samochodów; ich części składowe można wytwarzać w warsztatach indywidualnych, prowadząc montownie zbiorowo**). Tak wytwarzane samochody byłyby może trochę droższe niż obecnie; z każdego jednak innego punktu widzenia korzyści, osiągnięte przez usunięcie koncentracji w przemyśle samochodowym, wyrównałyby z nią koszty. Koncentracja przemysłu samochodowego okazała się czynnikiem wielce niebezpiecznym dla gospodarczej i społecznej równowagi wielu krajów, jak tego dowiodła chociażby tylko fatalna rola, odegrana przez wytwórnię Forda w czasie przesilenia gospodarczego lat 1929/33. Ponadto przemysł samochodowy stanowi sam rdzeń przemysłu zbrojeniowego. Przecież to właśnie »Volkswagen« (samochód ludowy), mający kosztować zaledwie tysiąc marek, posłużył Hitlerowi jako pretekst do budowy gigantycznych zakładów przemysłu zbrojeniowego. Któryż z rządów, mając do swego rozporządzenia skoncentrowany przemysł samochodowy, oprze się

*) Na krótko przed ostatnią wojną zespół bezrobotnych mechaników rozpoczął produkcję rowerów w jednej z miejscowości polskiej Srodkowej. Pierwsze wyniki były zachęcające.

***) Również części składowe samolotów wytwarzano w czasie ostatniej wojny w warsztatach małych i średnich, i to zarówno w W. Brytanii jak w Niemczech.

wcześniej czy później pokusie przytwierdzenia płyt pancernych do samochodów?

Naogół biorąc, wszystkie przedmioty potrzebne w życiu codziennym — włącznie z rowerem, a nawet samochodem — można wytworzyć w małych i średnich warsztatach.

Istnieją oczywiście działy przemysłu organicznie nie nadające się do dekoncentracji, jakoto kopalnie, huty oraz ciężki przemysł zbrojeniowy i komunikacyjny. Jednakże wyteżając trochę wyobraźnię można przewidzieć dekoncentrację również i tych działów, w przyszłości bardziej odległej. Kopalnictwo węgla (na szeroka skalę) to rzecz nie starsza ponad dwieście lat i wydaje się wątpliwe, czy ludzkość długo jeszcze skazywać będzie liczne rzesze swych współbraci na tak posepna mordege, jak dobywanie węgla na setki metrów pod ziemią. Z chwila pojawienia się nowych sił napędnych kopalnie węgla stana się zbędne. A siły napędne przyszłości — to przypuszczalnie energia słoneczna, energia przyływów i odpływów morza, a przede wszystkim energia wyzwolona przy rozpadaniu się atomów; takie źródła energii nie będą zmuszały do koncentracji.

Podobnie ma się rzecz z hutnictwem — żelazo może lada chwila ulec detronizacji na rzecz jakichś nowych materiałów o wysokiej wytrzymałości, nadających się do produkcji i obróbki w małych warsztatach. Wielkie nadzieje wiąże się ostatnio z plastikami, które rewolucjonizują dotychczasowe metody techniki, z korzyścią dla malej wytwórczości.

Nieograniczone możliwości dekoncentracji wykazują również komunikacje. Koleje żelazne muszą, rzecz prosta, zatrudniać tysiące pracowników, ale jest to przestarzały środek przewozu; w niedalekiej przyszłości zastąpi go zapewne przewóz samochodowy i powietrzny. Po r. 1918 w szeregu krajów europejskich rozwijały się w szybkim tempie male przedsiębiorstwa przewozów samochodowych, uległy jednak przymusowej koncentracji*) w celu ocalenia kolei żelaznych od zabójczego dla

*) Innym jeszcze rodzajem przemysłu narzucono sztucznie wielkie rozmiary, a mianowicie gorzelnictwu, browarnictwu i cukrownictwu. Wyrób niedużych aparatów do wyrobu piwa, cukru i spirytusu nie przedstawia trudności technicznych, wzbromiony jest jednak w większości państw dla ułatwienia poboru podatków, w wypadku zaś gorzelni ponadto dla zmniejszenia spożycia alkoholu.

nich współzawodnictwa. W ten sposób naturalny proces dekoncentracji zahamowano z urzędu.

Ciężki przemysł metalowy oprze się prawdopodobnie dekoncentracji, ale jego zasięg powinien się stale zmniejszać. Zdekoncentrowane (w dużej mierze) komunikacje ograniczyłyby swe zamówienia w ciężkim przemyśle jedynie do środków przewozowych długodystansowych. Za chwile pomówimy o nowej koncepcji rozbrojenia, polegającej na silnym ograniczeniu ciężkiego przemysłu. Takie ograniczenie wydaje się być jedyną skuteczną rekojmia pokoju — a przynajmniej humanitarnego charakteru przyszłych wojen. Możemy nawet zaryzykować przypuszczenie, że wojny przestałyby przybierać charakter »światowy«, gdyby zabrakło zakładów przemysłowych wytwarzających czolgi, działa i bomby.

* * *

Mówi się często, że najpiękniejsza teoria pozostanie na papierze, o ile nie będzie zgodna z wymogami życia — które w naszej epoce dąży rzekomo do koncentracji. Czy dąży jednak rzeczywiście? Ta dążność nie wygląda zawsze na samorzutną; wielkie interesy finansowe i przemysłowe lubia wytwarzać pozory tej »samorzutności«. W wielu wypadkach koncentracja pewnej galezi wytwórczości dowodzi poprostu, że w tej galezi panują niezdrowe praktyki. W rolnictwie europejskim, w którym utrzymały się znośne obyczaje, da się zauważyć od stu lat naturalny ped do podziału ziemi. Po r. 1918 szereg krajów przeprowadziło reformy rolne, dzieląc ziemię między chłopów; w innych krajach reformy takie są zamierzone. Młode kraje takie jak Stany Zjedn. A. P. czy Australia nie wyrobiły sobie jeszcze poglądu na to, co się lepiej oplaca: gospodarstwa wielkie czy małe. W Australii zaczyna ostatnio przeważać zdanie, że mniejsze, indywidualne gospodarstwa są znacznie korzystniejsze gospodarczo od wielkich akcyjnych majątków ziemskich — a to w związku z właściwościami gleby, która niszczy od uprawy metodami kapitalistycznymi, ograniczonymi z reguły do jednego tylko plodu przy silnym użyciu nawozów sztucznych. W Stanach Zjedn. obszar kilkakrotnie większy od obszaru wyspy brytyjskiej — wynoszący podobno nie mniej niż 61% całej przestrzeni uprawnej — stracił swą urodzajność, całkowicie lub częściowo, na skutek złego obchodzenia się z ziemią. Erozja jest chorobą śmier-

telna. Amerykanie niechętnie mówią o pustynnych polaciach swego Middle-West'u. W różnych częściach Afryki oraz w Z. S. R. R. zachodzą te same zjawiska. Ziemia mści się za kapitalistyczne traktowanie. Wielu uczonych wyraża obawę, że nasze wnuki będą zmuszone walczyć ciężko o wydobycie żywności z gleby, wyjałowionej przez naszą rabunkową gospodarkę. Teoria Malthus'a może się wówczas sprawdzić i nasi potomkowie, zamiast obsługiwać Wielkie Maszyny w rekawiczkach po dwie godziny dziennie, będą harowali na roli od świtu do zmroku, wzorem pańszczyżnianych chłopów wieków ubiegłych.

Możliwe, że wizja to zbyt czarna. Tym niemniej zaczyna się już ogólnie przyjmować pogląd, że zepsuje się na dłuższą metę każda rola, której nie da się obornika i plodozmianu; obornik zaś i plodozmian stanowią tradycyjne cechy gospodarki chłopskiej, uważanej przez wszystkich »dystrybutystów« za podwalinę zdrowego ustroju.

* * *

Robotnikowi dzisiejszemu, równie znudzonym znormalizowaną pracą i znormalizowaną rozrywką, trudno sobie wyobrazić bogactwo kształtów i możliwości zdekoncentrowanego świata, złożonego z małych niezależnych od siebie jednostek gospodarczych, dających prostemu człowiekowi pełną swobodę rozwinięcia swych zdolności i przedsiębiorczości. Chesterton rzucił wizję społeczności złożonej z niepodległych Notting-Hill'ów, dumnych z własnych tkaczy i piwowarów, szewców i rusznikarzy. Członkom cechów średniowiecznych ułatwiały prace narzędzia i urządzenia, stanowiące własność zbiorową całego cechu. Nie trudno wyobrazić sobie podobne rozwiązanie i dziś. Chesterton pragnął zastrzec własność maszyn dla społeczeństwa, a ich użytek dla małych wytwórców. W swej poetyckiej wyobraźni widział on Wielką Maszynę królującą w szopie w pół drogi między Karczma a Kościołem — pospolne narzędzie do użytku ludzi wolnych.

Dekoncentracja w praktyce. Nawet tam, gdzie względy techniczne pozwalają na dekoncentrację, nie dojdzie ona do skutku bez starannej organizacji. W pierwszym rzędzie trzeba będzie zorganizować obniżkę kosztów produkcji małej, by ją zbliżyć do kosztów produkcji

fabrycznej. Czy koszty te dadzą się zrównać? Może nie zupełnie. Wobec jednak korzyści społecznych, które dają przedsiębiorstwa mniejsze, wydaje się wskazane udzielić im poparcia, choćby nawet produkowały trochę drożej od wytwórni skoncentrowanych. Te różnice należy jednak utrzymać w granicach rozsądku.

Wielka fabryka produkuje taniej od małego warsztatu z trzech przyczyn: (1) oszczędności związanych z wielkimi rozmiarami maszyn i silowni; (2) wykształcenia zawodowego kierowników przemysłu, usług badaczy, wynalazców i i ekspertów; (3) centralizacji zarządu.

Przyczyna pierwsza, choć mniej ważna niż się to naogół wydaje, może się okazać w wielu wypadkach trudna do przewyższenia. Jednakowoż planowy rozdział energii elektrycznej (czy atomowej) oraz masowy wyrób silników, dostosowanych do potrzeb mniejszych warsztatów, pozwoli osiągnąć znaczne oszczędności.

Czynnik, składający się na przyczynę (2), należy przeorganizować i oddać w służbę dekoncentracji. Tak więc zupełnemu przekształceniu ulec powinno szkolnictwo techniczne. Obecnie daje ono wykształcenie techniczne tylko jednostkom nielicznym, przeznaczonym na kierowników przemysłu, podczas gdy masy pracujące otrzymują w dzieciństwie wykształcenie ogólne bez związku z ich przyszłym zawodem, a następnie idą do pracy bez wykształcenia fachowego, albo też z wykształceniem tak krótkim i jednostronnym, że nie daje im ono wyobrażenia o całości ich przemysłu. Pod tym względem epoka nasza jest rozpaczliwie zacofana w porównaniu z Średniowieczem, w którym każdy pracownik terminował gruntownie przez kilka lat, nabywając w tym czasie wszechstronne umiejętności zawodowe, których ukoronowaniem był doskonale obmyślany system egzaminów i wędrowek. Podobnego systemu trzeba nam obecnie, i to w zastosowaniu do wszystkich bez wyjątku zawodów; taka reforma szkolnictwa technicznego powinna poprzedzić wszelkie inne kroki, zmierzające do upowszechnienia własności.

Wykształcenie, dane młodzieńcowi w samym zaraniu życia zawodowego, nie wystarczy jednak do utrzymania wytwórcy na poziomie bieżącego postępu technicznego, powinny mu więc przyjść z pomocą poradnie techniczne, związane z instytucjami badawczymi, korporacjami oraz przemysłem maszynowym i narzędziowym (dostosowanym do potrzeb wytwórczości zdekoncentrowanej). Przemysł narzędziowy tru-

dno zostawic w rekach ludzi, powodujacych sie checia zysku, totez najprawidlowszym rozwiazaniem wydaje sie polaczenie go bezposrednio z korporacjami zawodowymi. Odpowiednia siec instytucyj kredyty-
wych, zwiazanych rowniez z korporacjami, powinna ulatwiac malym wytworcom nabywanie maszyn i marzedzi.

* * *

Istnieje sklonnosc do przeceniania oszczednosci, osiaganych przy laczeniu paru zakladow przemyslowych w jeden. W wielu wypadkach oszczednosci te bywaja zwodne, gdyz oszczedza sie na mniejszych pozycjach administracyjnych, ale za to mnoza sie pobory i tantjemy prezesow rad nadzorczych i dyrektorow generalnych. Wytworczosc mala i srednia wolne sa od takich obciazen, totez wytrzymuja niewatpliwie wzspolzawodnictwo z wielkimi koncernami w wypadkach, kiedy wszystkie inne szanse sa wyrównane.

W niektórych okolicznosciach wlasnosc jednoosobowa dziala mniej sprawnie niz spolki, zespoly czy grupy wytworcow, o liczebnosci i strukturze dostosowanej do typu wytworcosci. Jest to dziedzina malo dotad zbadana naukowo czy doswiadczalnie; socjologowie i psychologowie maja tu duze pole do popisu. Genialny amator moze im w tym pomoc swa intuicja, jak to uczynil np. Aldous Huxley, ktory dal wnikliwa analize tego problemu. Zdaniem jego »wszelkie dowody wskazuja na to, ze istnieje optymalny rozmiar grupy i ze to optimum wynosi okolo dziesieciu osob dla grup zbierajacych sie dla celow towarzyskich, religijnych czy intelektualnych, a od dziesieciu do trzydziestu dla grup pracujacych recznie«^{*}). Takie grupy wytworcow powinny odegrac powazna role w gospodarce zdekoncentrowanej. Skoro raz wejda w zwyczaj, wytworza sobie rychlo odpowiednie formy prawne, dokola ktorych narosna z biegiem czasu wiezi przywiazania i tradycji.

H. E. Collier^{**}) wylicza »trzy najistotniejsze potrzeby robotnika: potrzebe zarobienia na utrzymanie oraz pewnej slusnej miary bezpieczenstwa fizycznego; potrzebe zachowania wlasnej osobowosci; wresz-

^{*}) Aldous Huxley, »Cele i Srodki (Ends and Means): Próba wnikienia w nature idealow oraz w srodki, uzywane do ich urzeczywistnienia«, Londyn, 1937.

^{**}) »Potrzeby szarego czlowieka (The Needs of Everyman): studium stosunkow w przemyśle«, Friends Book Centre, Londyn, 1938.

cie potrzebe, by robotnik czul sie integralna czescia spolecnosci.«
Potrzeby pierwsza i trzecia moga znalezc zaspokojenie w kazdym ustroju; osobowosc ginie nieodwolalnie w gospodarce skoncentrowanej^{*}); ustrojowi, opartemu na upowszechnieniu wlasnosci, grozi natomiast zaniedbanie potrzeby trzeciej — integracji spolecznej. Tu lezy przyczyna, dla ktorej katolicy domagaja sie tak natarczywie organizacji korporacyjnej, majacej dac robotnikowi podobne zaspokojenie jego upodoban gromadzkich, jakie znajduje dzis w wielkiej fabryce. Powinismy sobie jednak zdac z gory sprawe z tego, ze zadowolenie instynktow spolecznych, ktore robotnik znajdzie w organizacji korporacyjnej, bedzie rzędu trudniejszego — mniej popularnego, niz oszalamiajace uczucie rozplynienia sie w masie tysiecy ludzi jednakich, ktorzy pracuja w zatloczonych warsztatach, odpoczywaja i poruszaja sie stadami, zbiorowo ciesza sie i cierpia, maja zbiorowe humory, dobre lub zle, miotani sa wspólnymi uczuciami i gnani wspólnymi odruchami do masowego oporu czy masowej ofiary. Od takich narkotyków kreca sie glowy. Rozwój osobowosci wlasnej, poleganie na wlasnych silach, wysilek twórczy leża na plaszczyźnie wyzszej, poza zasiegiem wielu. Rzuca sie w oczy, że nie-jeden robotnik fabryczny zachowaniem swym przypomina pewne rodzaje funkcjonariuszow państwowych, odwyklych od niezaleznosci i odpowiedzialnosci. Jako problem psychologiczny, dekoncentracja wytworcosci sprowadza sie do walki z najemnictwem; taka walka wymaga nowego ducha w wychowaniu przyszlych pokoleni.

Pierwsze kroki. Na rok przed ostatnia wojna grupa mlodych entuzjastow zorganizowala w Polsce pierwsza Poradnie Drobnej Wytworczosci. Siedziba jej byly Katowice. Tuż przed wybuchem wojny przystapiono do organizacji podobnej Poradni w Warszawie. Myślano o nastepnej w Lodzi. W zwiazku z planowaniem nowych galezi przemyslu — w szczegolnosci przemyslu wojennego — roztrzasano mozliwosci dekoncentracji. Obok wielkich fabryk zamierzano uruchamiac male warsztaty, o wytworcosci uzupelniajacej produkcje wielkich zakladow.

^{*}) Przypominam w tym miejscu, że swiatopogląd chrześcijański, dążący do rozwoju osobowości, określaný bywa często mianem personalizmu, w przeciwieństwie do indywidualizmu i komunizmu.

Wszystko to nie miało jeszcze charakteru poważnego; propagowali to chylkiem młodzi technicy, przejeci idea upowszechnienia własności. Ich poczynaniom przyglądali się pobłażliwie starsi, uroczyści panowie na wybitnych stanowiskach, starający się zapomnieć swą górna i chmurna młodość w dosyć synekur kapitalistycznych. Dyrektorowie fabryk maszynowych przyjmowali z uśmiechem politowania propozycje wytwarzania maszyn, dostosowanych do potrzeb drobnych warsztatów. Skoro wreszcie taki dyrektor dawał się przekonać, żądał niemożliwej do udzielenia gwarancji, że setki maszyn danego typu rozejda się w ciągu paru miesięcy. Od czasu do czasu trafiał się w jakiejś instytucji kredytowej marzący, który odważał się zaproponować drobnemu wytwórcy setną część kwoty, pożyczonej co dopiero wielkiej fabryce.

Trudności wydawały się nie do pokonania. Brak było instytucji badawczych i doświadczenia technicznego z dziedziny drobnej wytwórczości. Inżynierowie, znający się doskonale na produkcji wielkoprzemysłowej, ale słabo obeznani z warunkami produkcji małej, zgłaszali się na ochotnika do Poradni Drobnej Wytwórczości. Właściciele małych warsztatów odnosili się do nich podejrzliwie. Skądże to nagle zainteresowanie się ich szarymi osobami? Podejrzewali oni, że ktoś zamierza ubić na ich skórze jakiś interes. Ich bracia i koledzy, pracujący w fabrykach i przepojeni marksizmem, saczyli w nich nieufność do tych dziwacznych inteligentów, narzucających się ze swą bezinteresowną pomocą.

Trudno szło ze sprzedażą wytworów i z nabywaniem surowca. Wyjście z tych trudności widziano w założeniu spółdzielni; nielato było organizować takie spółdzielnie w społeczeństwie, w którym pośrednik handlowy, nakładca chałupniczy i socjalistyczny spółdzielca mieli głos rozstrzygający u władz państwowych i instytucji kredytu. Czerwona i Złota Międzynarodówka zgodne są w oporze przeciw upowszechnieniu własności, ich zaś wpływy wszędzie wówczas przeważały. Trudno się więc dziwić, że sprawa szła opornie i na wyniki trzeba było czekać. Zdobyto jednak sporo doświadczenia i tylko wojna przeszkodziła w wyprowadzeniu tej akcji na szersze wody.

Bilo wprost w oczy, że główna trudność leży nie w kosztach drobnej wytwórczości, ale w braku zrozumienia u zainteresowanych. Należy zacząć od przekonania wszystkich tych ludzi — od robotnika i technika

po inspektora pracy i uczonego. Trzeba propagandy, hasel, broszur i ulotek, audycji radiowych, zebrań i pochodów. Którego jednak z tych sposobów nie mają zwolennicy koncentracji? Indywidualny warsztat i korporacja zawodowa, to pojęcia proste i naturalne, łatwe do zrozumienia i realizacji, trzeba je jednak szerzyć wśród mas w sposób szczególnie umiejętny, ponieważ istnieje wiele czynników, które dołożą wszelkich starań, by zapobiec ich rozpowszechnieniu.

Wojna i pokój. Do niedawna uchodziło za fakt bezsporny, że zmechanizowanej wojny nowoczesnej niemożna prowadzić bez skoncentrowanego przemysłu łatwego do mobilizacji, rozbudowy i nadzoru. Bombardowania i desanty powietrzne ostatnich lat kazaly jednak poddawać ten pogląd radykalnej rewizji, okazało się bowiem, że łatwiej zburzyć czy zagazować — czy zatamować — jedną fabrykę-kolosa niż dwadzieścia zakładów mniejszych. Takie skupiska przemysłowe jak Wielki Londyn czy Zagłębie Ruhry stanowią dziś czynnik słabości raczej niż siły. Dzisiejsza wojna zmusza do rozproszenia ludzi i obiektów.

Mobilizacja i nadzór nad przemysłem zdekoncentrowanym będą niewatpliwie trudniejsze, jako że władze będą miały do czynienia z wielką liczbą pojedynczych przedsiębiorstw zamiast paru koncernów. Ale trudność ta wyrówna zawiązka bardziej społeczne nastawienie wszystkich zainteresowanych. Im zdrowszy bowiem ustrój jakiegoś narodu, tym większa jego siła obronna. Naród proletarijuszów, odrabiających pańszczyznę po wielkich fabrykach, wykaże na dłuższą metę mniej siły obronnej niż kraj oparty na uwłaszczonych obywatelach.

Choćby jednak koncentracja miała pozostać nadal warunkiem wygrywania wojen, to na pewno przeszkodzi wygraniu pokoju. Oto twierdzenie szczególnie na czasie: dekoncentracja stanowi warunek trwałego pokoju. Ostatnie lata dostarczyły oczywistych dowodów na to, że w krajach wielkoprzemysłowych zbrojenia stanowią najłatwiejszy sposób rozładowania bezrobocia. Po tej drodze poszedł nie tylko Hitler ale i Stalin, mimo pokojowych hasel głoszonych przez bolszewików na użytek zagranicy. Również i w W. Brytanii i w Stanach Zjedn. dopiero zbrojenia położyły kres bezrobociu. Skoncentrowany przemysł niezmiernie łatwo przestawiać z produkcji pokojowej na produkcje

wojenna, zależy to bowiem od decyzji małego zespołu ludzi »miarodajnych«; tam natomiast, gdzie miliony ludzi pracuje na własnych warsztatach, trzeba przekonać większość tych ludzi o konieczności produkcji wojennej, by móc wogóle do niej przystąpić. W kraju o własności upowszechnionej przygodny dyktator musi się liczyć z głęboką niechęcią do zbrojeń i wojny, cechująca szarego obywatela; niechęć tę trudniej przelamać u mrowia indywidualnych wytwórców niż u robotników wielkiej fabryki, podatnych na wszelką agitację. Dzieje ucza, że w pokoju kochają się społeczeństwa samorządne, podczas gdy jedynowładcy oraz oligarchie (o scentralizowanej dyspozycji własności) dopatrują się dla siebie korzyści w wywoływaniu wojen.

Sklonność do wojny lub pokoju tkwi w samym ustroju gospodarczym. Kapitalistyczny koncern i kolektywistyczny trust doprowadza zawsze w końcu do wojny. Jedyną skuteczną gwarancją trwałego pokoju jest złożenie narzędzi wytwórczości bezpośrednio w ręce ludzi prostych, rozmilowanych w pokoju.

Dekoncentracja ludzi. Analogicznie do potrzeby rozdrobnienia wytwórczości, zachodzi w naszych czasach paląca potrzeba rozproszenia ludności zatrudnionej w przemyśle. Koncentracja ludzi stanowi jedną z najczarniejszych stron wielkiego przemysłu. Nowo powstająca fabryka działa jak magnes. Wrywa ludzi z otoczenia, w którym się urodzili i wychowali, odbiera chłopu jego stanowy światopogląd i przerabia go w proletariusza niepewnego jutra, nie związanego ani z ziemią, na której mieszka ani z pracą, której się oddaje. Okresowe wahania w stanie zatrudnienia wyrzucają na brzeg życia osad ludzi bez chleba i Ojczyzny, pełnych buntu i goryczy.

Chcąc temu zaradzić trzeba przesunąć przemysł z przedmieścia na wieś. Jest to wykonalne, wymaga jednak świadomego wysiłku, przemysł wykazywał bowiem do niedawna dążność do skupiania się w nielicznych ośrodkach, w których tworzył nieuleczalne wrzody społeczne, ogniska nędzy i niepokoju. Ich okazami były Ceinture Rouge (Czerwony Pas) dokoła Paryża oraz zgnile przedmieścia Berlina czy Barcelony. Ta dążność przemysłu uległa jednak ostatnio odwróceniu. O ile sto lat temu względy techniczne i gospodarcze przemawiały za lokowaniem fabryk

w pobliżu węgla, który stanowił wówczas główną siłę napędu, o tyle dzisiaj przemysł do umieszczania się w ośrodkach spożycia. Nowoczesne siły napędne (ropa i elektryczność) kosztują mniej więcej to samo w różnych częściach kraju; wydatki na przewóz surowców bywają wprawdzie wyższe w jednych okęgach niż w drugich, różnice te nie odgrywają jednak większej roli w ogólnych kosztach produkcji i kompensują się różnicami w placach. Nowoczesny urbanista wyraża słuszne wątpliwości, czy warto inwestować miliony w kolejki podziemne i autobusy, potrzebne do przewożenia ludzi do pracy? Czy nie oplaca się lepiej przewozić surowce niż robotników? Odpowiedź na to pytanie wydaje się oczywista. Powodów do zakładania nowych fabryk w istniejących już ośrodkach miejskich czy zagłębieniach przemysłowych należy dziś szukać chyba tylko w lenistwie myślowym i bezwładności, o ile nie w egoizmie kierowników przemysłu, ceniących przyjemności życia w większym mieście wyżej od względów społecznych.

Najwyższy już czas na ustawowy zakaz zakładania nowych wytwórni w istniejących ośrodkach miejskich i przemysłowych.

Zakaz taki dąby skutki następujące: przemysł rozłożyłby się równomiernie po całym obszarze kraju*); robotnik mieszkałby nadal w swej wsi rodzinnej, blisko miejsca pracy; dorabiający się robotnik stawiałby sobie własny dom na własnej parceli; w razie przesilenia gospodarczego, wojny itp., każdy robotnik miałby przynajmniej własny dach nad głową i kawał roli, pozwalający mu przetrwać najgorsze czasy. Ponadto — a rzecz to szczególnie ważna — uszlachetniający wpływ ziemi na człowieka dąby się utrzymać nawet w społeczeństwie przemysłowym, w którym odsetek ludzi pracujących na roli stale się zmniejsza.

»Siedziba na wsi« stanowiła dotąd tradycyjny przywilej ludzi najbogatszych. Nadszedł czas, by przypadła w udziale każdemu pracownikowi.

Koncentracja trwała. Powiedzieliśmy przed chwilą, że pewne galezie przemysłu z samej swej natury zakrojone być muszą na skalę szeroką, a tym samym koncentracja ich wydaje się nieuchronna. Galezi tych jest jednak niewiele (choc rzucają się one bardzo w oczy), a pracujący w nich

*) Okolice malownicze należałoby oczywiście wylczyć od zabudowy przemysłowej.

robotnicy stanowią nieznaczny odsetek ogółu zatrudnionych. Odsetek ten waha się zależnie od różnych okoliczności, rzadką jednak, według najnowszych ocen, wzrasta powyżej 10%. Z cyfry tej wynika, że wytwórczość skoncentrowana uważać należy za wyjątek, a wytwórczość zdekoncentrowana za regułę.

Powiedzenie, że wyjątki należy traktować wyjątkowo, może się wydawać banalne, mimo to banal ten wymaga stałego przypominania, gdyż nie zabraknie nigdy ludzi — przy czym w wielu wypadkach będa to ludzie o umysłach uczciwych i wyostrzonym zmyśle słuszności — dążących do nadmiernych uproszczeń i do traktowania w sposób szablonowy wszystkich zjawisk naszego zawilego i różnorodnego życia. Jeśli chodzi o ekonomie, to błąd takiego uproszczenia popełnili w naszych czasach wielu reformatorów katolickich, którzy próbowali przystosować zasady własności indywidualnej nawet do tych wyjątkowych form wytwórczości, w których zasady te oczywiście zawodzą.

Należy powtarzać aż do znudzenia, że osobisty, zażyły stosunek między właścicielem a jego własnością stanowi główny warunek prawidłowego funkcjonowania własności prywatnej. Ten stosunek nawiązać łatwo, póki człowiek ogarnia swą własność okiem i umysłem. Z chwila jednak, gdy własność koncentruje się i wyrasta z niej gigant fabryczny czy bank międzynarodowy, najzdolniejszy nawet umysł przestaje ogarniać całość przedsiębiorstwa i własność prywatna staje się fikcją.

Kto podejmie się bronić twierdzenia, jakoby Ford był właścicielem swego przedsiębiorstwa w zwyczajnym, prywatno-gospodarczym znaczeniu tego słowa? Różnica między stanowiskiem Forda a stanowiskiem dyrektora Trustu Samochodowego Z. S. R. R. jest mniejsza, niżby się to na pierwszy rzut oka mogło wydawać. Przedsiębiorstwa kierowane przez obu tych panów mają dla społeczeństwa tak doniosłe znaczenie i są w tak wysokim stopniu »społeczne«, że Ford, podobnie jak i jego sowiecki kolega, nie dysponuje swym przedsiębiorstwem równie swobodnie jakby to mógł czynić, gdyby był właścicielem prywatnym w pełnym tego słowa znaczeniu.

Nie trzeba być głębokim psychologiem by wywnioskować, że własność indywidualna ma zastosowanie jedynie do pewnej granicy. Po przekroczeniu tej granicy, z chwila gdy dla prowadzenia jakiegoś przedsiębiorstwa potrzeba wysokich i zawilich form organi-

zacji oraz współdziałania licznych zespołów ludzi, własność nabiera cech społecznych bez względu na to, czy istnieje jeszcze nominalny właściciel »prywatny« czy też oficjalnym posiadaczem jest już zbiorowość.

Niezrozumienie tego faktu stało się powodem, dla którego tyle pomysłów, wysuwanych w ciągu ubiegłych pięćdziesięciu lat przez katolickie szkoły społeczne, zawiodło przy próbach realizacji. Zamiast zwalczając koncentrację wszędzie tam, gdzie koncentracja jest zbędna, przy równoczesnym żądaniu szczerego i zdecydowanego uspołecznienia w wypadkach, w których własność przerasta jednostkę, myśliciele katoliccy usiłowali obmyślić półśrodki, pozwalające przemycić własność indywidualną w sferę gospodarki skoncentrowanej*).

W poprzednich rozdziałach mieliśmy sposobność omówić zalety i wady własności prywatnej. W małych i średnich warsztatach, które wymagają osobistej pracy właściciela, zalety własności prywatnej przeważają stanowczo. W ustroju uwłaszczonym, przeciętny wytwórca korzysta z dobrych stron własności bez narażania się na jej pokusy. Z chwila jednak, gdy jakieś przedsiębiorstwo urasta do wielkich rozmiarów, następuje nieuchronny rozdział między pracą a własnością, przy czym ta ostatnia nabiera skłonności do wycisku i ucisku. Przypomnijmy, co Papież Pius XI napisał na ten temat w Encyklice »Quadragesimo Anno«: »Zupełnie słusznie żąda się zastrzeżenia pewnych rodzajów dóbr dla państwa, ponieważ posiadanie tych dóbr daje taką przewagę, że jej ze względu na bezpieczeństwo państwa nie można zostawiać osobom prywatnym.«

Podział gospodarki na strefę indywidualną i strefę społeczną jest stary jak świat. Obie te strefy rozgraniczone są linją podziału, która nie jest stała, ale przesuwa się to w jedną, to w drugą stronę; w miarę jej

*) Godzi się stwierdzić, że w wieku XIX nie istniały jeszcze obecne techniczne przesłanki dekoncentracji. W owym czasie dekoncentracja była równoznaczna z demechanizacją, a żądanie to nie było — i nie jest — do przyjęcia bez katastrofalnej obniżki stopy życia. Chcąc uniknąć tej ostateczności, dając jednak robotnikowi współwłasność w przemyśle, reformatorzy katoliccy proponowali różne sposoby, zmierzające albo do tego, by uczynić pracownika udziałowcem przedsiębiorstwa, w którym pracuje (udziałowcem w kapitalistycznym znaczeniu tego słowa), albo przyznające mu pewien udział w zyskach firmy, której zarząd pozostawałby poza tym całkowicie w rękach kapitalistów-akcjonariuszy. Jak było do przewidzenia, praktyczne wyniki tych pomysłów były mało zachęcające.

przesuwania się zasięgu własności indywidualnej albo rozszerza się kosztem skoncentrowanych form gospodarki, albo naodwrot strefa własności indywidualnej ulega skurczeniu i społeczne formy posiadania wchodzi w jej miejsce. Zależy to od polityki czynników rządzących państwem i ich stosunku do własności. To przesuwanie ma jednak swoje naturalne granice. Wszelkie wysiłki, zmierzające do całkowitego uspołecznienia własności indywidualnej (co stanowi cel komunistów) lub do rozciągnięcia własności indywidualnej na strefę gospodarki społecznej (czego pragną liberalowie), skazane są z góry na niepowodzenie, gdyż prowadzi do stanu rzeczy absolutnie przeciwnego naturze.

Prawdziwe rozwiązanie tego problemu leży w trafnym rozgraniczeniu obu stref. Upowszechnienie własności wymaga radykalnego poszerzenia zasięgu własności prywatnej; powinna ona objąć cały ten szmat działalności gospodarczej, który skoncentrowane przedsiębiorstwa niesłusznie sobie przywłaszczyły. Tam zaś, gdzie dekoncentracja nie jest możliwa, uspołecznienie powinno być stanowcze i bez obłonek.

* * *

Przypuszczenie, jakoby »uspołecznienie« musiało w każdym wypadku być równoznaczne z »upaństwowieniem«, dowodzi zarówno braku wyobraźni jak nieuctwa. Uspołecznić przedsiębiorstwo można na wiele różnych sposobów: może ono ulec przejściu przez państwo (t. zn. »upaństwowieniu«); może przejść na własność samorządu miejskiego, powiatowego czy wojewódzkiego; może się dostać pod zarząd »Spółki Publicznej« (t. zw. przez Brytyjczyków »Public Service Board«)*);

*) Spółka Publiczna jest instytucja niezależna, powołana do życia aktem parlamentu dla świadczenia pewnej usługi publicznej, nie obliczona na zysk i podlegająca okresowej tylko (nie stałej) kontroli rządu i parlamentu. Ta forma uspołecznienia własności rozwinęła się w W. Brytanii po wojnie 1914/18 i objęła szereg ważnych usług publicznych, jak np. radjofonie, rozdzielanie energii elektrycznej, przewóz pasażerów na obszarze Londynu, port londyński, kopalnie węgla itp.

Powstająca Spółka Publiczna otrzymuje zazwyczaj prawo zaciągnięcia pożyczki i spłacenia dotychczasowych właścicieli, spłata zaś samej pożyczki (czy też wydanych właścicielom oprocentowanych obligacji) następuje z bieżących wpływów Spółki. Dyrektorów Spółki mianuje jeden z ministrów (lub, jak w wypadku London Passenger Transport Board, specjalnie do tego celu powołany Komitet Powierników) na okres 5—10 lat, w czasie którego są oni praktycznie nieusuwalni.

może się przekształcić w Spółdzielnię Pracy lub w inną formę zbiorowego posiadania.

Między strefą własności prywatnej (której podstawowe formy stanowią: przedsiębiorstwo jednoosobowe i spółka) a strefą własności społecznej potrzebny jest ponadto pewien amortyzator, pewna strefa pośrednia w postaci przedsiębiorstw korporacyjnych, prowadzonych przez organizacje zawodowe do wspólnego użytku swych członków.

Wielu nawet socjalistów podziela pogląd, że upaństwowienie stanowi najmniej sprawny sposób uspołecznienia. Tym niemniej istnieją przedsiębiorstwa, których powierzenie państwu czy samorządom terytorjalnym wydaje się wskazane, szczególnie w wypadkach, kiedy chodzi o działy przemysłu oparte na wypróbowanych i ustalonych zdawna zasadach technicznych i gospodarczych, natomiast o olbrzymim oddziaływaniu społecznym i politycznym oraz o dużych możliwościach zysków monopolowych. Do tej kategorii należą np. koleje żelazne, poczta, telegraf i telefon, przemysł wojenny itp. Biorąc pod uwagę wszystkie »pro« i »contra« tego zagadnienia, szereg społeczeństw doszło do wniosku, że te kategorie przedsiębiorstw powinny się znaleźć pod zarządem państwa. Analogicznie wydaje się wskazane, by zakłady użyteczności publicznej takie jak elektrownie, gazownie, rzeźnie, wodociągi, kanalizacje, doki itp. przeszły pod zarząd samorządów terytorjalnych.

Przystępując do uspołecznienia przemysłu należy się liczyć nie tylko z warunkami, panującymi w poszczególnych działach wytwórczości, ale również z różnicami w wyposażeniu poszczególnych narodów. Tak więc np. Spółdzielnie Pracy dla budowy kolei żelaznych i szos rozwinęły się w ostatnich latach jedynie we Włoszech. Istniała na świecie bodaj że jedna tylko wielka spółdzielnia pracy z zakresu optyki, a mianowicie firma Zeiss w Niemczech, o sobie tylko właściwych formach organizacji. Rosjanie mieli od niepamiętnych czasów wspólnoty rolne zwane mirami; nie miały one odpowiednika w żadnym innym kraju Europy. Każdy naród stoi dziś przed zadaniem wynalezienia sobie własnych form uspołecznienia, dostosowanych do właściwości swego charakteru narodowego; należy przy tym unikać starannie form szkatkowych, przejętych z prywatno-prawnych form posiadania.

VII.

USTROJ FUNKCJONALNY

Jedność z wielości. »Jedność powstała z dobrego złożenia wielości« — stanowi jedna z podstawowych zasad św. Tomasza*). Rozczłonkowanie jest koniecznym warunkiem ładu. Zasada to stara jak świat, wywodząca się z Prawa Natury. General, który obejmie dowództwo nad tłumem żołnierzy, zacznie od podzielenia ich na mniejsze oddziały; podzieli ich na pulki, bataljony, kompanje, plutony. Maż stanu, powołany do rządzenia jakimś zdeorganizowanym krajem, podzieli go na prowincje, prowincje na województwa (prefektury, dystrykty czy hrabstwa), województwa na starostwa. W biologji tylko istoty najniższego rzędu składają się z komórek jednorodnych; ciała wyższego typu rozczłonkowane są na organy (stad ich nazwa organizmów).

Te zasady rozczłonkowania (o ile wolno nam je tak nazwać) akceptuje w pełni nowoczesna socjologia. McDougall w swej głośnej pracy pt. »Duch grupy« (Group Mind) tłumaczy budowę społeczeństwa jako nawarstwienie grup. Podstawowa grupa jest rodzina; następne warstwy tworzą grupy lokalne; nad nimi piętrzą się grupy obejmujące region, prowincje, naród, Rzeczpospolita (u Brytyjczyków »Commonwealth«).

Socjologia poświęca dużo uwagi pochodzeniu i działaniu grup społecznych, poczynając od »gang'u« a kończąc na państwie. Liberalne pojęcie państwa, jako zbiorowiska niezorganizowanych obywateli, stoi w jaskrawej sprzeczności z twierdzeniami dzisiejszej nauki.

Ponieważ nie ukuto jeszcze terminu na oznaczenie ustroju opartego na »zasadzie rozczłonkowania«, będziemy się posługiwali terminem »ustrój funkcjonalny« dla określenia takiego ustroju społecznego, w

*) Cont. Gent. III, 71; cf. S. Th. 1, 1 qu. 65 a. 2. 1. c.

którym człowiek bierze udział w życiu społecznym nie pojedynczo, jako luźna jednostka, ale w ramach grup różnej wielkości i różnych poziomów, służących różnym celom »zależnie od funkcji społecznej, z którą ludzie związani są przez pracę« (Quadr. Anno). W ustroju »funkcjonalnym« każda niezorganizowana dziedzina ludzkich poczyniń — czy beda to poczynania zawodowe czy artystyczne, regionalne, duchowe, wychowawcze, polityczne itp. — uważa się za anomalje.

W społeczeństwie zbudowanym prawidłowo, grupy funkcjonalne powinny spełniać funkcje organów ciała społecznego, a rząd funkcje głowy, która uzgadnia, planuje i godzi. Pius XI tak to ujął w Encyklice »Quadr. Anno«: »Błąd indywidualizmu zdusił i nieledwie zniszczył owo bujne niegdyś i szeroko przy pomocy różnych stowarzyszeń rozbudowane życie społeczne, tak że w końcu zostały same prawie tylko jednostki oraz państwo. Stało się to zresztą z niemałą dla samego państwa szkoda, gdyż życie społeczne straciło swój wyraz, wszystkie zaś obowiązki dawniejszych, zniszczonych dziś stowarzyszeń przeszły na państwo, przygniatając je nieskończoną ilością zadań i ciężarów.« »Władza państwowa powinna zostawić niższym społecznościom do wypełnienia mniej ważne zadania i obowiązki, któreby ją nadmiernie rozpraszały. To zaś pozwoli jej na swobodniejsze, bardziej stanowcze i skuteczne wykonywanie tych obowiązków, które należą wyłącznie do niej i które tylko ona może wykonać, a mianowicie: kierownictwo, kontrole, pobudzanie, karanie nadużyć, zależnie od tego, co się wysuwa na czoło w danej chwili i czego wymaga potrzeba.« Ponad zaś społecznościami »funkcjonalnymi« »państwo, wolne od wszelkiej stronniczości i oddane jedynie dobru pospólnemu i sprawiedliwości, winno zasiadać na wysokim tronie w charakterze władcy i najwyższego rozjemcy.«

Przeważająca większość grup »funkcjonalnych« wiąże się z miejscem zamieszkania i zawodem. Liberalizm uszanował grupy, związane z miejscem zamieszkania (samorzady terytorjalne), usiłował natomiast zniszczyć grupy zawodowe. Tu leży przyczyna, dla której toczy się dziś tak uporczywa walka o odbudowę organizacji zawodowej. Gdyby jednak kiedyś w przyszłości ludzie mieli zaprojektować sobie jakiś ustrój równie dziwny jak był nim ustrój liberalny, ale dla odmiany niszczący organizację terytorjalną (przy zachowaniu organizacji zawodowej), powstałby zapewne rychło ruch mający na celu odbudowę organizacji terytorjalnej,

jako że oba te typy organizacji są równie konieczne dla właściwego funkcjonowania społeczeństwa.

W naszych czasach zagadnienie »funkcjonalizmu« sprowadza się głównie do tego, by każdy zawód zorganizował się w grupę (korporację) zawodową. Do takiej korporacji powinni należeć: (1) w przemyślach zdekoncentrowanych — właściciele i pracownicy; (2) w przemyślach nie nadających się do dekoncentracji — właściciele, kierownictwo i pracownicy. O ile w tym drugim wypadku właścicielami będą sami pracownicy, korporacja zawodowa może zawiadywać przedsiębiorstwem na rachunek jego pracowników.

A oto parę aktualnych przykładów korporacjonizmu. Dziennikarze brytyjscy żalili się w czasie wojny na cenzurę, podobnie jak to zwykli czynić w podobnych okolicznościach dziennikarze wszystkich krajów. Niedawno poradził im w parlamencie brytyjskim socjalistyczny minister (Herbert Morrison), by wyłonili jakieś ciało, reprezentujące całość zawodu dziennikarskiego, zdolne do »sprawowania nadzoru nad nieodpowiedzialnymi pismami i dziennikarzami«; zdaniem ministra oficjalna cenzura stałaby się wówczas zbędna.

Takie ciało nie byłoby niczym innym jak korporacja zawodowa, jak ją sobie wyobrażają katolicy.

Górnicy brytyjscy niezrozumieli jeszcze idei korporacyjnej, toteż domagają się upaństwowienia kopalń węgla. Gdyby się wmyśleli w prawdziwe znaczenie organizacji zawodowej, woleliby może widzieć kopalnie pod zarządem korporacji, reprezentującej cały zawód górniczy.

Brytyjski Związek Zawodowy Robotników Przemysłu Włókienniczego ogranicza się dotąd do walki o płace i godziny. Chwila jednak może już nie daleka, kiedy związek ten zacznie walczyć o dekoncentrację przemysłu włókienniczego i o wyposażenie jego pracowników w warsztaty indywidualne, pod osłoną potężnej korporacji zawodowej.

Dzieje organizacji korporacyjnej. Pod koniec I. wieku po nar. Chr. rozpoczęła się w imperium rzymskim pierwsza na szeroką skalę zakrojona próba organizacji korporacyjnej. Szczytowy punkt rozwoju rzymskich korporacji zawodowych (zwanych *collegia*) zbiegł się z okresem największej pomyślności cesarstwa w II. i III. wieku po Chr., za rządów

dynastji Antoninów. Niewątpliwie był to jeden ze społecznie najsprawniejszych okresów historii. Poczynając od IV. wieku organizacja korporacyjna upadła, równoległe do słabnięcia i upadku Rzymu.

»Chrześcijaństwo nie mogło zawieść, skoro go nigdy nie spróbowano« — napisał Chesterton. Ma on słuszość tylko częściową. Wiek Średni spróbował Chrześcijaństwa. Udało im się uchylić lekko wrót wiodących do godziwego ustroju, zatrzasnęły się one jednak rychło z powrotem. Mimo, że próba ta nie wyszła poza stadium początkowe i była krótka i niezdarna, każdy z narodów europejskich pochłubił się może pod koniec Wieków Średnich okresem, w którym, choć na krótką chwilę, osiągnął stan sprawiedliwości społecznej jak dotąd niezrównany. I tu poprawa stosunków społecznych wiązała się ściśle z organizacją korporacyjną. Badalem tę sprawę bliżej na przykładzie Polski. Okazuje się, że w biednych dziś i zabitych deskami od świata małych miasteczkach polskich bywało w wiekach XIV—XVI po dwadzieścia do trzydziestu cechów, nie tylko dających rzemieślnikowi oparcie zawodowe, ale utrzymujących również pewne zbiorowe urządzenia techniczne takie jak »blichy«, »folusze« i »hamernie«. Dopiero tak rozreklamowany przez wrogów katolicyzmu Humanizm, którego wydzwiekiem stała się Reformacja, wywołał gwałtowną reakcję społeczną, dał bodziec kapitalizmowi i pańszczyźnie i zniszczył cechy. »Ubodzy żyli jakieś sześć razy gorzej w r. 1850 niż za czasów Henryka VII« — pisze znany pisarz brytyjski C. Hollis*). Podobnie było we wszystkich innych krajach Europy.

Stopa życiowa ubogich zaczęła ponownie wzrastać od chwili powstania pierwszych nowoczesnych Trade Union'ów (Związków Zawodowych). Od tego czasu poziom zarobków robotniczych stoi w bezpośrednim związku z siłą i przeżnością ruchu zawodowego.

Wspomniana wyżej »zasada rozczłonkowania« wydaje się najbardziej banalnym z banalów, a jednak przez sto lat udawało się liberalizmowi kwestjonować te zasady w teorii i uniemożliwiać jej stosowanie w praktyce. Przyszłe wieki dowiadywać się będą ze zdumieniem, że w t. zw. »wieku oświecenia« w przodujących państwach świata obowiązywał zakaz organizacji robotniczych. Wielbiciel rewolucji francuskiej wpadają w zły humor na samo przypomnienie tajonego przez nich skrzetnie

*) Christopher Hollis, »Dwa narody« (The Two Nations). Król Henryk VII rządził w wieku XV.

faktu, że rewolucja zaczęła się w r. 1789 od rozwiązania cechów i zakazu wszelkich zrzeszeń robotniczych! W pierwszych dniach rewolucji odbyły się uroczyste obchody dla uczczenia tych zdarzeń. Uczniowie cechowi i czeladnicy palili kukły i niszczyli insygnia cechowe, pili i wznosili okrzyki; nie zdawali sobie sprawy z tego, że gotują robotnikom europejskim wiek najciemniejszy od czasów Karola Wielkiego i Wilhelma Zdobywcy.

Cechy francuskie wywodzą się z Wieków Średnich, toteż były w wieku XVIII skostniałe i przestarzałe. Nowe czasy wymagały nowych form organizacji zawodowej. Mimo to entuzjazm robotników francuskich, zrzekających się swego prawa do organizacji zawodowej (które stanowi przecież jedno z najbardziej podstawowych praw człowieka) i wydających się na blisko sto lat bezbronne na wyzysk »burżuazji«, stanowi klasyczny przykład łatwości, z jaką masy dają się podbechtac na własną zgubę.

Naturalna rzeczą kolejną przez następne pół wieku robotnicy musieli walczyć, nieraz krwawo, o odzyskanie prawa do zrzeszania się (t. zw. »prawa koalicji«). W Stanach Zjedn. aż do zupełnie niedawnych czasów wielu przemysłowców, wśród nich Henryk Ford, odmawiało robotnikom prawa do zrzeszania się.

* * *

Druga połowa XIX wieku przyniosła pierwsze nowoczesne badania nad ustrojem korporacyjnym. Prowadzone przez szereg dziesiątków lat, badania te wydały obfita literatura. Ich ukoronowaniem stała się wypowiedź Papieża Leona XIII w Encyklice »Rerum Novarum« (r. 1891). Encyklika »Quadragesimo Anno« (1931) sprecyzowała jeszcze dokładniej katolicki punkt widzenia na organizację zawodową. Czytamy w niej: »Prawdziwy i zgodny z naturą ustrój społeczny wymaga wielości członków organizmu społecznego, spojonych w jedno jakąś mocną więzią. Otóż ta więź, spajająca każdy zawód, jest wytwarzanie pewnych dóbr materialnych lub świadczenie pewnych usług, co wiąże z sobą do wspólnego działania pracodawców i pracobiorców, należących do tego samego zawodu; dla wszystkich zaś zawodów więź ta stanowi dobro publiczne, do którego przyczyniac się one powinny uzgadniając swoje wysiłki.« »Sprawy, przy których odrebne interesy pracodawców lub pracobiorców

szczególnej wymagają troski lub ochrony, powinny obydwie strony rozpatrywać i rozstrzygać oddzielnie, zależnie od okoliczności sporu.«

»Nie trzeba chyba przypominać, że to, czego Leon XIII uczył odnośnie formy ustroju politycznego, stosuje się także — w odpowiedniej mierze — do owych stowarzyszeń zawodowych lub korporacji; mianowicie ludzie mają pełną swobodę wyboru form organizacyjnych, byle tylko zabezpieczone były wymogi sprawiedliwości i dobra publicznego.«

* * *

Równoległe do prac badawczych, prowadzonych przez katolików, rozwijał się ruch »syndykalistyczny«, nie będący niczym innym jak »postępowym« odpowiednikiem korporacjonizmu. Choć rozmyślałem na ten temat sporo, nie udało mi się dostrzec zasadniczej różnicy między tezami katolickimi a syndykalistycznymi. Z początkiem XX wieku rozwijał się w W. Brytanii »socjalizm cechowy« (Guild Socialism), spokrewniony blisko z korporacjonizmem i syndykalizmem. Korporacjonistyczne próby Mussoliniego wyrosły z syndykalizmu, gloszonego przez socjalistów włoskich, oraz z korporacjonizmu katolickiego; nie mogły one dać wyników zadowalających, ponieważ ustrój funkcjonalny stoi w zasadniczej sprzeczności z totalizmem. Dyktatorskim dekretem nie stworzył jeszcze nikt organicznej społeczności.

Confédération Générale du Travail (C. G. T.) — francuski odpowiednik brytyjskich Trade Union'ów — glosił syndykalizm do chwili, kiedy skutkiem napływu wschodnio-europejskich socjalistów wzięły w nim górę dążności marksistowskie. Ciekawe doświadczenia korporacyjne poczyniono w Austrii (gdzie trwały zbyt krótko, by dać wyniki widoczne) oraz w Portugalji.

Każda epoka musi wytworzyć swoje własne, oryginalne formy organizacji zawodowej; nasza epoka czuje już ból tego porodu. Obserwując współczesne zjawiska społeczne widzimy pierwsze zaчатки przyszłej organizacji korporacyjnej w związkach zawodowych robotniczych (których najstarszymi i najdojrzałszymi okazami są brytyjskie Trade Union'y), w organizacjach przemysłowców oraz w ruchu spółdzielczym rolników, tak potężnie rozwiniętym w Danji, Czechach, Polsce, Holandji i przedhitlerowskich Niemczech. Spółdzielnie Spożywców oraz Spółdzielnie Pracy stanowią również elementy przyszłej organizacji korporacyjnej.

Jak dotychczas Związki Zawodowe skupiały swe wysiłki na poprawie bytu robotników w ramach systemu kapitalistycznego. Kłopotaly się one ubezpieczeniami społecznymi, placami i warunkami pracy. Poza ten szablon wychodziły rzadko, a jeśli niektóre z nich snuły nawet śmielsze rojenia przebudowy społecznej, to sprowadzały się one przeważnie do upaństwowienia całego przemysłu. Idee korporacyjne nie przeniknęły jeszcze do ich świadomości. Tym niemniej Związki Zawodowe oraz Spółdzielnie stanowią węgly narastającej budowli korporacyjnej. Zacznie się ona jednak wznosić szybko i sprawnie dopiero wówczas, gdy Związki Zawodowe zrozumieją swe historyczne powołanie i uprzytomnią sobie, że najgłębszy sens ich działalności leży w rozwoju ustroju korporacyjnego a nie kolektywizmu, w którym — jak tego dowiódł przykład Rosji Sowieckiej — Związki Zawodowe są tylko kukłami na usługach rządu.

Migawki. Nie zamierzam tu pisać uczonej rozprawy na temat organizacji korporacyjnej; wymagaloby to setek stronnic, a mam ich do dyspozycji zaledwie kilka. Pragnę tylko pomóc czytelnikowi do przemyślenia paru stron tego zagadnienia, chcąc pobudzić jego myśli i wyobraźnię.

* * *

Do najważniejszych funkcji gospodarczych należy rozdział dóbr. Rozdział ten odbywa się drogą milionów codziennych transakcji. Rozdział między sprzedawcę a nabywcę zależy od ceny, zaś między pracodawcę a pracobiorcę — od płacy. Wszelkie próby pozostawienia tego rozdziału anarchicznemu współzawodnictwu (liberalizm) czy też scentralizowanej biurokracji (komunizm, totalizm), prowadzi do masowych krzywd.

Między jednostka, milionowym ułamkiem ludzkiej masy, a społecznością — daleka abstrakcja uosobiona w majestacie Głowy Państwa, w todze Sedziego czy palce Policjanta — powinien istnieć jakiś organ pośredni, któremu szary człowiek mógłby powierzyć część swej wolności wzamian za stałe oparcie — a u kogoż znajdzie on lepsze oparcie, niż u swych kolegów po fachu? Ludzie pracujący w tym samym zawodzie najtrafniej ocenia postępowanie swego kolegi i poha-

muja go, jeśli zacznie się wylamywać z kodeksu obyczajów, przyjętych w danym zawodzie. Kodeksy: Boski i Karny są zbyt dalekie i zbyt ogólnikowe dla codziennej pracy zawodowej; krawiec, lekarz, górnik, inżynier, rolnik czy monter potrzebują praktycznych przepisów i regul, których sedzia i stróżem może być tylko korporacja zawodowa. Ona to utrzymuje jednostkę w silnych karbach moralnych; ona pilnuje zawodowego honoru i dyscypliny, nakłada kary i udziela odznaczeń. Ona pomaga pracującemu człowiekowi do uzyskania godziwej płacy i ceny oraz do »wyzwolenia się od niepewnych warunków życia proletariackiego, którego zmienność miota pracownikami na wszystkie strony« (»Quadr. Anno«); ona wreszcie baczy, by dany zawód zajął należne sobie miejsce w całości gospodarki narodowej, a tym samym by otrzymał słuszny udział w dochodzie narodowym.

Równocześnie jednak powinna korporacja czuwać, by jej członkowie nie nadużyli swej przewagi gospodarczej na szkodę innych grup społecznych. Najtrudniejsze to może jej zadanie.

* * *

Człowieka powinno wiazać z jego zawodem prawdziwe powołanie. Dzisiejszy człowiek utracił poczucie dumy i zadowolenia ze swego fachu. Teoretycy »cywilizacji przemysłowej« uważają pracę za koszmar życia codziennego; zdaniem ich powinno się ją »odwalić« w możliwie krótkim czasie, by móc żyć — przez resztę dnia — w sposób wymarzony przez »postepowego« człowieka. »Metody przemysłowe zwiększyły rozdział między pracą a instynktem i zniszczyły radość, jakiej się doznaje przy robocie ręcznej, która daje rzemieślnikowi coś podobnego do zadowolenia artysty« — pisze Bertrand Russell*). Chcac zostać mistrzem musiał dawny rzemieślnik wykonać »majstersztyk«, w który wkładał całą swą duszę. Pięknie określił to św. Tomasz: »Racje, którymi kieruje się umysł rzemieślnika przy wykonaniu swego dzieła, są sztuką.« (C. Gent. 93).

W związku z zanikiem sztuki w pracy fachowej, Russell w następujący sposób wyobraża sobie dzień »postepowego« człowieka: »Jeśli złamiemy nogę« — pisze on — »stanie się ona chwilowo najważniejszą częścią ciała. Skoro jednak zrośnie się i możemy znów chodzić, zapomi-

*) »Perspektywy Przemysłowej Cywilizacji«, tłum. polskie, Rój, 1933, str. 184.

namy o jej istnieniu. Podobnie powinniśmy odnosić się do gospodarczej strony życia; powinniśmy być zdolni do korzystania z jej urządzeń bez myślenia o nich przez cały dzień. Materialne potrzeby wszystkich ludzi możnaby, normalnie biorąc, zaspokoić, gdyby każdy członek społeczeństwa pracował przez parę godzin dziennie. Ale dopiero na pozostałe godziny należałoby zwrócić główną uwagę — na godziny, które możnaby poświęcić rozrywkom, sztuce, nauce, miłości i lasom i zielonym polom skapanym w blaskach słońca.« (str. 47).

Katolik nie zgodzi się na taki rozwód między życiem człowieka a jego pracą. Miłość do sztuki, natury czy wiedzy powinna znaleźć ujście w fachu obranym sobie przez człowieka. Niech miłośnik zielonych pól oddaje się rolnictwu, miłośnik nauki niech pracuje umysłowo, osoby o silnym nastawieniu uczuciowym niech uczą lub pielęgnują chorych. Powinno się znieść pewne rodzaje pracy zabójcze dla ducha ludzkiego, nie znane w dawniejszych czasach, a wynikające ze zbyt daleko posuniętego podziału pracy, który cechuje masową produkcję przemysłową. Prace należy zbliżyć do człowieka i dostosować ją do jego najgłębszych instynktów; nie wolno dopuścić, by przekształcała się ona w pańszczyznę. Korporacje Zawodowe mają tu ważną rolę do odegrania. Powinny one czynić systematyczne wysiłki, by w każdym zawodzie wydobyć na wierzch najszlachetniejsze jego właściwości.

* * *

Zagadnienia takie jak szkolnictwo techniczne, praktyk zawodowych, prac badawczych, kredytów na działalność przemysłową itp. są dotychczas nieskoordynowane i rozproszone po różnych instytucjach, choć stanowią organiczną całość; konieczność scalenia ich w ramach korporacji zawodowych bije poprostu w oczy.

Jednym z najpilniejszych zadań przyszłych korporacji będzie stworzenie Poradni Drobnej Wytwórczości w połączeniu z ośrodkami badań. Powinien powstać nowy zawód — technika specjalisty, zatrudnionego przez korporację zawodową w charakterze doradcy warsztatów małych i średnich. Zniknie wówczas obecne uprzywilejowanie wielkiej produkcji, która stać na opłacanie najlepszych specjalistów, podczas gdy mały warsztat nie może sobie pozwolić na ich usługi i jest bezradny w sprawach technicznych. Z chwilą jednak, gdy większa liczba

pokrewnych warsztatów wejdzie z sobą w ścisły związek, będzie zdolna do opłacania doradców technicznych i laborantów, nie gorszych od wielkiej fabryki.

Dzisiejszy system kredytu przykrojony jest również wyłącznie do potrzeb wielkiej produkcji. W przyszłości każda prawidłowo zorganizowana korporacja zawodowa powinna się dorobić własnej instytucji kredytowej. Instytucja taka może być związana z systemem kredytowym całego kraju, powinna się jednak nastawić wyłącznie na potrzeby danego zawodu i mieć kierownictwo złożone z ludzi, rekrutujących się z jego szeregów. Oto jeszcze jedno zagadnienie o pierwszorzędym znaczeniu: wszyscy ludzie, działający w ramach korporacji zawodowej — czy to w jej kierownictwie czy w nauczaniu czy w kredycie — powinni wywodzić się spośród jej pracowników. Obecnie w obrębie każdego zawodu działa równoległe do siebie szereg grup, które wiedza o sobie mało i pełne są wzajemnej niechęci, gdyż wywodzą się z środowisk zupełnie sobie obcych, tworzących długą drabinę społeczną. Na samym jej dole widzimy autentyczny proletarijat — robotników, przodowników i podmajstrzych. O szczebel wyżej — pracowników umysłowych, rekrutujących się przeważnie z średnich warstw społeczeństwa. U samej góry panoszą się dyrektorzy, prawnicy, ekonomiści, księgowi, specjaliści od ogłoszeń — ludzie ciągający największe dochody, choć słabo związani z danym zawodem. Za kulisami wreszcie kryją się akcjonariusze w osobach emerytowanych admirałów, starych panien, które nie wystawiły nigdy swego nosa poza cztery ściany rodzinnego dworu, kapelmistrzów, bukmakerów, właścicieli barów i kin. Reżyserami zaś tego widowiska są aferzyści, eminencje trustów i holdingów, często ciemnego pochodzenia międzynarodowego.

Tak wygląda kapitalistyczna karykatura korporacji zawodowej. Przypomina ona osiemnastowieczną armję, w której na samym dole chłop pańszczyźniany brał kije, u góry zaś patent oficerski zastrzeżony był dla arystokraty, rzadko obeznanego z sztuką wojenną, a jeszcze rzadziej mającego osobisty kontakt z masą żołnierską.

* * *

Człowiek dzisiejszy odczuwa potrzebę przerzucenia jakiegoś mostu ponad przepaść, dzielącą pracę fizyczną od umysłowej. O ile

któraś z innowacji Hitlera przetrwa go, to będzie to zapewne przemysłowy okres pracy fizycznej dla młodzieży. Lopata w rekach matu-rzysty otwiera mu nowe widnokregi. Tak jak w większości armij nowo-czesnych każdy rekrut zaczynac musi od szeregowca i dopiero po pew-nym czasie awansuje na podoficera i oficera — podobnie w przyszłych korporacjach zawodowych każda najzdolniejsza nawet jednostka po-winna zaczynac prace zawodowa od pracy fizycznej, majac po tym moż-ność stopniowego wznoszenia sie w swym zawodzie aż do należącego jej zdolnościom stanowiska, chocby najwyższego. Każdy robotnik po-winien nosic w swej torbie narzedziowej — buławę generalnego dyrek-tora.

Sposób selekcji i awansu zdolnych jednostek stanowi najczulszy punkt w życiu każdej wielkiej organizacji, czy to Kościoła, czy wojska czy przemysłu; w tym ostatnim wypadku zagadnienie to da sie rozwiaczac należycie tylko przy pomocy sprawnie dzialajacych korporacyj zawo-dowych. Przy odpowiedniej organizacji szkolenia, praktyki zawodowej i awansu, miedzy wszystkimi szczeblami hierarchji przemysłowej po-winien sie zawiazac pewien »esprit de corps« — duch zbiorowy — charakteryzujacy każda prawidlowa społeczność. Taki duch pozwoli przelamac antagonizmy społeczne, pozostale w spadku po walce klas.

Ustrój, w którym przecietny czlowiek bylby przekonany, że jedyna przeszkoda w jego dalszym awansie społecznym jest jego brak zdol-ności — a nie przeszkody wynikajace z różnic klasowych — bylby bliski idealu.

* * *

Korporacja zawodowa przekreśla podzial na klasy. Podzial klasowy jest poziomy: jedna klasa wznosi sie nad druga jak szczeble w drabinie. Podzial korporacyjny jest pionowy; korporacja zawodowa obejmuje ludzi z wszystkich warstw społecznych — od robotnika po właściciela i dyrektora. Korporacjonizm skończy wiec walke klas, rozdzierajaca społeczeństwo nowoczesne.

Walka klas zniknie . . . ale czy nie pojawi sie w jej miejsce walka poszczególnych zawodów miedzy soba? Wydaje sie to bardzo prawdo-podobne. Trudno sobie wyobrazic społeczeństwo doskonale, bez spo-rów i tarc. Otwarte spory sa jednak lepsze niż ciche, tajone upośledzenie

poszczególnych zawodów. W niektórych krajach pewne galezie prze-mysłu sa w upadku, okregi wiejskie ulegaja wyludnieniu, rolnicy bankru-tuja, nie ma jednak nikogo, kto by sie za nimi ujal. W W. Brytanii w la-tach 1926/41 górnictwo węglowe bylo jaskrawo zaniedbane, co powo-dowalo masowe przenoszenie sie górników do innych zawodów. Nieza-dowolenie górników znane bylo ogólnie, nie podjeto jednak żadnych skutecznych kroków w ich obronie, aż dopiero dotkliwy brak węgla zmusil do wgladnienia w ich żale. Stocznie okretowe, przemysł włókien-niczny, przemysł budowlany, każdy wiekszy przemysł brytyjski przecho-dzil w ubiegłych dwudziestu latach okresy depresji, brak jednak bylo instytucyj powolanych do przyjścia im z pomocą, gdyż po liberalach odziedziczono przeświadczenie, że życie gospodarcze reguluje sie samo. I rzeczywiście — regulowalo sie samo, ale niezmiennie na korzyść wiel-kiego kapitalu, a kosztem pracowników.

Chcac temu w przyszłości zaradzic należy wytworzyc typ przy-wódcy zawodowego, który, pozostajac w ścisłej styczności ze swym środowiskiem zawodowym, będzie umial godzic jego interesy z dobrem całego społeczeństwa. Obecni przywódcy związków zawodowych sa jedynie przedstawicielami czarno-roboczego czynnika w przemyśle; brak im znajomości zagadnień technicznych i administracyjnych; nie sa dowódcami armji, ale delegatami rad żołnierskich. Czesto sa słabo obez-nani z własnym nawet zawodem; pelni sa nienawiści klasowej i maja zainteresowania ograniczone do stawek płacy i czasu pracy. Przedzier-żgniecie sie niektórych z nich w przywódców nowoczesnych korporacyj zawodowych okaże sie trudne. Dużo czasu uplynie, zanim doczekamy sie wreszcie takich szefów przemysłu, którzy ogarniac beda umyslem calokształt swego zawodu i jego stosunek do gospodarki narodowej i polityki, nie tracac równocześnie bliskiego kontaktu z masa robotnicza.

Spoleczeństwo, chcace przejść od walki klas do harmonji społecznej, musi wydac takich ludzi. Kształcenie ich zajmie dużo czasu. Nie można ich narzucic od góry, musza wyrosnac od dolu.

VIII.

USTRÓJ POLITYCZNY A GOSPODARKA

Władza a posiadanie. W Rozdziale VI. mówiliśmy o względach społecznych i gospodarczych, przemawiających za uspołecznieniem wielkich przedsiębiorstw. Za tym samym przemawiają również względy polityczne. Skoncentrowany kapitał trzyma w zależności od siebie masy ludzi i wywiera silny wpływ na rzady państwem, toteż popadnięcie wielkich przedsiębiorstw w ręce jednostek, nastawionych anty-narodowo lub anty-społecznie, powoduje poważne powikłania polityczne. Przed tym niebezpieczeństwem ostrzega nas Papież Pius XI w Encyklice »Quadr. Anno«, pisać:

»Zupełnie słusznie żąda się zastrzeżenia pewnych rodzajów dóbr dla państwa, ponieważ posiadanie tych dóbr daje taką potęgę, że jej ze względu na bezpieczeństwo państwa nie można zostawić osobom prywatnym.«*) To zdanie Papieża zaważyło silnie na kształtowaniu się poglądów katolickich na ustrój państwa.

Streścimy pokrótce te poglądy. A więc w społeczeństwie, nasiającym coraz silniej Chrześcijaństwem, większość jednostek stara się doskonalić duchowo. Ich życie wewnętrzne pogłębia się. Ich pogląd na świat dojrzewa. Ich osobowość nabiera wyrazu. Dzieje ucza nas, że społeczność złożona z takich członków naturalnym biegiem rzeczy dąży do samorządu. Na samym dole społeczeństwa, w gminie i związku zawodowym, zawierają się samorzady lokalne; powoli rosną one wszędzie i wznoszą się w rzady przedstawicielskie na miarę całego narodu. Wiara w równość duszy w obliczu Boga musi

*) Twierdzenie to można również odwrócić: można powiedzieć, że władze państwa nie mają dostatecznej siły do rządzenia, o ile pewne przedsiębiorstwa, o charakterze kluczowym, nie są w ich bezpośredniej dyspozycji.

z biegiem czasu znaleźć swój wyraz w równości każdego człowieka w obliczu prawa.

Żaden Chrześcijaнин nie żywi jednak złudzeń, jakoby »wola ludu« automatycznie dażyła do dobra. Ludzkość przypomina klebowisko wężów; masy puszczane samopas, bez oparcia o władzę naturalną, o autorytety swych najmedrszych i najcnotliwszych współobywateli, zejda szybko na manowce. Obok samorządu potrzebny jest rząd. Równowaga między Samorządem Obywateli a silną Władzą Państwa stanowi przeto tradycyjny cel dążeń ustrojowych krajów chrześcijańskich.

Nie będzie przesady w powiedzeniu, że społeczeństwa chrześcijańskie, w miarę jak pogłębiała się w nich Wiara, zmierzały z reguły do ustrojów, które najtrafniej można określić jako »autorytatywne demokracje«*). Charakterystyczną cechą takich ustrojów jest równomierne rozłożenie wpływów politycznych między Przedstawicielstwo Obywateli a silny ośrodek Władzy, nie wyloniony przez to Przedstawicielstwo. Współpraca dwu tak zasadniczo różnych czynników daje równowagę i stabilizację.

Społeczeństwo, oddalające się powoli od Chrześcijaństwa, albo porzuca rzady oparte na powadze Władzy i dochodzi do ustroju o nadmiernych luzach w rodzaju Trzeciej Republiki francuskiej, albo też porzuca samorząd i pozwala sobie narzucić rzady autokratyczne, jak się to stało w Trzeciej Rzeszy Hitlera.

* * *

Doświadczenie uczy, że Władza jest bezsilna, o ile nie ma oparcia we własności publicznej. Jedną z przyczyn, dla których powaga władzy upadła tak nisko w społeczeństwach demoliberalnych, był fakt, że obywatele zagarnęli całą własność dla siebie, nie zostawiając niczego rządowi. W krajach kapitalistycznych władza (istotna) leży w rękach kół, dysponujących wielkim przemysłem i finansami. Nominalny rząd jest ich pokornym sługą. Rzecz jasna, że siła i niezależność rządu wzrosłyby niepomniernie, gdyby przemysł i finanse znalazły się w jego bezpośrednim władaniu. Z chwila jednak upaństwowienia wszelkiej własności, jak się tego domagają wyznawcy Marksa i Lenina, popadamy w skrajność odwrotną i rzady przechodzą automatycznie w totalizm, jak się to stało w Rosji. Strzeżcie się więc, panowie socjaldemokraci!

Albo socjalizacja totalna, albo demokracja! Miedzy tymi dwoma pojeciami leży przepaść, której nie wypełnia żadne frazesy.

Z naszych rozważań w Rozdziałach IV i VI wynika wyraźnie, że dekoncentracja wiąże się z ustrojem politycznym, zbliżonym do ideału chrześcijańskiego. Jak wiemy jedynie niewielki ułamek produkcji, nie przekraczający 10—20%, nie nadaje się do dekoncentracji. Reszta gospodarki, a więc niemniej niż 80%, może i powinna uniknąć koncentracji i pozostać w rękach prywatnych. Nawet wśród wielkich przedsiębiorstw tylko niektóre należą do naturalnego zakresu działalności państwa; reszta należałoby uspołecznic w sposób bardziej elastyczny, oddając ją samorządom terytorjalnym, korporacjom zawodowym lub wspólnotom pracowników; te dwie ostatnie kategorie tworzyłyby ogniwa pośrednie między własnością publiczną a prywatną. Przy takim rozwiązaniu powstałby pewien stan równowagi między ogółem obywateli, władających indywidualnie przeważną częścią majątku narodowego, a Rzadem, dysponującym nie wieloma wprawdzie, ale zato kluczowymi przemysłami. Rząd cieszyłby się silnym autorytetem, a obywatele zachowaliby dostateczną miarę niezależności.

Upowszechnienie własności warunkiem samorządu. Osiemnastowieczni teoretycy demokracji, z Janem Jakubem Rousseau na czele, utrzymywali, że wybory wylaniają prawdziwych wybrańców ludu tylko wówczas, gdy osad wyborców kształtuje się swobodnie, bez nacisków zewnętrznych. Idąc po tej linii rozumowania powinniśmy domagać się zakazu zgromadzeń wyborczych, ulotek i agitacji; wyborcy powinno się może nawet skazać na »areszt domowy« na przeciąg ostatnich kilku

*) Najdoskonalszym przykładem takiej demokracji była w naszych czasach do niedawna W. Brytania. Ustrój Stanów Zjedn. A. P. ma budowę mniej zwarta. Trzecia Republika francuska stanowiła typowy, i mało zachęcający, przykład demokracji nieautorytatywnej.

Stolica Apostolska broniła się zawsze przed wiazaniem katolicyzmu z jakąś określoną formą rządów. Nie mogąc się powołać na teksty oficjalne musimy więc sięgnąć do doświadczeń historii. Uczy ona, że w jedynej epoce, w której pozwolono Chrześcijaństwu wykazać się początkami jakichś osiągnięć, tj. w Średniowieczu, wytworzył się pewien typ rządów — autorytatywnych zarazem i samorządnych — które wydają się zgrubsza odpowiadać temu, co św. Tomasz ochrzcił mianem »ustroju złożonego« (regimen commixtum) i co uważał za najlepsze.

dni przed głosowaniem; wszystkie jego stosunki ze światem zewnętrznym — nawet za pośrednictwem gazet i radja — powinny na ten czas ulec przerwaniu. W niektórych krajach zwykło się trzymać sędziów przysięgłych w odosobnieniu; praktyka ta okazała się bardzo skuteczna przy wymiarze sprawiedliwości. I kardynałowie, zebrani w conclave dla wyboru Papieża, odcięci są czasowo od świata zewnętrznego; przed głosowaniem szukają oni natchnienia w modlitwie i samotnych rozmyślaniach. Czy obywatela, powołanego do głosowania, nie należałoby również odosobnić na pewien czas? W takim odgradzeniu od świata zewnętrznego wyborca mógłby przeprowadzić rachunek swego obywatelskiego sumienia i dojść do decyzji, nie opartej na odruchach uczuciowych. Nawet po drodze do lokalu wyborczego powinno mu się może zakazać rozmów i czytania afiszów wyborczych. Wola zbiorowa, wyrażona w taki sposób, byłaby prawdziwie owocem namysłu a nie wybuchem impulsu . . .

Rozmyślnie przejrzałem ten tok rozumowania aż do granic karykatury, tym niemniej mieści się w nim spore ziarno prawdy. Wszelka propaganda gra na uczuciach i namietnościach, nie służy więc zamysłom tych, którzy pragną dowiedzieć się prawdziwej woli społeczeństwa, ale służy głównie kombinacjom aferzystów politycznych, chcących nabrac swych współobywateli i zmusić ich do głosowania wbrew ich własnym interesom. W społeczeństwach kapitalistycznych długotrwałe okresy wyborcze stanowią regule; w tym czasie ogromne kapitały płyną na propagandę. Im dłuższy okres agitacji i im większa suma pieniędzy wydanych na akcje wyborcze, tym większe oszolomienie ogarnia wyborców. Po kilku tygodniach, a w niektórych krajach nawet po kilku miesiącach takiej orgji propagandowej, przeciętny człowiek gotów jest głosować naprzekór temu, co uważał za słuszne przed rozpoczęciem kampanji wyborczej.

Wyobraźmy sobie teraz wybory w społeczeństwie kolektywistycznym. Każdy człowiek pracuje w kolchozie czy fabryce i żyje w kolektywnym budynku. Od świtu do zmroku zalewają go fale propagandy; kusząco lub groźąco przemawiają do niego głośniki, namawiają, podniecają, rycza w jego warsztacie, w czasie przerwy obiadowej, nawet w godzinach odpoczynku po pracy. Powstaje psychoza zbiorowa, w której zatracą się indywidualne rozeznanie.

W społeczeństwie kolektywistycznym dyrektor Urzędu Planowania planuje wole ludu; planuje on nawet odsetek głosów, które padną na kandydatów opozycji jego Kolektywistycznej Mości. Stalin i Hitler doprowadzili te metody do doskonałości.

Indywidualny warsztat i indywidualne gospodarstwo rolne stanowią nieodzowny warunek prawidłowego działania rządów przedstawicielskich. Totalizm własności prowadzi nieodwołalnie do totalizmu władzy. Człowiekowi zależnemu gospodarczo trudno wytworzyć sobie niezależne zdanie o sprawach publicznych. Chcac zachować wolność, musi społeczeństwo oprzeć się na ludziach, którzy kierują się własną wolą i polegają na własnej zaradności.

Jednostronny parlament. Dziewiętnasty wiek wytworzył dużo dziwolągów ustrojowych; wśród nich czołowe miejsce zajmuje parlament, pozbawiony przedstawicielstwa interesów gospodarczych. W parlamencie średniowiecznym rolnictwo reprezentowane było przez szlachtę, a handel i przemysł przez mieszczan. W czasach nowoczesnych powstało domniemanie, jakoby członkowie parlamentu reprezentowali jedynie oderwane ideały swych wyborców. Tym czasem ludzie obeznani z kulisami parlamentu wiedzą doskonale, jakie interesy mają tam swych przedstawicieli i w czyich osobach; jest publiczna tajemnica, którego z posłów finansują przedsiębiorstwa żeglugi, którego kopalnie, którego towarzystwa ubezpieczeń a którego międzynarodowe koła finansowe.

Taki stan rzeczy sprzeczny jest ze zdrowym rozsądkiem — i z dobrymi obyczajami. Interesy gospodarcze odgrywają w polityce rolę znaczną, toteż powinny jawnie dochodzić do głosu w kierownictwie spraw publicznych. Czyż nie jest rzeczą nienaturalną, by przywódca setek tysięcy górników czy robotników portowych, znających go na wylot i obserwujących jego karierę od robotnika po ministra, musiał, z chwilą gdy zechce dostać się do parlamentu, ubiegać się o głosy nieznanym sobie wyborców w jakiejś zapadłej dziurze prowincjonalnej? A jeśli przypadnie w wyborach do parlamentu, to czyż jego związek ma zostać bez przedstawicielstwa? A może ma się zadowolić obroną swych interesów w parlamencie przez kogoś zupełnie nie obeznanego ze sprawami danego zawodu? A co z przedstawicielstwem rolników i przemysłowców?

W życiu społecznym człowieka dwa czynniki odgrywają rolę zasadniczą: jego miejsce zamieszkania i jego zawód. »Jak bowiem sąsiedzka łączność, wynikająca z natury, skłania mieszkańców poszczególnych miejscowości do łączenia się w gminy« — pisze Pius XI — »tak też wykonywanie tego samego zawodu, gospodarczego czy innego, skłania ludzi do zawiązywania organizacji zawodowych.« (Quadr. Anno).

Samorząd na wszystkich swych szczeblach (do parlamentu, nie będącego przecież niczym innym niż najwyższym szczeblem samorządu, włącznie) ma więc dwie podstawy naturalne: miejsce zamieszkania każdego obywatela i jego zawód. Chroma każdy ustrój, który organizacjom zawodowym odmawia miejsca w samorządzie i parlamencie.

Wnioski. Zresumujmy nasze dotychczasowe wywody. A więc godziwość ustroju zależy od spełnienia trzech warunków materialnych, którymi są: (1) ujarzmienie kredytu (przez jego uspołecznienie); (2) ujarzmienie maszyny (prowadzące do upowszechnienia własności); (3) zawiązanie potężnych korporacji zawodowych, równoważących władzę państwa.

Oto są materialne warunki godziwego ustroju; potrzeba im dopełnienia w dziedzinie ducha. Tylko czynna Wiara daje człowiekowi dojrzałość, niezbędną do samorzutnej dyscypliny i dobrowolnego współdziałania, bez których nie ostoi się żadna wolna instytucja. Człowiek niewierzący, o duszy skarłalej, poddaje się bezwolnie tyranii Lichwiarza, Maszyny i Państwa.

IX.

GOSPODARKA MIEDZYNARODOWA

Smutna opowieść o Wuju Samie. Najsłynniejszy z polskich dziejopisów, Jan Długosz, żyjący w wieku XV, był kanonikiem w kapitule katedry krakowskiej i wierzył z prostotą, znamionująca ludzi Średniowiecza, że Bóg wymierza człowiekowi sprawiedliwość jeszcze za życia. Opisując jakąś wyprawę wojenną Długosz nie omieszkiał nigdy zaznaczyć, że klęska była bezpośrednim skutkiem czyjegoś grzechu, a zwycięstwo zesłane było przez Opatrzność w nagrodę za czyjeś cnoty.

Dogmaty katolickie milczą w tej sprawie. Wolno katolikowi wierzyć lub niewierzyć w sprawiedliwość doczesną. Wielu wierzy za Długoszem, że naogół (wyjątki potwierdzają tu regule) placimy rachunek lub otrzymujemy nagrodę jeszcze za życia. Sprawa to wiary lub niewiary; kogo nie przekonał tragiczny koniec Nerona, Napoleona czy Trockiego, niech sobie przeczyta piękną książkę Thorntona Wildera pt. »Most San Luis Rey«. Jej watek jest następujący: W r. 1714, w Peru, zrywa się most ze splecionych lian, przerzucony między urwistymi brzegami głębokiego parowu. W tej katastrofie traci życie pięć osób z wszystkich warstw społecznych, od wysoko urodzonej markizy po żebraka. Ich śmierć wpływa przygnębiająco na ludność okoliczną. Były to czasy, w których ludzie zwykli się modlić o zachowanie ich od »głodu, moru i naglej a niespodziewanej śmierci«; gwałtowny koniec, pozbawiający ofiarę możliwości pojednania się z Bogiem, uważano wówczas za straszliwe nieszczęście.

Pobożny braciszek zakonny imieniem Juniper poświęcił swą uwagę tej katastrofie i postanowił zbadać żywoty zabitych, spodziewając się rozwiązać na tym przykładzie zagadkę wyroków Opatrzności. Przeprowadził dochodzenia, napisał obszernie dzieło i wyciągnął śmiało wnioski.

W końcu spalono go na stosie. Thornton Wilder twierdzi, że udało mu się odkryć źródła informacji nieznanego bratu Juniperowi. Podjął on prace zakonnika i napisał biografie pięciu ofiar katastrofy. Biografie te okazały się w wysokim stopniu rewelacyjne; wyszło na jaw, że każda z osób, które znalazły śmierć na moście San Luis Rey, doszła była w swym życiu do chwili, w której nagle zgon stanowił dla niej najszcześniejsze rozwiązanie. Dużo nowych faktów ujawniło się, obalając utarte zdania o pięciu nieboszczykach. U osób sadzonych za życia niechętnie przez otoczenie, odkryto utajone zalety i nieznanego dobre uczynki. Wydaje się, że każdy ze zmarłych pełen był cnoty Miłości i otrzymał w nagrodę szczęśliwą śmierć.

* * *

Póki chodzi o życie prywatne, wielu ludzi oczekuje doczesnej kary i nagrody; w życiu natomiast publicznym ci sami ludzie nie oglądają się na względy moralne. Spotyka się jeszcze czasem (chociaż rzadko) meżów stanu, którzy przestrzegają pewnych zasad etycznych w życiu wewnętrznym własnego kraju, atoli w stosunkach międzynarodowych ogromna większość polityków uważa, że »cel uświęca środki«. Jeśli zaś przypadkiem zaznaczy się gdzieś odruch moralności międzynarodowej, to bywa on zwykle wywołany jakimś szczególnie jaskrawym wypadkiem złamania zobowiązań czy napaści. Rekordowa zdrada, zbombardowanie otwartego miasta, zatopienie statku szpitalnego, otwarte podeptanie uroczyszcia podpisanego traktatu, potrafią jeszcze wzniecić jakieś wzniosłe uczucia. Ale codzienny tryb postępowania jest a-moralny, o ile nie cynicznie niemoralny.

Szczególnie tam, gdzie chodzi o stosunki międzynarodowe o charakterze gospodarczym, nowoczesne umysły nie krepują się żadnymi zasadami, gdyż liberalni ekonomiści obwieścili światu uroczyszcie, że międzynarodowa gospodarka reguluje się automatycznie sama ku największemu pożytkowi całej ludzkości. Ta »naukowa« teza, choć wysoce zachęcająca, nie znalazła niestety potwierdzenia w przebiegu wypadków. Świat podzielił się automatycznie na państwa wyczyszczone i wyczyszczone, które stosują wobec siebie bardzo brzydkie zwyczaje, znane nam aż nazbyt dobrze pod nazwą monopolu, lichwy itp.

Że te brzydkie zwyczaje mszcza się dotkliwie, gdy stosują je wobec

siebie obywatele tego samego państwa, o tym mówiliśmy w rozdziałach poprzednich. Co dzieje się jednak jeśli zwyczajnie takie stosują całe narody? O odpowiedź nietrudno. Przyglądając się uważnie praktykom, przyjętym w międzynarodowych stosunkach gospodarczych, dostrzeżemy w ostatnich choćby tylko czasach szereg wypadków, w których kara była rychła i dotkliwa.

Weźmy przykład jaskrawy: politykę gospodarczą Stanów Zjedn. w ostatnim trzystoletniu, politykę kraju bogatego i niedoludnionego, któremu Europa przez lat sto posyłała swe najlepsze siły robocze i tyle kapitału, ile tylko zechciał, kraju niezagrożonego przez nikogo, a więc wolnego od wydatków na zbrojenia.

W latach 1914/18 Stany Zj. zaopatrywały Europę w broń na warunkach monopolowych i bogaciły się ogromnie. Po wojnie należały na spłatę długów wojennych. Rzecz prosta, Europa nie mogła płacić inaczej niż posyłając swe towary za ocean. Wówczas to Stany Zj. wykorzystywały przymusowe położenie swych dłużników i podniosły cła, ustanawiając istne barjery celne*). Europa zubożała, wygłodniała, pozbawiona surowców i przemysłu musiała kupować towary amerykańskie po cenach nadmiernych, sprzedając równocześnie swe własne produkty poniżej ich godziwej ceny. Doprowadziło to do spaczenia bilansu płatniczego Europy, która, nie będąc w stanie pokrywać swych zobowiązań wywozem swych zdeprecjonowanych towarów, musiała posyłać za ocean — złoto. W końcu wyzbyła się ona większości swego kruszcu; jej waluty zmuszone zostały do porzucenia miernika złota, jej gospodarka uległa zdławieniu. Słabość rynków europejskich wpłynęła z kolei paraliżująco na przemysł amerykański i przyczyniła się do straszliwego przesilenia lat 1929/33.

* * *

*

Po r. 1917 stopy złota zaczęły się gromadzić w skarbcach amerykańskich; piętrzyły się one z roku na rok i rosły jak lawina. Nadeszła

*) O ile wysokie cła stosuje mocarstwo wierzycielskie, zakłócają one gospodarkę światową. Nie wynika jednak z tego bynajmniej, by należało potępiać ochronę celną w każdym wypadku, albowiem umiarkowane cła, stosowane przez kraje dłużnicze, mogą okazać się korzystne dla utrzymania wewnętrznej harmonii gospodarczej tych krajów, bez szkody dla krajów innych.

wreszcie chwila, kiedy Stany Zjedn. pochowały w swych skarbcach 69% całego światowego zapasu złota i stanęły wobec pytania: co z nim zrobić? Wczujmy się na chwilę w rozterkę fabrykanta, który nie dopłaca swym dostawcom i robotnikom, liczy za swe produkty ceny wygórowane, a po tym kłopotuje się, co zrobić z pieniędzmi? Ma on do wyboru trzy drogi: inwestycje, wypożyczenie na procent i tezauryzacja. Wuj Sam — kapitalista popróbował po kolei każdej z tych dróg. Na początek postanowił inwestować zagranicą. Jeden naród wydał mu się szczególnie godny zaufania — a mianowicie Niemcy. Dostali oni miljarde na warunkach umiarkowanych, podczas gdy krajom mniej zaufanym udzielono pożyczek oprocentowanych na 7%—8% rocznie, o kursie emisyjnym znacznie poniżej stu, a kursie wykupu powyżej stu. Przy uwzględnieniu prowizji banków pośredniczących w emisji, rzeczywiste odsetki od tych pożyczek przekroczyły w wielu wypadkach 10% rocznie.

Wielka finansjera zarobiła na tych pożyczkach słono, gdyż prowizje jej płatne były gotówką, toteż kłosa bankowe wychwalały uporczywie ten typ transakcji finansowej; nie braknie też nigdy ekonomistów, gotowych wynająć swe pióra dla podtrzymania twierdzeń bankierów. Wystarczy jednak rzucić okiem na przedwojenne notowania giełdy nowojorskiej by się przekonać, że im wyżej oprocentowana była jakaś pożyczka, tym niższy był jej kurs. Publiczność amerykańska straciła na tych pożyczkach dużo pieniędzy, a i pożyczające narody wyszły na nich źle. Nie trudno udowodnić, że ten lichwiarski pieniądz nie przyniósł szczęścia nikomu — prócz bankierów.

Po r. 1929 dłużnicy Wujka Sama popadli w niewypłacalność. Zniechęcony tym przerzucił się on na tezauryzację. Jak wiadomo, tezauryzacja powoduje bezrobocie, nic przeto dziwnego, że w czasie, gdy Stany Zjedn. »sterylizowały« złoto*) (co stanowi klasyczny sposób »duszenia grosza«), bezrobocie doszło w Stanach do cyfr rekordowych, powodując masowe bankructwa i samobójstwa oraz morze nędzy.

Prawda, jaka to smutna historia?

*) Prez. Roosevelt wydał w r. 1933 ustawę, w myśl której złota wpływającego do Stanów Zjedn. nie dopuszczano do obiegu, ale składano je w forcie Knox, należącym do Rządu Federalnego. Te procedury ochrzczone mianem »sterylizacji złota«. Zmierzano one do uchronienia rynku amerykańskiego od zakłócenia przez przelewające się z kraju do kraju zapasy złota, należące do ogarniętych paniką kapitalistów zagranicznych.

Starzy znajomi. Tak więc na szerokiej arenie gospodarki światowej spotykamy znowu naszych starych znajomych, popularne postacie każdej gospodarki narodowej: zysk i monopol, lichwe i tezauryzacje, place i cene (figurujące tu pod zwodniczą nazwą »warunków handlu zagranicznego«), oraz dziwaczne leki, stosowane w wypadkach chronicznego bezrobocia. Zanim zamkniemy te książki, rzucmy jeszcze okiem na każde z nich.

* * *

Zasada podziału pracy stosuje się podobnie na rynkach międzynarodowych, jak na rynkach wewnętrznych. Niektóre narody wytwarzają maszyny, inne żywność, inne jeszcze surowce przemysłowe; niektóre specjalizują się w przewozach morskich, inne w turystyce. Ilekroć dojdzie między narodami do podziału pracy, handel międzynarodowy nabiera życiowego znaczenia, a dla narodów takich jak W. Brytania, które nie produkują potrzebnej sobie żywności, staje się sprawą życia i śmierci.

Pojęcie godziwej ceny ma więc — a raczej powinno mieć — tę samą wagę w wymianie międzynarodowej co w handlu wewnętrznym. Pojęcie to robi się jednak jeszcze bardziej zawile z chwilą, gdy zahacza o międzynarodowe stosunki pieniężne i polityczne, z ich komplikacjami i płynnością. Dlatego też w handlu międzynarodowym nie mówimy o cenach, ale o »warunkach handlu« (terms of trade), pod którymi ekonomiści rozumieją »względne ceny przywozu i wywozu«. Np. swego czasu »warunki handlu« między niektórymi krajami europejskimi a Chinami uważano za »zadowalające«, jeśli wzamian za towar, wytworzony jednodniową pracą wykwalifikowanego robotnika europejskiego, udawano się uzyskać produkt ośmio- lub dziesięciodniowego mozolu chińskiego kulisa.

* * *

Niegodziwe warunki handlu mają swe źródło w przypadku lub przymusie. Klasycznym przykładem tej pierwszej kategorii był malowniczy epizod, znany w dziejach pod nazwą »milczącego handlu«. W r. 1470 portugalscy odkrywcy pojawili się w tej części wybrzeża zachodnio-afrykańskiego, której nadano później nazwę »Złotego Wybrzeża«

(Gold Coast). Klimat był tam morderczy a tubylcy dzicy, toteż Portugalczycy woleli pozostać na swych okretach i z ich pokładu rozpoczęli dziwny rodzaj handlu. W czasie dnia kładli na wybrzeżu towary portugalskie; w nocy tubylcy układali przy tych towarach pewne ilości złota i kości słoniowej. Jeśli kupiec uważał zapłatę za wystarczającą, zabierał ją następnego ranka, zostawiając towar na brzegu; jeśli nie, zostawiał złoto i kość słoniową nietknięte obok towaru; wówczas tubylec, domyślając się, że zapłata była niedostateczna, przynosił następnej nocy więcej.

Zbędne chyba tłumaczyć, że »warunki« tego handlu były fantastyczne. A czy były godziwe?

W tym szczególnym wypadku mogło się rzeczywiście zdarzyć, że wysiłek tubylców przy zbieraniu złota i kości słoniowej był równy albo nawet mniejszy od wysiłku portugalskiego wytwórcy i kupca. Był to jednak wypadek wyjątkowy. Naogół niesprawiedliwe warunki handlu, spowodowane przypadkiem, wynikają albo z nieświadomości jednej z handlujących stron albo z braku równowagi w stosunku wymiennym dwu walut (t. zn. z różnicy w sile nabywczej dwu walut na ich rynkach krajowych). Jeśli na skutek wahań walutowych praca w jednym kraju stanie się tańsza od pracy w kraju drugim, »warunki handlu« będą korzystne dla kraju o walucie wyższej. W zwykłych okolicznościach stan taki bywa przejściowy i wcześniej czy później następuje przywrócenie równowagi.

Czy w wypadku codzioziemca, podróżującego po kraju pogrążonym w inflacji (gdzie obcy pieniądź ma ogromną siłę nabywczą) zachodzi jakiś casus moralny? Jak powinien postępować szczęśliwy podróżnik? Jest to ciekawy problem dla moralistów i nauczycieli dobrych obyczajów w życiu międzynarodowym. Zainteresowane ludy mają w takich razach instynktowne poczucie, że jest nieprzyzwoitością ze strony cudzoziemców czynić w ich krajach zakupy, póki trwa jaskrawa rozbieżność wartości pieniądza. W krajach dotkniętych inflacją wywiązuje się z reguły silna ksenofobia.

Nie będziemy tu analizowali szerzej tego wypadku, który ma charakter przejściowy. Druga natomiast z wymienionych powyżej odmian niegodziwego handlu, a mianowicie wykorzystanie nieświadomości nabywcy, zachodzi bardzo często i jest równie godne napiętowania w handlu

miedzynarodowym jak krajowym. Ten rodzaj oszustwa wydaje się stanowić istotę handlu kolonialnego.

* * *

Przypadek i nieświadomość są czynnikami nieobliczalnymi i ich działanie trwa niedługo, toteż międzynarodowi kupcy wola opierać swe zyski na warunkach handlu narzuconych przymusem. Przymus ten stosuje się na tyle różnych sposobów — lista ich wydłuża się z każdym rokiem — że nie podejmujemy nawet próby sporządzenia ich wykazu. Dla przykładu zacytujemy tylko: monopole międzynarodowe; cła stosowane przez potężne mocarstwa wierzycielskie; rozmyślnie »przecenienie« własnej waluty lub przymusowe narzucenie nadmiernie niskiego kursu walucie jakiegoś zależnego od nas kraju; krzywdzące traktaty handlowe, zawarte przy pomocy przekupstwa lub nacisków politycznych i wojskowych; pożyczki zagraniczne zaopatrzone w klauzule, zmuszająca do zużycia pożyczki na zakup pewnego określonego produktu, wytwarzanego przez kraj udzielający pożyczkę, przy czym cena tego produktu wyznaczona jest szczególnie wysoko; administracja kolonialna szczególnego typu, w zмовie z plantatorami i kupcami, itp.

Wszystkie te metody mają wątpliwą wartość moralną, toteż niektórzy dystyngowani meżowie stanu wahają się, gdy przychodzi im je stosować. Chcąc ulżyć ich sumieniom, ekonomiści liberalni ukuli formule, znakomicie ułatwiająca usunięcie skrupułów, a zarazem pozwalająca uzyskać wspaniałe warunki handlu, a mianowicie formule rozróżniająca między narodami przemysłowymi a rolniczymi (surowcowymi). Zdaniem tych ekonomistów, tak jak w Starożytności uważano za naturalny podział ludzkości na dwie kategorie — ludzi wolnych i niewolników — podobnie w naszych czasach niektóre narody zasługują, na skutek swej działalności przemysłowej, na stopę życia szereg razy wyższą od stopy innych ludów, przeznaczonych przez Opatrzność do uprawy roli i produkcji surowców. Skoro takie rozróżnienie utrzyma się w głowach, można dekrety Opatrzności egzekwować siłą, wymuszając niską stopę życia chłopca czy kulisa na korzyść robotników państw przemysłowych.

Wolno wątpić, czy niektórym krajom rolniczo-surowcowym byłoby się udało, bez pomocy dwu wojen światowych, pozbyć się tego piętna niższości. Kraje te wykorzystały koniunkturę wojenną dla uru-

chomienia własnego przemysłu; przy tym, o dziwo, okazało się, że narody rzekomo upośledzone potrafią radzić sobie doskonale z produkcją przemysłową. W ten sposób rozwiał się jeszcze jeden z przesądów liberalnych. Obserwując to nowe zjawisko ekonomiści pośpiesznie wypracowali nową teorię, według której stary kraj przemysłowy zarabia znacznie lepiej dostarczając urządzeń przemysłowych krajom, które rozbudowują własny przemysł, niż sprzedając prymitywnym ludom sierpy, perkale i koraliki.

Można się różnie na to zapatrywać, w każdym razie to nowe stadium handlu międzynarodowego wydaje się słuszniejsze od dawnego.

* * *

Jednostronna przewaga przemysłu i handlu nad »niezyskowymi« usługami i rolnictwem prowadzi do upadku moralności gospodarczej. Taki argument nie trafi wprawdzie do przekonania żadnemu liberalowi, ma jednak dużą wagę dla każdego, kto przemyślał poglądy św. Tomasza i zgodnie z jego nauką rozróżnia dwa rodzaje zarobku: godziwy, który określiliśmy jako dochód, oraz wypływający z chciwości zysk. Przerost handlu wytwarza ogólną pogoń za zyskiem.

Mówiąc krótko: społeczeństwo jest zdrowe, jeśli ma dostateczną ilość rolników, którzy patrzą na palce kupcom i przemysłowcom. Nadmierny ped tych ostatnich do zysku rozbija się o »tepe lby« i bezwład mieszkańców wsi. Daje to gospodarce zrównoważoną, o pełnym zatrudnieniu, bez wyzysku i spekulacji. Naród żyje w dobrym zdrowiu duchowym i gospodarczym.

Klasycznym przykładem społeczności o przewadze handlu była Kartagina; rolniczy Rzym patrzył na nią jak na potwora. Niemcy zwykli porównywać W. Brytanie do Kartaginy, ponieważ po zniesieniu ochrony celnej w XIX wieku przyglądała się ona beczynnemu ruinie swego rolnictwa i jednostronnemu wzrostowi handlu i przemysłu. Ostatnia wojna anglo-niemiecka określali pisarze niemieccy jako »drugą wojnę punicką«. Błąd Niemców polegał na tym, że spojrzenie swe ograniczyli do samej tylko wyspy brytyjskiej i nie widzieli W. Brytanii w perspektywie jej Commonwealth'u, w ramach którego rasa brytyjska odtworzyła rolnictwo i scharmonizowała wszystkie galezie swej gospodarki.

Miedzynarodowy podział pracy ma wiele dobrych stron; pełna samostarczalność byłaby zbyt kosztowna, nawet gdyby była możliwa do osiągnięcia. Atoli równomierny rozwój wszystkich głównych galezi wytwórczości w granicach każdego kraju stanowi nie tylko warunek harmonii społecznej i niezależności politycznej narodów; stanowi również zasadniczą przesłankę ich zdrowia moralnego.

Takie czy inne clo czy subsydium, taka czy inna ochrona rolnictwa czy młodego przemysłu wydają się na pierwszy rzut oka ważne tylko dla bezpośrednio zainteresowanych. W perspektywie jednak dziejów ich skutki sięgają głęboko; przekształcają narody i kontynenty i powodują rozwój lub upadek imperiów.

* *

*

Monopole spotykamy częściej jeszcze w gospodarce światowej niż na rynkach wewnętrznych. Miedzynarodowy monopol przemysłowy, poparty polityką któregoś z mocarstw, potrafi zakłócić spokój całej ludzkości; często monopole takie prowadzą do konfliktów międzynarodowych. Wywalilibyśmy drzwi otwarte tłumaczyć, jak niezmiernie szkody wyrządziła monopolizacja surowców kolonialnych w reku paru szczęśliwych krajów. Zlikwidowana niedawno Liga Narodów poświęciła tej sprawie dużo uwagi. Bolączka to ogólnie znana i główni winowajcy ślubowali, że po wojnie dadzą wszystkim narodom »dostęp na równych warunkach do handlu i surowców świata« (Karta Atlantycka, sierpień 1941). Jak się zdaje, śluby te obowiązywały tylko w tym okresie wojny, w którym werbowano się sprzymierzeńców, i poszły w zapomnienie w późniejszym, zwyczajnym jej stadium. Nie ulega jednak wątpliwości, że zagadnienie to wróci na porządek dyskusji międzynarodowej. Dzięki mocy tropikalnego słońca uprawa surowców kolonialnych wymaga nieskończenie mniej ludzkiego wysiłku, niż uprawa roślin w krajach Północy; to zjawisko natury daje krajom, posiadającym kolonie, niezależnie wyższą stopę życia. Nie widać powodów, dla których niektóre narody miałyby na stałe monopolizować na swoją korzyść promienie zwrotnikowego słońca.

Nie to zresztą jest istotne, kto w przyszłości będzie władał koloniami; rzeczą najważniejszą jest przyznanie każdemu narodowi prawa do

uprawy własnych produktów tropikalnych i do finansowania tych produktów własnym pieniądzem, bez placenia cel ani podatków na rzecz kraju, rządzącego formalnie danym obszarem. Póki zadanie to nie doczeka się spełnienia, roszczenia kolonialne pozostaną czynnikiem, zakłócającym pokój świata.

* * *

Dalsze zagrożenie pokoju płynie z monopolu osadnictwa w niezaludnionych częściach świata, do których wyłączne prawa zastrzegło sobie parę narodów. Jedną z głównych przyczyn wojen, które przeorały świat w dwudziestym wieku, było przywłaszczenie sobie przez niektóre państwa obszarów dziewiczych, na których można by osiedlić miliony osadników z krajów przeludnionych. Społeczeństwa anglosaskie mają tu szczególnie dużo grzechów na sumieniu. Na szczęście pewne zrozumienie tych spraw zaczyna kiełkować w W. Brytanii. Towarzystwo Fabianów*) ogłosiło w r. 1940 broszurę zatytułowaną »Wschodnia Europa po Hitlerze«. Jej autorka, p. Doreen Warriner, pisze: »Z punktu widzenia przyszłości Imperium brytyjskiego, polityka migracyjna musi ulec zmianie. Największą krzywdą, którą Imperium brytyjskie wyrządza Europie, płynie z jego imperjalizmu społecznego (social-imperialism) — tj. jego polityki monopolizowania najlepszych terenów świata pod osadnictwo brytyjskie.« Zdanie to pokrywa się z poglądem katolickim, sformulowanym przez Papieża Piusa XII w mowie, wygłoszonej w Zielone Świątki 1941. W mowie tej Papież domagał się »korzystniejszego rozdziału ludzi na powierzchni ziemi.« Oświadczył on: »... Nasza planeta... nie jest pozbawiona innych możliwych do zamieszkania okolic i obszarów, nadających się do życia. Chociaż pozostawione obecnie dzikiej naturalnej wegetacji, nadają się te obszary dobrze do uprawy przez człowieka. Jest więc nieuniknione, że niektóre rodziny, wędrując z jednego miejsca na inne, udawac się będą na poszukiwanie nowej ojczyzny...«

»Gesto zaludnione kraje odczuwają ulgę, a ludność ich znajdzie sobie nowych przyjaciół w krajach obcych, państwo zaś przyjmujące u siebie

*) Słynne stowarzyszenie, założone w r. 1883 przy współudziale B. Shaw'a, H. G. Wells'a, małżeństwa Webb itp., poświęcone zagadnieniom przebudowy społecznej. Do »Fabianów« należeli wszyscy prawie wybitniejsi przywódcy brytyjskich Trade Union'ów oraz Partji Pracy.

emigrantów zyska nowych, pracowitych obywateli. W ten sposób zarówno narody dające, jak i narody otrzymujące, przyczynia się do wzrostu dobrobytu i do postępu ludzkiej kultury.«

Rekord samolubstwa w dziedzinie osadnictwa pobiła Australia, która, mając obszary wystarczające na osiedlenie przynajmniej trzydziestu milionów mieszkańców, ograniczyła swą ludność do siedmiu milionów i do ostatniej wojny wpuszczała w swe granice pięćdziesięciu białych cudzoziemców nie-brytyjskiego pochodzenia rocznie, przy czym każdy taki wypadek wymagał indywidualnej zgody ministra spraw wewnętrznych! Tak, to nie błąd druku, nie pięćdziesiąt tysięcy ale pięćdziesięciu!

W świetle doświadczeń ostatniej wojny Australia zdecyduje się może wprowadzić trochę altruizmu do swej polityki . . .

Milosierdzie w stosunkach między narodami. Dwa zasadnicze odkrycia wywróciły ostatnio do góry nogami nasze poglądy na międzynarodowe krażenie kapitałów. Po pierwsze stwierdzono, że w gospodarstwie narodowym, cierpiącym na chroniczne bezrobocie (a któreż z nowoczesnych państw wolne jest od tej choroby?) pożyczki udzielane zagranicy zwiększają silnie wytwórczość i zatrudnienie. Po drugie wykryto, że przyjmując zwrot pożyczki państwo-wierzyciel szkodzi z reguły swej gospodarce.

Zalóżmy, że jakieś państwo ma np. sześć milionów bezrobotnych. Jak wiemy najprostszym sposobem dania im pracy jest kazac im kopac dziury w ziemi; można też uruchomic zbrojenia albo — co już znacznie sensowniej — prowadzić roboty publiczne w dolinie rzeki Tennessee, w Indiach lub szkockich Highland'ach. Dlaczego idac po tej samej linii rozumowania nie mialoby się wytwarzac zbednych (dla krajowego spożycia) towarów i wysylac ich zagranice? Wszak wywóz wartości jednego miliona zwiększy spożycie krajowe o pare milionów. Bedzie to szczególnie korzystny interes: powiekszymy własny majatek narodowy i osiagniemy za granica pewne korzyści — pomożemy sprzymierzeńcowi wygrac wojne albo przyjdziemy z pomocą jakiemuś zbiedzonemu narodowi i zaskarbimy sobie jego wdzięczność, a ponadto stworzymy trwały zbył dla naszych towarów. Osiagnawszy tyle korzyści, czyż postapimy mądrze żadając zwrotu naszych pieniędzy? Pożyczka udzielona zagranicy,

to wywóz towarów; splata tej pożyczki — to przywóz, a przywóz szkodzi w wielu wypadkach naszej własnej gospodarce.

Oto jedno ze zdumiewajacych odkryc nowoczesnej ekonomii: doskonala metoda ożywienia gospodarki jest wywóz zagranice bez żądania zapłaty. Odnosi się to oczywiście w pelni tylko do narodów takich jak np. Stany Zjedn., które moga się obyc bez wiekszego przywozu. W. Brytania nie moglaby żyć bez ogromnego przywozu, ale i ona może ulatwic sobie rozładowanie swego bezrobocia starajac się o to, by jej wywóz przewyższal przywóz o pewna różnice, która z reguły powinna przybrac postac subsydium dla sprzymierzeńca lub też milosiernego daru dla któregoś z zabiedzonych obszarów świata*).

Ostatnie zdanie wywola uśmiech na usta niejednego czytelnika brytyjskiego. Brytyjczycy mieliby bezwrotnie wyrzucac swe pieniadze zagranice? Dlaczegoż ich poprostu nie wypożyczac? Odpowiedzmy slowami znanego pisarza brytyjskiego C. Hollis'a, który napisal w ksiazce pt. »Dwa narody«: »Te narody świata, które zaciagaja pożyczki, placa od nich odsetki tylko o tyle, o ile ich wierzyciele pożyczaja im nadal potrzebnych na to pieniedzy.« To samo odnosi się do samego kapitału pożyczek, który naogół splacany bywa tylko do wysokości doplywu nowego kapitału z kraju-wierzyciela do kraju-dlužnika. Może znajdzie się kiedyś jakiś docieklivy badacz, który podejmie się żmudnego zadania napisania prawdziwej historii międzynarodowego kredytu. Taka historia dostarczy wreszcie dowodu na to, co już dawno stanowi publiczna tajemnica, że pożyczki międzynarodowe nie sa z reguły splacane**), to

*) Oczywiście mam tu stale na myśli kraje o dużym nateżeniu bezrobocia. Tam, gdzie bezrobocia niema, możemy sobie wyobrazic wielkoduszny gest jednego narodu wzgledem drugiego w tej np. postaci, że jeden kraj ofiaruje dodatkowa godzinę pracy na rzecz drugiego. Byloby to milosierdzie czyste, nie dajace żadnych bezpośrednich korzyści (inaczej niż w wypadku narodu-ofiarodawcy cierpiacego na bezrobocie); tym niemniej korzyści moralne i polityczne takiego gestu moglyby być bardzo znaczne.

**) Rozróźnienie św. Tomasza między pożyczkami konsumpcyjnymi a produkcyjnymi zachowuje swa ważność i w stosunku do pożyczek międzynarodowych. Powyższe nasze uwagi odnosza się oczywiście tylko do pożyczek o charakterze konsumpcyjnym, gdyż międzynarodowe pożyczanie dla celów produkcyjnych przybiera zazwyczaj postac zakupu akcji przedsiębiorstw zagranicznych, co stanowi korzystna forme pożyczania, zgodna z druga z naszych tez (patrz str. 9): »Kapitaly nie powinny krażyc w formie pożyczek, lecz w formie udziałów.«

zaś, co miało być pożyczką, okazuje się często mimowolnym darem. Nie zmniejsza to zresztą w żadnej mierze korzyści gospodarczych narodu wierzyciela, pozbawia go tylko nimbu życzliwego dobroczyńcy, a ponadto lekko ośmiesza. Zdarzyło się to np. Francuzom, którzy przed r. 1914 pożyczili Rosji miliardy; nie otrzymali wprawdzie zwrotu swych pieniędzy, ale niewątpliwie wzbogacili się na nich, a zarazem uzbroili sobie sojusznika, który dopomógł im wygrać bitwę nad Marną i tym samym całą wojnę. Bezplodne zaś gromadzenie złota, charakteryzujące politykę monetarną Francuzów w okresie 1919/39, pozbawiło ich wpływów gospodarczych i zbrojnych sprzymierzeńców.

Stany Zjedn. wzmogły ogromnie swe bogactwo, dostarczając Europie (na kredyt) broni w latach 1914/18. Niestety po wojnie zażądały zapłaty. To żądanie zakłóciło poważnie gospodarkę amerykańską i europejską i koniec końców nie doczekano się spełnienia. W przeciwieństwie do Amerykanów, Brytyjczycy nie domagali się po r. 1918 żadnej zapłaty od swych sprzymierzeńców, a od swych wrogów tylko tyle, by pokryć żądania Ameryki. Istnieje stara tradycja brytyjska udzielania sprzymierzeńcom »subsydiów« (słowo to jest dyplomatycznym synonimem słowa »dar«). Brytyjczycy rozumieją doskonale, że żądając zwrotu pieniędzy, które podczas wojny wystrzelano i przejedzono, naraziliby na niebezpieczeństwo nie tylko gospodarkę narodu-dłużnika, ale zaszkodziłoby handlowi brytyjskiemu. Amerykanie nie mieli w swych dziejach precedensu wiarygodności powojennych, toteż popełnili po r. 1918 ogromne błędy. Mądrzy po szkodzi, przed wejściem do obecnej wojny postanowili darować W. Brytanii i jej sprzymierzeńcom potrzebną im broń i materiały (takie bowiem było prawdziwe znaczenie amerykańskiej ustawy Lease and Lend z r. 1941). Było to jedno z najmądrzejszych posunięć finansowych w dziejach. Miejmy nadzieję, że po ukończeniu wojny Stany Zjedn. nie zapomną, że w ich własnym interesie leży ofiarowanie spustoszonemu krajom Europy żywności, surowców i maszyn w formie bezzwrotnych darów, a nie pożyczek.

* *

*

»Ewangelia nie zna innego prawa miłosierdzia dla jednostek niż dla państw i narodów« — napisał Benedykt XV (Pacem Dei Munus, 1920). Podobnie jak społeczność ludzka nie utrzyma się bez miłosierdzia wobec

starych, chorych i bezrobotnych, podobnie społeczność narodów nie potrafi żyć pomyślnie bez miłosierdzia między narodami, bez pomocy okazywanej narodom ubogim i zacofanym przez narody potężne i bogate. Społeczność, w której chory leżący przy gościńcu nie doczekałby się swego miłosiernego Samarytanina, byłaby skazana na zagładę. Ten sam los czeka społeczność narodów, odmawiająca swym członkom pomocy w nieszczęściu i pozwalająca, by stawali się rozsądnymi niepokojem i rozpaczą.

Niezbadanym zrzadzeniem Opatrzności idealistyczna miłość i materialny dobrobyt powiązane są z sobą nierozdzielnie. Oto najdziwniejsze odkrycie współczesnej ekonomii: nie ma pomyślności bez miłosierdzia.

X.

EKONOMIA NA ROZDROŻU

W swej rewolucyjnej pracy pt. »Ogólna teoria zatrudnienia, procentu i pieniądza«, ogłoszonej w r. 1936, Keynes pisze o »głębokich różnicach, dzielących ekonomistów. Różnice te pozbawiły obecnie teorię ekonomiczną prawie zupełnie wplywu na praktykę; póki nie usuniemy ich, wplyw ten pozostanie minimalny«.

»Ja sam«, mówi Keynes, »głosiłem z przekonaniem przez wiele lat teorię, które obecnie zwalczam.« Wykładał on w Cambridge do niedawna tezy odwrotne od tych, które wykłada obecnie. Bedac jeszcze w pełnej ewolucji swych poglądów ekonomicznych zasiadł do pisania »Traktatu o pieniądzu«; »Ogólna teoria« napisał w parę lat później, kiedy jego wierzenia uległy już były zupełnemu odwróceniu. »To, co stanowi naturalną ewolucję mego umysłu, dalszy krok w kierunku, w którym posuwałem się od szeregu lat«, tłumaczy Keynes, »wydaje się może czytelnikowi dezorientująca zmiana poglądów«. Powiedzmy raczej — zuchwała i udana próba wydostania się na światło zdrowego rozsądku z doktrynerstwa dziewiętnastowiecznej ekonomii. Dzięki Keynes'owi i jego szkole kilka więcej przesadów, głoszonych przez nowoczesną naukę, uleciało z wiatrem. W kilku więcej sprawach wolno znowu człowiekowi wierzyć w to, co było oczywiście dla każdego prostaka, zanim nauka nie rozeszła się z religią. Wolno nam dziś znowu dążyć do słusznej płacy i godziwej ceny i głosić konieczność świadomego ład w gospodarce, zamiast puszczania cugli chciwości i żądzy człowieka. Wolno nam dziś znowu ostrzegać przed zdradliwością pieniądza i wolać na cały głos, że złoto jest przekleństwem a Szajlok pasożytem, choćby nawet przyczaił się w Banku Emisyjnym.

Za prawo powrotu do tych prawd naturalnych zapłaciła ludzkość drogą. Setki milionów ludzi musiało żyć w głodzie i rozpacz przez dzie-

siatki lat, póki ekonomiści nie odkryli, jak dalece byli w błędzie. W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku wmówili oni światu — rzucając tym wyzwaniem nauce katolickiej — że masy pracujące muszą żyć na stopie wystarczającej z trudem do wyżycia i że nieublagane prawa wolnego współzawodnictwa wymagają zerwania wszelkich więzów, łączących z sobą ludzi pracujących w tym samym zawodzie. W r. 1819 uchwalili parlament brytyjski — wbrew kanonom ówczesnej ekonomii i przy ostrym sprzeciwie ekonomistów — zakaz zatrudniania w przemyśle bawelnianym dzieci poniżej lat dziewięciu, przy czym prace dzieci w tym przemyśle ograniczono do dwunastu godzin na dobe! Zakaz ten nie objął jeszcze wówczas innych galezi przemysłu!! Podobnie protestowali ekonomiści przeciw skróceniu pracy ludzi dorosłych (dopiero w r. 1874 udało się skrócić ją w W. Brytanii ustawowo do dziesięciu godzin) i ubezpieczeniom społecznym wszelkiego rodzaju. W pierwszej połowie dwudziestego wieku zapłacił świat znowu tragedią milionów bezrobotnych za błędą (i również sprzeczną z nauczaniem katolickim) teorię pieniądza. Do niedawna musiano w wielu wypadkach postępować na przekór teom ekonomistów, gdyż posłuszeństwo ich doradcom groziło nieobliczalnymi nieszczęściami.

Dzięki Bogu ostatnio nastąpił zwrot i ludzkość może ponownie dawać posłuch wskazaniom ekonomii. Pod tym względem pokolenie nasze szczęśliwsze jest od naszych ojców i dziadów. Konieczność wyboru między wiedzą a religią przestaje zakłócać nasze sumienia. Nietylko ekonomia, ale i szereg innych galezi wiedzy uległo ostatnio nawróceniu. R. H. Benson, autor »Pana świata«, wyraził przed czterdziestu laty przekonanie, że postępy psychologii wezmą obrót katastrofalny dla religii. W rzeczywistości wypadki potoczyły się odwrotnie i katolik znajdzie w nowoczesnej psychoanalizie*), o ile tylko wyzwolonej od hypererotyzmu Freuda, pełno argumentów na poparcie swej wiary, jej symbolów i rytuału, leczniczej mocy spowiedzi, konieczności praktyk religijnych dla utrzymania zdrowia psychicznego itp.**). Również i biologia, niegdyś szczególnie oporna względem nauki chrześcijańskiej, obecnie idzie z nią reka w reke. Słynna książka Alexis'a Carrell'a pt. »Człowiek,

*) Np. w C. G. Jung'a »Psychologia a religia«.

**). Ciekawie pisze na ten temat Witcutt w swej »Psychoanalizie w świetle myśli katolickiej« (tłumaczonej świeżo na język polski).

istota nieznaną« sprowadziła wielu ludzi na drogę Wiary. Jeden z najważniejszych ciosów przeciw dziewiętnastowiecznemu materializmowi padł ze strony fizyków i astronomów, którzy doszli do rozłożenia materji na fale, u podstaw życia znaleźli indeterminizm (co pozwoliło uczonym uwierzyć w wolność woli) i doszli do »pojęcia wszechświata jako świata czystej myśli«, którego akt stworzenia musiał nastąpić »w umyśle jakiegoś Wiecznego Ducha«.*)

»Dziesięć lat temu każdy głośniejszy fizyk był determinista, czy też uważał się za takiego«, pisał Eddington. »A potem nagle determinizm ulotnił się z fizyki teoretycznej**. Rzecz ciekawa, że »nawrócenie« fizyki i ekonomii przypada na te same lata. I znów coś za uderzające podobieństwo między przyznaniem się Keynes'a do rewizji pojęć w ekonomji a melancholijnym stwierdzeniem Jeans'a, że »wiedza powinna zaprzestać wypowiedzi; zbyt już często nurt wiedzy zawracał w kierunku odwrotnym.«***) Toteż »bez względu na to, czy będa to wrota stodoły czy kościoła, człowiek nauki zrobi mądrzej godząc się być zwykłym człowiekiem i wchodzić przez te wrota, niż gdyby miał czekać, aż wszystkie trudności, związane z ingresem rzeczywiście naukowym, zostaną usunięte.«

Ekonomia wchodzi już do wrót kościoła.

Oczywiście nie brak galezi wiedzy, w których przepaść między nauką a religją nie została dotąd zasypana, ale w dzisiejszym stanie rzeczy katolik nie potrzebuje się tym niepokoić. Wystarczy mu cierpliwie czekać, aż zanikną obecne różnice, jak ich już tyle zanikło, ośmieszając tych, którzy zbyt pochopnie, wychodząc z niedotrązionych założań, występowali przeciw religji i Kościołowi.

Trafne ujęcie obecnego stanu wiedzy zawdzięczamy C. E. M. Joad'owi, profesorowi filozofii na uniwersytecie londyńskim. W swym »Przewodniku po myśli nowoczesnej« (1936) stwierdza on zdumiewający spadek zaufania do osiągnięć nauki. »Niektórzy uczeni«, pisał Joad (str. 109), »jak np. Schroedinger, wydają się uważać wiedzę za stosunkowo mało ważny środek dostępu do rzeczywistości. Jak się zdaje, w nowym wszechświecie przyznaje się naszemu religijnemu poznaniu tyleż samo

*) »Tajemniczy wszechświat«, Sir J. Jeans, Cambridge, 1930.

***) »Nowe ścieżki w nauce«, Sir A. Eddington, Cambridge 1935.

**) »Tajemniczy wszechświat«, Sir J. Jeans, Cambridge, 1930.

ważności, co naszemu poznaniu naukowemu. Co więcej, zdaniem największego z nich wszystkich twórcy (Einsteina), poznanie religijne stanowi źródło i wskazówkę dla naszego poznania naukowego*). Nie znaczy to by wiedza, o której uprzednio myślano, że dostarcza dowodów przeciw religji, obecnie ją podtrzymywała; prosto wiedza przestała dostarczać jakichkolwiek powodów do myśli, że religja jest nieprawdziwa. Wiedza może dziś uzupełniać wypowiedzi świadomości religijnej, przestała im natomiast przeczyć. W rzeczywistości wiedza oczyściła grunt pod religie, choć sama nie może się przyczynić w niczym do pisania tej sztuki.«

Oto jak dziś rzeczy stoja.

* * *

W przeciwieństwie do swego poprzednika, wiek dwudziesty grozi Kościołowi innym niebezpieczeństwem, a mianowicie spoczecia na laurach. Niech sobie uczeni prowadzą swe badania — myśli niejeden z katolików — niech błądzą i nawracają po własnych śladach, póki nie dojdą do wniosków, zgodnych z naszą wiekuista nauką. — Taka postawa jest stanowczo niebezpieczna, gdyż zawsze będa istniały jakieś (choć coraz to inne) rozbieżności między nauką a Kościołem, doświadczenie zaś ostatnich paru wieków uczy, że przypadkowe, choćby tylko trwające przez parę dziesiątków lat, spiętrzenie się takich rozbieżności okazuje się zgubne dla wielu umysłów. Toteż Kościół powinien stosować taktykę elastyczną: powinien trwać w defensywie we wszystkich tych działach myśli, w których doznanie religijne nie pokrywa się w danej chwili z wierzeniami nauki, powinien natomiast przechodzić do pełnej ofensywy ilekroć razy wiedza, któryms z swych nieśpodzianych nawrotów, przyjdzie z pomocą katolickiemu nauczaniu. Takie wypadki należy nietylko w pełni publikować, ale Kościół powinien przybierać swa odwieczne doktryny w szate nowoczesnej gwary naukowej. Stare wino lejmy z coraz to nowych flaszek. Zamiast mówić o lichwie i jej złych skutkach, przeciwstawiając jej godziwy dochód z udziału w przedsiębiorstwie, mówmy raczej wraz z Keynes'em o »utrzymywaniu niskiej stopy pro-

*) Wywiady z wybitnymi naukowcami, przeprowadzone przez J. W. N. Sullivan'a, »The Observer«, 13. IV. 1930.

centowej, przy równoczesnym pozostawieniu wysokiego poziomu dochodowości krańcowej kapitalu«. Każdy wiek niech używa własnego języka.

Nawrót wiedzy ekonomicznej do zasad katolickich stanowi zdarzenie niezmiernej wagi. — Dajcie mi punkt oparcia, to ziemia rusze w posiadach — oświadczył Archimedes. W świecie, w którym wszystkie pojęcia stały się płynne, tak daleko posunięta zgodność poglądów Kościoła i ekonomii może się okazać punktem zwrotnym burzliwych dziejów naszej epoki.

REGIMEN

COMMIXTUM

I.

PARE SLOW O METODZIE

Badając zagadnienia ustrojowe stosuje się dwie metody: filozoficzna lub historyczna (te druga trafniej byłoby dziś może przemianować na socjologiczna). Pierwsza przyjmuje zgóry pewne założenia, nie zawsze zgodne z doświadczeniem socjologicznym i historycznym, jak np. że natura ludzka jest dobra a tylko złe instytucje utrudniają ludziom życie; że jednostka we wszystkim podporządkować się powinna zbiorowości; że wszystkim ludziom należy się równy głos w rządach lub, naodwrot, że Głowa Państwa stanowi najwyższe wcielenie społeczności, itp. Przyjmując takie lub inne założenia filozoficzne, badacze, posługujący się tą metodą, usiłują udowodnić zgodność swych założeń z dotychczasowymi doświadczeniami ustrojowymi ludzkości, po czym projektują ustroje, odpowiadające tym założeniom. Niebezpieczeństwo tej metody polega na tym, że przy nietrafnym wyborze założeń osiąga się w praktyce wyniki przeciwne zamierzonym: zamiast wolności osiąga się tyranie, zamiast demokracji — dyktature, zamiast równości — kastowość biurokratyczna itp.

Metoda historyczna (socjologiczna) postępuje w sposób, przyjęty w naukach przyrodniczych, t. zn. obserwuje fakty i wyciąga z nich uogólnienia, które w razie dostatecznie częstego powtarzania się pewnych zjawisk urastają do rzędu praw. Badacze, posługujący się tą metodą, zmierzają w pierwszym rzędzie do odkrycia praw naturalnych, rządzących życiem społecznym człowieka. Z chwilą odkrycia tych praw badacze ci dzieli się na dwie grupy; jedna staje na stanowisku deterministycznym, odmawiającym człowiekowi wpływu na naturalną rzeczywistość socjologiczną; krok stąd tylko do deterministycznego pesymizmu, głoszącego nieuchronne bankructwo idealistycznych porywów człowieka i stały triumf zła, siły i namietności. Najgłośniejszym teoretykiem tego poglądu był Macchiavelli.

Nie wszyscy jednak zwolennicy metody historycznej dochodzą do wniosków tak pesymistycznych; niektórzy z nich otrzasa się z determinizmu i nie przeczą istnienia naturalnych praw socjologicznych starają się wykryć, w jakiej mierze wielkie systemy religijne i filozoficzne wpływają na kształtowanie się rzeczywistości społecznej. W tym stadium badań obie metody, historyczna i filozoficzna, zazębiają się o siebie i uzupełniają nawzajem swoje wyniki.

Dla katolika, wyznawcy wolnej woli, determinizm ustrojowy nie jest do przyjęcia; w jego przekonaniu naturalne prawa socjologiczne istnieją wprawdzie i wpływają głęboko na kształtowanie się ustroju, jednakże świadoma wola ludzka, szczególnie jeśli kierują nią prawdy objawione przez Boga, ma dość siły, by w naturalnym nurcie socjologicznym powodować odchylenia, przelamujące fatalizm zła i namietności. W praktyce dziejów wielkie systemy religijne i prądy ideowe nakładają się na niezmienną kanwę naturalnych praw socjologicznych, toteż dopiero rozważając wzajemne oddziaływanie na siebie tych dwu elementów — ustroju naturalnego oraz odkształcających go (dodatnio lub ujemnie) prądów religijnych i ideowych — dojdziemy do właściwego zrozumienia procesów ustrojowych.

Kościół Katolicki wstrzymuje się od głoszenia własnych koncepcji ustrojowych, ograniczając się do wskazań bardzo ogólnikowych o charakterze moralnym. W Encyklice »*Libertas Praestantissimum*« z r. 1888 Papież Leon XIII stwierdził, że »Kościół nie odrzuca żadnej formy rządów, byle sama w sobie była zdolna zapewnić dobro obywateli.« W przemówieniu, wygłoszonym w Wigilie r. 1940, Papież Pius XII przypomniał również, że »w ramach praw Boskich, danych nie tylko jednostce, ale i narodom, istnieje szeroki zakres, w którym najprzeróżniejsze formy życia politycznego mają dużą swobodę kształtowania się. Skutki takiego czy innego ustroju politycznego zależą jednak od okoliczności i względów, które, rozpatrywane same w sobie, pozostają poza zasięgiem działalności Kościoła.«

Tak dalece posunięta ostrożność Kościoła wydaje się słuszną i zrozumiałą, tym niemniej obserwacja socjologiczna społeczeństw chrześcijańskich na przestrzeni dwu tysięcy lat daje wyraźne wskazówki, jaką ewolucję ustrojową należy uważać dla nich za typową. Zresztą Chrześcijaństwo wprowadziło tylko pewne poprawki do procesów ustrojowych,

właściwych starożytnej cywilizacji śródziemnomorskiej, bez znajomości których nie zrozumiemy dzisiejszej rzeczywistości europejskiej. Analogicznie, chcąc znaleźć wskazania ustrojowe np. dla chrześcijańskiego państwa murzyńskiego lub chińskiego, musielibyśmy zbadać (na miejscu w Afryce lub Chinach) naturalne formy ustrojowe tamtejszych społeczeństw, a po tym starać się przewidzieć, jaki rodzaj »odkształcenia« spowoduje narzucenie na nie Chrześcijaństwa. Brak nam jeszcze w tej dziedzinie doświadczeń, ale, wnioskując z pewnych spostrzeżeń amerykańskich, chrześcijańskie państwo murzyńskie mogłoby przybrać kształty nad wyraz osobliwe.

Chcąc wyjaśnić sobie potrzeby ustrojowe społeczeństwa polskiego powinniśmy więc uwzględnić cztery nakładające się na siebie kanwy ustrojowe:

- 1) naturalna kanwa socjologiczna;
- 2) ewolucję ustrojową ludów europejskich w epoce przed-chrześcijańskiej;
- 3) ewolucję ustrojową Polski w ciągu jej tysiącletnich dziejów;
- 4) ewolucję ustrojową typową dla społeczeństw chrześcijańskich.

Pominiecie choćby jednego z tych elementów spowoduje oderwanie się od rzeczywistości. Niestety przejścia ustrojowe Polski w ciągu ostatniego ćwierćwiecza świadczą o poszechnej nieznanomości naszych własnych dziejów ustrojowych oraz wpływu na nie Chrześcijaństwa. Nie dajmy się tym zniechęcić, baczmy tylko, by w naszych rozważaniach nie stracić ani na chwilę solidnego gruntu rzeczywistości socjologicznej i historycznej.

Celem tej pracy nie jest podanie gotowych rozwiązań, lecz tylko zaszczepienie czytelnikowi poprawnej metody rozumowania o sprawach ustrojowych; będę się czuł szczęśliwy, jeśli uda mi się ten cel osiągnąć.

II.

«DUPLEX ORDO» I «REGIMEN COMMIXTUM»

»Zawsze sadziłem, że prosty, niezrównoważony ustrój jest zły: czysta monarchie, czysta arystokracje, czysta demokracje uważam za niedoskonale lub wadliwe, za złe same w sobie; dobry jest jedynie ich stop...«

C. J. Fox, 1790.

»Istnieje natomiast ustrój złożony z tamtych, który jest najlepszy.«
św. Tomasz z Akwinu, Summa Theologica, 1, II, XCV, art. 4.

Zadna ze spraw ludzkich nie była obca św. Tomaszowi z Akwinu, tymbardziej więc nie mógł przejść obojętnie koło tak kluczowego zagadnienia, jak organizacja polityczna społeczeństwa i jego stosunek do jednostki. Wypowiedzi na ten temat rozsiane są gesto po wszystkich jego dziełach, lecz — powiedzmy to otwarcie — rozsiane są trochę bezładu i składu, ze zwykła św. Tomaszowi słabością do powtarzania się i rozwlekłości stylu. Chcac wyłowić pewien całokształt poglądów wielkiego Doktora na sprawy ustrojowe trzeba poświęcić lata życia, zasiąść z wedką i łowić fragmenty myśli i strzępki koncepcji, a następnie składać te wycinki w mozolną mozaikę. Zadanie to pasjonujące dla mózgow nietwórczych, żerujących »naukowo« na dorobku genialnych umysłów, to też na temat tej właśnie dziedziny poglądów św. Tomasza napisano szczególnie dużo grubych tomów. Większość z nich wyszła z pod pióra Niemców. Niestrawna to lektura; będąc jedną z jej ofiar mam nadzieję, że w traktacie pokojowym znajdzie się klauzula, zakazująca Niemcom

pisania dysertacji o św. Tomaszu i rezerwująca to zadanie w pierwszym rzędzie dla Francuzów, którzy czynia to z lekkością i finezją. Ale nawet w wykonaniu gallickim są to jeszcze zawsze sażniste foliały, do których zabierać się mogą tylko ci, którzy mają do tego pewne przygotowanie, dużo zapalu i jeszcze więcej czasu. Ludzi takich jest z natury rzeczy ilość znikoma, chodzi zaś o problemy szeroko dyskutowane, o których zabiera głos każdy, od ministra do zamiatacza ulic. Poglady św. Tomasza w tej właśnie materii należałoby więc jaknajszerszej rozpowszechnić — ale jak to w praktyce uczynić? Idealem byłoby krótkie i przystępne streszczenie tych poglądów; przez pewien czas nosiłem się z myślą napisania takiego streszczenia, uznałem jednak rychło to przedsięwzięcie za zbyt ryzykowne, gdyż zuchwały pisarz, któryby się o to pokusił, naraziłby się na straszliwe ataki tomistów wszelkiego kalibru. Postanowiłem uniknąć tej trudności — a przynajmniej ludzę się, że uda mi się jej uniknąć — w taki sposób, że zestawie obok siebie, bez komentarzy, szereg cytatów z św. Tomasza, charakterystycznie obrazujących jego doktrynę. Będzie miał przy tym skrupulatnie na uwadze, by wybór tych cytatów był możliwie wierny, a nie jednostronny, obraz poglądów ustrojowych Akwinaty,

W szerokich kolach panuje jeszcze ciągle przesada o rzekomym »indywidualizmie« doktryny katolickiej. Nic mylniejszego! Św. Tomasz powtarza w swych pismach około dwudziestu razy, za Arystotelesem, że »homo naturaliter est animal politicum et sociale« (np. w S. c. G. III, 85, 10) — »człowiek z przyrodzenia jest istotą polityczną i społeczną«. Oto odpowiedź dla tych licznych Polaków, którzy powtarzają podsunięty im przez obce agentury pogląd, jakoby »przyzwoity człowiek nie powinien się zajmować polityką«. Człowiek a-społeczny, to zdaniem św. Tomasza »aut bestia aut Deus« — »bestia lub Bóg« (S. Th. 2, II, 188, 8). Logicznie z takiego poglądu wypływa prymat polityki nad innymi galeziami umiejętności ludzkich. »Władza biskupia« — pisze św. Tomasz — »ma się tak do władzy stanów niższych, jak się ma polityka, która ma na celu dobro wspólne, do niższych sztuk i umiejętności, mających na celu jakieś dobro szczególne... Polityka więc... ustanawia prawa dla sztuk niższych, t. zn. kto ma jaką z nich uprawiać i w jakim zakresie i w jaki sposób.« (Sent. IV. dist. 25 qu. 1 art. 1).

Z prymatem polityki wiąże się wyższość jednostki nastawionej

społecznie nad jednostką egotystyczną. »Niemożliwe jest« — pisze św. Tomasz — »by jakiś człowiek był dobry, jeśli nie ma właściwego stosunku do dobra wspólnego« (S. Th. 1, II, qu. 92, 1 ad 3). »Tym doskonalsza jest czyjaś cnota, im więcej kieruje się ku dobru społeczeństwa« (S. Th. 2, II, qu. 141, 8), gdyż »dobro społeczne jest doskonalsze i bardziej boskie niż dobro prywatne«. To ostatnie zdanie, w różnych wariantach, spotykamy w dziełach św. Tomasza około sześćdziesięciu razy . . .

Jak wprzegnać jednostkę do zbiorowości, by najskuteczniej osiągała dobro społeczne? Jak kształtować ład społeczny? Odpowiedź św. Tomasza brzmi: »duplex ordo« (porządek dwoisty) oraz »regimen commixtum« (ustrój złożony). »Porządek dwoisty« — to posłuch wobec władzy i zespolenie się współobywateli między sobą. »Podobnie jak w wojsku . . . istnieje porządek dwoisty . . . w stosunku do wodza . . . i nawzajem do siebie . . . tak i w życiu codziennym istnieje dla wszystkich ludzi zjednoczonych w jednej społeczności porządek dwoisty: jeden w stosunku do przywódcy (ordo ad ducem), drugi pojedynczych ludzi nawzajem do siebie (ordo ad invicem)« (Sent. IV, dist. 19, qu. 2, art. 2 sol. 1). Z wielu wypowiedzi św. Tomasza wynika, że ten »ordo ad ducem« (św. Tomasz używa również wyrażenia »ordo ad principem«) rysuje mu się bardzo autorytatywnie, jednakże z ograniczeniami i hamulcami, koniecznymi ze względu na ułomności natury ludzkiej.

Führerprinzip? Tak, ale i w tej dziedzinie, jak w wielu innych, Hitler był tylko naśladowcą. O ileż wcześniej angielskie słowo »leader« obiegło świat, wkradając się w obce języki. Francuzi używają jedynego słowa »chef«. Przyznajmy się ze wstydem, że brak nam w mowie polskiej odpowiedniego wyrażenia, gdyż słowu »przywódca« daleko do težyzny słowa »leader«. Nie jest to zresztą przypadek; rozlaży nieco nasz słowiański temperament lubuje się w zacieraniu odpowiedzialności; »coś« się u nas zawsze »robi samo«; jeszcze po wiekach historia nasza biedzi się nad ustaleniem istotnych liderów konfederacji barskiej czy powstań XIX wieku. Zresztą liderów tych bodajże nie było; odpowiadają wszyscy i nikt*). Nie tak powinien wyglądać »ordo ad ducem« czy »ordo ad principem«, o którym z takim naciskiem pisze św. Tomasz, zdecydowany zwolennik autorytatywnego le-

*) Klasyczny przykład: powstanie warszawskie z sierpnia 1944 roku.

adership'u. Leadership'u — ale nie dyktatury. Jego »ordo« jest »duplex« — obejmuje leader'a i zespół. Gdyby mi ktoś kazal ujac w jedna formule poglady ustrojowe św. Tomasza, powiedzialbym: zespół pod przewodem jednostki o osobistym autorytecie.

Odwieczny problem (tak często ostatnio dyskutowany w Polsce): jednostka czy zespół — znajduje u św. Tomasza rozwiązanie syntetyczne. Najchętniej widziałby on czystą zasadę jedynowładztwa, odrzuca ją jednak ze względu na niedoskonałość natury ludzkiej, która rzadko unika załamania się pod wpływem haszyszu władzy nieograniczonej. »Najlepszym ustrojem jest królestwo«*) — pisze św. Tomasz — »o ile nie ulegnie zepsuciu. Z powodu jednak wielkiej udzielonej królowi władzy królestwo wyrodnieje łatwo w tyranie, o ile nie jest doskonała cnota tego, komu przyznano tak wielką władzę; jako że tylko człowiek cnotliwy znosi dobrze powodzenie, jak powiedział Arystoteles. Doskonała zaś cnota spotyka się u niewielu«**). W istniejących warunkach woli więc św. Tomasz porządek dwoisty, w którym zespół chroni swego przywódcę przed wykolejeniem.

Konsekwentne przyjęcie zasady »przywódcy na czele zespołu« — w kombinacji tej oba człony są niezbędne — daje wskazania ustrojowe bardzo realne. A więc — w myśl tej zasady — niedopuszczalny jest malowany prezydent republiki, wzorem francuskim; Głowa Państwa powinna mieć duży autorytet oraz zespół doradców. A więc nie wystarczy premier typu francuskiego, będący tylko przewodniczącym rady ministrów, lecz gabinet powinien mieć lidera (»kanclerza«), pod którego przewodnictwem ministrowie tworzą zespół. Anglosasi, którym zasada przywództwa weszła w krew, dali nam tu dwa wzorce rozwiązań: jedno amerykańskie, w którym liderem jest Głowa Państwa a zespołem ministrowie, drugie brytyjskie, w którym Głowa Państwa ma autorytet raczej sakralny, tradycyjny i ma przy sobie także tradycyjny zespół (Privy Council), sam zaś gabinet jest typu kanclerskiego, z niekwestionowanym liderem na czele.

Zasada: przywódca + zespół — znajduje zastosowanie na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, czy będzie chodziło o szefa sztabu i

*) Mówiac o królestwie św. Tomasz ma na myśli królestwo w sensie starożytnym tego słowa, t. zn. króla-jedynowładce.

***) S. Th. 1, II, qu. CV, art. 1 ad 2.

jego zespół, o wodza i jego radę wojenną, o dyrektora generalnego i jego — by użyć znów wyrażenia angielskiego — »board of directors« (rada dyrektorów), czy też o radę nadzorczą i jej prezesa.

Przykłady takie można mnożyć długo. Wypływa z nich reguła dalsza: nie jest prawidłowa organizacja czy instytucja, której brak jednego z tych dwu członów, gdzie jest tylko zespół lub tylko szef. Brałem n. p. świeżo udział w dyskusji nad organizacją Wspólnot Pracy w przemyśle budowlanym; rychło wylonilo się pytanie, czy kierować ma taka Wspólnota cały zespół pracowników czy też powinien tam być jeden autorytatywny kierownik, wyposażony w pełnię władzy, wzmocnionej może nawet zatwierdzeniem jego wyboru przez jakiś czynnik z poza samej Wspólnoty (n. p. przez Samorząd Budowlany) — jednym słowem: czy Wspólnota taka powinna mieć lidera czy też nie? Poprzednie rozważania dają nam odpowiedź i na ten wypadek.

Inny przykład: od stu co najmniej lat, od czasu Towarzystwa Demokratycznego na emigracji po roku 1831, istnieje w polskich związkach tajnych zwyczaj, że na czele stoi »centralizacja« (używano czasem innych nazw) pozbawiona przewodniczącego (mająca tylko sekretarza), w której wszyscy członkowie przewodniczą kolejno. Zwyczaj ten przejęto zapewne od międzynarodowych sfer konspiracyjnych (może od karbonariuszy, stanowiących wspólny pień wszystkich prawie ruchów rewolucyjnych Europy), gdyż podobną organizację spotykamy nie tylko u nas, ale n. p. również w rosyjskiej partii bolszewickiej, nie mającej przewodniczącego, lecz tylko sekretarza. Inna rzecz, że zasada leadership'u doszła rychło do głosu i u bolszewików, promując na tego sekretarza . . . Stalina*). W Polsce najświeższe bodaj zastosowanie tej zasady nastąpiło w roku 1935 kiedy to Dmowski, próbując zlikwidować konspirację rządzącą ruchem narodowym, utworzył jako naczelna jawna władza Stronnictwa Narodowego t. zw. »Komitet Główny«, złożony z czterdziestu kilku członków, znów bez lidera a tylko z sekretarzem, pozbawionym jakichś istotniejszych prerogatyw; na zebraniach Komitetu przewodniczyli kolejno wszyscy jego członkowie.

Jest rzeczą charakterystyczną, że najgorsze czasy przypadają dla Polski

*) Stalin nie piastował do r. 1941 żadnego innego urzędu poza sekretariatem partii komunistycznej.

właśnie na epokę rządów zespołów bez liderów. Nie tracmy jednak nadziei, że bez popadania w skrajności Führerprinzip'u uda nam się wprowadzić w nasze życie zasadę leadership'u — tomistyczny »duplex ordo« przywódcy i zespołu.

* * *

Absolutna monarchia stanowiłaby ideal św. Tomasza, gdyby tak łatwo nie ulegała zepsuciu z powodu niedoskonałości władców. Zreszta gdyby ludzie byli doskonali, każdy ustrój funkcjonowałby sprawnie, czy byłaby to monarchia czy arystokracja czy demokracja. Wobec jednak niedoskonałości natury ludzkiej, najlepszy — zdaniem św. Tomasza — jest ustrój złożony (regimen commixtum), w którym dochodzą do głosu dobre strony każdej z powyższych form ustrojowych, a złe stepują się nawzajem. Św. Tomasz wylicza »różne ustroje państwowe, z których jednym jest królestwo, kiedy to państwo rządzone jest przez jednego . . . Innym zaś ustrojem jest arystokracja, t. zn. rządy najlepszych . . . Innym jeszcze ustrojem jest oligarchia, t. zn. rządy nielicznych bogaczy i wielmożów . . . Innym jeszcze ustrojem są rządy ludu zwane demokracją . . . innym wreszcie ustrojem jest tyrania, będąca ustrojem całkowicie zepsutym . . . Istnieje również ustrój złożony z powyższych, który jest najlepszy; w ustroju tym obowiązuje prawo, stanowione przez starszyznę wspólną z masami.« (S. Th. 1, II, qu. 95. art. 4 ad 3).

O dziesięć rozdziałów »Summy« dalej św. Tomasz wraca do tej samej sprawy. »Mówiąc o dobrym ustroju rządów w jakimś państwie czy narodzie« — pisze św. Tomasz — »należy mieć na uwadze dwie rzeczy: po pierwsze, by wszyscy mieli jakiś udział we władzy, przez to bowiem zachowuje się pokój ludu i wszyscy lubią taki ustrój i strzegą go. Po drugie należy mieć na uwadze rodzaj rządów czyli ustrój państw; rodzaje te są różne, jak podaje Arystoteles w »Polityce« Cz. 2 rozdz. 5. W szczególności więc królestwo, w którym jeden rządzi dla swej cnoty, i arystokracja, t. zn. władza najlepszych, w której nieliczni rządzą dla swej cnoty. Stąd najlepszy ustrój rządów jest w takim państwie czy królestwie, w którym jednego stawia się na czele dla jego cnoty, by przewodził wszystkim; pod nim zaś jest pewna ilość rządców dla ich cnoty; a jednak takie państwo należy do wszystkich, czy to ponieważ

rzadzacych wybiera sie z pośród wszystkich, czy też ponieważ wszyscy biora udział w ich wyborze.

Takim bowiem jest każdy ustrój dobrze złożony z królestwa, w którym jeden stoi na czele, z arystokracji, w której wielu bierze udział w rządach dla swej cnoty, oraz z demokracji t. zn. z władzy ludu, w tym rozumieniu, że przywódcy mogą być wybrani z warstw ludowych i do ludu należy wybór przywódców. Taki ustrój ustanowiony został prawem Bożym: albowiem Mojżesz i jego następcy zarządzili ludem nieledwie jedynowładczo, władza jakby królewska. Wybierano zaś dla ich cnoty 72 starszych; powiedziane jest bowiem w Deut. 1, 15: »Wziąłem z pokoleń waszych mężów mądrych i szlachetnych i uczyniłem ich książętami«; i to było arystokratyczne. Demokratyczne natomiast było to, że wybierano ich z pośród całego ludu; powiedziane jest bowiem w Exod. 18, 21: »Opatrz ze wszystkiego ludu mężów mądrych« i t. d., jak również to, że lud ich wybierał; gdyż powiedziane jest w Deuter. 1, 13: »Dajcie z pośród was mężów mądrych« i t. d. Wynika stad jasno, iż ustrój rządów ustanowiony przez prawo Boże był najlepszy.« (S. Th. 1, II, qu. 105, art. 1).

Siedemset lat minelo od napisania powyższych słów, a jednak prawda ich nie przestała być oczywista. Zmieniła się tylko nomenklatura: miast króla, arystokracji i ludu mówimy dziś o głowie państwa, elicie i masach.

Na tych trzech poziomach rozgrywają się dziś sprawy ustrojowe każdego narodu. Z ich dobrego lub złego »złożenia« płynie zbiorowe szczęście lub tragedia.

III.

GŁOWA PAŃSTWA

W Głowie Państwa widzi przeciętny obywatel ucieleśnienie Władzy, toteż nie wydaje mu się ona osobą zwykłą, ulepioną z tej samej gliny co każdy inny człowiek. Potęga władzy kryje w sobie jakąś elementarna tajemnicę, pokrewna żywiołowym siłom przyrody, życiodajnym lub niszczyielskim. Te tajemnice usiłują ludzie wytłumaczyć sobie w sposób mglisty mówiąc, że władza pochodzi od Boga czy od ludu. I jedno i drugie określenie wynosi władzę ponad zakres spraw codziennych i każde odnosi się do niej z czcią, należną sprawom włączonym w mistyczny krag społeczności.

Powiedzenie, że władza pochodzi od Boga, jest równie słuszne jak to, że od Boga pochodzi chleb, który jemy, czy ubranie, które nosimy na grzbiecie. Powiedzenie, że władza pochodzi od ludu, nie klóci się z poprzednim, jeśli pod słowem »lud« rozumiemy społeczność, kształtująca się samorzutnie na skutek działania Prawa Natury, które z człowieka zrobiło »animal sociale«, żyjące w gromadzie i wylaniające sobie władzę. Prawo Natury — i doświadczenie socjologiczne — nie znają społeczności bez władzy; obie, społeczność i władza, rodzą się równocześnie i zespolone są wieżą najściślejszą. Władza czerpie swą moc z dogłębnych pokładów ducha zbiorowego, z pospólnej woli i gromadnych instynktów, toteż wszelkie zerwanie tej wieży stanowi gwałt przeciw naturze. Anarchia nie jest samorządem, lecz samogwałtem.

Władza narzucona ludowi, t. zn. nie umiejąca sobie pozyskać jego sankcji, dobrowolnego przyzwolenia i samorzutnego współdziałania, jest przeciwna przyrodzeniu człowieka. O ile władza taka powołuje się na swe pochodzenie od Boga, nadużywa religii, gdyby zaś Kościół dał jej swe poparcie, minalby się ze swym powołaniem. »Należy mieć na uwadze,

by wszyscy mieli jakiś udział we władzy« — pisze św. Tomasz — »przez to bowiem zachowuje się spokój ludu i wszyscy lubią taki ustrój i strzegą go.« »W ustroju . . . najlepszym . . . obowiązuje prawo stanowione przez starszyznę wspólnie z masami.« — »Taki ustrój . . . w którym przywódcy mogą być wybrani z warstw ludowych i do ludu należy wybór przywódców . . . ustanowiony został prawem Bożym«*). Zdania te mają aktualność nieśmiertelną. Rousseau potrzebny był światu zachodniemu tylko dlatego, że na pół wieku przed nim biskup Bossuet rzucił swój autorytet na szalę monarchii absolutnej, tego ustroju »niezłożonego«, nieskalanego w swej doktrynerskiej prostocie, który stoi w tak jaskrawej sprzeczności z samą istotą społeczności. Gdyby chodziło o ustalenie nazwiska największego winowajcy rewolucji francuskiej, odpowiedziałbym bez wahania: Bossuet. Jego postać winna stać przed oczyma każdego biskupa, wodzonego na pokuszenie przez autokratę.

Z prawa ludu do współdziałania w rządach wynika prawo dalsze: buntu przeciw władzy, gwałtacej prawo Boskie i naturalne. Oto prawda tajona skrętnie przez dostojników państwa, a z ociąganiem objawiana ludowi przez purpuratów Kościoła: Kościół uznaje prawo buntu, i to nie tylko je uznaje, ale w pewnych wypadkach czyni je nakazem sumienia. Najwznioślejszy, a zarazem najtrudniejszy to obowiązek w życiu jednostki i gromady: równie ciężka kara czeka za jego nadużycie, jak nagroda za jego spełnienie. Nagroda ta bywa zresztą częściej palmą mecenstwa niż laurem; wzorem Chrystusa, największego z buntowników przeciw niemoralnemu »ładowi« społecznemu, spoglądają na nas z witrażów kościelnych niekończące się szeregi umęczonych buntowników, Piotrów i Pawłów, Tomaszów z Canterbury i Stanisławów ze Szczepanowa. Między warcholstwem, dyktowanym pychą, a świętym buntem, nakazanym przez zryw sumienia, leży ta sama przepaść, jaka dzieli Syna Bożego od Lucyfera.

Ustrój zaczyna być chrześcijański dopiero od chwili, w której w każdej warstwie ludności znajduje się już dostateczna ilość ludzi, gotowych do buntu przeciw uroszczeniom zbrodniczej władzy — dostateczna ilość żołnierzy, którzy odmówią wykonania rozkazu pastwienia się nad jeńcami i ludnością cywilną, policjantów, którzy odmówią dozoru

*) Patrz Rozdział poprzedni.

lagrów, nauczycieli, którzy odmówią zatruwania dusz dzieci oraz duchownych, którzy odmówią przemilczania wysoko popełnionych zbrodni. I naodwrot — wśród takich ludzi hasło dyscypliny społecznej i posłuszeństwa wobec władzy rozbrzmiewać może z siłą zdwojona, gdyż nie grozi zwyrodnieniem społeczności ludzkiej w kopiec termitów.

* * *

Bobrzyński, największy z nowożytnych historyków polskich — tytuł ten należy mu przyznać, choćby się na wielu punktach z nim nie zgadzało — postawił twierdzenie, że Polska upadła, ponieważ miała rokosze, a nie miała buntów. Rokosz jest trującym owocem nierządu; oba nasze słynne rokosze, Zebrzydowskiego i Lubomirskiego, przypadły na czasy, gdy masy szlacheckie pijane były złotą wolnością, a królowie dążyli do absolutum dominium. Nie mogło wyniknąć nic dobrego ze sporów, w których obie strony nie miały słuszności; z doświadczeń naszych dziejów wyciągnięto jednak już w osiemnastym wieku wniosek, że Polsce potrzebne są rządy silne, i wniosek ten pokolenia rozbiorowe przekazały — jako jedyną bodaj wytyczną ustrojową — pokoleniu, powołanemu budować Polskę odrodzoną.

Twórcy naszej Konstytucji z r. 1921 przeszli, z karygodną wrecz lekkomyślnością, do porządku nad tą wytyczną; chwilowej rozgrywce z Pilsudskim podporządkowali względ najbardziej zasadniczy i oparli Polskę ponownie na nierządzie. Doprowadziło to w pięć lat później do buntu, którego główne hasło — wzmocnienia władzy — zostało przychylnie przyjęte przez większość społeczeństwa i wcielone najpierw fragmentarycznie w poprawki konstytucyjne z r. 1926, a następnie już bardziej systematycznie w nową Konstytucję z r. 1935. W praktyce zrealizowano władzę aż za silną, co — wobec braku idei przewodniej u rządzących — doprowadziło w latach 1930/39 hasło silnej władzy do karykatury. Jak to zwykle w życiu bywa, wahadło ustrojowe wychyliło się zbyt silnie w stronę przeciwną; mimo jednak nadużycia władzy przez rządy »sanacyjne« nakaz dziejowy, że Polsce konieczny jest rząd silny, pozostaje w pełnej mocy, a nowoczesne prądy korporacjonizmu i decentralizacji regionalnej wymagają tym bardziej utrzymania silnej, całkowitej władzy centralnej.

Twórcy Konstytucji z r. 1921 należeli przeważnie do masonerii W. Wschodu, to też zapatrzili się na konstytucję francuską. Skoro byli

niezdolni do samodzielnej pracy ustrojowej, żalować należy, że wzorów swych nie zaczerpnęli raczej u Anglosasów, gdyż oba państwa anglosaskie mają, mimo korzystnego położenia geograficznego, pozwalającego na pewne luzy ustrojowe, i mimo dużej spontanicznej dyscypliny społecznej — której nam niestety brak — znacznie silniejsze rządy, niż je miała Polska przedmajowa.

* * *

Sile władzy uzyskuje się na dwa sposoby: albo mechanicznie, naciskiem administracyjnym, częstymi interwencjami policji i wojska, wzięciem oponentów, tajną służbą bezpieczeństwa, dławieniem prasy itp., albo stosując metody wychowawcze, zmierzające do wszczęcia dobrowolnej dyscypliny społecznej i do wzmoczenia autorytetu władzy. Im większy autorytet ludzi i instytucji rządzących (a w szczególności Głowy Państwa), tym rzadziej zachodzi potrzeba wymuszania posłuchu dla władzy. Otoczenie Głowy Państwa aureola autorytetu powinno więc stanowić przedmiot ciągłych starań, popartych odpowiednimi urządzeniami ustrojowymi. Wzorując się i w tej sprawie na najgorszym dostępnym nam wzorze, instytucje Głowy Państwa wykształciliśmy w r. 1921 na wzór francuski. Oto charakterystyka ówczesnego systemu francuskiego: wybór Prezydenta przez połączone Izby; z zasady wybiera się miernotę; ponowny wybór tradycyjnie niemożliwy; Prezydent tradycyjnie nie korzysta z jedynej przysługującej mu konstytucyjnie »silnej« prerogatywy rozwiązania Parlamentu (w Polsce odmówiono mu tej prerogatywy od początku); prezydent Millerand wprowadził nawet w r. 1925 precedens ustąpienia Prezydenta na skutek zmiany większości w Parlamencie. W rezultacie i Francja i Polska miały Głowy Państwa malowane.

Taka oto była koncepcja twórców naszej Konstytucji z r. 1921. Życie potoczyło się jednak w kierunku odwrotnym i wykazało uporczywe dążenie do dożywotności Głowy Państwa i wzmoczenia jej powagi, co wyraziło się w micie »wodza narodu« z bulawą, krzyżem i mieczem, »nie wypuszczaniem steru z rak«^{*)} i t. p.

Jeśli abstrahować od zamordowanego Prez. Narutowicza i obalonego

^{*)} Słowa ślubowania (przed ołtarzem!), użyte przez gen. Sikorskiego w obozie żołnierskim w Rosji w roku 1941.

zamachem stanu Prez. Wojciechowskiego — wszyscy nasi władcy kroili na dożywocie. Wszyscy: Pilsudski, Smigły-Rydz, nawet Sikorski, który również w krótkim czasie upozował się na dożywotnego »wodza narodu« i przy jakiej takiej polityce byłby niewatpliwie otrzymał na to ogólną zgodę.

Patrzac na doświadczenia ostatniego czwarciecznika trudno zamknąć oczy na fakt, że większość Polaków dąży instynktownie do tego, by na czele Narodu stał dożywotnio człowiek dźwignięty wysoko ponad ogół, spowity nimbem i legenda.

Dla każdego, kto przemyślał dzieje Polski, dążenie to jest oczywistym i naturalnym ciągiem zjawiska, które występowało niezmiennie przez całą naszą historię. Droga ewolucji ustrojowej doszliśmy wcześniej do Głowy Państwa obieranej dożywotnio i »pomazanej«, i wbrew inaczej brzmiącym tekstom konstytucyjnym instytucje te samorzutnie kontynuujemy.

Na instytucji tej oparta była Rzeczpospolita przez wieki XIV do XVII, najświetniejsze w naszych dziejach. Twierdzi się wprawdzie często, że obieralność Głowy Państwa stała się jedną z przyczyn naszego upadku, gdyż rzekomo na skutek obieralności nie doszło u nas do ustalenia się dynastii, a ponadto sąsiedzi zakłócali Rzeczpospolitą w czasie każdego interregnum. Tak się mówi — fakty historyczne przeczą jednak temu twierdzeniu. Zgódźmy się raczej na fakt, że do chwili wygaśnięcia dynastii Wazów zasada obieralności była zawsze tylko formalnością^{*)}, póki zmarły król zostawiał po sobie syna lub brata. Od Jagielly po Jana Kazimierza ani jedna z takich elekcji »w rodzinie« nie zakłóciła Rzeczypospolitej i nie wydała jej na łup sąsiadów. Burzliwe było tylko przejście z jednej dynastii na drugą po śmierci Zygmunta Augusta, lecz były to czasy, w których na całym świecie wygaśnięcie dynastii prowadziło do wojen i zamieszek i to gorszych jeszcze w krajach o tronie dziedzicznym (liczne wojny »sukcesyjne«).

Mówiąc nawiasem, w czasie świetności Rzeczypospolitej wygasły nam po kolei trzy dynastie: Piastów, Jagiellonów i Wazów. Na tym punkcie mieliśmy wyjątkowego pecha; nie wygaśnięcie choćby jednej z tych dynastii byłoby prawdopodobnie uchroniło Rzeczpospolitą

^{*)} Była to jednak formalność pożyteczna, gdyż chroniła naród przed absolutyzmem królewskim, który tak silnie dał się we znaki innym społeczeństwom.

od upadku. Wszak Ludwikowi XVI nadano po detronizacji nazwisko Capet, świadczące dowodnie o tysiącletnich rządach dynastii Kapetyngów. Habsburgowie i Hohenzollernowie panowali również w linii nieprzerwanej, wymarcie natomiast potomków Ruryka w Rosji i potomków Wilhelma Zdobywcy w Anglii kosztowało oba te kraje w XVII wieku przejścia znacznie cięższe od naszych.

Dopiero w czasach rozprzegania się Rzpltej nastąpił, po śmierci Sobieskiego, pierwszy w naszych dziejach wypadek nie wybrania syna po ojcu, spowodowany wyjątkowo nieprzyjemnymi stosunkami wewnątrz rodu Sobieskich. Tradycja dynastyczna była jednak tak silna, że już po paru latach, gdy August II zraził do siebie naród, wystąpiło dążenie do wyboru jednego z młodych Sobieskich na króla. August zapobiegł temu, aresztując przewencyjnie dwu Sobieskich. Nawet po śmierci Augusta III, gdy Rzeczpospolita była na dnie upadku, wybór jego syna na króla nie doszedł do skutku bodaj że tylko z powodu przedwczesnej śmierci tego syna przed elekcją. Naród polski miał jednak nadal tak silne poczucie dynastyczne, że jeszcze za życia bezdzietnego Stanisława Augusta nawrócił do dynastii saskiej, wybierając króla saskiego na następcę.

Tak więc obieralność Głowy Państwa nie uniemożliwiła u nas nigdy (z wyjątkiem chwili zupełnego chaosu po śmierci Sobieskiego) ustalenia się dynastii, natomiast ułatwiała nam obiór nowej dynastii w chwili wygaśnięcia starej, w których to sytuacjach inne narody przechodziły konwulsje cięższe od naszych. Obieralność uniemożliwiła ponadto wprowadzenie »absolutum dominium«, które bynajmniej nie było straszakiem, lecz bardzo realną groźbą uciążliwego absolutyzmu królewskiego, z którego naród angielski wyzwolił się (w czasie kiedy u nas panował ostatni z Wazów) wydając swego króla katowi. Naród francuski uczynił to samo w rok po naszej Konstytucji 3-go Maja.

* * *

Obioru Głowy Państwa dokonuje albo ogół obywateli, albo ciała parlamentarne. Pierwszy system stosowano w Rzymie republikańskim (wybór konsulów) i w dawnej Polsce, a obecnie stosuje się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Obiór taki przyjęła (choc tylko warunkowo) również nasza Konstytucja z r. 1935. Taki właśnie system

wyboru Głowy Państwa przez ogół obywateli odpowiada tradycjom ustrojowym polskim*).

We wszystkich ustrojach, w których Głowe Państwa wybiera się co kilka lat, powtarza się klasyczne pytanie: czy dopuszczalny jest wybór ponowny? A jeśli tak, to czy ponowienie wyboru nastąpić może kilkakrotnie? W naszych oczach problem ten rozstrzygnęły Stany Zjednoczone, w których nie było precedensu trzykrotnego wyboru prezydenta, a mimo to w r. 1944 prez. Roosevelta wybrano po raz czwarty. Zakrawało to już nieledwie na dożywocie.

Nasuwa się tu następne pytanie: czy system kilkakrotnego wyboru lepszy jest od dożywocia? Obserwując rozwój wypadków w Stanach Zjednoczonych wydaje się, że tenże sam prez. Roosevelt mógł być osiągnąć znacznie pomyślniejsze wyniki, gdyby z każdego czterolecia swych rządów nie musiał być poświęcać dwóch lat na przygotowanie następnych wyborów, co zmuszało go do wielu demagogicznych posunięć i do pozostawania w stałej zależności od aparatu partyjnego, bez którego w Stanach Zjednoczonych do wyborów stawac nie można**). Stan taki nie jest może tak groźny dla Stanów Zjednoczonych, w ich izolowanym położeniu geograficznym, natomiast Polska — zagrożona z tyłu stron — doprawdy nie może sobie pozwolić na to, by regularnie co parę lat Głowa Państwa, wyposażona w silną władzę (a władze taka zdecydowani jesteśmy jej przyznać), paczyła całe nasze życie dla przygotowania swej re-elekcji, czy to naginając do tego celu administrację państwa, czy też wiażąc się z jedną z partyj politycznych i puszczając się na fale demagogii.

A więc wybór dożywotni? Jak już powiedziano, odpowiada on zarówno naszej tradycji jak i wymogom naszego położenia geopolitycznego; odpowiada również konieczności wzmocnienia autorytetu Głowy Państwa. Widok b. prezydenta Wojciechowskiego, jeżdżącego tramwajem po Warszawie, budził u przeciętnego Polaka poczucie pewnej — jakby to

*) Konstytucja z r. 1935, dostosowana do potrzeb panującego w danej chwili obozu politycznego, przewidywała, że wybór Głowy Państwa przez ogół obywateli nastąpi tylko w razie nieuzgodnienia osoby kandydata przez ustępującego Prezydenta i Sejm. Ten punkt Konstytucji wymaga niewątpliwie dalszej ewolucji.

***) Roosevelt dożywotni byłby się rychło przesunął z platformy partyjnej na platformę ogólnonarodową.

powiedzieć — profanacji. Wybór dożywotni ma właściwie tylko dwie ujemne strony, a to niebezpieczeństwo trafienia na nieodpowiedniego kandydata oraz niebezpieczeństwo niezdolności Głowy Państwa do sprawowania rządów u schyłku życia. Temu drugiemu niebezpieczeństwu możnaby zapobiec wybierając Głowe Państwa (przy ponownym wyborze) np. na okres 15-20 lat, co w praktyce równałoby się dożywociu, a pozwoliłoby uniknąć kłopotów, związanych ze zgrzybiałym wiekiem Głowy Państwa. Niebezpieczeństwa trafienia na nieodpowiedniego kandydata można uniknąć, wybierając początkowo Głowe Państwa na lat dajackilka i jej możliwość, w obranej przez siebie chwili, nie wcześniej jednak niż w parę lat po wyborze, zwrócenia się do ogółu obywateli o przyznanie jej rządów dożywotnich (czy też długoletnich).

Nie można i nie należy wykluczyć możliwości, że system taki mógłby doprowadzić do parokrotnego wyboru syna po ojcu*), czyli do faktycznego wprowadzenia monarchii. Gdyby to miało nastąpić, byłoby to w zgodzie z organicznym rozwojem narodowych instytucji ustrojowych.

* * *

W społeczeństwach, uznających zasadę »przywódca na czele zespołu« (patrz Rozdział poprzedni), rządy sprawuje jeden człowiek, dobierając sobie do pomocy zespół ministrów. Przykładem takiego rozwiązania ustrojowego jest W. Brytania, w której (w przeciwieństwie do Francji z przed r. 1939, gdzie premier był tylko przewodniczącym Rady Ministrów**), premier jest oficjalnym przywódcą (leader'em) narodu. O ile taki premier-leader nie zależy od parlamentu, lecz tylko od Głowy Państwa, ustrój zwiemy »kanclerskim«. Ustrój taki daje Głowie Państwa silny wpływ na bieg spraw publicznych (gdyż mianuje ona i odwołuje Rząd według własnego uznania), lecz w oczach społeczeństwa za udanie się lub nieudanie bieżących rozgrywek politycznych odpowiada Kanclerz i on płaci swym stanowiskiem za niepowodzenia, a powaga Głowy Państwa pozostaje nienaruszona.

Premier brytyjski ma w sobie dużo z Kanclerza, z tą różnicą, że jego

*) Nie mam wątpliwości, że gdyby Piłsudski pozostawił był po sobie syna, syn ten objąłby po nim następstwo.

**) Szkoci mają świetne wyrażenie *convener* (t. zn. »zwolujący«); jest to człowiek, który zwoluje i przewodniczy, lecz nie jest leader'em. Liczne organizacje w Szkocji mają *convener'ów*. Premier Francji był *convener'em*.

zależność od króla jest dziś dość iluzoryczna. Klasyczny ustrój kanclerski miały w naszych czasach Niemcy cesarskie; prezydent Stanów Zjednoczonych Am. P. łączy w swej osobie funkcje Kanclerza i Głowy Państwa.

Staropolski ustrój miał również (w pewnych okresach) rządy kanclerskie. Ewolucja ustrojowa dwudziestolecia 1919—1939 zdała u nas w tym samym kierunku, wzmacniając autorytet szefa Rządu i osłabiając coraz bardziej jego odpowiedzialność przed Sejmem, zwiększając natomiast jego odpowiedzialność przed Głową Państwa.

W ustroju, w którym Głowa Państwa ma duże uprawnienia, a rząd jest kanclerski, grozi niebezpieczeństwo »podwójnego leadership'u«, którego charakterystycznym przykładem były Niemcy za Wilhelma II, kiedy to cesarz wtracał się bez przerwy w rządy, dublując niejako swego kanclerza. Stan taki nie wydaje się jednak być nieuchronnym skutkiem systemu kanclerskiego, lecz wynika raczej z niezrozumienia przez Głowe Państwa jej właściwej roli. Polsce dogadzałaby chyba najlepiej Głowa Państwa niezmiernie wysoko postawiona w opinii publicznej, o cechach niejako sakralnych, wpływająca tylko na sprawy o znaczeniu zasadniczym i stosująca bardzo oględnie swe prawo weta ustawodawczego, bez wciągania się w bieżące spory polityczne i wywierając bezpośredni wpływ na sprawy państwa tylko przez osobę kanclerza. Przy takiej koncepcji kanclerz byłby osobą zaufania równocześnie i Głowy Państwa i Sejmu i leaderem Narodu w sprawach bieżących (niejako na krótszej fali), podczas gdy Głowa Państwa byłaby leaderem w sprawach długofalowych i piastunem wielkich interesów narodowych.

* * *

Jakimi uprawnieniami należy obdarzyć Głowe Państwa (wraz z podległym jej Rzadem), by była dostatecznie, a nie nadmiernie silna?

Jak wiadomo, zbyt silna władza wyradza się w dyktaturę, tyranie, satrapię, autokrację, absolutyzm, totalizm i t. p. (słów na określenie takiej władzy dostarczają nam dzieje pod dostatkiem). Zbytne osłabienie władzy prowadzi natomiast do ochlokracji, liberalizmu, rządu demagogów, nierządu (anarchii). Zrównoważenie władzy, wybalansowanie elementów ustrojowych, które władze osłabiają z tymi, które ją wzmacniają, nadanie władzy dokładnie takiej sily, jakiej w danej chwili danemu narodowi trzeba — jest rzeczą niezmiernie trudną. Nie da się ułożyć

żadnej niezmiennej formuły na taka równowagę, formuły obowiązującej w każdym kraju i w każdej epoce, gdyż ciężar gatunkowy poszczególnych elementów ustrojowych bywa bardzo różny. W każdym np. społeczeństwie istnieje władza centralna i mniej lub więcej rozwinięty samorząd obywateli; zależnie od wzajemnego stosunku sił tych dwu elementów, górze bierze jeden lub drugi, albo ustrój ustala się w równowadze. Otóż ta sama (na papierze) konstytucja, zastosowana w różnych krajach, da w rezultacie władze o sile bardzo różnej, zależnie od wzajemnej dynamiki rządu i samorządu.

Dla przykładu rozważmy następujący schemat ustroju: rząd nieparlamentarny; niezależne od niego samorzady terytorialne i zawodowe oraz parlament. Czy rząd taki będzie silny, czy słaby? Bedzie to zależało od siły i autorytetu parlamentu i samorządów, od ich spójności, zdolności do działania i t. p. Przypuśćmy, że spróbowalibyśmy zrealizować taki schemat w Polsce i w W. Brytanii w r. 1938. W Polsce przy tym schemacie (który obowiązywał u nas wówczas na papierze) mieliśmy władzę dyktatorską, gdyż rząd miał w swej bezpośredniej dyspozycji wojsko, administrację i policję, Sejmy wybierano metodą starościńską, a samorzady ledwie żyły. W W. Brytanii natomiast przy zastosowaniu takiego samego schematu rząd nie utrzymałby się ani tygodnia, gdyż armia brytyjska była w r. 1938 słaba i całkowicie pozbawiona wpływu na życie polityczne, administracja (na szczeblu powiatu i województwa*) oraz policja — były w rekach samorządów, tradycja rządów parlamentarnych była bardzo żywa, a samorzady — tak terytorialne jak zawodowe — krzepkie i kwitujące. Tak więc dzięki różnemu ciężarowi gatunkowemu poszczególnych elementów ten sam schemat ustrojowy, zastosowany tu i tam, dałby wyniki krańcowo różne. Możliwe, że ten sam ustrój, zastosowany w W. Brytanii za lat kilkadziesiąt, mógłby już funkcjonować sprawnie wobec wzmocnienia administracji i armii i centralizacji policji, a w Polsce dałby władzę słabszą (w razie okrzepnięcia Sejmu i samorządów).

Jedno wynika jasno z tych rozważań: nie wolno rozpatrywać ustroju statycznie, niezależnie od ewolucji jego poszczególnych składników. Społeczeństwo musi mieć pewną myśl ustrojową, musi chcieć władzy silnej lub słabej i chęć tę powinno konsekwentnie

*) Wielka Brytania nie zna odpowiednika naszych starostów i wojewodów.

urzeczywistniać, z roku na rok i z pokolenia na pokolenie, wzmacniając jedne składniki ustroju a osłabiając inne. Nie może więc pomyśleć naród, którego władcy dążą mechanicznie do zagarnięcia jaknajwiększych uprawnień, a obywatele dążą równie mechanicznie do osłabienia władzy. Powtarzam, że Naród powinien mieć pewną koncepcję ustrojową i pewien stały ośrodek, realizujący te koncepcje. Dojrzały naród poznaje się po tym, że ludzie rządzący wyrzekają się tam dobrowolnie (choć mogliby czynić inaczej) zwiększenia swej władzy poza pewien zakres, a ludzie rządzeni równie dobrowolnie (choć mogliby czynić inaczej) poddają się władzy w zakresie, który uważają za wskazany. Tak postępuje naród dojrzały*); nam, niestety, bardzo jeszcze do tego daleko.

Społeczeństwu polskiemu trzeba władzy silnej, lecz silnej w miarę, gdyż totalizm nie odpowiada naszemu charakterowi narodowemu i prowadzi do paraliżu naszych zdolności twórczych, jak to można było łatwo stwierdzić w wielu stotalizowanych dziedzinach naszego życia na przestrzeni lat 1926/39. Wytyczną więc naszego ustroju powinna być: świadome dążenie — tak ze strony rządzących, jak rządzonych — do władzy silnej, lecz nie absolutnej; odpowiednie wyważenie elementów ustrojowych, zarówno tych, które Rząd wzmacnia, jak i tych, które stanowią jego przeciwwagę; stale, z pokolenia na pokolenie, dostosowywanie do tej naczelnej wytycznej całej gry naszych instytucji ustrojowych, praw i zwyczajów.

Zgodnie z powyższą wytyczną naszkicujemy teraz schemat ustroju, który mógłby może odpowiadać najbliższym, wyjściowym potrzebom Rzeczypospolitej. Proszę jednak czytelnika, by schemat ten traktował jako seminaryjny, mający jedynie na celu pobudzenie myśli i dyskusji, a nie jako projekt gotowy do realizacji.

Głowa Państwa: wybierana w głosowaniu bezpośrednim przez ogół obywateli, za pierwszym razem na lat kilka, przy ponownym wyborze dożywotnio lub na okres lat kilkunastu.

Głowa Państwa mianuje i odwołuje Rząd według własnego uznania; posiada veto ustawodawcze; mianuje szefa Sadu Najwyższego i jego dwu zastępców (dożywotnio), szefa Sztabu Głównego (w czasie wojny

*) Przykład takiego postępowania dał w czasie ubiegłej wojny rząd W. Brytanii, dobrowolnie wyrzekając się korzystania z ogromnych, wręcz totalnych, udzielonych mu przez parlament pełnomocnictw.

Naczelnego Wodza), szefa Naczelnej Instytucji Planowania, szefa radiofonii, część senatorów. Senat stanowi ciało doradcze Głowy Państwa.

Rząd, z kanclerzem na czele, odpowiada tylko przed Głową Państwa; votum nieufności w Sejmie nie istnieje, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, lub jest bardzo utrudnione.

Rządowi podlegają bezpośrednio:

- wojsko
- administracja centralna i wojewódzka
- policja
- instytucja emitująca pieniądze
- komunikacje dalekobieżne.

Rząd ma pośredni wpływ na uspołecznione:

- instytucje tworzące kredyt
- kluczowe galezie przemysłu i usług
- źródła energii
- radiofonie.

Sądownictwo ma pełną autonomię.

Spółeczeństwo ma pełną (a nie tylko formalną) swobodę samorządu terytorialnego i zawodowego, ponadto ma bezpośredni udział w:

- 1) sądownictwie (sady przysięgłych i lawnicze)
- 2) kontroli publicznej
- 3) wychowaniu
- 4) planowaniu gospodarczym
- 5) radiofonii.

Samorząd powiatowy administruje powiatem (nie ma starosty ani administracji państwowej na szczeblu powiatu).

Sejm i Senat są równorzędne w pracy ustawodawczej i kontrolnej. Sejm wybierany jest według ordynacji wyborczej typu angielskiego, po jednym posle na powiat; senatorowie częściowo wryliści, częściowo mianowani przez Głowę Państwa na 15—20 lat, po kilku rocznie.

W ustroju takim Rząd musiałby świadomie powstrzymać się od wkraczania w działy zastrzeżone dla obywateli (n. p. musiałby wyrzec się dezorganizowania samorządów, wywierania nacisku na administrację powiatową i wybory do Sejmu i t. p.), a obywatele musieliby świadomie powstrzymać się od osłabiania rządu (n. p. Sejm powinien by wyrzec się walki o władzę, samorządowa administracja powiatowa powinna by uniknąć walki z państwową administracją wojewódzka itp.).

Podkreślam raz jeszcze, że podany powyżej schemat traktuje jako dyskusyjno-seminaryjny. Ponadto, celem wprawienia czytelników w prawidłowy tok rozumowania o sprawach ustrojowych, radzę im przemyśleć powyższy schemat z następującymi wariantami:

1) Wzmocnienie Rządu —

- a) istnieje państwowa administracja na szczeblu powiatu;
- b) sądownictwo podlega Rządowi;
- c) szkolnictwo podlega Rządowi;
- d) kontrola publiczna podlega Głowie Państwa.

2) Osłabienie Rządu —

- a) policja podlega samorządom (jak jest dziś jeszcze częściowo w W. Brytanii);
- b) emisja pieniądza, kredyt, cały przemysł, usługi i źródła energii — w rękach prywatnych;
- c) Sejm uprawniony do obalania Rządu;
- d) Prezydent wybierany przez Sejm i Senat.

IV.

ELITA

Krazenie elit. Vilfredo Pareto, wielki socjolog włoski, pierwszy bodaj postawił problem określany w nauce jako »krazenie elit«. Zaobserwował on, że w każdym społeczeństwie, na tle jednostajnej i szarej masy ludzkiej, odcinają się jednostki górujące zdolnościami nad ogółem. Rodzą się one w każdej warstwie społecznej; w prawidłowo zbudowanej społeczności jednostki te powinny mieć możliwość wydostania się na sam wierzch drabiny społecznej. O ile to nie nastąpi, o ile na wierzchu wydosztanie się ktoś mniej wybitny, a ten wybitniejszy zmuszony będzie marnować swe zdolności poniżej należnego sobie miejsca — zmarnowana jednostka nie tylko nie przysłuży się społeczeństwu, lecz przeciwnie w większości wypadków stanie się rozsądnikiem niezadowolonego, a nawet buntu. Rewolucje wybuchają tylko w krajach, w których dolach społecznych uwiecznię dużo utalentowanych jednostek; to uwiecznienie jest objawem wadliwego krazenia elit — przeszkód przy wznoszeniu się zdolnych w górę i opadaniu miernot w dół.

Nie ulega wątpliwości, że zagadnienie to należy do najważniejszych w każdym ustroju, toteż ze zdumieniem musimy stwierdzić, że choć kilkadziesiąt lat minęło od chwili ogłoszenia teorii Pareta, prace poświęcone temu zagadnieniu wyliczyć można na palcach obu rąk, przy czym mają one naogół charakter fragmentaryczny; dzieła, dającego teoretyczny całokształt tego problemu, nowoczesna nauka jeszcze nie wydała. Cóż to np. za pasjonujący temat dla socjologa polskiego — zahamowanie krazenia elit w Polsce od Wazów po r. 1939*), lub to samo zja-

*) Oddając te prace do druku dowiedziałem się, że krazeniu elit w dawnej Polsce poświęcił ostatnio w Szwajcarii prace doktorska dr. Liberek. Z pracą tą nie miałem jeszcze możliwości się zapoznać.

wisko w Rosji przedrewolucyjnej... Od lat z rosnącym zdziwieniem obserwuję fakt, jak niewiele i jak niepoważnie na ten temat się pisze; doszedłem w końcu do wniosku, że dzieje się tak, ponieważ sterujące nauka współczesna kółka masonskie nie są zainteresowane w szerzeniu się znajomości tego zagadnienia, zastrzeżonego (jak wszystkie zagadnienia »personalne«) dla odpowiednich komórek lożowych.

Prawidłowo zorganizowane społeczeństwo nie może się obyć bez ośrodka, prowadzącego gospodarkę materialem ludzkim. Naród kierowany świadomie musi prowadzić racjonalną gospodarkę jednostkami uzdolnionymi, stanowiącymi cenne dobro społeczne. Czytałem nie dawno opracowany w Londynie w czasie ubiegłej wojny projekt administracji Polski, w którym uderzyło mnie jako zupełnie nowe, że autor zamierzał stworzyć przy każdym urzędzie wojewódzkim oraz przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych urzędowe komórki, mające za zadanie gospodarkę zasobami personalnymi narodu. Myśl to słuszną i nową, jeśli chodzi o jej jawną realizację, nie ulega bowiem wątpliwości, że zrealizowano ją już oddawna w każdym opanowanym przez masonerie społeczeństwie w specjalnie do tego celu powołanych komórkach masonskich, które prowadzi ewidencje wszystkich wybitniejszych ludzi i gospodarują nimi dla celów, związanych z ogólną linią masonerii. Ze tak jest w istocie, tego dowodzi choćby słynna »afery kartoteki«, która wstrząsnęła Francją w roku 1902. Wyszło wówczas na jaw, że Wielki Wschód prowadził szczegółową kartotekę wszystkich oficerów armii francuskiej, ze szczególnym uwzględnieniem ich przekonań religijnych, politycznych i t. p. Awanse i przydziały oficerów uzależnione były od tej kartoteki.

* * *

Nie mogę się tu kusić o wyczerpującą rozprawę o »krazeniu elit«, gdyż temat to bardzo obszerny i na studia nad nim należałoby poświęcić parę lat życia, a na spisanie wyników kilkaset stron druku. Główne punkty tego zagadnienia musimy tu jednak poruszyć. A więc, przede wszystkim, z jakich elementów składa się »elita«?

Do »elity« należy zaliczyć: 1. jednostki szczególnie uzdolnione w każdym kierunku, a więc naukowo, gospodarczo, artystycznie, organizacyjnie, wojskowo, politycznie i t. p.; 2) jednostki o typie »przywód-

czym«; 3) środowiska dziedziczne, dzięki którym jednostka utrzymuje się w »elicie«: a) w korzystnym wypadku — dzięki otrzymaniu starannego wychowania i wyszlacenia, b) w złym wypadku — dzięki przywilejom, bezwladowi i przymusowemu zahamowaniu »spadania elit zużytych«.

Zagadnienie krażenia elit ma więc dwie strony: jedna tyczy grup elitarnych dziedzicznych, druga jednostek wybitnych, wyrastających z masy. Ta druga strona zagadnienia łatwiejsza jest do rozwiązania od pierwszej. W społeczeństwach zachodnich uchodzi za dogmat, że zdolne dziecko, choćby urodzone z niedzary, powinno mieć możliwość ukończenia wszelkich studiów, do najwyższych włącznie. We Francji czy Wielkiej Brytanii zdolne dziecko zostaje »wykryte« kolo dziesiątego roku życia i od tej chwili staje się własnością społeczeństwa. Jest to fundamentalna zasada prawidłowego krażenia elit, poprostu ABC w tej dziedzinie. Nie jest do pomyślenia, by w nowoczesnym społeczeństwie pasł krowy chłopiec, którego natura obdarzyła zdolnościami na poziomie uniwersyteckim. W Polsce Odrodzonej nie rozumiano niestety tego dogmatu. Na wsi małopolskiej aż po wielkie przesilenie lat 1930-tych posyłanie do gimnazjów chłopców zdolnych, choćby nawet najbiedniejszych, było regułą; dopiero na skutek szeregu »reform«, przypadających na lata straszliwego przesilenia gospodarczego 1929/35, krażenie elit na najważniejszym dla Narodu odcinku rolnym uległo całkowitemu zahamowaniu. Z niedużej wioski podkrakowskiej, w której mieszkalem, posyłano od lat co najmniej czterdziestu do gimnazjum po dwóch lub trzech chłopców równocześnie; po roku 1930 nie było żadnego. Skutkiem takiego stanu rzeczy zaczęła się wieś nasza w latach 1938/39 roić od podrastających chłopców o dużych zdolnościach, lecz bez wykształcenia, którzy żyżywali się bardzo jednostronnie w różnych organizacjach młodzieży, stanowiąc materiał na wykolejńców. Gdy sprawa urosła do rozmiarów niepokojących, kazał premier gen. Sławoj-Składkowski ustanowić w każdej gminie zbiorowej po dwa stypendia na kształcenie najzdolniejszych chłopców. Sama myśl, będąca dalekim echem urzędów francuskich, była oczywiście słuszną, choć ujeta w sposób uproszczony, bez stworzenia odpowiednich ciał desygnujących kandydatów, z sztywnym ograniczeniem ich liczby do dwóch z gminy, co czyniło nie więcej, niż kilka tysięcy na obszar całej

Rzeczypospolitej (cyfra jaskrawo niedostateczna), z obciążeniem tymi stypendiami finansów gminnych*) zamiast państwowych i t. p. Mimo tych braków był to jednak pewien postęp.

* * *

W środowiskach elitarnych występuje zjawisko dziedziczenia zdolności, coraz to silniej akcentowane ostatnio przez naukę. Rzecz jasna, że jednostka wybitnie zdolna góruje nad ogółem bez względu na to, w jakim środowisku się urodzi. Z praw genetyki wynika jednak, że dzieci środowisk elitarnych posiadac muszą nieco wyższy od masy poziom przeciętnych uzdolnień, co idąc w parze ze staranniejszym wychowaniem i wykształceniem zwykło im dawać możliwość dziedzicznego, na szereg pokoleń, utrzymania się w elicie. Ten problem dziedzicznych ośrodków elitarnych, przesłonięty dziś oparami namietności i sporów, stanowi — obok niecheci masonerii do dania wglądu do tych spraw ludziom »niepowołanym« — główną trudność do bezstronnej i beznamietnej analizy »krażenia elit«. Zreszta, wbrew szeroko rozpowszechnionym poglądom, dziedziczne grupy elitarne nie koniecznie należą do t. zw. »klas uprzywilejowanych«, lecz w wielu wypadkach stanowią właśnie uprzywilejowane oazy w lonie warstw niższych, że wymienię choćby francuski system cechowy w okresie jego zwyrodnienia, od wieku XVI po Wielką Rewolucję, kiedy to »majstrowie« tworzyli zamkniętą w sobie, nieledwie dziedziczną grupę, do której rzadko dopuszczano czeladnika, nie będącego synem lub zięciem jednego z majstrów. Zahamowanie krażenia elit na odcinku rzemieślniczym było jedną z bolączek życia francuskiego w XVIII wieku, to też rozwiązanie cechów stało się jednym z pierwszych i to bardzo popularnych posunięć Wielkiej Rewolucji. Również uformowanie się we Francji w XVI i XVII wieku quasi-dziedzicznej warstwy urzędniczej nieszlacheckiej, w której stanowiskami państwowymi handlowano za gotówkę, przyczyniło się niemal do zwyrodnienia ustroju francuskiego.

W Polsce największa elitarna grupa dziedziczna jest dziś warstwa chłopów pełnorolnych. Postulat ustawowego obwarowania »zagród dziedzicznych« wynika z dążenia do utrwalenia tej grupy. Postulat

*) Uboga gmina była więc zainteresowana finansowo, by nie znaleźć u siebie żadnego zdolnego chłopca!

ten wydaje się słuszny, realizując go należy jednak mieć na uwadze, by nie uczynić tego w sposób zbyt sztywny, hamujący krażenie elit na odcinku chłopskim*).

Podkreślam raz jeszcze, że nie zamierzam tu bynajmniej wyczerpać ani nawet dokładniej zarysować temat krażenia elit, pragnę tylko zwrócić uwagę czytelnika na fakt, że problem ten istnieje i stanowi jedno z zasadniczych zagadnień ustrojowych, wymagających gruntownego opracowania. Któż może bowiem mówić np. o ustroju dawnych Prus, zamykając oczy na istnienie w nich grup elitarnych takich jak dziedziczna warstwa junkierska, częściowo dziedzicznych warstw oficerskiej i urzędniczej i t. p.? Istnienie tych grup było faktem socjologicznym; można je było popierać lub tepić, nie wolno ich było ignorować. I w Polsce mamy dwie wielkie dziedziczne grupy elitarne, chłopska i szlachecka (te ostatnia dziś już o charakterze dziedziczenia kultury raczej niż ziemi), nie licząc grup mniejszych**); grupy te, z całym zespołem swych wad i zalet, stanowią ostoje Narodu, to też każdy atak naszych wrogów kieruje się przede wszystkim na te dwie grupy. Ktokolwiek rozważając polski ustrój zapomni o nich — zbladzi. Fatalnie natomiast na dziejach Polski zacieżył brak elitarnych grup mieszczańskich.

Dziedziczna elita robotnicza nie zdołała się jeszcze u nas wykształcić, gdyż robotnik polski w pierwszym lub drugim pokoleniu wywodzi się z chłopów. Istnienie elity robotniczej wydawać się dziś może zbędne, nie ulega jednak wątpliwości, że zupełne wylugowanie warstwy robotniczej z wszelkich elementów przywódczych utrudniłoby znacznie, a może i uniemożliwiłoby funkcjonowanie korporacji zawodowych i samorządu fabrycznego. Problem ten wszedł ostatnio na porządek dyskusji w W. Brytanii, gdzie w drugiej połowie XIX wieku kształcenie zdolniejszych chłopów z warstw niższych nie było jeszcze tak sprawnie zorganizowane, jak w ostatnich dziesięcioleciach, to też w warstwie robotniczej pozostawało wówczas sporo zdolnych ludzi, z których wywodzili

*) Sztywnie postanowienie, który syn (najstarszy wzgl. najmłodszy) ma dziedziczyć zagrodę, byłoby już pewnym zahamowaniem krażenia elit, którego naturalnym wymogiem jest, by zagrodę dziedziczył syn najlepiej do tego uzdolniony.

**) Mieliśmy np. miniature ludowej grupy elitarnych w postaci t. zw. »Holendrów« z Polesia, dziedziczących z ojca na syna wysoki kunszt robót ziemnych, dzięki czemu »Holender« zarabiał parokrotnie więcej, niż inny robotnik ziemny.

się późniejsi jej przywódcy. Dziś natomiast brytyjska młodzież robotnicza jest zupełnie wylugowana z elementów elitarnych, toteż słyszy się coraz częściej utyskiwania, że poziom przywódców robotniczych obniża się. Ten problem »lutowania« warstw, pracujących fizycznie, z jednostek o umysłach lepiej rozwiniętych, jest niezmiernie aktualny również dla społeczeństw chłopskich i — o ile nie będzie odpowiednio rozwiązany — może zagrozić wszelkim koncepcjom korporacyjnym. Jego rozwiązanie wydaje się polegać na dokształcaniu tych jednostek przywódczych, których zdolności i osobowość wybijają się dopiero w wieku pozaszkolnym.

* * *

Pareto dzieli elite na dwie zasadnicze kategorie: na elite rządząca i nie-rządząca (mówiąc językiem potocznym na polityczna i a-polityczna). Do elity nie-rządzącej należą wybitni lekarze, naukowcy, technicy, artyści, powieściopisarze, duchowni itp. Rzecz prosta, członek kategorii a-politycznej może również próbować przedostać się do elity rządzącej, ale w wielu wypadkach nie uda mu się to; życie polityczne wszystkich krajów zaśmiecone jest wybitnymi profesorami, adwokatami, inżynierami itp., którzy na arenie politycznej wykazują nieraz zupełny brak zdolności.

Jaka droga wybitnie zdolna jednostka wydostaje się na należny sobie poziom w swym przyrodzonym kregu działania? Dla obu powyższych kategorii elity wspólny jest start: wykształcenie, rozpoczęcie pracy. Przed elitą nie-rządzącą stoją po tym otworem drogi awansu przeróżne i w wielu wypadkach nieszablonowe; przemysłowiec czy artysta wybije się tym łatwiej, im mniej utartych chwyci się szlaków. Elita polityczna ma natomiast tylko dwie drogi wznwyż: wyboru lub nominacji (wzgl. kooptacji, będącej jedną z form nominacji).

Wybór wylania (w normalnych warunkach) przede wszystkim średniaków — w których masa widzi swe dokładne odzwierciedlenie — a ponadto tych nielicznych członków elity, którzy dzięki szczególnemu zespołowi wad i zalet (nieraz głównie wad) potrafią się wkraść w łaski masy. Wybór nie wyłoni natomiast nigdy człowieka bardzo zdolnego, może nawet genialnego, lecz pozbawionego umiejętności czy chęci czy czasu na podobać się tłumom. Trudno sobie wyobrazić np. wybór

członków Akademii Umiejętności, Sztabu Głównego, M. S. Z., Dyrekcji Lasów Państwowych i t. p. przez ogół obywateli. Rekrutacja masonerii oparta jest również wyłącznie na nominacji (względnie kooptacji). Wszędzie, gdzie trzeba wylowić z masy jednostkę zdolną, nominacja jest metoda bez porównania skuteczniejsza od wyboru.

Wielu ludzi, w szczególności wszyscy t. zw. totaliści, wyciągają z tego wniosek, że cała hierarchie społeczna, od góry do dołu, formować należy wyłącznie drogą nominacji. Zasada ta przeprowadzono integralnie w państwach totalnych (a dawniej już wiele razy w tyraniach, dyktaturach i t. p.), gdzie wybór albo zanikł zupełnie, albo sprowadzony został do rzędu farsy. I rzeczywiście, przy przejściu z ustroju t. zw. demokratycznego, z jego przerostem wyborów, na ustrój czysto nominacyjny, obserwujemy zazwyczaj początkowo znaczne zwiększenie sprawności i dynamiki społecznej, związane z faktem, że droga nominacji wydostaje się na właściwe miejsca duża część elementów przywódczych, które w ustroju wyborczym nie miały żadnych widoków społecznego awansu. W późniejszej natomiast fazie widzimy objaw odwrotny: w dolach społeczeństwa zaczynają się gromadzić elementy przywódcze, elitarne, które na skutek wadliwego działania systemu nominacyjnego (przy braku możliwości wydostania się na wierzch drogą wyboru) nie miały możliwości wybicia się. W rezultacie, po dłuższym praktykowaniu systemu czysto nominacyjnego przejście na system wyborczy daje z kolei objawy dynamizmu i sprawności, związane z awansem pominiętej dotychczas części przywódców.

System totalnie nominacyjny pociąga więc za sobą dwa skutki ujemne. Skutek pierwszy: po pewnym czasie następuje u góry zaskorupienie; krajenie elit ustaje z powodu nie odpadania od władzy ludzi, których zdolności osłabły na skutek wieku, choroby, rozleniwienia, demoralizacji i t. p. Jak wiemy, główna trudność każdego ustroju polega na utrzymaniu pełnego krajenia elit, t. zn. na wymuszeniu ruchu nie tylko w górę, lecz i w dół, przed czym zainteresowani bronią się ze wszystkich sił. Zahamowanie krajenia następuje w ustrojach totalnych nieledwie automatycznie, a u władzy ustala się klika, która dokonuje nominacji coraz to wadliwiej, zostawiając po za procesem krajenia rosnąć ilość elementów przywódczych.

Skutek drugi systemu totalnego polega na wytworzeniu się u ludzi pewnego kompleksu nominacyjnego, będącego odpowiednikiem t. zw. kompleksu wyborczego. Tu trzeba się lasić masom, tam rządzycym. W rezultacie w systemie czysto nominacyjnym wydostają się w górę ludzie nie ze względu na swe zdolności, lecz dlatego, że umieją przypodobać się rządzycym i przełożonym i »żyć« z nimi.

Oba te skutki, a mianowicie: zaskorupienie góry oraz wytworzenie się »kompleksu nominacyjnego« w dolach, prowadzi po pewnym czasie do zupełnego przekreślenia korzyści systemu nominacyjnego.

* *
*

Wszystko co powiedziano powyżej o ustroju nominacyjnym odnosi się — *mutatis mutandis* — do ustroju czysto wyborczego. I tu następuje z biegiem czasu zaskorupienie góry oraz »kompleks wyborczy« na dole; i tu wiąże się to z całkowitym spaceniem krajenia elit. W praktyce ustrój czysto wyborczy nie utrzyma się na dłuższą metę, gdyż rozniosą go niezużytkowane, gromadzące się w dole elementy przywódcze. Natomiast ustrój czysto nominacyjny może utrzymywać się w nieskończoność, o ile zada sobie trud systematycznego usuwania (przy pomocy kuli, trucizny, obozu koncentracyjnego i t. p.) nie włączonych w ustrój elementów przywódczych.

Są to jednak wypadki skrajne. W praktyce większość ustrojów świata przedstawia mieszaninę nominacji i wyboru. W szczególności mieszanina taka przedstawia t. zw. demokracje nowoczesne, w których — obok wyboru — stosowany jest szeroko tajny awans nominacyjny w ramach masonerii. Jeden z najczęściej przez masonerie stosowanych *trick'ów* polega na wmawianiu społeczeństwom demokratycznym, że wszystkie stanowiska obsadza się u nich z wyboru. W rzeczywistości gros stanowisk obsadza się w tych społeczeństwach nominacją tajną — boc nawet kandydatów na posłów do parlamentu wyznaczają organizacje partyjne na podstawie dyrektyw lożowych, a w skutek opanowania przez masonerie finansów, prasy i administracji wybór kandydata, nie mającego jej aprobaty, należy do wyjątków. Nie popadajmy jednak w odwrotną przesadę twierdząc, że tym samym wyborca pozbawiony jest zupełnie wpływu na rzady, gdyż sam fakt, że kandydat musi być strawny dla wyborców, wpływa już w dużej mierze na jego

wyznaczenie i zmusza ludzi, którzy wiedza, że beda musieli przejść przez urne wyborcza, do stosowania swego postepowania do upodobań wyborców. Poza tym sama technika wyborów, no i konieczność zachowania pozorów, zmuszaja nieraz masonerie do wystawienia kilku kandydatów masońskich przeciw sobie. W wypadku takim wybrany bedzie ten, kto spodoba sie lepiej wyborcom, co znów wpływa prewencyjnie na zachowanie sie wielu przyszłych kandydatów. Poza tym masoneria musi zabiegac o wzgledy ludzi, o których wie, że i bez jej poparcia dostana dostateczna ilość głosów. Wolno nam wiec postawic twierdzenie, że nowoczesna demokracja stanowi kompromis miedzy zasada wyboru, a zasada nominacji tajnej.

Pojawszy to zrozumiemy, dlaczego w krajach katolickich istnieja tak silne opory przeciw temu systemowi. W wielu wypadkach ludzie nie wiedza tam nawet o istnieniu masonerii i wywieranym przez nia wpływie i posadzaja raczej partie polityczne, plutokracje, finansjere i t. d. o paczenie wyborów, w każdym jednak razie obserwują, że system wyborczy nieodmiennie wynosi do góry ludzi nie najlepszych, ale jednostki o pewnym szczególnym typie psychicznym.

W Polsce, gdzie masoneria byla stosunkowo malo na prowincji rozgaleziona i skutkiem tego grozilo jej niebezpieczeństwo wypuszczenia wyborów sejmowych z reki, poradzono sobie wprowadzając państwowe listy wyborcze (nie znane we Francji, Anglii i Stanach Zjednoczonych), dzieki którym rezydujace w stolicy sztaby partyjne (przetkane gesto masonami) zachowaly decydujący wpływ na nominacje kandydatów. W rezultacie Sejmy polskie skladaly sie przeważnie z miernot, ale nie z miernot odzwierciedlajacych przynajmniej przecietnych Polaków, lecz z miernot dogodnych szafarzom tajnej nominacji. Dodajmy odrazu, że ostatnie dwa Sejmy nasze przed r. 1939, choc na pozór nominowane przez Rzad, nosily również na sobie ten sam stempel nominacji tajnej, z ta jedynie różnica, że przy poprzednich Sejmach kandydat musial byc w pewnej mierze strawny i dla wyborców, a przy ostatnich dwu Sejmach wymagano odeń już tylko strawności dla masonerii i obozu rządzacego.

Rzecz oczywista że w społeczeństwie, które sie tak sprymitywizuje politycznie, jak sie to stalo u nas w latach 1930/39, jakikolwiek system, czy wyboru czy nominacji, staje sie parodia.

* * *

Resumując: prawidłowe konstytuowanie sie elity rządzącej wymaga oparcia awansu politycznego równocześnie na wyborze i na nominacji jawnej.

Trzeba sobie jasno uświadomic, że te dwie metody pozostaja z reguly z soba w konflikcie. Ludzie wybrani i ludzie mianowani (jako ulepiani z innej gliny) nie lubia sie i scieraja sie. O to też chodzi. Krażenie elit ma naturalna tendencje do utykania i należy je wymuszac ciaglymi starciami indywidualności i idej. Nie ma krażenia bez różnicy napiec, nie ma ustroju bez walki. Rzecz w tym, by reguly tej walki byly zdrowe, a sama walka by dzialala na społeczeństwo hartujaco, a nie rozkladajaco.

Wychowanie elity. W każdym społeczeństwie istnieje pewna dwustopniowość na drodze do władzy. Przecietna jednostka kształtuja rodzina, szkoła i otoczenie, oraz system religijny i obyczajowy środowiska. Takie kształcenie wystarcza przecietnemu człowiekowi do przejścia przez życie. Jeśli jednak ten człowiek na przewodnic innym, powinien otrzymac dodatkowe wykształcenie umysłu i charakteru, którego zwykle otoczenie dac mu nie może. Plynie stad zjawisko, powtarzajace sie we wszystkich czasach i u wszystkich ludów, że z masy społecznej wylaniaja sie — takim czy innym sposobem — grupy ludzi podleglych wyższym kryteriom wykształcenia i bardziej skomplikowanym normom etycznym, z których to grup rekrutuja sie dopiero rządzacy. Rzecz prosta, że do rządów dochodza również i jednostki z poza tych grup, ukształtowane wedlug wzorca przecietnego obywatela; są to jednak wyjatki, nie obalajace zasadniczej reguly, która w dalszych naszych rozważaniach określac bedziemy jako regule dodatkowego wychowania przywódców (elity).

Regula ta obowiazuje w każdym społeczeństwie; możnaby pisac grube tomy ilustrujace jej dzialanie — lub zawodzenie — na przestrzeni dziejów. W tym miejscu ograniczymy sie do przypomnienia, w jaki sposób regule dodatkowego wychowania elity realizowaly czolowe ustroje świata takie jak Ateny, Rzym, średniowieczna i nowożytna Europa.

W trzech pierwszych wypadkach dodatkowe wychowanie odbywalo sie w ramach warstw dziedzicznych; na inne rozwiązanie nie

pozwalal jeszcze prymitywizm urzadzeń spolecznych, a przede wszystkim krótkość życia ludzkiego (czlowiek nowoczesny żyje przecietnie dwa razy dluzej od starozytnego). Dopiero czasy nowozytne stworzyly — w postaci masonerii — pierwsza w dziejach organizacje dodatkowego wychowania elity niedziedzicznej.

Jak wiadomo, slyne demokracje ateńska i rzymska opieraly sie na warstwach uprzywilejowanych. Demokracja ateńska rzadzili ludzie wolni, stanowiacy maly tylko odsetek ludności kraju. Wolni Ateńscy tworzyli warstwe elitarna wysoko wykształcona, z której rekrutowali sie rzadzacy. W demokracji rzymskiej stanowiska przywódcze (konsulów i kwestorów) zastrzeżone byly dla członków warstwy patrycjuszowskiej, chowanych od dziecka w sposób, uzdolniający ich do przewodzenia.

Europa średniowieczna wylonila szlachte na wsi i patrycjat w mieście. Obie te warstwy otrzymywaly wychowanie szczególnie staranne i mialy wyższe normy zachowania sie; z nich rekrutowali sie rzadzacy, uzupełniani doplywem elementów świeżych poprzez stany duchowny i mieszczański. W miare wyrodnienia ustroju średniowiecznego role warstwy uprawnionej do rzadzenia monopolizuje szlachta, obwarowujaca sie coraz wylaczniej prawem dziedzicności. Prowadzi to do stosunków nieznośnych. I wówczas to z poczatkiem XVIII wieku pojawia sie masoneria, która w sposób systematyczny, rezygnując z dziedzicności, organizuje elite ludzkości i daje jej dodatkowe wychowanie. W XIX i XX wieku w spoleczeństwach zachodnich nie wielu można wymienic ludzi wybitnych, nie bedacych masonami.

Historia ludzkości za ostatnich dwieście lat jest w dużej mierze historia masonerii. Projektując nowy ustrój musimy wiec zdac sobie uprzednio sprawe z jej istoty, by nie pominac jej doświadczeń, ustrzec sie jej bledów i pelnione przez nia, choc wadliwie, funkcje socjologiczne powierzyć organizacji lepszej.

Masoneria wymaga od swych członków i nie członków przede wszystkim tego, by o niej nie mówili. Stad mala ilość ludzi, wazacych sie mówic o jej istnieniu, i ogromne trudności w poznaniu jej istoty i dzialania. Ogól Polaków można podzielic na tych, którzy nic nie wiedza o masonerii i tych, którzy z oportunistu wola o niej nie mówic. A przecież

trudno odmówic wpływu na sprawy tego świata organizacji, do której, pod sankcja ścisłej dyscypliny i uroczystych przysiąg, należa przywódcy wszystkich narodów przodujacych dziś światu, ogromna wiekszość królów, prezydentów, ministrów, uczonych, przemyslowców i generalów.

W końcu listopada 1942 roku ogłoszono w dziennikach szkockich, z racji instalacji nowego Wielkiego Mistrza, że masonerii przybylo w Szkocji w poprzedzającym roku 14,500 członków. Ilość łóż idzie w Wielkiej Brytanii w tysiacie. Każdy prawie podoficer i właściciel sklepiku należy tu do masonerii, nie mówiac o warstwach wyższych. W Stanach Zjednoczonych cyfry masonów sa jeszcze wyższe*). Jeśli wziac ponadto pod uwage, że organizacja wewnetrzna masonerii opiera sie na doświadczeniu wieków i na doglebnym, naukowym poznaniu psychiki ludzkiej — przy pelnym wyzyskaniu jej wad — to musimy dojść do wniosku, że z potega tej organizacji żadna inna równac sie nie może i że wszelkie rozważania ustrojowe, nie oparte na gruntownym przemyśleniu tego czynnika, sa albo samoludzeniem sie, albo — co gorsza — ludzeniem innych.

Nie wystarczy wysuwac postulatu rozwiazania masonerii, trzeba wiedziec, co postawic w jej miejsce. Nowoczesne ruchy totalne — komunizm, faszyzm, hitleryzm, próbowały zastapic masonerie monopartia. Próby te daly wyniki ujemne, nie zmienia to jednak faktu, że każde spoleczeństwo, które pragnie wyzbyc sie masonerii, musi w jej miejsce wytworzyc jakaś inna organizacje elity, odpowiadajaca potrzebom danego narodu i dostosowana do charakteru jego członków.

* * *

Masonerie trudno rozgryżc i rozplatac, tyle w niej różnych odłamów, tyle mroków, tyle zakamarków. Nie bedziemy sie tu kusili o wskrzeszenie jej przeszłości z legend. Dla naszych rozważań wystarczy przypomnienie faktu, że w r. 1717 powstala Wielka Loża Anglii, bedaca wytworem

*) Lipski »Kalender für Freimaurerei«, uchodzacy za najpowazniejsze wydawnictwo tego rodzaju, podal, że w r. 1926 istnialo w Ameryce Północnej 17.008 łóż z 3.091.000 członków oraz w W. Brytanii 5.536 łóż z 351.000 członków. W Niemczech mialo byc w tym czasie 82.180 masonów, we Francji 44.000, we Wloszech 25.000. Sa to cyfry masonów t. zw. uznanych; biorac pod uwage »nieuznane« odlamy masonerii otrzymalibyśmy cyfry znacznie wyższe.

dlugiego już rozwoju; że w ciągu następnej czwartej części wieku masoneria oplotła swą organizacją cały ówczesny świat; że z biegiem lat powstało szereg odłamów (rytów) masonskich, z których do najbardziej rozpowszechnionych należą ryt »szkocki«, Royal Arch, Mark Masonry, W. Wschód francuski, żydowski B'nei B'rith, masoneria staropruska, a z rytów kabalistycznych Martyniści oraz »egipskie« ryt Memphis i Mizrachim (dziewięćdziesięciostopniowe). Ściśle z masonerią związane (aczkolwiek nie »uznane«) tajne związki, to zrzeszające mężczyzn i kobiety Teozofia (Ko-masoneria, Eastern Star, Droit Humain) oraz we Francji t. zw. masoneria »adopcyjna«, to Independent Order of Odd Fellows (centrala w Stanach Zjednoczonych, rozwiązany przed wojną w Polsce), to Woodmen (również w Stanach Zjednoczonych), Foresters (w W. Brytanii), Antropozofowie, Christian Science, Spirytualiści, Różokrzyżowcy, Swedenborgianie, Druidzi i t. p. Wszystkie te odłamy, choć bardzo na pozór odmienne, łączą trzy wspólne cechy: 1) antykatolickie nastawienie, 2) prosemityzm, 3) konspiracja o budowie właściwej wszelkim tajnym związkom*), a więc wielostopniowości, obrzędach wtajemniczenia (inicjacji), przysięgach, symbolice, rytuale, emblematkach, znakach rozpoznawczych, chwytach, ezoterycznej doktrynie, misteriach i t. p.

Antykatolicyzm i prosemityzm łączy się w masonerii ściśle z jej rytuałem; o ile bowiem rytuał katolicki obraca się dookoła zamecznia Chrystusa przez Żydów, co z natury rzeczy budzi uczucia niechętnie Żydom, to rytuał masonski osnuty jest na motywie budowy świątyni Salomona, co kojarzy pojęcie Żyda z budowniczym nowego ładu i budzi prosemityzm. W niektórych wyższych stopniach masonskich rytuał gloryfikuje ponadto śmierć Jakuba de Molay, W. Mistrza Zakonu Templarjuszów, budząc silne uczucia antykatolickie (de Molay wyklęty

*) Na temat tajnych związków istnieje niezmiernie bogata literatura naukowa i publicystyczna. Wynika z niej, że związki takie stanowią objaw nieodłączny od społeczności ludzkiej, a w szczególności, że istniały one we wszystkich nieledwie społeczeństwach prymitywnych, w których spotykamy już wymienione powyżej charakterystyczne ich cechy, takie jak wielostopniowość, obrzędy inicjacyjne i t. p.

Tajny związek jest więc zjawiskiem nieodłącznym od zbiorowości ludzkiej; zdania są jednak podzielone, czy należy go zaliczyć do instytucji dodatnich takich jak małżeństwo, władza, kościół i t. p., czy też do objawów ujemnych takich jak pociąg do narkotyków i gier hazardowych, alkoholizm, cudzołóstwo, zмова i t. p.

został przez Papieża i spalony w roku 1314 na stosie na rozkaz króla francuskiego Filipa Pieknego).

Trzecia z wymienionych cech masonerii — konspiracja — dostosowana jest przemyślnie do jednej z podstawowych słabości natury ludzkiej, jaką jest pociąg do tajemniczości. O ile jednak konspiracja stanowi dla zwykłych narodów tylko urozmaicenie, mniej lub więcej zbyteczne do życia, o tyle dla narodu żydowskiego stała się ona zasadniczą formą ustroju. Skutkiem tysiącletniej praktyki oraz pewnych cech swej umysłowości stali się Żydzi mistrzami konspiracji, to też przenikanie do konspiracji nieżydowskich i ich opanowywanie stanowi umiejętność, która doprowadzili do doskonałości.

Czy poza wymienionymi wyżej trzema wspólnymi cechami, poszczególne odłamy masonerii wiążą również jakąś wspólną ideę i wspólny cel działania?

Mimo powodzi deklamacji i publikacji na ten temat, trudno te idee i ten cel sprecyzować. Nie zapominajmy, że masonami byli zarówno Mazzini i Garibaldi jak Trocki i Litwinow, zarówno Hindenburg jak Blum. W ramach masonerii mieścili się zawsze równie dobrze nacjonalizm (włącznie z nacjonalizmem pruskim), jak i międzynarodówki (włącznie z marksizmem). Masoneria lubi deklamować o wiedzy, o postępie techniki i nauki i t. p. W rzeczywistości obok racjonalizmu reprezentowane są w masonerii równie silnie iluminizm i kabała, a mistyka góruje często nad intelektem. To też punkt ciężkości masonerii leży nie w idei, lecz w symbolice i rytuale, w wielopłaszczyznowej konspiracji i w systemie etycznym, stanowiącym karykaturę systemu chrześcijańskiego, gdzie miłość bliźniego przeradza się w »braterstwo«, a miłosierdzie w »filantropię«.

Czy poszczególne człony masonerii powiązane są z sobą organizacyjnie? Anglicy przysięgają się, że ich masoneria nie podlega nikomu. Wydaje się to prawdopodobne. Istnieją podobno na szczeblu poszczególnych państw oraz na szczeblu całej ludzkości ciała koordynujące działalność poszczególnych odłamów masonskich, pod nazwą Wielkich Warsztatów Krajowych i takiegoż Wielkiego Warsztatu Światowego. Nie ma jednak na to danych, by istniała wspólna dla wszystkich odłamów masonerii centralna władza. Należy raczej przypuszczać, że rozkazodawstwo wspólne wszystkim członkom masonerii idzie za

pośrednictwem konspiracji głębszych, przenikających z kolei sama masonerie.

Każdemu, kto pragnie zorientować się w istocie masonerii, radzimy zapoznać się z pismami Weissshaupta, założyciela »Zakonu« Illuminatów. Z pism Weissshaupta wynika, że z całą świadomością założył on konspirację, mającą przeniknąć do masońskie i naginać je do jego zamysłów. Istnieją historyczne dane na to, że Illuminaci należeli do inicjatorów rewolucji francuskiej z r. 1789 oraz rewolucji polskiej, której zewnętrznym wyrazem był Sejm Czteroletni. Później znikają oni z widowni, ale znawcy tych spraw przypuszczają, że konspiracja ta — może pod inną nazwą — działa nadal jako sztab główny rewolucji światowej. Ludzi interesujących się tymi sprawami odsyłamy do znanej pracy Nesta'y H. Webster pt. »Secret Societies and Subversive Movements.«

Polscy badacze za główną spreżyne koordynująca i inspirująca wszystkie odłamy masonerii uważają Żydów, którzy przenikają wszystkie jej odłamy, a równocześnie związani są niczymi własnych konspiracji. Jeśli uprzytomnimy sobie, że całe Żydostwo stanowi jedną wielką, wspaniałą skonstruowaną i jednolicie dyrygowaną sieć konspiracyjną*), której członkowie tkwią we wszystkich stopniach wszystkich rytów masońskich, wówczas zrozumiemy bez trudu, dlaczego masoneria całego świata orientuje się zawsze bez pudła na interes narodowy żydowski.

Z mroków masonerii korzysta szereg elementów, nie lubiących pełnego światła. Znajdziemy tam z zasady każdą wybitniejszą jednostkę obciążoną jakąś przewiną; znajdziemy tam geszefciarzy i karierowiczów; usłaly tam sobie gniazda podejrzane ruchy polityczne, międzynarodowy kapitał przemysłowy i międzynarodowa finansjera; działają tam wszelkie wywiady; »braterstwo« przeradza się nieraz w mafie. Są to ciemne strony, nieodłączne od istnienia potężnej i wpływowej organizacji. Wszy trzymają się kożucha. Niech nam to jednak nie przesłania faktu, że zrab masonerii stanowią ludzie fanatyczni i bezinteresowni. Dzięki nim masoneria wyrosła na wielki system etyczno-rytualny, coś à la nowoczesny Konfucjanizm, wypierający skutecznie Chrześcijaństwo.

Na przykładzie Chin widzimy, że wielkie społeczeństwo, mające

*) Istnieją poważne powody do przypuszczenia, że sieć ta podlega rozkazom tajnego ośrodka, kierującego narodem żydowskim.

własny narodowy system etyczny, może przez długie wieki obywać się bez religii. Wielu obserwatorów Wielkiej Brytanii przypuszcza, że przy pomocy masonerii wkroczyła ona na taką samą drogę i że za parę pokoleń wierzący Chrześcijanin należeć tam może do rzadkości. Inna sprawa, czy odchrystianizowana Brytania potrafi zachować swą wielkość. Przyszłość to pokaże. Tak czy owak, już dziś większość Brytyjczyków przestała być Chrześcijanami, zastępując — w sposób, którego wielu z nich sobie nawet nie uświadamia — Chrześcijaństwo masoneria.

Czy masoneria prowadzi narody do wielkości czy upadku?

Historia ostatnich dwóch wieków uczy, że masoneria doprowadziła narody protestanckie do rozkwitu*), a katolickie do upadku. W świetle tego, co powiedzieliśmy wyżej, nie może nas to dziwić. Protestantyzm był przecież nawrotem od Nowego do Starego Testamentu, był judaizacja Chrześcijaństwa. Statuty Wielkiej Loży angielskiej, po roku 1717, ułożyło dwóch duchownych protestanckich: Anglikanin i szkocki Prezbiterianin. W dwadzieścia lat później Kościół katolicki, czując w masonerii groźne niebezpieczeństwo dla spójności Kościoła i czystości jego doktryny, zakazał wiernym należenia do masonerii i wzmocnił ten zakaz ekskomuniką. Od tego czasu społeczeństwa protestanckie rozwijają się sprawnie w ramach organizacji masońskiej, podczas gdy w społeczeństwach katolickich masoneria wprowadza głęboką rozterkę, staje się przyczyną zakłamania i podłożem działalności agentur obcych, demoralizuje i rozkłada. W chwili powstania we Francji pierwszych łóż, z początkiem XVIII wieku, była ona pierwszą potęgą świata. Rządy masońskie doprowadziły Francję do katastrofy roku 1940, Hiszpanię do wojny domowej roku 1936, Włochy do stanu anarchii z przed marszu Mussoliniego na Rzym, Polskę do rozbiorów w wieku XVIII i do zniszczenia Warszawy w roku 1944.

Religia katolicka była zawsze jedyną z wielkich religii świata, pozbawioną konspiracji i nauczania ezoterycznego, i w tym duchu wychowywała narody, to też przynależność do konspiracji pacy i łamie charakter katolików.

* * *

*) Przyszłość pokaże, czy rozkwit ten nie był przejściowy, czy nie było to życie z kapitału, nagromadzonego przez Chrześcijaństwo rzymskie.

Resumując: jest faktem historycznym, że w każdej uporządkowanej społeczności istniała zawsze jakaś grupa społeczna (warstwa lub instytucja), dająca elicie wychowanie dodatkowe. Do XVIII wieku grupy takie bywały z reguły dziedziczne (patrycjat, szlachta); pierwsza taka grupa niedziedziczna jest masoneria.

Po rozważeniu istoty masonerii doszliśmy do wniosku, że w nowoczesnym społeczeństwie ona właśnie wychowuje i grupuje elite i że w społeczeństwach protestanckich robi to dobrze (z punktu widzenia doraźnych interesów danej społeczności), a w katolickich źle. Nie wystarczy jednak występować przeciw masonerii, trzeba zdac sobie sprawę z jej roli i stworzyć inną instytucję, która przejęłaby — w sposób doskonalszy — funkcje pełnione dotychczas przez masonerie.

Chcąc dać Polsce ustrój zdrowy musimy więc przede wszystkim stworzyć organizację (instytucję) moralno-polityczną, wychowującą nasze jednostki przywódcze, podobnie jak to czyni masoneria w krajach protestanckich. Musimy stworzyć organizację równie głęboko przemyślaną, dostosowaną — psychologicznie i socjologicznie — do potrzeb kraju katolickiego i do charakteru Polaków. Dopiero na zrebie takiej organizacji możemy postawić gmach ustroju naprawdę własnego, prowadzącego Naród do potęgi i dobrobytu.

Organizacja Polityczna Narodu. Koncepcja wytworzenia nowoczesnej organizacji, kierującej Narodem polskim i wychowującej jego elementy przywódcze, datuje się z końca dziewiętnastego wieku. Po upadku rządu powstańczego w r. 1864 w życiu polskim zapanowała pustka; próby wypełnienia jej hasłami pozytywizmu i pracy organicznej, tak obce psychice polskiej, rychło zawiodły. Nic więc dziwnego, że skoro tylko podrosło nowe pokolenie, gdy weszli w życie synowie tych, którzy zdarli swój patriotyzm w powstaniu, podjęto ponownie próbę zorganizowania Narodu. W myśl liczącej już wówczas półtora wieku tradycji sięgnięto po natchnienie do kół masonskich, z nich też w latach osiemdziesiątych wyszły dwa wielkie ruchy polityczne: socjalistyczny i narodowy. W pierwszym z nich ścierały się elementy międzynarodowe z elementami »niepodległościowymi«, a sprawy społeczne górowały, to też obozu tego nie możemy uważać za prekursora Organ. Polit.

Narodu. Drugi natomiast ruch, narodowy, od samego początku wytknął sobie zadanie wytworzenia ośrodka, wychowującego elite Narodu polskiego i kierującego jego losami. Pierwsza forma organizacyjna tego ruchu była »Liga polska«, założona w r. 1886 w Szwajcarii przez T. T. Jeżę (plk. Milkowskiego), starego powstańca, konspiratora i masona; »Liga« wylonila z początkiem roku 1887 konspirację akademicką »Zet« (założoną przez Balickiego). »Liga polska« nie wykazała żywszej działalności, to też kilku jej członków założyło w r. 1891 w Warszawie nową organizację pod nazwą »Ligi narodowej«. Twórcami tej organizacji byli Balicki, Popławski i Dmowski; niebawem przystąpił do niej również Milkowski. Z pośród założycieli »Ligi narodowej« masonami byli — według własnych słów Dmowskiego — Popławski i Balicki, nie licząc Milkowskiego.

Masoneria pozowała przez cały wiek dziewiętnasty na championa wolności i patronowała nacjonalizmowi, walka więc o niepodległość Polski w ramach organizacji masonskiej wydawała się w tych czasach rzeczą naturalną. Początkowo »Liga narodowa« miała klasyczne cechy konspiracji przetkanej gestami masonami (nie brakło w niej również Żydów). Dopiero w miarę krystalizowania się nowoczesnej doktryny narodowej zaczęło się szerzyć zrozumienie problemu żydowskiego i masonskiego; tego pierwszego wcześniej, bo już w ostatnich latach przed pierwszą wojną światową; tego drugiego dopiero po odzyskaniu niepodległości.

To stopniowe uświadamianie sobie potrzeb Narodu i wyzwalanie się z przywar dziewiętnastego wieku stanowiło ogromne utrudnienie w działalności »Ligi«, która w wielu wypadkach musiała sama odrabiać własną robotę. W epokę niepodległości weszła »Liga« np. z takim balastem członków masonskich (a i ze spora ilością Żydów), że w latach 1919—1928 (data jej rozwiązania) »Liga« nie tylko nie była zdolna do pełnienia funkcji Organ. Polit. Narodu, lecz była poprostu jednym z narzędzi W. Wschodu na terenie Polski i z tego tytułu ponosi współodpowiedzialność za rozwój polityczny, który doprowadził do wypadków majowych r. 1926 i następującego okresu sprymitywizowania politycznego Rzeczypospolitej. Koniec »Ligi« był bardzo niesławny; miała ona jednak swe dwudziestolecie prawdziwego rozmachu, kiedy to w niektórych chwilach ogarniała rzeczywiście większość jednostek znacznych

w narodzie; po za Dmowskim i przywódcami Obozu Wszechpolskiego należeli do niej wówczas Paderewski i Sienkiewicz, Kasprowicz i Reymont, Witos i Korfanty. Po za jej zasiegiem pozostała tylko t. zw. lewica, tak silnie (po za najbliższym otoczeniem Pilsudskiego) opanowana przez czynniki międzynarodowe, że w Organ. Polit. Narodu polskiego miejsca dla niej byc nie mogło.

Ten okres świetności »Ligi« nie trwał jednak długo. Gdy po pierwszych zawodach niepodległości zaczęło się stawac coraz to jaśniejsze, że masoneria przeszkadza w ugruntowaniu się państwowości polskiej i w związku z tym powstała koncepcja polskiej »anty-masonerii«, »Liga narodowa« jako twór masonerii, śmiertelnie zarażony jej duchem i przetkany jej członkami, musiała ustąpić miejsca nowym formom organizacyjnym. Wysoce dwuznaczna rola odegrana przez »Lige«, a w szczególności przez jej przywódcę Stan. Grabskiego, w okresie poprzedzającym wypadki majowe z r. 1926 i w czasie samego zamachu, wykazała ostatecznie potrzebe wyłonienia zupełnie nowego kierownictwa politycznego. Niestety w ówczesnej »endecji« nie było materiału ludzkiego na wytworzenie takiego kierownictwa. Oceniając trzeźwo słabość swego obozu Dmowski przystąpił więc przede wszystkim do wychowania ab ovo nowego narybku, który z biegiem czasu mógłby utworzyć samodzielny, czysty już tym razem zupełnie od nalotów żydowskich i masońskich ośrodek przywódczy Narodu. W celu wychowania takiego narybku założył Dmowski na jesieni 1926 r. »Obóz Wielkiej Polski«, starając się odseparowac go z góry od zapowietrzonych kadr »starych endeków«, którym pozwolono dogorywac w Związku Ludowo-Narodowym i w »Lidze narodowej«, a po rozwiązaniu obu (w roku 1928) w nowoutworzonym »Stronnictwie Narodowym« oraz w konspiracji, stanowiącej dalszy ciąg rozwiązanej »Ligi«.

Zupełne przekształcenie organizacji pozwoliło Dmowskiemu, który po wypadkach majowych przejął z rąk Stan. Grabskiego ster Obozu Narodowego, przeprowadzić czystkę. Do końca zreszta swego życia Dmowski nie ustawał w żmudnej pracy czyszczenia swego Obozu z infiltracji masońskich. Była to praca syzyfowa, gdyż masoneria nie zaprzestała werbowac coraz to nowych członków wśród narodowców.

Z różnych oznak można wnioskowac, że w chwili śmierci Dmowskiego masoneria była w jego obozie tak jeszcze silnie zagnieżdżona, że

pozwolilo jej to przejść do kontrofensywy; w rezultacie już w trzy kwartały po śmierci Dmowskiego Stronnictwo Narodowe znalazło się w kombinacji wielo-partyjnej pod batuta W. Wschodu, co stanowiło przekreślenie całego dorobku myśli politycznej, z takim mozolem szczepionej przez Dmowskiego w Obozie Wielkiej Polski.

W przeciwieństwie do swej poprzedniczki, »Ligi«, Obóz Wielkiej Polski wystartował odrazu z całkowicie jasną koncepcją Organizacji Politycznej Narodu jako polskiej »anty-masonerii«. Z koncepcji tej wynikało kilka naturalnych postulatów: dążenie do ogarnięcia wszystkiego, co w Narodzie przodujące (a więc całej jego elity); przekreślenie podziałów partyjnych; przejęcie funkcji, spełnianych przez masonerie i usunięcie jej z życia polskiego. W pojęciu jego założycieli i członków, O. W. P. miał dorosnąć w przyszłości do roli Organ. Polit. Narodu. Szczegółowa struktura tej instytucji miała się wyłonic z biegiem czasu, droga pracy myślowej narodowców i ich wysiłku politycznego i organizacyjnego.

Celu tego nie osiągnięto. Złożyło się na to szereg przyczyn. Najważniejsza z nich, to konsekwentne przeciwdziałanie samej masonerii, nie tylko droga infiltracji, ale również i przez rozwiązywanie kolejnych poszczególnych członków O.W.P. przy pomocy posłusznych masonerii władz państwowych. Ostateczne rozwiązanie O.W.P. nastąpiło na wiosnę 1933 r., tuż po objęciu władzy w Niemczech przez Hitlera. W tym zbiegu dat nie ma oczywiście nic przypadkowego.

Rozwiązując O.W.P. masoneria postawiła młode pokolenie w trudnym położeniu; organizacja, mająca drogą ewolucji przekształcić się w Organ. Polit. Narodu przestała istnieć, zabrakło więc logicznego ogniwa między teraźniejszością a przyszłością. Utrzymała się wprawdzie konspiracja, stanowiąca podszewkę O.W.P., ale rozumiano, że ograniczając się do akcji czysto konspiracyjnej ani Organ. Polit. Narodu się nie zmontuje, ani władzy w Polsce się nie zdobędzie. Trzeba było stworzyć jakąś nową formę jawnego działania politycznego, rzecz (jak się później okazało) niewykonalną w państwie policyjno-półtotalnym, o przemożnych wpływach masońskich. Nastąpił rok szarpaniny, w rezultacie której członkowie dawnego O.W.P. rozszczepili się na cztery odłamy. Część wstąpiła do Stronnictwa Narodowego, założonego w r. 1928 po rozwiązaniu Związku Ludowo-Narodowego (przypominam, że Stronnictwo

Narodowe miało być »przechowalnią« niedobitków dawnej »endecji«, ze szczególnym uwzględnieniem jej elementów masonskich). Cześć członków O.W.P. przeszła do obozu rządzącego, przybierając nazwę »Związku Młodych Narodowców«; reszta utworzyła »Obóz Narodowo-Radykalny« (O.N.R.), a po jego rozwiązaniu (jawna działalność O.N.R. trwała zaledwie trzy miesiące) schroniła się w konspirację, po czym odłamała się od niej jeszcze grupa t. zw. »Falangi«.

Triumf masonerii był zupełny. Kadry, marzące o zjednoczeniu wszystkiego co najlepsze w Narodzie, same znalazły się rozbite w sposób więcej niż tragiczny, bo aż graniczący ze śmiesznością. Na długie lata masoneria mogła teraz czuć się bezpieczna. Robotę zrobiono po mistrzowsku. Jaka w tym rozkawałkowaniu młodego pokolenia była bezpośrednia rola »braci« — po za samym faktem rozwiązania O.W.P. — trudno stwierdzić. Ze była — wydaje się niewatpliwe i dużo na ten temat krążyło gadek.

Jak to zwykle bywa przy rozłamach, wszystkie odłamy zachowały początkowo tę samą ideologię, a w szczególności wyznawały nadal konieczność stworzenia jednolitej Organ. Polit. Narodu. Aż do roku 1939 postulat ten figurował i w Stronnictwie Narodowym (przynajmniej w jego młodszych szeregach) i w O. N. R. i w grupie »Falangi«. »Związek Młodych Narodowców« przeszczepił ten postulat w kółka Pilsudczyków, w których wydał on osobliwy wykwit pod postacią t. zw. »Ozonu« (Obozu Zjednoczenia Narodowego, 1937—39); możliwe zresztą, że właściwym celem utworzenia »Ozonu« było właśnie ośmieszenie idei Organ. Polit. Narodu.

Jak wspominałem, idea ta wspólna była początkowo wszystkim ugrupowaniom, wywodzącym się z O.W.P.; dla osób znających stosunki w Stronnictwie Narodowym jasne jednak było, że starsi jego członkowie idei tej ani nie rozumieją, ani nie popierają. Nic przeto dziwnego, że skoro tylko Dmowski umarł i S. N. po katastrofie wrześniowej dołączyło do wielopartyjnej kombinacji masonskiej (na zmianę jako jeden z współuczestników w rządach i jako »opozycja Jego Królewskiej Mości«), następnym punktem programu, który kierownictwo S. N. zarzuciło, stał się postulat Organ. Polit. Narodu. Poradzono sobie z nim w sposób pomysłowy głosząc, że Organ. Polit. Narodu — to po prostu państwo. Abstrahując od wszystkich innych argumentów, które można wytoczyć

przeciw takiemu twierdzeniu, jest oczywiste, że państwo ani nie może wychowywać elity ani nie może być »anty-masoneria«. Wysuwając więc tezę, że Organ. Polit. Narodu jest państwo, musiało kierownictwo S. N. przestać wogóle mówić o masonerii. Ze się tak stało, o tym świadczą choćby roczniki londyńskiej »Myśli Polskiej«, organu S. N. w W. Brytanii.

* *

*

Samo rzucenie idei nie wystarczy; trzeba jeszcze, by wypełniła się ona żywa treścią szczegółowych pomysłów oraz by zgrupowali się dokoła niej ludzie, związani z nią sercem i wyobraźnią; trzeba, by narosły sploty uczuć i imponderabiliów. Należy przyznać, że sploty te dokoła idei Organ. Polit. Narodu narastają powoli i opornie, czego główną przyczyną leży mniej chyba w fakcie przeciwdziałania masonerii jak w tym, że w ostatnim dwudziestoleciu szereg społeczeństw przeszło próby monopartyjne, o założeniach częściowo zbieżnych z założeniami Organ. Polit. Narodu (wydobyć się z ustroju wielopartyjnego), i że próby te dały wyniki ujemne. Przeciwnie i u nas zarówno B. B. W. R. jak O. Z. N. były próbami monopartyj, i ich żalosne fiasko ułatwia dziś masonerii zwalczanie i ośmieszanie koncepcji Organ. Polit. Narodu, aczkolwiek obie te próby poczęte były przez masonerie i pozostawały pod jej kierownictwem.

Szerszego teoretycznego opracowania koncepcja Organ. Polit. Narodu jeszcze się nie doczekała, choć każdy z pisarzy obozu narodowego uważał za swój obowiązek coś do niej dorzucić. Przez ostatnie lata swego życia pisał Dmowski prace na temat ustroju politycznego; pracy tej nie ukończył, a jeśli chodzi o Organ. Polit. Narodu to — o ile mi wiadomo — pozostał po Dmowskim tylko fragment pod postacią szkicu »Kodeksu Obywatelskiego«, strzeżonego pieczołowicie przed okiem niepowołanych przez najbliższych przyjaciół zmarłego. Dużo na temat Organ. Polit. Narodu mówiono i dyskutowano w środowisku »Prosto z Mostu«, skupiającym bezpośrednio przed wojną, dokoła nieodwołanego redaktora ś. p. St. Piaseckiego, najlepsze mózgi młodego pokolenia »narodowego«. W pewnym okresie koncepcja Organ. Polit. Narodu zaczęła tu przybierać formy »trzeciozakonne*); sam ś. p. Piasecki wstąpił do Trzeciego Zakonu Dominikanów — łączyło się to potrosze

*) Patrz Rozdział następny.

również z szerzaca się wówczas moda intelektualna na św. Tomasza z Akwinu; jak wiadomo św. Tomasz był Dominikaninem i Trzecie Zakony powstały w jego czasach. Podobnie zreszta, jak zagraniczne monopartie utrudniały nam wykształcenie sobie własnej koncepcji Organ. Polit. Narodu, tak i hitlerowska koncepcja hodowli super-elity partyjnej na »Ordensburgach« robiła kłopotliwa dywersje koncepcji »trzeciozakonnej«, tak różnej w duchu (acz zbieżnej w nomenklaturze) z pomysłami nazistów. W rezultacie wojna zastała polski obóz narodowy jeszcze ciągle w stadium dość bezładnej dyskusji na temat Organ. Polit. Narodu, przy braku szczegółowych sformułowań. Stan ten ułatwił później próbie storpedowania tej koncepcji w Stronnictwie Narodowym i daje nadal łatwe argumenty jej przeciwnikom.

Czym to tłumaczyć, że w dwadzieścia lat po powstaniu O. W. P. czołowa jego koncepcja jest jeszcze ciągle w stanie surowym, podczas gdy większość innych jego wskazań programowych (np. dotyczących ustroju gospodarczego, rodziny, religii, sprawy żydowskiej, narodu i t. p.) stało się już dawno własnością myślącego ogółu i czeka tylko na urzeczywistnienie w chwili objęcia władzy przez Polaków niezależnych od zagranicy? Wydaje mi się, że trudność w sprecyzowaniu koncepcji Organ. Polit. Narodu leży przede wszystkim w tym, że chodzi tu o stworzenie instytucji tak obrosłej w imponderabilia, że powstanie jej musi mieć charakter spontaniczny, a formy jej winny ewoluować stopniowo i to wysiłkiem raczej anonimowym, niż w myśl jakiegoś projektu indywidualnego. Organ. Polit. Narodu (oczywiście pod jakąś inną, bardziej irracjonalną nazwą) powinna wrastać powoli w rzeczywistość obyczajową i socjologiczną kraju; jednym słowem — nie można jej stworzyć na zamówienie, a przede wszystkim nie wolno jej związać z jakąś partią czy kliką.

Obóz pomajowy mógł być po roku 1926 stać się zawiązkiem takiej Organ. Polit. Narodu, gdyby się był uniezależnił od masonerii. Należy przypuszczać, że powstanie tej Organizacji będzie u nas dość przypadkowe; rozwinięciem się ona jednak dopiero wówczas, gdy w umyśle ogółu wryje się kilka zasad bardzo prostych, lecz zupełnie podstawowych. W dalszym ciągu tych rozważań postaram się te zasady sformułować; będą one ogólnikowe, gdyż szczegółowe ich precyzowanie mogłoby tworzeniu się Organ. Polit. Narodu zaszkodzić

raczej niż pomóc. Ludzie Sredniowiecza, przejęci chrześcijańską koncepcją wysokiej wartości każdej bez wyjątku jednostki i dążący w związku z tym do samorządu, chroniącego te jednostki przed samowolą królów i możnowładców — znali też tylko ogólny zarys swych pragnień i posuwali się po omacku, tworząc formy ustrojowe przypadkowe i doskonaliły się dopiero z biegiem czasu. Tak też wyobrażam sobie proces narastania Organ. Polit. Narodu: najpierw przeniknięcie do umysłów przodujących w narodzie potrzeby jej powstania; potem przypadkowy jakiś zaletek, dokoła którego zaczną narastać instytucja Organ. Polit. Narodu; wreszcie stopniowe doskonalenie się tej instytucji metodą prób, omyłek i poprawek, trwających pokolenia.

Metoda taka nie ma nic wspólnego z tak drogiem naszym racjonalistom szablonem, polegającym na »napisaniu statutu« i zwołaniu zebrania »konstituującego«; szablon taki klóci się zreszta z prawami psychologii i socjologii nie tylko wówczas, gdy chodzi o pisanie konstytucji dla państwa, ale również gdy chodzi o narastanie jakiegokolwiek naprawdę trwałej instytucji. Nikt nie projektował od jednego razu ani ustroju Kościoła Katolickiego ani ustroju Anglii (a później jej Imperium) ani Rzeczypospolitej Jagiellońskiej; nikt nie projektował imponderabilii stanu szlacheckiego; nikt nie projektował masonerii. Instytucje takie powstają samorzutnie wówczas, gdy ludzie wyczuwają ich potrzeby. Dlatego też wydaje mi się, że najprostszą drogą do Organ. Polit. Narodu prowadzi przez głoszenie jej potrzeby i formułowanie jej wytycznych; kształty wylonia się same, z upływem czasu i pokoleń.

Wytyczne Organizacji Politycznej Narodu. W społeczeństwach totalnych uderza nikły odsetek ludzi, należących do rządzącej monopartii. W Sowietach na stokilkadziesiąt milionów mieszkańców partia komunistyczna liczyła przez długie lata półtora miliona członków (1% ogółu ludności), a dopiero w r. 1946 doszła do 6 milionów (3%). »Kuomintang« w Chinach liczy poniżej miliona na czterysta milionów Chińczyków. W Niemczech i Włoszech monopartie wahały się w granicach kilku procent. Liczba masonów w społeczeństwach anglosaskich*) jest

*) Fakt to niezmiernie znamienity dla socjologów! Cztery miliony masonów w Stanach Zjednoczonych, pół miliona w Wielkiej Brytanii . . .

tego samego rzędu wielkości, co liczebność monopartyj. Objawy te świadcza prosto o tym, co każdy z nas obserwuje dokoła siebie, że tylko nieznaczny odsetek ludzi ma zainteresowania społeczno-polityczne. »Co mnie obchodzi polityka!« — oto zawołanie olbrzymiej większości ludzi. Przypuszczam, że w miarę dalszego rozwoju socjologii i psychotechniki dojdziemy do możliwości naukowego ustalenia, którzy ludzie w danym zbiorowisku należą do »kategorii społecznej«, t. zn. mają wrodzona skłonność do interesowania się sprawami zbiorowymi. Odsetek tych ludzi ulega niewielkim wahaniom, zależnym raczej chyba od poglądu na świat, przeważającego w danym środowisku (bardziej lub mniej indywidualistycznego), niż od szerokości geograficznej i koloru skóry.

Organ. Polit. Narodu nie może dążyć do objęcia całej »kategorii społecznej«, gdyż to okazałoby się niepraktyczne, lecz powinna zmierzać do skupienia jednostek o cechach przywódczych z wszystkich warstw Narodu, a ponadto wszystkich jednostek uzdolnionych wybitnie w jakimkolwiek kierunku*). Ten ostatni postulat jest szczególnie trudny do urzeczywistnienia ze względu na to, że jednostki utalentowane technicznie, artystycznie i t. p. miewają często nastawienie wyraźnie a-społeczne. Przed nastawieniem tym kapitulował liberalizm, natomiast katolik powinien stać na stanowisku, że nie powinno być działalności, rzucającej się w oczy i wynoszącej jej autora ponad tłum, która czułaby się wolna od względów społecznych. Ten problem elity a-społecznej ma dużą wagę i powinien znaleźć w ramach Organ. Polit. Narodu rozwiązanie bardzo życiowe i elastyczne.

W tak pojętej Organ. Polit. Narodu pomieścić się wiec winno wszystko, co w Narodzie przewodzi, i to nie tylko w dziedzinie polityki, ale i gospodarki, życia kulturalnego i artystycznego, wojska, życia religijnego, wychowania i t. p. Powiązanie duchowieństwa z elementami świeckimi w ramach masonerii dało społeczeństwu anglosaskim wielką siłę. Organ. Pol. Narodu polskiego powinna — dla obopólnego dobra i Kościoła i Narodu — objąć również przywódcze jednostki z pośród

*) Jednostki o zainteresowaniach społecznych, ale mniej uzdolnione (czyli nie należące do elity), powinny wyżywać się społecznie w masowych ruchach politycznych, w korporacjach zawodowych, samorządach terytorialnych, ruchu spółdzielczym, organizacjach wyznaniowych (np. w Akcji Katolickiej) itp. Patrz Rozdział »Partie«.

duchowieństwa, co zresztą w takiej czy innej formie dzieje się już u nas od Mieszka i Dąbrowki.

Organ. Polit. Narodu powinna mieć wysokie miary etyczne, przy szerokiej tolerancji dla poglądów politycznych. Jej wytyczne idee powinny się ograniczać do pewnego minimum zasad podstawowych, na których opiera się pogląd na świat Narodu*), zostawiając miejsce dla szerokiego wachlarza odcieni politycznych. Wymagania natomiast etyczne, stawiane członkom Organ. Polit. Narodu, powinny być wysokie próby. Są to kryteria odwrotne od stosowanych obecnie w naszych partiach i grupach politycznych, gdzie główny nacisk kładzie się na ortodoksyjność poglądów, sprecyzowanych nieraz bardzo szczegółowo, natomiast z poziomem etycznym członków bywa różnie.

W polskich kolach narodowych uważano zgodnie, że podstawa Organ. Polit. Narodu powinien być t. zw. kodeks obywatelski, stawiający wysokie wymagania ludziom, którzy chcą kierować społeczeństwem. Większe prawa polityczne, czyli t. zw. »dopuszczenie do władzy« powinni oni okupywać większymi obowiązkami i wyższym poziomem życia osobistego. Organ. Polit. Narodu musi wyłonić własne sady, pilnujące przestrzegania tego kodeksu; ponadto członkowie Organ. Polit. Narodu powinni poddać kontroli publicznej całą stronę materialną swej egzystencji. Pierwszy ze sposobów takiej kontroli — to bezwzględna jawność posiadania, stanowiąca zresztą jeden z zasadniczych postulatów wszelkich ustrojów wrogich anonimowości. Dalszy sposób — to rejestr posiadania, w którym każdy z członków Organ. Polit. Narodu musiałby w regularnych odstępach czasu notować stan majątkowy swój i najbliższej rodziny, co zapobiegłoby niejasnym wzbogaceniom się, tak częstym u polityków**).

Jak wspomniałem, Kodeks Obywatelski należy do spuścizny ideowej po ś. p. Romanie Dmowskim. Jako subtelne narzędzie etyczne musiałby zapewne oprzeć się w większej mierze na poczuciu słuszności sędziów (angielskiej »equity«), niż na przepisach skodyfikowanych.

* * *

*

*) Zwykle się to określać jako »mono-idee« Narodu.

**) Dość skutecznym sposobem ujawnienia majątku jest jawność wymiaru podatku dochodowego, praktykowana w Stanach Zjedn. i w W. Brytanii.

Wobec prymatu etyki nad polityką w Organ. Polit. Narodu, sama jej nazwa wydaje się nietrafna, gdyż przymiotnik »polityczny« oddaje głównej cechy zamierzonej organizacji. Pod słowem »polityka« rozumiemy zazwyczaj mechanizm władzy, partij, parlamentu, granic, stosunków z zagranicą i t. p., z wyłączeniem wszystkiego co »fachowe«, a więc armii, oświaty, wytwórczości dóbr materialnych, literatury i t. p. Zaszło tu jaskrawe zwięźnienie pojęcia, wywodzącego się od greckiego »polis« t. zn. miasta, równoznacznego wówczas z pojęciem społeczeństwa, zbiorowości. »Polityczny« w dawnym znaczeniu tego wyrazu, to przeciwieństwo słowa »indywidualny«. Polityczne było więc wszystko, co dotyczyło zbiorowości, co było społeczne. W tym rozumieniu par excellence polityczne są: armia, fabryka, uczelnia, kościół, teatr, gazeta, książka, etyka życia zbiorowego i t. p. Mówiąc o Organ. Polit. Narodu rozumiemy przymiotnik »polityczna« w sensie społeczna, a może jeszcze ściślej — społeczno-etyczna.

Również słowo »organizacja« wywołuje skojarzenia myślowe, nie zupełnie odpowiadające założeniom Organ. Polit. Narodu. W dyskusjach na ten temat, w których brałem udział, nie rysował nam się naogół obraz Organ. Polit. Narodu jako »organizacji« w zwyczajnie przyjętym znaczeniu tego słowa, to znaczy w znaczeniu związku społecznego funkcjonującego stale, o ustalonych władzach, środkach finansowych, lokalach itp., jakiego przykładami są stronnictwa polityczne, organizacje spółdzielcze, zawodowe, wyznaniowe itp. Koncepcja Organ. Polit. Narodu szła po linii elastyczniejszej, odpowiadającej — by użyć dość kulawych przykładów — strukturze stanu lekarskiego, organizacji kawalerów orderu »Orla Białego«, »Institutions« techników w W. Brytanii itp. Ułatwimy sobie zrozumienie takiej koncepcji poświęcając trochę czasu na analizę, na czym polega powyższy typ instytucji społecznej. Otóż odznacza się on tym, że chcąc się dostać w orbitę takiej instytucji trzeba odpowiedzieć pewnym wysokim wymaganiom wstępnym, samo natomiast uczestnictwo (boje się tu użyć szablonowego słowa »członkostwo«) nie pociąga za sobą obowiązków stałych, wymaga tylko przestrzegania określonych miar etyki zawodowej (jak np. w wypadku lekarzy czy inżynierów) wzgl. etyki politycznej (jak w wypadku kawalerów orderu). Przyjmowanie do takiej instytucji, czuwanie nad poziomem jej członków oraz ewentualne usuwanie ich, w razie gdyby uchybili kodeksowi

etycznemu, jest zadaniem władz takich jak np. Izby Lekarskiej, Kapituły Orderu itp. Władze takie albo wybiera okresowo ogół zainteresowanych albo mianuje Głowa Państwa, jak np. kapituły niektórych orderów.

Szczególnie pouczający jest sposób, w jaki zorganizował się brytyjski świat inżynierski. W przeciwieństwie do Polski, Niemiec itp., gdzie uzyskanie na politechnice dyplomu inżynierskiego upoważnia do posługiwania się tytułem inżyniera dyplomowanego przez całe życie (choćby się w praktyce zawodowej nie doszło do wyższego stopnia umiejętności fachowych), w W. Brytanii samo ukończenie studiów technicznych uchodzi dopiero za wstęp do kształcenia się zawodowego. Dopiero po kilku, a czasem i po kilkunastu latach praktyki dopuszcza się inżyniera, którego poziom etyczny i zawodowy oceniany jest dodatkowo, do egzaminów w odpowiedniej Instytucji (np. Institution of Mechanical Engineers, Inst. of Electrical Eng., Inst. of Civil Eng., Royal Institute of British Architects itp.); dopiero stawszy się członkiem takiej Instytucji zyskuje inżynier prawo pisania za swym nazwiskiem paru magicznych liter, dających mu właściwą pozycję w zawodzie.

Władze takiej »Institution« czuwają systematycznie nad etyką zawodową swych członków.

Madre to urządzenie i może służyć za wzór nie tylko dla naszego świata technicznego, ale mogłoby — przynajmniej w zasadzie — znaleźć zastosowanie w Organ. Polit. Narodu, która będzie musiała również dbać o wykształcenie polityczne swych członków i czuwać nad ich zachowaniem się w życiu publicznym.

Liczac się z tym, że trudno nam przyjdzie zmienić utarte znaczenie słów »polityczny« i »organizacja«, niektórzy autorzy — zamiast przyjętej od czasów Obozu Wielkiej Polski nazwy »Organizacja Polityczna Narodu« — zaczynają używać nazw innych (np. »Naród zorganizowany«). Ta zmiana nomenklatury ma znaczenie nieistotne, gdyż jest jasne, że Organ. Polit. Narodu wyłoni sobie sama formy i nazwy, których nikt w chwili obecnej przewidzieć nie może. Tak jak dziś sprawy stoją, nie widac jeszcze grupy czy instytucji, od której Organizacja Polityczna Narodu weźmie początek i przyjmie nazwę zupełnie może przypadkowa, jak się to stało na przykład z nazwą »wolnomularstwa«.

* *

*

Niechec do polityków zawodowych rozpowszechniona jest szeroko i wydaje się płynąć z doświadczenia wszystkich krajów i epok. Reguła, że człowiek powinien się najpierw wybić w takiej czy innej galezi życia zawodowego, a później dopiero brnąć do polityki, wydaje się zdrowa*) i stanowi warunek »uziemienia« polityka, t. zn. związania go z pewnym regionem i zawodem; o potrzebie takiego »uziemienia« mówimy w tej pracy parokrotnie.

Polityk, choć niezawodowy, powinien mieć jednak pewien zasób umiejętności politycznych. Polityka jest wiedza i sztuka; sztuka nabiera się z praktyki, ale wiedzy trzeba się nauczyć i jej braku nie nadrobi się frazesami. Jak wspomniałem na początku tej książki, istnieją dziś na wszystkich uniwersytetach anglosaskich katedry »wiedzy politycznej«, »filozofii politycznej« czy »filozofii społecznej«. U nas namnożyło się »Szkół Nauk Politycznych«, których głównym błędem było, że przykrojono je wyłącznie do potrzeb młodzieży, a nie do dawania wiedzy politycznej ludziom, biorącym się do polityki w wieku późniejszym, a więc takim, którzy w prawidłowo zorganizowanym społeczeństwie stanowią właściwą kadre działaczy politycznych, pozostawiając młodzieży zajęcia stosowniejsze jej wiekowi. Skąd miał u nas zaczerpnąć wiedzy politycznej najinteligentniejszy nawet chłop, robotnik czy inżynier, biorący się do polityki po czterdziestce? W braku zaś takiej wiedzy jakież mógł on popełniać błędy, mimo największych nawet wrodzonych talentów politycznych?

Udostępnienie wiedzy politycznej działaczom społecznym i politykom wydaje się należeć do najpilniejszych zadań Organ. Polit. Narodu. Wypadnie stworzyć urządzenia, umożliwiające jej członkom stałe pogłębianie swych wiadomości politycznych. Wiedza i etyka stanowią dwa filary życia politycznego i pieczę nad nimi wydaje się być głównym zadaniem Organ. Polit. Narodu.

* * *

*) Rozpolitykowanie młodzieży, cechujące polskie życie polityczne ostatnich dziesięcioleci, było niewątpliwie objawem chorobliwym i nie spotyka się w żadnym normalnym społeczeństwie. Nie była to jednak choroba młodzieży, jak to próbowały stale twierdzić rządzące Polska czynniki, ale właśnie wynik nienormalnych stosunków politycznych w pokoleniu starszym, jego politycznych narowów i wpływów agentur w naszym aparacie państwowym. Tam, gdzie zawodzą starsi, młodzi naturalnym biegiem rzeczy biorą się do spraw publicznych i trudno im z tego zrobić zarzut.

Z wszystkiego co powiedziano wyżej wypływa jasno, że powinien istnieć pewien nacisk opinii publicznej (bez przymusu formalnego) za przynależnością polityków do Organ. Polit. Narodu, utrudniający nieczłonkowi Organ. Polit. Narodu objęcie kluczowego stanowiska w społeczeństwie. Prostu powinno wejść w zwyczaj, że do działalności społecznej (powyżej pewnego poziomu) nie dopuszcza się człowieka, który nie wziął na siebie ciężkich zobowiązań Kodeksu Obywatelskiego, nie wyznaje minimum narodowej monoidy i nie złożył dowodu opanowania pewnego zasobu wiedzy politycznej, jak również odbycia »praktyki społecznej« w najniższych komórkach samorządu terytorialnego i zawodowego. Dla uniknięcia skostnienia Organ. Polit. Narodu należałoby zostawić szerokie dziedziny działalności społecznej, w których na przynależność do Organ. Polit. Narodu nie kładłoby się nacisku. Do dziedzin takich mogłyby należeć np. samorzady do szczebla powiatu oraz Izba Posłów.

* * *

Mówiąc o masonerii wspomnieliśmy, że Organizacja Polityczna Narodu katolickiego powinna być jawna. Pisałem o tej sprawie obszernie w »Prosto z Mostu« na kilka miesięcy przed wybuchem ubiegłej wojny. Za jawnością przemawiają argumenty natury zarówno religijnej (Chrześcijaństwo jest jedyną z wielkich religii świata nie mającą nauki ezoterycznej, a katolicyzm był zawsze wrogiem konspiracji), jak socjologicznej (konspiracja jest instytucją cechująca ludy prymitywne), psychologicznej i narodowej. Nie wracając na tym miejscu do argumentów pierwszych dwu kategorii, pragnę powiedzieć parę słów o związku między charakterem narodowym a konspiracją. Otóż flegmatyczny, wolnomysłący, przyhamowany temperament Anglosasa znacznie lepiej od Polaka znosi zakłamanie, będące nieodłącznym skutkiem konspiracji*). Otwarty, szczery, impetyczny i choleryczny

*) Mimo to zmiana charakteru narodowego Anglików na przestrzeni wieków XVI—XX jest, zdaniem wielu historyków angielskich, uderzająca. »Merry England« przestała być weselą od czasów purytańskich, od których datuje się również generalne zakonspirowanie życia angielskiego. Co tu zaważyło silniej — purytyzm czy konspiracja — trudno osądzić. Oba te objawy były ideowo sobie pokrewne i organizacyjnie powiązane.

Polak w konspiracji albo się lamie, albo nabiera szczególnie nieprzyjemnej i niepolskiej obludy, oraz złej wiary i kretactwa w argumentacji i postępowaniu. Sporó jednostek z t. zw. pokolenia Polski Niepodległej wykoślawiło się już w ten sposób, to też zadanie »odkonspirowania« życia polskiego szło w latach 1919/39 jak po grudzie. Zbyt silne były nalogi, wynikające z konspiracyjnej genezy nowoczesnych ruchów politycznych Polski, genezy związanej po części z koniecznością krycia się przed zaborcami, częściowo z masonskim rodowodem wszystkich naszych obozów politycznych. W organizacjach narodowych podtrzymywało się mit konspiracji, zależnie od potrzeby, argumentami z dziedziny religii (»Trzecie zakony były tajne«) albo historii Polski (»Oleśnicki rzadził przy pomocy konspiracji, Zamojski miał konspirację, Naród opierał się zawsze na konspiracji« i t. p.). Czas już poprosić panów, którzy takie bajeczki puszczają między młodzież, by zechcieli je udowodnić, czego napewno nie potrafią. Konspiracje w Polsce trafiały się zawsze, podobnie jak w każdym innym społeczeństwie, występowały one jednak jako objawy sporadyczne i niema żadnych danych historycznych na to, by rządy Polska, aż do chwili powstania masonerii za Augusta II, kiedykolwiek przez dłuższy przeciąg czasu i systematycznie sprawowała jakąkolwiek konspirację. To samo odnosi się do rzekomej tajności Trzecich Zakonów (franciszkańskich i dominikańskich). Nie były one nigdy tajne, ich istnienie było zawsze znane, natomiast ich działalność była poufna. I tu dochodzimy do sedna rzeczy: różnicy między tajnością istnienia pewnej organizacji, a jawnością jej istnienia przy poufności działania*). Każdy jawnie istniejący zespół ludzi ma nie tylko prawo, ale i obowiązek działać w niektórych wypadkach poufnie. Organ. Polit. Narodu powinna istnieć jawnie, nic nie stoi jednak na przeszkodzie, by w łonie tej instytucji istniały komórki poufne, sprawujące stałą pieczę nad pewnymi, szczególnie delikatnymi zagadnieniami życia Narodu, jak n. p. nad zagadnieniem jego obrony, nad zwalczaniem masonerii, nad stosunkiem do sąsiadów.

Naród niemiecki zawdzięczał swe ogromne sukcesy faktowi, że

*) Wszystkie powyższe uwagi tyczą się życia we własnym, niepodległym i wolnościowo zorganizowanym państwie. Mając kraj pod zaborem lub dyktaturą nie można — niestety — działać inaczej niż konspiracyjnie; jest to właśnie jeden z najujemniejszych skutków zaboru czy dyktatury.

posiadał od wieku zespoły ludzi, czuwających systematycznie nad jego rozwojem*). Również i naród brytyjski ma niewątpliwie stale zespoły kierownicze, wpływające na postępowanie rządów. Takie zespoły, działające poufnie wewnątrz Organ. Polit. Narodu, wydają się potrzebne dla równomiernego biegu życia narodowego, podobnie jak regulator ujednostajnia bieg maszyny. Nie ma to jednak nic wspólnego z kwestią jawnej czy tajnej Organ. Polit. Narodu. Dla narodu katolickiego zasada jawności Organ. Polit. Narodu powinna mieć walor dogmatu.

* * *

Twierdzenie — nietrafne — o tajności Trzecich Zakonów należy zwalczać tym silniej, że idea zakonna należy organicznie do założeń Organizacji Politycznej Narodu. Jeszcze zanim Hitler nawiązał do tradycji krzyżackich, organizując w zamkach zakonnych wychowanie elity młodzieży niemieckiej, w polskim ruchu narodowym dyskutowano już możliwość nawiązania Organ. Polit. Narodu do form Trzecich Zakonów. Ideal zbiorowej pracy ideowej, w dyscyplinie i życiu dobrowolnie obostrzonym, leży z reguły u podstaw wielkich wysiłków militarnych, ustrojowych i cywilizacyjnych. Nasza polska koncepcja Organizacji Politycznej Narodu mieści w sobie również etyczny postulat obostrzonego kodeksu dla rządzących, narzucenia im trybu życia bardziej bezinteresownego, niż życie ogółu. Dmowski i Piłsudski, tak różni pod każdym innym względem, mieli wspólną cechę: nie zrobili majątku. W polskim życiu politycznym nie utrzyma się na dłuższą metę nikt, kto by — wzorem tylu polityków zagranicznych — zebrął majątek ze źródeł niewiadomych. Równie wielką wagę ma u nas postulat czystości obyczajów rodzinnych. Zakon »Krzyża i Miecza« śp. kpt. Polesińskiego, rozwijający się w lotnictwie przed ubiegłą wojną, w nazwie swej rzadko szczęśliwie ujął ideał młodego pokolenia.

Kodeks Obywatelski jako podstawa do organizacji jakiegoś wielkiego Trzeciego Zakonu, obejmującego swym zasięgiem wszystko, co Polsce przewodzi — oto jedna z koncepcyj Organ. Polit. Narodu. Koncepcja może zbyt wysoka, by się kiedykolwiek miała w pełni urzeczy-

*) Co do bliższych szczegółów tej sprawy patrz Nesta H. Webster »Secret Societies and Subversive Movements«.

wistnic, ale przecież funkcja idealu jest by lśnić daleko na widnokręgu i słabym ludziom dopomagał wspiąć się choć o parę stopni ponad własną przyziemność.

* * *

Jak wspomniałem w innym miejscu tej książki*), racjoniści osiemnastego wieku wszczęli w imię »czystego rozumu« kampanie nie tylko przeciw samej religii, lecz przeciw wszystkiemu, co w życiu ludzkim jest niewyrozumowane i nieświadome, a więc przeciw rytuałowi, symbolice, misticzności i t. p., stanowiącym tak ważne elementy w życiu Kościoła. W rezultacie tej nagonki »filozofów« wszystkie te irracjonalne elementy, zwalczane i ośmieszane póki miały charakter katolicki, rozkwitły bujnie w masonerii, nie wyluczając mistycyzmu, żywiołowo krzewiącego się w drugiej połowie osiemnastego wieku w »illuministycznych« rytach Martynistów, Swedenborga i t. p.

Podobnie jak z mistyka ma się rzecz i z rytuałem: wygnany przez drzwi frontowe wraca od kuchni. Zwiedzałem kiedyś gmach loży masonskiej na High Street w Edynburgu, drugiej co do starszeństwa w tym mieście, lecz szczytowej najstarszym budynkiem, datującym z początku XVIII wieku. Loża ta posiada pięknie sklepioną kaplicę z organami, na których narodowy poeta szkocki Burns przygrywał półtora wieku temu do śpiewu własnych hymnów; kaplica ta ma coś w rodzaju ołtarza, nad którym świeci coś w rodzaju Oka Opatrzności. Jeśli dodamy, że w loży tej biblia należy do rytuału, a dygnitarze lożowi nakładają bardzo błyszczące i wielobarwne ozdoby, to stanie się jasne, dlaczego członek takiej loży przestaje rychło uczeszczać na nabożeństwa do kościoła szkockiego, najradzykalniej chyba ze wszystkich sekt protestanckich obranego z irracjonalnych, cieszących oko, ucho i nieświadomość, elementów Chrześcijaństwa.

Wydaje się być niezmiennym prawem socjologicznym (aczkolwiek masoneria prawo to ma do własnego użytku), że każda społeczność ludzka ma swe stałe potrzeby z dziedziny mistyki, rytuału, symboliki, godeli graficznych (krzyż, trójkąt-cyrkiel-przykładnia, gwiazda, swastyka, sierp i młot, amerykańskie »stripes and stars« i t. p.), sztandarów, kadzidel, świateł i kolorów, uroczystych strojów (ornaty, szarfy sodalicyj,

*) Patrz »Nieogłoszona przedmowa«.

stroje masonskie, pozostałości strojów średniowiecznych, barwne stroje ludowe i t. p.). Elementy te, jeśli je wypędzimy z życia narodowego, państwowego i kościelnego, schronią się w konspiracje, ale suma ich w życiu każdego narodu pozostanie mniej więcej stała. Dlatego też rozważając ustrój jakiegoś narodu równie ważne pytanie: jak się przedstawi instytucja Głowy Państwa? — będzie np. pytanie: jak obsługiwane są potrzeby rytualne i mistyczne danego społeczeństwa? Ludzi o wielkim nateżeniu potrzeb mistycznych rodzi się niewiele. Daloby się zapewne ustalić ich ilość drogą badań statystycznych; w Średniowieczu wystarczyłoby ustalić liczbę członków zakonów kontemplacyjnych, w naszych czasach należałoby do nielicznych resztek tych zakonów dodać członków »hermetycznych« i »illuministycznych« rytów masonskich, teozofów, antropozofów i t. p. Przypuszczam, że ilość mistyków w stosunku do ogółu ludności nie byłaby w obu wypadkach bardzo różna.

Wracając do spraw polskich: potrzeby, zaspokajane dziś w państwach anglosaskich przez religie protestancką plus masonerie, powinny u nas zaspokajać religia katolicka plus Organ. Polit. Narodu. W tej kombinacji rytuał, mistyka, symbolika i t. p. byłyby — inaczej niż w krajach protestanckich — w większej części sprawą Kościoła katolickiego, tak że Organ. Polit. Narodu mogłaby zrezygnować z ogromnego balastu »irracjonalnego«, obciążającego masonerie. Nie znaczy to, by Organ. Polit. Narodu nie miała zachować trochę elementów irracjonalnych w postaci pewnego minimum rytuału, symboliki itp. Dla przykładu, jak rzeczy te rozwiązano w ustroju staropolskim, przypomnę, że sejmiki w niepogodzie zbierały się w kościele! Granica między instytucjami kościelnymi a państwowymi była w średniowiecznej Europie w wielu wypadkach mocno zatarta, i to z reguły tam, gdzie Kościół wkraczał w życie społeczne dla obsługi potrzeb »irracjonalnych«. Znajda się może czytelnicy, których zaboli, że o tych funkcjach Kościoła katolickiego mówię jako o zjawiskach socjologicznych, lecz wydaje mi się, że dla właściwego zrozumienia, jak wspaniale Kościół katolicki zaspokaja te naturalne potrzeby socjologiczne, wskazane jest mówić o nich jaknajwięcej i to stylem ultra-nowoczesnym.

Kościół katolicki, jako główna instytucja do zaspokajania potrzeb nieświadomych człowieka, obok zaś Kościoła Organ. Polit. Narodu o niewielkim balaście rytuału, symboliki, godeli i t. p. — takie wydaje się być

właściwe rozwiązanie tego problemu w społeczeństwie katolickim, otrzasającym się z masonerii.

Zastrzegam się z góry przed zarzutem, jakoby nie doceniał apelu Kościoła do rozumu człowieka i traktował religię, jako rzecz w całości irracjonalną, jak to próbowano robić w dziewiętnastym stuleciu. Wreć przeciwnie, uważam się za tomiśta na punkcie pojmowania Chryścijaństwa przede wszystkim rozumem, a w drugim dopiero rzędzie uczuciem. Uważam jednak, że Kościół nastawił się na zaspokojenie wszystkich potrzeb człowieka, zarówno racjonalnych jak i nieświomych, i w tej jego wszechstronności leży właśnie ogromna siła katolicyzmu, z której — jako naród katolicki — powinniśmy w pełni i świadomie korzystać.

* *
*

Dalsza, konieczna cecha Organizacji Politycznej Narodu powinny być kształty rodzime. I tu nie da się niczego przewidzieć szczegółowo; kształty te muszą wyłonić się z glebi naszego ducha i obyczaju. Mieliliśmy już raz w naszych dziejach Organ. Polit. Narodu w postaci szlachty, mającej u nas — w przeciwieństwie do innych krajów — pełny przekrój społeczny i spełniającej w pewnej epoce, do chwili jej »zamknięcia« z końcem XVI wieku, wszystkie prawie naszkicowane wyżej warunki; nic więc dziwnego, że ludzie, zastanawiający się nad przyszłością Polski, tak czy inaczej do koncepcji szlacheckiej nawiązują. I śp. plk. Sławkowski, inspiratorowi Konstytucji z r. 1935, chodziły te rzeczy po głowie; na jednym ze zjazdów legionowych mówił Sławek szeroko o legionistach, jako o »nowej szlachcie«. Słyszałem kiedyś definicję Organ. Polit. Narodu jako »szlachty niedziedzicznej, z nobilitacją w środku życia za ofiarne prace dla społeczeństwa i z obwarowaniem drugiej połowy życia wymagającą reguła, uniemożliwiająca zasiadanie na laurach i kucie monety z dawnych zasług.«

* *
*

Resumuje. Mówiąc o Organizacji Politycznej Narodu mamy na myśli:

1) Instytucje (organizacje, środowisko) dająca jednostkom przywódczym z wszystkich warstw narodu dodatkowe wykształcenie polityczne i czuwająca nad poziomem obyczajów w życiu publicznym.

2) W instytucji tej winny obowiązywać wyższe normy etyczne («Kodeks Obywatelski«).

3) Instytucja ta w swym duchu i formach powinna być w pełnej harmonii z religią katolicką, jako z religią ogromnej większości Polaków.

4) Instytucja ta powinna przejąć wszystkie naturalne funkcje socjologiczne, spełniane obecnie przez masonerie, organizując ponadto planowe zwalczanie szkodliwych objawów społecznych, na których żeruje masoneria.

5) Instytucja ta powinna dozorować krażenia elit i czuwać nad długofalowymi potrzebami narodu.

Patrzac na Organizację Polityczną Narodu jako na organiczną konieczność socjologiczną, rozumiemy, że nie chodzi tu o jakiś doraźny postulat taktyki politycznej, o jakąś nową klikę czy partię, lecz o trwały organ społeczny, bez którego naród nie może się prawidłowo rozwijać.

Ze zrozumienia tego wypływają dwa wnioski.

Wniosek pierwszy: W różnych fazach dojrzewania narodu Organizacja Polityczna Narodu przybierać może kształty różne. Powinna ona ewoluować równolegle do ewolucji ustrojowej narodu.

Jak wiadomo, nie istnieje ustrój doskonały, pasujący idealnie do każdego społeczeństwa w każdej epoce. Inny ustrój odpowiada spo-

czeństwom dojrzałym, inny — prymitywnym, inny — dynamicznym, inny — schyłkowym. Wraz z ustrojem powinna ewoluować i Organizacja Polityczna Narodu.

Wniosek drugi: Do Organizacji Politycznej Narodu droga daleka, wymagająca długiego procesu wychowawczego i szeregu etapów. Nie można Organizacji Politycznej Narodu założyć, można tylko do niej dążyć, popularyzując zasady, na których powinna się ona oprzeć i skupiając coraz szersze grono ludzi, zmierzających świadomie do jej powstania.

V.

MASA

Masa a elita. Masa jest jak miazga drzewa, złożona z mrowia jednorodnych komórek; elita wykwita z niej, jak liście i kwiaty.

Masa ma taką elitę, na jaką zasługuje, elita ma taką masę, jaka sobie wychowa. A środków do naprawy lub psucia masy ma elita w reku dużo; religie i ustrój, słowo żywe i pisane, instytucje społeczne, odwołujące się do złych lub dobrych instynktów masy. W pewnych dziedzinach masa będzie zawsze tylko odbiorcą; będzie słuchała radia, czytała książki i gazety, chodziła do kina i teatru; w innych masa może współtworzyć z elitą — wychowując młodzież, kontrolując rządzących, sadząc przestępców, wybierając Głowe Państwa i posłów oraz kształtując ustawy.

Biada elicie, która zechciałaby wykorzystywać masę, nie dając jej niczego wzamian; podetnie fundament społeczności i zwali na siebie cały jej gmach.

* * *

Najskuteczniejszym środkiem oddziaływania na masę jest słowo żywe, którego potęgę ustokrotnił w naszych czasach wynalazek radia. Ks. Skarga kazał tylko do Izby Sejmowych, toteż głos jego dolatywał do mas narodu bardzo daleko, zniekształcony i odarty z całej potęgi oddziaływania, która daje słowo żywe, idące prosto z serca do serca. Dzisiejsze radio to jeszcze śpiąca królewna, która nie próbowała swych możliwości. Mieliśmy dopiero przedsmak radio-demagoga i radio-kaznodzieji; Hitler nie korzystał z radia samodzielnie, lecz tylko do retransmisji mów, wygłaszanych na zgromadzeniach publicznych, a radio-kaznodzieja amerykański ks. Coughlin nie okazał się gwiazdą pierwszej wielkości i pozwolił się szybko odstawić od mikrofonu. Jeden może dotychczas

prez. Roosevelt potrafił, w swych słynnych »pogwarkach przy kominku«, dać przykład potęgi słowa, niesionego na falach eteru w zacisze każdego domu.

Ale i dziś, choć radio jest dopiero w pierwocinach swego rozwoju i czeka na telewizję, która spotęguje jeszcze jego możliwości, wpływ jego na kształtowanie się poglądów i wierzeń, a tym samym i na rządy, jest olbrzymi, toteż odpowiednie włączenie go do ustroju społecznego i politycznego ma doniosłą wagę. Jak rozwiązały ten problem dwa państwa: chore — polskie z przed września 1939 r., oraz zdrowe — brytyjskie?

W Polsce przed-wrzesniowej radio było impreza niby prywatna; w rzeczywistości nikt dobrze nie wiedział, do jakiej grupy ludzi ono należy, jasne tylko było, że ludzie ci muszą mieć oparcie każdorazowych rządów oraz sil głębszych, kierujących polityką polską. W rezultacie impreza była nieprzejrzysta i nieodpowiedzialna, i mimo wysiłków wielu wartościowych pracowników Polskiego Radia ogólny bilans jego działalności pozostawiał dużo do życzenia.

Brytyjskie radio — słynne B. B. C. — po okresie wstępnych prób zorganizowano w to, co Anglicy zwa Public Service Board t. zn. Spółkę Publiczną, niezależną bezpośrednio ani od rządu ani od samorządu. Nie mieliśmy instytucji analogicznej w Polsce. B. B. C. stanowi własność całego społeczeństwa (w praktyce — niczyja); prowadzone jest nie dla zysku pieniężnego (dochody jego mają tylko pokryć wydatki); kieruje nim zarząd, składający się z 7-miu członków, mianowanych na okres lat pięciu przez króla, na wniosek ministra poczty w porozumieniu z premierem. Zarząd ten cieszy się dużą niezależnością. Trzeba oczywiście wielkiej kultury brytyjskiego społeczeństwa, by grupa ludzi kierujących takim przedsiębiorstwem nie przekształciła się w klikę. Z drugiej strony radio siedzi niejako na cenzurowanym; najmniejsze jego niedociągnięcie wzbudza od razu burzę protestów, kierownictwo jego pozostaje więc pod stałą kontrolą opinii publicznej, co pomaga mu w utrzymaniu odpowiednio sprawnej kondycji.

Warto się zastanowić, czy i w Polsce nie należałoby zorganizować radia podobnie do brytyjskiego, a więc w przedsiębiorstwo publiczne nie należące do nikogo, autonomiczne, pod bezpośrednią kontrolą opinii publicznej. We władzach nadzorczych radia mogliby zasiadać delegaci zainteresowanych ministerstw, delegaci Izby Ustawodawczej oraz kor-

poracyj dziennikarzy, literatów, nauczycieli i t. p. Każde niedociągnięcie radia budziłoby sprzeciw w prasie i Sejmie; nacisk opinii publicznej wystarczyłby zapewne do utrzymania go na właściwej linii, która powinna być wypadkową bieżących nurtów psychicznych Narodu.

* * *

Za dawnych czasów parlament był główną płaszczyzną dyskusji publicznej, sprzecznicia narodu z rządem i elitą z masą. Dziś mamy nową taką płaszczyznę w postaci prasy. Słyszysz się nawet często zdanie, że ten nowy czynnik odgrywa w procesach ustrojowych rolę, przerastając rolę parlamentu. Ze tak jest istotnie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie parlament nie cieszy się najlepszą sławą, to nie wydaje się ulegać wątpliwości. I w Polsce w latach 1930/39, przy wyborach fałszowanych, prasa i publicystyka odgrywały rolę znacznie poważniejszą od Sejmu. Trudno to zważyć na szali, jeśli chodzi o stosunki brytyjskie; nawet w W. Brytanii można się jednak spotkać ze zdaniem, że prasa góruje tam dziś nad parlamentem i w większej niż on mierze normuje przebieg tych procesów psychicznych, z których się składa życie zbiorowe. Toteż nie wyobrażam sobie nowoczesnych rozwiązań ustrojowych bez rozpatrzenia warunków, którym odpowiadać powinna prasa, jeśli ma spełniać funkcje pożyteczne, a nie zatruwać ducha narodu. Tak jak nie wystarczy powołać parlament, lecz trzeba ustalić warunki jego prawidłowego działania, podobnie prasa buduje lub rozkłada zależnie od regul, którymi się kieruje.

Jakież powinny być te reguły?

1. Niezależność od rządu.
2. Przeciwdziałanie koncentracji prasy, powstawaniu koncernów prasowych itp.
3. Ujawnienie właścicieli.
4. Ujawnienie źródeł finansowych.
5. Oddanie nadzoru nad prasą (cenzury w czasie wojny) w ręce korporacji zawodowej dziennikarzy.

ad 1. Prasa, jako wyraz opinii narodu, powinna być całkowicie niezależna od rządu, w przeciwnym bowiem razie przestaje być tym wyrazem i staje się narzędziem do paczenia psychiki zbiorowej. Mówiąc językiem psycho-analityków prasa rządowa dokonuje represji i wy-

tworzą kompleksy. Zauważmy, że w jako-tako funkcjonujących ustrojach nowoczesnych, jakimi są chyba tylko państwa anglosaskie, pojecie dziennika rządowego, czy nawet subwencionowanego, jest zupełnie nieznaną. Dziennik subwencionowany w tej formie, że drukuje się w nim urzędowe obwieszczenia komorników o licytacjach, jak to miało np. miejsce w rządowej »Gazecie Polskiej« przed r. 1939, stanowi groteskę charakterystyczną dla stanu zwyrodnienia, do którego doszedł ostatnio ustrój polski. Cudzoziemiec, studiujący ten ustrój, mógł z tego jednego tylko szczegółu wytworzyć sobie obraz całości.

ad 2) Trudno się dziwić, że w ustroju kapitalistycznym prasa podlega działaniu jego praw i wykazuje dążność do koncentracji w malejącej ilości rąk; jednakże skupienie dyspozycji prasa w rękach paru aferzystów koszławi całkowicie jej rolę, gdyż staje się ona narzędziem zniekształcania opinii publicznej na korzyść interesów jednostkowych.

Koncentracji prasy, podobnie jak innych galezi przemysłu, dokonuje się głównie przy pomocy kredytów bankowych. By sięgnąć po przykłady do stosunków polskich z przed r. 1939, ani koncern »I.K.C.« w Krakowie, ani koncern t. zw. »Prasy Polskiej« w Warszawie (»Czerwoniak«) nie byłyby się utrzymały bez kredytów Banku Gospodarstwa Krajowego, sięgających setek tysięcy złotych. W społeczeństwie, w którym kredyt będzie uspołeczniony (a do tego zdąży w szybkim tempie cały świat), niebezpieczeństwo koncentracji prasy i podporządkowania jej kredytodawcom*) jeszcze wzrośnie, należy przeto opracować cały system ochrony prasy przed koncentracją. Najskuteczniejszymi środkami będzie tu ujawnienie właścicieli oraz źródeł finansowych.

ad 3) i 4). Oba te postulaty słyszy się obecnie z wielu stron, szczególnie wśród Francuzów i Brytyjczyków. Zada się publicznego ogłaszania bilansów wraz z ilościami nakładu, wpływami za ogłoszenia, nazwiskami osób i instytucji udzielających subsydiów i t. p. Bilanse te musiałyby być potwierdzone przez osoby zaufania publicznego.***) Wprowadzenie takiego zwyczaju uzdrowiłoby znacznie stosunki prasowe. Dla ilustracji podam fakt następujący:

*) Słaba to pociecha, że kredytodawcami będą wyłącznie instytucje społeczne, gdyż i ich wpływ na prasę paczy jej prawidłowe działanie.

**) Angliki używają do takich celów znakomitej instytucji buchalterów przysięgłych, t. zw. »chartered accountants«.

Mieszkając w Gdańsku w latach 1920/25 zwróciłem uwagę na to, że polakożerca prasa niemiecka drukuje często antypolskie cytaty z paryskiego pisma (o ile mnie pamięć nie myli) »Volonté«, które określano zawsze jako »poczytne«, »wpływowe« i t. p., i które widziane z Gdańska urastało na czołowy organ opinii francuskiej. W szereg lat później pismo to uległo likwidacji, przyczem wyszło na jaw, że miało ono nakład czterystu(!) egzemplarzy dziennie, co na Paryżu było oczywiście zupełnie śmieszne, i finansowane było całkowicie przez ambasadę niemiecką. Wypadek to bynajmniej nie odosobniony.

Ujawnienie właścicieli*) i źródeł finansowych utrudniłoby nadużywanie prasy do ciemnych celów.

ad 5) Mówiąc o nadzorze nad prasą, względnie o cenzurze — należy rozważyć dwa odrębne pytania:

a) czy nadzór jest wogóle potrzebny?

b) jeśli tak — to kto ma go sprawować?

Jak wiadomo prasa we Francji i w państwach anglosaskich nie była za czasów pokojowych niczym skrepowana, przy czym we Francji wolności tej jaskrawie nadużywano, a wydawnictwa pornograficzne szły stamtąd na cały świat. Sam czytałem, jak poważny pisarz (L. Daudet) w poważnym dzienniku (»Action Française«) nazywał urzędującego premiera (Briand'a) dosłownie »stałym alfonsem«, »właścicielem domu publicznego«, »kanalia« i t. p. Jak się zdaje, Anglosasi naogół nie nadużywali w ten sposób wolności prasy, co przypisać należy szczególnym właściwościom ich psychiki i dyscypliny społecznej, a ponadto drakońskiej ustawie o zniesławieniu (libel), dzięki której dziennikarz brytyjski musi znacznie więcej liczyć się ze słowami, niż jego kolega polski czy francuski. Jeśli chodzi o Polskę, należy stwierdzić dwa doświadczalne fakty: po pierwsze, że przy naszym temperamencie o nadużycie słowa niesłychanie łatwo, i po drugie, że ogromna większość Polaków uważa instynktownie, iż nadużycia takie należy nie tylko tepic ex post, ale i prewencyjnie im zapobiegać. Stwierdzając, że takie właśnie, a nie inne jest nastawienie przeciętnego Polaka w tej sprawie, starałem się wyrozumieć, czy jest ono słuszne czy mylne? Czy nastawieniu takiemu powinniśmy

*) Analogiczny postulat w stosunku do przedsiębiorstw przemysłowych (akcje imienne, a nie na okaziciela) wysuwany jest od lat w wielu krajach, a w W. Brytanii nie przestał nigdy obowiązywać.

dac wyraz ustrojowy, czy też powinniśmy się starać wykorzystać je i nakłonić nasze społeczeństwo do przyjęcia pełnej swobody słowa pisanego, licząc na to, że nadużycia będą rzadkie i bez szerszego oddźwięku?

Przemyślałem to zagadnienie nieraz i doszedłem do wniosku, że instynkt ogółu jest tu trafny i że pewne hamulce na słowo są konieczne. Instynkt nasz w tej sprawie określiłbym, jako poczucie »wstydlivosti słowa«, pokrewne innym objawom »wstydlivosti obyczajowej«. Argumenty są w tej dziedzinie sporne; i u nas i na szerokim świecie jest sporo zwolenników nudyzmu i ekshibicjonizmu, a jednak nasz instynkt narodowy (zgodny w tym z nauką katolicką*) upiera się stanowczo przy zasadzie wstrzemięźliwości słowa, będącej tylko jedną z odmian cnoty wstrzemięźliwości, zalecanej nam w katechizmie i mającej na swe poparcie coraz więcej nowoczesnych argumentów fizjologicznych i psycho-analitycznych.

Pewne hamulce na prasę w czasie pokoju i cenzura w czasie wojny wydają się więc konieczne, oczywiście utrzymane w rozmiarach niezbędnego minimum. W czasie pokoju, dla zapewnienia odpowiedniego poziomu prasy wystarczyłyby może proponowane powyżej środki, a mianowicie ujawnienie właścicieli i źródeł finansowych, przy równoczesnym zaostrzeniu sankcji prawnych przeciw zniesławieniu, wprowadzeniu cenzuru zawodowego dla dziennikarzy i daniu korporacjom dziennikarzy egzekutywy przeciw pismom t. zw. »rewolwerowym«, obliczonym na szantaż. W czasie natomiast wojny od sprawowania cenzury należałoby wykluczyć administrację Państwa, powierzając cenzurę korporacji (samorządowi) dziennikarzy.

Ten ostatni postulat wynika w sposób logiczny z samej istoty korporacyjnego ustroju, to też szersze jego uzasadnienie wydaje się zbędne. Najczęściej przeciw niemu wysuwany zarzut sprowadza się do pytania: a co zrobić, jeśli korporacja dziennikarzy będzie »nie na poziomie«? Uważam, że kraj, w którym korporacja taka nie byłaby »na poziomie«, musiałby ograniczyć się do bardzo prymitywnego ustroju, póki ogólny poziom jego obywateli, a co za tym idzie i dziennikarzy, nie podniósłby

*) »Nieograniczonej swobody myślenia i publicznego wypowiedzania swych myśli nie należy bynajmniej zaliczać do praw obywatelskich, ani do rzeczy godnych poparcia i ochrony.« Leon XIII, Encyklika »Immortale Dei« z r. 1885.

się. Jeśli chodzi jednak o Polskę, to tradycje polskiego stanu dziennikarskiego są bardzo szczerne i powierzanie nadzoru nad prasą przypadkowo dobranym urzędnikom, z wykluczeniem samorządu dziennikarzy, świadczy o niezrozumieniu nowoczesnych założeń ustrojowych,

* * *

Wpływ prasy na masy jest rzeczą widoczną i znaną; delikatniej i dyskretniej zaznacza się natomiast wpływ przemysłu wydawniczego, choć nie jest on o wiele mniejszy, a czasami bywa i większy, niż wpływ prasy. Opanowanie przemysłu wydawniczego (i związanych z tym periodyków literackich, stowarzyszeń czytelników, bibliotek publicznych i wypożyczalni książek) przez jakąś klikę czy tajne stowarzyszenie, daje ogromny wpływ na kształtowanie się myśli i uczuć danego narodu, a więc i na jego rzady. Kto chce zrozumieć ten problem (i jego rozwiązanie w Polsce w latach 1919/39), powinien przeczytać wydany w roku 1797 przez profesora Uniwersytetu w Edynburgu, J. Robisona, kapitalny opis*) opanowania przez konspirację, związaną z Zakonem Illuminatów, życia umysłowego Niemiec pod koniec wieku XVIII. W latach osiemdziesiątych tego wieku, po oficjalnym rozwiązaniu Zakonu Illuminatów (a faktycznym zejściu jego głębiej pod ziemię) powstał tajny związek pod nazwą »Unia niemiecka dla wykorzenienia przesądów i zabobonów i popierania prawdziwego Chrześcijaństwa«. Wewnętrzna organizacja tej Unii wyjawiała publikacja wydana przez Goschena w Lipsku w roku 1789 p. t. »Wiecej dopisków niż tekstu, czyli Unia Niemiecka złożona z XXII, nowy tajny związek dla dobra ludzkości.« Na czele Unii stało 22 kierowników; członkowie jej (z reguły masoni) dzielili się na braci zwykłych i kierujących. Obowiązkiem braci zwykłych było zakładanie i prowadzenie kółek literackich i czytelniczych; bracia kierujący stanowili wież między poszczególnymi kółkami. Kółek tych zamierzano stworzyć na obszarze całych Niemiec 800; ile ich powstało faktycznie, nie wiemy, w samych jednak Pruszech liczone ich powyżej trzydziestu, a w Bawarii mnożyły się, jak grzyby po deszczu. Używając do tego dorocznych Targów Lipskich, na których koncentrował się niemiecki przemysł wydawniczy,

*) J. Robison — Proof of a conspiracy against all the Religions and Governments of Europe, carried on in the Secret Meetings of the Freemasons, Illuminati and Reading Societies, Edinburgh, 1797.

opanowano rynek wydawniczy. Statut »Unii« przewidywał specjalne poparcie dla plodów pióra jej członków oraz wydawanie własnych czasopism literackich. Najbardziej znane z ówczesnych czasopism — »Deutsche Bibliothek« oraz »Berliner Monatsschrift« — związane były zapewne z tym ruchem, który w pewnej chwili odegrał ogromną rolę w kształtowaniu umysłowości niemieckiej w kierunku »oświeconym«*).

Na powyższym tle radze czytelnikowi przemyślec organizacje rynku wydawniczego w Polsce przed r. 1939. Dla ilustracji podam swe osobiste przeżycie. Otóż w roku 1931 wydałem w Krakowie powieść, zawierająca silne akcenty antymasońskie i antyżydowskie. Kraków roił się w tym czasie od wypożyczalni książek, będących (z wyjątkiem bodajże tylko jednej) w rekach żydowskich. Wypożyczalnie te miały ten zwyczaj, że układały w swych oknach wystawowych karty tytułowe książek, nabytych świeżo dla wypożyczalni. W kilka dni po ukazaniu się w sprzedaży mej powieści zauważyłem jej okładkę w oknach szeregu wypożyczalni. Nie przeszły dwa tygodnie i jak na komendę okładka znikła równocześnie z wszystkich okien. Specjalnie sprawdzałem, czy się aby gdzieś przez omyłkę nie ostała. Nie długo potem byłem w Warszawie i dowiedziałem się od osoby, stojącej blisko środowiska »Wiadomości Literackich«, że na pewnym poufnym zebraniu omawiano moją książkę i oceniając pochlebnie jej wartość literacką orzeczono, że ze względu na jej tendencje należy ją przemilczeć.

Jest to oczywiście tylko drobny epizod bardzo sprawnie prowadzonej akcji. Było naprzykład tajemnica publiczna, że bibliotekarzami w Polsce (jak i na całym świecie) byli z reguły masoni i że przedsiębiorstwa wydawnicze opanowywane były systematycznie przez kapital nie-polski (np. niedługo przed wojną opanował on znaną firmę wydawniczą Gebethner i Wolff). Jeśli dodamy do tego specyficzny skład i tendencje »Pen Club'u«, »Akademii Literatury« i t. p., wielki wysiłek wkładany przez te same sfery w organizację czytelni robotniczych i przedmiejskich, z których pewne kategorie książek były wykluczone — to uzyskamy obraz zwarty i konsekwentny.

Nie tu miejsce na projektowanie środków zaradczych, gdyż temat to nowy i rozważania zajęłyby zbyt dużo miejsca, ograniczę się

*) Warto sobie zapamiętać, że największe nateżenie tego ruchu zbiega się w czasie z rewolucją francuską i Sejmem Czteroletnim w Polsce.

wiec do stwierdzenia, że ten problem »wydawniczo-czytelniczy« stanowi istotny element ustrojowy, którego w żadnym społeczeństwie nie wolno zostawić bez rozwiązania. Problem ten zahacza i o Organ. Polit. Narodu i o koncentrację czy dekoncentrację przedsiębiorstw wydawniczych i o oświatę pozaszkolną i o organizacje literatów (Akademie Literatury, korporacje literackie itp.).

Znane jest powiedzenie, że jaka się wychowa młodzież dziś, takim się będzie miało naród za lat dwadzieścia pięć. A cóż, jeśli nie książka kształtuje wychowawców? Kto panuje nad rynkiem wydawniczym, panuje nad mózgami Narodu.

* * *

Następnym z kolei potężnym narzędziem oddziaływania elity na masę jest kino. Wpływ jego na kształtowanie się poglądów politycznych mas jest już dziś niemały (poprzez »aktualności filmowe« oraz filmy o tendencji społecznej), ale główna dziedzina oddziaływania kina jest życie obyczajowe, i tu możliwości jego wydają się nieograniczone. Można śmiało postawić twierdzenie, że kraj poddany przez lat pięćdziesiąt oddziaływaniu filmów wyłącznie tylko amerykańskich musiałby upodobnić się duchowo i obyczajowo do Stanów Zjedn.; przyjęcie zaś ducha i obyczaju innego narodu równa się przekreśleniu odrębności oblicza narodowego, za czym musi pójść w ślad i zanik narodowej polityki, a w końcu i utrata niepodległości. »Powiedz mi, na jakie filmy chodzisz, a powiem ci, kim jesteś.«

Monopol filmowy w rekach czynników, wrogich pogładowi na świat przyjetemu w danym kraju, stanowi poważną groźbę polityczną. Monopol taki wytworzył się ostatnio w Irlandii, w której w r. 1945 wszystkie prawie kinoteatry wykupił brytyjski potentat filmowy Rank, związany blisko z żydowskimi kolami Hollywood'u. Wykupując sale kinowe uzyskał Rank monopol doboru filmów, które ogląda publiczność irlandzka. Wywołało to głośne sprzeciw w katolickich kołach Irlandii, rozumiejących niebezpieczeństwo takiego monopolu, ale — jak się zdaje — niezdolnych mu zapobiec*).

Zagadnienie filmu rozkłada się na cztery elementy: posiadanie

*) Drugi to już monopol, który Irlandia pozwala sobie narzucić z zagranicy. Pierwszym był monopol emisji pieniądza, pozostawiony Bankowi Anglii.

wytwórni filmowych, nagrywanie filmów, posiadanie kinoteatrów, dystrybucja filmów. Kluczowa faza jest dystrybucja; jeśli w niej dopuścimy do monopolu jednego kraju, zamknie on nasz rynek dla filmów z krajów innych. Złudzeniem jest, by można było zapobiec monopolowi dystrybucji tam, gdzie istnieje monopol posiadania sal kinowych. Nikt inny jak tylko właściciel kina rozstrzyga przecież w ostatniej instancji, jakie filmy dostaną się na ekran, podobnie jak właściciel restauracji rozstrzyga, jakie piwo będzie w niej podawał. Stąd dążność browarów do wykupywania restauracji i dążność wytwórni filmowych do wykupywania kin. W W. Brytanii większość teatrów filmowych jest dziś skoncentrowana w rekach Ranka, a reszta — z bardzo nielicznymi wyjątkami — należy do paru innych koncernów. Położenie to nie jest gorsze niż w prasie brytyjskiej, w przemyśle wydawniczym czy w świecie teatralnym (czy we wszystkich prawie innych działach przemysłu); koncentracja własności zaszła w W. Brytanii bardzo daleko, pewna pociecha daje Brytyjczykom jednak fakt, że dyspozycja ta własnością pozostaje naogół w rekach brytyjskich. Najgorzej pod tym względem wygląda właśnie przemysł filmowy, w którym pół-monopol Ranka wydaje się być tylko pokrywka dla interesów amerykańskich.

Wnioski, płynące z tego stanu rzeczy, dadzą się ująć krótko: w społeczeństwie o własności upowszechnionej powinno się czuwać, by kinoteatry należały do możliwie wielu właścicieli, w gospodarce natomiast skoncentrowanej gmachy kin powinny ulec uspołecznieniu.

Dystrybucje filmów należy normować społecznie, dążąc do osiągnięcia właściwej mieszanki filmów własnych, filmów wytwarzanych przez narody o kulturze pokrewnej i przez narody o kulturze obcej. Tej ostatniej kategorii filmów powinno się również dać dostęp na ekrany, ale w proporcji, nie zagrażającej równowadze duchowej i obyczajowej Narodu. W praktyce za filmy o kulturze pokrewnej mogliśmy uważać w ostatnich latach filmy francuskie i brytyjskie; danie im pierwszeństwa przed produktami Hollywood'u wpłynęłoby dodatnio na poziom naszego życia filmowego.

Przy wytwarzaniu filmów rodzimych należałoby potraktować odrębnie dwa oddzielne elementy ich produkcji, tj. same wytwórnie (a więc gmachy, urządzenia techniczne itp.) oraz zespoły ludzi, nakrecających filmy. Upowszechnienia własności nie da się rozciągnąć na wytwórnie

filmowe, zbyt dużego bowiem wymagają nakładu kapitału; posiadac je można tylko kapitalistycznie lub społecznie. W ustroju odrzucającym kapitalizm pozostaje tylko ta druga droga, może pod postacią jakiejś Spółki Publicznej, prowadzącej wytwórnie filmowe i wynajmującej ich użytek zespołom, zawiązującym się czy to na stałe, czy dla nakrecania poszczególnych filmów. Przy organizacji takich zespołów mogłyby znaleźć zastosowanie wszelkiego rodzaju formy prawne, od przedsiębiorstw jednoosobowych poprzez spółki aż po spółdzielnie pracy.

* *

*

Podobne rozwiązanie narzuca się również dla produkcji teatralnej. Teatr, choć przycmiony dziś (nie wiadomo, czy na trwałe) przez kino, zachował nadal poważne znaczenie społeczne, a stosunki, jakie zapanały w tej dziedzinie w społeczeństwach kapitalistycznych, w pierwszym rzędzie w W. Brytanii, wydają się kryć stanowcze niebezpieczeństwo dla życia duchowego narodu. W W. Brytanii koncentracja produkcji teatralnej doszła równie daleko jak w filmie; gros teatrów brytyjskich znajduje się dziś w rekach paru koncernów, obliczonych wyłącznie na zysk. Skutki nie dały długo na siebie czekać: wartościowa sztuka teatralna z wielkim trudem toruje sobie drogę i to tylko do teatrzyków małych, często podmiejskich, wielkie natomiast sceny zawałone są sztucydrami t. zw. »kasowymi«, które idą latami, co z kolei prowadzi do wyjąłowania aktorów, zmuszonych grać setki razy te same role.

Znany pisarz brytyjski Priestley ogłosił w r. 1945 po objęciu Rosji entuzjastyczny artykuł, przypisujący wielkie sukcesy teatru rosyjskiego jego organizacji, której cechą charakterystyczną jest zupełne oddzielenie posiadania gmachów i rekwizytów teatralnych (stanowiących w Rosji własność państwa, zarządów miejskich, spółdzielni, wielkich przedsiębiorstw przemysłowych itp.) od organizacji samych zespołów aktorskich, które wynajmują sobie sale teatralne na serie przedstawień; przy organizacji tych zespołów dopuszczona jest wielka dowolność. Czytając zachwyty Priestley'a uzmysłowilem sobie, że ta organizacja życia teatralnego, która uważa on za »rewolucyjną«, stanowiła w Polsce zawsze nieledwie że regule, boć trudnoby mi było wymienić u nas choć jeden poważniejszy gmach teatralny, będący własnością we właściwym tego słowa znaczeniu kapitalistycznym; przeważały u nas teatry bądź pań-

stwowe bądź miejskie, a nawet mieliśmy w Warszawie świetnie prosperująca sale teatralna, stanowiąca własność Związku Zawodowego Kolarzy («Ateneum»). Nawet liberalna Francja zawdzięczała swój wysoki poziom repertuaru posiadaniu w samym Paryżu aż czterech scen »społecznych«, a mianowicie Komedii Francuskiej (oryginalnie ukształtowanej Spółdzielni Pracy), Odeonu, Opery oraz Opery Komicznej.

I w dziedzinie teatru, podobnie jak w kinie, należałoby zostawić pełną swobodę organizacji samych zespołów. Genialny aktor i genialny reżyser stanowią szczególnie wrażliwe okazy elity; spotyka się między nimi zarówno nieuleczalnych indywidualistów, jak i ludzi o geniuszu współpracy zespołowej, zarówno jednostki łapczywe na zysk, jak i typy franciszkańskie. Rozkwit kultury następuje wówczas, gdy i jedne i drugie znajdują materialne warunki dla wyżycia swych talentów.

Demokracja bezpośrednia. W radiu czy kinie, w prasie czy teatrze, masa z natury swej jest tylko odbiorcą; współtworzy jedynie o tyle, o ile objawami swego zadowolenia czy niezadowolenia wpływa na rodzaj ofiarowanego jej wytworu (choć i tu elita ma różne sposoby nieliczenia się z wola mas). Nie będzie zresztą nigdy inaczej w tych działach życia, w których wymaga się wybitnego talentu; z samej definicji elity jako ogółu osób wybitnie utalentowanych wynika, że w działach twórczości elitarniej rola masy ograniczać się musi do odbioru i spożycia. Inaczej będzie natomiast wszędzie tam, gdzie nie trzeba talentu, a wystarcza zdrowy rozsądek. Na tym punkcie bije masa elitę, w której prosta mądrość życiowa przywalona jest często górami papierowej wiedzy i pseudonaukowych przesadów. Decyzje o sprawach sięgających najgłębiej w codzienne życie człowieka, jak np. o prawie małżeńskim czy spadkowym, o winie w procesie politycznym czy kryminalnym, o obowiązku powszechnej służby wojskowej, o metodach wychowania dzieci itp., bezpieczniej pozostawić gronu przypadkowo dobranych szarych ludzi, niż gronu profesorów uniwersytetu. Ocenie walorów wybitnej indywidualności, kandydującej na Głowę Państwa, przeprowadzi również trafniej masa niż elita, której zbyt mała znajomość drugorzędnych cech kandydata może przesłonić główny zarys całej postaci. Stąd, jak również z samych założeń ustroju »złożonego«, wynika konieczność bezpośredniego udziału

masy we wszystkich tych funkcjach politycznych, do których nie trzeba indywidualnego talentu.

Do funkcji tych zalicza się: wybór Głowy Państwa; wybór przedstawicieli (posłów); udział w pracy ustawodawczej droga głosowania ludowego (referendum); udział w sądownictwie, wychowaniu i kontroli publicznej.

O korzyściach z bezpośredniego wyboru Głowy Państwa przez szersze masy ludności mówiliśmy uprzednio; wybór taki stanowi warunek sine qua non uniezależnienia Głowy Państwa od ciał ustawodawczych i dania jej nadrzędnego autorytetu. Jest rzeczą oczywistą, że wybór przez Zgromadzenie Narodowe (złożone zazwyczaj z posłów i senatorów) daje dużo większe pole do intryg i kombinacji, wpływu mafij i klik, łóz i agencji obcych, niż otwarta walka o miliony głosów szarych obywateli, kierujących się swym przysłowiowym »chlopskim rozumem«.

Podobnie ma się rzecz z udziałem mas w pracy ustawodawczej. O Przedstawicielstwie (parlamencie) pomówimy szeroko za chwilę; w tym miejscu ograniczymy się do zaznaczenia, że parlament nie jest w żadnym razie domeną masy (choć lubi się za taką podawać), lecz raczej terenem współpracy między masą a elitą, niejako sprzęgłem między tymi dwoma czynnikami, biorąc zaś rzeczy szerzej — sprzęgłem między Rządem a Narodem. Na terenie parlamentarnym dzieją się rzeczy różne (o czym więcej za chwilę), między innymi dokonuje się tam część pracy ustawodawczej, której gros wykonują jednak ciała specjalne, instytuty, ministerstwa, komisje itp.; masa bierze w tym wszystkim udział bardzo tylko pośredni, nie zapominajmy bowiem, że poseł jest członkiem elity*), a nie masy, i prace parlamentu rozgrywają się w płaszczyźnie elitarniej; bezpośredniego udziału masy niema tu, a jej pośredni wpływ jest rzadki i przypadkowy.

Dlaczego jednak nie miałyby masa brać bezpośredniego udziału również i w pracy ustawodawczej? Oczywiście nie na codzień i nie przy docieraniu szczegółów, ale przy decyzjach na temat ustaw najważniejszych, sięgających głęboko w życie każdego obywatela? Narzędzie ustrojowe do tego celu wynaleziono już od bardzo dawna; Rzymianie nazywali je *consultatio plebis*, a w naszych czasach utarła się nazwa »głosowania ludowego« (referendum); stanowi ono np. jeden z zasadniczych trybów

*) O ile na posła wybrany zostanie członek masy (a więc człowiek nie wyróżniający się zdolnościami), wpływ jego na tok prac parlamentarnych będzie minimalny.

mechanizmu ustrojowego Szwajcarii, o której ciekawych osiągnięciach ustrojowych pomówimy za chwile. O ile mogłyby nawet istnieć wątpliwości, czy przedkładanie ustaw masom daje wyniki rozsądniejsze, niż narzucanie ich uchwała parlamentu, to trudno kwestionować niezmiernie wychowawczy wpływ, który wywiera systematyczne wciąganie mas w myślenie polityczne przy pomocy referendum, i to właśnie nie w związku z bieżącymi rozgrywkami, ale z najpoważniejszymi zagadnieniami bytu narodowego. Referendum stosowane stale, do wszystkich ważniejszych ustaw, daje dopiero tę pełną miarę demokracji bezpośredniej, której nie da żaden, najbardziej nawet demokratycznie wybrany i »dla ulicy« obradujący parlament.

Konieczność udziału mas w sadownictwie, wychowaniu i kontroli publicznej znalazłem podkreślona z całkowitą konsekwencją tylko w jednej pracy polskiej i to, rzecz ciekawa, w pracy wyszłej ze środowiska, pomawianego zazwyczaj o totalizm. Mam tu na myśli »Z rozważań nad narodowym radykalizmem« Macieja Sieniawskiego (pseudonim), który zginął w r. 1942 bohaterską śmiercią w czasie lotu do Polski. Sieniawski chciałby wciągnąć masy w powyższe trzy funkcje tak głęboko, że mogłoby to grozić wytworzeniem się nowego typu jakiegoś poza- i ponad-parlamentarnego ludowładztwa; pomijając jednak w obecnych naszych rozważaniach to, co w koncepcji Sieniawskiego jest szczególnie śmiało, a więc tym samym i bardziej sporne, musimy mu przyznać słuszną co do samej zasady, że masy powinny mieć bezpośredni wpływ na sadownictwo, szkole i kontrolę publiczną, w szczególności tam, gdzie chodzi o wydatkowanie grosza publicznego. Postulat, by do Najwyższej Izby Kontroli wszedł element obywatelski wybierany (o odpowiednim cenzusie wyształcenia) wydaje się tak naturalny, że aż dziwi, dlaczego do tej pory wysunięty nie został, jako że obecna forma kontroli urzędników przez urzędników utrudnia ogromnie dostawanie się nadużyć do wiadomości publicznej.

Jeśli chodzi o sadownictwo, można przyjąć za pewnik że tam, gdzie od sadzenia spraw politycznych odpada czynnik obywatelski, zasiadający w sędziach przysięgłych, a zostaje wyłącznie tylko sędzia zawodowy, ustrój wolnościowy rychło zamiera. Również udział czynnika obywatelskiego w sadownictwie cywilnym (sady lawnicze) stanowi postulat, uznany dziś

we wszystkich społeczeństwach. Brytyjskie sadownictwo oparte jest ponadto na zasadzie, że wyższe stanowiska sędziowskie obsadza się elementem nieurzędniczym (z reguły wybitnymi adwokatami, którzy dorobili się już majątku). Madra to zasada i wartoby się i nam nad nią zastanowić, gdyż wkradający się u nas zwyczaj odwrotny, że zdolniejszy sędzia starał się wymknąć do adwokatury, był wręcz monstrualny.

Nacisk, jaki państwa totalne położyły na wychowanie młodzieży w duchu dla siebie dogodnym, podkreślił ponownie wagę tego zagadnienia. Panuje dziś coraz szersze zrozumienie, że wychowanie elity i wychowanie młodzieży — to dwa kluczowe problemy społeczne, które powinny znaleźć zupełnie nowe i bardzo śmiało rozwiązania. Jeśli chodzi o ten drugi problem, to prawdziwa rewolucja w wychowaniu młodzieży wywołałoby dopuszczenie mas do bezpośredniego wpływu na szkolnictwo. Do wychowania stosują się te same recepty co do rządów: można wychowanie zorganizować indywidualistycznie lub centralistycznie lub samorządowo, w tym ostatnim wypadku dopuszczając szeroko do wpływu samorządy terytorialne i zawodowe, Kościół, rodziny, dobrowolne związki młodzieży itp. Innymi słowy wychowywać młodzież mogą masy Narodu, a może to również czynić dyktator wychowania, ukryty w jakiejś loży czy centralnej komórce biurokratycznej.

Jedną z najznamienniejszych cech ustroju angielskiego jest, że po dziś dzień szkolnictwo zachowało tam swój charakter samorządowy, a wpływ rządu w tej dziedzinie, aczkolwiek rosnący, datuje się dopiero od kilkudziesięciu lat i jest wciąż jeszcze dość ograniczony. Wystarczy wspomnieć, że programów szkolnych do dziś celowo nie ujednostajnia się, natomiast poszczególne obwody szkolne, a nawet poszczególne szkoły, mają pod tym względem dużą swobodę; wychowanie warstwy przywódczej w t. zw. public schools (szkolach publicznych) odbywa się całkowicie samorządowo, po za jakąkolwiek ingerencją władz. Rzecz prosta, że i w W. Brytanii istnieją silne prądy za scentralizowaniem całego wychowania w rękach państwa; przeciwnicy takiego rozwiązania szermują jednak ważnymi argumentami, wśród których najważniejszym jest bezsporny fakt, że właśnie przy dotychczasowym systemie samorządowego wychowania, z dużym wpływem rodziny i Kościoła, naród brytyjski wykazał

największe osiągnięcia i zyskał sobie sławę najsprawniej wychowanego narodu świata.

Scentralizowane wychowanie zdane jest na flukta bieżących nowinek, na widzimisie jednostek, na wpływy klik i agentur, na laske rządzącej partii. Co gorzej — naród wychowujący swa młodzież centralistycznie nie ustabilizuje nigdy swego wychowania; każde pokolenie wychowywać się będzie inaczej, stosownie do panującej w danej chwili mody intelektualnej, co spowoduje w narodzie rozbieżności psychiczne, utrudniające gładką współpracę pokoleń. Wpływ mas na wychowanie daje właśnie ten pożądaný współczynnik bezwładności, tradycji, niezmienności, bez którego Naród zbyt łatwo rusza się z posad i popada w zbiorową historię. Oczywiście wpaść można i w skrajność odwrotną, znana nam z czasów saskich — w zupełny zastój wychowawczy; i tu, podobnie jak we wszystkich innych dziedzinach ustroju, dążyć należy do tego »regimen commixtum«, w którym wpływy rządu i samorządu, mas i przywódców krzyżują się, wytwarzając pożądaną mieszaninę dynamiki i skłonności zachowawczych.

Oto jedno z możliwych rozwiązań: rady szkolne, złożone z przedstawicieli rodziców, nauczycielstwa, duchowieństwa oraz samorządu terytorialnego (gromady, gminy, powiatu); takie rady szkolne istniałyby przy każdej szkole powszechnej, a ponadto na szczeblu gminy i powiatu; kontrola państwa nad szkolnictwem powszechnym odbywałaby się poprzez te rady szkolne, przy pozostawieniu dużej, lokalnej swobody nawet w dziedzinie programów nauczania; samorząd wyższych uczelni sprawowałby opiekę nad szkolnictwem średnim; subsydiowane z budżetu państwa, lecz w pełni od państwa niezależne instytucje opracowywałyby problemy wychowawcze i sprawowałyby opiekę nad seminariami nauczycielskimi i pedagogiami; samorządowi zawodowemu nauczycieli, o wysokim poziomie godności zawodowej i nieograniczającemu się tylko do materialnych spraw nauczycielstwa, przyznano by duży wpływ na programy i metody nauczania; państwo zostawiłoby pełną swobodę działania organizacjom młodzieży, nie ujednoliconym na wzór totalny; samorząd uczniów (znany u nas już oddawna) zaprawiałby młodzież do życia zbiorowego.

Nad całością tak zdecentralizowanego wychowania czuwałaby Organizacja Polityczna Narodu.

Przedstawicielstwo. W poprzednich rozdziałach mówiliśmy o środkach oddziaływania elity na masę (jakoto radiu, prasie itp.) oraz o tych dziedzinach rządów, w których masy mogą brać udział bezpośrednio. Jeśli ustrój na jednak działac sprawnie i bez zahaczeń, trzeba jeszcze pewnej płaszczyzny styku między masami a elitą, pewnego sprzęgła, synchronizującego myśli i amortyzującego tarcia. Funkcje takiego sprzęgła spełnia Przedstawicielstwo Narodu (sejm, parlament).

Przewodniczący (t. zw. speaker) parlamentu brytyjskiego plk. Clifton Brown wyraził się w r. 1945, że »dyktatorzy europejscy uważali parlament jedynie za miejsce do wygadania się (talking-shop). W pewnej mierze jest on nim, jest jednak również wielkim miejscem zbornym (rallying-place).« W Anglii można napatrzeć się wielu dziwnym zjawiskom, nawet pułkownikom stojącym na straży powagi parlamentu. Nie dziwi tam nawet fakt, że tenże plk. Clifton Brown, aczkolwiek wybrał go na speakera parlament o większości konserwatywnej, po zmianie rządów utrzymał się na tym samym stanowisku w Izbie, złożonej w dwu trzecich z posłów socjalistycznych. Tym większą wagę ma więc jego definicja parlamentu i możemy ją przyjąć jako miarodajne określenie parlamentaryzmu brytyjskiego typu 1945.

Wyrażenie »talking-shop« ma w języku angielskim posmak lekceważący, coś jakby po polsku »gadalnica*«. Bardziej wytwornie i naukowo określają Brytyjczycy te właśnie »gadana« funkcje parlamentu jako nationalisation of debate (przeniesienie dyskusji na płaszczyznę państwową). Wyrażenie to spotyka się często w naukowej literaturze brytyjskiej. Ponieważ jest ono stosunkowo nowe, a w polskiej literaturze politycznej nie spotykane, warto może powiedzieć o nim trochę szerzej.

Dyskusja na tematy polityczne, omawianie bieżących zdarzeń i krytyka rządzących, toczą się w każdym społeczeństwie, bez względu na to, czy ma ono parlament, czy jest go pozbawione. W tym drugim wypadku próbuje się często odstraszyć obywateli od omawiania zagadnień politycznych przy pomocy tajnej policji, donosicieli, obozów koncentracyjnych itp. W praktyce nie udaje się nigdy stłumić dyskusji politycznej całkowicie, lecz wpędza się ją w podziemia. Mówiac językiem psycho-analityków, bólczki polityczne zepchnięte zostają w »nieświa-

*) Hitlerowcy używali wyrażenia »Schwatzbude«.

domość« narodu; ich »represja« pociąga za sobą skutki takie jak narastanie »kompleksów«, zaburzenia psychiczne itp.

Publiczna dyskusja zagadnień życia zbiorowego oraz zachowania się ludzi rządzących, znajdująca swój szczytowy wyraz w debatach parlamentarnych, wydaje się spełniać w życiu psychicznym społeczeństwa rolę podobną tej, jaka w życiu jednostki spełnia u katolików spowiedź, a w medycynie badanie psycho-analityczne. Społeczeństwo, podobnie jak jednostka, powinno mieć możliwość ulżenia swemu sumieniu, mówiac trywialnie — »wygadania się«; stąd wywodzi się nawet samo słowo »parlament« (od parler, mówić) t. zn. instytucja, służąca do mówienia. »Pomoże czy nie pomoże, ale wygarnalem, co o nim myślę« . . . w życiu prywatnym słyzy się często takie zdanie. Wprowadzie »wygarniecie prawdy« w niewielu tylko wypadkach wpływa na postępowanie adresata, ale w każdym wypadku robi dobrze psychice tego, kto sobie ulżył. Społeczeństwo, mające możliwość publicznego omawiania swych bolączek w parlamencie, odczuwa psychiczną ulgę, choćby rządcy tylko w części do jego życzeń się stosowali. Społeczeństwo takie otrzasa się z »kompleksów«, patrzy śmiało w twarz trudnościom i utrzymuje godną postawę wobec rządzących. Swoboda wygadania się w parlamencie niszczy wszelki bizantyzm, nie dopuszcza do tuszowania afer, które zdarzają się w najlepiej nawet działających ustrojach, i zapobiega panoszeniu się biurokracji. Oczywiście jednak warunkiem spełnienia tej roli parlamentu jest, by obrady jego były jawne, toteż dziejopis obecnej naszej emigracji nie omieszka zanotować, że nasze parysko-londyńskie Rady Narodowe obradowały w latach 1940/44 z reguły tajnie, z powodów, które nie doczekały się nigdy przekonywującego tłumaczenia; ta tajność przyczyniła się do nagromadzenia w naszej psychice zbiorowej jądów, które wykorzystują dziś nasi wrogowie.

Tak więc ześrodkowanie dyskusji o sprawach publicznych w specjalnie do tego powołanym ciele wydaje się stanowić podstawowy wymóg higieny psychicznej społeczeństwa. Ustrój polityczny, pozbawiony instytucji Przedstawicielstwa, a więc zupełnie samowolny i niekontrolowany, wydaje się być sprzeczny z prawami socjologii i psychologii; większość ludzi czuje instynktownie, że ustrój taki przeciwny jest samej naturze społeczności.

* * *

Czy parlament powinien się ograniczyć do swych funkcji »gadanych«, czy też powinien rządzić?

Dzieje ucza, że ciało zbiorowe, liczniejsze niż kilka czy najwyżej kilkanaście osób, nie jest zdolne do sprawowania rządów; stąd próby »sejmowładztwa«, podejmowane na przestrzeni dziejów tylokrotnie w tylu krajach, paliły z reguły na panewce. Myśliciele osiemnastego wieku wyciągnęli stąd wniosek, że należy ograniczyć parlament do zadań ustawodawczych.

Czy i takie jednak ograniczenie zadań parlamentu nie nakłada nań obowiązków, przekraczających jego przyrodzone możliwości? Stanowienie ustaw jest jedną z funkcji rządu, z tą jedynie różnicą, że rozgrywa się ono na fali dłuższej, niż bieżące zarządzenia władz administracyjnych. Przyglądając się działaniu parlamentu brytyjskiego, »matki parlamentów« świata, jednemu parlamentowi nowoczesnemu, który wylonil się drogą organicznego procesu dziejowego, a nie został wykoncypowany przez mózgi doktrynerów, widzimy tak ściśle współdziałanie rządu i parlamentu, że podział na władze ustawodawczą i wykonawczą zupełnie tam nie pasuje, trudno bowiem ustalić, który z dwu współdziałających z sobą czynników — rządu (wraz z całym otaczającym go aparatem urzędników i ekspertów) czy parlamentu — wnosi w W. Brytanii więcej w prace ustawodawczą. Czasem strona inicjująca ustawę bywa rząd, czasem inicjuje ją parlament i przymusza rząd do jej wykonania.

Patrzac na tę współzależność, tak ściśle, że w praktyce niemożliwa do rozplatania, trudno się powstrzymać od pytania, tylekroć razy, w tylu różnych epokach i krajach roztrząsanego: kto wie lepiej, czego społeczeństwu potrzeba — ono samo (w osobach swych przedstawicieli) czy też ci, co nim rządzi?

Racjonalisci osiemnastego wieku próbowali narzucić ludzkości pogląd, że »lud« wie zawsze, czego chce, a ponadto że »wola ludu« chce zawsze dobra. I w dwudziestym wieku przesad ten jeszcze nie wygasł. »Dziennik Polski« w Londynie z dn. 8. IX. 1943 r. podał przemówienie polskiego wicepremiera, zdaniem którego »wola ludu, objawiona w wolnych wyborach, skieruje Polskę na drogę wspaniałego rozwoju«. Doświadczenia historii nie potwierdzają takiego optymizmu, ani w stosunku do nas ani innych narodów. »Lud« nie zawsze wie czego chce,

wysuwa nieraz na czoło jednostki nieodpowiedzialne (Hitlera, Mussoliniego) lub też owczym pedem daży do rzeczy dla siebie zgubnych, jak np. do tak popularnego w społeczeństwie brytyjskim między obu ostatnich wojnami pacyfizmu. »Wola ludu« wyraża się między innymi typowo w terrorze rewolucyjnym, który niewiele ma wspólnego z dobrem. Złe instynkty drzemia w każdym człowieku i niezmiernie łatwo wyladują się pod pokrywką »woli ludu«. Słusznie pisze Aldous Huxley (»Ends and Means«, 1938), że »ton wzruszenia tłumu jest w swej istocie orgiastyczny i dionizyjski. Uczestnicząc w tłumie jednostka czuje się wyzwolona z ograniczeń swej osobowości i uzyskuje swobodę ruchów w podosobowym, pod-ludzkim świecie niepojętych uczuć i bezkrytycznych wierzeń. Uczestnik tłumu ma przeżycia bardzo zbliżone do przeżycia pijanego alkoholem.« Niejeden parlament ulega ulicy, a ulica rządzi się psychologia tłumu.

Rozczarowanie do skutków ludowładztwa prowadzi do odwrotnej teorii »narodu idiotów«, ciemnych mas, które wódz musi uszczęśliwić wbrew nim samym. Trudno zaprzeczyć, że genialna jednostka widzi nieraz jasno potrzeby narodu w chwili, gdy ogół jego członków brnie jeszcze ślepo po błędnej drodze. Nikt dziś nie kwestionuje, że na szereg lat przed obecną wojną jeden Churchill widział w Anglii jasno, na co się zanosi, natomiast ogół Brytyjczyków nie chciał słuchać jego nawoływań i odnosił się do nich niechętnie, co doprowadziło W. Brytanie w czerwcu 1940 na skraj przepaści. Inny świeży przykład jednostki, prowadzącej naród wbrew jego woli do jego własnego dobra, stanowią wysiłki prez. Roosevelta wciągnięcia Stanów Zjedn. w wojnę w latach 1939/41. Pozostawione własnej woli masy amerykańskie grzeźłyby w izolacjonizmie, póki pierwsze bomby atomowe nie zaczęłyby im spadać na głowy. Dzieje Stanów Zjedn. w tych latach, to przełamywanie bezwoli masy wola jednostki, niewatpliwie dla własnego dobra tej masy. Historia zna wiele podobnych przykładów, jak np. u nas usiłowania (udane) Kazimierza Jagiellończyka wciągnięcia Rzpltej w wojnę z Zakonem Krzyżackim oraz Batorego w wojnę z Moskwą, oraz usiłowanie (nieudane) Władysława IV wciągnięcia Rzpltej w rozstrzygającą rozprawę ze światem turecko-tatarskim. I w jednym i w drugim wypadku królowie widzieli jaśniej od mas demokracji szlacheckiej. Wykonanie planów Władysława IV byłoby zapewne zapobiegło i Chmiel-

niczyźnie i potopowi szwedzkiemu i późniejszym kleskom z rak tureckich, a w dalszej perspektywie i upadkowi Rzpltej. Zbędne natomiast dowodzić, że w wielu wypadkach bywa naodwrot, wycucie mas bywa zdrowe i one to narzucają swym władcom właściwy kierunek, wzgl. zapobiegają ich szkodliwym zapędem.

Zdaje się, że niema reguły, jakoby słuszność miał zawsze lud lub zawsze rząd, zawsze masa lub zawsze elita. Polityka państwa idzie raczej po wypadkowej wzajemnych oddziaływań rządu i społeczeństwa. Inicjatywa działania wychodzi to z jednej, to z drugiej strony. Terenem, na którym odbywa się sprzeganie tych oddziaływań, tym miejscem zbornym (rallying place) jest w prawidłowym ustroju parlament. Parlament stanowi coś w rodzaju Izby Rozrachunkowej prądów płynących z dołu i z góry (Anglicy używają tu kapitalnego wyrażenia clearing house). W pewnych wypadkach rząd używa parlamentu do pobudzenia lub przyhamowania narodu, w innych społeczeństwo poprzez parlament wpływa na rząd. Działanie płynie w obu kierunkach, a raczej powinno płynąć, gdyż przy sejmowładztwie czy dyktaturze ruch robi się jednokierunkowy, z wielką szkodą dla narodu.

W nowoczesnych miastach znajdują się w skomplikowanych punktach węzłowych automatyczne centrale, kierujące ruchem ulicznym. Każdy nadjeżdżający pojazd powoduje naciskiem swych kół pewien bodziec elektryczny; bodźce te sumują się w centrali i uruchamiają czerwone lub zielone światła. Podobną centralę stanowi parlament: bodźce, pobudzające lub hamujące, płyną do niego z góry i z dołu. W młynie parlamentarnej wymowy dokonuje się, droga skomplikowanych procesów psychicznych, składanie i rozkładanie tych bodźców. Stad, obok czynnika »wygadania się«, wielką wagą parlamentu jako »izby rozrachunkowej« między rządem a społeczeństwem.

Ustrój bez parlamentu jest jak samochód bez sprzęgła lub zegar bez wahadła.

* * *

Resumuje. Parlament służy do:

- a) dyskusji o sprawach publicznych
- b) pracy ustawodawczej
- c) spełnia funkcje sprzęgła między rządem a społeczeństwem (masa a elita).

Chcąc spełniać dobrze powyższe funkcje, parlament musi możliwie wiernie przedstawiać całe społeczeństwo, a więc zarówno masę jak i czynniki przywódcze. Tym się tłumaczy tradycyjny podział parlamentu na dwie Izby; podział taki stanowił regule w większych krajach Europy przed-chrześcijańskiej i chrześcijańskiej. Przedstawicielstwa dwuizbowe miały Ateny i Rzym republikański, Rzeczpospolita jagiellońska, Francja i państwa anglosaskie; jednoizbowe przedstawicielstwa spotykało się tylko w państwach bardzo małych. Próby ograniczenia się do jednej Izby w państwie większym zdarzały się często, dawały jednak z reguły wyniki oplakane, jak np. w czasie rewolucji francuskiej i w Niemczech w latach 1919/33.

Jak to już stwierdzili w wieku XVIII ks. Bernardin de St. Pierre i J. J. Rousseau, inne regule ustrojowe odnoszą się do państw małych, inne do dużych. Jest to fakt doświadczalny, znany badaczom zjawisk »politycznych« poczynając od Arystotelesa. Można sobie tłumaczyć ten fakt na różne sposoby; osobiście rozumiem go tak, że naturalnym »działem wód« w sprawach ustrojowych jest taki rozmiar społeczności, powyżej którego większość obywateli zna swych przywódców już tylko z opowiadania i czytania, a nie widzi ich ani nie słyszy na własne oczy i uszy. W społeczności nielicznej »sprzeczaniec« rządu z masami jest znacznie łatwiejsze, a role elitarnej Izby Wyższej spełnia faktycznie sam rząd. Tym zjawiskiem tłumaczy się np. łatwość, z jaką można zbudować demokrację na skale jednego miasta, gdzie »każdy zna każdego«, a trudność uczynienia tego samego na skale wielkiego mocarstwa.

W naszych czasach taki »dział wód« ustrojowych wydaje się leżeć około 3—4 milionów ludności. Powyżej tej cyfry dwuizbowy parlament stanowi konieczność; poniżej, w państwach takich jak Litwa, Finlandia czy Słowacja, jednoizbowe przedstawicielstwo może działać w sposób zadowalający.

* * *

Jakie korzyści daje dwuizbowość?

- a) przez wzajemne oddziaływanie na siebie obu izb przeciwdziałaniu psychoz zbiorowych, o które niezmiernie łatwo w ciele obradującym;

b) umożliwia odrebne przedstawicielstwo masy i czynników przywódczych (elity).

ad a) Dzieje ucza, że współdziałanie dwu izb w pracy ustawodawczej i w krytyce rządu daje wyniki doskonałe. Obie Izby, jako ukonstytuowane na odmienne sposoby, patrzą na siebie z podębem i nie dopuszczają, by konkurencyjna Izba, w gorączce obrad, przekroczyła granice trzeźwego rozumowania czy obiektywnej krytyki. Pewna zwłoka, wynikająca z wędrowania ustaw z Izby do Izby, wychodzi tylko na dobre i ustawom i Krajowi. Co więcej — dwuizbowy parlament odporniejszy jest na pokusy sejmowładztwa, chyba że Izba wyższa ukonstytuowana jest analogicznie do Izby niższej, jak to miało miejsce np. w Polsce po roku 1921.

Ad b) Jak już wspomnieliśmy, tylko cześć jednostek przywódczych można wprowadzić w życie społeczne drogą wyborów, reszta trzeba ciągnąć w górę drogą nominacji; wynika stąd konieczność równoczesnego stosowania nominacji i wyboru, a więc współistnienia dwu izb: jednej mianowanej, obejmującej najwybitniejsze jednostki danego pokolenia oraz przedstawicieli grup elitarnych (wirylistów), drugiej wybieranej, przedstawiającej masę.

Nie jeden z czytelników wysunie w tym miejscu słuszny zarzut, że izby wyższe nie zawsze i nie wszędzie miały charakter wyraźnie przywódczy, wyrażający się nominacją jednostek najwybitniejszych. Rzecz ciekawa, że ortodoksyjnie przywódczy charakter miał wśród izb wyższych Europy tylko Senat przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. W innych krajach spotykamy albo mieszaną zasadę dziedziczenia i mianowania (np. w państwach średniowiecznych, a w naszych czasach w W. Brytanii oraz do niedawna w cesarstwach Niemiec i Austro-Węgier), albo zasadę wyboru pośredniego (Francja i Stany Zjednoczone). Odstępstwa od zasady przywódczej mszcza się jednak naogół dotkliwie na powadze Izby Wyższej. Pozycja brytyjskiej Izby Lordów jest dziś dość słaba właśnie ze względu na obowiązującą w niej (choc nie wyłącznie) zasadę dziedziczenia, która pozwala przedstawiać Izbie Lordów jako instytucję przestarzałą. Senatorzy francuscy (do r. 1940) wybierani byli na lat siedem, w wyborach pośrednich, przez członków sejmików wojewódzkich (Conseils Généraux), którym też z reguły przewodniczyli. W rezultacie Senat francuski miał większą wagę ustrojową, niż Senat polski lat ostat-

nich, ale był w swej genezie zbyt jeszcze podobny do parlamentu, by móc odegrać rolę pierwszoplanową. W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej twórcy Konstytucji zrobili z Senatu ciało, wyrażające idee federalną; do senatu wchodzi po 2 senatorów z każdego Stanu.

Senat Polski przedrozbiorowej był w zasadzie czysto przywódczy. W praktyce względy na nazwisko i majątek grały przy nominacjach pewna rolę, która się jednak często przecenia. Nie było bodaj na przestrzeni naszych dziejów żadnej wybitniejszej jednostki (stanu szlacheckiego), która nie zasiadałaby w Senacie. Senat Polski z lat 1921/35 nie miał natomiast charakteru przywódczego, gdyż wybierano go w ten sam sposób co i Sejm, tylko przy innych granicach wieku (30 lat czynne prawo wyborcze, 40 lat — bierne). Rzecz oczywista, że tak wybrany Senat nie odgrywał żadnej roli.

W innym miejscu tych rozważań będziemy mieli sposobność pomówić obszerniej o osiągnięciach ustrojowych staropolskich, które upoważniają nas do mówienia o wysokich zdolnościach konstytucyjnych Narodu polskiego. Szczególnie dobitnie zaznaczyły się one w kompozycji polskiego Senatu, niepokalanie przywódczego (w całości mianowanego) w czasach, kiedy zasada dziedziczności Izb wyższych przeważała na całym świecie. Staropolska myśl ustrojowa stworzyła Senat jako Izbę złożoną z najteższych jednostek, żyjących w danej chwili w Narodzie.

Jako jedno z możliwych dla dzisiejszej Polski rozwiązań wyobrażam sobie Senat składający się z najwybitniejszych Polaków, mianowanych dożywotnio (lub na długi okres czasu) przez Głowę Rzeczypospolitej w ilości np. trzech do pięciu rocznie, co dалоby w praktyce liczbę kilkudziesięciu senatorów. Powstałby zapewne zwyczaj (niepisany), że każdy dłużej urzędujący premier, każdy wódz naczelny, każda znakomitość naukowa o sławie światowej, każdy szczególnie wybitny organizator przemysłu — byłiby powoływani do Senatu. Należałoby ponadto odnowić staropolski zwyczaj, że Senat stanowi Radę Głowy Państwa.

Z samej natury Senatu, jako przedstawicielstwa czynników przywódczych, wynika, że przedstawiciele korporacji zawodowych, grupujących masę, powinni się znaleźć w Izbie Posłów, a nie w Senacie, natomiast przedstawiciele instytucji elitarnych takich jak Akademia Umiejętności, Uniwersytety, Episkopat itp. powinni zasiąść w Senacie.

Jak ukształtować Izbę Posłów, by możliwie sprawnie dawała upust myślom i uczuciom masy?

Nowoczesne parlamenty, jak je nam przekazał wiek XIX, wybierane są na podstawie wyłącznie tylko terytorialnej. Ludzie, których jedyną wspólną cechą jest fakt, że mieszkają razem na pewnym obszarze, wybierają sobie jednego lub kilku posłów. Posłowie ci reprezentują interesy regionalne i z pewnym autorytetem przemawiać mogą jedynie w obronie tych interesów.

Przeciw takim wyłącznie tylko regionalnym wyborom do parlamentu podnoszą się sprzeciwy coraz energiczniejsze. Zwraca się słusznie uwagę, że więź solidarności zawodowej jest w wielu wypadkach silniejsza od więzi regionalnej. Kolejarz z Włocławka ma niewatpliwie więcej wspólnego z kolejarzem z Sandomierza, niż np. z gospodarzem z sąsiedniej wsi kujawskiej.

Dwie główne cechy społeczne (poza przynależnością narodową) przeciętnej jednostki ludzkiej — to jej zawód i jej miejsce zamieszkania; na tych dwu płaszczyznach rozgrywa się społeczne życie człowieka. Dlaczego tylko jedna z tych płaszczyzn miałaby służyć za podstawę wyborów do parlamentu?

Postulat parlamentu o podwójnej podstawie, terytorialnej i zawodowej (korporacyjnej), jest już tak spopularyzowany i oczywisty, że przeciwnicy przestali go zwalczać merytorycznie, a ograniczają się do wysuwania zastrzeżeń, związanych z jego praktyczną realizacją. Latwo bowiem wykroić okręg wyborczy i mechanicznie liczyć głosy, skoro jednak wysuniemy postulat reprezentacji zawodowej, rzecz się komplikuje w sposób, niepokojący umysły ortodoksyjnych demokratów.

Rozwiązanie musi się jednak znaleźć. Można go szukać na różne sposoby. Nie będziemy się tu kusili o danie gotowej recepty, wskażemy tylko parę możliwych dróg.

Pierwsza droga — ewolucyjna, w ramach istniejącej tradycji ustrojowej — poszli Brytyjczycy. Ich Labour Party nie jest partią o strukturze podobnej do tradycyjnych partii brytyjskich, t. zn. konserwatywistów i liberalów. W przeciwieństwie do nich Labour Party jest niejako »federacją« Związków Zawodowych (Trade Union'ów); ponadto wchodzi w jej skład spółdzielcy oraz stosunkowo nieliczna partia socjalistyczna, o charakterze czysto już politycznym. Członkowie Trade Union'ów

stanowia — co należy silnie podkreślić — dziewięć dziesiątych ogółu członków Labour Party (mówiac nawiasem, podobna proporcja zachodziła i w Polsce między liczbą robotników, zorganizowanych w klasowych związkach zawodowych, a liczba czysto »politycznych« członków P. P. S.). Patrząc na Labour Party w tym świetle, widzimy, że stanowi ona poprostu przekładnię dla wprowadzenia do parlamentu reprezentacji zawodowej. Ustrój angielski, tradycyjnie ewolucyjny, zastosował tu pewien trick polegający na tym, że przy zachowaniu pozorów czystej reprezentacji terytorialnej duża część posłów zasiada już dziś w parlamencie w charakterze delegatów związków zawodowych. Byłoby może szczyt i naturalniej, gdyby przedstawiciel Trade Union'u nie potrzebował dostawać się do parlamentu jako fikcyjny przedstawiciel takiego czy innego, zazwyczaj dość przypadkowego okręgu wyborczego; korzyść z obecnego stanu rzeczy polega jednak na tym, że Brytyjczycy doszli do niego drogą ewolucji prawie że niedostrzegalnej, bez konieczności gwałtownych przemian ustrojowych.

Jak wiadomo korporacje przemysłowe, prawidłowo zbudowane, powinny łączyć pracowników i pracodawców; przywódcy Trade Union'ów, wchodzący do parlamentu pod pokrywką Labour Party, reprezentują tylko pracowników, nie można więc mówić o pełnej reprezentacji korporacyjnej w parlamencie brytyjskim gdyby nie to, że i druga strona, pracodawców, jest tam również reprezentowana w ramach partii konserwatywnej i liberalnej, których wielu członków wchodzi do parlamentu w charakterze przedstawicieli dużych firm, banków i koncernów. I w tym wypadku kandydatura w terytorialnym okręgu wyborczym stanowi tylko fikcję, konieczną dla utrzymania tradycyjnego ustroju. Ten, kto zadałby sobie trud podsumowania w współczesnym parlamencie brytyjskim ilości posłów, reprezentujących formalnie pewne okręgi terytorialne, a faktycznie związki zawodowe i interesy gospodarcze, musiałby dojść do wniosku, że co najmniej połowę posłów wybiera się tam korporacyjnie, a nie terytorialnie. Tak więc parlament brytyjski, »matka parlamentów« świata, może służyć wszystkim innym parlamentom za wzór ewolucyjnego dopuszczenia do głosu tendencji korporacyjnych. Ze dzieje się to w sposób zawaolowany, z listkiem figowym i spora doza hipokryzji — to wiąże się już zapewne z charakterem narodowym angielskim, unikającym sytuacji zbyt wyraźnie zarysowanych.

Myśl dopuszczenia czynników gospodarczych do reprezentacji w parlamencie może i powinna znaleźć szczyt wyraz w społeczeństwie takim jak polskie, które parlamentaryzm swój budować musi od nowa, bez możliwości nawiązania do istniejących form ustrojowych.

Szukając rozwiązania, odpowiadającego potrzebom polskim, można by stanąć np. na stanowisku, że każdy normalny obywatel ma i miejsce zamieszkania i zawód, może więc głosować raz terytorialnie (jak dotychczas), a drugi raz w swej organizacji zawodowej (korporacji, syndykacie, związku zawodowym). Parlament składałby się wówczas po połowie z posłów wybranych terytorialnie i zawodowo.

Rozwiązanie takie nie swa prostolinijnością, budzi jednak poważne wątpliwości. Przede wszystkim należałoby stworzyć uprzednio pełny system korporacji zawodowych, a do tego u nas jeszcze daleko. Następnie — co zrobić z ludźmi bez zawodu, których jest zawsze pewien odsetek? Ująć ich w korporacje pracowników niewykwalifikowanych? Byłoby to oczywista fikcja. W kraju takim jak Polska, gdzie organizacje zawodowe rolników obejmują niewielki ich odsetek, równie fikcyjne byłoby przyznanie korporacjom rolników około 60%*) posłów w zawodowej połowie Sejmu (a więc około 30% ogółu posłów). Byłaby to fikcja na korzyść nielicznej grupy działaczy organizacji rolniczych. Oczywiście trudność reprezentacji zawodowej rolników będzie malała w miarę zmniejszania się procentu ludności zatrudnionej rolniczo i lepszej organizacji rolników, ale do tego stanu jeszcze daleko.

Kłopotów tych unikneloby się, przyjmując kryterium mniej prostolinijne, niż podział Sejmu na połowę zawodową i połowę terytorialną. W miejsce tego podziału można by przyjąć zasadę pełnej reprezentacji terytorialnej, przy reprezentacji zawodowej ograniczonej w proporcji do liczebności organizacji zawodowych. A więc np. w Polsce przedwojennej w organizacjach zawodowych nierolniczych zrzeszonych było około pół miliona osób, w organizacjach zawodowych rolniczych może drugie tyle. Organizacjom tym można by dać w Sejmie ilość miejsc odpowiadającą ich liczebności w stosunku do ogółu wyborców terytorialnych. Np. wyborców jest w całym kraju piętnaście milionów, zawodowo zorganizowanych jest milion, a więc liczba Posłów dzieli się w stosunku 15:1 na posłów wybranych terytorialnie i zawodowo. W kraju, w którym każdy dorosły obywatel należałby do korporacji zawodowej, proporcja ta musiałaby dojść do 1:1. Do tego zapewne nigdzie nie dojdzie, tym niemniej ilość ludzi zorganizowanych zawodowo szybko wzrasta.

*) Tyle wynosił ostatnio odsetek ludności rolniczej w Polsce.

W tym miejscu nasuwa się uwaga dalsza: przecież terytorialnie głosuja i mał i żona, a do korporacji zawodowej należy z reguły tylko głowa rodziny, czyż nie byłoby więc sprawiedliwiej przyznać wyborcy korporacyjnemu głos podwójny? I druga uwaga: przeciętna frekwencja przy głosowaniu do parlamentów przekracza wyjątkowo (z wyjątkiem państw totalnych) $\frac{2}{3}$ uprawnionych do głosowania. Ustalając podział na mandaty zawodowe i terytorialne byłoby więc może słuszniej oprzeć ten podział na stosunku liczbowym ludzi zawodowo zorganizowanych do ludzi faktycznie głosujących. Wydaje się to tym słuszniejsze, że społecznie większą wagę ma jednostka zorganizowana zawodowo i biorąca stały udział w samorządzie zawodowym, niż przeciętny obywatel, którego społeczne zainteresowania wyrażają się tylko przechadzka do urny wyborczej raz na parę lat.

Uwzględniając oba powyższe momenty doszlibyśmy więc do przyznania wyborcy korporacyjnemu głosowi trzykrotnie większego, niż wyborcy terytorialnemu.

W praktyce jakiegoś możliwie bezstronne ciało (może Sad Najwyższy, którego decyzje zatwierdzałaby Głowa Państwa) mogłoby przed każdymi wyborami do Sejmu ustalać ilość mandatów korporacyjnych, biorąc pod uwagę istniejący stan liczbowy organizacji zawodowych.

Niejednemu czytelnikowi wyda się może zbędne przypomnienie, że parlament wtedy tylko stanowi wierne odbicie mas, gdy znają one ludzi, których na posłów swych wybierają.

Co za paradoks — powie niejeden. Czyż może się zdarzyć, by wyborcy nie znali swych wybrańców?

A jednak może się to zdarzyć i zdarza z reguły tam, gdzie głosuje się na listy a nie na osoby, jak było np. w Odrodzonej Polsce po r. 1918. Wyborca polski głosował na numer i na skutek tego jego aktu wchodziło do Sejmu posłów kilku; wyborca angielski głosuje na nazwisko i aktem swym powoduje wybór posła jednego. Wybory w W. Brytanii i w Polsce były tym samym tylko z imienia. Różnica między nimi sięgała bardzo głęboko. W praktyce ogromna większość wyborców brytyjskich zna dobrze swych kandydatów jeśli nie osobiście, to przynajmniej z widzenia, w Polsce natomiast wyborcy od kandydata odgradzała cała chińszczyzna numerów, list okręgowych i państwowych, partyj, pięciu tajemniczych przymiotników oraz zawilych obliczeń. Koniec końców masa polska wysyłała do Sejmu nieznanym sobie przedstawicieli interesów partyjnych, przefiltrowanych przez stołeczne konwentykle przy decydującym udziale łóż i konspiracji. Toteż posłowie nasi nie wyrażali

masę i bezprawnie przemawiali w jej imieniu, a Sejm polski nie mógł stanowić ani trybuny do »wygadania się« opinii publicznej ani sprzęgła między Rządem a Narodem. Nasz Sejm nie odciążał psyche Narodu, ale ja macił*). Był on tworem sztucznym, tak jak parlament brytyjski jest tworem naturalnym.

Faktem niezbitym jest, że w nowożytnym świecie funkcjonuje sprawnie jedynie parlamentaryzm Anglosasów. Faktem równie niezbitym jest, że parlamentaryzm ten oparty jest na głosowaniu na osoby, a nie listy. Trzecim faktem jest, że ustrój parlamentarny, oparty na systemie list i okręgów wyborczych kilkumandatowych, nie utrzymał się na dłużej w żadnym większym państwie. Tajemniczy p. de Hondt**) unieszczęśliwił po r. 1918 większość krajów Europy. U podstaw hitleryzmu oraz większości dyktatur wschodniej i bałkańskiej Europy (włącznie z Polską) leżał doktrynersko sprawiedliwy system p. de Hondt'a. Mała to napozór rzecz, lecz uniemożliwia prawidłowe funkcjonowanie parlamentu. Coś tak jak np. wydanie dywizji piechoty nieodpowiedniego obuwia. Wiadomo że sztandar, dyscyplina, duch, dowództwo i t. p. to rzeczy ważne, a jednak bez butów dopasowanych wojsko daleko nie zajdzie. Podobnie i ordynacja wyborcza wydaje się w ustroju rzeczą drugorzędą, w rzeczywistości zaś przesadza często o jego działaniu.

Fatalne skutki pomysłowości p. de Hondt'a dowodzą prawdziwości znanej tezy, że doktrynerskie zapędy do idealnie sprawiedliwych rozwiązań prowadzą z reguły w ślepe uliczki. Wydaje się istnieć niewzruszalne prawo psychologiczne, w myśl którego w teorii należy dążyć do doskonałości absolutnej, w praktyce natomiast bezpieczniej jest zatrzymać się na rozsądnej odległości od idealu. W dziedzinie wyborczej granica takiego rozsądnego zbliżenia się wydaje się być brytyjski system względnej większości głosów w okręgu jednomandatowym, choć system ten daleki jest od doskonałości, gdyż daje często większość w parlamencie partii, która uzyskała w wyborach tylko około 40% głosów.

*) Mówię tu stale o Sejmie po roku 1918.

**) Belg, który opracował system wyborów proporcjonalnych (t. zw. pięcioprzymiotnikowych), opartych na zawilych obliczeniach głosów, które miały dać idealne odbicie opinii publicznej. W praktyce parlamenty wybrane systemem de Hondt'a rzadko są zdolne do prawidłowego funkcjonowania, ze względu na silne rozproszczenie partyjne i niemożność wyłonienia trwałej większości.

Bardzo pouczający w tym względzie był system wyborczy III. Republiki francuskiej. Otóż Francja skopiowała jednomandatowy system angielski z jedną mało napozór ważną poprawką. W Anglii tego z kandydatów, który uzyska największą ilość głosów (choćby ilość ta stanowiła mniejszość głosów oddanych łącznie na wszystkich kandydatów), uznaje się za wybranego. Francuzi, ze znana łacińska precyzja myślenia, doszli do logicznego napozór wniosku, że poseł powinien mieć za sobą absolutną większość oddanych głosów. Postulat ten zrealizowano w III. Republice w ten sposób, że w okręgach, w których w pierwszym głosowaniu żaden z kandydatów nie uzyskał bezwzględnej większości, powtarzano wybory w najbliższą niedzielę z tym, że wolno już było wybierać jedynie między tymi dwoma kandydatami, którzy uzyskali uprzednio największą ilość głosów. W praktyce większość posłów do parlamentu francuskiego wybierano dopiero w tym drugim głosowaniu, a między jedną i drugą niedzielą odbywały się targi, na którego z pierwszych dwu kandydatów poleca głosować swym zwolennikom kandydaci następni. Przypuśćmy np., że największą ilość głosów uzyskali: socjalista oraz przedstawiciel jednego z ugrupowań burżuazyjnych, a trzecim z rzędu był komunista — który to wypadek zachodził często w ostatnim dwudziestolecu. Rozpoczęła się wówczas licytacja o głosy komunistyczne i zwyciężał ten kandydat, który poczynił komunistom większe obietnice ideowe, nie licząc korupcji pieniężnej. Tak więc system francuski, mający wierniej rzekomo niż system angielski odzwierciedlać wolę większości, doprowadził w praktyce do korupcji politycznej i do rozproszkowania parlamentu na dużą ilość ugrupowań, podczas gdy system angielski, stosowany również w Stanach Zjednoczonych i dominiach brytyjskich, daje z reguły wybory stosunkowo czyste oraz system dwupartyjny.

Przy ordynacji francuskiej parlament był rozbity, u Anglosasów natomiast widzimy przeważnie tylko dwie partie, co stanowi niewątpliwie objaw znacznie korzystniejszy. Czy wolno jednak z tego wnioskować, że po wprowadzeniu w Polsce systemu wyborczego na wzór angielski doszlibyśmy i my, z biegiem czasu, do dwupartyjności? Czy dwupartyjność nie jest raczej wpływem obyczajowości i psychiki anglosaskiej, niż ich ordynacji wyborczej?

Póki nie spróbujemy — trudno o przekonującą odpowiedź. Wydaje się jednak prawdopodobne, że przeprowadzając uczciwie i

wielokrotnie wybory systemem jednomandatowym, otrzymalibyśmy i w Polsce Izbę Posłów o zdecydowanej przewadze dwu ugrupowań.

*
*

Głosowanie na listy i proporcjonalny system wyborczy zbankrutowały u nas tak oczywiście i żałośnie*), że twórcy Konstytucji z roku 1935 zrezygnowali z umieszczenia w niej przymiotnika piątego (wybór proporcjonalny) i ograniczyli się do żądania, by wybory były bezpośrednio, tajne, równe i powszechne. Konstytucyjnie mieliśmy więc wolną drogę do przejścia na system jednomandatowy o większości względnej. Nawet wśród przeciwników proporcjonalności pokutuje jednak jeszcze ciągle przesada, że do okręgów jednomandatowych trzeba koniecznie przytoczyć listy państwowe. Argumentacja (dziwnie brzmiąca w ustach socjalistów czy ludowców) brzmi następująco: »W okręgach prowincjonalnych wybrani zostaną sami działacze lokalni, niezdolni do ogarnięcia całokształtu spraw państwa. Listy państwowe powinny więc umożliwić wprowadzenie do Sejmu tych przodujących umysłów politycznych, które nie znajdują łaski w oczach wyborców na zapadłej prowincji.«

Dziwnie brzmi rozumowanie takie w ustach patentowanych demokratów. Skądże takie votum nieufności dla naszych mas? Jeśli byłyby rzeczywiście aż tak ciemne, to czyż warto się bawić w parlamentarizm? Na szczęście polski chłop i robotnik na takie traktowanie nie zasługują i napewno, mając wybrać między człowiekiem dużej klasy a miejscowym krzykaczem, opowiedzą się za tym pierwszym. System brytyjski ma te przede wszystkim zalety, że człowiek chcący dostać się do parlamentu musi się zżyć z jakimś okręgiem wyborczym i utrzymywać stały kontakt z szarymi ludźmi na głuchej prowincji. Jest to odżywcza kąpiel psychiczna dla stołecznego polityka i wychodzi niezmiernie na dobre całemu parlamentowi, który dopiero po zniesieniu list państwowych zaczyna naprawdę reprezentować masy, a nie stołeczne sztaby partyjne.

*) Zapewne dlatego stanowią one dogmat dla Sowietów, które narzucają je wszystkim krajom, które pragną dezorganizować. Brytyjczycy próbowali w latach 1945/46 zażyczyć swój system wyborczy Niemcom okupowanym i Grecji, natrafili jednak na zaciekle opór agentur sowieckich.

Listy państwowe propagują te właśnie sztaby, chcące przemycić do Sejmu ludzi, na widok których wyborca odwróciłby się w wielu wypadkach z odrazą: papierowych doktrynerów, karierowiczów, wielkości z konspiracji i kuluarów. Jeśli parlament ma wyrażać masę — powinien ją wyrażać wprost, a nie za pośrednictwem labiryntu list i aparatów partyjnych, zrywających kontakt między posłem a tymi, w imieniu których ma on przemawiać.

* *

*

System jednomandatowy działa tym sprawniej, im bliższy i zażywszy jest kontakt między posłem a wyborcą. Wprowadzenie tego systemu w Polsce wymagałoby zupełnie nowego wykrojenia okręgów wyborczych. Najcelowiej byłoby zapewne, gdyby w większości wypadków okręg pokrywał się z powiatem*), gdyż w okolicach rolniczych powiat stanowi naturalny teren życia się ludności. W wielu wypadkach poseł byłby może zarazem i marszałkiem Sejmiku Powiatowego, co jeszcze bardziej zbliżyłoby go do wyborców.

W okręgach przemysłowych podział na powiaty nie pokrywa się często z naturalnym ciążeniem ludności, ciążenie to musiałoby więc znaleźć dodatkowy wyraz w ukształtowaniu okręgów wyborczych.

O ile poseł ma rzeczywiście dawać wyraz masie, decydująca rzeczka jest umożliwienie mu spędzenia dostatecznej ilości czasu »w terenie«. Sejm sześciogodzinny — staropolskim wzorem — i sesja nadzwyczajna od czasu do czasu, powinnyby wystarczyć Narodowi do »wygadania się«, do uzgodnienia swych dążeń z Rządem oraz do pracy ustawodawczej, nie mającej charakteru inflacji ustaw. Parlament obradujący w permanencji zaczyna żyć własnym, bardzo sztucznym życiem, oddalając się coraz bardziej od mas.

* *

*

Nie wystarczy parlament wybrać, trzeba jeszcze, by sobie wykształcił odpowiednie formy obrad. Wspaniały pod tym względem przykład daje parlament brytyjski, którego skomplikowany ceremonial wywiera zdecydowany wpływ na tok obrad. Przewodniczący parlamentu, t. zw.

*) Mieliśmy w Polsce przed r. 1939 dwieście kilkadziesiąt powiatów i nieledwie równa liczba posłów, ale wybieranych z okręgów kilkomandatowych.

speaker, zasiada pod baldachimem w todze i peruce; wyposażony on jest w uprawnienia wręcz dyktatorskie, z których najdalej chyba idącym jest zupełna swoboda udzielania lub nieudzielania głosu. Poseł chcący przemawiać wstaje i czeka. Jeśli uda mu się »złapać oko speakera«, otrzymuje głos. Bywa, że speaker przez dziesięć lat z rzędu nie raczy zauważyć któregoś z posłów. Rzecz prosta przepis ten stosowany jest nie na niekorzyść którejś z partii, lecz dla uporządkowania i ograniczenia dyskusji i uchronienia powagi parlamentu przed wystąpieniami posłów »nie na poziomie«, w rodzaju tak głośnych w Sejmach Odrodzonej Rzeczypospolitej pp. Okoniów, Dabalów, Burdów, Sanojców i t. p. Przy wielkich »okazjach« parlamentarnych udziela speaker głosu tylko przywódcom stronnictw oraz krasomówcom z »ław przednich«; przy mniejszych okazjach »łapia oko« speakera również i posłowie z »ław tylnych« (backbenchers).

Choc speaker należy do partii rządzącej, opozycja nie wystawia w jego okręgu kontrkandydata; z chwila jego śmierci, aż do wyboru jego następcy, ustaje działanie parlamentu, a projekty ustaw, będące w dyskusji, spadają z porządku i należy je wnieść ponownie. Tak więc demokracja brytyjska w samym swym świętym świętych umieściła dyktatora.

Osobliwych zwyczajów, rządzących życiem parlamentu brytyjskiego, są setki; ciekawego czytelnika odsyłamy do obfitej traktującej o tym literatury. Obrady rozpoczynają się zbiorowym odmówieniem »Ojczyźnie nasz«; w ten sposób podkreślony jest wyraźnie charakter misterium narodowego, jakim są obrady parlamentu. Głosowanie w języku staroangielskim, zakaz wymieniania nazwisk posłów, z którymi się polemizuje (wymienia się jedynie nazwy ich okręgów), kurtuazyjne nazywanie przeciwników »bardzo czcigodnymi«, stylowe stroje dygnitarzy Izby, tradycyjne przepisy sięgające wieki wstecz — wszystko to przyczynia się do wytworzenia atmosfery skupienia i powagi, podnoszącej owocność obrad.

Dla każdego, kto obserwował przebieg obrad naszego Sejmu w latach 1919—1939, musiało być widoczne, że ciężyło na nim fatalnie odrzucenie tradycji przedrozbiorowego sejmowania; w beztradycyjnym Sejmie naszym panowała atmosfera, będąca czymś pośrednim między wiecem w małym miasteczku, a walnym zebraniem Bratniej Pomocy studentów. Każdy naród, zależnie od swego temperamentu i charakteru, po-

winiem wytworzyć sobie własne formy sejmowania. Jest rzeczą oczywista, że formy odpowiadające flegmatycznym Brytyjczykom nie będą odpowiadały cholerycznym temperamentom polskim.

Usprawnilibyśmy znacznie nasze obrady, przejmując możliwie dużo z obyczajów staropolskiego sejmowania w XVI i XVII wieku. Wziąłem się kiedyś w Polsce do studiowania tych obyczajów, licznych i ciekawych; niestety nie mam pod ręką ówczesnych moich zapisków. Utkwil mi jednak w pamięci ciekawy ceremonial otwarcia sesji sejmowej, którego punktem szczytowym były t. zw. *vota senatorów*. Obie Izby schodziły się w obecności Króla Jegomości; posłowie tworzyli obszerne kolo, w którego środku zasiadali senatory*). Z tych ostatnich przedniejsi zabierali kolejno głos, wypowiadając swe zdanie o sprawach, będących na porządku sesji. Piękny to zwyczaj i trafia mi znacznie bardziej do przekonania niż ceremonial otwarcia parlamentu brytyjskiego, gdzie posłowie udają się pochodem do Izby Lordów i stłoczeni pokornie za barierką wysłuchują bezbarwnej mowy tronowej.

Również i słownictwo staropolskiego sejmiku warte jest wskrzeszenia. Weryfikacja mandatów — to były »rugi posłów«; ustawy »ucierano« i »kuto«; publiczność na sali sejmowej zwano »arbitrami«.

* * *

Dużą wagę dla atmosfery sejmowania ma niedoceniany przez wielu ludzi problem większości zwykłej lub kwalifikowanej. W naszej literaturze naukowej istnieje na ten temat ciekawa praca prof. Konopczyńskiego, który spróbował ująć naukowo ewolucję tego zagadnienia w różnych krajach i różnych czasach, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów Rzeczypospolitej. Brak mi tu miejsca na obszerniejsze rozważenie tego problemu, naszkicuje więc tylko jego ogólne zarysy.

Prof. Konopczyński podaje szereg przykładów historycznych, z których wynika, że ludzkość uważała zawsze zasadę jednomyślności za wyższą, bardziej idealistyczną, niż zasadę większości. Społeczeństwa czy grupy, mierzące do wysokiego ideału, nie łatwo rezygnują z jednomyślności.

Wszelkie obrady są szukaniem prawdy. Od tysięcy lat toczy się między ludźmi dyskusja na temat prawdy. Czy prawda jest względna?

*) Podobnie zasiadał sejmik: w środku urzędnicy powiatowi, dokoła bracia szlachecka.

Czy prawda jest jedna? Najlepsze umysły oraz największe systemy religijne świata głosili zawsze zasadę prawdy bezwzględnej. Na każde pytanie istnieje tylko jedna odpowiedź prawdziwa; z każdej wątpliwości prowadzi tylko jedno wyjście najlepsze. Może ono być chwilowo dla umysłów ludzkich zakryte — tym niemniej istnieje i wolno nam żywić nadzieję, że uda się nam je wykryć.

Również i Chrześcijaństwo stoi na stanowisku prawdy bezwzględnej, toteż społeczeństwa wyrosłe na etyce chrześcijańskiej wierzą w istnienie jednej prawdy i mniej lub więcej szczerze i udolnie do niej dążą. W społeczności złożonej z ludzi wierzących, wszelkie obrady są szukaniem najlepszego rozwiązania jakiejś sprawy, czyli są szukaniem prawdy; smutno wyglądałaby przyszłość narodu, w którym obrady ograniczałyby się do szukania kompromisu.

Czy kara śmierci należy stosować w pewnym kraju? Parlament tego zastanawia się nad tą sprawą i szuka odpowiedzi. Czy minister wplatany jest w pewną aferę? Czy reforma rolna jest pożądana? Jak powinno wyglądać prawo małżeńskie? Nasze wychowanie chrześcijańskie zaszczepiło nam przekonanie, że na każde takie pytanie istnieje tylko jedna dobra odpowiedź, jedynie trafna i prawdziwa. Ciało obradujące szuka tej odpowiedzi, »uciera« ustawę, debatuje i spiera się. Z chwila, gdy prawda objawi się zebranym, powinni by się wszyscy na nią zgodzić. Byłaby to jednomyślność, która słusznie uchodzi za ideal, rzadko jednak da się osiągnąć, gdyż prawda pozostanie nieraz zakryta i głosy rozstrzela się. Ponadto w każdym zespole znajdzie się zawsze pewien nieliczny odsetek oryginalów, dziwaków, ludzi lekko »stukniętych«, których rozumowanie toczy się torami odbiegającymi od rozumowania innych ludzi; nie braknie również ludzi złej wiary, intrygantów, aferzystów, agentów podkupionych przez zagranicę. Sprzeciw takich ludzi nie znaczy, by ciało obradujące było na złej drodze, utrudnia jednak niezmiernie osiągnięcie jednomyślności, czyniąc z niej ideal z rzędu tych, o których powiedzieliśmy przed chwila, że należy się do nich zbliżać tylko na rozsądną odległość. Dzieje ucza (prof. Konopczyński przytacza na to wiele przykładów), że większość ludów zaczynała od jednomyślności i z biegiem czasu przechodziła na zasadę większości. Większości, ale jakiej? Zwykłej czy kwalifikowanej (t. zn. 2/3, 3/4, 4/5 głosów)? Która z nich stanowi ten rozsądny kompromis, nie będący jeszcze kapitulacją?

Ciało obradujące, które powzielo uchwałę zwykłą większością głosów, nie może się oddawać złudzeniom, jakoby zrobiło wielki wysiłek dla szukania prawdy. Uchwałę powzięto, ale duża część obradujących została nieprzekonana, a co gorzej, nie ma żadnej pewności, czy słuszność nie leży po ich stronie. Zdarza się bowiem często, że mniejszość góruje nad większością ciężarem gatunkowym swych członków, ich rozumem i doświadczeniem. Ponadto opowiedzenie się za mniejszością wymaga zazwyczaj większej odwagi cywilnej, toteż w wielu wypadkach mniejszość góruje nad większością również zaletami charakteru. Jeśli mniejszość jest duża, zachodzi poważne prawdopodobieństwo, że prawda leży po jej stronie. Dopiero kiedy mniejszość jest nieznaczna, można przyjąć z pewnym racjonalnym prawdopodobieństwem, że słuszność leży po stronie większości, a jeśli nawet nie leży, to przynajmniej, że dla znalezienia prawdy uczyniono wszystko, co było w ludzkiej mocy.

Powiedzieliśmy przed chwilą, że obrady są szukaniem prawdy. Rzadko znajdowaniem, ale zawsze szukaniem. Przypominają one dawne wyprawy krzyżowców czy patników do Ziemi świętej; nie mieli oni nigdy pewności, czy dojdą do celu, i nie to było ważne, ale zachowanie się w czasie pielgrzymki, uczciwość zamiaru i żarliwość w dążeniu. Podobnie jest i z szukaniem prawdy: wolno jej nie znaleźć pod warunkiem, że się jej uczciwie szukało. Poprzestanie na większości zwykłej, to szukanie ułatwione i pobieżne; większość kwalifikowana zmusza społeczeństwo do pracy nad uzgadnianiem poglądów, płodnej i wychowawczej, i nie pozwala zakończyć tej pracy przedwcześnie. Uprzytomnijmy sobie bowiem, jaka droga w dojrzałym społeczeństwie dochodzi do skutku każdy ważniejszy akt ustawodawczy. Człowiek czy grupa ludzi projektują pewną akcję czy ustawę; przy pomocy ustnej namowy, artykułów w prasie, publikacji książkowych, przemówień w parlamencie, na wiecach i w radiu — ludzie ci starają się pozyskać dla swego projektu większość społeczeństwa (a tym samym większość parlamentu); w czasie tego zjednywania sam projekt ulega nieraz korzystnym przemianom, wnioskodawcy uczą się i uczą się ogół; dopiero z chwilą pozyskania większości projekt staje się uchwałą.

Mając te procedury na względzie uzmysłowimy sobie jasno różnice między większością zwykłą a kwalifikowaną. Jeśli dążymy tylko do większości zwykłej, praca mamy bez porównania krótsza i łatwiejsza, ale też

znacznie powierzchowniejsza i mniej owocna, gdyż wystarczy nam pozyskać elementy najplytsze i najpodatniejsze na demagogię — mówiac krótko możemy się obyć bez przekonania choćby części umysłów głębszych. Chcąc sobie pozyskać większość kwalifikowaną musimy przeorać społeczeństwo znacznie głębiej, musimy przekonać przynajmniej część jego myślicieli, musimy wykonać gruntowniejszą pracę wychowawczą*). W wielu wypadkach tak ambitnego celu nie osiągniemy i ustawa nie przejdzie. Czy będzie to lepiej, czy gorzej? Wielu ludzi słusznie zwraca uwagę na nadprodukcję nieprzetrawionych ustaw, którymi współczesne parlamenty zasypują swych oszalomionych poddanych; ludzie ci będą skłonni uznać, że zmniejszenie liczby ustaw na skutek nieosiągnięcia większości kwalifikowanej pogłębiłoby nurt obyczajowy i etyczny społeczeństwa. Demokracja jest samorządem, a samorząd jest samowychowaniem. Proces to żmudny i powolny, ale wszelkie próby przeskakiwania go przy pomocy środków mechanicznych takich, jak uchwały zwykłą większością, działają rozkładająco na psychikę społeczeństwa**).

Konstytucja Stanów Zjednoczonych zawiera postanowienie, że umowy z zagranicą wymagają ratyfikacji Senatu większością 2/3 głosów. O ten przepis rozbili się ratyfikacja Traktatu Wersalskiego z roku 1919. Nauczeni tym doświadczeniem wszczęli Amerykanie w czasie ubiegłej wojny już z góry akcje za uzgodnieniem poglądów prezydenta z opinią publiczną. Na konferencję pokojową wyjechał tym razem amerykański sekretarz stanu dla spraw zagranicznych w towarzystwie przedstawicieli obu partii, rządzącej i opozycyjnej; opinie publiczną urabiano przez całą wojnę w duchu postulatów, na których rząd Stanów Zjedn. zamierzał oprzeć organizację powojennego świata. Mamy tu uderzający przykład, jak wychowawczo działa wymóg większości kwalifikowanej.

Dzielo prez. Wilsona rozbilo się o to, że wykształcenie narodu amerykańskiego było wadliwe i że prezydent z góry temu nie zarządził,

*) Rzecz oczywista, że większość kwalifikowana wydaje się pożądana tylko przy uchwalaniu ustaw. Panuje powszechna zgoda, że porządkowe uchwały Sejmu powinny zapadać większością zwykłą.

**) Abstrahuje tu oczywiście od uchwały przez zaskoczenie, przeciw której wszystkie parlamenty bronią się przy pomocy trzech czytań.

a nie o przepis konstytucyjny, sam w sobie słuszny. Jego następcy zrozumieli, jak się zdaje, lekcję, która los dał ich poprzednikowi.

Większość kwalifikowana wymaga od polityków, by zdobyli się na cierpliwość nauczycieli i psychologów wychowawców*).

* * *

*

Z dziejów Polski, takich jakich nas ucza w szkołach, dowiadujemy się, że ustrój nasz oparto na zasadzie jednomyślności i że wyraziła się w tym nasza przyrodzona — rzekomo — skłonność do warcholstwa. W świetle tego, co powiedziano wyżej, pogląd ten wymaga zasadniczej rewizji.

Jaka była geneza jednomyślności w staropolskim sejmowaniu? Formalnie zasada ta była logicznym następstwem faktu, że Sejm Walny złożono pod koniec XV wieku z delegatów sejmików powiatowych i ziemskich, wśród których było szereg takich, którym przywileje królewskie gwarantowały pełny samorząd; ziem tych nie wolno było w Sejmie przegłosować. Ponadto szlachta uzyskiwała od Ludwika Węgierskiego przywilej nie większego obciążenia podatkami na rzecz króla niż po dwa grosze z lanu, uważano więc, że każde większe obciążenie wymaga jednomyślnej zgody całego stanu szlacheckiego w osobach jego delegatów.

Taka była geneza jednomyślności naszego Sejmu. Jak już wspomniałem, u większości narodów zaczynało się od jednomyślności i z biegiem czasu przechodzono na większość (w naszych czasach widzimy ten sam proces w Lidze Narodów, w Organizacji Narodów Zjednoczonych itp.). Dlaczego nie nastąpiło to i u nas? Czy było to skutkiem naszego warchol-

*) A jak jest u Brytyjczyków?

W dwupartyjnym parlamencie brytyjskim partia rządząca ma zazwyczaj znaczną przewagę liczebną nad opozycją, toteż gros uchwał zapada większości *de facto* kwalifikowana, a większość zwykła należy do zdarzeń rzadkich. Jeśli jednak traf zdarzy, że większość rządowa jest nieznaczna i uchwały zaczynają często zapadać większości zwykła — naród brytyjski czuje się nieswojo i korzysta z najbliższej sposobności, by w nowych wyborach dać wyraźną przewagę jednej ze stron.

Jak już wspomnieliśmy w tej pracy kilkakrotnie, Brytyjczycy nie lubią zasad wyraźnie określonych i zadawalają się wytworzeniem stanu faktycznego, służącego dobrze ich potrzebom. W praktyce wygląda to tak, że partia, osiągająca w wyborach 40% głosów, dysponuje w parlamencie — przy sprzyjających okolicznościach — większością dwu trzecich głosów.

stwa czy też, przeciwnie, upierania się przy zbyt wysokim ideale?

Studiując uważnie naszą historię należy dojść do wniosku, że chodziło o to drugie. Przodkowie nasi umieli posługiwać się większością, ale uważali ją za *malum necessarium*, nie do uniknięcia w chwilach krytycznych, ale za narzędzie ustrojowe zbyt brutalne dla normalnej pracy ustawodawczej. Na chwilę wyjątkowe, po śmierci króla czy w czasie najazdu na Rzeczpospolitą, kiedy trzeba było działać szybko i spreżyście, ustrój staropolski wykształcił instytucje konfederacji, w której uchwały zapadały zwykłą większością głosów. Również sejmy konwokacyjny (pierwszy po śmierci króla) i elekcyjny obradowały »pod wezłem konfederacji«; istniało jednak domniemanie prawne (nie zawsze w praktyce przestrzegane), że Sejmy te powinny ograniczyć się do spraw bieżących, związanych z elekcją, z wykluczeniem trwałych aktów ustawodawczych.

Nasi przodkowie dążyli więc do jednomyślności świadomie i w złotym wieku radzili sobie z nią wcale nieźle, i to napewno nie gorzej, niż wiele parlamentów naszych czasów radzi sobie z większością zwykłą. Przez półtora wieku naszego sejmowania, które upłynęło przed pierwszym zerwaniem Sejmu przez jednego posła w r. 1652, przechodzono z reguły do porządku nad sprzeciwem jednego, a nawet paru posłów, choć w teorii obowiązywała zasada jednomyślności. Piękny był staropolski zwyczaj, że w chwili, gdy dojrzywała decyzja, padały ze wszystkich stron okrzyki: »Zgoda!« W złotym wieku naszego parlamentarizmu w chwili takiej nieprzekonani jeszcze oponenti poddawali się nieraz woli ogółu*). *Liberum veto* pojawiło się dopiero w czasie, gdy

*) W organizacjach polskiej młodzieży, po przejściu choroby formalistycznego parlamentarizmu w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości, zaczęła się ucieierać metoda obrad polegająca na tym, że dyskutowało się tak długo, aż póki wszyscy, lub prawie wszyscy nie doszli do zgody, a paru nieprzekonanych jeszcze ustępowało z wewnętrznego poczucia dyscypliny. Nie ulega wątpliwości, że takim właśnie był staropolski ideał obradowania i że pokolenie nasze instynktownie (gdyż nikt tych rzeczy nie formułował) trafiło na właściwy Polakom sposób obrad.

Gabinet brytyjski obraduje podobnie. »Ustrój brytyjski« — pisze »Yorkshire Post« (1. XI. 1946), organ długoletniego ministra spraw zagranicznych W. Brytanii Edena — »ma zdrową regułę, że w gabinecie nie glosuje się, poza zupełnie drobnymi sprawami. We wszystkich innych zagadnieniach musi się uzyskać jednomyślność, bez względu na trudność jej osiągnięcia.«

Rzeczpospolita była już poważnie chora — w cztery lata po powstaniu Chmielnickiego — i było jednym z symptomatów tej choroby: było doktrynerskim wynaturzeniem zbyt wysokiego ideału. Naród zaakceptował to zwyrodnienie własnego ustroju, ale nie wyzbył się nigdy wrażenia, że ci, którzy veto stosują, popełniają pewnego rodzaju świętokradztwo. Pierwszy zrywacz Sejmu, Siciński, poseł upicki, przeszedł do legendy w rzedzie tych postaci, którymi straszy się dzieci. W dziesiątki jeszcze lat po jego zgonie pokazywano jego zeschnięte szczątki w Upicie przy farze jako obraz zbrojcy, którego Pan Bóg karze na ciele nawet po śmierci. Poseł zrywający Sejm musiał z reguły uchodzić chylkiem z miasta, by się uchronić przed gniewem współobywateli. Mimo to przez pełne sto lat symbolika *liberum veto* — nie jako znamienia warcholstwa, ale jako »żrenicy wolności«, świętego wyrazu pełnej demokracji — utrzymała swe władanie nad umysłami Polaków.

Dopiero w drugiej ćwierci XVIII wieku zbudziła się reakcja, która — rzecz znamienita — nie poszła w kierunku większości zwykłej, lecz wysoko kwalifikowanej. Z cytowanych przez prof. Konopczyńskiego przykładów wynika jasno, że myśl ustrojowa naszych przodków ewoluowała w XVIII wieku w kierunku większości kwalifikowanej. W spuściźnie ustrojowej Sejmu Czteroletniego spotykamy szereg przepisów o głosowaniu większości 2/3 lub 3/4 głosów.

Ustawodawcy staropolscy nie skapitulowali więc do samego końca z wyższych ambicji ustrojowych; kapitulacji tej dopuścili się dopiero ich prawnukowie w Odrodzonej Rzeczypospolitej, którzy reformę rolną uchwalili w r. 1920 — jednym głosem większości. Dalsze dzieje tej reformy dowiodły, że większość taka nie wolno stanowić o losach Narodu.

Zasada Monteskiusza. Zasade ścisłego rozgraniczenia i uniezależnienia od siebie trzech władz: wykonawczej, ustawodawczej i sadowej, wysunięta w wieku osiemnastym przez Monteskiusza, przeprowadzono konsekwentnie w ustroju Stanów Zjedn. A. P., trudno się jej natomiast doszukać w ustroju W. Brytanii, w której rząd zrosnięty jest z parlamentem w nierozdzielna całość, a izba wyższa (Lordów) stanowi najwyższą instancję odwoławczą sądownictwa brytyjskiego, które — nadmiar złego — podlega jednemu z ministrów. Ze zaś ustrój brytyjski jest niewątpliwie na-

rzedziem sprawniejszym od ustroju Stanów Zjedn., przeto nasunąć się może wniosek, że i zasada Monteskiusza zaliczyłoby należało do »przesądów osiemnastego i dziewiętnastego wieku«, których masowy pogrzeb odbywa się w naszych oczach . . .

Czy wniosek taki byłby uzasadniony? Rzecz jest warta zastanowienia. Jak powiedziano przed chwilą, wszystkie »władze«, tj. dziedziny życia społecznego opatrzone przymusem, wyrastają z wspólnego pnia, z samego rdzenia społeczności, toteż wszelki ich zbyt daleko posunięty rozdział wygląda sztucznie i grozi anarchią. Stany Zjedn. stoją stale wobec tego niebezpieczeństwa i konflikty między trzema niezależnymi od siebie władzami są tam na porządku dziennym; że w tych warunkach ustrój ich funkcjonuje jeszcze jako tako tłumaczy się tylko wspólnota masońska, wiążąca wszystkich zainteresowanych. Prezydent Stanów Zjedn. i jego ministrowie, sędziowie Sadu Najwyższego, czołowi senatorzy i reprezentanci — choć napozór absolutnie od siebie niezależni — zespoleni są przecież ściśle i hierarchia i dyscyplina i monoidea masońska. Kto chce zdac sobie sprawę, jak ortodoksyjnie masońskie były same narodziny Stanów Zjednoczonych, niech przeczyta rewelacyjną pracę czołowego francuskiego masonologa B. Fay pt. »La Francmaçonnerie et la révolution intellectuelle au XVIII-ème siècle«. Stany Zjednoczone urodziły się, dosłownie, w łożu miasta Bostonu. Gdyby Stanom zabrakło wiezi masońskiej, ustrój monteskiuszowski zalałaby się w nich rychło.

Czy należy z tego wyciągnąć wniosek, że zasada Monteskiusza powinna pójść w zapomnienie? Czy w pewnych okolicznościach nie stanowi ona pożytecznego *memento*? Monteskiusz sformułował ją przecież w atmosferze absolutyzmu królewskiego, kiedy całość rządów koncentrowała się w jednym samowładnym reku; w analogicznych warunkach zasada ta, choć idzie może zbyt daleko w kierunku parcelacji władzy, wskazuje jednak słuszną drogę od ustroju uproszczonego do ustroju złożonego, od jedności nierozczłonkowanej, cechującej stwory rzedu niższego, do tej organicznej »jedności«, powstającej z dobrego złożenia wielości«, która zaleca św. Tomasz*).

Zjednoczenie elity w Organizacji Politycznej Narodu stworzyłoby i u katolickiego narodu tę wież cementującą, która pozwoliłaby na duże

*) Patrz »Ekonomia Miłosierdzia«, Rozdział VII.

luzy ustrojowe bez niebezpieczeństwa nierządu. Duży autorytet i uprawnienia Głowy Państwa pozwoliłyby jej również spełniać rolę formalną, ale życiowo tym cenniejsza rola koordynatora niezależnych od siebie władz rządowych, ustawodawczych i sądowych, do których w ustroju nowoczesnym dojdzie zapewne jeszcze kilka innych niezależnych od Rządu instytucji, zajmujących się planowaniem gospodarczym, wychowaniem, kontrola publiczna itp.

Ustrój brytyjski, w tych jego dziedzinach, w których jedne władze zazebiają się o drugie bez ścisłego rozgraniczenia, jest wynikiem organicznego rozwoju na przestrzeni tysiąca bez mała lat i odpowiada umysłowości brytyjskiej, niepodatnej dla przysłowiowej »jasności łacińskiej«, która znalazła tak dobitny wyraz w tezie Monteskiusza.

Polacy mają typ umysłowości pośredni między francuskim a brytyjskim, toteż powinni sobie może przyswoić samą istotę tezy o rozdziale władz, bez popadania w przesadę doprowadzenia jej aż do jej ostatnich logicznych następstw.

Partie. Najbardziej może sporna ze wszystkich spraw ustrojowych jest sprawa partii politycznych, ich zbędności lub potrzeby*). Ilość zorganizowanych członków partii nie przekraczała u nas przed wojną paru procent ogółu ludności; do tego należałoby dodać drugie tyle niezorganizowanych »sympatyków«. Nie są to cyfry imponujące; na pociechę naszym partyjnikom należy jednak zauważyć, że i w społeczeństwach anglosaskich partie nie liczą napewno więcej, a może nawet i mniej członków. Między nami a nimi zachodzi jednak ta różnica zasadnicza, że choć u Anglosasów partie są bardzo nieliczne i sprowadzają się właściwie do czegoś w rodzaju stałych komitetów wyborczych, reszta społeczeństwa uznaje dość zgodnie potrzebę ich istnienia i ich rolę stałych instytucji ustrojowych; u nas natomiast po za członkami i »sympatykami« partii istnieje jeszcze pewna ilość ludzi, którzy nie lubią wprawdzie partii uważają je za zło konieczne, nie do uniknięcia w żadnym ustroju wolnościowym, lecz po za nimi ogromna większość społeczeństwa uważa ustrój partyjny — w jedynej znanej nam formie ustroju wielopartyjnego

*) Porównaj ustęp o partiach w odczycie pt. »Nie spierajmy się o rzeczy bezsporne«, str. 77.

— za zdecydowane zło. Zamach stanu Piłsudskiego w roku 1926 odbył się pod hasłem zerwania z partyjnym sejmowładztwem; że hasło to musiało być w społeczeństwie popularne świadczy fakt, że jeszcze w cztery lata później wybory rozegrano pod hasłem »Bloku Bezpartyjnego«. Latwo byłoby wprawdzie zarzucić, że hasło to nie musiało być zbyt pociągające, skoro wymagało aż więzienia posłów w Brześciu i teroru bojówek, nie zapominajmy jednak, że obóz narodowy, zwalczający rząd Piłsudskiego, żeglował również — do chwili wybuchu ubiegłej wojny — pod hasłem antypartyjnym, musza więc być jakieś głębsze powody takiego stanu rzeczy i frazesami o »faszystach« i »monopartii« nie można się z nimi zatłoczyć. Należy sięgnąć głębiej.

Jak wspomnieliśmy uprzednio, w każdym społeczeństwie istnieje pewien odsetek ludzi o zainteresowaniach społecznych i politycznych; jednakowoż ludzi o t. zw. »czystych« zainteresowaniach politycznych (a więc nie o zainteresowaniach społeczno-zawodowych, których właściwym polem wyładowania są korporacje zawodowe i samorzady terytorialne) nie ma w żadnym społeczeństwie więcej niż parę procent. Do wniosku takiego dochodzimy niezmiennie, badając odnośne liczby czy to dla społeczeństw anglosaskich (gdzie suma ludzi zorganizowanych partyjnie nie przekracza 1%—2%), czy dla polskiego i francuskiego (2%—3%), czy dla społeczeństw monopartyjnych (w Rosji w r. 1946 3%, w Niemczech i Włoszech 3%—5%), ale iluż tam było ludzi wciągniętych do partii nieledwie przemocą?

Ludzi o czynnych zainteresowaniach politycznych niema więc nigdzie dużo, oni jednak dominują w życiu politycznym; wydaje się rzeczą nieuniknioną i naturalną, że organizują się oni do wspólnej akcji politycznej, podobnie jak w prawidłowo zorganizowanym społeczeństwie organizują się ludzie o jakichkolwiek wspólnych upodobaniach, sportowych czy artystycznych, literackich, hodowlanych, wychowawczych itp.

Ludzie o zainteresowaniach politycznych rodzą się we wszystkich warstwach społecznych, zarówno jako członkowie masy, jak elity; dla tych z pośród nich, którzy należą do elity, potrzebna jest organizacja specjalna, którą nazwaliśmy Organizacją Polityczną Narodu; członkowie masy o czynnych zainteresowaniach politycznych zwykli się zrzeszać w partiach politycznych (których przywódcy rekrutują się z szeregów elity).

Socjologicznego studium partij politycznych, ujmującego ten temat opisowo, t. zn. zbierającego wszelkie wzmianki historyczne czy kronikarskie o partiach politycznych na przestrzeni tysiący lat i setek państw i ustrojów i wyciągającego wnioski z nagromadzonego w ten sposób materiału, jeszcze nie napisano. Póki to nie nastąpi, materiał faktyczny, którym operujemy w tej sprawie, wykazuje duże braki. Jesteśmy zdani na nasze wspomnienia szkolne, kiedy to uczyliśmy się w historii, że w tym czy owym społeczeństwie, w tej czy owej epoce, walczyły z sobą o władzę partie »optymatów« i »popularów«, »blekitnych« i »zielonych«, »róży białej« i »czerwonej«, »familia« z partia »saska« itp. Często partie takie bywały dwie, czasem jedna, rzadko bywało ich więcej.

Czy partie polityczne zwykły się zawiązywać dokola jednostek czy dokola idei? Wbrew utartym poglądom wydaje się z historii wynikać, że rzadko dokola jednych czy drugich, przynajmniej jeśli chodzi o partie w pełnym socjologicznym tego słowa znaczeniu, t. zn. o grupy społeczne, mające na celu działalność polityczną, o dość dużym stopniu wewnętrznej zwartości, o utartych zwyczajach i metodach, o wykrystalizowanej ideologii i kadrach wyrobionych działaczy. Na to, by wykształciła się taka grupa społeczna, trzeba dłuższego czasu i pewnej stałości położenia politycznego; zgrupowanie ludzi dokola jednostki, która przecież dziś jest, a jutro znika z widowni, rzadko dojdzie do stopnia zwartości, któryby pozwolił nazwać ją partią.

Dokola idei może się rzeczywiście zawiązać stała grupa społeczna, zainteresowana w jej realizacji, ale czy dzieje się to często? Wydaje się (dowodu niezbitego na to mogłyby dostarczyć tylko brakujące materiały socjologiczne), że zawiązanie się partii dokola idei należy również do wyjątków i świadczy chyba raczej o niedojrzałości społeczeństwa, czy też o nagłym nabrzmieniu jakiejś bolączki, niż — jak się to wielu Polakom wydaje — o wysokim poziomie ideowym społeczeństwa. Uważanie partij za jakies kuźnię pracy ideowej jest sprzeczne z doświadczeniem socjologicznym; stanowi ono raczej dowód prymitywizmu ustrojowego, niż jego doskonałości.

W kraju, w którym masy mają rzeczywisty wpływ na rządy, partie są chyba prosto naturalna przekładnia ustrojowa, kanalizująca energie polityczne w walce o władzę; w tym rozumieniu partie spełniają

funkcje ustrojowa i nie potrzebują być związane z żadnymi wyraźnymi idejami, a stanowią raczej narzędzie do wprowadzania na warsztat ustawodawczy i rządowy idei, rodzących się poza partiami. Taka jest przynajmniej rola partij w społeczeństwach anglosaskich, a trzeba przecież powtarzać aż do znudzenia, że w czasach nowożytnych ustrój parlamentarny wykształcił się organicznie i działa jako tako wyłącznie tylko w krajach anglosaskich. Otóż u Anglosasów partie nie mają zupełnie charakteru ugrupowań »ideologicznych«, ale raczej charakter grup socjologicznych, połączonych więzami wspólnych sympatyj i antypatyj, interesów lokalnych, tradycyj itp., jednym słowem mają charakter zbliżony do tego, co socjologja anglosaska określa mianem »gang'u«. Jak ktoś słusznie zauważył, można przyjąć, że każdy człowiek kogoś nie lubi, sympatyzuje więc instynktownie z partią odwrótną od tej, do której należy jego antypatia; na tej solidnej kanwie psychologicznej opiera się podział na dwie partie . . . czy dwa »gang'i«. Anglosaska partia polityczna to wielki »gang«, oczywiście w socjologicznym, a nie w utartym popularnie znaczeniu tego słowa.

U Anglosasów ludzie, odczuwający naturalną potrzebę dyskusji ideowej, nie organizują się w partie, lecz grupują się w specjalnie do tego celu tworzonych instytucjach (stowarzyszeniach, ligach, instytutach itp.*). Partie chwytają gotowe pomysły i projekty i włączają je do swego programu, przy czym zdarza się nieraz, że pewna partia zaczyna popierać jakąś reformę, po czym partia druga, będąca właśnie przy władzy, reformę tę realizuje. Tak więc najpierw powstała Fabian Society i zaprojektowała reformy społeczne, później powstała Partia Pracy i zaczęła agitować za ich wprowadzeniem w życie, duża zaś część tych reform wprowadzili w życie rządy liberalne i konserwatywne, zanim jeszcze Partia Pracy doszła wogóle do rządów. Podobnie dzieje się w Stanach Zjedn., gdzie wszelkie próby przyklepnięcia etykiety ideowej do którejś z istniejących obecnie wielkich partij są poronione; społeczne reformy prezydenta Roosevelta popierała przecież partia demokratyczna, której

*) Weźmy przykład brytyjski: politykę zagraniczną opracowuje Royal Institute for International Affairs oraz szereg innych instytucyj i klubów, nie zapominając o pewnych komórkach Intelligence Service; sprawy imperialne The Royal Empire Society, India League, Indian Empire Society itp.; sprawy społeczne słynna Fabian Society, t. zw. »PEP« (Political and Economic Planning) itd.

»reakcyjne« skrzydło z Poludnia nie ustępowało w zachowawczości najbardziej konserwatywnym elementom partii republikańskiej.

Rzadzace od długich lat w W. Brytanii i w Stanach Zjednoczonych partie (whigów i torysów, republikanów i demokratów) różnią się od siebie tylko na punktach przypadkowych i nieistotnych. Ostatnio mogło się wprawdzie wydawać jakoby zastąpienie whigów (liberalów) przez labourzystów wytworzyło w życiu politycznym W. Brytanii system dwupartyjny o głębszych rozbieżnościach politycznych i światopoglądowych; obserwując jednak rozwój wypadków widzimy tam tak szybkie zmniejszanie się różnic, wyłącznie zreszta tylko społecznych, dzielących konserwatystów od labourzystów, że powrót do stanu rozbieżności mało istotnych, zwyczajnego w dwupartyjnym systemie anglosaskim, wydaje się możliwy.

Czytelnik powyższych uwag może się czuć zaskoczony stosunkowo małym znaczeniem, przypisywanym tu partiom jako elementom ustrojowym, gdyż uczyniono w Polsce wielki wysiłek w kierunku wyolbrzymienia w oczach przeciętnego obywatela roli ustrojowej partii politycznych. Dzieje jednak uczą, że partie występują z reguły na tle jakiegoś dobrze okrzepłego ustroju, monarchii czy republiki miejskiej, rządzonej przez patrycjat, i bywają nągół zupełnie powierzchownym dodatkiem, produktem ubocznym dobrze ugruntowanych instytucji ustrojowych, cementujących silnie społeczeństwo; nie wolno więc mówić o ustroju partyjnym bez dodania, co stanowi jego jednoczącą podbudowę. W czasach najnowszych taka instytucja, cementująca społeczeństwa t. zw. zachodnie, stała się masoneria. Mówiąc o nowoczesnym systemie partyjnym należy przeto mówić o ustroju partyjnym opartym o masonerie; nie znamy w czasach nowożytnych ustroju demokratycznego nie opartego o masonerie*). Przywódcy zwalczających się partii należą do tych samych łóż, a kierownicy masonerii posuwają partiami, jak pionkami na szachownicy.

Podział partyjny, nie miarkowany jakimś amortyzatorem równie potężnym jak masoneria (czy dawniej monarchia), musiałby rychło doprowadzić społeczeństwo do śmiertelnego skłócenia i wojny domowej;

*) Sam zreszta partyjny system angielski i masoneria narastały dokładnie w tym samym czasie, mniej więcej od połowy XVII wieku.

ustrój taki nie miałby żadnych cech trwałości. Wniosek stąd płynie socjologicznie niezbity: partie polityczne działają na marginesie zasadniczych instytucji ustrojowych i stanowią pochodne elementy ustrojowe.

Wydaje się ponadto, że nawet w tym ograniczonym charakterze mogą bezkarnie istnieć obok siebie tylko dwie partie, a nie więcej. Niema przykładu w dziejach, by ustrój wielopartyjny funkcjonował zadowolająco przez dłuższy czas w jakimś większym państwie. Tam gdzie istnieją tylko dwie partie, rządzi one na zmianę, co wnosi w życie polityczne pewien element sportowej rywalizacji i ciężyny; opozycja zmuszona jest wystrzegać się demagogii, gdyż może w każdej chwili dojść do rządów i wyróciłaby się wówczas rychło na pochopnie rzucanych obietnicach. Tam natomiast, gdzie partii jest więcej, rządy powstają z reguły drogą »kombinacji« czy »koalicji«, w których zaciiera się odpowiedzialność poszczególnych składników partyjnych, a demoralizacja polityczna ma pełne pole do popisu. W »koalicji« paru partii żadna z nich nie jest obowiązana realizować swych demagogicznie rzucanych hasel, może je więc rzucić bezkarnie.

Jak wspomnieliśmy, jedyny nowoczesny system partyjny, który przeszedł z powodzeniem próbę życia, to anglosaski system dwu partii na wspólnej podbudowie masonerie. Dodajmy odrazu, że system ten funkcjonuje sprawnie jedynie w społeczeństwach, których narodowym produktem jest masoneria, wypadki dowodzą natomiast raz po raz, że system taki nie może działać zadowolająco w społeczeństwie katolickim, w którym masoneria istnieje pokryjomu i za główne swe zadanie uważa zwalczanie wierzeń, panujących w danym społeczeństwie. Czy jednak w społeczeństwie katolickim nie mógłby działać system dwupartyjny oparty na Organizacji Politycznej Narodu, spełniającej rolę wspólnej podbudowy dla obu partii, analogicznie do roli, spełnianej w społeczeństwach protestanckich przez masonerie?

Może tak, może nie — brak doświadczenia ustrojowego w tym kierunku; w każdym razie podjęcie takiej próby nie byłoby rzeczą utopijną. Należy tylko spełnić kilka warunków: przywódcy i zespoły kierownicze obu partii musieliby należeć wspólnie do Organizacji Politycznej Narodu; obie partie powinnyby patrzeć zgodnie na »fundamentals« narodu i państwa; wreszcie musiałoby nastąpić takie podniesienie kul-

tury politycznej, by rządzaca w danej chwili partia nie miała podstawy do obaw, że z chwila ustąpienia od rządów nigdy więcej do nich nie wróci.

Takie warunki (wraz z odpowiednią ordynacją wyborczą) musiałyby się spełnić, by w społeczeństwie katolickim mogło dojść do wykształcenia się systemu dwupartyjnego. Piszemy »by mogło dojść«, gdyż trudno dziś przewidzieć, czy nawet przy spełnieniu się tych warunków wykształciłby się system dwupartyjny, czy może jakiś inny. Odpowiedź na to dadzą dopiero praktyczne próby.

Pierwsza próba wydobycia się spod władzy wielo-partyjnej o podbudowie masońskiej, podjęta przez nowoczesne społeczeństwo katolickie, była monopartyjna próba faszystowska. Próba ta zawiodła; nie wypływa z tego jednak wniosek, by społeczeństwo włoskie musiało wrócić do ustroju przed-faszystowskiego: poprostu powinno szukać dalej. Podobnie szukali Lenin i Hitler, a u nas Dmowski (Obóz Wielkiej Polski) i Pilsudski (Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem). Były to wszystko próby — nie wstydzmy się tego słowa — monopartyjne, z których nic nie wyszło, przy czym powód ich nie udania się leżał zapewne w ich zbyt uproszczeniu, przeczącym święto-tomaszowej zasadzie regimenu *commixtum*, w myśl której nie należy łączyć w jednej organizacji masy z elitą.

Nasze próby monopartyjne spaliły na panewce, ale dominująca cecha rozwoju politycznego społeczeństwa polskiego w latach ostatnich jest szybkie zmniejszanie się różnic ideowych między partiami; mówilem o tym obszernie w zamieszczonym w niniejszej książce odczycie o »sprawach bezspornych«. Z chwila zakończenia reformy rolnej istnienie klasowej partii chłopskiej (ludowej) straciło racje bytu; partyj takich nie widzimy w żadnym społeczeństwie, stojącym na jakim takim poziomie rozwoju politycznego, nie ma ich ani u Anglosasów ani u Francuzów ani nie było u Niemców; partie chłopskie stanowią natomiast charakterystyczny wykwit Europy Środkowo-Wschodniej, gdzie powstały dla wprowadzenia w życie polityczne świeżo uwłaszczonych mas chłopskich. Z chwila dojrzenia politycznego tych mas (co w Polsce już następuje) partia typu »ludowego« albo musi zejść z widowni, albo też straci swój charakter klasowo-chłopski zachowując swą dawną nazwę jedynie jako wywieszka, podobnie jak nazwy wielkich partyj amerykańskich (»republikańskiej« i »demokratycznej«) są tylko etykietami bez istotnego znaczenia.

Również partia socjalistyczna, jako klasowa partia robotnicza, straciła racje bytu z chwila ostatecznego ugruntowania się ustroju, opartego na uspołecznieniu wielkich przedsiębiorstw i kredytu i na upowszechnieniu własności rolnej i przemysłowej. Mówiacz nawiasem, powstanie (przepowiadane z różnych stron) partii socjalistycznej w Stanach Zjednoczonych nie byłoby, o ile dojdzie do skutku, dowodem podniesienia się Stanów na wyższy poziom życia politycznego, ale przeciwnie świadczyłoby o tym, że ich ustrój gospodarczy tak już zwyrodniał, że trzeba się uciec aż do tak bolesnego środka terapii społecznej, jakim jest tworzenie partii opartej na idei walki klas, a więc rozdzierającej społeczeństwo.

Wracając do spraw polskich, istnienie partii narodowej stanie się również przeżytkiem z chwila, gdy założenia ideologii t. zw. narodowej stana się własnością szerokiego ogółu; i ta chwila wydaje się dość bliska. Tak więc wszystkie nasze obecne partie, sięgające swą genezą czasów zaborczych i będące poprostu wyrazem różnych nekających nas wówczas niedomagań politycznych i kompleksów, w bardzo niedługim czasie stracą swe ideowe racje bytu. Czy znaczy to jednak, że zanikną? Jeśli wierzyć doświadczeniom anglosaskim, partie jako narzędzia organizowania się ludzi do walki wyborczej mogą utrzymać się u nas na stałe, przy czym nie jest wykluczone, że zamiast powoływać do tego celu nowe twory partyjne społeczeństwo nasze utrzyma sobie parę z pośród istniejących obecnie partyj, wybierając je z wszelkiego posmaku wyraźnie ideowego i przekształcając w maszyny partyjne, o charakterze podobnym do anglosaskich. Tego rodzaju proces można było obserwować przed r. 1939 w Wielkopolsce, gdzie działały tylko dwie partie, narodowa i ludowa, obie prawie równie zachowawcze, o bardzo podobnym nastawieniu do religii, państwa, zagadnień narodowych itp., które dzieliły od siebie raczej antagonizmy personalne i grupowe, niż różnice ideowe.

Masoneria usiłuje narzucić społeczeństwu polskiemu wniosek, że wobec nieudania się dotychczasowych prób, dokonywanych przez narodowców i Pilsudczyków, należy wrócić do ustroju »przed-majowego« czy »przed-faszystowskiego«, to znaczy do systemu wielopartyjnego na podszewce masońskiej. Jednakże ludzie dążący uczciwie do ustroju, w którym naród polski mógłby rozwijać się zgodnie z potrzebami własnymi i z własnym poglądem na świat, nie zadowolą się taka

kapitulacja i beda szukali dalej. Prawem życia jest szukanie, a nie poprzestawanie na tym, co jest, skoro to coś uznaliśmy za wadliwe. Jedno jest pewne, że powinniśmy dać Polsce zespół zdrowych instytucji ustrojowych i baczyc na ich prawidłowy rozwój. Możliwe i nawet prawdopodobne, że jako produkty pochodne takich instytucji wylonia się partie — może dwie — może beda to partie zupełnie nowe, a może pare istniejących obecnie ostanie się na placu, wchłaniając pozostałe. Ludziom dbającym o zdrowy rozwój ustrojowy Polski nie pozostaje nic innego, jak nastawić ewolucję ustrojową prawidłowo, a po tym śledzić, co z tego wyniknie.

Za systemem wielopartyjno-masońskim przemawia dziś naprawdę tylko ten jeden argument, że nikt nie umie pokazać żywego przykładu ustroju lepszego. Argument ten odpadnie jednak, jeśli uprzytomnimy sobie, że na największe osiągnięcia ustrojowe świata — na współczesny ustrój brytyjski, na ustrój Rzeczypospolitej jagiellońskiej, Aten czy Rzymu — recept z góry nie pisano. Powstawały one i rozwijały się wysiłkiem pokoleń, które, wytknawszy sobie tylko cel główny ustroju — we wszystkich powyższych wypadkach wolność i godność osobista obywatela — dażyły doświadczać do odpowiadających temu celowi instytucji.

Szukanie takie przebiegać będzie u nas tym sprawniej, im gruntowniej przyswoimy sobie zasadę, że partie stanowią elementy ustroju pochodne, a nie zasadnicze; że wypływają raczej niż wychowują; że stanowią jedno z wielu urządzeń ustrojowych w społeczeństwie nasyconym ładem, lecz nie są samoistnymi narzędziami do budowy ładów. Mówiąc obrazowo, że stanowią sprzaczki przy uprzeży, lecz samej uprzeży nie zastapia.

Higiena polityczna mas. Resumuje: twierdzenie, że »lud« — t. zn. masy — rządzi, nigdy nie przestało być czczym frazesem. Nie ulega natomiast wątpliwości, że współdziałanie mas w rządach stanowi naturalny wymóg dobrego ustroju. Przecietny, szary obywatel nie będzie się poprostu czuł w pełni zadowolony, mając jaknajlepsze nawet materialne warunki bytu, póki nie uzyska szeregu uprawnień politycznych. Istota rzeczy polega na znalezieniu właściwej miary; chodzi o to, by tego współdziałania mas w rządach nie było ani zbyt mało,

ani zbyt dużo, gdyż nadmierne prawa polityczne mas — tłumowładztwo (ochlokracja) — prowadzi prostą drogą do dyktatury, a więc do pozbawienia mas wszelkiego wogóle wpływu na rządy. Podobnie jak higiena życia codziennego wymaga, by człowiek jadł w miarę, nie za dużo ani za mało, pracował fizycznie (czy też zażywał ruchu) w miarę, korzystał w miarę z osobistej wolności bez popadania w nadmierny egocentryzm czy nadmierne uniżenie wobec przełożonych — podobnie higiena życia politycznego narodu wymaga umiarkowanego udziału mas w życiu publicznym. Rzecz oczywista, że i tu obowiązuje prawo ewolucji ustrojowej, t. zn. że masy niedojrzałe politycznie muszą dochodzić stopniowo do właściwej miary uprawnień, a doszedłszy raz do tej miary nie wolno im jej przekraczać, pod groźbą szybkiego zwyrodnienia całego ustroju.

Jakaż jest ta właściwa miara uprawnień politycznych mas? Podsumujmy to, co powiedzieliśmy dotychczas. A więc wybór Głowy Państwa bezpośrednio przez masy. A więc głosowanie ludowe (referendum) nad ważniejszymi ustawami. A więc wybrany przez masy parlament, pojęty nie jako naczelna władza państwa, lecz jako miejsce do psychoanalizy narodowej i współpracy ustawodawczej, izba społecznego rozrachunku i sprzęgło między elitą a masą; a więc dostęp dla człowieka, wywodzącego się z masy, na każde stanowisko w państwie, do Głowy Państwa włącznie; a więc jaknajszerszej rozbudowany samorząd terytorialny (gromada, gmina, powiat, miasto) i zawodowy (korporacyjny); a więc bezpośredni udział mas w sadownictwie, wychowaniu i kontroli publicznej; a więc uwłaszczenie mas we własny dom i własny warsztat rolny czy przemysłowy, a dla tych członków masy, którzy pracują w wielkich przedsiębiorstwach — współwłasność i samorząd przemysłowy; a więc społeczna, szczególnie staranna organizacja środków oddziaływania na masy takich jak radio, teatr, kino, prasa, przemysł wydawniczy itp.; a więc wymuszenie prawidłowego krążenia elit, odciążające masy od czynników fermentu w postaci niewykorzystanych jednostek przywódczych i talentów.

VI.

EWOLUCJA USTROJOWA

Demokracja starożytna, której dwa klasyczne przykłady — Ateny i Rzym — przyswiecają ludzkości od dwóch tysięcy lat, ograniczona była do jednego miasta, z dodatkiem wsi i miasteczek leżących w jego bliskim zasięgu. Demokracja ta miała charakter bezpośredni: wszyscy znali wszystkich, ogół obywateli brał osobisty udział w zebraniach, sadach i igrzyskach. Arystoteles (w »Polityce«) wyciągnął z tego stanu rzeczy wniosek, że demokracja możliwa jest tylko tam, gdzie ilość obywateli nie przekracza cyfry czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy obywateli, nie licząc oczywiście niewolników (liczniejszych w Atenach kilkakrotnie niż obywateli).

Ustrój Rzymu (w czasie gdy państwo rzymskie ograniczało się do jednego miasta) podobny był w zasadzie do demokracji ateńskiej. Demokracja rzymska utrzymywała się wprawdzie jeszcze długo w czasach, kiedy państwo rzymskie sięgało daleko poza Kampanie rzymską, a nawet poza Italię, jednak ustrój ten zachował do samego końca swój pierwotny charakter demokracji, ograniczonej do jednego miasta. Z chwila takiego rozrostu Imperium, że fikcji tej utrzymać się dalej nie dało, dyktatura wyparła demokrację.

Ustrój demokratyczny jednego miasta znany nam jest nie tylko ze Starożytności, praktykowano go i w czasach nowszych w licznych republikach miejskich włoskich, niemieckich (Hansa) i t. p. Typ ten określamy w dalszych naszych rozważaniach mianem demokracji miejskiej.

Śladem Arystotelesa wielu myślicieli (wśród nich w XVIII wieku J. J. Rousseau i ks. Bernardin de Saint-Pierre) uważało, że prawdziwa

demokracja może funkcjonować sprawnie tylko w państwie małych rozmiarów; potwierdzeniem tego poglądu wydają się być w naszych czasach państwa takie jak Finlandia i Szwajcaria. Pogląd ten doprowadził w XVIII wieku do wysunięcia pośredniego rozwiązania ustrojowego pod postacią federacji prowincyj samorządnych; rozwiązanie takie miało umożliwić funkcjonowanie demokracji nawet w większym państwie. Zaproponował je Rousseau w swym słynnym projekcie konstytucji polskiej; znalazło ono wyraz w konstytucjach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Szwajcarii, Australii, Kanady itp. Jednakże gorączka nowoczesnego życia zaciera coraz szybciej dawne odrebności prowincjonalne i nie wydaje się, by taka metoda sprowadzenia demokracji do jej podstawowych niejako elementów można było rozwiązać bez reszty zagadnienie ustroju w większym państwie.

Próba zastosowania demokracji do rządów większym państwem był ustrój średniowieczny, w którym uprawnienia polityczne przysługiwały tylko warstwom panującym, a więc np. w Polsce tylko warstwie szlacheckiej (dochodzącej zaledwie do 10% ogółu ludności), a na Zachodzie obok szlachty (znacznie mniej licznej niż w Polsce) również partycypatowi miejskiemu, czyli na sumę odsetkowi ludności podobnemu jak w Polsce. Okres ten, który nazwacby można okresem demokracji stanowej, wytworzył kilkakrotnie ustrójów, działających dość sprawnie w dużych organizmach państwowych przez kilka wieków; dwie najwybitniejsze takie próby, polska i angielska, odznaczyły się obie tym, że potrafiły doprowadzić do unii i zrośnięcia się z sobą kilku sąsiadujących krajów (Anglii, Walii i Szkocji, względnie Polski, Litwy i Rusi). Demokracja polska zginęła głównie z powodu swego fatalnego położenia geo-politycznego, które nie pozwoliło jej przetrwać chwili słabości, co udało się Anglii kilkakrotnie dzięki jej wyspiarskiemu położeniu. Demokracja stanowa angielska przetrwała — pod osłoną morza — katastrofalny dla siebie wiek XVII i posłużyła w XVIII i XIX wieku za wzór dla wszystkich innych ustrojów demokratycznych; przekształcając się ewolucyjnie doprowadziła ona Anglię do okresu, kiedy w życie polityczne weszły masy.

Przejęcie demokracji brytyjskiej z okresu stanowego w okres masowy charakteryzują najlepiej następujące cyfry obywateli, dopuszczonych do urn wyborczych na skutek kolejnych reform prawa wyborczego:

Przed reformą z r. 1832

uprawnionych było do głosowania (wraz z Irlandią) ...	160.000 osób
W r. 1832 dopuszczono do głosowania dodatkowo ...	455.000 osób
W r. 1867 dopuszczono do głosowania dodatkowo ...	1.080.000 osób
W r. 1884 dopuszczono do głosowania dodatkowo ponad	2.000.000 osób
W r. 1918 dopuszczono do głosowania dodatkowo ...	13.000.000 osób

Z powyższych cyfr wynika, że przejście W. Brytanii na demokrację masową przypada dopiero na drugą połowę dziewiętnastego wieku! Przejście to zbiega się w ewolucji konstytucyjnej brytyjskiej z dwoma doniosłymi faktami: z przejściem w r. 1885 na jednomandatowe okręgi wyborcze (po tym roku zachowano już tylko 22 okręgi dwumandatowe), oraz z żywiołowym organizowaniem się mas brytyjskich w związki zawodowe, których główny rozwój przypada na lata 1850/1910. Dodajmy do tego, że w związku z rozszerzeniem prawa wyborczego wprowadzono w życie w latach 1870 oraz 1888 ustawy szkolne, reformujące zasadniczo szkolnictwo niższe i średnie, przy czym uchwalając te ustawy stwierdzono wyraźnie, że celem ich jest danie masom wykształcenia, umożliwiającego im rozumne korzystanie z praw wyborczych. Również i masoneria dostosowała się do zmienionego położenia, poszerzając swe szeregi, a w szczególności obejmując swym zasięgiem całą starszyzną Trade Union'ów, dzięki czemu przejście z dwu tradycyjnych partii — konserwatywnej i liberalnej — na nową parę: konserwatystów i Partię Pracy, odbyło się gładko, bez uszczerbku dla istniejących narodowych instytucji brytyjskich takich jak monarchia, masoneria, religia protestanckiej i parlamentaryzmu, do których to instytucji wszystkie partie brytyjskie odnoszą się zgodnie. W ten sposób przejście z demokracji stanowej na demokrację masową przebiegło ewolucyjnie, przy zgodzie wszystkich partnerów życia politycznego na rzeczy zasadnicze, a przy różnicach poglądów tylko na rzeczy drugorzędne, do których w pewnej mierze zaliczyć należy także ustrój gospodarczy.

Stara demokracja brytyjska wykazuje więc nadal pełną żywotność i wśród kilku poważnych niebezpieczeństw, zagrażających pozycji W. Brytanii w świecie (z których na pierwszym miejscu postawić chyba należy upadek religii, zastępowanej stopniowo przez masonerie, i związane z tym spadkiem rozrodzności), trudności ustrojowe nie figurują.

Wreć [przeciwnie, W. Brytania daje światu przykład skutecznego porania się z trudnościami przejścia na demokrację masową, a ponadto stawia już pierwsze kroki na drodze do korporacjonizmu (patrz Rozdział »Przedstawicielstwo mas«) i radzi sobie wspaniale z problemami federacyjnymi w ramach brytyjskiej Wspólnoty Narodów.*)

* * *

*

Zaden naród nie stoi w miejscu; każdy ustrój ewoluuje w sposób ciągły, toteż jest prostackim błędem intelektualnym, popełnianym zresztą przez miliony ludzi, wyobrażać sobie, że jakieś państwo nadaje sobie konstytucję »raz na zawsze«. W rzeczywistości każde społeczeństwo znajduje się albo na linii wstępującej, t. zn. ewoluuje w kierunku pewnego ideału, albo na najwyższym punkcie swego rozwoju ustrojowego, t. zn. tak blisko tego ideału, na ile je stac, lub wreszcie na linii zstępującej, na drodze do upadku.

Oto jeszcze jeden problem dla socjologów: cykl ewolucji ustrojowej. Aż dziw bierze, że t. zw. cykl koniunktury gospodarczej doczekał się omówienia w tyłu setkach tomów, a cykl ewolucji ustrojowej stanowi nadal pojęcie nie nowe wprowadzone dla specjalistów, ale mało znane szerokiej publiczności. A przecież spopularyzowanie tego cyklu ułatwi niezmiernie procesy ustrojowe, gdyż przestawi umysły ludzi z mylnego i szkodliwego pojęcia statyki ustrojowej — z mitu ustroju idealnego, wprowadzonego raz na zawsze — na pojęcie ewolucji kierowanej świadomie, systematycznie dostosowującej instytucje społeczne i państwowe do pewnego ideału, który to ideał powinien już oczywiście być niezmienny. Stalność ideału przy ewolucji form ustrojowych — oto rozsądny cel; doktrynera od praktycznego meża stanu odróżnimy po tym, że doktryner będzie zawsze dążył do napisania konstytucji dostosowanej do oderwanego ideału, a meż stanu nie zapomni o ideale, ale przykroi ustrój do bieżącego stanu społeczeństwa, kształtując go w sposób, ułatwiający ewolucję w kierunku pożądanym.

* * *

*

*) Patrzac na obecne osłabienie W. Brytanii nie zapominajmy, że Stany Zjednoczone A. P. są odnoga narodu brytyjskiego, od którego wzięły nie tylko język, religie i kulturę, ale i główne instytucje ustrojowe, z wyjątkiem jednej tylko monarchii.

Stany Zjednoczone stanowią pozycję odwodową Brytyjczyków.

Cykl ewolucyjny zaczyna się z reguły, w każdym społeczeństwie, od jedyńowładzy. Tam gdzie brak jakiegokolwiek wiezi społecznej, albo gdzie ta wieź już całkowiec się rozłożyła, niema innej rady jak rzady absolutne. Choc stanowią one zwykly prymityw, beneficjariusze takich rzadów nie omieszkać nigdy wielbic ich jako ostatniego krzyku postępu. Führerprinzip Hitlera stanowił krańcowe sprymitywizowanie rzadów Niemcami, tym niemniej miliony ludzi — i to nietylko Niemców — uważało te forme rzadów za wysokie osiągnięcie ustrojowe.

Ustrój w głębszym, organicznym rozumieniu tego słowa, pojawia się dopiero z chwila, gdy z bezbarwnej masy, poddanej rozkazom jedyńowładcy, zaczynają się wylaniać instytucje, żyjące życiem własnym i obwarowane trwałymi uprawnieniami, a wiec niezależne od kaprysu samowładcy. Instytucje takie pojawiają się zazwyczaj w postaci najniższych komórek samorządu oraz rady przybocznej władcy. W miarę dojrzewania ustroju, samorzady wszelkiego rodzaju krzepną i mnożą się, wiążąc się z sobą w logicznie powiazana sieć, aż wreszcie samorząd sięga płaszczyzny państwa i wciąga w swą orbitę istniejąca już uprzednio instytucje doradcza przy władcy, przekształcając ją w przedstawicielstwo społeczeństwa. Równoległe z tym rozwojem instytucyj ustrojowych, a nawet wyprzedzając je o krok, iść musi rozwój myślenia politycznego ogółu obywateli, ich stopniowe przedzierżganie się z ślepo posłusznych poddanych — w umiejających myśleć politycznie i świadomych swych uprawnień obywateli.

W tym stadium ewolucji społeczeństwo przystępuje zazwyczaj do kształtowania subtelniejszych instytucyj ustrojowych, takich jak: organicznego systemu krażenia i wychowania elit; harmonijnej rozbudowy instytucyj religijnych, z konieczna w wysoko rozwiniętym społeczeństwie komplikacja urządzeń kontemplacyjno — wychowawczo — charytatywnych; narzucenia na społeczeństwo tej gestej sieci ugrupowań wszelkiego rodzaju, które umożliwiają każdej nieledwie jednostce udział w życiu zbiorowym. W. Brytania szczyty się tym, że działa na jej obszarze kilkaset tysięcy t. zw. committees (komitetów), która to nazwa Brytyjczycy oznaczają grupy obywateli, zawiązujące się samorzutnie dla przeprowadzenia jakichś akcji społecznych, od obrony praw tubylców na wyspach Fidżi i spoczynku niedzielnego w Szkocji, po propagandę sadzenia tulipanów na placach publicznych i

obronie uchodźców wojennych na kontynencie Europy. Najwyższy typ ustroju poznaje się po zageszczeniu wszelkiego rodzaju instytucyj, związków i komórek społecznych, działających w atmosferze dobrowolnej dyscypliny, przy bardzo malej ingerencji państwa.

Wyrodnienie ustroju przebiega w kierunku odwrotnym, a wiec od samorządu do samowładzy; psują się obyczaje obywateli i psują się obyczaje rządzących. Degeneracja przebiega zazwyczaj w dwu wyraźnych etapach, których pierwszym jest »zlota wolność« (sejmowładztwo, ludowładztwo, ochlokracja), a następnym — stosunkowo szybko następującym po pierwszym — dyktatura.

Oświecona i dobrotliwa dyktatura, znana z dziejów pod nazwą monarchii absolutnej, imperium itp., wydaje się w wielu wypadkach odpowiadać społeczeństwu na tyle już nadpsutym, że ustrój wolnościowo-samorządny najwyższego typu utrzymać się u nich nie może, ale które zachowały jeszcze pewien zasób cnót obywatelskich oraz duży poziom tradycji i kultury duchowej i materialnej.

Czy jakieś społeczeństwo może przejść taki cykl ustrojowy dwukrotnie? Odpowiedź na to pytanie jest niezmiernie trudna, i chcąc dać odpowiedź kategorięczna należałoby się wstrzymać do chwili gruntowniejszych badań. Tak jak mnie się dziś ta sprawa przedstawia, zaryzykowałbym twierdzenie, że jedna i ta sama społeczność może rozpocząć taki cykl po raz drugi jedynie pod warunkiem, że przyjmie zupełnie nowy typ cywilizacji albo przejdzie straszliwy kataklizm dziejowy. Dmowski napisał ciekawą rozprawę (niestety niema jej przy sobie na uchodźstwie i nie pamiętam jej tytułu) na temat cywilizacji pierwotnej, takiej jaka mieli np. Gallowie przed wtargnięciem na ich ziemie Rzymian, Słowianie przed zetknięciem się ze światem chrześcijańsko-śródziemnomorskim, czy też za naszych czasów »dobrzy« dzikusy wysp Oceanii, których wysokiemu poziomowi cnót i cywilizacji dziwowali się podróżnicy europejscy poczynając od XVII wieku. Zdaniem Dmowskiego t. zw. cywilizacje pierwotne nie były w rzeczywistości bynajmniej prymitywne, ale były wysoko dojrzałymi produktami setek, a czasem tysięcy lat rozwoju ustrojowego; europejski odkrywca trafiał na tubylczy cykl ewolucji ustrojowej, znajdujący się nieraz właśnie w punkcie najwyższym. Pod wpływem nowej, przemożnej cywilizacji cykl tubylczy zalaamywał się gwałtownie, następowała degeneracja zupełna, po której

mógł się zacząć ponowny marsz w górę, ale już na zupełnie nowej płaszczynie cywilizacji chrześcijańskiej. Czy natomiast na ziemi francuskiej, której ludność przeszła już w swych dziejach dwa pełne cykle ustrojowe (pierwotny i chrześcijański) i znalazła się obecnie na linii silnie zstępującej, zatrzymanie się niejako w pół stoku i rozpoczęcie ponownego marszu w górę jest możliwe, bez uprzedniego przejścia długotrwałego kataklizmu, to wykaże dopiero przyszłość; doświadczenia przeszłości nie wydają się jednak wróżyc pomyślnie.

Polska przeszła swój cykl ustrojowy (chrześcijański) znacznie pełniej niż Francja, gdyż nasz ustrój spotkała dosłownie — śmierć, i to na przeciąg kilku pokoleń, a obecnie zaczynamy budować od zera. Przedsięwzięcie to wydaje się mimo wszystko łatwiejsze, niż próba zawrócenia ustroju francuskiego z powrotem w górę, w polowie ewolucji zstępującej. Takie już jest prawo życia, że łatwiej zaczynać nową budowę z niczego, niż próbować ratować budowlę o podmytych fundamentach i rozluźnionych wiązaniach.

* *

*

Cykl ustrojowy Polski chrześcijańskiej zaczął się od autokracji pierwszych Piastów. Epoka podziałów po Krzywoustym sprzyjała wzywaniu się samorządów i formowaniu elity (ziemskiej, miejskiej i duchownej). Od Lokietka po początek XVI wieku polski ustrój leżał na linii silnie wstępującej, utrzymał się na szczycie krótko, bo zaledwie przez jeden wiek i z początkiem XVII wieku rozpoczął ześlizg w dół. Już po kilku dziesiątkach lat rozległ się dzwonek alarmowy, którym było pierwsze liberum veto z r. 1652. Ostatnie zerwanie Sejmu przypada na rok 1762; od tej chwili Polska zaczyna szukać — bardzo zreszta po omacku, wśród oparów osiemnastowiecznego »oświecenia« — nowych form ustrojowych. Proces ten przerywają rozbiory.

Po odzyskaniu niepodległości wzięliśmy się ponownie do szukania najodpowiedniejszego dla nas ustroju. Jak często w takich razach bywa, zaczęliśmy od wternego skopiowania wzoru zagranicznego, i to niestety właśnie francuskiego, który nietylko daleki był od idealu, lecz wykazywał wyraźne objawy zwyrodnienia. Następnie droga reakcji wpadliśmy w ślepa uliczki dyktatury, niszczącej nawet te odziedziczone po zaborcach formy samorządu, które mogły stanowić

wyjście do dalszej ewolucji ustrojowej. W rezultacie, po ponownym odzyskaniu niepodległości będziemy musieli zacząć te ewolucje od samego początku; ostatniego dwudziestolecia możemy o tyle tylko nie uważać za stracone w dziedzinie ustrojowej, że przeszliśmy w tym czasie dwie typowe choroby dziecięce: malpowanie zagranicy i dyktaturę, i jesteśmy na obie obecnie trochę uodpornieni.

Słaba to zreszta pociecha wobec faktu, że musimy budować nasz ustrój zupełnie od podstaw. Można to określić (mówiąc językiem wojskowym), jako zajęcie podstawy wyjściowej do ewolucji ustrojowej. Jest bardzo ważne, by ogół Polaków w pełni sobie uprzytomnił, że przy obecnym stanie naszego Narodu żaden ustrój wyższego typu nie może u nas działać zadowalająco, gdyż do ustroju takiego dojdziemy dopiero drogą ewolucji trwającej nie krócej, niż kilka pokoleń. Obecnie stac nas tylko na prawidłowy start do ewolucji ustrojowej; nasi synowie i wnukowie powinni pielegnować świadomą polską myśl ustrojową, co pozwoli im dopilnować właściwego przebiegu tej ewolucji.

Czeka nas więc droga długa i ciernista. Na pociechę możemy sobie powiedzieć, że w ciągu naszych dziejów wykazaliśmy bardzo duże zdolności ustrojowo-twórcze. Kiedyś, kiedy miałem dużo wolnego czasu, starałem się dociec, które społeczeństwa na przestrzeni dziejów stworzyły arcydzieła ustrojowe*). Społeczeństw takich naliczyłem tylko pięć czy sześć: starożytny Ateny i Rzym, a w czasach nowszych Polskę, Anglię i Wenecję, a może Szwajcarię. Watpie, by dało się dużo dorzucić do tego spisu.

Dla wyjaśnienia zaznaczę, że od Dariusza i Tamerlana po Bonaparte wszystkie większe poczynania państwowo-twórcze rozgrywały się z zasady pod berłem autokratów, a więc w ustroju prymitywnym; jedyne trzy, znane mi w dziejach wypadki wielkiego rozrostu państwa przy ustroju wolnościowym — to Republika rzymska, Rzeczpospolita pod berłem Jagiellonów oraz Wspólnota brytyjska. Ateny wydały największe

*) By zasłużyć na takie określenie nie wystarcza, by ustrój był oryginalny, lecz trzeba jeszcze spełnienia się dwu innych warunków, t. j. by ustrój utrzymał się przez czas dłuższy i by doprowadził społeczeństwo do wielkości. Wśród narodów, jak i wśród ludzi, bywają oryginały genialne i oryginały niepoważne. N. p. ustrój Sparty był wysoce oryginalny, jednakże Sparta nie doszła ani do potęgi Rzymu, ani do wielkości dorobku cywilizacyjnego Aten.

poklosie cywilizacyjne świata przy wysoce oryginalnym ustroju, któremu cześć zasługi należy przypisać. Wenecja zdobyła się również na ustrój niezmiernie oryginalny (i wart studiowania), który przetrwał szereg wieków i dał jej potęgę niewspółmierną do ilości jej mieszkańców i zasięgu jej terytorium. Wreszcie zaliczyby tu może należało Szwajcarię, której ustrój stanowi arcydzieło w miniaturze. Nie liczę tu natomiast Francji, ani Hiszpanii, gdyż Francja Ludwika XIV czy Hiszpania Filipa II były monarchiami absolutnymi, w obu wypadkach na silnie zstepującej linii ustrojowej.

* * *

O wysokich osiągnięciach ustrojowych Narodu polskiego pisano już tyle (ostatnio, u schyłku poprzedniej wojny światowej, pisał o tym Choloniewski w swym głośnym »Duchu Dziejów Polski«), że sam nie będę tutaj tego tematu poruszał, ograniczę się tylko do stwierdzenia, że zachwyty wydają mi się całkowicie uzasadnione. Ustrój Rzeczypospolitej, taki jaki się wykształcił w wieku XV, był rzeczywiście wysokiej próby i, co najważniejsze, zdał triumfalnie najtrudniejszy egzamin każdego ustroju, a mianowicie zdolność do gładkiego tworzenia wiekszych twórców państwowych. Swój bezkrywawy rozrost w wiekach XIV—XVI zawdzięczała Rzeczpospolita swemu ustrojowi; jest to najwyższa pochwała, jaka mu można przyznać. Tym czytelnikom, których mogło razić, że tak często wyrażaliśmy podziw dla współczesnego ustroju brytyjskiego (odrzucając jednak tak ważne jego elementy jak religie »narodowa«, masonerie i kapitalizm), powiem na pocieszenie, że staropolskie osiągnięcia ustrojowe należy uważać za nie niższe od dzisiejszych brytyjskich, Anglię zaś Henryka VIII i Elżbiety za prymityw ustrojowy w porównaniu z jagiellońską Rzeczpospolitą.

Stwierdzenie wyjątkowych zdolności ustrojowo-twórczych Narodu polskiego stanowi fakt krzepiaczy. Jeśli położymy zdrowe fundamenty pod gmach Rzeczypospolitej, możemy więc mieć nadzieję, że urośnie ona szybko w ład i potęgę.

* * *

Cala trudność leży w tych fundamentach. I w przygotowaniu cegieł, z których murować będziemy gmach naszego ustroju. I w wyszkoleniu architektów i murarzy, którzy by nie byli . . . wolno-mularzami.

Tu leży sedno zagadnienia. Obóz rządzący Polska w latach 1926/39 opracowywał mozolnie nową konstytucję, a równocześnie jakieś siły podrywały fundamenty gmachu, który chcieliśmy wystawić, prymitywizując społeczeństwo, tepiąc samorzady, fałszując wybory i demoralizując obywateli i rządzących. Ta droga mogliśmy dojść jedynie do celu odwrotnego od zamierzonego.

W złotym wieku naszej państwowości najpoczytniejszą książką było »De optimo senatore«, przedrukowywane aż po wiek XVIII w innych krajach Europy. W tym samym czasie Górnicki swym »Dworzaninem« starał się wpłynąć na kształtowanie tych, którzy otaczali Głowę Państwa, a tym samym mieli możliwość oddziaływać na jej postępowanie. Na przelomie wieków średnich i nowych modny był w literaturze temat wychowania synów królewskich; największe dwa umysły Polski ówczesnej — Długosz i Skarga — zajęte były uszlachetnianiem władców. W owych czasach rozumiano, jak próżne są instytucje, którymi kierują umysły nieprzygotowane i charaktery niehartowane.

Podobne zagadnienia czekają i nas. Kształtując instytucje, musimy równocześnie kształtować ludzi. Do tego celu powinniśmy stworzyć szkoły masowego kształcenia obywateli; szkołami takimi mogą oczywiście być tylko samorzady wszelkiego typu, a więc terytorialne, zawodowe, przemysłowe, szkolne itp. Samorzady te musimy budować od samego dołu, pamiętając o tym, że ich nadbudówki (z Sejmem włącznie) będą początkowo tylko pewnymi jakby konwencjami, gdyż ogół obywateli nie będzie jeszcze zdolny umiejętnie się nimi posługiwać.

Zaczynając budować nasz ustrój od prymitywu będziemy musieli zacząć — chcąc nie chcąc — od wylonienia władzy bardzo silnej, wobec której wszelkie inne instytucje będą zrazu tylko planetami, świecącymi światłem zapożyczonym. Władza ta musi zdobyć się na postępowanie dokładnie odwrotne od tego, jakie widzieliśmy u nas w latach 1926/39, a mianowicie powinna czuwać nad rozwojem samorządów i dobrowolnie ograniczać się w miarę, jak społeczeństwo będzie dojrzewało ustrojowo, jak krzepnąć będą jego instytucje i jak zawiązująca się Organizacja Polityczna Narodu zaprawiać będzie do rządów jednostki przywódcze. Niejeden z czytelników uzna może za utopię myśl, by znalazła się władza, która dobrowolnie zmniejszać będzie swój zakres i pomagać obywatelom do coraz większej niezależności. Istnieje przecież teoria socjologiczna o

dażności wszelkiej władzy do »polaryzacji«, t. zn. do przesuwania się w kierunku absolutyzmu. Dlaczegożby więc nasza władza miała pod tym względem stanowić wyjątek?

Dlaczego? Dlatego, że jeśli się na taką władzę nie zdobędziemy, jeśli Naród nasz będzie musiał iść do doskonalenia swego ustroju drogą, jaką szedł np. naród angielski, t. zn. drogą nie kończącą się buntów i zamieszek, sąsiedzi nasi nie dopuszczą do wymurowania gmachu Rzeczypospolitej i fale dziejowe nas pochłona. W wyjątkowym położeniu trzeba nam wyjątkowych rozwiązań; jednym z nich powinny być rządy, które zdobęda się na to, co wydaje się tak wyjątkowe, że aż nadludzkie: na stopniowe i dobrowolne ograniczanie swej władzy.

Nie ludźmy się, byśmy zdołali uniknąć przejścia cyklu ustrojowego od samego początku, od władzy bardzo silnej do władzy na tyle tylko silnej, jakiej nam potrzeba na stałe. Cykl ten przebiec musimy, i to z szybkością przyspieszoną; wymagać to będzie wysokiego kunsztu twórczości ustrojowej.

Wielkie karty w dziejach zapisują narody o genialnych zdolnościach konstytucyjnych. Pocięcha to dla nas, którzy w przeszłości wykazaliśmy te zdolności w stopniu wybitnym. Wolno nam żywić przekonanie, że one w nas nie wygasły i czekają na sposobność do ponownego ujawnienia się w chwili, gdy zaczniemy — po raz pierwszy od XVII wieku — rządzić sobą sami, bez obcych mistrzów i powiazań.

LECZENIE KOMPLEKSÓW

LECZENIE KOMPLEKSOW*)

»Mesjaszem jesteś narodów«, pochlebil Polsce Mickiewicz. »Pawiem narodów jesteś i papuga«, skarcil ja Slowacki. »Mialesz chacie zloty róg, mialesz chacie czapke z piór«, dorzucil w trzy czwarte wieku później Wyspiański, usilujacy — dziś już można stwierdzic, że bez powodzenia — wyleczyc Polske z jej konradowo-kordianowych kompleksów. Bezradne miotanie sie Konrada w ostatniej odsłonie »Wyzwolenia«, taniec chocholów w końcowej scenie »Wesela« daja jakże przejmujaca zapowiedź dziejów Polski przez nastepne półwiecze, nieporadnej próby niepodległości i szamotania sie po jej utracie. Od zlotego rogu, na którym wygraliśmy światu jego natchnienie, po migotanie pawiem piórem naszych bohaterskich szaleństw, ciagnie sie ten makabryczny taniec kompleksów.

Nie stac nas na ich psychoanalize, ale zrobili ja za nas inni i graja — jak Jankiel na cymbalach — na naszych serdecznych zrywach i odruchach. Gra Londyn, gra Waszyngton, gral Berlin; gra, jakże mistrzowsko, Moskwa. Ilekroć razy potrzeba dywersji na skale światowa, iskier na prochy czy wzruszeń dla poetów, wystarczy tracic struny naszych kompleksów, by ujrzec Polske czy to w roli Mesjasza, czy pawia lub papugi. »Pokażcie Polakowi przepaść« — napisal Balzac — »a rzuci sie w nia natychmiast.« Mistrze w efektownym umieraniu, jesteśmy coraz dalsi od umiętności życia. Jak u psychopaty, u którego schorzenie psychiczne wystepuje początkowo na krótkie chwile, nastepnie na coraz dłuższe okresy, by go w końcu nekac bez wytchnienia, tak i nasza choroba zaczyna przechodzic w stan chroniczny, a lekarze zagraniczni, których zwykliśmy wolac do naszego loża, wydaja sie dopatrywac wiecej dla siebie korzyści w naszym zgonie, niż w uzdrowieniu.

Trzeba nam własnego rozpoznania choroby i własnych metod leczenia

*) »Universum«, Monachium, listopad 1946 r.

nia. Z nieświadomych mroków psychiki narodowej musimy wylonic jej kompleksy, obnażyć je i leczyć. Człowiek czy naród wzdryga się całym swym jestestwem przed takim wtargnięciem w tajniki swego ducha i przeklina śmialków, którzy się na to ważą. Pisarz, schlebiający narodowym kompleksom, żyje w glorii; rozdrapując je naraża się na najgorsze. Ale wiedza uczy, że bezlitosne obnażenie kompleksu stanowi trzy czwarte jego uleczenia.

* * *

Kompleks Polski jako Mesjasza narodów jest źródłem tylu jadów psychicznych, że sam jeden wystarczyłby do zatrucia duszy Narodu. Światek meki na Golgocie od słusznej kary konających obok Zbawiciela lotrów dzieli tylko dobrowolność ofiary i doskonałość poprzedzającego mekę żywota. Tak naród jak i człowiek mogą stracić życie czy niepodległość, ale meczennikami stają się dopiero wtedy, gdy gina in odore sanctitatis. Mesjaniści nasi rozumeli dobrze tę podstawową prawdę, to też główny ich wysiłek skierowany był na udowodnienie, że Polska wyjątkowym blaskiem swych cnót i doskonałości swych urządzeń ściągnęła na siebie pomstę zbrodniczych sąsiadów. Teza ta niemożliwa była do udowodnienia na tle rozpaczliwego stanu Polski w wieku XVIII, poprzedzającym bezpośrednio rozbiory; przeciwstawianie zwyrodniałego ustroju Polski, w tym jej smutnym okresie, rzadności (choć absolutystycznej, ale jednak rzadności) jej sąsiadów, nie daje argumentów na korzyść naszego mesjanizmu; również sprawiedliwości społecznej (a nawet cnót prywatnych) nie było w ówczesnej Polsce napewno więcej, niż w Austrii czy Prusiech, czy nawet Rosji. Jakże »pawio« na tym tle wygląda postanowienie Konstytucji Trzeciego Maja, nie dające wprawdzie wolności chłopu polskiemu, ale przyznające wspaniałomyślnie tę wolność chłopom państw ościennych, zbiegającym na terytorium Polski! Rozglądając się za jakąś pożywką, na której możnaby zaszczerpić mit o naszej niewinnie umęczonej światek, znaleziono jeden tylko epizod naszych osiemnastowiecznych dziejów, którym był Sejm Czteroletni, kulminujący w Konstytucji Trzeciego Maja. To też wysiłek włożony w »ubronzowanie« tego zdarzenia, w zatajenie jego niepoważnych, a chwilami wręcz kompromitujących stron, był ogromny i trwa do naszych dni. Próba, podjęta przez t. zw. historyczną »Szkolę krakowską« rzucenia właściwego światła na ten okres naszych dziejów, musiała spalić na

panewce choćby dlatego, że bez wyświetlenia tajnych kulis tej epoki wszelkie rozpatrywanie zdarzeń wieku osiemnastego (i wieków następnych) jest zwykłą stratą czasu, a o tych kulisach historycy nasi wola zamilczec. Mit Polski, niosący żągię sprawiedliwości społecznej w mroki Europy środkowo-wschodniej, niezbędny był dla pasowania narodu, upadającego na skutek win własnych (z ważnym dodatkiem niefortunnego położenia geopolitycznego) na meczennika, owianego nimbem światek. Przepaść między Polska, ofiara własnych błędów, a Polska umęczona dlatego, że sąsiedzi nie mogli znieść blasku jej cnót, należało zasypać niebotyczną górą złudzeń. W świetle tych złudzeń zagadnienie odzyskania niepodległości sprowadzało się dla przeciętnego Polaka nie do uleczenia się z własnych wad, ale do kary na sąsiadów za ich zbrodnie. Ta kara przyszła już raz w r. 1918 i gotowa przyjść po raz drugi, ale zastała nas nie uleczonych i może zastac w stanie jeszcze bardziej oplakany. Ci, którzy twierdzą, że mit trzeciomajowy potrzebny był, i potrzebny jest nadal, dla podtrzymania Narodu na duchu w mrokach niewoli, powinni sobie rozważyć, że mit ten stanowi nieodłączną część kompleksu mesjanistycznego i że ułatwia może Narodowi trwanie w niewoli, ale nie pozwala mu na wyleczenie się z przywar, uniemożliwiających niepodległy byt.

Blisko z kompleksem Mesjasza graniczy kompleks pawia. Pięknie upstrzony ogon, który roztaczamy przed światem, ma dwie strony: na jednej, jak na pasie sluckim, złoca się nasze cnoty, na drugiej srebrza się cierpienia. »Malo jest cnót, których Polacy nie posiadają«, powiedział Churchill w parlamencie brytyjskim w chwili, gdy szukał najmocniejszego argumentu, by nas pogrążyć w opinii świata. Cios Churchilla wymierzony był celnie; puszenie się cnotami, prawdziwymi czy urojonymi, budzi z reguły niechęć; biała dziewica nie budzi sympatii wśród prostytutek. W świecie rojącym się od Quislingów, ugodowców i kapitulantów, nasze cnoty heroiczne powinniśmy skrzetnie chowac dla siebie. Broń Boże nie namawiam do ich zarzucenia, ale migotanie przed światem ich blaskiem daje skutek odwrotny od zamierzonego, bo nie ma przecież innego sprawdzianu skuteczności propagandy jak jej odzew, zamierzony lub odwrotny. Kompleks pawia, podobnie jak kompleks Mesjasza, rozrósł się u nas ostatnio do rozmiarów zupełnie samobójczych; popielniamy gesty bohaterskie, kosztujące nas dużo w przekonaniu, że podnoszą nas one w

oczach zagranicy; nie rozumiemy, że dzieje się wrecz odwrotnie. Najtragiczniejszym przykładem takiego nieporozumienia jest oddźwięk zagranica powstania warszawskiego z r. 1944. We wszystkich dyskusjach na temat powstania jako główna korzyść z niego wysuwa się nadal pozytywny rzekomo oddźwięk jego na Zachodzie. Otóż nie, postokroc nie! Bylem w czasie powstania w Londynie i będę to powtarzał do końca życia, że powstanie i ogrom jego ofiary zaszkodziły nam w opinii świata, a nie pomogły. Przez pierwsze dwa dni powstania Anglicy zastanawiali się nad jego celowością, a poczynając od dnia trzeciego taktowniejsi wśród nich przestali wogóle rozmawiać na ten temat z Polakami. Nie mówi się z nikim o siostrze, choćby najcnotliwszej i urodziwej, która w przystępie nagłego obledu wyskoczyła z piątego pietra, ani o szwagrze, który rozdarował ubogim zawartość swego przedsiębiorstwa i poszedł do więzienia za złośliwe bankructwo. Ludziom trzeźwym nie każe się podziwiać lunatyków, zjadacze chleba sceptycznie odnoszą się do świętych, szczególnie jeśli ich świętość wydaje się nie zapominac o efektach zewnętrznych. Nietylko bowiem wśród ludzi zwykło się mówić o kimś, że czyni coś dla bliźniego; i w gronie narodów kompleks pawia nie przechodzi niezauważony i odczuwany jest jako swoisty szantaż. »Jeśli poto zwiększasz niepotrzebnie swe cierpienia, by mnie zmusić do współczucia«, myśli jeden naród o drugim, »to ja właśnie na złość współczuć ci nie będę«. Podobnie drażniaczo działa naród, roztaczający ostentacyjnie swe cnoty. Obie strony pawiego ogona mają tę właściwość, że równie szybko się opatrują. I nawet trudno tu o pociechę, że to świat jest nikczemny a słusność jest po naszej stronie, boć nawet wśród ludzi zdrowych moralnie przywykło się uważać, że rzetelne cnoty mówią same za siebie i reklamy nie potrzebują, a cierpienia zasługują na współczucie tylko pod warunkiem, że nie są rozmyślne.

Trzeci wreszcie z wielkiej trójki naszych kompleksów, to kompleks papugi. Najsolidniej on i najdawniej rozkraczył się w naszej psychice i ma, w przeciwieństwie do dwu poprzednich, praktykowanych tylko wstydliwie, wyznawców licznych i głośnych, szermujących buńczucznie frazesami o »doganianiu Zachodu«, o wzorowaniu się na osiągnięciach »wielkich demokracji«, o oddawaniu się pod opiekę dobroczynnych sojuszników, o konieczności »oparcia się na któryś z sąsiadów«, o błogosławieństwie zagranicznych pożyczek i zaoceanicznych kontro-

lerów. Kompleks ten nie jest niczym innym jak sublimacja kompleksu niższości, znana ogólnie w psychologii próba nadrobienia, przy pomocy argumentów niewytrzymujących rozumowej krytyki, leku i poniżenia, czających się w głębokościach naszej nieświadomości. Pacjenci, chorujący na ostry kompleks niższości, udają w domach wariatów Cezarów i Napoleonów. Niektórzy udają Mesjaszów. Jeden z naszych historyków, bodajże prof. Konopczyński, zwrócił słusznie uwagę na naszą narodową manie zwracania się o pomoc do całego świata w chwilach, gdy groziło nam niebezpieczeństwo, i śmieszna nikłość uzyskiwanej pomocy. Wymieniony historyk wyliczył szereg takich wypadków, poczynając od Grunwaldu a kończąc na XVII wieku, kiedy to na nasze wezwanie Europy o pomoc przeciw Turkom, po Cecorze a przed Chocimem, zareagowali tylko — Anglicy, przysyłając garsteczkę żołnierzy, którzy w chwili wiktoria chocimskiej ładowali właśnie — w Gdańsku. Epizody takie cytować można bez końca: Dumouriez w konfederacji barskiej, przymierze pruskie z r. 1790, wezwania o pomoc kierowane na Zachód przez Kościuszkę, aktywność dyplomatyczna powstania listopadowego i styczniowego, »pomoc« udzielona nam przez zagranicę w r. 1920 (mimo że i Anglia i Francja zwalczały wówczas bolszewizm), wreszcie sukces — *risum teneatis amici* — udzielony nam we wrześniu 1939 no i, koronę wszystkiego, pomoc udzielona powstaniu warszawskiemu. Przykłady takie można mnożyć bez końca. Z drugiej strony niema w historii wogóle przykładu, by jakiś naród utrzymywał niepodległość w oparciu o naród inny (z wyjątkiem krótkich i przejściowych sojuszy w czasie wojen). Najskrupulatniejszy przegląd dziejów powszechnych nie pozwoli znaleźć wypadku pomocy, udzielanej na stałe jednemu narodowi przez drugi, jaka się marzy od setek lat Polakom, czekającym na to, by głównym filarem państwowości polskiej, jej patronem i opiekunem, stały się Francja czy Austria, Niemcy czy Rosja, Wielka Brytania czy Stany Zjednoczone. Katarzyna jako »gwarantka« miała silne oparcie w psychice polskiej.

Do tej samej kategorii złudzeń należy przypuszczenie, że kopiując instytucje ustrojowe innego narodu możemy uleczyć własne niedomagania. Konstytucja nasza z r. 1921, wzorowana żywcem na Francji, która przetrwała aż lat — pięć, stanowi najświeższy przykład działania naszego kompleksu papuziego w dziedzinie ustrojowej.

Niechec do spojrzenia w oczy twardym prawom życia prowadzi wprawdzie Naród od katastrofy do katastrofy*), ale pozwala sobie umilic życie wszystkim tym, którym hasło oparcia się o »szlachetnego« sojusznika pozwala bezkarnie korzystać z poparcia, rozgłosu i pieniędzy zagranicznych. Kompleks papugi jest więc o tyle groźniejszy od wszystkich innych, że wrogowie Polski mają interes w podsycaniu go i pielęgnowaniu. Polskę pozującą na Mesjasza, walczącą o wolność »wasza i nasza«, traktuje się z pobłażaniem; pawie gesty Polaków, obnoszących swe bohaterstwo i cierpienia ku podziwowi świata, zbywa się wzruszeniem ramion, ale papuzie nasze skłonności dadzą się wspaniale wykorzystać: chcąc uderzyć Polskę, można zawsze wetknąć kij w rekę Polaka.

* * *

Pisać to odczuwam przykrość napewno nie mniejszą od przykrości czytelnika. Ale, choć taka psychoanaliza należy do zabiegów szczególnie bolesnych, nie wolno nam się przed nią cofać, gdyż — powtarzam — pierwszym krokiem do leczenia kompleksów jest właśnie ich bezlitosne obnażenie. Dopiero po takim wstępie można przystąpić do właściwej kuracji.

W wypadku kompleksów, nekających cały naród, jednorazowym ich obnażeniem niczego się oczywiście nie wskóra; obnażenie powinno przybrać postać kampanii uświadamiającej, prowadzonej przez dziesiątki lat, przy udziale Rządu i Sejmu i instytucji wychowawczych wszystkich poziomów, od szkół powszechnych po uniwersytety. W naszym wypadku kampania taka powinna się skupić na dwóch zagadnieniach: pierwsze z nich, to głoszenie prawdy historycznej o naszych dziejach w wiekach XVIII i XIX, ze szczególnym uwzględnieniem Sejmu Czteroletniego oraz wszystkich powstań (włącznie z ostatnim warszawskim i przygotowy-

*) Przykładem tej niechęci jest upór, z którą pewne czynniki narodowe wmawiają sobie — i usiłują wmówić całemu Narodowi — że Rosja »musi« zrozumieć wreszcie swój »oczywisty« interes podzielenia się z Polską Ukraińcami i zawarcia z nami cichego porozumienia o wzajemnym nieprzeszkadzaniu sobie w trawieniu swoich porcyj Ukraińców. Wypadki historyczne zadają klamę tej teorii od lat trzystu, daje ona jednak te korzyści, że zwalnia swych zwolenników od wysiłku nad ułożeniem stosunków polsko-ukraińskich.

wanym obecnie powstaniem następnym); zagadnienie drugie — to nasz stosunek do zagranicy, pomoc, której od niej — nie otrzymywaliśmy, wpływ agentur zagranicznych na nieszczęścia Rzeczypospolitej, fatalne skutki ślepego kopiowania obcych ustrojów i urządzeń, konieczność rzetelnego, a nie »pawiego« stosunku do siebie samych i zagranicy, twarda prawda, że każdy naród zdany jest wyłącznie tylko na własne siły i że na przyjaźń z żadnym z naszych potężnych sąsiadów nie wolno nam liczyć.

Szczególnie wychowawczo działają na opinię publiczną wielkie procesy polityczne, jak to wykazał choćby proces przywódców hitlerowskich w Norymberdze, który pozwolił uzmysłowić narodowi niemieckiemu cały mechanizm jego schorzeń ustrojowych i psychicznych. I u nas przyczyniłoby się wiele do uzdrowienia naszego życia narodowego postawienie przed Trybunał Stanu sprawców powstania warszawskiego (formalnych i rzeczywistych). Żądanie takiego procesu słyszy się coraz częściej, w miarę jak zaczynają wychodzić na jaw złowieszcze kulisy tej wielkiej narodowej tragedii. Proces taki pozwoliłby unaocznic, na żywym przykładzie, metody, jakimi obce agentury grają na naszych kompleksach.

Oczyściwszy w ten sposób psychikę Narodu ze złudzeń i zakłamań, można będzie przystąpić do samego leczenia. Ponieważ mesjanizm wybujał na podłożu naszego przeczulonego i wypłyconego katolicyzmu, główną uwagę zwrócić należy na uzdrowienie naszego życia religijnego. W swej pięknej przedmowie do rzymskiego (z r. 1946) wydania »Książki pielgrzymstwa« proponuje p. G. Herling-Grudziński leczyć mesjanizm »uspołecznieniem narodu«, »rewolucją społeczną, krwawą czy bezkrwawą, jako w dzisiejszym świecie ostatnią, pozostałą jeszcze formą całkowitego upowszechnienia uczuć narodowych«. Lekarstwo to wydaje się słuszne, ale podane w takiej »laickiej« formule mogłoby wpędzić naród w inne kompleksy, na które tak groźnie cierpi dzisiejsza Francja. Sprawiedliwość społeczna wykwitac musi z mózgu i serca każdego z nas; nie darmo powiedział Mickiewicz, że »o ile powiększycie i polepszycie dusze Wasze, o tyle polepszycie prawa Wasze«. A polepszenie dusz wymaga pogłębienia religii. Bez pogłębienia nurtu naszego Chrześcijaństwa nie może dojść do poprawy stosunków społecznych i do dźwignięcia każdego chłopca i robotnika na poziom pełnoprawnego uczestnika rządów i udziałowca w zbiorowym dorobku. Chrześcijaństwo już przed

dwoma tysiącami lat określono mianem rewolucji, o której krwawości świadczą mrowia meceników. Na własne oczy, przez miedze, widzieliśmy natomiast inną rewolucję, też bardzo krwawa ale skierowana przeciw Bogu, która nie wydała ani sprawiedliwości ani miłosierdzia. Droga do uspołecznienia Polski prowadzić więc musi przez rewolucję — w naszym katolicyzmie, przez wyciągnięcie go na poziom (i ponad poziom) przyjęty dziś w przodujących społecznościach świata. Uderzmy się w piersi: w ciągu ubiegłych stuleci nie wydaliśmy ani wielkich myślicieli katolickich ani wielkich pisarzy ani wielkich świętych ani społeczników; widziany z Rzymu wygląda nasz katolicyzm podobnie pawio i papuzio jak tyle innych dziedzin życia narodowego. Wychodząc z upodlenia kolaboracji wysłała Francja na ambasadora do Rzymu Maritain — kogóż moglibyśmy wysłać my? Gdzież są nasi Claudel'e i Bernanos'y i Chesterton'y i Newman'y, Ketteler'y i Mercier'y? Jakże chcemy budować sprawiedliwość społeczną, skoro w tej dziedzinie nie mamy żadnej myśli własnej i musimy żyć z pożyczania, jedni od Marksa i Engelsa, drudzy od katolickich myślicieli Zachodu? Do »encyklik społecznych« wnieśli swoje udziały Francuzi i Niemcy, Szwajcarzy i Belgowie i Anglicy, ale naszych brak. Chcąc uleczyć psyche narodu musimy najpierw wyleczyć nasz katolicyzm. Pare pokoleń popracować nad tym musi w zgryzocie sumień i pocie czoła. Na szczęście trafiliśmy na chwilę, kiedy Kościół rzymski przeżywa potężną falę odrodzenia; byłoby jednak tragiczne, byśmy się dali jej nieść, zamiast się w nią zagłębić.

Uporządkowawszy naszą religię musimy urzetelnic metody naszej pracy codziennej. Od manii ślubowań, obchodów i pogrzebów przejść musimy na wysiłek codzienny, organiczny w najlepszym tego słowa znaczeniu, na budowę ustroju społecznego od samego dołu, od samorządów i zawodów, od własnych form gospodarczych, od własnych wspólnot i systemów spółdzielczych, od własnych form parlamentarnych, od własnej myśli wychowawczej, ustrojowej, socjologicznej i gospodarczej. Powinno wyjść z użycia kopiowanie wzorów zagranicznych i szukanie obcych protektorów; obok solidnej pracy na wewnątrz stanąć musi solidny wysiłek zagranica, w pierwszym rzędzie w stosunku do najbliższych sąsiadów (i mniejszości narodowych we własnym kraju), na dziewiczym jeszcze i wymagającym niezmiernego z naszej strony wysiłku terenie Miedzymorza, w drugim rzędzie w organizacjach międzynaro-

dowych obejmujących świat cały, w których nie potrafiliśmy nigdy dotychczas występować inaczej, niż w charakterze klienta czy piniacza.

Zapadać się będzie w niepamięć smutna trójca naszych kompleksów w miarę, jak narastac w nas będzie poczucie pełnej równowartości wobec kogokolwiek innego na świecie — nie kompleks wyższości, bo to byłoby wpadnięcie z deszczu pod ryne, ale dojrzała pewność siebie narodu, który nie mniej bierze od świata, niż mu daje, i któremu rzetelne osiągnięcia pozwalają zrezygnować z cierpietnictwa i buty, blichtru i naśladownictwa.

Bardzo jeszcze długa i stroma leży przed nami droga i wielu ludzi wtapia, czy starczy nam sił na jej przebycie. Zwatpiecie to przybiera nieraz postać defetyzmu, a defetyzm buntuje się przeciw wszelkim wogóle próbom leczenia naszych ulomności. »Jakże łatwo włożyć czarne okulary i zanurzyć pióro w żółci«, mówi wielu Polaków. Mamy dziś naród o wspaniałych cnotach i sympatycznych wadach — a jakimże byłby naród, któryby się wykastcił w wyniku tak skomplikowanych zabiegów psychoanalizy narodowej? Jeśli ma przypominać Czechy Benesza czy Francję Petain'a, nie warto zachodu. Komu nie dogadza Polska taka, jaka wykastciły wieki, niech jedzie za Ocean i niech się wynaradawia. My chcemy utrzymać Polskę Samosierry, powstań i konspiracji, Trzeciego Maja i Kościuszki, romantyzmu i szaleństwa, wielką cierpieniem i pijaną walką o wolność, Polskę pielgrzymek i koronacji cudownych obrazów, Polskę uczucia i patriotycznego odruchu, pańskiego gestu, kraj gościnności, bez wyrachowania i małości, kraj, który pokochaliśmy pierwszą miłością lat dzieciennych i który chcemy tak już kochać do chwili, kiedy przyjdzie nam za niego lec. Ucząc Polaka, by przestał ginać szaleńczo, możemy go nauczyć żyć podle. Nie pozwolimy sobie zepsuć tej Polski, która kochamy, na rzecz jakiegoś wyrachowanego kraju, w którym będzie się może żyło spokojniej, ale będzie można przebieć serce.

Rozumiem ludzi, którzy tak mówią i uważam, że tylko ten, kto kocha Polskę taką, jaka jest dzisiaj, kocha widzieć jej błędy i szaleństwa, kocha właśnie dlatego, że je widzi i gotów kochać aż do największego poświęcenia i ofiary — uważam, że tylko ten ma prawo brać się do jej naprawy, z pokora i nieśmiałością, jaka się zawsze odczuwa zbliżając się do osoby ukochanej. Doprawdy niska jest rzecz wytykać błędy, jeśli nie ma się zamiaru włożyć serdecznego wysiłku w ich usunięcie. Roi się dziś

na uchodźstwie od Polaków, którzy strzepia sobie wargi wyrzekając na polskie przywary i na polską rzeczywistość, i wyciągają z tego wniosek, że trzeba się urządzić gdzieindziej. U tych ludzi z miłości został tylko popiół. Ale jest i w Kraju i na uchodźstwie wielu, którzy pragną dolożyć reki do ulepszenia Ojczyzny, milując ją nie tylko ze wszystkiego serca swego i ze wszystkiej duszy swojej . . . ale i ze wszystkiej myśli swojej. Obowiązkiem tych ludzi jest rozdrapywanie ran, by się nie zabliźniały blona podłości i obnażanie kompleksów, by nie zatruwały duszy Narodu.

WYSTĄPIENIA PUBLICZNE

WYSTAPIENIA PUBLICZNE

Z powodów, które dla uważnego czytelnika tej książki beda oczywiste, mam wielu wrogów, którzy staraja sie każde moje wystapienie przedstawic w falszywym świetle. Przychodzi im to tym latwiej, że w ciagu ostatnich siedmiu lat spoleczeństwo polskie podzielone bylo na szereg odlamów (Kraj, W. Brytania, Bl. Wschód, Il. Korpus, Szwajcaria, Francja itp.), odcietych od siebie niemal hermetycznie. Korzystam wiec ze sposobności, by przedrukowac tu kilka dokumentów, na podstawie których czytelnik bedzie mógł wyrobic sobie samodzielny poglad na racje mych wystapien.

LIST OTWARTY

do p. A. Slonimskiego*)

Szanowny Panie!

1. III. 1941

Z »Wiadom. Polskich« z dn. 2. bm. dowiedzieliśmy sie, jakiej Polski Pan niechce. Naszkicowal Pan również zgrubsza, jaki ukklad stosunków odpowiadalby Panu po wojnie. Słowa Pańskie maja dla nas duża wage, bo nie od dziś uważamy Pana za sztandarowy intelekt przeciwnego nam obozu. Píše Pan »zwalczałem w Polsce wpływy komunistyczne«. A przecież nie kto inny niż pan napisal »Czarna wiosna«? Dziś mieni sie Pan socjalista i demokrata. O tak drobna ewolucje nie bedziemy sie spierali, bo zawsze pozostal Pan w ramach tego samego sposobu myślenia, miedzynarodowego, nieskalanego żadnym nacjonalizmem, nawet żydowskim. Jest Pan niewatpliwie autorytetem swego obozu. Definicje Pana wyjaśniaja autorytatywnie o co chodzi. Obowiazkiem naszym jest odpowiedziec również jasno, w granicach dyktowanych wzgledami na naszych angielskich gospodarzy i na polskich denuncjatorów.

Wejdźmy od razu w sedno sprawy. Wierzy Pan, mam wrażenie że szczerze, w nadejście chwili, kiedy ludzie stana sie od jednego zamachu znacznie lepsi niż sa obecnie i dzieki temu świat ulegnie — od jednego zamachu — zasadniczemu przeobrażeniu.

*) Drukowany na lamach tygodnika »Jestem Polakiem« w Londynie, w marcu 1941 r.

Za ogłoszenie tego listu gen. Sikorski kazal ukarac mnie dyscyplinarnie i oraz zeslac na wyspe Bute.

W każdej epoce byli ludzie, którzy wierzyli, że właśnie za dwa lub trzy lub pięć lat świat ulegnie raptownej naprawie. Ma Pan wielu bardzo poprzedników w tym złudzeniu i będzie Pan miał wielu następców. Swojego czasu ta chwila raptownej naprawy świata miało być zajęcie przez bolszewików Warszawy. Obecnie chwila ta ma być moment zakończenia wojny.

My nie wierzymy w raptowną naprawę ludzi. Nie wierzymy, by za dwa czy trzy lata, czy za pięć, ludzie na świecie mieli być zasadniczo lepsi, niż są dziś. Cześć ludzi wojna zdemoralizuje, cześć uszlachetni. Per saldo nie wiele się zmieni. Wierzymy, że jest tylko jeden sposób na ulepszenie człowieka, a mianowicie powolne hartowanie go w ogniu wiary i moralności chrześcijańskiej. Takim to wolnym procesem wniosła się Europa na wyżyny. Niestety proces ten od paru wieków przebiega wstecz. Ludzkość odwraca się od Chrystusa. Stąd płyną straszne przeżycia Europy w XX wieku. Wprawdzie katolicyzm ostatnio odradza się i potężnieje, lecz protestantyzm rozkłada się. Niemcy przeżywają katastrofę Chrystjanizmu. W rezultacie świat nie będzie w roku 1944 bardziej chrześcijański niż był w roku 1900. Gdyby mnie Pan zapewnił, że świat za sto lat będzie lepszy, to mógłbym wziąć to twierdzenie na serio. Nie wierzę natomiast, by przeciętny Europejczyk był lepszy za parę lat, to jest w chwili, gdy kształtować będziemy świat powojenny. A tylko z lepszych ludzi można ulepić lepszy świat.

Pisze Pan: »Wszystko wskazuje na to, że do starych kategorii już po tej wojnie nie wrócimy.« I pisze Pan dalej: »Zjednoczenie europejskie już się kształtuje, już jest przedmiotem rozważań najwybitniejszych umysłów epoki, już jest w zasięgu działań realnych polityków. Na czele demokracji amerykańskiej stoi dziś człowiek wielki. Współpraca demokracji amerykańskiej z demokracją angielską nie skończy się po zwycięskiej wojnie. Idziemy do olbrzymich i śmiałych przeobrażeń, zarówno politycznych jak społecznych.« Te same słowa mógł Pan napisać w roku 1917. Żadne z takich proroctw nie sprawdziło się po poprzedniej wojnie. I po tej wojnie niewiele się z tego sprawdzi. Jest to los ludzi takich jak Pan, że nic z ich słów nigdy się nie sprawdza. Nie, proszę Pana, w jednym pokoleniu dwa razy ludzi na fałszywe przepowiednie nabrac się nie da. Nie uwierzmy poraż drugiego w te utopie. I losu Polski nie ufundujemy na takim lotnym piasku.

Wierzymy, że po tak wielkim wstrząsie nastąpią wielkie zmiany. Ale zmiany te będą powierzchowne, zewnętrzne, zmiany w osobach, granicach i formach, natomiast istota procesów rządzących ludzkością zostanie bez zmiany. Prawo rządzić będzie nadal tylko tam, gdzie będzie miało za sobą siłę wykonawczą i nadzorczą, t. zn. tam, gdzie społeczeństwo będzie na wysokim poziomie etycznym. Jedne narody będą rozkwitały, inne będą upadały. Federacje, unie, Commonwealthy będą się rozwijały tam, gdzie będą wyrazem naturalnych dążeń. Narzucone sztucznie zalamia się żalośnie, narobiwszy przedtem wiele szkody.

Pisze Pan, że po tej wojnie »przyjdzie zmierzch nacjonalizmów«. Zdaniem Pana »po tej wojnie wielkie demokracje będą siłą najpotężniejszą. Siła ta nie może dopuścić do nowego odrodzenia się nacjonalizmów«. Zupełnie Pana nie rozumiem. Szanowny Panie, nacjonalizm to rzecz stara jak świat, stara jak Egipt czy Ateny, Sparta, Persja, Rzym. Nacjonalizm, to po prostu uczucie przywiązania do własnego narodu i wszystkie

wynikające z tego uczucia konsekwencje. Jeśli to uczucie jest zbyt nieopanowane i zakłóca współżycie wielkiej rodziny ludów zwanej ludzkością, wtedy mówi się o szowinizmie. Pan zwykł w takich razach mówić o nacjonalizmie zoologicznym. Proszę bardzo. Zwyczajnie nacjonalizmu wolno tepić, powinno się tepić. Ale mówić o tym, że nacjonalizmy kiedykolwiek na świecie zanikną, to naiwność. To nie jest na poziomie, Szanowny Panie. Choćby po tej wojnie miały zaniknąć wszystkie inne nacjonalizmy, dwa zostaną napewno: angielski i żydowski.

Gdy się mnie ludzie pytają, co najwięcej podziwiam w Anglii, odpowiadam stale: nacjonalizm angielski. Uczmy się od Anglików nacjonalizmu. Myśl, że Anglicy mogliby po tej wojnie przestać być nacjonalistami, jest tak zabawna w swej utopijności, że — Pan wybacz, Panie Antoni — śmiech mnie bierze. Goliłem się niedawno w Londynie u fryzjera, Polaka, który mieszka tam już od dwudziestu kilku lat. Dałbym Panu jego adres, ale boję się to uczynić, bo ten fryzjer to twardy Poznaniak i gotów byłby Pana zaciąć. Otóż ten znawca spraw angielskich (lepszy od nas obu) tak mi oświadczył: »Panie, z Anglikami do tej pory trudno już było się dogadać, ale jak te wojny wygrają sami przeciw całemu światu, to już chyba bez kija trudno będzie do nich dostąpić.« Tak bestia powiedział.

Boli Pana, że tu i owdzie ktoś mówi o imperializmie polskim. A wie Pan, czym byłaby zbyt szeroko zakrojona europejska federacja? Nie taki sobie naturalny związek paru państw pokrewnych jak np. Czech, Polski, Słowaczyny, Litwy — ale federacja w rodzaju Stanów Zjednoczonych Europy, złożonych z kilkunastu państw? Byłoby to, Szanowny Panie, po prostu poszerzone Imperium angielskie. Ten zlepek państw tyle tylko miałby karność, ile wymusiłyby na spółkę R. A. F. i Royal Navy. Owszem, jest to koncepcja, która wielu ludziom może się uśmiechać, ale nazywajmy ją po imieniu: Imperium brytyjskie, poszerzone na kontynent europejski. Czy Pan, Panie Antoni, widział kiedy na świecie wspanialszych nacjonalistów i imperialistów jak Churchill, Eden czy Bevin? Syn Ramsay'a MacDonald'a jest już Wysokim Komisarzem Kanady. Czy Pan na serio podtrzymuje swe twierdzenie, że po tej wojnie imperializm brytyjski zaniknie? I nacjonalizm brytyjski?

A może Pan przewiduje zanik syjonizmu? A może się Panu zdaje, że w Rosji lub w tej drugiej wielkiej demokracji za Atlantykiem nie ma nacjonalizmu? I nie będzie po wojnie?

Sorry, Panie Antoni, ale nacjonalizmy zawsze były i będą. Jest nas wielu, którzy staramy się i starac będziemy o jaknajwyższą kulturę polskiego nacjonalizmu. Dużo da nam pobyt w Anglii, która tak pięknie zmontowała nowoczesny naród, wytworzyła własny odcień religii, własny system elitarny pod postacią masonerii, własny ustrój gospodarczy, polityczny i wojskowy. Wielkość Anglii polega na tym, że stworzyła ustrój całkowicie narodowy. Najbliższy jej sąsiad, Francja, spróbowała przejąć od Anglii jej instytucje narodowe, masonerie, parlamentaryzm o typie anglosaskim, kapitalizm. Te same instytucje, które zrobiły wielkość Anglii, zbudowały Francję. Bo każdy naród musi sam sobie posłać, chcąc się dobrze wyspać. Toteż my nie przejmujemy od Anglików ani ich kapitalizmu, ani ich masonerii, ani ich typu parlamentaryzmu, ani ich sporów z Watykanem. Stworzymy własny ustrój polityczny, jawny. Mieliliśmy nasz własny typ

parlamentaryzmu w epoce Unii Lubelskiej (na sto lat przed pierwszym Liberum Veto) i rozrastaliśmy się wtedy w Commonwealth Rzeczypospolitej. Stac nas i teraz na wychowanie demokracji i nadanie jej własnych, polskich form. Stworzymy własny ustrój gospodarczy, nie zapożyczony ani u Adama Smitha ani u Marxa. Bedziemy pilnie baczyli, by nasz katolicyzm, przy pełnej ortodoksyjności względem Rzymu, miał odcień polski, a nie np. francuski. Wywieziemy z Anglii kulturę ich wspaniałego nacjonalizmu i rozwiniemy ją w Polsce.

Zaluje, Panie Antoni, że Pan tego już na własne oczy nie zobaczy, bo wnioskuje z Pańskich słów, że Pan nie zechce do Polski wrócić. Píše Pan: »Nie chcemy żadnego »skazywania na wielkość«. Nie chcemy Polski z żelaza. Chcemy żyć w zwyczajnym kraju. Nie na szafku, nie na bastionie, nie na barbakanie, nie na przedmurzu, ale w zwyczajnym kraju. Nie chcemy ani misyj dziejowych ani przewodnictwa, nie chcemy ani mocarstwowości ani imperializmu. Chcemy żyć w zwyczajnym kraju.«

To się Panu nie uda, Panie Antoni. Polska nie może być zwyczajnym krajem. Polska, w jej położeniu, może być tylko krajem nadzwyczajnym, i takim będzie. Píše Pan słusznie, że Polska będzie »państwem zależnym od konjunktury, od niepewnych sojuszków, zdanym na hazard wojen. Trzeba wielką mieć odwagę sumienia, by ten kraj wymieczony pchac na drogę krwi i żelaza, by zmieniać te ziemie w obóz warowny.«

Niestety Bóg pchnął ten kraj na drogę krwi i żelaza i zmusił nas do stałego warowania na granicach. I nikt faktu tego nie zmieni głośnymi zapewnieniami, że będziemy sobie żyli na ziemiach polskich po wieczne czasy spokojnie, pod osłoną jakiejś federacji. My, Panie Antoni, wiemy, że Polska na zawsze zostanie warowna żelazem, nie poto by gnieć sąsiadów, lecz by żyć własnym życiem narodowym, tak jak żyją demokracje anglosaskie. Przyjmujemy do wiadomości, że Panu życie w takich warunkach nie odpowiada i że Pan chce żyć życiem zwyczajniejszym od naszego. Proponujemy więc, by Pan się został tam, gdzie demokracja już jest, a nie wracał do nas, do kraju o masach w dużej części niedojrzałych, gdzie będziemy musieli dopiero żmudnie budować demokrację od podstaw i pogłębiać kulturę naszego nacjonalizmu, w hazardzie wojen i trudach misyj dziejowych.

Słyszał Pan zapewne o istnieniu demokracji rzymskiej, która na czas potrzeby ustanawiała sobie dyktatora. Angielska demokracja czyni to samo i gdy przyjdzie potrzeba — emergency — stawia na czele narodu człowieka o tak dyktatorskim zacieciu jak Churchill. Także i Roosevelt ma w sobie więcej z Churchilla niż z Daladiera. Kraje anglosaskie będą mogły po wygranej wojnie pozwolić sobie znowu na Hooverów i Chamberlainów, a nawet na MacDonalldów. U nas stan potrzeby trwać będzie jeszcze bardzo długo, i z nim konieczność silnej władzy. Pierwszym obowiązkiem tej władzy będzie wychowanie u nas demokracji, o formach rodzimych, a nie zapożyczonych od społeczeństw anglosaskich. Zadanie to bardzo piękne i pasjonujące, ale długie i żmudne, i żadnymi frazesami go nie przyspieszymy. Jeśli Pan chce demokracji w pełni i to zaraz po wojnie, i jeśli Pan nie lubi ludzi silnej reki, to niech Pan do Polski nie wraca. Może dopiero Pański wnuk. Jako turysta.

Napisał Pan i o tej naszej tolerancji. Ze powinniśmy mówić Anglikom »o wiekowej polskiej tolerancji«. Boże się, że będzie to niedelikatnie wobec naszych gospodarzy,

bo przecież w czasie, gdy u nas było eldorado tolerancji, oni skazywali na śmierć za katolicyzm i krzyżowali katolików w Irlandii na bramach stodół. I Żydów wygnali w XIII wieku, a po dziś dzień starają się ich wpuszczać do Anglii jaknajmniej. Pozostaje do rozwiązania zagadka, dlaczego przy tych wątpliwych metodach Anglia wyrosła na pierwszą potęgę świata, a my przy naszej tolerancji utraciliśmy niepodległość i krwawimy się co pokolenie. Może Pan to wyjaśni, Panie Antoni? Jeśli by to miało Panu pomóc przy rozwiązaniu tej zagadki, niech Pan przeczyta co napisał w r. 1885 Francuz Edouard Drumont w »La France Juive« str. 146: »Ponieważ Francja miała 800.000 Żydów, wygnała ich w XIV wieku, by istnieć. Ponieważ ich wygnała, stała się największym narodem Europy. Ponieważ Polska przyjęła tych Żydów, zniknęła z rzędu narodów, wydana na pastwę konspiracji i anarchii. Ponieważ Francja z kolei przyjęła spowrotem tych Żydów polskich, jest w stanie upadku.«

Co za prorocze słowa! Spełniły się w naszych oczach! Nie, Szanowny Panie, widzieliśmy tragedię Francji i nie dopuścimy, by to samo powtórzyło się w Polsce. Ale nie będziemy Żydów wyganiali, jak to zrobili swego czasu Francuzi i Anglicy. To nie byłoby w naszym stylu. Prosto zorganizujemy, w porozumieniu z wielkimi demokracjami Zachodu, masową emigrację Żydów z Polski. Będzie to akcja zorganizowana humanitarnie i według najświeższych metod naukowych. Istnieje już dziś zrozumienie dla tej sprawy i u poważnych czynników żydowskich i u części parlamentarzystów brytyjskich. Trzeba tylko akcji konsekwentnej i inteligentnie kierowanej.

Mamy nadzieję, Panie Antoni, że Pan nam w tej akcji pomoże i że Pan odda swe cenne pióro na usługi wielkiej sprawy emigracji z Polski Pańskich rodaków. Wspólnie pilnujemy, by ten nieuchronny proces odbył się w atmosferze godnej naszych wielkich tradycji, na poziomie, na którym chcemy widzieć przyszłą Polskę i przyszły świat.

Co do Pana, to spodziewam się, że znajdzie Pan bez trudu gdzieś na kuli ziemskiej mniej hazardowne miasto, bez szafków i barbakanu, które Pan będzie mógł opiewać rymami mniej wymieczonymi, acz na równie wysokim poziomie.

Lacze szczerze wyrazy

D.

LIST OTWARTY

Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej
i do Gen. Kazimierza Sosnkowskiego *)

Tając przed społeczeństwem polskim akt rozbioru, jakim jest nota bolszewicka z dn. 16. I. br., potwierdzona deklaracją Narkomindielu z dnia 25. I. br., Rząd gen. Sikorskiego zadokumentował, że nawet w tak tragicznych okolicznościach jest zdecydowany iść dalej po linii zbieżnej z wytycznymi polityki sowieckiej, po której idzie od dwu lat.

Niech mi będzie wolno przypomnieć długi szereg posuniec, składających się na politykę Rządu w stosunku do Rosji:

CZERWIEC 1940 — p. Rettinger, współorganizator rewolucji komunistycznej w Meksyku, przywożąc gen. Sikorskiego samolotem do W. Brytanii staje się najbliższym jego doradcą.

LIPIEC 1940 — gen. Sikorski przedstawia sferom brytyjskim projekt p. Rettin-gera utworzenia armii polskiej w Sowietach, pomimo że Sowiety okupują w owym czasie pół Polski i są w sojuszu z Hitlerem; projekt ten napotyka na zdecydowany sprzeciw w Radzie Narodowej.

*) Dodatek nadzwyczajny pisma »Walka« z dn. 20. II. 1943.

Tło tego wystąpienia obrazuje następujący ustęp z »Walki«, podziemnego pisma polskiego w W. Brytanii, Nr. 2, Rok III, z kwietnia 1943:

»Głębokie przesilenie, spowodowane opublikowaniem przez »Walke« not sowieckich ze stycznia br. oraz listem otwartym inż. Doboszyńskiego, doprowadziło, zgodnie z naszym żądaniem, do całkowitej zmiany polityki polskiej wobec Rosji. Jeszcze dn. 17. lutego br. »Dziennik Polski« zamieścił artykuł pióra gen. Sikorskiego, w którym czytaliśmy: »Polityka dotychczasowa Rządu Polskiego wobec Rosji dała rezultaty pozytywne, wszystkim dobrze znane, a żadnych szkód nie wyrzadziła. Kontynuowanie tej polityki zatem w atmosferze spokoju i opanowania, a nie w atmosferze hysterii i megalomanii, jest podyktowane polską racją stanu.« Natomiast już w tydzień później, w dn. 25. lutego, a więc w pięć dni po ogłoszeniu dodatku nadzwyczajnego »Walki« z listem Doboszyńskiego, Rząd ogłosił stanowczą deklarację w sprawie naszych ziem wschodnich, po czym, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmienił się całkowicie ton prasy rządowej przy omawianiu spraw polsko-rosyjskich.«

W kwietniu 1943 nastąpiło wystąpienie Rządu Polskiego w sprawie Katynia i zerwanie stosunków dyplomatycznych z rządem sowieckim. Z początkiem lipca gen. Sikorski zginął.

LIPIEC 1941 — gen. Sikorski bez upoważnienia Prezydenta Rzplitej, a więc ze złamaniem Konstytucji, wbrew Radzie Narodowej i M. S. Z., zrezygnowawszy z pomocy Stanów Zjednoczonych, zawiera z Sowietami umowę, w której brak wyraźnego zrzeczenia się przez Sowietów zabranych nam ziem i wprowadzone jest tragiczne pojęcie amnestii, tak przydatne Sowietom do pozbawienia naszych rodaków praw w nocy z dn. 16. I. br.

Dalsze fakty:

Min. Seyda tłumaczy przez radio Krajowi, że pakt polsko-sowiecki uległ poprawie. List amb. Ciechanowskiego w sprawie swobody praktyk religijnych w Sowietach. Wywiad ks. Kaczyńskiego z dziennikiem nowojorskim »P. M.«.

Szalszowanie wywiadu gen. Sikorskiego po powrocie z Moskwy dla prasy anglosaskiej odnośnie losu Polaków w Rosji.

P. Littauer, główny agent min. Strońskiego, pisze w »Times« o Grodnie.

Rząd polski zataja noty bolszewickie z grudnia 1941, stycznia 1942 oraz jesieni 1942.

Czerwiec 1942 — Rząd polski tai aresztowania delegatów oraz członków ambasady.

Min. Stroński przy pomocy cenzury uniemożliwia prasie polskiej omawianie stosunków polsko-sowieckich oraz wprowadza Kraj systematycznie w błąd co do stanu stosunków polsko-sowieckich.

Rząd polski tai pogorszenie losu Polaków w Rosji.

Władze polskie zakazują żołnierzom, przyjeżdżającym z Rosji, informowania Brytyjczyków o swych przeżyciach.

Artykuł p. Kleczkowskiego, urzędnika ambasady londyńskiej, w »Picture Post«. Zakaz min. Kukieła, czytany na odprawach oficerskich jeszcze po dniu 16. I. 1943, wyrażania się ujemnie o Sowietach wobec Brytyjczyków.

Artykuł K. Pruszyńskiego, referenta prasowego Rady Ministrów, w »Wiadomościach Polskich«.

Wprowadzenie w błąd całego I. Korpusu W. P. przez gen. Sikorskiego w przemówieniu w czasie rewii pod Edynburgiem.

Zatajenie noty z dn. 16. I. br. oraz deklaracji z dn. 25. I. br.

Wysłanie amb. Romera z powrotem do Rosji, po nocy z dn. 16. I. br. i deklaracji z 25. I. 43, co mimo papierowych protestów wywoła wrażenie, że zgadzamy się na rozbiór.

Faktów takich mógłbym podać więcej. Powyżej podane wystarcza jednak dla zrozumienia, jaka metoda jest w tym szaleństwie.

Panie Prezydencie!

Panie Generale!

Czas z tym skończyć. Położenie Polski stało się tak tragiczne, że nie wolno nam tracić ani minuty.

Musimy przestawić naszą politykę całkowicie. Musimy zacząć mobilizować opinie całego świata w obronie Polski przeciw Sowietom. Musimy stworzyć Rząd, złożony z najteższych ludzi, którymi rozporządza Narod.

Panu, Panie Prezydencie, narzucono na jesieni 1939 zobowiązanie nie usuwania gen. Sikorskiego. Zobowiązanie to jest sprzeczne z Konstytucją i całkowicie nieważne; są to pacta conventa, przypominające najgorsze wzory z epoki upadku Rzplitej.

Wszystkie Głowy Państw Sojuszniczych, przebywające w Londynie, dokonały już zmian rządów.

Niech Pan stanie, Panie Prezydencie, na wysokości historycznego zadania i usunie Rząd, prowadzący Polskę do zguby.

Człowiekiem, który cieszy się zaufaniem ogółu Polaków, jest gen. K. Sosnkowski.

Niech Go Pan powoła do władzy, Panie Prezydencie.

Niech Pan tworzy Rząd, Panie Generale. Nie wolno się Panu wahać ani usuwać.

Ratujcie Polskę, pogrążaną coraz głębiej przez ludzi nieodpowiedzialnych. Poprawa was polscy żołnierze i wszystko, co w Narodzie uczciwe i ofiarne.

W Szkocji, dn. 15. lutego 1943.

ADAM DOBOSZYŃSKI

POLEMIKA Z PROF. PRAGIEREM*)

Zaczyna wchodzić w zwyczaj, że co roku na prima-aprilis nazwisko moje pojawia się na szpaltach subsydiowanych wydawnictw. Rok temu — siedziałem wówczas w więzieniu za wysunięcie żądania zaprzestania polityki ustępstw w stosunku do Rosji — oszkalowano mnie anonimowo; do dziś dnia nie mogę rozwiązać zagadki, czy autorem tego anonimu był p. Slonimski czy p. Pruszyński czy też (najprawdopodobniej) obaj razem. W b. roku podjął się tej roli p. Pragier, który na łamach »Robotnika« z dnia 1. IV. br. w artykule p. t. »Na manowcach federalizmu« zaatakował równocześnie gen. Żeligowskiego i mnie. Ton tego ataku i użyte przy tym »chwyt« zwalniają mnie od obowiązku odpowiedzi, ponieważ jednak p. Pragier cieszy się u wielu ludzi opinią człowieka przyzwoitego, więc nie zawadzi naświetlić stosowane przez niego metody.

Chwyt Nr. 1: p. Pragier daje »recenzję« mej pracy, która ukazała się z górnymi latami temu. Tymczasem przed sześciu miesiącami wydałem dalszy ciąg tej pracy, znacznie od części pierwszej obszerniejszy i bardziej udokumentowany; przemilczenie tego świeżego wydania przy spóźnionej o trzy lata recenzji części pierwszej tłumaczy się prosto tym, że szereg wysuniętych przez p. Pragiera twierdzeń wyglądałoby w świetle moich późniejszych wywodów niepoważnie, a w szczególności nie dałoby się wysunąć insynuacji (chwyt Nr. 2), jakoby teorie »wielkiego narodu« wysnuł z niemieckiej teorii »Lebensraumu« i »wielkich obszarów«. Czytelnicy mego »Wielkiego Narodu« wiedzą dobrze, że teorie moje oparłem na dorobku naukowym angielskim i że za klasyczne »wielkie narody« świata uważam przede wszystkim W. Brytanie i Francję, a dopiero w drugiej kolejności, wśród szeregu innych, Niemcy. W szczególności powstanie »wielkiego narodu« brytyjskiego przez zespolenie się z sobą Anglii, Szkocji, Walii i części Irlandii wysunąłem jako wzorowy przykład takiego procesu, w którym unifikacja wielkonarodowa nie przeszkadza zachowaniu własnego oblicza poszczególnych zrastających się z sobą narodów. P. Pragier wolął udac, że drugiej części mej pracy nie zna, bo nie mógłby wtedy tak beztrosko przeinaczać mej myśli, jak to czyni w stosunku do mego tekstu z przed lat trzech. A może p. Pragier rzeczywiście przeoczył ukazanie się części drugiej »Wielkiego Narodu«, choć były o niej parę miesięcy temu obszernie recenzje pióra red. Mackiewicza oraz p. Janeckiego w »Myśli Polskiej?«.

*) Drukowana w wydawnictwie S. Mackiewicza pt. »Przed Majem«, Londyn, kwiecień 1944 r.

Przejdźmy do chwytów następnych. A wiec p. Pragier pisze, że chce »spolszczyć« Ukraińców i zapytuje, jak to zamierzam zrobić, skoro ich jest 40 milionów, a Polaków 25 milionów? P. Pragier należy do tych zupełnie wyjątkowych czytelników »Wielkiego Narodu«, którzy nie zrozumieli, że nie chce »spolszczyć« Ukraińców, tylko głosz konieczność stworzenia z kilku niesłychanie sobie blisko pokrewnych mowa, wiara, krew i kultura ludów (a wiec nietylko Polaków i Ukraińców, ale i Białorusinów i Czechów i Słowaków), jednolitego stopu narodowościowego, analogicznego do wysoce złożonych narodów nowoczesnych takich jak Francja, W. Brytania, Stany Zjedn., Hiszpania itp. Proces taki zająłby oczywiście szereg pokoleń. Ze nie chodzi tu o »spolszczenie« wynika nietylko z mego tekstu, lecz i z samych cyfr ludności, z których widac, że naród polski byłby w takim związku w zdecydowanej mniejszości, a wiec nie mógłby narzucac swej przewagi innym partnerom. Traktowanie na równych prawach mowy polskiej i ruskiej na wszystkich płaszczynach życia z uniwersytetami włącznie, alfabet wspólny dla wszystkich partnerów Unii (projekty wspólnego alfabetu polsko-czeskiego istnieją już oddawna, a i u Ukraińców myśl wprowadzenia alfabetu łacińskiego nie jest nowa), to wszystko środki dowodnie wykazujące, że nie chce »spolszczyć«, lecz daże do transakcji uczciwej, jednako honorowej dla wszystkich zainteresowanych. Metoda polemiczna p. Pragiera polega na twierdzeniu, że chce »spolszczyć«, a następnie cytowaniu proponowanego przezemnie wspólnego alfabetu, równouprawnienia językowego itp. jako dowodów, jak to wszystko do siebie nie pasuje.

Chwył następny (Nr. 4) to powiedzenie, że »Doboszyński doszedł do skonstruowania teorii, że istotnym sprawdzianem istnienia narodu jest jedynie tylko »zdolność skutecznej walki o niepodległość«, a w szczególności walki zbrojnej«. Tak napisał p. Pragier. W rzeczywistości zacytowałem w mej pracy szereg cudzych definicji narodu, lecz nie dałem żadnej własnej, tłumaczac się dlaczego. Wśród cudzych definicji podałem również definicje prof. Muir'a, Szkota, jednej ze sław świata naukowego anglosaskiego, ilustrując działanie tej definicji na paru przykładach. Otóż p. Pragier z zimna krewia polemizuje z tą definicją jako z moja, mimo że z tekstu »Wielkiego Narodu« wynika niezbitcie, że autorem jest prof. Muir.

P. Pragier uderza w wysokie »c« w obronie zasady federalizmu, jako rzekomej idei XX wieku, przeciwstawiając ja tezom gen. Zeligowskiego i mojej. Zestawienie obok siebie obu tych tez, to jeden wiecej z chwytów p. Pragiera. Teza gen. Zeligowskiego nie jest w istocie swej niczym innym, jak propozycją włączenia narodu polskiego w »wielki naród« rosyjski, czyli przesunięcia naszego narodu z Europy do Azji i tragicznej jego likwidacji. Ubolewam, podobnie jak cały ogół polski, nad tym, że gen. Zeligowski wysunął taką propozycję, przerażająco realną właśnie dziś; wszak okupacja Polski przez Rosję na przeciąg jednego pokolenia (choćby w formie włączenia Polski jako XVII republiki do Z.S.R.R.) może wystarczyć do bezpowrotnego rozplynięcia się Polaków w »wielkim narodzie« rosyjskim. Przyznaje, że teza gen. Zeligowskiego wydaje się w obecnej chwili aktualniejsza od mojej, niesie ona jednak Polsce śmierć, podczas gdy moja koncepcja jest poprostu przypomnieniem organicznych procesów historycznych, które nawiązały się w wieku XIV i przebiegały po nasze czasy.

Z wywodów p. Pragiera wydaje się wynikać, że skoro unie Polski z Litwa i Rusia zrobił król, to podobna unia nie jest do pomyslenia dziś, kiedy państwami rządzi premierzy. Oto przykład, do czego prowadzi niehistoryczne myślenie, którego produktem jest naiwna wiara, że »przyszłość« przyniesie »zupełnie coś nowego« i że wobec tego należy ignorowac to, co się w danym katku świata działo przez ubiegłych tysiac lat. Oto charakterystyczny fragment z artykułu p. Pragiera: »Dojrzała już powszechnie myśl, że ustroj Europy po wojnie musi być oparty na zespolach państw o bliskich lub pokrewnych interesach. Wymaga to pracy konstrukcyjnej nad budowa tych zespolów, pracy tym trudniejszej, że niema w historii żadnych w tej dziedzinie precedensów. Dotychczasowe zespoli państw były oparte bądź na interesach dynastycznych, bądź na podbojach. Teraz, poraz pierwszy w dziejach, prace zespolowa mają podjac z wolnej decyzji — same narody«. Tak napisał p. Pragier. Nie widzi żadnych »precedensów«. Zaczyna »poraz pierwszy w dziejach«. Pozwole sobie mu przypomniec, że »zespoli państw« zawiązywali »z wolnej decyzji« już starożytni Grecy i Rzymianie, nie licząc bardzo wielu późniejszych takich zdarzeń opisanych w historii powszechnej, i we wszystkich takich wypadkach »zespoli« te rychlo rozlatywały się, jeśli ich partnerzy chcieli utrzymac na stale pełną odrebność, a nabierały cech trwałych jedynie wówczas, jeśli dochodziło do procesów fuzji etnicznej. Różnica między mna a pp. federacjonistami z tradycyjnej szkoły »lewicowej« polega na tym, że ich projekty federacyjne chcą zachowac pełną niezależność narodowa dla poszczególnych partnerów (choć dążenie takie prowadzi z reguly do rozpadnięcia się federacji), ja natomiast wysnuwam z »precedensów« nauke, że federacja, chcąc się utrzymac, musi być organiczną, t. zn. musi przelamac suwerenność i odrebność narodowe i z biegiem pokoleń musi doprowadzic swych uczestników do zlania się w jeden wspólny, złożony, »wielki« naród, stanowiący stop etniczny wyższego rzędu. Kto z nas jest utopista — ja czy panowie miedzynarodowcy? Chyba że — propagując swój typ mechanicznej federacji licza oni zgóry na to, że się to skończy katastrofa dla zainteresowanych narodów? A może o to właśnie chodzi? Przecież w ich mechanicznej federacji pierwsze lepsze ościenne mocarstwo odstreczy pierwszego lepszego Benesza. Papierowa konfederacja z Czechami z r. 1940, dla zawarcia której Rząd nasz pomógł Beneszowi kreowac się samozwańcym »prezydentem«, niech nam będzie nauka i przestroga. Konfederacja uleciała z wiatrem, p. Benesz został się i szkodzi.

Mógłbym jeszcze wymienic sporo chwytów polemicznych p. Pragiera, lecz ogranicze się do jednego: zapewne dla nadania wiekszej wagi swemu rozumowaniu p. Pragier uznał za stosowne nazwac mnie »niedoszłym führerem myślenickim«. Traf chce, że na dzień przed »recenzją« p. Pragiera wpadł mi w rece numer moskiewskiej »Wolnej Polski« z dn. 31. XII. 1943 r., w którym przedrukowano wzmianke londyńskiego »Robotnika« na temat rzekomego przemianowania przez Niemców moim nazwiskiem jednej z ulic w Myślenicach. »Robotnik« londyński (podkreślam londyński, bo »Robotnik« w Warszawie zdażył już jawnie przejść na usługi komunistów) przedrukował te wzmianke za »W. R. N.«, organem socjalistów w Kraju. Jak się ten łańcuszek cytat pięknie zamyka: Warszawa, Londyn, Moskwa? Nie dziwmy się, boć Wanda Wasilewska, córka czolowego socjalisty i sama b. członkini P. P. S., to krew z krwi

i kość z kości prywiślańskiego socjalizmu. Najlepsze w tym wszystkim jest to, że świeżo przybyły z Kraju emisariusz stwierdza, że ulicy mego imienia w Myślenicach wogóle niema. Organ Wasilewskiej, cytując za organem pp. Slonimskiego i Pragiera, nie omieszkał dodać, że moja wyprawa na Myślenice miała charakter »antychłopski«. Nie wracałbym do tak zamierzchłych spraw gdyby marksiści warszawsko-londyńskomoskiewscy tak uporczywie ich nie odgrzewali w tej nadziei, że z upływem czasu prawdziwy stan rzeczy zatarł się już w pamięci ludzi i że można klamać bezkarnie. Dla porządku przypominam więc, że w wyprawie na Myślenice wzięli udział, poza mną, wyłącznie tylko chłopcy i robotnicy, a celem tej wyprawy (potwierdzonym zeznaniami sadowymi dziesiątków świadków) była demonstracja polityczna, mająca zwrócić uwagę całej Polski na fatalne warunki, w których na skutek nadużyć administracji państwowej żyła ludność chłopska i robotnicza powiatu myślenickiego. Sprowadzony na mój proces przez prokuratora dygnitarz policyjny, komendant policji na powiat myślenicki, zeznał, że »ludność tego powiatu odnosiła się do władz polskich jak do okupantów«. Dosłownie! O cztery mile od Krakowa, w najbardziej polskim zakątku Polski! Dziś słowa te brzmią jeszcze wymowniej niż wówczas, ale już wtedy wystarczyły, by siedziowie przysięgli mego rodzinnego miasta zaprzeczyli jedynemu miemu winie na postawionych im dwanaście pytań, w pierwszej a zarazem jedynej uczciwej rozprawie sadowej, która w mej sprawie przeprowadzono. Zostanie tajemnicą przyzwoitości polemicznej p. Pragiera, jak można się było kusić o zdobywanie władzy »führera« nad Polską przy pomocy kilkudziesięciu chłopów w zapadłej powiatowej mieścinie. Sprawa myślenicka sprowadza się do walki ze złem, które nabrzmić może gdziekolwiek, nawet w Myślenicach; zwykłem takie wrzody rozcinac, ilekroć znajduje się w zasięgu mego działania.

EKONOMIA KRWI*)

Albo — albo.

Albo Niemcy utrzymają wojska sowieckie na wschód od naszych granic i zalamia się militarne w chwili, gdy beda jeszcze okupowały całość ziem Rzeczypospolitej. Wówczas położenie będzie jasne: armia krajowa opanuje zbrojnie Kraj i polskie władze cywilne obejmą nad nim rzady.

Daj Boże, by taki był obrót rzeczy. Dla dobra Polski i dla pokoju świata.

Albo — w pościgu za cofającymi się Niemcami wojska sowieckie przekrocza Zbrucz. Nie wolno nam zamykać oczu na przeraźliwa prawda, że grozi nam wówczas, z dużym prawdopodobieństwem, zajęcie nie tylko Ziemi Wschodnich, ale całej Polski wraz z wszystkimi tego zajęcia konsekwencjami: armia Berlinga, komisarzem rządem Drobnera i Kornijczukowej, sierpem i młotem na Wawelu, »demokratycznymi« wyborami i plebiscytem, N.K.W.D., łagrami i 17-ta republika.

Ten wypadek określono niedawno w jednej z emigracyjnych publikacji słowami: *finis Poloniae*. Podobnie niesłuszne jak byłyby te słowa w ustach Kościuszki pod Maciejowicami (który ich zreszta nie wypowiedział), byłyby i dziś. Skończyć się może tylko naród schorzały i zgangrenowany. Naród polski, zdemoralizowany wprawdzie w swej obecnej grupie kierowniczej, lecz zdrowy w swej masie, przetrwa w przyszłości każdy kataklizm, podobnie jak przetrwał półtora wieku rozbiorów. Poczynając od połowy XVIII wieku z każdego pokolenia Polaków najlepsi wędrowali na Sybir, a jednak Naród przetrwał i w r. 1920 zwyciężył pod Warszawą.

O »wojne ludów« modlił się Mickiewicz. Tylko ona, wówczas jak i dziś, wyłonić może gmach Rzeczypospolitej i pognebic grożące nam z Zachodu i Wschodu zaborcze kolosy. Ale wówczas, gdy całe pokolenia Polaków modliły się o te wojne bezskutecznie, my jesteśmy w położeniu szczęśliwszym: wojna ludów toczy się. Zaczęła się od sojuszu naszych dwu zaborców; w jej drugiej fazie zaborcy ci rzucili się na siebie; w trzeciej fazie, gdyby nawet Rosja miała rozgromić Niemców i okupować Polskę, konflikt nie skończy się, gdyż cień jej padnie na cały świat i jej złowrogie podkopy zaatakują rychło cały gmach zachodniej cywilizacji. Wierzmy niezłomnie, że w takim wypadku świat zachodni będzie musiał stanąć do rozprawy z Moskwą i że na rozprawie te czekać będziemy niedługo. Ostatnia konferencja w Moskwie porównano trafnie do konferencji monachijskiej z r. 1938; wracających z Monachium Chamberlaina i Daladiera witano entuzjastycznie jako tych, którzy uratowali pokój na długie lata . . .

* * *

*) »Walka«, Londyn, listopad 1943 r.

Jakaż więc w tej chwili powinna być linia postępowania Narodu polskiego?

Naczelnym naszym zawołaniem powinna dziś być ekonomia krwi (której tak mądry przykład dają nam w obecnej wojnie Brytyjczycy). Jeśli Naród nasz wyłoni się w dobrej kondycji z tej strasznej konwulsji dziejowej, czeka go wielka przyszłość. Jeśli się skrwawi powyżej dopuszczalnej granicy, braknie mu sił do odbudowy niepodległego bytu.

Zauważmy: wszystkie agentury pchają nas dziś do przelewu polskiej krwi. Najgorliwszymi zwolennikami powstania w Polsce (t. j. akcji zbrojnej zanim potęga militarna Niemiec nie będzie ostatecznie złamana) są dziś komuniści oraz najciemniejsi doradcy po pokatnych zakamarkach naszej londyńskiej maszyny państwowej. Rozważając jednak sprawę z punktu widzenia polskiej racji stanu, powstanie, czy przeciw nie złamanym jeszcze militarnie Niemcom czy przeciw wkraczającej zbrojnie na ziemie polskie Rosji, byłoby dziś posunięciem samobójczym. Potrzebne były może powstania za czasów rozbiorowych, by Naród nie rozłożył się w niewoli. Warto może było poświęcić na ten cel w każdym pokoleniu kilkadziesiąt tysięcy żyć ludzkich. Ale dziś położenie nasze przedstawia się inaczej; po hekatombie września 1939, po czterech latach podziemnego oporu, po łagrach niemieckich i sowieckich, Naród nie potrzebuje podniety do patriotyzmu. Wysuwany bywa argument, że powstanie, czy przeciw jednemu czy drugiemu zaborcy, potrzebne byłoby dla celów propagandy, dla zmanifestowania wobec świata naszych praw i naszej woli do niepodległego bytu. Nie uważamy argumentu tego za trafny; nasze zamilowanie do wolności znane jest światu dostatecznie; przeciw Niemcom walczyliśmy we wrześniu 1939 sami i pierwsi, natomiast ewentualne powstanie przeciw najeźdźcy ze Wschodu wygrałoby propagandowo Sowiety, których aparat propagandy działa o ileż sprawniej od naszego. Wmówiłoby się Zachodowi, że to rece Ukraińców i Białorusinów, a na zachód od Sanu i Bugu rece polskiego proletariatu, zdławiły powstanie »oficerów i obszarników«. Propagandowe zwycięstwo Sowietów w sprawie katyńskiej niech będzie dla nas nauką i przestroga. Z powstaniem czy bez powstania, całość naszych ziem odzyskamy dopiero w razie wielkiego osłabienia Rosji w zapasach z Niemcami, względnie po pobiciu Rosji przez świat zachodni; żadne krwawe gesty przedsięwzięte przedwcześnie nic nam tu nie pomogą. Wręcz przeciwnie powstanie, likwidujące ostatecznie element przywódczy Narodu, może uniemożliwić późniejsze wykorzystanie pomysłu dla nas obrotu wypadków.

Widząc rosnący w społeczeństwie polskim opór przeciw idei powstania, lansuje się dziś z pewnych stron pojęcie »samoobrony«. Wypadki tej samoobrony w stosunku do Niemców należą od kwietnia br. do zdarzeń codziennych. Trudno patrzeć z wyspy brytyjskiej ocenić dziś, o ile się one oplacają w rozrachunku obustronnie przelanej krwi. O ile jednak samoobrona w stosunku do przegranych wojnie Niemców może mieć w pewnych okolicznościach sens i cel, o tyle samoobrona w stosunku do okupujących Polskę na dłuższy (choćby nawet tylko kilkumiesięczny) okres Sowietów w żadnym razie oplacić się nie może.

Taka okupacja, po doświadczeniach lat 1917/20 i 1939/41, społeczeństwo nasze przyjac może w jednej tylko możliwej postawie: przetrwania.

W związku z tym nasuwa się pytanie: czy ludzie, przewodzący dotychczas oporowi zbrojnemu przeciw Niemcom, mieliby zostać w Kraju i przeprowadzić nadal akcję przetrwania pod Sowietami? Co jest bardziej wskazane: czy ewakuacja wszystkich aktywnych elementów, czy też ich trwanie w Kraju?

Rzecz tę rozstrzygnąć musi Kraj, w którym szeroko się już dzisiaj o tym dyskutuje, ale czas postawić do pytania publicznie i na emigracji, by udaremnić gre czynników, które chcą dalej osłabić Naród polski będą próbowały ewakuację udaremnić. Rząd londyński może ewakuacji decydująco pomóc odpowiednimi zabiegami u Mocarstw Sprzymierzonych i naszych sąsiadów. Stawiamy sprawę jasno i otwarcie: przygotowanie ewakuacji wszystkich czynników zaangażowanych dotychczas w walce podziemnej, jak również wszystkich elementów społecznych, dla których okupacja sowiecka stanowiłaby automatycznie wyrok zagłady, stanowić dziś powinno jedno z głównych zadań naszego Rządu.

Powtarzamy raz jeszcze: daj Boże, by do tego nie doszło, ale przygotować się na to trzeba. Nie obawiamy się, że ewakuacja taka pozostawiłaby masy Narodu bez kierownictwa; do trwania trzeba by innego typu elementów przywódczych niż do działania. Elementy tego drugiego, aktywnego typu, powinny opuścić ziemię polską, by ratować życie zagrożone bezapelacyjnie i bezpożytecznie w razie okupacji Kraju przez Sowiety. Nowe zespoły kierownicze — do trwania — wyłoniłyby się rychło same.

Daj Boże, by nie doszło do tej ewakuacji. Daj Boże, byśmy wrócili zaraz po klęsce Niemiec do wolnego Kraju. Możliwość ta nie jest jeszcze bynajmniej wykluczona. Losy nasze rozgrywają się dziś pod Kijowem i Mińskiem. Ale nie wolno nam — przez tchórzostwo czy lenistwo — nie przygotować się na najgorsze.

Po długiej przerwie w niepodległym byciu, Naród nasz powoli dojrzewa do kierowania własnymi losami. W czasie obecnej wojny zdaliśmy egzamin wcale nieźle; mimo zainteresowanej propagandy, gloszącej urbi et orbi o naszej rzekomej klótlwości, daliśmy przykład zgody narodowej, z którym żaden inny z okupowanych narodów równać się nie może. W tej najcięższej chwili złożymy jeszcze dowód umiejętności, cechującej bardzo tylko dojrzałe narody — dowiedźmy, że stac nas na oszczędna gospodarke żywa substancja Narodu; obok rządu dusz pamiętajmy i o ekonomii krwi.

SPIS RZECZY

	Strona
Słowo wstępne	5
Artykuły i odczyty	7
G. K. Chesterton	9
Wielki Naród	18
Chłopska demokracja	28
Klucz do Pilsudskiego	35
Jakie założenia planowania gospodarczego są już dziś wspólne ogó- lowi Polaków?.....	39
Adept Hiram.....	54
Nieogłoszona przedmowa	62
Nie spierajmy się o sprawy bezsporne	65
Dwa narody	81
Londyn i Rzym.....	85
Czy katolicyzm prowadzi narody do upadku?.....	89
Dwie płaszczyzny nacjonalizmu	96
Bronie Anglików	104
Teoria narodu	113
Nacjonalizm i internacjonalizm	115
Uniwersalizm	119
Od ludu do narodu	120
Wielkie narody	124
Naród a państwo	132
Naród w rozproszeniu	139
Mniejszości narodowe	145
Plebiscyt	150
Małe narody	152
Federacja celem czy środkiem?.....	155
Organizacja świata	163
Taktyka wielkich idei	166
Budowa wielkiego narodu	169

	Strona
Ekonomia Milosierdzia	181
Słowo wstępne	183
Przedmowa A. C. F. Beales'a	184
Założenia zasadnicze	191
Praca	191
Sprawiedliwość wymienna i rozdzielcza	191
Handel	193
Odsetki	194
Własność	195
Rozdział I. Odsetki	197
Kamień węgielny ekonomii	197
Trzy reguły	203
Wypadki zasługujące na kompensate	207
Depozyty bankowe	209
Zadanie dla ekonomistów	213
Zmierzch złota	216
Rozdział II. Własność	221
Etyka posiadania	221
Własność rodzinna	228
Schorzenia własności	231
Rozdział III. Zysk	235
Dwa oblicza wartości	235
Monopol przemysłowy	238
Monopol oparty o władzę	244
Monopol oparty na zмовie	245
Monopol samorządny	246
Monopol ziemi	247
Stopniowanie cen	251
Zysk czy usługa	252
Slusznosc	252
Rozdział IV. Koncentracja	255
Szczęście szarego człowieka	255
Wzrost koncentracji	258
Mit koncentracji	259
Wolność	261
Rozdział V. Ekonomia stałego bezrobocia	264
Odkrycie	264
Milosierdzie	267
Znachorstwo i medycyna	268

	Strona
Rozdział VI. Dekoncentracja	275
Poskromienie maszyny	275
Techniczna strona dekoncentracji	276
Dekoncentracja w praktyce	282
Pierwsze kroki	285
Wojna i pokój	287
Dekoncentracja ludzi	288
Koncentracja trwała	289
Rozdział VII. Ustrój funkcjonalny	294
Jedność z wielości	294
Dzieje organizacji korporacyjnej	296
Migawki	300
Rozdział VIII. Ustrój polityczny a gospodarka	306
Władza a posiadanie	306
Upowszechnienie własności warunkiem samorządu	308
Jednostronny parlament	310
Wnioski	311
Rozdział IX. Gospodarka międzynarodowa	312
Smutna opowieść o Wuju Samie	312
Starzy znajomi	316
Milosierdzie w stosunkach między narodami	322
Rozdział X. Ekonomia na rozdrożu	326

Regimen commixtum

Rozdział I. Pare słów o metodzie	333
Rozdział II. »Duplex ordo« i »regimen commixtum«	336
Rozdział III. Głowa Państwa	343
Rozdział IV. Elita	356
Krażenie elit	356
Wychowanie elity	365
Masoneria	366
Organizacja Polityczna Narodu	372
Wytyczne Organ. Polit. Narodu	379
Rozdział V. Masa	393
Masa a elita	393
Demokracja bezpośrednia	404
Przedstawicielstwo	409
Zasada Monteskiusza	432
Partie	434
Higiena polityczna mas	443
Rozdział VI. Ewolucja ustrojowa	444

	Strona
Leczenie kompleksów	457
Wystąpienia publiczne	467
List otwarty do p. A. Slonimskiego	469
List otwarty do Prezydenta Rzeczypospolitej i do gen. K. Sosnkowskiego	474
Polemika z prof. Pragierem	477
Ekonomia krwi	481
Spis rzeczy	485
Indeks	489

INDEKS

Alfabet zachodnio-słowiański 175—176
Arbitraż 253

Bank emisyjny 354—355, 401
Banki (patrz »Kredyt«)
Bezrobocie 215, 219, 264—274
Bronzownictwo 59—60, 458
Brytyjczycy 85—88, 104—111, 472
Bunt 344—345

Cena godziwa 226, 314, 316
Cenzura 296, 395—399
Chesterton 9—17, 278, 297
Cła 243, 314, 320
Cykl ewolucji ustrojowej 447—454
Cywilizacja przemysłowa (industrializm) 10, 257, 270, 301—302
Czas pracy 269—272

Deflacja 209, 218—220, 269
Dekoncentracja 275—289, 308, 401—402
Demokracja 28—34, 306—307, 341—345, 404—408, 429, 438, 444—447, 472
Demokracja autorytatywna 307
Diaspora 139—145
Dmowski 16, 67, 77—78, 97, 135, 148, 340, 373—377, 382, 388, 440, 449
Dwuzbowość parlamentu 414—415
Dwujęzyczne obszary 173
Dyktatura 450
Dystrybucyjizm 12, 229, 278, 282
Dziedziczne środowiska 358—361, 365—366, 372

Egoizm narodowy 119—120
Ekonomia (stan obecny) 326—330
Elita 356—392, 405, 414—416, 433, 435, 440, 443
Elit krażenie 356—365, 443
Ewolucja ustroju 352—353, 391—392, 444—454

Federacja 102, 155—162, 165, 168, 447, 470—471, 477—479
Funkcjonalna organizacja 165, 294—296

Gielda 238
Głowa Państwa 84, 170—171, 343—355, 404—405, 416, 433—434, 443, 453
Grecko-katolicka cerkiew 24

Handel 47, 193, 252, 316—319
Holding 243, 245, 259

Inflacja 209, 219, 317
Internacjonalizm 115—119, 164, 179

Jagiellońska idea 20—21

Kanclerz 350—351, 354
Kapitalizm 12—13, 50, 73, 105, 183, 200, 202, 213, 219—220, 222, 227, 230, 233, 235—254,
255—259, 263, 266—275, 277, 281—282, 286—288, 303, 305, 307, 310, 315, 324,
394, 396, 401—404, 471—472
Kapitał 223—225
Karta Atlantycka 152, 320
Katolicki ustrój 11—14, 64, 197—198, 200—201, 208, 216, 221—223, 228—229, 254, 258,
267—270, 283, 297, 302, 306—307, 311, 322—325, 334—345, 372, 379, 389—390
Katolicyzm a protestantyzm 10—11, 14, 63, 89—95, 200, 371, 385, 470
Kino 401—403, 443
Kodeks Obywatelski 377, 381—382, 388
Kolonie 145, 320—321
Ko-masoneria (patrz »Teozofia«)
Kompleksy psychiki narodowej 363, 409—410, 457—466
Koncentracja 51, 202—203, 227, 254—263, 275—293, 307—308, 396, 401—403
Konfederacja 155—157, 162, 479
Konfederacja (staropolska) 56, 431
Konspiracja (patrz »Tajne związki«)
Konstytucja 3-go Maja (patrz »Sejm Czteroletni«)
Kontrola publiczna 354—355, 406, 443
Korporacjonizm 43—44, 285, 294—305, 311, 360—361, 398—399, 417—420, 443
Kościuszko 37, 54—61, 82
Kosmopolityzm 115, 119
Kredyt 43—44, 49, 194, 197—220, 231—234, 243, 286, 303, 311, 315, 318, 322—324,
354—355, 396, 401

Liberum Veto 56—57, 431—432, 450, 472
Lichwa 194, 197—200, 207, 213—216, 243, 311, 315—316
Lud (patrz »Masa«) 120—122, 151
Ludowy ruch 440—441

Marksizm 41—50, 70—71, 230, 260—261, 278, 369
Masa 28—34, 263, 307, 393—446
Masoneria 54—63, 76—77, 93, 105, 115, 163, 165, 176, 345, 357, 359, 363—392, 399—400,
407, 420—421, 433, 438—442, 446, 452—453, 471—472, 482
Maszyna 259—261, 275—282, 311
Metoda badań ustrojowych 333—335
Mieszkaniove budownictwo 230—231
Miedzymorze 42, 69, 100—103, 110, 162, 172, 465
Milosierdzie 267—268, 322—325, 369
Mistycyzm 62—64, 369, 388—390, 448
Mniejszość narodowa 121, 145—149, 166—167
Monarchia 170—171, 339—342, 344, 347—348, 350
Monoidea 381, 385, 433
Monopartia 118, 367, 377—378, 380, 440
Monopol 211, 238—251, 314, 316, 320—322, 401—402
Monteskiusza zasada 411, 432—434

Nacjonalizm 36, 68—69, 96—103, 115—120, 125, 135, 146, 157, 163—165, 470—471
Najemnictwo 259, 285
Narodowość 120—121, 125, 151
Narodowy ruch 35—37, 41, 44, 77—78, 120, 134—135, 149, 163, 178—179, 340,
372—378, 382, 384, 386—387, 406, 434—435, 440—442, 462
Naród (definicje) 120—124
Naród mały 152—155, 166—167
Naród wielki 18—27, 124—135, 145—155, 158—160, 166—179, 477—479
Nominacja 361—365

Obrady 425—432
Odsetki 194, 197—216, 243
Oligarchia (plutokracja) 13—14, 288, 341
Organizacja Polityczna Narodu 372—392, 401, 408, 433, 435, 439, 453
Osadnictwo zamorskie 145, 321—322
Osobowość 42, 148, 227, 284—285, 412
Oszczędności 209—211, 225—228, 231—234, 252, 258

Państwo narodowe 125, 132—137, 141, 146, 153—154, 163, 166—167, 178
Państwo światowe 118
Państwo wielo-narodowe 135—139, 168

Papieży wypowiedzi o:
formach rządów 334
funkcjonalnej organizacji 295
granicach własności prywatnej 185
korporacjach zawodowych 298—299
masonerii 93, 371
milosierdziu między narodami 324
mniejszościach narodowych 149
nacjonalizmie 119
narodach 119, 153
narodach mniejszych 153
odsetkach 199
organizacji międzynarodowej 164
organizacji terytorialnej i zawodowej 311
osadnictwie zamorskim 321—322
upaństwowieniu pewnych rodzajów dóbr 291
wstrzeźliwości myśli i słowa 398
wyzwoleniu proletariatu 301
Parlament (Przedstawicielstwo, patrz »Sejm«) 14, 173—174, 307, 310—311, 405—406,
409—434, 443, 445—446, 448
Partie polityczne 77—79, 349, 430, 434—442
Personalizm (patrz »Osobowość«)
Personalna gospodarka 357
Piłsudski 35—38, 67, 77—78, 97, 345, 347, 388, 434—435, 440
Planowanie gospodarcze 39—53, 310, 354
Plebiscyt 150—152
Placa słuszna 225—228, 258
Polonia w Stanach Zjednoczonych 142—145
Poradnie Drobnej Wytwórczości 285—287, 302
Postepy techniki 255—256, 269—270, 277
Powstanie warszawskie 84, 338, 371, 460—463, 482
Pożyczki wojenne 210

Pożyczki zagraniczne 315, 318, 322—324
Praca 32, 191, 202, 222—225, 236, 238—254, 255—257, 264—274, 282, 284—289,
292—293, 296—305, 316—319
Prasa 395—399, 443
Prawo Natury 147—148, 194—195, 221, 294, 298, 333—335, 337, 343—344, 410, 443
Proporcjonalność wyborów 33—34, 420—423
Przywódstwo 28, 338—341, 350—351, 357, 360—361, 365, 372, 380, 414—416

Radio 354, 393—395, 443
Referendum 405—406, 443
Reforma rolna 32, 46—47, 71—73, 83, 229, 247—251, 281—282, 359—360
Reklama 237—238
Renta gruntowa 211, 247—251
Rewolucja francuska 54—61, 297—298, 344, 359, 370, 400
Roboty publiczne 265
Rokosz 345
Rozdział dóbr 223—228, 273—274, 300—301
Rytuał 62—64, 368—369, 388—390
Rząd 69, 172—173, 306—308, 343—346, 350—355, 453—454

Samorząd terytorialny 28—34, 43, 73—74, 293, 295, 310—311, 352—354, 385, 443, 453
Samorząd zawodowy 43—44, 73—74, 296—305, 310—311, 352—354, 385, 398—399,
417—420, 443, 453
Sądownictwo 208, 354—355, 405—407, 432—434, 443
Sejm (patrz »Parlament«) 28, 33, 174, 354, 421—426, 430—432, 434—435, 450, 453
Sejm Czteroletni 54—61, 370, 400, 458—459, 461—462
Senat 354—355, 415—416
Slusznosc (equity) 208, 252—254, 381
Socjalizm (patrz »Socjalizm polski« i »Marksizm«) 12—13, 48—50, 118, 263,
307—308, 441
Socjalizm polski 35—38, 41—50, 52, 70—71, 372, 418, 440
Spółdzielczość 47, 230, 286, 299—300
Spółdzielnie Pracy 293, 299, 340, 403, 404
Spółka Akcyjna (patrz » Holding«) 46, 204, 259, 397
Spółka Publiczna 73, 292, 403
Sprawiedliwość rozdzielcza 191—192, 222—228
Sprawiedliwość wymienna 191—192, 202, 251—254
Symbolika 62—64, 368—369, 388—390
Syndykalizm 43—44, 299
Szkołnictwo 354—355, 361, 406—408, 443, 446

Tajne związki (patrz »Masoneria«) 54—61, 76, 93, 163—165, 178, 340, 368—370,
372—376, 385—387
Teatr 403—404, 443
Teozofia 11, 14, 368, 389
Tezauryzacja 231—234, 269, 315—316
Tolerancja 473
Totalizm 263, 277, 307—308, 310, 353, 362—363, 380, 406—407
Trzecie Zakony 377—378, 386—387

Ukraińska sprawa 18—27, 68, 99—103, 162, 175, 178, 462, 478
Unia 83, 154—157, 161—162, 168—179, 470, 478—479
Uniwersalizm 98, 119—120, 163—165

Upaństwowienie 42—43, 49—50, 73—74, 261—262, 292—293, 307—308
Upowszechnienie własności 41—49, 71—74, 200, 225—230, 250—251, 258, 285—289,
292, 308—311, 402, 443
Usługi publiczne 252, 298
Uspolecznienie kapitału 41—51, 73—74, 212, 252, 290—293, 394, 402—404
Uwłaszczenie mas (patrz »Upowszechnienie własności«)
Uzbrojenie defensywne 166

Wartość 235—238
Warunki handlu zagranicznego 316—319
Weisshaupt 54—58, 115, 370, 399—400
Większość głosów 426—432
Wielki Wschód 62, 345, 357, 368, 374, 375
Wkłady bankowe 209—213
Własność (patrz »Upowszechnienie własności«) 194—195, 204—205, 221—234
Własność rodzinna 228—231
Własność średnia 45—46
Wolność 34, 261—263, 268, 310, 406
Wyborczy system 69, 75, 308—310, 361—365, 420—424
Wydawniczy przemysł 399—401, 443
Wynalazcy 276—277

Zagroda dziedziczna 32, 83, 229, 359—360
Zakon Illuminatów (patrz »Weisshaupt«)
Ziemia 223—225, 229, 247—251, 281—282, 289
Złoto 209, 216—220, 266, 314—315
Zmowa 240, 244—246
Związki Zawodowe (patrz »Samorząd Zawodowy« i »Korporacjonizm«) 49, 296—305,
310—311, 417—420, 441
Zysk 235—254, 316

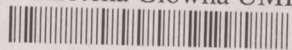
Zydzi 14, 36—37, 68, 117, 138—142, 163, 198, 370, 471, 473





No. 000. -

Biblioteka Główna UMK



300044883744

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

616852

Biblioteka Główna UMK



300044883744

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

616852

Biblioteka Główna UMK



300044883744

